

# MARTA FIK

## AUTORYTECIE WRÓĆ?

Ty. 852.229



ERRATA



OFICyna WYDAWNICZA



*AUTORYTECIE WRÓĆ?*





# MARTA FIK

## *AUTORYTECIE WRÓĆ?*

---

SZKICE O POSTAWACH POLSKICH INTELEKTUALISTÓW  
PO PAŹDZIERNIKU 1956

PRZEDMOWA  
JERZY TUROWICZ



Okładka, strona tytułowa, ilustracje:  
Zdzisław Wiatr

© Copyright by Bogdan Augustyniak, Łukasz Augustyniak,  
Szymon Augustyniak, 1997

Illustrations © Copyright by Zdzisław Wiatr, 1997

Pozycja subsydiowana przez  
Fundację Kultury



oraz

Polską Fundację Upowszechniania Nauki

Bank Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych SA

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001010808427

ISBN 83-907833-0-4



III. 852. 229

Oficyna Wydawnicza Errata s.c., Warszawa

Skład: SCRIPT, Warszawa



Druk: Biutex sp. z o.o.

197165 156814

# Przedmowa

Zgon Marty Fik w grudniu 1995 roku, w wieku 58 lat, stanowił ogromną stratę dla polskiej kultury. Była znana jako znakomity teatrolog, świetny krytyk teatralny, wykładowca w Wyższej Szkole Teatralnej, autorka szeregu cennych książek z dziedziny teatru. Ale byłoby błędem zamykać jej znaczenie do dziedziny teatru. Jej rozległa wiedza, wrażliwość, zaangażowanie obejmowały wszelkie dziedziny życia kulturalnego i nie tylko kulturalnego w Polsce naszego czasu. Świadectwem tego jest najważniejsze, niezwykle, można powiedzieć zdumiewające dzieło Marty Fik *Kulturą polską po Jalcie. Kronika lat 1944–1981*. Ta licząca niemal 850 stron książka, wydana w roku 1989 w Londynie, a w 1991 wznowiona w kraju, poprzez kronikarski, chronologiczny zapis tysięcy faktów przedstawia nie tylko życie i rozwój kultury w latach PRL-u, ale przede wszystkim zależność kultury od polityki, zniewolenie, a nieraz i niszczenie tej kultury przez politykę. Książka ta w normalnych warunkach powinna była powstać jako dzieło całego zespołu kompetentnych badaczy. Jeśli napisałem, że dzieło to jest zdumiewające, to właśnie dlatego, że trudno zrozumieć, jak Marta Fik mogła sama wykonać tę ogromną pracę w ciągu dwu czy trzech lat. Do tego samego nurtu twórczości Marty Fik należy jej ostatnia książka, wydana w 1985 roku *Marcowa kultura*, książka — jak napisał Andrzej Osęka — na temat tego, co stało się w Polsce z kulturą i świadomością zbiorową w marcu 1968. I wreszcie — by wiedzieć, kim była Marta Fik nie można pominąć faktu, że w stanie wojennym przez kilka lat współredagowała dwa ważne pisma kulturalne drugiego obiegu: »Nowy Zapis« i »Kulturę Niezależną«.

Obecnie ukazująca się książka to zbiór szkiców, esejów i recenzji Marty Fik, publikowanych w szeregu czasopism, tekstów wprawdzie dość różnorodnych, ale złączonych nicią przewodnią refleksji na temat roli, miejsca i odpowiedzialności inteligencji twórczej, ludzi, których określa się mianem intelektualistów, roli i postaw w latach PRL-u oraz w obecnym trudnym czasie budowy demokracji, po latach totalitarnego zniewo-

lenia. Pisarstwo Marty Fik cechuje ogromny obiektywizm. Co nie znaczy, że nie ma swojego własnego stanowiska. Przy swoim rodowodzie ideowym, lewicowym, w sensie, w jakim socjalizm rozumiano przed wojną, jest zdecydowanym wrogiem komunizmu w wersji tak sowieckiej, jak i PRL-owskiej, ale odrzuca też fundamentalistyczny antykomunizm operujący czarno-białymi schematami, stanowiącymi właśnie dziedzictwo komunizmu, który całą rzeczywistość pokazywał w kolorach czarno-białych, tym samym tę rzeczywistość fałszując i zakłamując. Surowo oceniając postawy niektórych intelektualistów w latach PRL-u, postawy nacechowane konformizmem, oportunizmem czy nawet cynizmem, Marta Fik równocześnie ostro rozprawia się z „prokuratorami” dopatrującymi się wszędzie „hańby domowej”. „Prokuratorom” tym, czy też — można powiedzieć — „inkwizytorom” pragnącym wszystkim „wymierzać sprawiedliwość”, Marta Fik zarzuca ahistoryzm, nieliczenie się z kontekstem w jakim działali oskarżani przez nich intelektualiści oraz nieliczenie się ze złożonością natury ludzkiej, która jeśli nie usprawiedliwia, to przynajmniej pozwala zrozumieć błędzenie czy nawet uleganie „heglowskiemu ukąszeniu”.

Na marginesie książek Michała Głowińskiego, Jerzego Eislera czy Andrzeja Friszke Marta Fik analizuje znaczenie socrealizmu, rolę wydarzeń Marca 1968, jak i w ogóle demokratycznej opozycji ludzi kultury (i nie tylko) przeciw reżimowi Polski Ludowej. Świetny i dobrze udokumentowany szkic o Władysławie Gomułce dowodzi, że Gomułka bynajmniej nie zdradził „Października”, bo związane z objęciem przez niego kierownictwa partii nadzieje na „socjalizm z ludzką twarzą” były bezpodstawne. W innym szkicu Marta Fik wskazuje na odpowiedzialność intelektualistów za budowanie mitu Lecha Wałęsy, ale pisze też o zawinionym przez Wałęsę konflikcie z tymi intelektualistami, który walnie przyczynił się do dzisiejszej fali antyinteligentkiego populizmu.

Trudno w tej krótkiej prezentacji książki wskazać na wszystkie jej tematy, ale nie należałoby pominąć tego, co Marta Fik pisze o przemianach postaw intelektualistów, kiedyś członków PZPR, występujących z partii na skutek rozczarowania i utraty wiary, że komunizm realizuje piękne ideały sprawiedliwości i szacunku dla praw człowieka. Szczególne miejsce zajmuje w tej książce szkic *Spór o Kościół* pisany — jak to sama podkreśla — z pozycji „osoby spoza Kościoła”, zawierający — w związku z toczącą się u nas dyskusją na temat miejsca i roli Kościoła w życiu

publicznym — krytyczne oceny pewnych żenujących gestów czy wypowiedzi ludzi Kościoła w ostatnich czasach. Pewne tezy tego szkicu mogą się wydać kontrowersyjne, ale na pewno Marta Fik ma rację, gdy mówi, że przemilczanie własnych błędów bardziej szkodzi Kościołowi niż rzetelny rachunek sumienia i reagowanie na niefortunne wypowiedzi.

Największą jednak wartością tej książki — jak wspomniano na początku tej przedmowy — jest głęboka, obiektywna i sprawiedliwa analiza roli inteligencji czy też intelektualistów przed i po roku 1989. Przy dość powszechnej niechęci do reżimu pojałtańskiego, w społeczeństwie polskim, zwłaszcza po roku 1956 przeważał model przystosowania. Świadomą opozycję tworzyła niewielka mniejszość tego społeczeństwa, a w niej rolę wiodącą pełniła inteligencja — nie cała oczywiście — ludzie sztuki i nauki, działacze katolicycy, młodzież akademicka. W momentach przełomowych, gdy ruch oporu obejmował — nieraz na krótko — szersze masy społeczeństwa, intelektualiści pomagali artykułować postulaty tego społeczeństwa, byli jego rzecznikami, w pewnej mierze według modelu romantycznego, w którym poeci i artyści sprawowali „rządy dusz”. Toteż mieli prawo, a nawet obowiązek zaangażowania politycznego w nową rzeczywistość powstającą po roku 1989.

Marta Fik dobrze widzi błędy i grzechy intelektualistów, nieraz grzechy zaniechania, ale broni roli inteligencji w procesie obalenia komunistycznego reżimu. Marta Fik pokazuje, że tzw. sojusz robotniczo-inteligentki, tak wymownie manifestujący się w dniach „Solidarności”, był tworem sztucznym i krótkotrwałym. Przekonanie o zwycięstwie „etosu” okazało się utopią. Dziś, kiedy jesteśmy świadkami bardzo silnych populistycznych postaw antyinteligentkich i bezpodstawnego na ogół oskarżania inteligencji, właśnie wczorajszych opozycjonistów, „etosowców”, o to, że dzisiejsza rzeczywistość społeczno-polityczna nie jest taka, jakiej się spodziewano, Marta Fik stwierdza, że czas inteligencji bynajmniej nie przeminął, i że choć mamy do czynienia z dość powszechnym kryzysem, upadkiem autorytetów, to jednak by wyjść na prostą z okresu przejściowego, jaki przeżywamy, inteligencja nadal powinna, choć niekoniecznie w bezpośrednim zaangażowaniu politycznym, kształtować świadomość społeczeństwa, nadal potrzebne są autorytety, o czym mówi tytuł jej książki *Autorytecie wróć?* Tytuł ten wprawdzie Marta Fik opatrzyła znakiem zapytania, ale jest to tylko wyraz pewnego sceptycyzmu, a nie przekonania, że autorytety nie są potrzebne.

Autorytety nie rodzą się na kamieniu. Autorytetami mogą stać się ludzie mądrzy i do gruntu uczciwi, odważni i odpowiedzialni. Ludzie łączący idealizm z realizmem. Rozumiejący świat, w którym żyjemy i całą jego złożoność, mający wyraźną wizję świata, w jakim chcielibyśmy żyć, których głos kierowałby ludzi na drogi prowadzące do tego świata.

Takim człowiekiem była Marta Fik, osoba rozumiejąca, sprawiedliwa i obiektywna, odrzucająca czarno-białe schematy, tolerancyjna nie dla zła, ale dla ludzi, świadoma kondycji ludzkiej. Była jednym z autorytetów moralnych, których nam dziś tak bardzo brakuje.

*Jerzy Turowicz*

# Przepraszam, że jestem inteligentem

Ostatnie chyba żywe spory wokół statusu, racji bytu i ewentualnych bieżących zadań polskiej inteligencji wygasły, mniej więcej wtedy, gdy rozgorzała „wojna na górze”. Wtedy to spore grono publicystów — różnych zresztą światopoglądów i generacji — uznało na ogół zgodnie, że misja tejże, jeśli nie wygasła, to znacznie przybladła. Ponieważ w owym pogrzebie onegdajszego posłannictwa brali ochoczo udział również ludzie z tak zwanych inteligenckich elit, wolno było problematyki zaniechać. Wczorajsze „intelligenckie elity” wchłonięte zostały zresztą w znacznej mierze przez dzisiejsze „elity polityczne” i wyłącznie w tej roli pretendować mogą do roli głównych bohaterek obchodzących kogośkolwiek polemik. Inteligencka „reszta” (nie jest to określenie pejoratywne, przywołanie go usprawiedliwione jest po prostu brakiem odpowiedniej terminologii) zajęła się przede wszystkim kwestiami konkretnymi: pauperyzacją, duchową i materialną, reprezentowanych przez siebie zawodów. Bez jakichkolwiek zresztą pozytywnych rezultatów i bez większego — niż środowiskowy — rezonansu.

Nic dziwnego, że kiedy krakowska »Arka«<sup>1</sup> ogłosiła wyniki rozesłanej przez się ankiety na ów niemodny temat, opatrzyła je tytułem *Polowanie na intelektualistów*. Upolowani intelektualiści (nazwani w tekście bardziej opisowo: „wybitnymi przedstawicielami życia umysłowego”) mieli stać się zresztą nie tylko cennymi trofeami, lecz zarazem myśliwymi naprowadzającymi na dalsze tropy. Ich zadaniem było między innymi określić, kto to taki intelektualista w ogóle. Zawsze wszak łatwiej polować, kiedy wie się dokładnie na kogo.

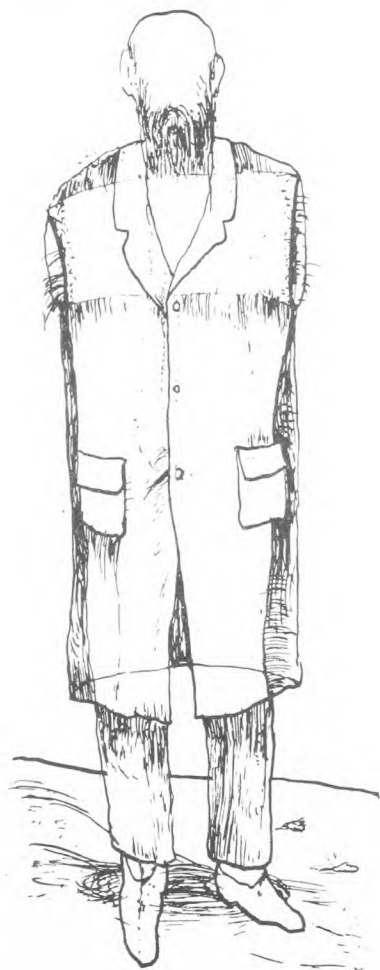
Pytania »Arki« — a właściwie jedno rozbudowane pytanie — brzmiały: „Czy uważa się Pan (Pani) za intelektualistę, inteligenta? Co to znaczy

---

<sup>1</sup> »Arka« nr 37–38, 1992.

w kontekście tradycji historycznej inteligencji polskiej, doświadczenia »hańby domowej« lat PRL-u, zmiany politycznego układu odniesienia po 1989 roku, współczesnych sporów ideowych i politycznych w Polsce?»

Odpowiedzi mają charakter różnorodny, i jeśli chodzi o szczegółowość opinii, i objętościowo: od trzech zdań skreślonych niedbale przez Piotra Wierzbickiego po mały traktat Leszka Elektorowicza o stopniu i rodzajach zaangażowania się polskiej inteligencji w powojenną rzeczywistość. Zbliża je do siebie jedno. Prawie wszystkie odnoszą się z rezerwą





do pojęcia „intelektualista” i prawie wszystkie lekceważą pierwszy i ostatni człon drugiego pytania. Tylko Tadeusz Chrzanowski (a są wśród respondentów między innymi Jan Józef Szczepański, Gustaw Herling-Grudziński, Ludwik Hass, Krystyna Kersten, Tomasz Strzembosz; dokładnie połowa odpowiadających ma tytuł profesorski) uważa się za intelektualistę, tylko Kerstenowa wyznaje, iż „aspiruje do tej roli, świadoma swych niedostatków”. Tylko Bronisław Łagowski wymienia dwa nazwiska intelektualistów, jego zdaniem, „pozytywnych”, choć bardzo od siebie różnych: Ingardena i Kołakowskiego, a w dodatku zdanie swe uzasadnia. Równocześnie prawie nikt nie zahacza nawet w swych rozważaniach o doświadczenia inne, niż peerelowskie.

Między niechęcią do samookreślenia się w roli intelektualisty a lekceważeniem wszystkiego, co nie dotyczy okresu 1944-1989 zachodzi zresztą nieoczekiwany, lecz logiczny związek. Fakt, że aż trzynaście spośród czternastu osób, chętnie przyznających, iż są inteligentami (tylko Herling-Grudziński i Andrzej Biernacki buntują się także przeciw temu określeniu), odżegnuje się od bycia intelektualistami — wynika bowiem na ogół nie tyle z przesadnej skromności, co z fatalnych konotacji, jakimi obrosło wedle nich to pojęcie. Mówiąc najprościej: intelektualista to inteligent (to prawda, że wysokiej na ogół umysłowej rangi) o orientacji prokomunistycznej jak na Zachodzie, lub wręcz wprzęgnięty, jak w kraju, w służbę komunistycznej władzy. Wierzbicki pisze wprost: „Przed wojną nie było w Polsce intelektualistów, byli tylko inteligenci”. Biernacki: „Zbyt [...] mam mocno zakarbowane w pamięci — wychowanie szkół wrocławskich — czym był tak zwany Kongres Intelektualistów”. Tomasz Strzembosz: „Różnię się od większości polskich intelektualistów tym, że nigdy nie byłem członkiem PPR czy PZPR”. I tak dalej, i tak dalej.

To niezwykle, wręcz zdumiewające zawężenie perspektywy (bo czyż nie jest to także „patrzenie jednym okiem” i, co więcej, w jednym tylko kierunku, o które Szczepański oskarża — w innym sensie — *les intellectuels de gauche*) ma swe oczywiste motywacje.

Otóż niezależnie od intencji, jakie przyświecały redakcji »Arki«, ogłoszona przez nią ankieta udziela odpowiedzi właściwie na jedno tylko pytanie. Mianowicie o wpływ okresu nazwanego tu globalnie „hańbą domową” na myślenie dzisiejsze. Co więcej, odpowiedź tę uzyskuje się niejako nie wprost; nie zostaje ona bowiem jasno sformułowana w żadnej wypowiedzi, a wynika raczej z lektury wszystkich.

Ograniczenie pola widzenia do terenu, na którym spędziło się — z reguły — całe swoje młode i dorosłe życie (zwłaszcza, gdy nie chodzi o pisanie naukowej dysertacji, lecz udział w ankiecie) jest zabiegiem zrozumiałym. A jednak przykrą jest świadomość, że mało kto chce — bo przecież na pewno umie — ograniczenie to przewyciężyć. I że tak łatwo akceptuje się stereotypy, cóż stąd, że w formie wypowiedzi niezbyt zobowiązującej.

Bowiem, gdyby je podważyć, okazałoby się rychło, że już sam charakter pytania dotyczącego komunistycznego czterdziestopięciolecia wzbudzić powinien sprzeciw. Określająca je formuła narzuca przecież z góry pewien punkt widzenia. Niezbyt prawdziwy, a niesprawiedliwy na pewno.

Kariera, jaką zrobiło pojęcie „hańby domowej” przywołane przed siedmiu laty przez Jacka Trznadla, warta byłaby oddzielnego socjo-psychologicznego opisu.

„Hańba domowa” oznaczająca pierwotnie zaledwie pewien etap peerelowskich dziejów, które miały potem także swe mniej lub bardziej zasłużone legendy (Października, Marca, KOR-u, stanu wojennego), stała się oto synonimem całego powojennego okresu i wszystkiego, czego w nim dokonano. Synonimem wszelkich więc inicjatyw, dzieł i postaw bez jakichkolwiek różnic i półcieni; tak właśnie, jak to widział Józef Mackiewicz.

No cóż, mimo że poddawanie krytyce poglądów Józefa Mackiewicza nie jest dziś w modzie, nie musi się ich przecież w całości podzielać. Nie każdy — nawet spośród ich wyznawców — ma zresztą do tego prawo. Radykalizm Mackiewicza kosztował go drogo, także na emigracji; radykalizm jego naśladowców dodaje im jedynie splendoru. Mackiewicz od znienawidzonej przez się rzeczywistości pozostawał w dosłowny sposób z dala, nie współtworzył jej nawet z pozycji wroga w przeciwieństwie do tak zwanych opozycyjnych krajowych pisarzy, artystów, publicystów, historyków literatury etc., którzy wszak jakoś w niej żyli i to z nie całkiem zakneblowanymi ustami. Gdyby zresztą konsekwentnie i serio traktować Mackiewiczowski antykomunistyczny radykalizm, prawo do odżegnywania się od „hańby” mieliby tylko ci, co powojenne czterdziestopięciolecie spędzili, jeśli nie w więzieniach, to w każdym razie nic cenzuralnego nie ogłaszając oraz ci, co swe dorosłe życie rozpoczęli nie wcześniej niż w roku 1989.

Ale wtedy pojęcie „hańby domowej”, której ulec musiał — wedle kryteriów tak ekstremalnych — każdy polski (wedle Mackiewicza, już nie polski zresztą, lecz sowiecki) nieemigracyjny intelektualista, niezależnie od swojej indywidualnej postawy, zachowań i osiągnięć — wtedy pojęcie to staje się tak pojemne i nieostre, że po prostu bezużyteczne.

Czy w ogóle jest zresztą najszcześliwsze, skoro nie określa rzeczy bezspornych i jednoznacznych?

Kiedy Jacek Trznadel — nie mający się jeszcze wówczas za antykomunistycznego Savonarolę — układał swą książkę, miał prawo przywołać ten termin, choć już wówczas wydawał się on nazbyt apodyktyczny i nieprecyzyjny. Choćby przez to, że postawiono tu na równej szali dwie odrębne hańby. Tę, będącą synonimem konformizmu, próżności, skłonności dworskich, strachu (choć strach w czasach przemocy stanowi inną od tamtych kategorię) — oraz tę, wynikłą ze zdrady podstawowych dla intelektualistów wartości: obowiązku wątpienia, krytycyzmu, tolerancji, których zdradzać im nie wolno nawet w imię najszczytniejszych w ich odczuciu ideologii. Są to hańby w skutkach podobne, całkiem przeciw innego rzędu, innej wymagające analizy i do nieco różnych prowadzące wniosków.

Ale pojęcie „hańby domowej”, rozumiane jako metafora określająca całą prawie środowiskową sytuację, budzi sprzeciw i dlatego, że wprowadza pewien obraz dosyć — w niezamierzony sposób — zbieżny z poglądami lansowanymi bardzo długo przez samych komunistów. Taki oto, że po stronie ustroju stoją — i to w przeważającej większości — ci najlepsi, przeciw niemu buntuje się zaś grupka frustratów, którzy w żadnych warunkach nie byłiby w stanie odnieść naukowego, literackiego czy artystycznego sukcesu. Trznadel zdawał sobie zresztą z tego sprawę, pisał przecież we wstępie do swojej książki: „Jesteśmy wciąż pod presją propagandy tamtego [stalinowskiego] okresu, która dbała o wywołanie wrażenia, że udział w nowej ideologii był masowy”. I właśnie pamięć o tym niebezpieczeństwie zadecydowała (a była to jedna z najistotniejszych zalet przywoływanego tomu) o doborze rozmówców. Tylko pięciu spośród nich — a dodać do tego można jeszcze samego autora — uczestniczyło w propagowaniu tak zwanej nowej wiary w sposób gorliwy. Dwóch uczyniło to z pewną rezerwą. Sześciu (miał do nich dołączyć jeszcze Andrzej Kijowski) nie miało — choć mogło — z systemem nic wspólnego; o trzech z nich mówić można jako o opozycji.

Nie chodzi zresztą tylko o liczby. Spośród owych pięciu gorliwców jedynie Andrzejewskiego określić można mianem pisarza, a ściślej autorem dwóch wydanych przed wojną książek. Czterej pozostali to literaci zupełnie świeżej daty. A proporcje zachowane w książce Trznadla nie idealizowały rzeczywistości, wręcz odwrotnie.

W samym nawet środowisku literackim, a przede wszystkim we wskrzeszonym po wojnie Związku, pisarzy z dużym, przedwojennym jeszcze autorytetem było mało. Wielu wybitnych już nie żyło, bardzo wielu znalazło się na emigracji, a emigracja ta (z materialnych i emocjonalnych przyczyn bardzo ciężka) była przecież również niezgodą na hańbę. Jeśli zaś idzie o pisarzy pozostających w kraju, też nie wszyscy stali się apostołami nowej wiary. Nie byli nimi wszak ani Gołubiew, Malewska, Zawieyski, Staff, Wat, Stawar, Iłakowiczówna, Stern, Peiper, Szaniawski, ani — mimo stanowisk w dyplomacji czy sejmie — Miłosz, Zagórski, Nałkowska, a nawet wbrew wszystkiemu, Dąbrowska (nie mówiąc już o jej towarzyszu, Stanisławie Stempowskim). Nie było nimi wielu młodych, skazujących się w imię własnych racji niemal na nieistnienie, jak Herbert, Białoszewski, Szczepański, Lipski ani też — mimo wydanych tomów — Ficowski czy Różewicz. Nie była nimi grupa uczniów Wyki: Błoński, Flaszen, Kijowski, Puzyna, którzy od swego mistrza uczyli się nie tylko — jak młody Trznadel<sup>2</sup> — konformizmu.

To prawda, także wielu spośród nich współżyło jakoś z tak zwanym socrealizmem, by posłużyć się formułą Zdzisława Łapińskiego. Ale współżył z socrealizmem, a nawet uwiarygodniał system i »Tygodnik Powszechny« do momentu zamknięcia, i nawet Kościół, nie mówiąc już o ówczesnych absolwentach liceów, zapisujących się do ZMP, by dostać się na studia, i wkuwających na pamięć *Krótki kurs WKP(b)*, by te studia potem ukończyć. Uwiarygodnianiem systemu było bowiem prawie wszystko, co działo się poza murami więzień. Zarówno udział w akcjach propagandowych, jak i w tych, które uznać trzeba za neutralne czy nawet cenne, bo zapobiegające raczej niż sprzyjające zakrojonej z rozmachem sowietyzacji<sup>3</sup>. Te ostatnie przecież też pracowały na autorytet władzy, nie

---

<sup>2</sup> Por. J. Trznadel *Hańba domowa*, Instytut Literacki, Paryż 1986.

<sup>3</sup> Grano przecież wówczas w teatrach obok produkcyjniaków także sztuki klasyczne, urządzało wystawy dawnych obrazów, wydawano klasykę (obcą, w dodatku w doskonałych przekła-

dość że silnej, to jeszcze — jak się okazywało — niedogmatycznej, bo zezwalającej na działalność niepropagandową i nieortodoksyjną.

Ale od współżycia z socrealizmem do hańby domowej droga była nad wyraz długa. I gdyby sporządzić rzetelny bilans hańb i odporności na hańbę, okazać by się mogło, że to ta pierwsza skryje się w cieniu drugiej, nie odwrotnie.

Rzecz nie polegała bowiem na ilości zaangażowanych, lecz na tym, że to oni tylko mogli wyrażać swoje opinie głośno i z odgórnym zapewnieniem rezonansu. Czy znaczy to, że w krzewieniu hańby odnosili zwycięstwo?

Przed wszystkim bardzo szybko sami z niej wyrosli. Po wtóre, bardzo krótka i nieskuteczna była, jak się okazało, siła ich oddziaływania. O ileż krótsza, niż siła oddziaływania tych, którzy byli prawdziwą — mimo że usuniętą w cień — intelektualną elitą, choćby usuwanych z katedr lub szukanowanych profesorów, których wspomagali często nauczyciele gimnazjum. „Jeszcze jedna z legend to ta: intelektualiści byli stalinowcami. Wymienia się tu np. Kołakowskiego. Tymczasem Kołakowski był w tym czasie młodym asystentem, studentem tuż po wojnie. Intelektualiści to był np. profesor Kreutz, profesor Hessen (zwolniony), profesor Radlińska [...]. Wielkie nazwiska znanych profesorów: to byli intelektualiści tamtego okresu”<sup>4</sup>. Ossowscy, Elzenberg, Tatarkiewicz, Ajdukiewicz, Edward Lipiński, Konrad Górski, Szweykowski, Pigoń, Kleiner, Ingarden i tylu innych — we wszystkich prawie dziedzinach. Nie brali udziału w hańbie i wolno powiedzieć chyba więcej: ocalili przed nią (nie tylko w tamtym okresie) wielu swoich formalnych i nieformalnych uczniów. Bo to nie Pawka Morozow, a właśnie oni stworzyli wzorce osobowe, obowiązujące w następnych latach nie tylko „niepokornych”, lecz również ogromnie wielu wczorajszych pryszczatych i „wściekłych” — zbuntowanych okresowo przeciw swym pedagogom — ZMP-owców.

„Hańba domowa”, jeśli nawet przystać na to pojęcie, nie była więc i wtedy udziałem większości. Tak jak Kongres Intelektualistów we Wro-

---

dach), prowadzono badania, których założenia i wyniki niekoniecznie oparte były na fałszu.

<sup>4</sup> H. Świda-Ziemia, *Szary człowiek w stalinizmie*, »Kultura Niezależna« nr 66, 1991.

clawiu (gromadzący zresztą wielu intelektualistów wysokiej rangi) nie był symbolem wszelkich ówczesnych ich działań.

Działania nie tak, rzecz jasna, jak Kongres nagłościonych i przez to efektywnych. Nic dziwnego. Wszak jedyną formą protestu przeciw temu, co lansowano oficjalnie, mogła być tylko odmowa udziału w kłamstwie. A jedyną w podjęciu tej decyzji podporą — wiara, że istnieją wartości, jednak godne wyrzeczeń, choć tak zdawałoby się niepopularne.

Że broniono ich głosem z pozoru cichym? A jakże inaczej można było wyrażać swój protest? Przez emigrację przy pomocy cudownego latającego dywanu? Samospalenie? Marsz pod KC lub urząd bezpieczeństwa z transparentem „przeciw”? Tak właśnie zdaje się sądzić niemałe grono publicystów i to nie tylko tych, co o terrorze stalinowskim nie mają pojęcia.

Przesadzam, oczywiście. Ale jest coś niezwykle drażniącego i niepokojącego w fakcie, iż *Hańba domowa* Trznadla (która w roku 1986 nie bez powodu stała się bestsellerem) jest jedyną, umieszczoną w dodatku w kanonie szkolnych lektur, diagnozą tamtego okresu. Że — co gorsza — najbardziej nośny pozostał z niej tytuł, i że tytułem tym od pewnego czasu określa się całe powojenne czterdziestopięcioletcie.

Czterdziestopięcioletcie — nawet w swych najbardziej liberalnych okresach — nienormalne. Ograniczające, już nie tylko w totalitarnym, ale surrealistycznym wręcz wymiarze, wolność słowa. Krępujące naturalny rozwój nauk, nie tylko przecież z powodów bezpośrednio politycznych, lecz także innych, z nich wynikających. Czterdziestopięcioletcie, w którym można było wskutek woli rządzących zostać skazanym na naukowy, pisarski czy artystyczny niebyt. I tak dalej, i tak dalej ... znamy to wszyscy.

Ale było to zarazem czterdziestopięcioletcie (a więc nie na przykład krótki okres wojny), w którym robiono — niekoniecznie nieuczciwie — naukowe, pisarskie, artystyczne kariery, prowadzono badania cenione nie tylko w ZSRR, ale i w Europie, wydawano specjalistyczne czasopisma (też o europejskiej renomie) oraz książki, których brak na czytelnicznym rynku tak bardzo się dziś odczuwa. Oczywiście, osobista cena za tę względnie normalną egzystencję (względnie, bo ze stałą świadomością wielorakich tabu, które trzeba było przecież zaakceptować) była różna. Ale i skali owej zależności nie da się mierzyć wedle jednej, założonej ogólnie miary.

Bardzo dziś popularny pogląd, że kultura i nauka w powojennej Polsce poza drugim obiegiem nie istniała (wyraził go między innymi minister kultury i sztuki w swoim wystąpieniu przesłanym na ręce Andrzeja Biernackiego, przewodniczącego poznańskiej sesji poświęconej ruchowi podziemnemu<sup>5</sup>), i że wszystko, co oficjalnie zaistniało jest naprawdę jedynie czarną dziurą lub świadectwem konformizmu i zniewolenia — pogląd ów traktowany jest jako dowód antykomunistycznego myślenia. Ale godzi tak naprawdę nie w komunistów, a w tych wszystkich, co na miarę ówczesnych możliwości (a czasem i ponad miarę) zachowali nie tylko osobistą niezależność i autorytet, ale w dodatku obronili w znacznej mierze autorytet dziedzin, które reprezentowali.

Sadomasochistyczne ukierunkowanie pamięci na to tylko, co w niedawnej przeszłości wstydlive, nie ma zresztą nic wspólnego z rzetelnym, choćby nawet przesadnie krytycznym, rozrachunkiem. Nie towarzyszy mu (w większości) ani rzetelność w przeprowadzaniu analiz, ani bezstronność wniosków. Odwrotnie: towarzyszy jej ta sama skłonność do czarno-białych schematów, które zaobserwować można niestety także w ustosunkowywaniu się do terażniejszości. Jakoś nikt nie biada, że jest to jeden z najgroźniejszych spadków po komunizmie.

Intelektualiści polscy siedzą dziś na ogół cicho, jeśli nie liczyć tych, co z wystąpień publicznych uczynili już swą główną specjalność. Pozostali uwierzyli zapewne, że stanowią grupę dziś bez znaczenia, której cechy szczególne i zadania trudno nawet określić. Intelektualista zdaje się pojęciem mętnym i kojarzącym się — o czym już pisałam — jak najgorzej. Wbrew respondentom »Arki« jednak to nie intelektualista jest wymysłem PRL-u, chociaż peerelowska władza starała się pojęcie to dowolnie wykorzystać. To, jak wiadomo, udało się jej z nieoczekiwanym skutkiem (jest wszak bardzo znamienne, że mówiąc o intelektualistach zachodnich wciąż się wymienia, tym razem z przekąsem, te głównie — jeśli nie jedynie — nazwiska, którym reklamę robili komuniści). Ale tak naprawdę zasadniczych manipulacji dokonano w PRL-u z pojęciem „inteligencja”. Rozpoczęto już bardzo wcześnie, bo tuż po wojnie, dyskusją o inteligentkich rodowodach. Podzielono inteligencję na tak zwaną pracującą,

<sup>5</sup> Sesja zorganizowana w Poznaniu przez Instytut Historii Nauki i Techniki oraz Uniwersytet Poznański pt. „*Nauka i kultura polska w podziemiu. Okres od Solidarności do końca stanu wojennego*”, 29-30 VI 1992.



z awansu, twórczą, techniczną, na pracowników umysłowych (termin zresztą z dwudziestolecia) i co tam jeszcze. Stosując te podziały uczyniono z niej jednocześnie klasę, którą nie jest, bo jej różniących się i poziomem wykształcenia, i specyfiką wykonywanych zawodów, i ambicjami, i tradycją przedstawicieli nie łączyło prawie nic. Uczyniono z niej klasę, którą przeciwstawiano innym klasom, bardziej, jak mówiono, słusznym. Przeciwstawiano zresztą nie tylko z pozycji tak zwanej ludowej władzy. Sami inteligenci obnosili wszak — na różnych etapach na różne sposoby — swoje prawdziwe czy urojone kompleksy; nie tylko w okresie tak zwanych obrachunków inteligentkich i dyktatury proletariatu, ale też znacznie później, choćby po sierpniowym, wspólnym przecież zwycięstwie. Jej „gorszość” wytykali w jakimś sensie inteligencji również publicyści emigracyjni, piszący, że to właśnie inteligencja jako całość okazała się najbardziej podatna na doktrynę komunistyczną i konformizm, co — jak można na licznych przykładach udowodnić — niewiele ma wspólnego z prawdą. Bo właśnie inteligencja (i intelektualiści) stanowiła procentowo największą grupę sprzeciwu a na „dobrodziejstwach” realnego socjalizmu zyskała o wiele mniej niż inne klasy.

Dziś próbuje się, jako przeciwagę jej peerelowskiej demoralizacji przywołać — także w wypowiedziach w »Arce« — przedwojenne rozumienie pojęcia inteligencja. Ale i to przecież skazane jest na zagładę. Żaden z przywoływanych wyróżników (wykształcenie, zarabianie na życie dzięki temu wykształceniu, tak zwany inteligentki etos) nie jest już przecież jasnym kryterium. Dwa pierwsze tracą na znaczeniu, a w każdym razie przestają być ostre (czy jest na przykład inteligentem absolwent filozofii sprzedający jarzyny lub odwrotnie — wydawca bez żadnych studiów, lecz z „drugoobiegową” praktyką?), zaś formuła „inteligentki etos” choć brzmi szczytnie, nie oznacza już praktycznie nic.

Nie wydaje się jednak, aby było to tożsame z wyrokiem śmierci na intelektualistów. Przeciwnie. To prawda, że pojęcie to jest mętne i nieprecyzyjne; Jan Szczepański w zamieszczonym w *Encyklopedii kultury XX wieku*, pisanym niedawno haśle podaje kilkanaście jego definicji, własnych i pożyczonych. Z każdej z nich można coś przyjąć, każdą można uzupełnić, dodając także coś od siebie. Jeśli jednak przyjąć (nieprecyzyjnie, ale chyba w zgodzie z dość potocznym odczuciem), że intelektualistą jest człowiek w swej specjalności wybitny, najczęściej zresztą humanista, zabierający głos nie notorycznie, lecz w razie rzeczywistej potrzeby



w sprawach publicznych, i to w sposób nie-zacietrzewiony, nie-małoskowy, nie-partykularny i nie-koniunkturalny — to nie wydaje się, by z pojęcia tego należało rezygnować. Nie wydaje się też, by nie można było wtedy odzyskać autorytetów.

Bardzo dziś chętnie mówi się o ich upadku. Zapewne okoliczności nie są dla ich rodzenia się sprzyjające. Ale autorytety upadają — także teraz — przede wszystkim wskutek tego, iż do ich kryzysu doprowadzają przede wszystkim ci, którzy skądinąd tyle mówią o ich potrzebie.

Jest oczywistym, że autorytetu nie zdobywa się mechanicznie ani też na drodze jakiegoś zaprogramowania. Jeśli intelektualści polscy chcą (a jest przecież taka potrzeba) odegrać jakąś pozytywną rolę w kraju, który choć „wolny” przedstawia obraz pod wieloma względami dość ponury, muszą jednak odwrócić głowy w kierunku teraźniejszości i przyszłości, a nie tylko przeszłości, napawającej ich tak wielkim niesmakiem. Powinni wyzbyć się przede wszystkim najgorszych manier polityków i, co więcej, zrealizować marzenia z czasów komuny, by od polityki uzyskać niezależność (co nie znaczy, by nie wypowiadać się niekiedy i w jej sprawach). Muszą wyzbyć się zarówno pychy, jak fałszywej skromności. Zrozumieć, że koniec ich romantycznej misji wymaga nie tylko pogodzenia się z tym faktem, ale i zastanowienia nad swą obecną sytuacją. Niekiedy można odnieść wrażenie, że czyni się w tym kierunku pierwsze kroki, ale rzeczywistych grzechów — tych, będących konsekwencją peerelowskiego czterdziestopięciolecia, i tych przez nie niezawinionych — jest zbyt wiele. Należy do nich między innymi nietolerancja i coraz bardziej zanikająca, tak ceniona niegdyś przez Herberta „potęga smaku”. On sam — w moim mniemaniu — zdradził ją, podpisując lipcowy apel intelektualistów, którzy potępiłi tak zwanych agentów obalających rząd Olszewskiego, i zdradza ją nierzadko Adam Michnik, a także ci — co jak Trznadel w »Pulsie« — prowadzą z nim polemikę wedle najlepszych, komunistycznych reguł. Należy do nich stadność myślenia, która tak bardzo w roku 1956 irytowała Gombrowicza, i którą w swych opcjach „za i przeciw” ugruntowała opozycja stanu wojennego. Należy też nieumiejętność, czy brak odwagi, wypowiedania myśli, które uznane mogą być za niepopularne także przez własne koterie (bo koterie istnieją, wszystko jedno, polityczne, zawodowe czy towarzyskie). I tak dalej, i tak dalej.

W *Mysłach* Monteskiusza znajduje się jedna, będąca spreparowanym cytatem: „Prokrust: »Moja reforma trwa. Wszak wiecie, że kogokolwiek

dopadnę, kładę go, jak jest długi na moim łóżku. Zbyt krótkich rozciągam, zbyt długim obcinam nogi [...] A oni upierają się przy tym, aby zachować swoją miarę». Myśl jest tylko z pozoru nieaktualna. Wszak Prokrustów komunistycznych zastąpili inni, nie tak z pewnością groźni i bezwzględni, ale też nie całkiem nie-groźni i nie całkiem nie-bezwzględni. Wcale nie jest prawdą, iż tylko pod groźbą więzienia czy represji ludzie (także inteligenci i intelektualiści) skłonni są wyrzekać się „swojej miary”; czasem nawet wtedy są w stanie — jak część intelektualistów lat stalinowskich — ją zachować, czasem wyrzekają się jej pod lada pretekstem. Osiągają popularność, nie narażają się nikomu, lecz nie od tego przecież zaczynać należy budowę autorytetu. Być może zresztą zdobędą go dopiero ci, których spory o przeszłość, związane z nią uprzedzenia i animozje już nie dotyczą. I którzy zajmować się nimi po prostu nie chcą... przynajmniej w sposób, który im się poleca jako obowiązujący.

[1992]

## Skiwski zdrajca heroiczny?

Czterdziesty trzeci numer krakowskiego dwumiesięcznika »Arka« przyniósł m. in. spory szkic Macieja Urbanowskiego *Bohaterowie i zdrajca: sprawa Jana Emila Skiwskiego*. Wedle dość powszechnej — nie do końca sprawiedliwej — opinii jest to tekst rehabilitujący postać niezbyt już pamiętanego krytyka, publicyisty, pisarza i tłumacza (1899–1956), który w latach II wojny jawnie i w sposób niewątpliwy kolaborował z Niemcami. Apogeum tej współpracy przypadło na okres od kwietnia 1944 do stycznia 1945, kiedy to redagował Skiwski propagandowe pismo »Przełom« (ogłosił tu głośne teksty: przestrzegającą przed „czerwoną Moskwą” i nawołującą do współpracy z Niemcami *Cenę krwi* oraz potępiający powstanie warszawskie *Patos i głupstwo*), pisywał materiały dla Reichspropagandaamt oraz wysłał (30 IX 1944) na ręce szefa propagandy GG Buhlera pragmatycznie — utopijny materiał w sprawie współpracy Niemiec — po zwycięstwie — z pobitymi narodami „aryjskich braci”.

Ale nazwisko Skiwskiego już w roku 1941 znalazło się — obok Goetla — na opublikowanej przez AK-owski »Biuletyn Informacyjny« liście osób skazanych na infamię, której wkrótce towarzyszyć zaczął towarzyski bojkot, nasilony po publicznych wypowiedziach Skiwskiego aprobujących m. in. likwidację warszawskiego getta. Zresztą od początku wojny (choć nikt jeszcze nie sądził, że losy Skiwskiego potoczą się tak jednoznacznie) „tłumaczył on — jak wspomina Stefan Kisielewski — najpierw, póki się jeszcze krępował, z aluzjami i niedomówieniami, później wprost, że Polska, jeśli nie chce się znaleźć w skazanym na zagładę »gasnącym świecie« musi przyłączyć się do jedności europejskiej pod kierunkiem Niemiec. [...] Rzecz charakterystyczna, w rozważaniach swych zastanawiał się tylko nad sprawą: kto wygra?, nigdy zaś: kto ma rację?” (*Wspomnienia i inwektywy w: Polityka i sztuka*, Warszawa 1949).

W roku 1945 Skiwski wraz z wycofującą się armią hitlerowską opuścił Polskę. W tym samym roku został potępiony przez komisję weryfikacyjną Związku Zawodowego Literatów Polskich. Nikt nie miał wątpliwości co

do słuszności owego potępienia; Maria Dąbrowska notowała w *Dzienniku* po przesłuchaniu w tej sprawie: „Oddzielałam sprawę Goetla od sprawy Skiwskiego. W sprawie Goetla wyrażam moje przekonanie, że nie współpracował z propagandą niemiecką, w sprawie Skiwskiego ogólnie znany jest fakt, że współpracował”. Podobnie uznano za sprawiedliwy (choć nie były to czasy służące sprawiedliwości) wyrok sądowy z czerwca 1949 roku, skazujący zaocznie Skiwskiego na dożywocie i utratę obywatelstwa polskiego (Skiwski mieszkał już wtedy w Wenezueli pod przybranym nazwiskiem). Nad Skiwskim zapadło milczenie, choć nie jest prawdą, że nazwisko jego jako krytyka utonęło w całkowitej oficjalnej niepamięci. Prawdą jest natomiast, że nie wznowiono żadnej z jego książek. Ani pisanej z pragmatycznych pozycji myśli endeckiej (w 1926 współpracował Skiwski z »Myślą Narodową«), niechętniej cierpiętnictwu i romantycznemu społecznikostwu, a atakującej Żeromskiego *Poza wieszczbiarstwem i pedanterią* (1929), ani *Na przelaj* (1935), tomu będącego zbiorem szkiców z »Wiadomości Literackich« i »Pionu«, wymierzonych w szeroko pojęte „życie ułatwione” (nie chodziło tu tylko, jak się sugeruje, o Boya czy Słonimskiego, ale i o wszelkie — także religijne, kulturalne, intelektualne płycizny), uznanego w »Roczniku Literackim« 1935 za „najciekawszą książkę roku w swoim dziale”. O książce tej Tadeusz Makowiecki pisał, iż w przeciwieństwie do reszty (a konkurentami byli m. in. Zygmunt Nowakowski, Boy, Słonimski, Winawer), przypominającej „pochody manifestacyjne, przechodzące czwórkami przez ulice, by wznieść parę mocnych okrzyków i powrócić do domu”, ta „prowadzi kampanię, osacza, przypiera do muru”.

Nie wznawiano więc ani jego książek, ani poszczególnych recenzji, co nie było zresztą oznaką wyjątkowej wobec Skiwskiego zawziętości, w latach 1945–1990 odłożono wszak na półki ogromną ilość dzieł nie tylko pravicowych, ale i lewicowych krytyków.

Kto jednak chciał, mógł korzystać z hasła w *Słowniku Polskich Pisarzy Współczesnych* (Warszawa 1964), odnotowującego skrupulatnie zarówno to, co przed wojną napisał Skiwski, jak też to, co o nim napisano; jak wiadomo w owym (cenzurowanym) *Słowniku* nie mogła się znaleźć niemała ilość bardziej znaczących nazwisk. Nazwisko Skiwskiego — krytyka, a nie tylko (jak pisze Urbanowski) kolaboranta — pojawia się ostatnio w różnych opracowaniach syntetycznych, a w (selektywnej z konieczności) *Literaturze dwudziestolecia* Jerzego Kwiatkowskiego (Warszawa

1990) poświęcono mu stosunkowo dużo miejsca i to z troską o obiektywizm.

Nie znaczy to, że Skiowskiemu — literatowi nie należy się więcej uwagi. Impulsywny, a wówczas całkowicie zrozumiały, sąd Kisielewskiego, iż Skiwski wykreślił się sam z grona polskich pisarzy, nie powinien mieć wciąż mocy obowiązującej, a w każdym razie nie może oznaczać wyroku skazującego dzieła tegoż na wieczną banicję. Skiwski nie był wprawdzie pierwszoplanową postacią przedwojennego życia literackiego, ale odgrywał w nim rolę dość znaczącą, był też z pewnością publicystą, mającym odwagę myślenia (i pisania) „pod prąd”. Na retoryczne (bo opinia autora w tej mierze jest oczywista) pytania kończące szkic Urbanowskiego: „Czy [...] potrafimy na chwilę zapomnieć o jego zdradzie i przypomnieć Skiwskiego — krytyka literackiego? Czy jest to możliwe? Czy warto [...]?” można — nawet nieco na wyrost — odpowiedzieć twierdząco. Rzecz jednak w tym, że upominający się o to tekst w »Arce« wcale do wysiłku takiego nie zachęca. O ile bowiem artykuł ten trudno traktować jako „rehabilitację kolaboranta” *sensu stricto*, to jednak jest w nim zbyt wiele miejsc dwuznacznych i argumentacji wątpliwej, aby można go było uznać za próbę naprawdę uczciwego uporania się z problemami, przed jakimi stanął autor. Zresztą i sam cel, jaki sobie wyznaczył, nie jest do końca jasny. Ma nim być — jak wolno sądzić — swego rodzaju „oczyszczenie pola” do rozmowy o Skiwskim-krytyku i publicyście. Ale o tym dowiadujemy się ze szkicu niewiele. To bowiem, co z twórczości jego zostaje przypomniane, służyć ma przede wszystkim uwiarygodnieniu tezy, iż Skiwski „zdrajca” nie jest postacią aż tak paszkodną, jak się sądzi. W o wiele mniejszym stopniu idzie natomiast o udowodnienie, że Skiwskim jako literatem zajmować się — mimo wszystko — należy. Cóż bowiem z tego, że Urbanowski, apelując o oddzielenie fragmentu biografii Skiwskiego od jego działalności pisarskiej, przywołuje w sukurs nazwiska Céline’a, Hamsuna czy Pounda (a można do nich dorzucić wiele innych — naukowców, myślicieli, pisarzy i artystów — o życiorysach z różnych względów wstydliwych), kiedy nie stara się nawet przekonać, że umieszczenie Skiwskiego-twórcy w ich sąsiedztwie jest, nawet przy zachowaniu właściwych proporcji, w ogóle zasadne. Przywracanie Skiwskiego polskiej myśli krytycznej należałoby wszak zacząć od jej bezpośredniego zareklamowania. Nie wystarczy parę czy paręnaście zdań typu: „A przecież był to pisarz ceniony [...], uczestniczył

w wielu ciekawych dyskusjach literackich Dwudziestolecia, był partnerem polemik Boya, Irzykowskiego czy Czernika, cenili jego szkice Fryde, Maśliński i Kuryluk.” Miast owego powoływania się na osoby trzecie, lepiej byłoby może przywołać jeden czy dwa teksty Skiwskiego i opatrzyć je rzeczowym — dotyczącym i osoby, i pisarstwa — komentarzem. Nic nie wydaje się stać temu na przeszkodzie, tak jak nikt nie może dziś wzbronić wydania choćby *Na przelaj*, jakkolwiek wolno sądzić, że książka ta znalazłaby się pewnie na cenzorskiej liście poznańskiego ZCHN-u.

Szkic Urbanowskiego jednak, wbrew swym intencjom, do zajęcia się Skiwskim-publicystą specjalnie — jak się rzekło — nie zachęca. Odwrotnie, wzmaga opór i irytację. Z pozoru jest to szkic uczciwy i niestronniczy, nie zataja się tu wszak żadnych drastycznych a niesławnych poczynań bohatera, nie ukrywa się potępiających sądów o jego działalności, jakie zgodnie formułowali ludzie różnych światopoglądów i orientacji, zarówno w kraju jak na obczyźnie, nie przekonuje się ani o tym (nie byłoby to zresztą możliwe), iż taktyka przyjęta przez Skiwskiego była słuszna, ani że jego poglądy dają się obronić. Pada tu wielokrotnie słowo „zdrada”, chociaż ironia tytułu znacznie sens tego pojęcia osłabia, a kwestionują go dodatkowo rzucone mimochodem zdania: „W naszej narodowej tradycji [...] zdrajcy nie przysługuje współczucie i zrozumienie. Główne role w naszych narodowych dramatach odgrywiają jasne postaci Bohaterów, a ciemny, przyczajony gdzieś z boku Zdrajca nie budzi nigdy sympatii [...]. Zdrajca tylko rozjaśni blask bijący od Bohaterów i pozwoli zabłysnąć naszej cnocie pełnią chwały”.

Sarkazm niby nie bezpodstawny. Jednak już w tym zakwestionowaniu czy delikatnym wykpieniu owej opozycji — będącej wprawdzie źródłem wielu polskich mitów, lecz w latach okupacji zasadnej i podstawowej — zawarta jest pewna manipulacja, która cechuje cały artykuł tak z pozoru bezstronny. Manipulacja dotycząca i niektórych faktów, i — co wyraźniejsze i dotkliwsze — ich interpretacji, istotne bowiem stają się (wbrew autorskim sugestiom) nie takie czy inne postęпки i wybory Skiwskiego, lecz to, co te postęпки i wybory (oczywiście także w ocenie Urbanowskiego naganne) w jakimś stopniu usprawiedliwia. A usprawiedliwić mogą je po pierwsze: bezinteresowność („dla świadka wydarzeń dowodem swojej bezinteresowności autora *Czadu* była jego nędza, tak w roku 1941, jak w 1944”); po wtóre: typowa dla prawdziwych „klerków” wierność własnym wcześniejszym przekonaniom; po trzecie wreszcie: sytuacja

zewnątrzną, która przekonaniom tym nie tylko nie zaprzecza, ale w nich utwierdza.

W dyskusję o tym, czy Skiwski działał w czasie wojny bezinteresownie czy też nie, wdawać się nie warto; można jedynie mieć do Urbanowskiego pretensje, iż nad opiniami odmiennymi przechodzi zbyt łatwo do porządku (czemu na przykład powtarza, że o bezinteresowności tej świadczy m. in. fakt, iż Skiwski nawiązał współpracę z okupantem wówczas, gdy nadzieje na zwycięstwo Niemców były już niewielkie, skoro sam pisze w innym miejscu, iż Skiwski w zwycięstwo to wierzył do ostatka, co potwierdzają sądy współczesnych? Czemu odrzuca najpierw jako zbyt hipotetyczną i mało konkretną sugestię żony pisarza, która — jak zeznawał Kazimierz Wyka — twierdziła, że jego okupacyjnym życiem kierowała przede wszystkim nieodparta pasja pisania i drukowania o wymiarach wręcz chorobliwych?). Nie warto wdawać się w te rozważania z powodu braku konkretnych argumentów. Dywagacje na temat szlachetności bądź nie czyichś intencji mogą być interesujące i owocne tylko wówczas, gdy ich tematem są rozważania nad naturą ludzką, nie zaś ocena postępów nie bez powodu uznanych za haniebane. W tym ostatnim przypadku powoływanie się na czyjaś „bezinteresowność” stwarzać może co najwyżej wrażenie, iż wyznaje się pogląd, że kiedy zło wyrządza nie karierowicz, konformista czy sadysta, lecz „ideolog”, należy przy ocenie tego zła stosować swoistą „taryfę ulgową”. Tym bardziej, gdy to, co zda się złem dla innych, nie wydaje się złem, lecz dobrem w oczach tego, co do niego przykładą ręki. A tak właśnie przedstawiony jest tu Skiwski; wedle opinii większości „zdrajca” wprawdzie — ale w swej „zdradzie” „klerk heroiczny”.

Do motywu „klerka” powraca Urbanowski wielokrotnie. „Klerk — jak swą postawę określał Skiwski — winien zazdrośnie strzec swego prawa do niezależności intelektualnej, prawa do głoszenia poglądów wbrew opinii większości, zwłaszcza zaś elit. Klerk jest *outsiderem* w świecie elit. Jego znakiem jest herezja” (s.138). „Ten swoiście pojmovany patriotyzm, ta wierność wobec własnej herezji czyniły Skiwskiego w oczach środowiska literackiego, a potem już całego społeczeństwa, osobą podejrzaną, napiętnowaną najpierw niesławą kolaboracji, a potem otwartej zdrady” (s. 146). „Ale czy zbrodnia Skiwskiego nie była przede wszystkim zbrodnią heretyckiego i osobnego myślenia?” (s. 149) itd., itd.



Z pozoru zgadza się wszystko. Współpraca Skiwskiego z Niemcami nie stała w sprzeczności z jego wcześniejszymi fascynacjami ideologicznymi. Odwrotnie. Jeśli nawet początkowo zmieniał w jakimś stopniu światopoglądowe opcje, a przynajmniej publicystyczną przynależność (od »Myśli Narodowej« do »Wiadomości Literackich« i »Pionu«), to co najmniej od połowy lat trzydziestych krystalizowała się, z jednej strony, jego niechęć do Sowietów (a szerzej i Rosji; już w 1933 roku pisał przy okazji rozważań o Dostojewskim: „Gdyby świat wyglądał tak jak Rosja opisywana przez Rosjan, lepiej byłoby umrzeć”), z drugiej — fascynacja faszyzmem, najpierw w jego włoskim, potem niemieckim, a także — w pożądanym — polskim wydaniu. Faszyzm zachodni był wszak dla niego ucieleśnieniem niezbędnego ładu i porządku, zupełnie inaczej niż komunizm radziecki — symbol przemocy i rozkładu. Ten ostatni był mu wstrętny nie tylko ze względów ideologicznej, ale i estetycznej natury. Na marginesie uwag o *Problème du communisme* Bierdajewa pisał Skiwski, trafnie zresztą, o „wyjątkowej brzydocie komunizmu. Zazwyczaj mówi się o jego okrucieństwie. Ale kto wie, czy nie gorszą, bo trwalszą i nieuleczalną, jego cechą jest brzydota [...], obcość wszystkiemu, co jest pięknem, lekkością, wdziękiem” związana z komunizmem „tak samo ściśle jak liturgia katolicka z religią katolicką” (w: *Na przelaj*).

Od 1937 roku — kiedy to zresztą wyrażał pełne poparcie dla OZON-u i jego przywódcy Adama Koca — narasta jego antysemityzm (choć, jak zapewnia Urbanowski, „Skiwski nie zaskakiwał jakimś szczególnym na ówczesnym tle »żydożerstwem«”); w roku 1939 bierze udział w kampanii przeciw »Wiadomościom Literackim«.

Tak więc wolno istotnie powiedzieć, że lata wojny — choć burzyły nadzieje Skiwskiego na zbudowanie totalizmu rodzimego — nie stawiły go przed koniecznością rewidowania czy wyrzekania się swych poglądów, do czego musiałoby dojść, gdyby znalazł się on we wrześniu 1939 na przykład na terenie Lwowa. Wolno nawet powiedzieć, że nie rewidując — w przeciwieństwie do wielu onegdajszych nacjonalistów i nieco abstrakcyjnych zwolenników faszyzmu — swych „przedwojennych ideałów”, jak to określa Urbanowski, zrealizował w stopniu wydawałoby się wręcz doskonałym owe cele, które w roku 1927 stawiał przed „klerkami” Benda. Za jedyne prawo uznał wszak swoje przemyślenia. Między nim a jego prawdą nie stanęły „żadne względy utylitarne, uczuciowe czy instynktowne”; dwa ostatnie w każdym razie na pewno.



Tyle tylko, że tak pojęta zasada „wierności sobie” (której realizacją sam Benda zapewne by się nie zachwycił) czyni z owej „wierności” nazbyt już abstrakcyjną wartość. Kiedy bowiem przywołuje się ją nie dla przypomnienia o obowiązku „osobnego”, gdy trzeba, myślenia bez względu na osobiste koszty, ale dla usprawiedliwienia całkowitej obojętności na ludobójstwo, przemoc, niesprawiedliwość etc. — budzić musi nie podziw, lecz odrazę.

A cały szkic Urbanowskiego (powołującego się wciąż na „realizm” Skiwskiego, czyli skłonność do myślenia wynikłego z analizy konkretnej rzeczywistości) w ogromnym stopniu od grozy rzeczywistości okupacyjnej abstrahuje. „Zdrada” Skiwskiego opisywana jest tak, jakby stanął on po stronie — niemiłego wprawdzie innym, lecz bliskiego sobie ideowo — „okupanta” w sytuacji względnie normalnej, bez obozów zagłady, ulicznych egzekucji, bestialstw Gestapo.

W uwolnionej od owych drastyczności hitlerowskiej okupacji łatwo jest oczywiście przywołać jako argument rozstrzygający — Katyń. Pisze Urbanowski: „Dziesiątego kwietnia 1943 roku pisarz znalazł się bowiem na pokładzie samolotu, którym leciała do Smoleńska pierwsza polska ekipa [...] Po wizycie w Katyniu [...] wbrew wyraźnym zakazom podziemia zgodził się udzielić krótkiej wypowiedzi gadzinowemu »Nowemu Kurierowi Warszawskiemu«. Wyznał: »Byłem przygotowany na najgorsze [...] ale to, co widziałem, to straszliwe oskarżenie bolszewizmu, przekraczające swą grozą najśmielszą fantazję«. Katyń jest zapewne jednym z bodźców pchających Skiwskiego do inicjatywy, która jednoznacznie pogrąży go w oczach opinii publicznej”.

O niemoralności przeciwstawiania „mniejszego zła” w postaci zbrodni hitlerowskich „większemu”, czyli sowieckiemu złu, napisano już wystarczająco dużo (i bez skutku), aby do owej oczywistości powracać. Przypadek Skiwskiego nie był zresztą ani przypadkiem Józefa Mackiewicza, ani Ferdynanda Goetla; jego współpraca z Niemcami w latach 1944–1945 nie była już tylko elementem propagandy antybolszewickiej, lecz czynnym włączeniem się w propagandę prohitlerowską<sup>1</sup>. Być może istotnie wierzył

---

<sup>1</sup> Józef Mackiewicz uważał zresztą, że te dwa rodzaje zaangażowania są ze sobą sprzeczne, zwracając uwagę nie tyle na nieetyczność działań typu Skiwskiego, co na ich wątpliwy skutek: „Wszystko, co piszą Niemcy lub pozwalają pisać pod swą cenzurą, jest przez 99% Kraju czytane na opak, przeto uprawiając propagandę antysowiecką sprowadzają ją do

— o czym pisał we wspomnianym już memoriale do Buhlera — że po skończeniu wojny zwycięskie Niemcy z „narodu panów” przekształcą się w „naród wodzowski”, chcący harmonijnie współpracować z narodami „młodszyi cywilizacyjnie”, z tymi rzecz jasna, które godne są współpracy, i oczywiście — aryjskimi. Być może sądził, że dla takiego rozwiązania nie ma alternatywy innej niż doprowadzająca do zagłady Europy ewentualna wygrana Związku Radzieckiego i że świadomość owego braku alternatywy sprawi, iż uda się zapomnieć o wojennych okropnościach oraz spać spokojnie z powodu wydarzeń tak błahych, a może i koniecznych, jak eksterminacja Żydów. Być może w końcu ta jego wiara i wynikające z niej życiowe decyzje nie miały żadnego praktycznego znaczenia ani dla losów poszczególnych osób (co wszak niepewne), ani też świata. Przecież, jak pisze Urbanowski, „jego koncepcje nie zyskały żadnego odzewu w społeczeństwie i były całkowitym fiaskiem politycznym. W istocie Skiwski nikomu nie zaszkodził”. A skoro tak, nie ma znów o co tak bardzo kruszyć kopii.

Ale jeśli nawet wszystkie te „być może” są prawdą, to przecież niepodobna przejść do porządku nad sposobem rozumowania, które dopuszcza do ważenia na szalach dwu zbrodni po to, aby jedną usprawiedliwić przy pomocy drugiej. Albo zbrodniczość drugiej w ogóle przemilczeć.

Maciej Urbanowski swego bohatera nie rozgrzesza wprost argumentem „katyńskim”. Pisze: „Tak w świetle okupacyjnego wymiaru sprawiedliwości, jak i zwłaszcza polskiego kodeksu etycznego, postępowanie pisarza było szczególnie ciężkim wykroczeniem”. Wolno mniemać, że zgodziłby się z tym, iż nie tylko o wojenny i polski kodeks tu chodzi.

Autor *Bohaterów i zdrajcy* nie może jednak nie zdawać sobie sprawy, że dla sporej części czytelników (zwłaszcza tych, co okupacji hitlerowskiej nie doświadczyli na własnej skórze) tłumaczenie „sprawy Skiwskiego” „sprawą katyńską” czy szerzej „sowiecką” wydawać się może właśnie argumentem uniewinniającym. Albowiem „antykomunizm” i „antybolszewizm” stały się wszechsprawiedliwiającymi kategoriami moralnymi i politycznymi, a przymiotnik „antykomunistyczny” nobilitować winien wszystko. Tak jakby słuszne potępienie „najlepszego z ustrojów” wynikało nie z odrazy do zbrodni, niesprawiedliwości, obłudy, zniewolenia,

lecz ze szczególnej awersji do słowa, które samo w sobie nie oznacza jeszcze ani zbrodni, ani niesprawiedliwości, ani obłudy, ani zniewolenia. Albowiem, tak jak niegdyś dobra była tylko „demokracja socjalistyczna”, tak dziś naprawdę godne potępienia zda się tylko to, co „komunistyczne”<sup>2</sup>. Świadczą o tym wciąż nowe przykłady, by przywołać choćby — już nie rehabilitację — a wręcz apoteozę NSZ, organizacji, której dzieje trzeba po latach milczenia oczywiście „odkłamać”, ale niekoniecznie poprzez ryczałtowe wynoszenie na pomniki i przymykanie oczu na gwałty, których ponad wszelką wątpliwość dopuszczono się tu i to w sposób okrutny.

Artykuł o Skiwskim jest do tego wszystkiego zaledwie przyczynkiem. Trudno zresztą powiedzieć, czy tendencyjnym, czy tylko wynikiem z bardzo dziś rozpowszechnionej mody na całkowity ahistoryzm myślenia<sup>3</sup>. Poglądy autora nie zostały wyłożone nigdzie wprost, trudno więc o polemikę z nimi. Idzie tu raczej o pewne, dość niestety jednoznaczne, sugestie. Zdają się one tym bardziej wątpliwe, że dwumiesięcznik »Arka« nie zwykł zaglądać do dusz i badać czystości intencji swych antybohaterów — a już zwłaszcza okazywać im „litości i współczucia” — nawet jeżeli należą do nich pisarze o biografii mniej od Skiwskiego wstydlivej. Trudno nawet wyobrazić sobie, co pomyślano by tu o próbie naszkicowania „obiektywnego” portretu, na przykład, polskiego komunisty (a choćby i lewicowca), który wierzył bezinteresownie — z wiernością klerka —

---

<sup>2</sup> Ów „antykommunizm”, polegający na dostrzeganiu prawdziwych zbrodni tylko w zbrodniach komunizmu, idzie w parze z drugą, równie paranoiczną „antykommunistyczną” tendencją, polegającą — paradoksalnie — na mimowolnym „pacyfikowaniu” i pomniejszaniu grozy tych zbrodni. Jak bowiem nazwać uporczywą skłonność do porównywania dzisiejszego ustroju z ustrojem peerelowskim i to w jego najgorszej fazie, działań rzeczownika praw obywatelskich do działań stalinowskich, nazywanie obecnych „prześladowań” Kościoła gorszymi od komunistycznych itd., itd.?

<sup>3</sup> A o tym „ahistoryzmie” przesądza w tym przypadku nie tylko abstrahowanie od grozy okupacyjnej rzeczywistości, lecz i sprawy znamienne, choć mniejszej wagi. Jak choćby przywoływanie poglądów formułowanych przez Skiwskiego na początku lat trzydziestych dla określenia sytuacji wojennej, czy interpretacja jego zastrzeżeń wobec powstania warszawskiego, tak jakby refleksje te spisywane były nie w dniach agonii powstania i to w dodatku w piśmie finansowanym przez Niemców. Owo „nie wypada”, które zabraniało wtedy mówić o bezsensownej ofierze i „setkach Polaków ginących na ulicach” — nie wynikało przecież wówczas ani z towarzyskiego konwenansu, ani tym bardziej z chęci „zrobienia przyjemności paru kalkulatorom politycznym z Londynu i zgrai moskiewskich łobuzów”, jak pisał w *Przełomie* Skiwski.

wiedząc w dodatku o okropnościach koncentracyjnych obozów — że komunizm jest „mniejszym złem” niż hitleryzm, a w dodatku dawał wyraz tej wierze w finansowanym przez Rosjan pisemku, potępiającym w ramach rozsądku i w imię „narodowego ocalenia” powstanie warszawskie w sam przeddzień jego upadku.

Może jest zresztą w tym wszystkim zrozumiała psychologicznie odwet na ideologii, która ciążyła na powojennych losach Polski najbardziej niepodzielnie i najdłużej. Nie jest to wszakże usprawiedliwienie wystarczające, przynajmniej dla tych, co mają ambicję kształtowania opinii publicznej. Zwłaszcza, gdy sami czują w sobie powołanie „klerków heroicznych”. A na brak tychże uskarżać się dziś nie można.

[1993]

# Wirus socrealizmu

— Przyzna pan jednak, że większość owych straszliwych nadużyć została w Anglii zwalczona, a inne narody robią obecnie wiele, aby im zapobiec.

— Przyznaję. Czemu jednak ludzie są tylko trochę lepsi i trochę szczęśliwsi, aniżeli za czasów Aleksandra VI, nocy świętego Bartłomieja, Cromwella?

Wolter

Kiedy profesor Gil — jedyny spośród bohaterów Miłoszowskiego *Zdobycia władzy* — myśli o „dziewczątku” w czerwonym krawacie, córce dozorczy, największą przykrość sprawia mu pewność, iż „nie zrozumiałaby go, gdyby jej mówił, że nowy świat, w który wierzyła, jest dlatego światem okrutnym, iż brak mu szacunku wobec złożoności człowieka, szacunku, który być może winien nazywać się pobożność”.

Dziewczątka i chłopców w ZMP-owskich mundurkach już od dawna oglądać można tylko na plakatach sprzed lat przeszło czterdziestu. Skompromitowane zostały proste i straszne prawdy „nowej wiary”. Wielu z tych, którzy je głosili, przekonało się dotkliwie na własnej skórze, jak niebezpieczna jest pewność, że racja stoi tylko po jednej stronie, a ludzi wolno oblepiać etykietkami niczym słoiki w spiżarni. Upadło imperium stojące na straży tego, co wyłącznie słuszne. Zdawać by się mogło — i tak przecież sporej liczbie naiwnych do niedawna się zdawało — że zatriumfuje wreszcie szybko oraz mądrze tolerancja i pluralizm, a odzyskana z trudem „wolność słowa” pomagać będzie nie w łatwym nazywaniu świata, lecz w jego zrozumieniu. Że wreszcie świat ten ujrzyć będzie można z perspektywy szerszej i bardziej złożonej niż „pro” i „antykommunistyczne” getta, w których rozmawia się tylko z tymi, co myślą dokładnie tak jak my.

No cóż. Idealizacja rzeczywistości, o którą się walczy lub o której się marzy, jest rzeczą naturalną. Równie naturalnym jest rozczarowanie na-

stępujące po jej zwycięstwie. Przypadek tak zwanego „postkomunizmu” nie jest w tym względzie żadnym historycznym ewenementem. Na zjawiska, które wydają się szczególnie drastycznym zaprzeczeniem onegdajszych wyobrażeń, trzeba więc z pewnością patrzeć z dystansem. Część zjawisk ulegnie być może jeszcze bardziej złowrogiej eskalacji, ale o większości będzie można w ogóle zapomnieć. A jednak obserwując niektóre objawy tak zwanego życia umysłowego w Polsce nie sposób oprzeć się zdumieniu i irytacji, które odczuwamy wobec wystąpień i działań wielkiej liczby tak zwanych polityków.

Nie bez powodu zresztą. Zbieżność między myśleniem określanym u nas mianem „politycznego” (choć w istocie jest wzorcowo niepolityczne) a sądami formułowanymi niekiedy przez profesorów-humanistów, znanych eseistów, krytyków i historyków literatury jest chwilami przerażająca. I nie idzie tu nawet o zbieżność myślenia, lecz sposób jego wyrażania. O ów dość niestety częsty ton arogancji, apodyktyczności, megalomanii, która uprawnia do opatrywania przeciwnika etykietami wskazującymi na jego absolutną intelektualną i moralną niższość. O skłonność do wsłuchiwania się jedynie w głos własny. A także o — rzadką jeszcze, lecz widoczną — manipulację faktami oraz cudzymi poglądami, przywołującą chwilami pamięć o najgorszych latach peerelu.

Objawia się bowiem u niektórych publicystów coś, co nazwać można w pewnym uproszczeniu syndromem socrealistycznym. Socrealistycznym a nie stalinowskim — co podkreślam, aby nie być oskarżoną o to, iż dzisiejszą rzeczywistość przyrównuję do epoki łagrów, tortur, bezprawnych wyroków śmierci. Idzie po prostu o pewien generalny myślowy stereotyp, który towarzyszył krytyce i publicystyce, uznanym słusznie za patologiczne. Potępienie patologii w odniesieniu do przeszłości niekoniecznie (jak się okazuje) chroni przed — mniej z pewnością groźną, ale nie nieszkodliwą — mutacją tej choroby.

Jej objawy są powszechnie znane. A więc podział świata wedle dwóch tylko kolorów, formułowanie wniosków nie w oparciu o stan rzeczywisty, lecz założoną przez się tezę, wspierania ich wyrwanymi z kontekstu lub wymyślonymi zgoła „cytatami”, łatwość uogólniania, wreszcie insynuacja. Cały ten arsenal — będący skądinąd w stałym użyciu u polityków — coraz częściej prezentowany bywa na łamach periodyków, określanych niegdyś mianem „literackich” albo „społeczno-kulturalnych”. Co gorsza, posługują się nim dość chętnie ludzie pióra toczący nie tak dawno

z podobnymi praktykami zaciętą walkę, a dziś przejmujący nawet wczorajszy język. Oto Jacek Trznadel pisze o Adamie Michniku jako o przedstawicielu tej części opozycji, „którą stanowią kolaboranci z ideologią komunistyczną” („na tym tle postawa jego jest typową postawą trockistowską”), „pragnącym przyznać komunizmowi »prometejski« charakter”) i „zaprzęgającym do swego działania grupę dziennikarzy, którzy poszli na dzieło prowokacji” (»Puls« nr 56). Oto Andrzej Nowak, redaktor naczelny głównego krakowskiego literackiego periodyku »Arka«, pisze o »Gazecie Wyborczej« i »Tygodniku Powszechnym« jako o tych, co „przygotowali ostateczną sentencję moralną *Stanu Wojennego*: niechaj ofiary poproszą o wybaczenie swoich oprawców”<sup>1</sup> (nr 39–40). Oto redakcja tegoż pisma komentuje decyzję Leszka Kołakowskiego o wystąpieniu z Rady Patronackiej »Arki« (w związku z oświadczeniem redakcji w sprawie „agenturalnego zamachu” na rząd Olszewskiego) jako włączenie się „nie po raz pierwszy, do potężnego chóru, który dysponuje głównymi ośrodkami masowej komunikacji w Polsce”, usiłując w ten sposób „zmonopolizować racje moralne i intelektualne dla jednego, rządzącego dziś w Polsce obozu” (nr 41).

Egzemplifikacji nie warto mnożyć<sup>2</sup>, zapewne w ogóle należałoby je pominąć milczeniem — wszystkie mają wszak wyraźny podtekst polityczny. Ale rzecz dotyczy także literatury. Weryfikacje dokonywane na tym terenie — choćby w osławionych już podręcznikach szkolnych — pozwalają patrzeć z nadzieją w przyszłość, w której tak jak niegdyś wszystko zostanie pod względem moralnym, ideowym i artystycznym pokwalifikowane, a co więcej owo „wszystko” ograniczyć będzie można do nie nazbyt rozległego wyboru dzieł, które przejdą zwycięsko próbę właściwych wartości.

---

<sup>1</sup> Chodzi o książkę W. Jaruzelskiego, *Stan Wojenny. Dlaczego...*, BGW, Warszawa 1992.

<sup>2</sup> A mnożyć by je można dość długo. Sama też padłam ofiarą tego typu polemiki, gdy na przykład mój sąd (»Puls« nr 57, lipiec–sierpień 1992), iż Kongres Intelektualistów we Wrocławiu (w którym — co jest faktem — uczestniczyło sporo autentycznych, a nie mianowanych intelektualistów) nie jest jedynym symbolem zachowania tychże w PRL-u, bo była ogromna liczba intelektualistów, którzy na żaden kompromis nie szli, został zinterpretowany jako „obrona potiomkinowskiej wsi” i to obrona bez pamięci o „ofiarach, które z grobu wstać nie mogły” (E. Morawiec, »Arka« nr 42, 1992).



Dorobek krytyczny w tym zakresie jest już spory, choć nie każdy „weryfikujący” tekst odznacza się logiką i precyzją właściwą na przykład rozważaniom Wiesława Pawła Szymańskiego o Dąbrowskiej (*Maria Dąbrowska — uroki dworu*), snutym na łamach czterdziestego drugiego numeru »Arki«. Wszystko w tym szkicu układa się w przekonywającą moralnie konstrukcję, wykazującą dobitnie, jak jeden grzech pociąga za sobą grzech drugi i następne. A więc „nie uporządkowane życie erotyczne” rodzić musi miłość do totalitaryzmu (choć w tym jednym przypadku skutek można wziąć za przyczynę), skłonność do „europejskiego liberalizmu” owocuje brakiem busoli etycznej, narcyzmem oraz zajadłością („za maską libertynizmu w życiu osobistym kryje się niekiedy, jeśli nie zwykła ludzka głupota, to — o paradoksie — wykrzywiona nienawiścią twarz dogmatyka”). Przyjaźń z „Wielkim Mistrzem w wolnomularstwie” Stanisławem Stempowskim<sup>3</sup> powoduje skrajny antyklerykalizm, bowiem nawet „ludowa mądrość mówi, że antyklerykałami są przede wszystkim Żydzi i masoni” itd., itd.

Grzech jest przy tym zawsze grzechem niezależnie od tego, czy objawia się, czy też nie, poprzez działania. Bywa, iż w tym drugim przypadku jest grzechem szczególnie ciężkim. W tym sensie „nekrolog”, którym Dąbrowska oplakiwała w roku 1953 śmierć Stalina uznać można jedynie za drobną przewinę wobec machiavellicznego trzymania się na uboczu „dworu” w latach poprzednich. Bowiem owa (pozorna) niezależność była „tym niebezpieczniejsza i tym bardziej niemoralna”, iż w istocie oznaczała do „dworu” tego miłość „w jakimś sensie zdemaskowaną, dalece utajnioną”.

Tekst Szymańskiego mógłby więc być — w swojej klasie — tekstem wręcz instruktażowym nie tylko dla biografów i interpretatorów tekstów literackich i wspomnieniowych, ale i dla ideologów mających ambicje kreowania pełnej dogmatycznych podskórnych napięć wizji świata. Nie

---

<sup>3</sup> Stempowski (w którego bezwzględną prawosć nikt — o ile wiem — do tej pory nie wątpił) obrywa w tym tekście nie tylko jako mason. Szymański przyznaje wprawdzie, iż to on „hamował miłość” autorki *Nocy i dni* do „zaistniałego w Polsce komunistycznego systemu”, ale w chwilę potem dezawuuje tę opinię, stwierdzając, iż fakt, że Dąbrowska za życia Stempowskiego nie była „na dworze” wynikać mógł stąd po prostu, iż przestrzegające moralności socjalistycznej władze mogły ich tu nie tolerować ze względu na nielegalność ich związku.



przeszłego już tylko, lecz i współczesnego, „trochę tylko lepszego” i „trochę tylko szczęśliwszego” od tego, co odszedł w niebyt.

Bo choć światem tym nie rządzi już fizyczna przemoc i niemal każdy ma w nim prawo do publicznej samoobrony, to nadal władza nim obezwładniający psychiczny szantaż. I w tym punkcie szkic Szymańskiego spotyka się z innymi traktującymi obecną rzeczywistość jako teren podatny dla działań zorganizowanego i wpływowego wroga.

Kompleks wroga rodzą, z jednej strony, dawne przyzwyczajenia (choć tym, co mu ulegają, geneza taka wydaje się nieprawdopodobną i obraźliwą), z drugiej, frustracje bardzo świeżej daty. W demonstrowaniu owych kompleksów przoduje po zastąpieniu na stanowisku naczelnego Ryszarda Legutki przez Andrzeja Nowaka — »Arka«. Wróg ma swe zarazem mgliste i sugestywne imiona: „zainstalowana przy Okrągłym Stole lewica” (J. Bartyzel, nr 39–40), „warszawskie centrum »europejskich intelektualistów«” (W. P. Szymański, nr 42), „Latający Uniwersytet Wszechwiedzy”, którego członkami są „lewicowe elity” (E. Morawiec, tamże), kontynuatorzy „płytkości duchowej formacji Boya” oraz »Wiadomości Literackich«, wylęgarni późniejszych największych serwilistów (J. Prokop, tamże). Ów wielo-, a właściwie jednoimienny przeciwnik ma realną i niebezpieczną moc oddziaływania i niszczy wszelką wartość i myśl od siebie niezależną. Nie przez przypadek „warszawskie centra” (czemu tylko warszawskie?, wszak groźny »Tygodnik Powszechny« jest pismem równie krakowskim co »Arka«) nazywa się „mafią”. Istnienie mafii wywołuje zaś u tych, co do niej nie należą (a kto przynależy, decyduje redakcja) zrozumiałe uczucie osaczenia.

Kiedy więc Szymański, wspiera swój pogląd o źródłach antyklerykalizmu Dąbrowskiej „ludową mądrością” o Żydach i masonach zaraz dodaje: „Ci, którzy powołują się w tym wypadku na mądrość ludową, mają zagwarantowaną etykietę »antysemita« i »faszysta«”. Kiedy kręci nosem nad nazbyt rozwiązłym życiem swej bohaterki, ma świadomość podjętego ryzyka: „Gdybym powiedział, że współżycie z kochankiem (kochanką) [...] jest niemoralne, nieetyczne, zostałbym natychmiast przez europejskich intelektualistów w Polsce [...] na zawsze zamknięty w opłotkach [...] Ciemnogrodu. W najlepszym wypadku jakiś rzecznik Praw Obywatelskich (a co jeden to lepszy) wniósłby pozew o naruszenie prywatnej wolności”. Świadomość pełnego bohaterstwa mieli też »Arkowi« sygnatariusze listu protestującego przeciw odwołaniu rządu Olszewskiego; je-

szcze w najnowszym numerze tego pisma Elżbieta Morawiec nazywa jednego z nich, Zbigniewa Herberta, „samotnym obrońcą walczącym z mafią”, choć, jak doniosła z dumą wcześniej redakcja, podpisów pod oświadczeniem było kilkaset. Poczucie absolutnego wyobcowania i zepchnięcia na margines („dzikości” i „prostactwa”) mają uczestnicy dyskusji z czterdziestego drugiego numeru: *Czy można nie być nowoczesnym?*, czyli — między innymi — uznawać podział na dobro i zło nie podlegający żadnym relatywizacjom. Poczucie to jest u większości tak silne, że pozwala zlekceważyć rozsądne spojrzenie biorącego udział w rozmowie Ryszarda Legutki, iż „spór dotyczy kwestii fundamentalnych. Gdybym mógł doradzić coś panom, którym leży ten problem na sercu, to można coś zmienić [...] uderzając gdzie indziej. Nie w »Gazetę Wyborczą«, czy w konkretnych ludzi, czy partie (np. Unię Demokratyczną), ale tworząc kulturę, tworząc pewien system myśli”.

Fakt, iż owa mądra zasada — do której zresztą Legutko w swojej eseistyce na ogół się stosuje — zostaje zbagatelizowana, jest zrozumiałą: łatwiej wyliczać rzekome ośrodki hamujące rozwój zdrowych idei, niż samemu owe idee przekonywająco i bez zacierzenia sformułować i przedstawić. Nikomu z „osaczonych” nie przychodzi przy tym do głowy, iż terror (jeśli istnieje) jest co najmniej dwustronny. Przykro jest co prawda czuć się „prostakiem” i „dzikiem”, ale równie nieprzyjemnie jest występować w roli interesownego — w imię interesu rządzących elit — pogromcy owych „prostych” i „dzikich” (czytaj „prawdziwych”) wartości, i to w dodatku pogromcą silnym jedynie zapleczem mafii, którą od czasu do czasu wolno nazwać po prostu — bardzo rzecz jasna, tolerancyjnie, pluralistycznie, po chrześcijańsku i narodowo — mafią agentów<sup>4</sup>.

---

<sup>4</sup> Cel działalności owych agentów czyli wszystkich, którzy mieli zastrzeżenia do sprawowania rządów przez Olszewskiego, a zwłaszcza przez jego ministrów (i chodzi tu nie tylko o sposób prowadzenia lustracji) określany jest jasno. Jest nim ochrona zbrodniarzy i likwidacja pamięci o ich ofiarach. O logikę (która winna wszak cechować redaktorów i autorów literacko-filozoficznego pisma) się tu nie dba. Sejm zatwierdzający ustawę lustracyjną składa się ze „swoich”, którzy natychmiast po głosowaniu nad odwołaniem rządu zamieniają się w plugawych „obcych”, znajdujących swych rzeźników w szantażystach typu Kołakowskiego i jemu podobnych. »Arka« musi więc stwierdzić z heroizmem i honorem: „nam temu szantażowi poddać się nie wolno” (nr 41, 1992). Na niesłusznie w całej tej akcji oskarżonych można w imię miłości bliźniego po prostu machnąć ręką.

Dość zabawny — choć może należałoby raczej użyć przymiotnika „tragikomiczny” — jest przy tym fakt, że większość tych, co lękają się jak diabła „europejskich liberałów”, kiedyś występowała w ich obronie. Dziś samo pojęcie „Europa” przeciwstawione jest przez wielu z nich pojęciu „Polska” z taką zawziętością, jaką okazywali w stosunku do „Zachodu” propagandziści obozu „ludowej demokracji”. Tyle że „europejski liberal” nie oznacza już imperialistycznego antykomunisty, a odwrotnie, kogoś bardzo bliskiego (choćby poprzez swój niewątpliwy brak zasad, relatywizm, „kosmopolityzm”) komunistycznej rodzinie. „Europejski liberal” jest wszak synonimem „lewicowca”, „lewicowiec” to w istocie „postkomunista”, „postkomunista” zaś — niezależnie od głoszonych poglądów, potwierdzonych nierzadko biografią — to ktoś, kto zagraża, jak wiadomo, wszelkim uniwersalnym wartościom, nie tylko tym zawartym w dekalogu, ale i tym, które łączą się na przykład z poczuciem patriotyzmu. Choć przemałowany — „europejski liberal” tak jak w PRL wydaje się głównym zagrożeniem państwa.

Trudno oprzeć się wrażeniu (towarzyszącemu nie tylko lekturze trzech ostatnich numerów »Arki«, ale i na przykład, numeru pięćdziesiątego ósmego »Pulsu«), że u źródeł owych obsesji oraz kategorycznych stwierdzeń tkwią nie tyle poważne przemyślenia i wyraźnie sformułowane światopoglądy, co ogromnie wyolbrzymione sentymenty i resentymenty, a także zdumiewająca u intelektualistów — by posłużyć się tym nienawistnym dzisiaj dla wielu słowem — niechęć do wyjścia poza własne myślowe podwórko. Niemożliwość zrozumienia, że wiara we własne wartości nie oznacza, iż wszystko, co poza ich obrębem, może być już tylko antywartością. A także, zrozumiały może u ludzi bardzo młodych, ale zawstydzający u dojrzałych, „brak szacunku wobec złożoności człowieka”, a także złożoności jego biografii, którą wyznacza wszak nie tylko jakiś bezwzględny kodeks moralny (choć i tak może się zdarzyć), ale i osobiste, i historyczne doświadczenia. Brak szacunku oraz brak ciekawości połączony z pogardą dla realiów — także tych peerelowskich, kiedy trochę co innego bywało odwagą i „podważaniem systemu” niż obecnie. Pozwala to formułować sądy i potępienia niezwykle sugestywne, lecz pozbawione istotnej wagi, demagogiczne. Rodzi się pięknie brzmiący maksymalizm etyczny — im dogmatyczniej przywoływany, tym bardziej jednak zawodny. Zamiast bowiem uwydatniać różnice między uczciwością i nieuczciwością, dobrem i złem, próbą — ułomną może — „wierno-

ści sobie” i konformizmem, różnice te zaciera. Jego efekt jest podobny do efektu Macierewiczowskiej lustracji.

Wszystkie te obsesje i rozrachunki są tym bardziej przygnębiające, że pozwalają przechodzić lekko i niezobowiązująco nad problemami naprawdę istotnymi. Jest niezwykle znamienne, że większość z nich tak chętnie odfajkowuje się przy pomocy sondaży, rankingów, ankiet, kierowanych w dodatku do przedstawicieli tych samych (nienajmłodszych już) pokoleń. Przybierająca na sile ankietomania sprzyja wszak umysłowemu lenistwu, powielaniu stereotypów, rzucaniu inwektyw nie popartych (bo po co) żadnym rzetelnym argumentem. W odpowiedzi na ankietę można, na przykład, umieścić Miłosza wśród producentów „odpustowych imitacji z plastiku” (H. Bereza; »Kultura« nr 7–8/1992), nazwać Wata „złomowiskiem, na którym walają się bryły szlachetnego kruszcu”, które nie mają zresztą żadnej wagi, skoro „w tej twórczości nie ma nic poza — niedokonaniami”, a Gałczyńskiego „starą kokotą tandetnie wysztafirowaną” (J. Sławiński, tamże) itd. Taka pryncypialność pozwala zachwycić się własną odwagą, stanowiącą przeciwwagę dla dawnej konwencji prawienia towarzysko-salonowych duserów. Większość ankiet ma zresztą charakter terapeutyczny, służy głównie poprawianiu dobrego samopoczucia. Pozwala odciąć się od brzydkich „niby intelektualistów” PRL-u (»Arka« nr 37–38) lub utwierdzić się, w łatwy sposób, we własnej racji w sporze z Jaruzelskim oraz Michnikiem (»Puls« nr 56). W owej psychoterapii nie biorą oczywiście udziału wszyscy respondenci, ale i tak wartość poznawcza ich wypowiedzi jest prawie żadna. I nie wynika to tylko z faktu, że głos w ankiecie za w s z e skazany jest z natury swojej na uproszczenia, bywały bowiem ankiety, z których wynikały wnioski sporej wagi. Było ich wiele w dwudziestoleciu, ale zdarzały się i w PRL-u, by przypomnieć ankietę ogłoszoną na początku 1955 roku w »Nowej Kulturze«, ankietę, która mimo nieefektownego pytania o najlepsze książki minionego dziesięciolecia stała się pierwszym zbiorowym „odwilżowym” głosem nie tylko w kwestii pisarstwa.

Wszystko to są zapewne sprawy marginalne. „Życie umysłowe” rozwija się w Polsce wprawdzie niemrawo, gdzieś na uboczu spraw, które zdają się (niekoniecznie słusznie) najważniejszymi, ale trudno powiedzieć, aby zamarło. Toczy się też innym w gruncie rzeczy torem i w innej poetyce niż ta, o której piszę. Nie brak przecież pism, pisarzy i publicystów (i to różnych orientacji artystycznych i politycznych) wolnych od

zacierzewień i frustracji. Co więcej — tak jak zdarzają się pośród nich tacy, którzy od czasu do czasu dają się ponieść jak najgorszym emocjom — tak samo wielu z tych, którzy zdają się w swej zaciekłości i obsesjach „nieprzemakalni” przemawia, i to nierzadko, w sposób „otwarty”, najdalszy od dogmatyzmu i urojeń. Można więc po prostu zlekceważyć to, „co gorsze”, ciesząc się „lepszym”. Ale tak już bywa, że największy rozgłos w każdej sferze zdobywają na ogół sądy ekstremalne. I one właśnie, zapewne niepotrzebnie, zaprzatają naszą myśl.

[1993]



## Czy warto pisać o socrealizmie?

„A więc książka o socrealizmie! Muszę się wytłumaczyć z podjęcia tego właśnie tematu, spotykałem się bowiem z apodyktycznie sformułowaną opinią, że czymś takim zajmować się nie warto. Otóż pozwałam sobie myśleć inaczej. Rzeczywiście, socrealizmem zajmować się nie warto wówczas, gdy naukę o literaturze [...] pojmuje się wyłącznie jako bezpośrednie mówienie o wartościach [...]. Socrealizm jest antywartością [...] Żywię jednak przekonanie, że tak aksjologicznie ukierunkowane pojmowanie nauki o literaturze to intelektualny luksus, na który trudno sobie pozwolić zwłaszcza w XX wieku, skoro tak wielką rolę odgrywają w nim różne totalizmy, nadużycia kultury masowej, propagandowe szaleństwa” — pisze we wstępie do swojej ostatniej książki Michał Głowiński<sup>1</sup>. Nie znajdzie ona pewnie aż tylu podekscytowanych czytelników, co jego prace o nowomowie (być może myślę się zresztą), jej wartość jest jednak nie mniejsza. Także dlatego, że jest jedną z najważniejszych prac na ten — również w moim przekonaniu — godny uwagi temat.

Z wielu powodów. Po pierwsze dlatego, że szkice te stawiają pewne ważne pytania, być może oczywiste, których jednak nikt jakoś wcześniej nie postawił. Po wtóre z tego powodu, że chociaż przedmiot badań uznany tu został za „antywartość”, konwencja jego opisu nie jest ani łatwo przesmiewcza, ani tanio moralizatorska. Po trzecie, bo pominięto tu zjawiska i nazwiska najmińsze, a zajęto się (poza szkicem poświęconym *Krótkiemu kursowi WKP(b)*, ale to inna historia) utworami — i to nie najbardziej ortodoksyjnymi — twórców wybitnych, znaczących lub bodaj (przykład Żukrowskiego) głośnych: Borowskiego, Kazimierza Brandysa, Andrzejewskiego, Ważyka, Szostakowicza, Panufnika, a w rozważaniach o „poezji i rytuale”, czyli wierszach ku czci Bieruta: Przybosa, Woroszył-

---

<sup>1</sup> M. Głowiński *Rytuał i demagogia. Trzydzieścioro szkiców o sztuce zdegradowanej*, Warszawa, Open 1992.



skiego, Tadeusza Kubiaka, Iwaszkiewicza, Kamińskiej, Ficowskiego, Międzyrzeczeko<sup>2</sup>. Po czwarte z tej przyczyny, iż postaci te przywołano (i tu ufać można całkowicie autorowi) „nie przez złośliwość czy po to, by rzucić ciemne światło na ich życie”, jak to czynili różni mali — typu Bratnego — „demaskatorzy” przypominający „złą przeszłość” artystom występującym później przeciw systemowi. Po piąte — ponieważ wydaje się, że wobec omawianych zjawisk i dzieł stosowano miarę surową, lecz sprawiedliwą; to ona właśnie kazała w biograficznej książce Panufnika dostrzec „bohaterski oportunizm”, by posłużyć się dawnym wyrażeniem Sandauera, a z wyznań Szostakowicza wydobyć prawdziwy dramat i karkotyczną „walkę o twarz”<sup>3</sup>. Po szóste wreszcie — z tego względu, że odłożono tu na bok jałowe rozważania, kto służył socrealizmowi z sercem czystym, choć naiwnym, a kto odwrotnie, i skupiono się głównie na faktach. To ostatnie jest szczególnie ważne, bo roztrząsania wyłącznie etycznej natury prowadzą z reguły do efektu, o którym mówił Zbigniew Kubiakowski: „My dotąd tylko wiemy, dlaczego każdy był w porządku. Ale nie, dlaczego wszystko było nie w porządku”<sup>4</sup>. Głowiński — jako jeden z nielicznych — koncentruje się na tej drugiej sprawie, oczywiście też nie wyjaśniając jej (czy to w ogóle możliwe?) do końca<sup>5</sup>.

---

<sup>2</sup> Jak pisze, na „liście tej” — tak bardzo kultowo dworskiej — „pojawia się jedno tylko nazwisko literata całkiem nieznanego [...] i dwóch autorów, którzy oddali swe pióra na usługi komunistyczne w ciągu dziesięcioleci (Gaworski, Koprowski)”, ss. 111–112. Jeśli idzie o analizowanie dzieła to — wbrew częstej praktyce — skupia się Głowiński raczej na ciekawszych niż najgorszych. W wypadku Andrzejewskiego na *Wojnie z zadufkami*, a nie Partii i twórczości pisarza, w wypadku Brandysa na *Obywatelach*, a nie na *Człowiek nie umiera*.

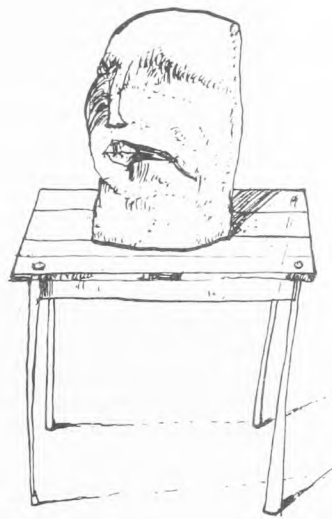
<sup>3</sup> A. Panufnik *O sobie*, Londyn 1987; D. Szostakowicz *Świadectwa*, Nowa 1987.

<sup>4</sup> Patrz: J. Trznadel *Hańba domowa*, Paryż 1986, s. 68. Właśnie w *Hańbie* najistotniejsze jest ustalanie stopnia „winy”, „świadomości zła”, „czystych intencji”. Zajmują się tym (na ogół dość bezkrytycznie) i sami onegdajsi „zaangażowani”, i (czasem nazbyt apodyktyczni, jak Herbert) ówczesni „opozycjoniści”.

<sup>5</sup> Lista zasług Głowińskiego jest o wiele dłuższa, omówienie wielu z nich wymagałoby jednak wchodzenia w szczegóły. Z tych bardziej generalnych — zwrócić wypada uwagę na rozważania dotyczące narracyjnych możliwości nowomowy, w czym ma zresztą Głowiński — jak sam przyznaje — poprzednika (por. W. Tomasiak *Polska powieść tendencyjna 1949–1955. Problemy perswazji literackiej*, Wrocław 1988). Oczywiście nie znaczy to, że szkice te nie zawierają sądów kontrowersyjnych.

Przy tym wszystkim jego tom zajmuje się wyłącznie tym, co pod miano socrealizmu podpada. Jak wszystkie dotychczasowe jest książką o „pewnej metodzie i jej realizatorach, a nie o okresie socrealizmu”. To znaczy nie wychodzi poza rozważania o „uległych” bądź „gorliwych”, nic nie mówiąc o tych, co „metodzie” nie ulegli lub ulegli w tak niewielkim — że praktycznie bez znaczenia — stopniu. Nie było to zadaniem książki; uprzedza o tym już tytuł zbioru, trudno zgłaszać więc do autora z tego powodu jakiegokolwiek pretensje. Chciaż nadszedł już zapewne czas, aby refleksjom o kulturze lat stalinowskich przywrócić właściwe proporcje, także przez przypomnienie „opornych”, którzy wszak nie zawsze i nie we wszystkim skazani byli na całkowite milczenie.

Sam „socrealizm”, choć tak krystalicznie modelowy — zarówno w zakresie formy, jak i w zakresie treści — oceniać można zresztą z nieco różnych punktów widzenia. Bardzo często dostrzega się w nim wyłącznie agresywną propagandowość, widoczną niewątpliwie w pewnym gatunku plakatów (choć nie powstał wtedy żaden o przerażającej sile wcześniejszego „Zaplutego karła reakcji”), w tytułach, głównie zbiorów satyrycznych (*Gwoździe dla Trumana*, *Przeciw klerykałizmowi*, *Zgrzebłem po kołtunie* etc.) w języku publicystyki czy nawet tak zwanych prac naukowych. W istocie jednak, przewrotność koncepcji propagandowej „soc” polega na tym, iż — jak pisze Głowiński — miała ona „udawać, że propagandą nie jest, że stanowi mimetyczną wizję świata, odwołującą się do rzeczywistości znanej czytelnikom z codziennej empirii i że przedstawia ją z perspektywy zdrowego rozsądku”. Stąd właśnie, zdaniem autora, owo odcięcie się od tradycji „agitpropu”, a nawiązanie — już w nazwie — do realizmu. Realizmu, z którego odrzucono wprawdzie wszystko, co dla „nowej wiary” nieporęczne, wykorzystując wszakże trzy jego nad wyraz istotne cechy: „mimetyczność” — jednak nie jako wartość samoistną (jak u naturalistów), lecz powiązaną z „autorytatywnym komentarzem oceniającym” oraz ukrywaniem literackości (redukcja elementów metaliterackich, obecnych w powieści osiemnastowiecznej). Ową — jak ją nazywa — „regulę zatajonej literackości” uważa Głowiński



za szczególnie ważną, bo uniemożliwiającą wszelkie „gry z odbiorcą” i „tworzenie dystansu”, sugerującą natomiast, „że prawdą jest wszystko, co w księgach zapisane”. Stąd wyraźna niechęć „soc” do wzorów literackich, takich jak dzieła Fieldinga czy Diderota, które — co warto może podkreślić, choć w książce się o tym nie wspomina — fascynowały jeszcze „Kuźnicę”, i to nie tylko jako wdzięczny przedmiot rozważań późniejszego „nowego literaturoznawstwa”.

Stąd też zapewne — by przykłady powieściowe poszerzyć o dramat i teatr — tak wyraźna niechęć do Brechta, oskarżanego skądinąd głównie o „pacyfizm” i „formalizm”, ale niebezpiecznego także przez swą teorię „gry z dystansem”, która mimo całej propagandowości i tendencyjności jego sztuki, miała skłaniać do krytycyzmu i refleksji. I stąd (a nie tylko ze względu na zbytnią — jak na wytrzymałość socrealizmu — dwuznaczność jego dramatów) ówczesna teatralna anatema, którą obłożono Majakowskiego, atakującego wszak<sup>6</sup> właśnie te formalne wzorce, które socrealizm — bardzo w tym względzie tradycyjny — utwierdzał.

Odwolywanie się do poetyki dziewiętnastowiecznego realizmu wynikało zresztą chyba nie tylko z przyjętych przez „soc” założeń, ale i z przykrego wcześniejszego doświadczenia. Swoista „genialność” soc jako modelu propagandowego (właśnie owo „krycie propagandowości”, włożenie w fałszywą ramę moralną) polegała i na tym, że odrzucił on tak stanowczo koncepcję sztuki, jaką wypracowano i propagowano w rewolucyjnej Rosji, w komunistycznych i lewicowych kołach artystów niemieckich po I wojnie, a także w lewicujących, komunizujących i komunistycznych kręgach inteligencji polskiej. Odrzucił tak radykalnie, że gdy chodzi o twórców radzieckich oraz członków KPP — równało się to z wyrokami śmierci nie tylko na dzieła, ale i osoby.

Awangarda i agitacja nie były już potrzebne. Awangarda, która zdawała się jej entuzjastom najwłaściwszym dla „nieburżuazyjnych” mas sposobem przedstawiania świata, okazała się nieskuteczna, bo została

<sup>6</sup> Jak wiadomo, właśnie bohaterowie negatywni *Łaźni* chwalą sztuki „przystępne, komunikatywne”, na które „można dzieci prowadzić [...] Jesteśmy młodą klasą, robotnik to duże dziecko”. Tu także zaatakowana zostaje sztuka agitacyjna. Na kwestię reżysera: „Towarzyszu, myśmy chcieli z teatru uczynić narzędzie walki i budowy” odpowie Pobiedonosikow: „A ja was proszę w imieniu wszystkich robotników i chłopów, abyście mnie nie budzili [...] Wyście powinni pieścić mi ucho, a nie budzić”.

odrzucona właśnie przez owe masy, w gustach raczej „mieszczańskie”, marzące raczej o zwyczajnych — choć niecodziennych — fabułach, ujętych w ramy dobrze im znanej poetyki; awangardą rewolucyjną w literaturze i w teatrze podniecali się raczej inteligenci. Poza tym awangarda kryła w sobie niepożądane elementy „niespodzianki”, co dostrzegali przenikliwie w roku 1948 Janta-Polczyński: „Prekursorstwo jest dlatego nie mile widziane, bo nie wiadomo nigdy, jakie nowe fermenty przyniesie, co przepowie, czym zaniepokoi, bo wymyka się możliwości planowania”<sup>7</sup>.

Czas agitacji zaś przeminął. Socrealizm powstawał wszakże w ZSRR wówczas, gdy nowa władza miała już poczucie absolutnej siły; nie przez przypadek zbiegł się z okresem „Wielkiego Strachu”. Szło więc raczej o afirmację *status quo* niż zmianę czegokolwiek, co jest zadaniem wszelkich, najbardziej nawet ortodoksyjnych „agitek”. W Polsce podobnie: „socrealizm” zbiegł się ze stalinizmem. Zresztą już wcześniej „agitki” nie były w modzie; nawet gdyby nazwiska Wandurskiego, Sterna i Jasieńskiego nie były obłożone partyjną klątwą, model sztuki, jaki propagowali, był w latach czterdziestych absolutnie nie do przyjęcia przez komunistyczną władzę. Dążyła ona raczej do wyciszenia i kamuflowania wszelkich społecznych reakcji; stąd między innymi program „rewolucji łagodnej” lansowany — gdy zważyć na ówczesny terror — cynicznie i bezwstydnie, lecz z nie najgorszymi rezultatami. A właśnie pobudzenie emocji było jednym z celów „sztuki zaangażowanej” lat dwudziestych.

Można, rzecz jasna, powiedzieć, że o wiele bezpieczniejszy model twórczości skonwencjonalizowanej<sup>8</sup>, choć nie budził gwałtownych reakcji „negatywnych” (z punktu widzenia ówczesnych polityków) miał niewiele większą niż awangarda moc sprawczą. A nawet gorzej: była ona o wiele mniejsza. W końcu wokół żadnego socrealistycznego spektaklu

---

<sup>7</sup> A. Janta-Polczyński *Wracam z Polski: 1948*, Paryż 1949, s.140.

<sup>8</sup> Te wzorce przetrwały zresztą socrealizm, nawet gdy służyły doprowadzeniu języka i ideologii „soc” do absurdu (*casus* Mrożka). Najszybciej zerwała z nimi poezja (*Obroty rzeczy* Białoszewskiego, *Poemat otwarty* Różewicza, *Cuda* Harasymowicza). W prozie trudno dostrzec jedną i tak wyrazistą tendencję, można tu mówić o przelamywaniu konwencji w sferze języka (Hłasko) czy treści. Niewątpliwie rozbiem tradycyjnego wzorca była proza Gombrowicza i Buczkowskiego. W dramacie — jeśli nie liczyć realizacji bardzo elitarnego teatru na Tarczyńskiej oraz całkowicie nieudanej półrealistycznej, półbrechtowskiej *Samotności* Słomczyńskiego — dopiero *Kartoteka* Różewicza w 1960.

nie zdarzyło się zgromadzić nie tylko kilkunastu (jak u Piscatora) czy kilkudziesięciu (jak w trakcie widowisk ulicznych w Rosji) tysięcy widzów, ale nawet dziesięciu, którzy przybyliby nań z własnej woli. Nie pomagały też niskie ceny na książki, jeśli kupowano — nie z przymusu — to klasykę. Rzadko można było znaleźć indywidualnego nabywcę portretów przodowników pracy etc., etc. „Socrealizm” okazał się więc nieatrakcyjny już od swego zarania i to nie tylko dlatego, że świat przezeń przedstawiony był — wbrew głoszonym postulatam — światem dalekim od założonej empirii, ale i dlatego (kto wie zresztą, czy nie z tego głównie powodu), że obowiązujące go żelazne rygory: schematyzm postaci, omijanie wątków miłosnych i osobistych, konieczność ideologicznych „happy endów” — czyniły z reprezentujących go dzieł twórczość na wskroś papierową i śmiertelnie nudną. Lekceważącą zresztą całkowicie potrzeby odbiorcy, który zawsze i w każdych warunkach, a w dodatku niezależnie od gustów i stopnia wykształcenia, szuka w sztuce „czegoś innego” i „podniecającego”, a nie — zakłamanego w dodatku — przedłużania swego mozolnego i pozbawionego radości życia.

W tym sensie „genialność” idei „soc” wydaje się problematyczna. Czy jednak słusznie? Odpowiedź na to pytanie zależy w znacznym stopniu od tego, czy na „socrealizm” patrzeć jako na zjawisko realizujące się i zrealizowane w takiej to a takiej ilości utworów, czy też jako na pewien proces, który (przynajmniej w Polsce) był zaledwie w powijakach, i który wobec tego trudno, przynajmniej gdy idzie o skuteczność, jednoznacznie osądzić.

„Socrealizm” — o czym wiele pisze też Głowiński — chociaż odwoływał się do realizmu, był od niego, jak wiadomo, całkowicie odmienny. „Mimetyczność” (jakakolwiek) nie wchodziła tu tak naprawdę w grę, bo sztuka socrealistyczna była (i miała być) jak najdalsza od wszelkiej „prawdy”, zarówno tej, która fascynowała naturalistów, jak i realistów. W przeciwieństwie do jednych i drugich „soc” podsuwał czytelnikowi czy widzowi rzeczywistość znaną mu nie tyle z codziennego doświadczenia, co z partyjnych gazet. To, co było tu najbardziej autentyczne to rekwizyt: widać to najlepiej w sztukach widowiskowych, gdzie z naturalistyczną prawie pedanterią — dbano o to, by ubrania robotników, szlifierki, piece hutnicze, lokomotywy wyglądały „jak żywe”. „Autorytatywny komentarz oceniający” obecny w powieści realistycznej został w „soc” utożsamiony z „autorytatywnym komentarzem partii” czy też po prostu wszystkich, co

reprezentowali ówczesny aparat terroru (pisze Głowiński: „Muszę tu podkreślić fakt, z którego nie zdawałem sobie sprawy, zanim przystąpiłem do systematycznej pracy nad tym tomem. Sformułuję rzecz z brutalną otwartością: socrealizm to literatura, pokazująca świat z bezpieczeniackiego punktu widzenia”). Wolno przypuszczać, że właśnie owe konieczne z punktu widzenia ideologii przesunięcia uczyniły ze sztuki socrealistycznej twórczość nie do strawienia — nie tylko przez „wroga ustroju”, ale w istocie i jego popleczników.

Mówi się wprawdzie często (i pogląd ten podziela chyba także autor *Demagogii i rytuału*), że klęska „soc” polegała między innymi na tym, że zwracał się on, tak naprawdę, tylko do już przekonanych. Nie jest to o tyle prawdą, że jeśli wierzyć wspomnieniom niegdysiejszych socrealistów (choćby Konwickiego w rozmowach z Beresiem<sup>9</sup>), chętniej produkowali oni własne dzieła niż czytali bądź oglądali cudze. Jeśli twórczość ta miała w ogóle jakichś przejętych jej treścią odbiorców, to może wśród najbardziej aktywnej ZMP-owskiej młodzieży, mimo że i tego nie da się dziś jednoznacznie stwierdzić.

W każdym razie tylko w młodym inteligenckim, izolowanym od świata „agitatorze” mógł socrealizm upatrywać chłonnego adresata, bo przecież nie w autentycznym proletariatusz lub chłopie, czyli w tych, co tak modną halę produkcyjną, stocznię, PGR, problemy produkcyjne, normy itd. poznawali naprawdę, na własnej skórze, w codziennym doświadczeniu. Doświadczeniu tak bardzo ze „stalinowską sielanką” sprzecznym, że aż zachodzi pytanie, czy mimo wszystkich wysiłków z upowszechnianiem książki, filmów, teatru, mimo „rzeczowych” dyskusji, jakie prowadzono z przedstawicielami ludu pracującego po spektaklach (by zasięgnąć na przykład opinii, czy aktor gra jak prawdziwy robotnik) — czy więc mimo to, wszystko tak naprawdę szło o pozyskanie sobie właśnie owego „ludu”, na którego modelowanie było już jakby za późno, bo tak czy owak myślał on swoje. I czy wobec tego cele „soc” nie były aby bardziej dalekosiężne?

---

<sup>9</sup> Indagowany przez Beresia: „A jak się odbierało książki współpokoleniowców?” Konwicki odpowiada: „Ja nawet nie wiem, co wtedy napisał Wilczek czy Hamera. Ja nie miałem nawet czasu czytać”. S. Nowicki [S. Beres] *Pół wieku czyśćca. Rozmowy z Tadeuszem Konwickim*, Londyn 1986, ss. 69–70.



Broniąc swego zainteresowania socrealizmem pisze Głowiński między innymi, że warto się nim zajmować także z tego powodu, że w swym konflikcie ze wszystkim, co w tradycji europejskiej uznane zostało za wartość, był tak radykalny i kuriozalny, że aż wart opisu.

To prawda. Jednym z podstawowych założeń polityki kulturalnej socrealizmu była (nie tylko w Polsce), jak wiadomo, całkowita izolacja od kultury śródziemnomorskiej, własnej tradycji — jeśli tylko uznana została za wsteczną — od ogromnej ilości dzieł rosyjskich, a nawet tego, co można by nazwać poważnie uprawianym marksizmem (w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych w roli tej występował jedynie Żdanow i parę rodzimych agresywnych pań). Wprowadzono prohibity, nie wydawano prawie zachodnich książek, nie sprowadzano filmów i teatrów, nie organizowano żadnych międzynarodowych wystaw, wyjazdy zagraniczne przysługiwały tylko wybranym, żelazna kurtyna zapadła także między literaturą krajową i emigracyjną, wielu autorów (również klasycznych, jak Wyspiański) wygnano z teatru. Itd., itd. — wszystko to rzeczy zbyt znane, by ciągnąć wyliczankę. Wzór obowiązujący w kulturze, twórczości i nauce był jeden: radziecki. Książeczki dla przedszkolaków (nie mówiąc już o lekturach szkolnych) zapoznawały z rosyjską i radziecką pseudo-rzeczywistością, by wspomnieć choćby wzruszające opowiadania dla najmłodszych *O młodocianych i dorosłych obywatelach Związku Radzieckiego*. Nawet historię na użytek szkół spisywali bratni (często anonimowi) specjaliści i to w duchu uznania nie tylko dla porewolucyjnych, ale i carskich rządów. Polski uczeń miał odczuwać wstyd z powodu klęsk i wad swego narodu, a cieszyć sukcesami nie tylko rewolucji październikowej, ale i paradoksalnie — wielkiej Rosji<sup>10</sup>.

I właśnie owa zaprogramowana od ukończenia trzeciego roku życia edukacja miała przynieść, po pewnym czasie rzecz jasna, wyniki. Socrealistyczne literackie, plastyczne, filmowe produkcje poruszały mało kogo, *Krótki kurs WKP(b)* — niezależnie od tego, jak bardzo był przerażający — wkuwano na pamięć z konieczności. Na razie. Bowiem indoktrynowa-

---

<sup>10</sup> I tak na przykład autor wydanej w roku 1950 *Historii nowożytnej* Jefimow nie skąpi słów uznania Katarzynie II i Piotrowi I za udział w rozbiórce Polski, uznając to za spełnienie się dziejowej sprawiedliwości, dzięki czemu do „Rosji przeszły ziemie zamieszkałe przez Białorusinów, co uwolniło tych ostatnich od ucisku polskiego”; dokładnie więc jak jesienią 1939.



ne przez lata nowe pokolenie mogło go już przecież traktować naprawdę jak *Biblię*. Przestrzegał przed tym autor emigracyjny: „Komuniści [...] posługują się wobec dzieci starą zasadą psychologiczną powtarzania pewnych stwierdzeń i pomijania innych. [...] Nie trzeba tej metody uważać za prostacką ani naiwną”<sup>11</sup>. Że nie mylił się, wskazywały ankiety na temat wiedzy historycznej przeprowadzone wśród uczniów u schyłku lat osiemdziesiątych, a więc w pokoleniu edukowanym w sposób bądź co bądź bardziej świątły i liberalny niż w socrealizmie.

Aby więc ocenić skuteczność metody socrealistycznej trzeba by poczekać co najmniej kilkanaście lat. Aż dorosliby ci, co z żadną inną — niż oficjalna — kulturą nie mieliby się okazji zetknąć, którzy rzeczywistość przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych znalazłyby tylko z socrealistycznych powieści (powieści pełniłyby więc wówczas rolę nie literatury dworskiej czy „życzeniowej”, lecz historycznego świadectwa). Trzeba by — o wiele drastyczniej niż to robiono — ograniczyć wpływ domu, Kościoła, niektórych nauczycieli. Trzeba by nawet wymienić — na całkowicie tępą i bezwzględną — znaczną część partyjnych decydentów.

Na szczęście proces został przerwany, zaś w czasie „odwilży” — też zresztą nie naruszającej zasad systemu — realizm socjalistyczny „został [...] w Polsce na zawsze spalony”, by posłużyć się obrazową formułą Głowińskiego. „Od połowy lat pięćdziesiątych socrealizmu w Polsce nie można już było traktować poważnie”.

Nie oznacza to przecież, iż odesłać go można było do lamusa z napisem „śmieszne”, choć właśnie śmiechem reagowali i reagują na obrazy, powieści, artykuły i podręczniki z tamtych lat nie pamiętający „socrealizmu” młodzi ludzie. Ma rację Głowiński, gdy pisze, że socrealizm nie był jedynie przynależnym przeszłości epizodem. Zaważył wszak na biografii nie tylko artystycznej — a może nawet przede wszystkim nie-artystycznej — tych, co go współtworzyli i tych, co nie chcieli wziąć w nim udziału. Zaważył na losach polskiej kultury: przeciął pewne tendencje i prądy obecne jakoś, mimo wszystkich ówczesnych ograniczeń, w polskiej kulturze pierwszych powojennych lat, rozwój innych w ogóle uniemożliwił, a jeszcze inne znacznie opóźnił. Wywołał — na zasadzie kontrreakcji — pewne późniejsze zjawiska (czy mody), o których nie byłoby mowy

---

<sup>11</sup> S. Cząstka, *Podręczniki szkolne dla dzieci i młodzieży*, »Kultura«, Paryż z. 5/1953.

w normalnej sytuacji. Itd., itd. W tym sensie można mówić o jego wpływie — bardzo wprawdzie pośrednim — jeszcze i dziś, kiedy nie tylko „soc”, ale i całą PRL-owską politykę kulturalną mamy za sobą.

Czy jednak tylko w tym sensie? Michał Głowiński kończy ostatni szkic swego zbioru akcentem w gruncie rzeczy optymistycznym. Otóż śledząc losy życia tych, którzy zasłużyli na miano „komunistycznej formacji literackiej” wcale nie przez swą „socrealistyczną” przynależność, lecz służbę znacznie dłuższą i wierną (reprezentuje ją między innymi Żukrowski) pisze: „formacja ta przestała być literacko czynna, choć tacy czy inni [np. Safjan i Minkowski — M.F.] jej uczestnicy zajmują się tym lub owym [...]. Piszą sensacyjne kawalki, wydają brukowe pisma [...]. Formacja komunistyczna przekształciła się w formację chałturniczą”. Nie tylko więc „socrealizm” został „spalony” i „ośmieszony”. Bóg ideologii przemienił się w boga rynku. A to już materiał na całkiem inne rozważania: dla „socrealizmu” naprawdę nie ma w nich miejsca.

A jednak socrealizm istotnie „wciąż kusi, by się nim zajmować”. I to nie tylko (choć również) z tych wszystkich powodów, o których pisze Głowiński. Kusi w sposób szczególny. Już nie tylko jako zjawisko związane immanentnie z latami stalinowskiego terroru, jako jego jawna czy utopijna propaganda etc., etc., ale jako pewien fenomen psychologiczny, który może dać o sobie znać nie tylko w warunkach totalitarnych, choć tylko w warunkach totalitarnych można mu nadać najwyższą moc sprawczą.

Otóż dziś właśnie, gdy totalitaryzm — zwłaszcza w Polsce — wydaje się naprawdę pokonany, gdy nikomu (nawet pośród najbardziej zacietrzewionych i dogmatycznych przywódców niektórych partii) nie przychodzi do głowy, aby wymuszać swoje racje siłą, a cóż dopiero terrorem, gdy — mimo iż śmieszny i żaloszny — panuje jednak po latach znów pluralizm, gdy „socrealizm” jest dla najmłodszych już tylko niezbyt ciekawą bajką i gdy zniknął nawet z pola widzenia przedmiot socrealistycznego opisu: odbudowujące się, nowo powstające miasta, gospodarstwa łączone w PGR-y, ochotnicy do przekraczania „norm”, wroga stonka i dzielne traktorzystki, otóż właśnie dziś spojrzeć można na „socrealizm” jakby z pozapolitycznej perspektywy. Jest to rzecz jasna zabieg z gruntu fałszywy, ale pozwalający zobaczyć bardzo jasno, jak wiele pożądanego i dziś komfortu zapewniała ideologia „soc”. A nie myślę tu ani o zaspakajaniu próżności (co socrealizm, gdy szło o jego orędowników, rozwinął

do perfekcji), ani o łatwym promowaniu nie tylko ludzi utalentowanych, ale i miernot, ani o nie zawsze dostatnim („pryszczaci” naprawdę żyli skromnie), ale zawsze zabezpieczonym życiu, nie myślę więc o niczym, co atrakcyjne, lecz niejako „zewnętrzne”. Ważniejsze wydaje się bowiem owo poczucie „wewnętrznego” psychicznego luksusu, jaki „socrealizm” zapewnił, oczywiście tym tylko, co weń wierzyli. Uwalniał wszak od myślenia, pozwalał lekceważyć lub wręcz zwalczać wszelkie odmienne od własnej postawy, i to bez żadnych wątpliwości w zakresie tak zwanych „wyrzutów sumienia”, dawał pewny klucz, czy wręcz wytrych (jak wyraził to na zjeździe polonistów w roku 1950 Juliusz Kleiner) do brutalnego otwierania wszystkich drzwi, które dotychczas ledwie uchylało i to z delikatnością, zezwalał (w przypadku swych istotnie fanatycznych wielbicieli) uznawać utopię za rzeczywistość.

I mimo że zapisał się w powszechnej świadomości tak właśnie jak powinien: jako jeden z najwstydlivszych epizodów kultury, to nie wszystko, co tę wstydlivność potwierdzało, przestało być aktualne. Nie ze względu na „postkomunistyczne” nawyki, lecz dlatego, że „socrealizm” opiewający wyższość jednej z najbardziej nieludzkich ideologii odwoływał się przecież do głęboko ludzkich, choć wstydlivych, cech ludzkiej natury. Warto czasem i o tym pamiętać.

[1992]



# Testy dla buntowników

W ósmym numerze zeszłorocznej »Res Publici«<sup>1</sup>, ogłaszającej dość często — choć w sposób raczej nonszalancki<sup>2</sup> — materiały archiwalne, znalazły się tym razem protokoły swoistych przesłuchań, jakim w gmachu KC PZPR poddano pisarzy protestujących u końca 1966 roku przeciw wydaleniu z partii Leszka Kołakowskiego. Lektura owych protokołów wywołuje refleksje dość przykre, zarazem jednak uświadamia, jak ogromna przepaść dzieli dzisiejszą — tak bardzo niedoskonałą — demokrację od ustroju zwanego „realnym socjalizmem”. Mimo wszelkich obecnych wciąż postkomunistycznych przyzwyczajęń, cechujących, niestety, nie tylko była „nomenklaturę”, ale i jej onegdajsze ofiary.

*Partyjne z pisarzami rozmowy* — jak je reklamuje okładka pisma — uświadamiają rozmiar przebytej w ciągu ostatnich lat drogi tym drastycznej, iż reprezentują one zarówno mentalność ówczesnej władzy, jak i ówczesnych buntowników. Buntowników, wtedy jeszcze partyjnych,

---

<sup>1</sup> »Res Publica« nr 7–8/1991.

<sup>2</sup> Nie podaje się tu z reguły żadnych wskazówek, dotyczących faktu, skąd pochodzą dokumenty. Można się więc najwyżej domyślać, iż omawiane protokoły znajdują się w Archiwum KC PZPR. Jak wiadomo, przechowywane tam materiały posiadają sygnatury; ich podanie jest nie tylko obowiązkiem opracowującego je do druku, ale i pewną koleżeńską przysługą w stosunku do tego, kto ze sprawą chciałby zapoznać się bliżej. Barbara Łopieńska, opracowująca całość, nie podaje też żadnych dodatkowych informacji. Nie wiadomo, czy zachował się cały tekst zapisu magnetofonowego i czy jest on w istocie tak „belkotliwy” jak twierdzą przesłuchiwni, czy istnieje więc podstawa, by uznać go za zniekształcony. Nie wiadomo, czy zachował się jego drugi wariant (ów „przepisany przez inteligentniejszą maszynistkę”) ani też, czy wykorzystano całość protokołów (czyżby CKKP rozmawiała tylko z niektórymi sygnatariuszami?). Niejasne jest, czy odstępstwa od — normalnej w rozmowie — pierwszej osoby poprzez wtręty (w osobie trzeciej) typu: „Tow. Drewnowski broni Kołakowskiego jako wartości w partii”, pochodzą od protokolanta czy dziennikarki, oraz czy rozmowy publikowane są w całości, czy we fragmentach.

lecz już wkrótce otoczonych legendą. Sprawa owego protestu stała się wszak, obok wcześniejszego o dwa lata *Listu 34* oraz *Listu otwartego* Kuronia i Modzelewskiego z marca 1965, jedną z najgłośniejszych opozycyjnych (czy, by użyć ówczesnej terminologii — rewizjonistycznych) afer jedenastolecia 1956–67.

Tak jak w wypadku tamtych, do rangi legendy podnieśli ją — paradoksalnie — nie sami bohaterowie lub też ich (anonimowi) sprzymierzeńcy, lecz ci, w których interesie leżało raczej tuszowanie i pomniejszanie sprawy. Podobne paradoksy kształtowały zresztą w znacznej mierze całą polską powojenną rzeczywistość, z wyjątkiem okresu stalinowskiego, gdy działano zarówno skutecznie, jak z troską o dyskrecję, propagandą posługując się nie tylko z cynizmem, ale i z wprawą. Całkiem inaczej niż w okresie gomułkowskim, kiedy to ilość procesów, relegowań z partii i uniwersytetów, różnorakich anatem znacznie przewyższała płynące z nich dla władzy zyski. Większość wydarzeń, które dały do nich powód, wystarczyło zlekceważyć, bo ich ujawnienia i napiętnowania nie wymagała nie tylko polska „racja stanu”, ale nawet „racja partii”.

Chociaż to drugie nie jest tak bardzo pewne.

Kiedy w dziesiątą rocznicę Października Leszek Kołakowski i Krzysztof Pomian w niezbyt dużej sali Wydziału Historycznego UW poddali druzgocącej jak na tamte czasy krytyce wszystko, co uznali za nowe „wypaczenia” socjalizmu, można było w końcu uwierzyć, że krytyki tej dokonują właśnie z punktu widzenia członków partii, której przecież nawet wtedy nie chcieli dobrowolnie opuścić. Trzeba więc było sprawę bodaj przedyskutować na partyjnym forum szerszym niż CKKP — choćby w POP ZLP, czego domagali się właśnie pisarze. Na pewno należało się zastanowić nad tym, czy autorytet partii bardziej osłabia głośne wypowiedzenie — choćby wobec stukilkudziesięciu studentów — pewnej ilości ostrych zdań, nie komunikujących przecież żadnych prawd nieznanych, czy też rezonans, jaki wywołają — także za granicą — sankcje zastosowane wobec prelegentów, nie mówiąc już o reakcjach samej młodzieży<sup>3</sup>. W końcu o tym, co groźniejsze winni wiedzieć nie tylko literaci. Jednak upór, z jakim sześćoosobowa komisja (Zenon Kliszko, Witold Jaroński,

---

<sup>3</sup> Refleksja Jacka Bocheńskiego (a mówili o tym i inni) — „Uważam, że wpływ wychowawczy na młodzież ma fakt wydalenia z partii i to, co się stało po zebraniu” — nie należała w końcu do odkrywanych.

Artur Starewicz, Władysław Wicha, Roman Nowak oraz jako przewodniczący Wincenty Kraśko) powołana dla przeprowadzenia pierwszych „rozmów” oddalała wszystkie — zarówno odważne jak tchórzliwe — argumenty przesłuchiwanym, upór ten świadczył dobitnie o całkowitej niemożności wzajemnego porozumienia. Obraz partii, jaki zdawali się widzieć sygnatariusze listu, odwołujący się wciąż do pojęć takich, jak potrzeba krytyki, konieczność dyskusji, ograniczona choćby demokracją<sup>4</sup> czy potrzeba autorytetów, oraz obraz partii, jakiej strzegli przedstawiciele jej najwyższych władz, zdawały się nieprzystawalne w sposób zdumiewający. I co gorsza, zdumiewała nie tyle dogmatyczność i ograniczoność tych drugich, co złudzenia pierwszych.

Partia, której bronili — przed Kołakowskim, Beylinem, Konwickim, Bocheńskim, Newerlym oraz kilkunastu ich kolegami — członkowie Biura Politycznego KC i CKKP nie miała bowiem wcale być partią liberalną, otwartą i światłą. Odwrotnie, o jej sile stanowiła ortodoksyjność, jak najwęższe myślowe horyzonty, całkowita „niereformowalność”, a także nie poddawanie się jakimkolwiek wątpliwościom<sup>5</sup>.

Taki kierunek wyznaczał wszak partii prawie natychmiast po jej „odwilżowym” przełomie — bo już w listopadzie 1956 — na krajowej naradzie aktywu PZPR w Warszawie Władysław Gomułka. W tym więc sensie rację miał Zenon Kliszko, kiedy mówił, iż poglądy Kołakowskiego bardziej są „burżuazyjne” czy „socjaldemokratyczne” niż „partyjne”, podobnie jak miał rację twierdząc, że ktoś kto uważa, iż system monopartyjny grozi degeneracją, pragnie innego niż istniejący systemu.

Ładne zdanie Igora Newerly’ego: „Głęboka indywidualność Kołakowskiego może odegrać niepoślednią rolę. Autorytet kościoła katolickiego polega na tym, że obok papieży miał też świętych i myślicieli” — brzmieć więc musiało w gmachu KC zarazem patetycznie i śmiesznie. Tym bardziej, że najwyższa partyjna władza jest nie tylko „papieżem” samozwańczym, ale i pozbawionym (poza Gomułką) prawie całkiem indywidualności; swój „rząd dusz” sprawuje — po prostaku.

<sup>4</sup> Jeśli idzie o demokrację członkowie CKKP mieli o jej istocie własne wyobrażenia: „Demokracja to nie wolność wyborów, ale zbiorowisko ludzi, którzy mają zjednoczone poglądy” (M. Pohorille do Beylina)

<sup>5</sup> Odpowiadając na zarzut impregnowania na wszelką krytykę Pohorille pytał: „Uważacie, że partia nie ma co robić [...] tylko ma występować bijąc się w piersi?”

Minęły już dawno — niebezpieczne zresztą — czasy, kiedy w Wydziałach Kultury KC zasiadali ludzie o enkawudowskich często powiązaniach, ale o niekwestionowanej inteligencji, erudycji i, co niebagatelne, wywodzący się nieraz z artystycznych, dziennikarskich i inteligenckich środowisk przedwojennych.

Teraz komisja Kraśki nawet nieskomplikowanych przecież rozmów z kilkoma partyjnymi pisarzami nie jest w stanie przeprowadzić bez „ścią-gawki” z ustalonymi wcześniej pytaniami. Poziomu umysłowego, jaki reprezentują członkowie CKKP nie warto nawet komentować.

„Święci i myśliciele”, pozyskiwani w pierwszych powojennych latach, by poświadczyć wiarygodność narzuconej władzy, też nie są już potrzebni. W archiwum KC PZPR (AAN, sygn. 237/XVIII-320) pośród materiałów dotyczących Marca znajdują się tak zwane *Tezy*. Dotyczą one analizy sytuacji POP od prezesury Słonimskiego („okresu całkowitego zamętu pojęć po XX Zjeździe”) po początek roku 1967. *Tezy* stopniowe wychodzenie pisarzy z partii — odnotowują z ulgą. Zarówno pierwszy zbiorowy *exodus* grupy „Europy” z roku 1957 (Andrzejewski, Dygat, Hertz, M. Jastrun, Kott, Ważyk, J. Żuławski ) jak i późniejszy o lat dziesięć, związany ze sprawą Kołakowskiego (poza już wymienionymi: Flora Bieńkowska, Marian i Kazimierz Brandysowie, Marcelina Grabowska, Roman Karst, Andrzej Piwowarczyk, Arnold Słucki, Seweryn Pollak, Strykowski, Woroszyński, Waclaw Zawadzki). Komentarz do tego drugiego brzmi jednoznacznie: „Dopiero odejście drugiej grupy (szesnastu) z POP zaczyna stwarzać przesłanki do odrodzenia”.

Jest przy tym znamienne, że tak sprzyjające owemu odrodzeniu „partyjne rozmowy z pisarzami” z roku 1966 nie zawierają w sobie elementów pogroźek, nikt nie nakłania sygnatariuszy — jak to było w wypadku *Listu 34* — do wycofania podpisu, a nawet nie zgłasza, jeśli chodzi o samą akcję, żadnych pretensji („nie mamy do was pretensji o napisanie tego listu, bo takie prawo posiadacie” — powiada nawet Roman Nowak do Konwickiego). Rozmowy mają raczej charakter testu sprawdzającego „praworządność” myślenia przepytywanych. W pewnym momencie Kłiszko mówi o tym wprost: „My nie rozpatrujemy sprawy, że towarzysze podpisali ten list, lecz że solidaryzują się z poglądami Kołakowskiego” (do Pollaka).

List jest więc — podobnie jak wystąpienie na Uniwersytecie głównego bohatera sprawy — jakby na rękę najwyższemu kierownictwu od dawna



zirytowanemu strategią partyjnej egzekutywy (wspomniane tu *Tezy* określają ją jako „kurację snem”), polegającą na uległości teje wobec niektórych „rewizjonistycznych” kolegów — m. in. tych, którzy wspierali moralnie *List 34* czy bojkotowali „spotkania autorskie organizowane jako walka z Wyszyńskim” — uległości wynikającej z lęku przed „utraceniem szeregu towarzyszy, z których niektórzy rzeczywiście należą do wybitnych pisarzy, koło niektórych zaś tworzy się legendę wybitności”.

Rozróżnienie: wybitność „prawdziwa” i „nadmuchana” nie jest rzecz jasna zwykłym stwierdzeniem stanu faktycznego. Wielkością fałszywą staje się zwykle „rewizjonista” o nazwisku wystarczająco głośnym, by sprawa zastosowanych wobec niego represji nabrała rozgłosu w środowisku i poza nim. Za wielkość fałszywą uznaje się podczas „partyjnych rozmów” m. in. Kołakowskiego. Co prawda nie w komisji Kraśki, tam zachowuje się jeszcze jakieś poczucie miary („my nie krytykujemy L. Kołakowskiego jako filozofa, ale jako polityka”). Komisja stosuje metodę inną — odwołanie się do „demokracji”, pojętej jako swoista „równość wszystkich”. Eugeniusz Szyr ujmuje to następująco: „statut partii nie przewiduje przywilejów dla filozofów”, ktoś inny powie to samo o pisarzach<sup>6</sup>. Do podobnej zasady „prawa równego dla wszystkich” odwoływano się już przed paroma miesiącami: z okazji odmowy wydania paszportu prymasowi Wyszyńskiemu<sup>7</sup>.

Członkowie CKKP, równie niechętni wszelkim przywilejom, nie mają już zahamowań także w sprawie wartości Kołakowskiego jako intelektualisty: „Wy wokół Kołakowskiego tworzycie mit” (R. Nowak do Strykowskiemu), „wszyscy tylko mówią: jaki on genialny. Wmówiono mu, że jest genialny” (B. Krupa do Drewnowskiemu). Wcześniej padnie charakterystyczne zdanie: „Ja uważam, że wielu filozofów, literatów, artystów pisze pod rynek zagraniczny, bo wszystko już sobie zaliczyli za czasów

---

<sup>6</sup> I ten motyw powróci w przesłuchaniach w CKKP, zresztą w formie o wiele bardziej jednoznacznej. Maksymilian Pohorille spyta Bocheńskiego: „Jak wy sobie wyobrażacie rolę intelektualistów w partii [...] jak to może być: jedni będą ciężko pracować, a drudzy tylko będą głosić morały?”

<sup>7</sup> Józef Cyrankiewicz, motywując decyzję władz w tej sprawie, uprzedził, iż nie będą one „czynić w stosunku do biskupów odstępstwa od powszechnie obowiązujących prawnych zasad wydawania paszportów” (»Życie Warszawy« z 6 III 1966). Szło oczywiście raczej o zasady beprawne.

stalinowskich, a teraz już piszą pod chalturę” (j. w.). Motyw wypominania czasów stalinowskich pojawi się już wcześniej. Podobnie jak uderzający we wszystkich tych rozmowach (głównie z CKKP) wątek antyinteligencji, z wyraźnym przeciwstawieniem świadomości „rewizjonistów” — świadomości mas pracujących (S. Będkowski do Bocheńskiego o wystąpieniu Kołakowskiego: „Gdyby to przemówienie przeczytał robotnik, to na pewno powiedziałby, że Kołakowski [...] chce wyprowadzić ludzi na ulicę i że chce doprowadzić do chaosu”).

Dwa różne języki, jakimi się tu przemawia, to już zresztą nie tylko sprawa różnych poglądów, lecz również — a może przede wszystkim — kwestia zupełnie odmiennych mentalności.

Antyinteligencja oraz żenujący wręcz poziom (to już objawiona w całej krasie „dyktatura ciemniaków”, jak ją nazwie w dwa lata później Kisielewski), jaki reprezentują ci, co decydować mają — w dziesięciolecie Października — kto winien, a kto nie, do partii należeć, nie są oczywiście niczym szczególnie zaskakującym, wiadomo było o tym dobrze. Jeśli więc lektura protokołów opublikowanych w »Res Publice« sprawa — jak pisałam we wstępie — przykrość, to ze zgoła innego powodu.

Otóż rozmowy te uprzytomniają, jak ogromny był wówczas stopień swoistego „usidlenia”: wszystko jedno umysłów czy charakterów. I to niejednokrotnie umysłów wybitnych i charakterów nieprzeciętnych. To poznanie „kulis” legendy istotnie — jak chce autorka wstępu do *Rozmów* Barbara Łopieńska — nikogo (lub prawie nikogo) „nie kompromituje” ani też nie odkrywa się tu „prawd objawionych”. Stenogramy „mówią po prostu [podkr. M. F.] o tym, jak to było w 1966 roku. [...] to klimat, język i prawda połowy lat sześćdziesiątych”; nie tylko połowy zresztą.

I właśnie owo niewinne słówko „po prostu” uświadamia nagle w sposób szczególny rozmiar nienormalności sytuacji, zapisanej w niewinnych na pozór stenogramach.

Z dwóch co najmniej powodów.

Po pierwsze, bowiem, dziwi ton tych rozmów — ze strony pisarzy pełen skrępowania, jakie zwykło się odczuwać wobec osób znacznie-szych czy lepszych od siebie. Ton w dodatku wykrętny, „nieszczery” — jak to nie bez racji określa Kliszko. Tylko kilku sygnatariuszy (głównie Beylin i Newerly, a także Grześcak) ma odwagę wyrażenia wprost swych poglądów i przyznania, że ich podpis pod listem oznacza coś więcej niż przekonanie, iż „wykluczenie towarzysza Kołakowskiego z partii”

przyczynić się może do „pogłębienia kryzysu ideowego w życiu partyjnym licznych środowisk intelektualnych i artystycznych”<sup>8</sup>. Czyli odwagę przyznania, iż uznaje, że krytyka, jakiej poddał Kołakowski życie publiczne, kulturalne a także gospodarke, jest krytyką słuszną. Większość — szczególnie w pierwszej fazie rozmów — omija temat zasadniczy<sup>9</sup> i trudno nawet odgadnąć, czy argument o niespójności przedstawionego w charakterze dowodu magnetofonowego, nie autoryzowanego zapisu wystąpienia na Uniwersytecie jest szukaniem sobie wygodnego alibi, czy poddaniem w wątpliwość jego wiarygodności. Zresztą tylko Paweł Beylin zakwestionuje jednoznacznie moralny i prawny aspekt posługiwania się tym typem dowodów: „problem przestrzegania Konstytucji to jest bardzo ważna sprawa. Jak ona jest przestrzegana, może posłużyć tekst, który nie był nagrany za wiedzą Kołakowskiego i nie autoryzowany” (z rozmowy w CKKP).

Wprawdzie między pierwszą (w listopadzie) a drugą (w grudniu) fazą rozmów stanowisko kilku przynajmniej pisarzy wyraźnie się „utwardza” (dotyczy to zwłaszcza Bocheńskiego, Konwickiego i Strykowskiego), jakby odkryli, iż władzom partyjnym stawić należy czoło w sposób bardziej godny i uczciwy — przy całym dla tej postawy szacunku — stwierdzić trzeba, że nie powinna być ona specjalnym zaskoczeniem. Na „partyjne rozmowy” wzywano intelektualistów i twórców już nieraz, co najmniej jedna — przesłuchanie w sprawie udziału w pogrzebie Henryka Hollanda w roku 1961 — powinna trwale zapisać się w pamięci środowiska.

---

<sup>8</sup> Z listu protestacyjnego w obronie Kołakowskiego.

<sup>9</sup> W niektórych przypadkach obrona Kołakowskiego przybiera wręcz karykaturalny wymiar. Witold Wirpsza tłumaczy ton referatu Kołakowskiego nadpobudliwością oraz „niepanowaniem nad tym, co się dzieje” („Kiedyś [...] stwierdziłem, że ten człowiek nie otwiera od roku listów”) wynikłymi z gruźlicy. Marian Brandys mówi o „bardzo ciężkim kryzysie nerwowym”. Nikt nie zmienia swej pozytywnej opinii o Kołakowskim, ale na pytanie, czy miał rację w swym uniwersyteckim wystąpieniu, padają odpowiedzi często śmieszne, niemal jak z kabaretu: „Kołakowski myli się podając pierwsze miejsce [Polski w świecie — M.F.] w śmiertelności niemowląt. O ile pamiętam to jest drugie lub trzecie miejsce” (Dąbrowski). Część rozmówców stara się bagatelizować „winę” prelegenta: „nie sądzę, aby Kołakowskiemu chodziło o otwarcie wszystkich drzwi i okien, ale chodzi o pewne okienka, które nie szkodzą ustrojowi” (Woroszyński).

Jest oto koniec roku 1966, Leszek Kołakowski atakuje odważnie politykę państwa w sferze ideologicznej, społecznej i kulturalnej, wskazuje na pauperyzację dosłowną i duchową społeczeństwa, brak perspektyw. Krzysztof Pomian ocenia bardzo krytycznie sytuację w ruchu młodzieżowym. Paweł Beylin wspiera Kołakowskiego m. in. w przekonaniu, iż nie można budować żadnej, a więc i „socjalistycznej” demokracji, pozbawiając ludzi możliwości wyboru („ktoś już powiedział, że nasze wybory to wyścigi konne, w których udział bierze jeden koń. Ja uważam, że winny być dwa alternatywne programy ekonomiczno-społeczne”). Igor Newerly stwierdza: „Kołakowski wyraża spostrzeżenia i poglądy większości ludzi”. Jacek Bocheński pyta: „W 1956 roku partia po raz pierwszy w życiu cieszyła się wielkim autorytetem i co z tym autorytetem zrobiła partia?”.

Zarazem każdy z nich ufa wtedy jeszcze, że jego miejsce jest w partii. Kołakowski składa odwołanie od decyzji CKKP, Beylin na wiadomość o zawieszeniu w prawach członka stwierdza, że nie jest to dla niego „sprawą prostą”, bo za „partię czuje się moralnie odpowiedzialny”. Podobnie Newerly (jedyiny zresztą — obok Karsta — który oddaje legitymację partyjną jeszcze przed oceną przez CKKP). Z tych, co do CKKP dotarli, jedynie Tadeusz Konwicky, zmęczony kolejną rozmową, na pytanie: „Czy wam zależy na partii?” wyduśza w końcu: „szczerze mówiąc, nie”. Rozstanie z partią nie jest „sprawą prostą” zapewne i dla tych, co (po usunięciu z niej obok Kołakowskiego, Pomiana, także Beylina, Bocheńskiego, Konwickiego, Zawadzkiego) legitymację oddadzą sami (spoza sygnatariuszy listu Kazimierz Brandys, Marcelina Grabowska i w Krakowie Wisława Szymborska). Fakt pozostaje przecież faktem.

To przywiązanie do partii (a wolno przyjąć, iż jest ono szczerze; przypadkami zwykłego konformizmu zajmować się zresztą nie warto; jest on zjawiskiem pozaustrojowym i należy do innej sfery zjawisk) jest zrozumiałe: wszyscy sygnatariusze listu, podobnie jak ten, który dał do niego powód, spędzili w partii całe swoje dotychczasowe dorosłe życie. Ich wiarę w to, iż „moralna za jej działalność odpowiedzialność” nie pozwala na dezercję, można w końcu zrozumieć, szczególnie, gdy na sprawę patrzeć mniej schematycznie, niż się to robi obecnie.

Mimo to nie sposób oprzeć się pytaniu, jak możliwa była jeszcze wciąż owa — jak to określił Konwicky — wizja „socjalizmu naiwnego”, który budować chciano wraz z partią i to w Polsce, a nie na księżycu. To przecież Kliszko miał rację indagując Newerly’ego: „Dlaczego więc je-

steście w takiej partii, jak ją Kołakowski ocenia? Dlaczego go bronicie, żeby go nie wykluczać z partii? Co to znaczy, nie ma wolnych wyborów, nie ma swobody zrzeszania się? [...] Czy on żyje na księżycu, czy w Polsce?”.

Bilans dziesięciolecia 1957-66 wyglądał wszak (by ograniczyć się do przykładów ważnych dla intelektualistów) następująco: zlikwidowane zostały wszystkie tygodniki młodej inteligencji z »Po prostu« na czele; zmieniono uznane za zbyt liberalne redakcje wielu pism; zawieszono obiecane zgody na wydawanie pism nowych, powołano zaś do życia — bojkotowany przez pewien czas — nowy tygodnik »Kultura«, podejmujący program „walki z reakcyjną ideologią”; trwała kampania przeciw pisarzom ośmielającym się jawnie bądź pod pseudonimami współpracować z paryską »Kulturą« czy londyńskimi »Wiadomościami« — wydano w związku z tym parę sądowych wyroków; tolerowano wprawdzie dość nieraz śmiało dyskusje na pisarskich zebraniach, ale nic z nich nie dostało się na łamy prasy, a po zlikwidowaniu Klubu Krzywego Koła i Grupy „Przedmieście” także na inne publiczne fora.

Pamiętając o tym wszystkim trudno z okazji sprzeciwu wywołanego sprawą Kołakowskiego nie powtórzyć słów Herlinga-Grudzińskiego, napisanych zresztą z okazji o dwa lata wcześniejszej, bo w związku z Listem 34: „Jeśli cokolwiek można mu zarzucić, to to, że narodził się dość późno”<sup>10</sup>.

I nie sposób o tym wszystkim zapomnieć czytając — z pewnością nie skłamanie a późniejsze o lat dwadzieścia dwa wyznanie Kołakowskiego: „Wielu z nas — mówię nadal o tych samych uczestnikach rewizjonistycznego nurtu, a więc o ludziach rodowodu komunistycznego — przestało się uważać za komunistów w rozpoznawalnym sensie dość wcześnie, w ciągu 1955-go roku, większość jednak (wśród nich i ja sam) przechowała swoje partyjne legitymacje w mniemaniu — nie całkiem może błędnym, gdy je abstrakcyjnie wysłowić, ale w sumie bodaj mylącym i dopuszczającym zbyt wiele dwuznaczności — że skoro partia jest jedyną czynną formą życia politycznego, warto z tej formy korzystać na rzecz jakichś ulepszeń w życiu społecznym”<sup>11</sup>.

---

<sup>10</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Memoriał Trzydziestu Czterech*, »Kultura«, Paryż, nr 5/1964.

<sup>11</sup> Leszek Kołakowski, *Postowie do Pochwała niekonsekwencji*, Puls, Londyn 1989.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, iż to, co w roku 1988 objawiło się już Kołakowskiemu<sup>12</sup> jako oczywiste złudzenie, w roku 1966 mogło się zdawać jeszcze przekonaniem racjonalnym. Lecz już wtedy było chyba dość dobrze wiadomo, że wpływowych „uczestników rewizjonistycznego nurtu” na życie społeczne — choć w sferze moralnej nie bez wielkiego znaczenia, w sferze konkretnych posunięć władz był prawie żaden. „Polska lewica” w sposób zorganizowany działać mogła istotnie tylko w PZPR — bo o opozycji w rozumieniu drugiej połowy lat siedemdziesiątych nikt jeszcze nie myślał — ale płaciła za to zbyt chyba wysoką cenę. Nawet jeśli stosowała się do zasady moralnej wyłożonej przez Kołakowskiego w roku 1957 w »Po prostu«: „Lewica nie odmawia kompromisów z rzeczywistością, żąda jednak nazywania ich kompromisami. Lewica będzie przeciwdziałać dorabianiu ideologii do wymogów chwili”<sup>13</sup>, to — gdy chodzi o obietnicę zawartą w drugim zdaniu — realizowała ją głównie w dość zamkniętym środowiskowym kręgu. Nieortodoksyjni, otwarci, wybitni itd., itd. partyjni intelektualści podnosili przede wszystkim w oczach swoich kolegów prestiż swych związkowych organizacji partyjnych. Tym bardziej, że na większość — jednoznacznych przecież i nie pozostawiających złudzeń — wydarzeń reagowano dość niemrawo, w każdym razie na forum szerszym. Wyraźniejsze zbiorowe protesty artykułowano głównie na związkowych zebraniach i zjazdach, zaś dwa grupowe wyjścia z partii spowodowane były wydarzeniami bardzo bliskimi „własnemu ciału”. Grupa „Europy” wystąpiła z niej na skutek cofnięcia zgody na wydawanie własnego pisma, a nie na przykład na znak protestu wobec likwidacji »Po prostu«, „Szesnastu” z roku 1966 dystansowało się wyraźnie od

<sup>12</sup> Pisał dalej: „Mniemanie to [...] nie było może całkiem oparte na urojeniu, o ile obecność w partii znacznej ilości ludzi tego rodzaju ułatwiała korozję ideologiczną systemu, biorąc jednak pod uwagę całe *dossier* rządów komunistycznych [...] przyniosło, być może, więcej szkód niż pożytku [...] tym bardziej, że nikt z nas [...] nie miał wpływu na żadne decyzje polityczne”.

<sup>13</sup> Leszek Kołakowski *Sens ideowy pojęcia lewicy*, »Po prostu« nr 8/1957. Jeśli idzie o zgodę na pewien — nieodzowny czasem kompromis — nazywany jednak po imieniu, bardzo podobnie, choć ostrzej pisał mniej więcej w tym samym czasie Andrzej Kijowski: „Nie zagraża nam władza, która mówi jestem władzą. Nie zagraża nam racja stanu, która mówi: jestem racją stanu. Zagraża nam tylko władza, która mówi: jestem wolą mas, a nie jest wolą mas. Zagraża nam racja stanu, która mówi: jestem ideą wolności, braterstwa, pokoju.” (»Nowa Kultura«, nr 48/1956.)

*Listu otwartego* Kuronia i Modzelewskiego, kwestionując co najwyżej partyjną metodę polemiki, polegającą na wsadzaniu ludzi na trzy lata do więzienia. Nawet Kołakowski mający odwagę zająć wobec tego jakieś (poza czysto retorycznym) stanowisko w odwołaniu od decyzji CKKP w swojej sprawie podkreślał: „W związku z dokumentem podpisanym przeze mnie — wspólnie z profesorami Kotarbińskim i Ossowskim — na użytek procesu Modzelewskiego i Kuronia, powtarzam [...]: dokument ten miał charakter wyjaśnienia sądowego i wykazywał, że [...] skazanie oskarżonych za rozsiewanie fałszywych wiadomości było bezprawne. Dokument ten nie zawierał ani nie sugerował solidarności z treścią programów sporządzonych przez Kuronia i Modzelewskiego, nigdy i nigdzie zresztą aprobaty takiej nie udzielałem”.

Ta wstrzeźliwość charakteryzowała zresztą nie tylko literatów partyjnych. Nawet w sprawie *Listu 34* łatwiej było zorganizować władzom 600 podpisów pod potępiającym go oświadczeniem niż ludziom solidaryzującym się z nim po cichu — zdobyć się na głośny wyraz poparcia. W sprawie Millera, Grzędzińskiego i Mackiewicza walne zebranie warszawskiego oddziału ZLP wypowiedziało się następująco: „Walne zebranie wypowiada się za jak najszerszą i jak najswobodniejszą dyskusją pisarzy na temat wszystkich nurtujących środowisko pisarskie [podkr. M.F.] problemów [...] uważa jednak, że istnieje nieprzekraczalna granica między najbardziej nawet krytycznymi, wywołanymi obywatelską troską wypowiedziami w dyskusji wewnątrz krajowej a międzyobywatelskim nielojalnym wykorzystywaniem obcej propagandy”<sup>14</sup>. Jakby dyskusji „wewnątrz krajowej” nie uniemożliwiała skutecznie cenzura.

Nawet w roku 1968 niewątpliwa solidarność środowisk intelektualnych wobec marcowej kampanii artykułowana była (wbrew legendzie) w sposób jednoznaczny i otwarty tylko ustami swych nielicznych przedstawicieli, zresztą prawie wyłącznie ze środowisk uniwersyteckich i pisarskich. I sytuacja ta — zmieniając się już w drugiej połowie lat siedemdziesiątych — radykalniej odmieniła się dopiero po 13 grudnia.

A przecież równocześnie to właśnie pisarze — bezpartyjni i partyjni — stali się w tamtych i nieco późniejszych latach symbolem sumienia. Jeśli nawet nie wywiązywali się zbyt dobrze ze swego posłannictwa (tego,

---

<sup>14</sup> Archiwum oddziału warszawskiego ZLP.



które sami w końcu — wzorem romantyków — pragnęli wziąć na swoje barki), to trzeba powiedzieć, że nikt wtedy nie miał o to specjalnych pretensji. Społeczeństwo, w swej ogromnej masie „realny socjalizm” znosiło wprawdzie nie najlepiej, lecz bez specjalnego oporu. To prawda, że nie uległo komunistycznej doktrynie i kultywowało to, co w komunizm godziło: tradycję, katolicyzm, system niekoniecznie oficjalnych wartości i poglądów. Ale prawdą jest także, że stan swoistej schizofrenii i widocznego przecież zniewolenia, przywykło uznawać w jakimś sensie za naturalny. Zdumienie budzili raczej ci, co „czerni” uparli się nazywać „czernią”, a nie na przykład „szarością”. To nie tylko studenci i pisarze z roku 1968 nie znaleźli w społeczeństwie oparcia; także robotnicy z Wybrzeża 1970.

Jeśli spojrzeć naprawdę uczciwie we własne sumienie, okaże się, że tylko nieliczni spośród tych, co spędzili w PRL znaczną część swego dorosłego życia, nie mieli żadnego udziału w podtrzymywaniu komunizmu, a nawet, że nie czerpali z niego żadnych korzyści. Gdyby wszyscy byli tak waleczni, nieprzekupni, jak teraz twierdzą, komunizm padłby już temu lat ...dzieści, nawet gdyby razem z nim zniknąć miała z mapy Europy Polska. Chyba, że przyjąć za prawdziwą, nowatorską tezę profesora Giertycha, wyłożoną nie tak znów dawno w przedwyborczym studio, iż dostępu do opozycji bronił polskiemu społeczeństwu jakiś syjonistyczny spisek.

W modnych dziś rozważaniach na temat tego, czy ustrój PRL był systemem totalitarnym, twierdzi się dość często, iż o prawdziwym totalitaryzmie mówić można tylko w okresie stalinowskim<sup>15</sup>. Jeśli przyjąć, iż niezbywalną cechą totalitaryzmu jest krwawy terror, wolno się z tym zgodzić. Jeśli jednak uznać, iż totalitaryzm polega głównie na uzurpowaniu sobie przez władze prawa do ingerencji nie tylko w całą sferę życia publicznego, ale i w prywatne przekonania oraz w — mniej lub bardziej — doskonałą realizację tej idei, to powiedzieć trzeba, iż powszechny opór wewnętrzny wobec tej metody silniejszy był w latach stalinizmu (mimo sporej ilości gorliwych intelektualistów, „wściekle czerwonych” ZMP-owców etc.) niż w okresie znacznie liberalniejszego Gomułki z lat sześćdziesiątych czy też Gierka. Wolno chyba powiedzieć nawet więcej. Tak

---

<sup>15</sup> Por. m.in.: *Czy PRL była państwem totalitarnym?* — stenogram konwersatorium pod kier. A. Paczkowskiego z wprowadzeniem do dyskusji Krystyny Kersten, Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1991.



jak niegdyś „ukąszona przez Hegla” inteligencka i młodzieżowa awangarda nowej wiary stanowiła w — milczącym z konieczności — narodzie mniejszość (niezwykle zresztą niebezpieczną), tak i później zbuntowani już intelektualisci stanowili nikły tylko procent społeczeństwa.

Czy oznacza to, iż protesty i rozterki „rewizjonistów” z lat sześćdziesiątych nie miały w ogóle znaczenia? Wręcz odwrotnie. Jest zapewne sporo przesady w retrospektywnej konstatacji Kołakowskiego: „rewizjonizm miał w tych latach niejaką skuteczność i chociaż, z jednej strony, przyczyniał się do podtrzymywania mylnej wiary, iż komunizm da się zreformować na podstawie własnych swoich założeń ustrojowych, to w ogólnych wynikach [...] miał głównie destrukcyjną rolę i demontował stopniowo wszystkie części urzędowej ideologii marksizmu-leninizmu”<sup>16</sup>. Jednak, niezależnie od tego, że o demontażu komunizmu nie zdecydowali intelektualisci, jest faktem, że istnieje wyraźna ciągłość (także w znacznym stopniu personalna) między „rewizjonizmem” ery Gomułkowskiej, opozycją — wyzbytą już złudzeń co do „reformowalności” komunizmu — z czasów „późnego Gierka” a Sierpniem '80, w którego narodzinach intelektualisci mieli przecież od czasów KOR-u i »Robotnika« swój udział.

Problem w tym tylko, jak o owym związku między działaniami partyjnych, przywiązanych do ideałów Października „lewicowców” a fiaskiem komunistów w czerwcu roku 1989 przekonać tych, dla których Sierpień '80 jest jedynie niejasnym wspomnieniem dzieciństwa. Niezbyt wrażliwych na argumenty dowodzące, iż złożenie podpisu pod listem protestacyjnym — choćby w sprawie wydalonego z partii wybitnego kolegi — wymagało w połowie lat sześćdziesiątych prawdziwej odwagi.

Tym bardziej, że w ocenie owych faktów przez młodych tkwi — obok zgubnej skłonności do ahistorycznego myślenia — niezbędna wszak dla społecznego zdrowia potrzeba jasnego rozróżniania między tym, co uznaje się za dobro lub zło, odwagę lub tchórzostwo, etc. — bez obowiązujących dawniej przymiotników: „mniejsze”, „większe”, „względne”, „konieczne”.

[1992]

---

<sup>16</sup> L. Kołakowski, *Postowie do: Pochwata niekonsekwencji*, op.cit.



## Marzec '68. Za kogo się wstydzimy?

Najbardziej zdumiewającym fragmentem tej książki<sup>1</sup> jest parę zdań zawartych we wstępie: „Co się zaś tyczy archiwów to — jak się wydaje — niektórzy historycy przeceniają ich wartość. Wielu uważa, że dostęp do Centralnego Archiwum Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Centralnego Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Archiwum Akt Nowych i archiwów wojewódzkich pozwoli wyświetlić wszystkie tajemnice i zagadki historii PRL. Otóż niezupełnie. Z rozmów z osobami, które uzyskały dostęp do tych archiwów, wynika, że wielu dokumentów, które w nich powinny się znajdować po prostu tam nie było. [...] Pamiętać należy także o fałszowaniu dokumentów [...]. To, że jakiś dokument znajduje się w danym archiwum, wcale nie musi oznaczać, że zawiera informacje prawdziwe”.

Zdumiewa tu wszystko: fakt, iż autor tych słów sam jest historykiem, a nie, na przykład, pamiętnikarzem, że jako autor pierwszej tak obszernej „odklamującej” monografii Marca ufa — w sprawie stanu archiwów dotyczących tego okresu — osobom trzecim<sup>2</sup>, a wreszcie, że usprawiedliwienia szuka w nad wyraz niebezpiecznym argumente o pozorze prawdy. Wyrazić je można w hasło: nie ufajcie dokumentom.

Ostrożność w traktowaniu dokumentów jest oczywistą cnotą niezwykle u historyka pożądaną, jednak tylko wtedy, gdy oznacza krytyczne do nich podejście. W sformułowaniu Eislera wydaje się być wszakże tożsąma z ich lekceważeniem.

Książka, wydana w roku 1991, pisana była w okresie znacznie wcześniejszym, gdy omijanie archiwów było po prostu koniecznością — jeśli

---

<sup>1</sup> Jerzy Eisler, *Marzec 1968*, PWN, Warszawa 1991.

<sup>2</sup> W istocie, choć archiwa te przynoszą rozczarowanie, kryją w sobie nad wyraz smakowite niespodzianki.

nawet ktoś do nich dotarł i tak nie mógł ze zdobytej tam wiedzy zrobić publicznego użytku. Zacytowane zdania można więc traktować jako perswazyjne bądź samoperswazyjne, a więc usprawiedliwiające sens podjęcia pracy wbrew warunkom tak poważnie ją ograniczającym. Mimo to nie powinny zostać napisane. Przydałoby się raczej wyjaśnienie, bez którego konsekwencja, z jaką Eisler przestrzega swej „antyarchiwalnej metody” (nawet archiwa prywatne wykorzystane tu zostały w niewielkim bardzo stopniu), musi budzić usprawiedliwioną nieufność. Tym bardziej, że materiałem dowodowym czyni Eisler cudze ustne i drukowane relacje, jakby zapominając, że tu jeszcze łatwiej o zafalszowania, nie tylko świadome, lecz i półświadome, a nawet więcej, że zafalszowania takie są (nawet przy najlepszej woli i uczciwości rozmówców) nieuniknione, bo pamięć ludzka jest zawodna i selektywna; zjawiska sprzed lat dwudziestu trudno oceniać z nieskażonej myśleniem dzisiejszym ówczesnej perspektywy, etc., etc.

Eisler w gruncie rzeczy wie o tym dobrze i, gdyby wyrazić zgodę na obraną przez niego metodę, trzeba stwierdzić, że w wyznaczonych granicach porusza się uczciwie. Konfrontuje z reguły różne, w interpretacji i szczegółach, wspomnienia, nie sugeruje — poza przypadkami oczywistymi — iż tak właśnie „było naprawdę”, odwrotnie, wielokrotnie ostrzega, iż rzecz mogła wyglądać inaczej. Podobnie postępuje z cudzymi tekstami, choć często zawodzi go w ich doborze intuicja lub też (jak choćby w wypadku cytowanych parokrotnie *Mandarynów i gryzpiórków* Lisieckiej) nie daje im niezbędnego komentarza.

Efekt końcowy w sferze „prawdy historycznej” ocenić winni specjaliści: na ocenę taką istotnie wiarygodną trzeba będzie pewnie poczekać. Jeśli sądzić po rozdziałach, poświęconych *Dziadom* czy lutowemu zebraniu literatów bardzo wiele spraw domaga się sprostowania, a prawda nieraz miesza się z legendą. Czasem legendzie przyznaje się prawo obywatelstwa zbyt łatwo, co wynika — jak się zdaje — nie tylko z luk spowodowanych brakiem dostępu do dokumentów, ale także z wyraźnego preferowania rozmówców — polityków raczej niż ludzi kultury<sup>3</sup>.

---

<sup>3</sup> Przykładem niech będzie zdanie dotyczące inscenizacji Dejmka: „trudno dziś osądzić, czy [...] arcydziełem, czy tylko wydarzeniem teatralnym”, jakby nie można było zebrać jakichkolwiek — choćby niejednoznacznych — informacji na ten temat u budzących zaufanie onegdajszych widzów. Nieścisłości związane z *Dziadami* wyjaśnią niedługo m.

Z tym wszystkim monografia Eislera jest książką ważną. Przynosi sporo szczegółów mało lub powierzchownie znanych (szczególnie wrażenie robi rozdział, poświęcony antysemickim czystkom, w którym po raz pierwszy pokazano jak m a s o w a była skala tego zjawiska). Osadza Marzec w rzeczywistości wcześniejszych lat sześćdziesiątych, których był swoistym zwieńczeniem. Zmierzając do przedstawienia obrazu „wyważonego i wolnego od politycznej emocji” w znacznej mierze celowi temu pozostaje wierna, odchodząc między innymi od tak modnego dzisiaj schematu czarno-białych życiorysów. Przy wszystkich swych wadach ma niezaprzeczalną zaletę: istnieje. Można i należy ją uzupełniać, prostować, zmieniać, ale rozległy fundament został położony. Jeśli nazwać ją — jak uczynił to Seweryn Blumsztajn w »Gazecie Wyborczej« — „pierwszą przymiarką do Marca”, to jest to z pewnością przymiarka posuwająca sprawę naprzód.

Pytanie tylko, jak będą wyglądały przymiarki bardziej zaawansowane. I w tym miejscu rodzą się wątpliwości poważniejsze niż niepokój, związany z jedną książką.

Nastał dziś czas zapisywania „białych plam”. Każdy, kto zechce — źle czy dobrze, powierzchownie czy przenikliwie, demagogicznie bądź sumiennie — korzystać może z dobrodziejstw zniesienia cenzury, przynajmniej tej o nazwie Głównego Urzędu... Na temat Marca oraz wielu wcześniejszych i późniejszych PRL-owskich „kryzysów” powstanie (już powstało) wiele książek, artykułów, przyczynków. Będą ujawniać (już ujawniają) coraz to nowe akty przemocy i bezprawia. Być może zdemaskować się uda nawet wiele manipulacji, związanych z preparowaniem dokumentów. W tym sensie opis zdarzeń stanie się — kto wie — tak bliski „prawdy”, jak tylko to jest możliwe. Czy jednak będzie to istotnie obraz maksymalnie „prawdziwy”? Otóż nie sądzę. Przynajmniej tak długo, jak długo nie uda się przekroczyć zakłętę kręgu stereotypów. A więc tak długo, jak długo rozliczenia z komunizmem nie wyjdą poza rozrachunki z władzą.

---

in. dwie prace historyków teatru: złożony już dawno do druku *Raptularz* 1967–68 Zbigniewa Raszewskiego i przygotowywana przez Edwarda Krasieńskiego monografia *Dziadów '68*. Z żadnym z tych autorów Eisler nie rozmawiał, opierając się głównie na niezbyt ścisłych relacjach zamieszczonych w »Res Publice« nr 3/1988.

W momencie, kiedy Eisler przygotowywał swe dzieło, nie było to rzecz jasna ani możliwe, ani pożądane; trudno wystawić rachunki grzechów tym, którzy tak czy owak skazani są na, zbyt ciężką nieraz, pokutę. Ale „uczucie niedosytu”, o jakim mówią ci, co książkę już czytali, wynika nie tylko z faktu, iż „raz jeszcze historia prześcignęła jej badacza”, ujawniając to, co w trakcie jego pracy było obwarowane licznymi tabu. W końcu na okrzyk „znamy to, znamy” mogą wciąż jeszcze pozwolić sobie tylko nieliczni, przynajmniej, gdy od wiedzy bardzo ogólnej przejść do konkre- tów. Pewna banalność *Marca 1968* zasadza się więc (przynajmniej dla piszącej te słowa) nie na tym, iż nie przynosi on aż tylu rewelacji, jakby się chciało, ale na specyficznej „schematyczności” spojrzenia. „Schematycz- ności”, którą odczuć można dopiero obecnie, a więc niezawinionej wła- ściwie przez autora; ten miał bowiem do zwalczenia inne schematy, w mniej lub bardziej propagandowym stylu powielane przez oficjalne publi- kacje. Wiele z nich zdemaskował zresztą, dzięki pewnej bezstronności i niezależności sądu wychodząc też — na ile było to wówczas możliwe — poza schemat „opozycyjny”. Dziś okazuje się jednak, że w końcu pozostał w niewoli obydwu. Oba przecież, choć w całkowitym odwróce- niu perspektyw, dostrzegały sprawę Marca tylko poprzez opozycję: rzą- dzący i ich partyjne rozgrywki oraz zbuntowani przeciw nim studenci i intelektualisci.

Zawiera się w tym oczywiście jakaś prawda o Marcu. Nawet nie „jakaś”, lecz spora. Władza i walczący o władzę (wszystko jedno Gomuł- ka, Gierek czy Moczar) postępowali haniebnie. Studenci — a w każdym razie bardzo wielu spośród nich — doznali bezmiaru krzywd, także w sen- sie dosłownym, fizycznym: bici, aresztowani, poniewierani. W sposób niezwykle prawy i, jak na swe przyzwyczajenia, nadzwyczaj odważny zachowała się część intelektualistów, głównie pracowników wyższych uczelni i pisarzy. Czy jednak część tak znacząca, jak skłonni jesteśmy wierzyć ?

\* \* \*

Zacząć pewnie wypada od siebie. Wiosną 1968 pisywałam recenzje teatralne we »Współczesności«. Nie uważałam się za osobę szczególnie nieprzyzwoitą i nie dawano mi odczuć, że nią jestem. W tygodniku »Współczesność«, jako pismo społeczno-kulturalne zresztą dość cenio- nym, ukazało się wówczas — jak wiadomo — oświadczenie Józefa Le-

narta, żądające wyrzucenia z ZLP „wichrzycieli” oraz piętnujące inspiatorów zajęć na uniwersytecie. Właśnie przestano grać *Dziady*, Dejmek podał się do — nie przyjętej jeszcze — dymisji, wkrótce Tarn musiał odejść z »Dialogu«. Pisywanie recenzji sprawiało mi przyjemność, były to recenzje z przedstawień politycznie obojętnych, książek o teatrze, scenograficznych wystaw, etc. W »Życiu Literackim« Władysława Machajka, »Miesięczniku Literackim« Sokorskiego, nie bojkotowanej już »Kulturze« Wilhelmię ogłaszało swe teksty, poświęcone literaturze, teatrowi, filmowi, plastyce, filozofii wielu ludzi nie tylko nie mających nic wspólnego z reżimem, ale wyrażających przy wielu okazjach całkiem śmiało swój niechętny do niego stosunek. Wszyscy byliśmy po „właściwej” stronie: studentów, „Kisielewskich”, „Michników” oraz „syjonistów” żegnanych na Dworcu Gdańskim. Żaden z tekstów przez nas napisanych nie zawierał niczego, pod czym chciałoby się teraz wymazać swój podpis. To, że ukazywały się w pismach, których redaktorzy naczelni popierali „marcową kampanię” wydawało się jakby sprawą przypadku. Nie trzeba więc było specjalnie „grubej kreski”, aby o owej kolaboracji-niekolaboracji zapomnieć.

Tym bardziej, że była to wówczas forma współegzystencji z systemem raczej powszechna. Przyjemnie jest dziś o tym nie pamiętać, pielęgnując tak bardzo poprawiającą samopoczucie myśl, że się jednak było „przeciw”, prawdą jest jednak, iż ogromna większość inteligencji, także tej, która przywykła do publicznego posługiwania się piórem i którą „kampania marcowa” napawała obrzydzeniem, w żaden publiczny sposób obrzydzenia tego nie artykułowała. Nie rezygnowano na ogół, na znak solidarności z wyrzuconymi z pracy kolegami, z własnych posiad, nie rezygnowano ze współpracy z instytucjami, wydawnictwami, miesięcznikami i tygodnikami, na których czele stali ludzie darzeni skądinąd pogardą, nie pisano protestów. To prawda, okazywano często — na prywatne (choć nie tajne policji) sposoby — sympatie represjonowanym, dotyczyło to jednak, po pierwsze, wąskich środowisk<sup>4</sup>, a po wtóre, owe ludzkie i nie pozbawione ryzyka odruchy (zapisane między innymi w cytowanych przez

---

<sup>4</sup> Nawet jeśli były to instytuty PAN (jak IBL i IS) bądź nieliczne redakcje, z których głównie »Pamiętnik Teatralny« stał się dla wielu politycznym azylem.

Eislera relacjach Baumana i Morawskiego) mają — oglądane z obecnej perspektywy — wymiar tragikomiczny.

Kiedy Koło „Znak” — w osobach pięciu swoich przedstawicieli — zostaje, za swą nienadmiernie przecież radykalną<sup>5</sup> interpelację, zmieszane w Sejmie z błotem, nikt nie udziela mu ostrożnego choćby poparcia ani na sali obrad, ani w kuluarach: „Gdy pod wieczór posłowie Znak u opuszczali gmach Sejmu, wokół nich była pustka. Tylko poseł Stefan Żółkiewski podszedł w hallu do Zawieyskiego i ucałował go”. Cały dzień trwał natomiast „orwellowski »seans nienawiści«”<sup>6</sup>. A przecież w Sejmie zasiadali wówczas także ci, którym owa nienawiść musiała wydawać się odrażająca.

Wcześniej (6 marca, a więc już po lutowym zebraniu Oddziału Warszawskiego ZLP) w obronie studentów wystąpi w swym liście do rektora UW sześciu zaledwie literatów: Andrzejewski, Bocheński, Jastrun, Konwicki, Słonimski, Wańkiewicz. Jeszcze wcześniej, 7 lutego, dokładnie w dzień po ogłoszeniu wyroku na Janusza Szpotańskiego, trzech pisarzy — Jasienica, Słonimski i J. Żuławski — przynosi na zebranie Zarządu Pen-Clubu projekt rezolucji, w której obok protestu w sprawie *Dziadów* znajdzie się apel o uniewinnienie więzionych za przekonania pisarzy greckich i rosyjskich (między innymi Siniawskiego i Daniela). Po dyskusji z projektu pozostaje niewiele: decyzja o interwencji MKiS i to wyłącznie w kwestii pierwszej. W Wydziale Kultury KC znajdzie się natychmiast optymistyczna — nie bez powodu — *Notatka na użytek*: „Niepowodzenie opozycji w Pen-Clubie wydaje się potwierdzać tezę, iż większość pisarzy nie jest w tej chwili skłonna do zaangażowania sytuacji”<sup>7</sup>.

Protest przeciw wejściu wojsk do Czechosłowacji złożyli tylko Andrzejewski i Mycielski, i poza krajem — Mrozek.

W archiwum tegoż Wydziału pośród niezwykle licznych „wyrazów poparcia” dla linii politycznej partii (udzielały go małe i duże zakłady

<sup>5</sup> Jest tam wprawdzie fragment, mówiący o „zagrożającej życiu” brutalności milicji, a decyzja o zdjęciu *Dziadów* nazwana zostaje „ingerencją zagrażającą swobodzie życia kulturalnego i uwłaczającą narodowym tradycjom”, ale mówi się też dwukrotnie, iż protest przeciw tym aktom nie może być utożsamiany z „wrogą postawą wobec socjalizmu”.

<sup>6</sup> Oba cytaty za Eislerem, s. 333.

<sup>7</sup> AAN, zespół KC PZPR, sygn. 237/XVIII-312.



przemysłowe, instytucje kulturalne: zawodowe i niezawodowe — wraz ze Związkiem Teatrów Amatorskich i Stowarzyszeniem Fotografików Amatorów) znaleźć można trzy czy cztery listy sprzeciwu. Wszystkie zresztą anonimowe. Jeden z nich napisany przez nauczycieli — w obronie Kołakowskiego, Baumana i... Schaffa — kończy znamienne zdanie: „Powinniśmy podpisać ten list, ale to nie my stworzyliśmy szkołę cynizmu i kunktatorstwa w tym kraju [...] i dlatego wolimy być tchórzami, a nie jeszcze jedną grupą naiwnych”<sup>8</sup>.

Istotnie, poparcie udzielane represjonowanym (czy to „wichrzycielom”, czy zwalnianym z pracy osobom żydowskiego pochodzenia) kończyło się zazwyczaj kolejną represją: dotyczyła ona obrońcy. Czy jednak całkowicie bez znaczenia był fakt, iż owi obrońcy działali na ogół w pojedynkę?

Oczywiście, nawet działania bardziej powszechne mogły nie mieć żadnego znaczenia. Mogły, ale nie musiały — dowodem przykład z pozoru drobny. Usunięty z SDP January Grzędziński pozostał (wraz z Jasienicą i Kisielewskim) członkiem ZLP mimo silnych presji na Zarząd Główny, i na Sąd Koleżeński. Trzeba było dopiero późniejszego o rok Walnego Zjazdu w Bydgoszczy, aby i związek pisarzy zaakceptował bezprawie.

Ów Zjazd Bydgoski ginie zresztą całkowicie w cieniu, wspomnianego już w tym miejscu, lutowego zebrania literatów warszawskich<sup>9</sup>. Nic dziwnego: w Bydgoszczy działy się rzeczy raczej wstydlive, w Warszawie — bohaterskie. Heroizm a nie konformizm nadają się do legendy.

A przecież prawda o Marcu zawiera w sobie jedno i drugie.

Zebranie Oddziału Warszawskiego zostało już opisane tyle razy<sup>10</sup>, że nie ma powodu relacjonować go raz jeszcze. Jeśli nie liczyć wieców i strajków studenckich była to z pewnością jedyną manifestacją środowiskowej solidarności. Wyrażała ją gorąca atmosfera sali, aplauz z jakim

---

<sup>8</sup> j.w.

<sup>9</sup> Także Eisler, poświęcając mu — słusznie zresztą — osobny rozdział, wszystkie inne narady pisarzy pomija.

<sup>10</sup> Poza Eislerem i cytowanymi przez niego źródłami, przypominało o nim »Wezwanie«, zaś w Archiwum KC PZPR (AAN, sygn. 237/XVIII-319) znajduje się pedantyczna z niego relacja wraz z rejestracją wszystkich wystąpień, a nawet „głosów z sali”, często zidentyfikowanych.

przyjmowano — niezwykle ostre — wystąpienia opozycji, a wreszcie owe 221 podpisów, złożonych pod rezolucją Kijowskiego. Nawet literaci, reprezentujący w wyraźny sposób odgórną linię partii, czuli to wyraźnie. Henryk Gaworski krzychał wprawdzie ze swadą: „Wara od nas, wara od naszych spraw [...] ze swoimi bólami poradzimy sobie bez znakomitych recept i judaszowych rad różnego autoramentu wybawców”<sup>11</sup>, ale nawet Putrament stracił głowę i począł apelować o poparcie dla Gomułki, choć to przywódca nie bez wad i do negocjacji trudny. Tłumaczył się zresztą z tego niebawem w pisemnej samokrytyce, złożonej 10 IV na ręce Kliszki: „gdybym mówił o nim w tonie podniosłym, nikt by nie zareagował na końcowy argument polityczny [...] Nie przypominam sobie, abym użył zwrotu »facet«, użyłem natomiast zwrotu »człowiek«”<sup>12</sup>.

„Końcowy argument polityczny” to oczywiście nakłanianie zebranych do podpisywania konkurencyjnej „rezolucji Dobrowolskiego”. W tym zakresie osiągnął I sekretarz POP rezultat w dosłowny sposób połowiczny: podpisały ją bowiem 124 osoby.

W konfrontacji z nastrojem sali i treścią wystąpień nie tylko Kisielewskiego, Słonimskiego, Kołakowskiego, Grzędzińskiego, Jasienicy, Bocheńskiego, lecz także Mariana Grześczaka i Andrzeja Tchórzewskiego<sup>13</sup> podpisy te wydawały się aktem partyjnego konformizmu. Były nim w znacznym stopniu, nie mówiąc o tym, że dla wielu sygnatariuszy stanowiły po prostu formę wywiązania się z postawionego przed nimi partyjnego obowiązku<sup>14</sup>.

Ale już z perspektywy kilku następnych tygodni ten konformizm nabrał cech odwagi. Zresztą po słynnym wystąpieniu Gomułki 19 marca w Sali Kongresowej — wystąpieniu poprzedzonym „spontanicznymi

---

<sup>11</sup> AAN, zespół KC PZRP, sygn. 237/XVIII-319.

<sup>12</sup> Wystąpienie swoje uznał Putrament w całości za „nieudane, nieskuteczne a zatem politycznie szkodliwe”, a niejasne, składane w jego trakcie obietnice obopólnego „dogadania się” stron za „ponizanie się moje, bądź co bądź sekretarza organizacji partyjnej wobec wrogiej większości na sali”. Archiwum, j.w.

<sup>13</sup> W *Notatce na użytek KC* zwrócono uwagę, że tych dwóch członków partii zajęło „stanowisko wymagające konsekwencji partyjnych”, Archiwum, j.w.

<sup>14</sup> Na zebraniu egzekutywy, poprzedzającym zebranie pisarzy uznano, że nie zajęcie stanowiska w sprawie *Dziadów* źle przysłuży się organizacji partyjnej w ZLP.

ulicznymi wiecami”, na których naród udzielał I sekretarzowi poparcia także w tępieniu „inspiratorów”<sup>15</sup> — nikt nie wyraziłby zgody na przedstawienie rezolucji nawet tak łagodnej.

Uderza bowiem fakt, na który nie zwraca się na ogół uwagi, że frontalny atak na środowisko literackie po zebraniu warszawskim nastąpił z niewielkim, lecz zastanawiającym opóźnieniem. Co prawda 2 marca na naradzie aktywu społeczno-politycznego w Komitecie Warszawskim mówiono o „reakcyjnej grupie członków [...] która z coraz większym zacieźtrzewieniem i wrogością atakuje Partię i Polskę Ludową”<sup>16</sup>, ale nie nadano jeszcze sprawie odpowiedniego rozgłosu. Podobnie na późniejszym o sześć dni posiedzeniu egzekutywy POP i Koła ZSL po zebraniu Oddziału padło wprawdzie zdanie, przedrukowane w numerze 7 »Współczesności«: „właśnie w wyniku tego zebrania wyraźnie zmieniła się płaszczyzna naszej walki z przeciwnikami”, ale wówczas można je było jeszcze uznać za ogólną, nie nową w końcu „wytyczną”. Zresztą ton sporządzonej tuż po 29 lutego *Notatki na użytek KC* ujawnił w ocenie sytuacji tak zwany „umiarkowany optymizm”. Odnotowując głosy sprzeciwu sali wobec niektórych fragmentów przemówienia Grzędzińskiego, jej autor pisał: „stanowiska [opozycji — M. F.] nie są przyjmowane bezkrytycznie [...]”. Można wnioskować, że skrajność tych stanowisk [...] prowadzi do pewnego otrzeźwienia grupy neutralnej”, można też „dostrzec szereg momentów dobrze świadczących o POP ZLP [...]”. Po entuzjastycznie przyjętym wystąpieniu Leszka Kołakowskiego, towarzysz Gaworski zdołał przynajmniej u części zebranych podważyć efekt wystąpienia”<sup>17</sup>. Ani słowem nie wspomina się tu też o gafie Putramenta; on sam swoją samokrytykę składał zresztą dopiero w jedenaście dni po wydarzeniu.

Data decydującą o zaostreniu ataku na literatów oraz — co bardziej zrozumiałe na pedagogów uniwersyteckich był, jak się wydaje, 8 Marca. Wtedy też zaczyna się łączyć w sposób widowiskowy oba środowiska, co wyraża się choćby we wspólnym hasle: „studenci do nauki, pisarze do pióra”.

---

<sup>15</sup> Artykuł Gontarza w »Kurierze Polskim« ukazał się dokładnie na tydzień przed spotkaniem w Sali Kongresowej.

<sup>16</sup> »Życie Warszawy« z 3 marca 1968.

<sup>17</sup> Archiwum, j.w.

Do tej pory zjawisko potępiono wprawdzie, lecz zarazem jakby je bagatelizując. Zaostrzenie reakcji następuje jednak niemal z dnia na dzień, mimo że w środowisku literackim nie daje o sobie znać żadna eskalacja nastrojów, odwrotnie, rzecz na zewnątrz nieco cichnie, a w każdym razie nie zatacza szerszych kręgów. Najlepszym dowodem na to jest fakt, że — aby pokazać skalę niebezpieczeństwa — zarówno władze jak i dyspozytyni dziennikarze musieli uciec się do zasady gramatycznej, stosowanej już w stalinizmie: owej przedziwnej liczby mnogiej, tworzonej od pojedynczych i wciąż tych samych nazwisk.

Bo nazwisk tych naprawdę nie ma aż tak wiele i — co istotne — większość z nich reprezentuje opozycję znacznie wcześniejszą niż Marcowa<sup>18</sup>. W tym sensie termin „notoryczna opozycja”, pojawiający się w większości „notatek służbowych” Wydziału Kultury, mniej i bardziej „tajnych”, ma swe uzasadnienie, choć niekoniecznie oznacza za każdym razem te same osoby. W grudniu 1968 obejmuje on Andrzejewskiego, Grzędzińskiego, Jasienicę, Kisielewskiego, Kołakowskiego, Międzyrzeckiego i ... Żółkiewskiego. Pojawia się też wtedy termin dodatkowy: „drugi rzut opozycji” (A. Braun, K. Brandys, W. Dąbrowski, J. Ficowski, J. Hen, P. Hertz, A. Kijowski, J. J. Lipski, A. Mandalian, S. Pollak), a także najłagodniejsze: „sympatycy opozycji” (R. Matuszewski, A. Szczypiorski<sup>19</sup>, W. Żółkiewska).

Do wszystkich tych trzech<sup>20</sup> grup można dodać oczywiście jeszcze szereg nazwisk — większość jest powszechnie znana, przytacza je nie tylko Eisler, ale i inne źródła. Są pośród nich i pisarze, i znani profesowie, głównie z wydziałów Socjologii, Filozofii i Ekonomii UW, strajku-

<sup>18</sup> Choć na przykład z sygnatariuszy *Listu 34* tylko Słonimski, Andrzejewski i Kisielewski zaistnieli naprawdę aktywnie w roku 1968.

<sup>19</sup> W związku z zaliczeniem Szczypiorskiego do tej właśnie kategorii, K. Rusinek wystosował list do KC, wykazujący bezzasadność zarzutu, co z kolei wywołało z drugiej strony odpowiedź dokumentującą jego słuszność. AAN, zespół KC PZPR, sygn. 237/XVIII-324.

<sup>20</sup> Umiłowanie do triady jest w podziałach partyjnych zastanawiające. Między innymi klasyfikację tę stosował w roku 1964 w stosunku do młodych pisarzy Namiotkiewicz: kryła się w tym ocena moralna (pisarze „dobrzy” — między innymi Bryll; „pośredni” — Stachura, W. Terlecki, K. Orłoś, Wojdowski; „zli” — Brycht, Iredyński, Nowakowski). Podobnie pogrupował w Marcu 1968 ludzi żydowskiego pochodzenia Gomułka.

jący ze studentami polonistyki pracownicy IBL, nauczyciele szkół średnich i adwokaci.

Trzeba przyznać, iż chętnych do publicznego głoszenia fałszu nie było procentowo więcej niż chętnych do głoszenia prawdy; jedni i drudzy stanowili nikły procent nie tylko społeczeństwa, ale i własnego środowiska; wyraźną mniejszość w mniejszości. „Kampanię marcową” przeprowadzali bądź ludzie i dawniej od partii zależni (Putrament, Machejek, Przymanowski, Kąkol, Lenart i paru innych), bądź wcześniej ogółowi prawie nieznanymi (Gaworski, Gontarz). Dotyczyło to zwłaszcza dziennikarzy; większość z nich przypominała o sobie znów dopiero w stanie wojennym.

Czy jednak ta wyraźna u większości niechęć do opowiadania się po stronie władzy miała głębsze praktyczne konsekwencje? Dawałam już wcześniej wyraz swym poważnym w tym względzie wątpliwościom, teraz wypada dorzucić do nich nowe. Ich sens zawiera przywołana już opozycja: zebranie w Warszawie i Zjazd w Bydgoszczy. O ile bowiem wszystkie partyjne wypowiedzi, mówiące o „pewnej izolacji” opozycjonistów od reszty związkowych kolegów wyglądały w lutym na nerwowe samopocieszenie, o tyle u schyłku roku rzecz wyglądała inaczej. Na poprzedzające Bydgoszcz grudniowe zebranie Oddziału Warszawskiego nie przybyła wcale „notoryczna opozycja”, co można uznać za walkower. Przybył wprawdzie ów „drugi rzut”, ale nikt z jego przedstawicieli nie zabrał głosu, mimo iż na zebraniu tym przedstawiono spreparowaną krótko przed nim listę delegatów na Zjazd i że Putrament wyjaśnił okoliczności jej powstania w sposób cynicznie otwarty: „Normalnie zmiany kandydatów ze Zjazdu na Zjazd były nieduże. Obecnie jest zmiana w 50% [...]. Nie mamy zamiaru ukrywać, że ten skład listy został w dużej mierze przez nas narzucony Zarządowi Głównemu [...], okazał on dość dużo zdrowego rozsądku, by porozumienia co do wspólnej listy nie zrywać”<sup>21</sup>.

Zmiany wymuszone na Zarządzie (warto dodać, że z Zarządu tego odszedł w tym czasie tylko Międzyrzecki) były w rzeczywistości olbrzymie. Pod presją władz partyjnych usunięto 28 nazwisk (m. in. Andrzejewskiego, Bocheńskiego, K. Brandysa, A. Brauna, T. Burka, Kijowskiego, Kisielewskiego, Międzyrzeckiego, Nowakowskiego, Odojewskiego, Sło-

---

<sup>21</sup> Archiwum KC PZPR, j.w.

nimskiego, J. Zagórskiego, Zawieyskiego). Wcześniej pod wpływem rozmów z egzekutywą wycofało zgodę na kandydowanie 17 osób, między innymi M. Brandys, Jasienica, Jastrun, Newerly, A. Rudnicki, a także Karst i Dawid Sfar; dwóch ostatnich dzięki zaaprobowanym na Zjeździe poprawkom do statutu ZLP wkrótce zresztą z listy członków skreślono. Z listy „partyjnej” weszły 22 osoby, między innymi: Bryll, Bratny, Grochowiak, Żaluski<sup>22</sup>.

Putramenta ani Zarządu nie wygwizdano, opozycja — jak głosiła „ściśle tajna” notatka w KC — „skoncentrowała się przeto na skreśleniu części partyjnego aktywu w tajnym głosowaniu” i wyszła.

Być może — a nawet z pewnością — nie wszystko odbyło się tak gładko, jak głosili przedstawiciele „partyjnego aktywu”. Faktem jest jednak, że odnieśli tym razem niezaprzeczalny sukces i że sprawdziła się ich wcześniejsza diagnoza, iż „skrajna opozycja” nie czuła już powszechnego wobec swych działań poparcia. Bardzo prawdopodobnie brzmiało więc zdanie, iż także trzech dalszych (wybranych w Warszawie) „sympatyków opozycji” (właśnie Matuszewski, Szczypiorski, Żółkiewska) zrezygnowało z wyjazdu do Bydgoszczy „po zorientowaniu się, iż będą stanowić na Zjeździe izolowaną mniejszość”<sup>23</sup>.

Nie znaczy to oczywiście, iż znaleźli się tam sami konformiści. W dyskusji nie brakło głosów krytycznych, między innymi Grochowiaka, Kubikowskiego, Bądkowskiego, Karpowicza, Mętraka. Zmiany w statucie, głównie punkt zezwalający na pozbawianie członkostwa za działalność „szkodliwą dla kultury socjalistycznej” i współpracę z ośrodkami wrogimi PRL, budziły dezaprobatę.

Ale gdy przyszło do głosowania, tylko Krzysztof Mętrak głosował przeciw, przy sześciu głosach wstrzymujących się. Proporcje w głosowaniu nad powołaniem Komisji Weryfikacyjnej były nieco lepsze (11 głosów przeciw), ale przy ogólnej liczbie stu kilkudziesięciu literatów i tak była to „lepszość” żałosna.

Między lutym 1968 a lutym 1969 wydarzyło się zresztą więcej rzeczy wstydlivych.

---

<sup>22</sup> Pełne listy nazwisk por. »Kultura Niezależna« nr 70.

<sup>23</sup> Archiwum, j.w.

2 kwietnia '68 warszawska POP ZLP podjęła rezolucję, w której po brutalnej „demaskacji” Grzędzińskiego, Jasienicy, Kisielewskiego zażądano wyrzucenia ich ze Związku, bo „poza granicami tolerancji w ZLP muszą znaleźć się ci pisarze, którzy z pozycji jawnie reakcyjnych [...] prowadzą [...] walkę polityczną, przeciw naszemu ludowemu państwu”<sup>24</sup>. Natychmiast posypały się wyrazy solidarności nie tylko z wszystkich bratnich POP innych oddziałów, ale i wielu zarządów. W swym „oburzeniu” starały się one nie tylko dorównać, ale wręcz zdystansować „rezolucję matkę”. Jedyna względnie liberalna POP krakowska została w osobach Hołuja i Broszkiewicza zbesztana na naradzie aktywu partyjnego w Warszawie nie tylko przez Kraškę, ale i przez wielu kolegów po piórze. I znów nikt (a byli na sali pisarze, żywiący w sprawie stosunku do „wydarzeń” znacznie więcej zastrzeżeń niż Hołuj i nie pozbawieni odwagi, co wykazał stan wojenny) nie udzielił organizacji tej poparcia.

A przecież środowisko pisarskie — głównie dzięki postawie stosunkowo licznych swych przedstawicieli — i tak wyszło z Marca najbardziej obronną ręką. Inni stawiali w zakresie „opozycji” zaledwie pierwsze nieporadne kroki. Gdy czytać ich apele, listy, rezolucje, uderza przedziwny rodzimy „machiawellizm” stylu. Gdy SPATiF-ZASP na zebraniu poprzedzającym o cztery dni zebranie lutowe literatów, zebraniu o wiele mniej burzliwym i umiarkowanym w słowach, lecz przecież odważnym (by wspomnieć bodaj śmiało wystąpienie Korzeniewskiego z głośnym werselem-cytatem o „rządzie dusz”), gdy więc na tym zebraniu sformułowane zostają na piśmie protesty związane ze zdjęciem *Dziadów* — i to bez „zasięgnięcia opinii Stowarzyszenia” — to sam „apel do KC” kończy zdanie być może głęboko ironiczne, a jednak dwuznaczne: prośba o „udzielenie władzom i instancjom terenowym dyrektyw, które usunęłyby źródło zarysowującej się w ostatnim okresie dezorientacji repertuarowej”<sup>25</sup>. Z kolei list ZG ZPAP, „dramatycznie oceniający fakt użycia środków porządkowych na terenie ASP w Warszawie” ów dramatyzm upatrywał jedynie w „moralnych następstwach w psychice przyszłych artystów i przyszłych członków ZPAP”, a na początku zapewniał, iż Związek „stoi na stanowisku socjalizmu [...] i stwierdza, że środowisko plastyczne ko-

<sup>24</sup> »Współczesność« nr 8/1968.

<sup>25</sup> AAN, zespół KC PZPR, sygn. 237/XVIII-315.



rzysta z pełnej swobody wypowiedzi artystycznej”<sup>26</sup>. I tak we wszystkich, bardzo zresztą rzadkich odruchach protestu: każda pretensja opatrzona jest mniej lub bardziej jawną asekuracją.

Większość środowisk nie musi zresztą bawić się w te — szlachetne w intencjach — dyplomacje. ZG ZAiKS zapewnia po prostu na początku marca o swym przywiązaniu do partii i pogardzie dla „inspiratorów”. Podobnie SDP, które po swym Zjeździe (14–15 marca) dokonuje w dodatku drastycznej weryfikacji członków. Nie mówiąc już o organizacjach partyjnych oraz POP-ach niektórych uczelni<sup>27</sup>.

Często te wielorakie — nie zawsze wszak wymuszone — „posłania do cara” poprzedzały gorące dyskusje, głosy sprzeciwu. W końcu jednak podpisywali je niemal wszyscy, jakby własny pogląd wydawał się nie tak istotny, skoro nie występuje się indywidualnie a za zasłoną instytucji.

A przecież wszystkie te Zarządy, Stowarzyszenia, Związki i POP-y to żywi ludzie, z których wielu do dziś wspomina Marzec z niesłabnącym oburzeniem, którego przy innych okazjach i wówczas zresztą nie kryli<sup>28</sup>. Nie opuszczali jednak swych stowarzyszeń, związków, partii<sup>29</sup> etc., wyrzekając się w imię dobra własnego — „ich dobra” (bo pojawiały się raz po raz szantaże, że „jeśli nie” to to i owo się zawiesi lub rozwiąże<sup>30</sup>).

I jeszcze do tego ci wszyscy nie zawsze zrzeszeni, na ogół bezpartyjni krytycy, zaświadczający — jak niżej podpisana — normalność bieżącego kulturalnego życia<sup>31</sup>.

<sup>26</sup> AAN, zespół KC PZPR, sygn. 237/XVIII-312.

<sup>27</sup> Nie miałam dostępu do teczek nie podlegających Archiwum Wydziału Kultury, a tu omawiano tylko szkoły artystyczne i to ze względu na właściwą lub nie postawę pedagogów wobec studentów, wyrażaną m. in. wspólnym podpisywaniem petycji. Najgorzej ocenione zostały w tym względzie przez partię łódzka PWSTiF oraz warszawskie: PWST i PWSM. Najpozytywniej uczelnie z Katowic, Gdańska, Poznania oraz łódzka PWSM.

<sup>28</sup> Właściwie jedyną organizacją, której członkowie zdobywali się wyłącznie na gesty poparcia a nigdy sprzeciwu, był PAX.

<sup>29</sup> W Oddziale Warszawskim zrobił to na zebraniu lutowym A. Braun.

<sup>30</sup> W materiałach KC poprzedzających Zjazd w Bydgoszczy znajduje się wyciąg z akt prawnych, dotyczący takiego właśnie „zawieszenia”.

<sup>31</sup> Uderzająca jest na przykład łatwość, z jaką krytyka teatralna zaakceptowała wymianę Mrożka na Brylla.



Jakby łagodnie na sprawę nie patrzeć (bo wyostrająca winy optyka dzisiejsza czy nawet posierpniowa jest w tej mierze z pewnością niesprawiedliwa i „ahistoryczna”) nie da się utrzymać opozycji: władza i zbuntowana inteligencja. Pośrodku znajduje się bowiem owa milcząca — poza środowiskiem studenckim — większość. Nie da się więc opisać roku 1968 wyłącznie z perspektywy „onych” i tych, co przeciw „onym” otwarcie wystąpili. Nie da się go opisać nawet uwzględniając w tym wszystkim tak liczne „niewinne” ofiary Marca. Jego ponury bilans obciąża nie tylko sumienie rządzących, ale i — w znacznym stopniu — owej „milczącej większości”. Przydałoby się zatem pamiętać o złagodnym wariacie „hańby domowej”, spowodowanej nie poprzez zaangażowanie już, a „zaniechanie” raczej. Poprzez podporządkowanie się — choćby podświadome — regułom, jakie narzucił trwający już przecież prawie pół wieku ustrój. To prawda, rok 1968 stał się szokiem, który legł u źródeł późniejszych działań, opisanych „ku pokrzepieniu serc” przez Eislera w rozdziale *Pokłosie Marca*. Ale zarazem przynależał jeszcze staremu myśleniu. Wszak nawet debiutujące po grudniu '70 „pokolenie '68” żywiło wobec Gierka złudzenia nie aż tak odległe od nadziei wiązanych na przykład przez »Po prostu« z Październikiem.

Jest oczywistym, że ówczesnych postaw nie wolno osądzać wedle miary obowiązującej (aż do przesady) w roku 1991. Rygorystyczny kodeks moralny — przyjęty przez ogromną większość wszystkich tym razem (wraz z dziennikarskimi) środowisk — obowiązywać zaczął w stanie wojennym. Wiodła do niego długa i mozolna droga, której etapy i kulminacje zna każdy. Nie zmienia to faktu, iż w roku 1968 model „adaptacji” do politycznej rzeczywistości (oczywiście nie bez frustracji i buntów) był silniejszy niż „model oporu”. Dlaczego? Co pozwalało większości polskiej inteligencji przelknąć wszelkie rozczarowania niespełnionego nigdy Października, patrzeć obojętnie na kampanię prasową związaną z *Listem 34* (a nawet wesprzeć ją podpisami sześciuset literatów), na procesy pisarzy z połowy lat sześćdziesiątych, na ataki na rewizjonistycznych filozofów, historyków, godnych szacunku członków partii, na wyroki wydawane na przestrzeni także kilku przed i pomarcowych lat na młodzież, co sprawiło, iż — praktycznie aż do roku 1991 — utrzymać można było w tajemnicy śmierć Siwca, choć samospalenie Pałacha odbiło się słusznie echem na całym świecie?

W czym tkwiła przyczyna? We względnych luksusach małej stabilizacji? Ale przecież stabilizacja ta tkwiła także w epoce „późniejszego Gierka”, gdy zbierano z powodzeniem podpisy w sprawie zmian w Konstytucji, gdy powstawał KOR, drugi obieg i latające uniwersytety. We wszechogarniającym strachu? Wszak strach ten w roku 1982 winien być większy niż na przykład w 1967. W stałej wierze w „socjalizm z ludzką twarzą”? Temu przecież właśnie Marzec urządził ostateczny pogrzeb. W podporządkowaniu się prawom politycznego realizmu? Lecz argument o geopolitycznym fatum stracił na mocy dopiero długo po Sierpniu. Wiadomo tylko tyle: mimo iż w roku 1968 (a także parę lat przed i po nim) nie mogło już być właściwie mowy o Murti-Bingach, Ketmanach, „ukąszeniach heglowskich” — „zniewolenie umysłów” (nie wszystkich oczywiście, ale o tym nawet w stalinizmie nie było mowy) trwało. Nie tak groteskowe, zawstydzające, lecz czy mniej groźne? Pewnie tak, skoro udało się w końcu z niego otrząsnąć i nie trzeba było do tego aż rewelacji XX Zjazdu. Ale, aby nastąpił pierwszy krok, nie wystarczył Gdańsk '70. To dopiero po paru latach pejzaż uległ zaskakującej odmianie, którą tak dobrze dostrzegł Kott, spisując wrażenia z pierwszej po trzynastu latach wizyty w kraju: „zmieniły się w Polsce granice podległości [...] najbardziej uderzyła mnie ta nowa zwyczajność wydawnictw bez cenzury [...] *List 34* był czymś niezwykle, teraz dobre trzy dziesiątki wydawnictw niekoncesjonowanych wydają się czymś zwykłym i powszednim”<sup>32</sup>. A przecież jeszcze w pierwszej połowie 1980, roku zarówno KOR, jak niezależni wydawcy wielu ludziom zdawali się bezrozumnymi maniakami szlachetności.

Jest szalenie trudno wyjaśnić istotę tego swoistego letargu. Użyto tu słowa „adaptacja” i zwykle rozumie się je jednoznacznie jako tożsame niemal z konformizmem. W „adaptacji”, przystosowaniu kryją się jednak treści szersze; zresztą i konformizm niejedną ma naturę. Mówiąc o „adaptacji” myślę raczej o pewnym „zagospodarowaniu” na własny (i części podobnych nam osób) użytek fragmentu czegoś, co w całości wydaje się wrogie i obce. To własne „gospodarstwo” może nawet stwarzać pozory niezależności od reszty, można je urządzić wedle zasad znanych w cywilizowanym świecie i można w nim żyć w przekonaniu, iż na tak wydzielonym terenie nie tylko żyje się uczciwie, ale nawet, przez sam fakt

---

<sup>32</sup> J. Kott, *Miesiąc po 13 latach w: Kamienny Potok*, Londyn 1986, s. 70.

istnienia, czyni wyłom w otaczającej barbarii. Nie piszę tego ironicznie: ilość wysp, na których kultywuje się wartości inne niż użyteczne ma na pewno znaczenie ogromne. Ale, aby wyspy te istniały, potrzebna jest pewna tolerancja krążących wokół nich piratów. Chcąc sobie na nią zasłużyć, nie można ich rozdrażniać.

Tym, co komunizm wpoił ze skutkiem w świadomość swych obywateli, było z pewnością przekonanie, że każdy wykonany przez nich drastyczny ruch może być ruchem na gorsze. Jakby gdzieś tam głęboko i wstydliwie wierzono w rozliczne ostrzeżenia wysyłane przez wysoko ustawionych „onych”.

Jest zastanawiająca kariera, jaką zrobił ten zaimek długo jeszcze przed książką Torańskiej. Kto wie, czy nie on zawiera w sobie klucz do zrozumienia zagadki.

Od niego rozpoczyna się *Marcowe gadanie* Głowińskiego. „Oni” to izolowana od społeczeństwa narzucona władza: „nikt nie ma wpływu na ludzi należących do »onych«, tak jak się nie ma wpływu na zjawiska atmosferyczne, określane konstrukcjami osobowymi: »pada«, »grzmi«”<sup>33</sup>. W przeciwieństwie do Torańskiej (u której „oni” noszą konkretne nazwiska, co nie ma zresztą większego znaczenia) Głowiński w owej formule upatruje poważne niebezpieczeństwo: „dokonała się więc mitologizacja władzy [...] Jest to z całą pewnością mitologizacja negatywna — mimo wszystko nie żyjemy w czasach pierwotnych, w których uświęca się siły potężne i nieznanne”.

Wydawać się może, iż w roku 1968 nikt już — poza językiem potocznym — w ten sposób władzy nie uświęcał, nikt tym bardziej nie kojarzył jej z „Onymi” z Witkacego. A jednak odrzucana i ośmieszana zdawała się wciąż symbolem czegoś nieodwracalnego i wyższego. Jest znamienne, iż często nawet ludzie z dawna przez tę władzę represjonowani, wygłaszający przeciw niej płomienne filipiki nie tylko w mieszkaniach prywatnych, ale i na publicznych zebraniach, wezwani przed jej potężne oblicze (najpierw do Białego Domu, a po roku 1981 na przykład na Rakowiecką) zachowywali się jak onieśmieleni uczniacy, czujący się w obowiązku udzielać wielu wykrętnych wyjaśnień. Jakże charakterystyczne, że cyto-

---

<sup>33</sup> M. Głowiński, *Marcowe gadanie*, Pomost, Warszawa 1991, s. 7.

wana przez Eislera prosta wypowiedź Pawła Beylina na pytanie, czemu był na pogrzebie Hollanda („bo umarł”), warta była aż anegdoty.

Ale zmitologizowani „oni” to nie tylko owa najwyższa w państwie — i poza nim — piramida (złożona z kolejnych „onych”) wiodąca od I sekretarza KPZR bądź radzieckiego szefa bezpieczeństwa, przez ich polskie odpowiedniki, do sekretarzy powiatowych i jakichś tam pułkowników. „Oni” oddzieleni szczelnie od „nas” — to także ci dworscy dziennikarze i pismacy, z którymi nie czuło się związku. Tak pojętych „onych” nie zrodziło już proste poczucie bezradności wobec silniejszych. Raczej potrzeba swoistej terapii. Wystarczy wszak nie być „onym”, aby uciszyć swe sumienie. Cóż za wspaniała i niegroźna (nie dziw więc, że praktykowany latami) sposób pozbycia się poczucia odpowiedzialności. „Ja tu za nic nie jestem odpowiedzialny”, mógł wszak powtórzyć za Gombrowiczowskim Henrykiem każdy człowiek uczciwy.

Koniec lat siedemdziesiątych zburzył w znacznym stopniu ten mit, choć nie szkodzi pamiętać, że wykształcił jedno jeszcze rozumienie słowa „oni”. Dla wcale nie małej części inteligencji, nie mówiąc już o całym społeczeństwie, „onimi” stała się opozycja. Nie tylko w sensie: „oni» nas wyręcą”, także — niestety — w mniej przychylnym: „oni» mogą zburzyć i ten względny spokój, który nam pozostał”.

Oczywiście takie i inne pojmowanie „onych” wiąże się nie tylko z istnieniem „komuny”, by tego dowieść nie trzeba odwoływać się do historii, wystarczy przywołać teraźniejszość. Ale właśnie w komunizmie ów mit pełnił, jak się zdaje, rolę szczególną, pozwalając się ulokować w nim, urządzić bez szczególnego bólu (o czym dziś wstyd, oczywiście, pamiętać) także milczącej — tak długo — większości. I kto wie, czy i obecnie nie jest najgroźniejszą po nim pozostałością.

[1991]

# Remanent owoców zakazanych

Schował matrycę do torby, jął starannie zapinać plastikowe rzemyki. Znowu odezwały się gdzieś w głębi nocny motory na wysokich obrotach.

— Nie wiem, czy warto ryzykować głową za takie wiersze — niepewnie rzekł kolejarz.

Tadeusz Konwicky, *Rzeka podziemna*

*Rzeka podziemna* była czwartą z kolei powieścią Konwickiego wydaną w konspiracji. Kolportowana (1984) podobnie jak *Wschody i zachody księżycy* (1982) w warunkach znacznie trudniejszych niż *Kompleks polski* i *Mała Apokalipsa* była pod względem literackim ledwie ich ubogą krewną; stopień ryzyka nie pozostawał więc w stosunku wprost proporcjonalnym do jakości. To ona — a nie tomik wątpliwej wartości wierszy poety Ż. — znaleźć mogła się w torbie Siódmego i spowodować sceptycyzm, „falszywego” zresztą, kolejarza. Mogła ją tam też zastąpić ogromna ilość innych dzieł drugoobiegowych autorów, nie tylko tych mało lub średnio, ale i wybitnie utalentowanych.

Wydana właśnie bibliografia *Literatura i krytyka poza cenzurą 1977–1989* opracowana przez Jadwigę Czachowską i Beatę Dorosz przypomina o tym, znanym skądinąd, fakcie w sposób aż nazbyt bolesny.

Zakrawa to na paradoks, bowiem bibliografia (niezależnie od swej czysto użytkowej roli) odbierana jest dość powszechnie jako kolejny pomnik wystawiony tym wszystkim, którzy znaleźli w sobie dość odwagi, siły i chęci na podjęcie — syzyfowego, jak się z początku zdawało — wysiłku, by zainspirować i kontynuować „akt obywatelskiego nieposłuszeństwa”, jak patetycznie określili przed laty walkę o wolność słowa i myśli — Leszek Szaruga<sup>1</sup>. Paradoks jest jednak pozorny. Legenda dru-

---

<sup>1</sup> L. Szaruga, głos polemiczny, »Polityka« nr 46/1980.

giego obiegu jest legendą zasłużoną z tysiąca powodów — będzie o nich tu jeszcze mowa. Ale jak każda legenda wymaga oceny trzeźwej, wolnej nie tylko od resentymentów, lecz od sentymentów także.

Wydaje się, iż najwyższa na to pora. O literaturze „poza cenzurą” można wszak nareszcie rozmawiać bez — samoograniczającego krytycyzm — poczucia obowiązku koniecznej w zagrożeniu solidarności, bez podejrzeń, że jest się na usługach władzy czy w niewoli własnego konformizmu, a także bez moralnego dyskomfortu, wynikającego z przeświadczenia, że atakuje się tych, co bronić się nie mogą, lub też, że dostarcza się argumentów tym, którzy posłużą się nimi w sposób bynajmniej nie bezinteresowny<sup>2</sup>.

Bibliografia *Literatura i krytyka poza cenzurą* taki w miarę już niezależny, wolny od emocji, konieczności i uprzedzeń zabieg ułatwia, choćby przez to, iż dostarcza po temu wystarczającego materiału. Jeśli nawet uzupełniać ją będzie trzeba o nieodnotowane tu pozycje<sup>3</sup>, nie zmieni to z pewnością w sposób znaczący całości obrazu. Obrazu, którego oczywiście w sposób odpowiedzialny odmalować się w tym miejscu nie da; trzeba by na to więcej miejsca, czasu, lepszej znajomości wielu książek, pełnej konfrontacji z tym, co ukazywało się w tym czasie oficjalnie i co przez cenzurę bywało odrzucane etc., etc. Ponieważ jednak zadanie to zbiorowym wysiłkiem podjąć będzie trzeba — nie bez sensu jest chyba bodaj nakreślenie wstępnego, dyskusyjnego z pewnością szkicu. Przed ponad jedenastu laty, tuż po sierpniowym zwycięstwie zachęcali do tego na łamach »Polityki« Adam Krzemiński i Zbigniew Mentzel (nr-y 40 i 41/1980).

Krzemiński, w nawiązującym do głośnego tekstu Barańczaka *Fasada i tyły szkicu Między fasadą i tyłami*, wzywał między innymi do zerwania

<sup>2</sup> Co zdarzało się często, by przypomnieć choćby wielki, przewrotny szkic Krzysztofa Majchrowskiego *Nic albo nic* z »Życia Literackiego« nr 11/1986, który swój atak na mizerność intelektualną omawianych przez się opozycyjnych książek wspiera cytataми Bronisława Geremka, zaczerpniętymi z niemilego poza tym Majchrowskiemu emigracyjnego »Kontaktu«.

<sup>3</sup> Uzupełniać zaś trzeba będzie na pewno; w niezwykle efektowny sposób rozpoczął się ten proces na zorganizowanym przez SPP spotkaniu promującym książkę, w którym uczestniczył, jak się okazało, wydawca *Folwarku zwierzęcego* Orwella (lubelskie „Spotkania”) z roku 1976 — pozycji uznanej przez autorki niemal za mityczną.

z zasadą wartościowania dzieł wedle ich przynależności do oficjalnego i nieoficjalnego nurtu: „chodzi o podjęcie dyskusji, które zostały przerwane lub wykoślawione [...]. I wtedy może się okazać, że fronty przebiegają całkiem inaczej niż się wydaje — nie między postawą zależną a niezależną, lecz między twórczą a odtwórczą, między przenikliwością a płytcizną, między talentem a pozerstwem”. Mentzel w swym eseju demaskował „mowę zależną” całej polskiej literatury, niezależnie od tego, czy powstała pod czy poza cenzurą („polska literatura współczesna nie potrafi spojrzeć w twarz swojej współczesności”). Pisał: „Rok 1970 nauczył polską literaturę współczesną stawiać pytanie — jak można bronić prawa do niezależności? Rok 1980 powinien wreszcie nauczyć polską literaturę współczesną stawiać pytanie, jak można bronić niezależności, jak niezależności dowieść?” I wcześniej: „Rozbicie literatury polskiej na dwa fronty miało dla niej skutki fatalne. [...] Nie tylko dlatego, że na każdym froncie powstały nowe »malutkie zadania pisarskie«. Podstawowym warunkiem normalnego rozwoju literatury jest możliwość jej normalnej oceny”, zaś pisarze — zarówno ci popierani przez władzę, jak i przez nią potępiani „znajdują w krytyce swoich bezkrytycznych rzeczowników. I jedni, i drudzy korzystają z taryfy ulgowej”.

Niezależnie od kontrowersyjności wielu sądów Krzemińskiego i Mentzla sam postulat, by wartość literatury mierzyć wartością dzieł, a nie postaw ich twórców, i to wedle mało skomplikowanego schematu: co nasze to dobre, co „ich” — niewiele warte, był postulatem słusznym i rozsądnym.

Rzecz w tym, iż został zgłoszony w momencie, gdy na rozsądek było jeszcze za wcześnie. Reakcje (szczególnie twórców drugiego obiegu i tych, co mu sekundowali) były dość gwałtowne: dano im wyraz i w następnych numerach »Polityki«, w »Życiu Literackim« i na łamach innych pism — głównie zresztą, co charakterystyczne, oficjalnych. Opozycja nazbyt była obolała, by dyskutować nad trafnością diagnoz w oderwaniu od okoliczności, które taki, a nie inny stan rzeczy zrodziły. To zrozumiałe. W zbyt świeżej pamięci zapisały się rozliczne szykany, bezkarne insynuacje, na które nie mogło być innej — niż „drugoobiegowa” — odpowiedzi, całkowita dowolność (czasem zwykła prywata) w posługiwaniu się cenzurą.

W dodatku pojawiający się — głównie u Krzemińskiego — zarzut zabarykadowania się opozycji w swoistych okopach, co owocuje agre-



sywnością właściwą dla „psychologii obłączonej twierdzy”, nie był zarzutem, który w tamtych latach należałoby kierować akurat pod adresem „niezależnej” literatury. Mógł dotyczyć raczej pewnej części publicystyki i — najbardziej sprawiedliwie — wielu opinii wyrażanych ustnie i srodowiskowo. W październiku 1980, gdy ukazały się drukiem oba artykuły, drugi wydawniczy obieg obchodził dokładnie swe trzylecie; NOWa rozpoczęła wszak działalność wczesną jesienią 1977. Do końca — w warunkach niezwykle przecież niesprzyjających — wyda *Kompleks polski* (jako nr 3 powstałego parę miesięcy wcześniej »Zapisu«), *Nierzeczywistość* Brandysa (wznowienie 1978), *Cienie zapomnianych przodków* Michnika, felietony Kijowskiego, *Socjalizm po 60 latach* Bieńkowskiego, *Pochodzenie systemu* Jakuba Karpińskiego. Do jesieni 1980 ukaże się tu jeszcze między innymi pięć tomików wierszy Miłosza ( w tym *Traktat moralny*, *Traktat poetycki*) oraz *Zdobycie władzy i Zniewolony umysł*, *Czarny polonez* Wierzyńskiego, *Wspomnienia polskie* i rozmowy de Roux z Gombrowiczem, *Mój wiek* Wata, *Inny świat* Herlinga-Grudzińskiego, *Wspomnienia starobielskie* Czapskiego, *Miesiące* Brandysa, *Mała apokalipsa* Konwickiego, *Miazga* Andrzejewskiego, *Wielki strach* Strykowskiego, tomiki wierszy Barańczaka, Ficowskiego, Woroszylskiego, debiuty poetyckie Polkowskiego i Bierzina, *Utwory wybrane* Szpotańskiego, *Rozważania o wojnie domowej* Jasienicy, *Zapiski 1950-53* Strzeleckiego, szkic Zdzisława Łapińskiego o poezji Miłosza *Między polityką a metafizyką*. Z literatury obcych: *Wiersze i poematy* Brodskiego i *Późne wiersze* Mandelstama (oba tomy w tłumaczeniu Barańczaka), *Jeden dzień* Iwana Denisowicza Sołżenicyna, *Moskwa* Pietuszki Jerofiejewa, *Zbyt głośna samotność* Hrabala, *Folwark zwierzęcy* Orwella, *Elegie bukowskie i inne wiersze* Brechta w przekładzie Krynickiego, *Blaszany bębenek* Grassa. Równocześnie nakładem innych wydawnictw niezależnych ukazują się między innymi wiersze Barańczaka, Krynickiego, Zagajewskiego, Szarugi, *Dziennik Gombrowicza* (po raz pierwszy wydał go Klin, 1980; w latach 1981–84 jeszcze pięć wydań, w tym Kręgu, 1984) oraz tegoż *Kosmos*, *Rok 1984* Orwella (Głos), *Nieznośna lekkość bytu* Kundery.

Nawet jeśli spośród owych wyliczonych tu może zbyt skrupulatnie książek były takie, o których rozgłosie zdecydował fakt, iż podejmowały problematykę ze względów politycznych zakazaną (dotyczyło to zwłaszcza zbrodni radzieckich — poza Czapskim i Herlingiem wydano jeszcze *Wspomnienia z Kazachstanu* Bukowińskiego, *Dzieje rodziny Ko-*



rzeniowskich Wańkowicza), to przecież nie „niecenzuralność” stanowiła o ich randze. Z pewnością zaś nie były to dzieła pisarzy zajadłych, propagandowych, nie mających odwagi zmierzenia się — w wymiarze szerszym niż publicystyczny — ze współczesnym czasem; nie wszystkie ustępowały doskonałością literacką *Ferdydurke*, wiele z nich spełniało ów warunek „konieczności” zaistnienia, o którym pisał Mentzel, dostrzegając jego spełnienie niegdyś u Borowskiego<sup>4</sup>. Inna rzecz, że najmniej skutecznie broniła się w tym względzie polska proza najnowsza. Mimo iż właśnie w latach 1977-81 powstała większość najciekawszych utworów prozatorskich, przegrywała ona i ilościowo, i co najważniejsze, w znacznym stopniu artystycznie z tym, co ukazywało się wówczas „pod cenzurą”<sup>5</sup>.

Sytuacja ta nie uległa zmianie ani w sumie proporcji, ani ogólnego poziomu także w roku 1981, kiedy to obok dzieł niemal propagandowych wydano — oprócz wznowień — między innymi *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy* Lipskiego, *Pytania o Rosję* Drawicza, *Dziennik pisany nocą* oraz trzy zbiory opowiadań Herlinga-Grudzińskiego, *Eseje dla Kassandry* Stempowskiego, *Zbiegi okoliczności* Jeleńskiego, Miłosza — oprócz wierszy — *Człowieka wśród skorpionów*, *Prywatne obowiązki*, *Rodzinną Europę*, *Ziemię Ulro* oraz *Księgę psalmów*, Gombrowicza *Operetkę i Trans-Atlantyk*, Kołakowskiego *Obecność mitu*, a także *Kamienny potok* Kotta, *Dziennik 1954* Tyrmanda, *Zwycięstwo* Grynberga. Z przekładów *Requiem* Achmatowej, *Szkice polityczne* Conrada, *Trzy eseje* Russella, *Eseje* Orwella, *Ciemność w południe* Koestlera. Warto może do tego

---

<sup>4</sup> „Czy wśród tysięcy już książek prozatorskich wydawanych w ciągu dziesięciu, a nawet dwudziestu lat [...] jest choć jedna książka konieczna, tak, jak konieczne są w prozie polskiej XX wieku opowiadania Borowskiego albo jedyna powieść arcydzieło — *Ferdydurke*? Czy wśród tych książek jest choć jedna, którą — jak marzył Żeromski — można by dać bez wstydu do czytania »bezstronnemu i czującemu człowiekowi Zachodu«?”

<sup>5</sup> W latach 1977-88 ukazały się w pierwszym obiegu m. in. *Zawał* Białoszewskiego, *Lekcja martwego języka* Kuśniewicza, *Listy staropolskie z epoki Wazów* Malewskiej, *Autograf* Szczepańskiego, *Oblęd* Krzysztonia, *Tabula rasa* Stachury, *Stręczyciel idei* Kornhausera, *Ucieczka do nieba* Komolki, *Zdążyć przed Panem Bogiem* Krall, *Rozmowy z katem* Moczarskiego, *Cesarz* Kapuścińskiego, *Bić się czy nie bić?* Łubieńskiego, dwa ostatnie tomy *Końca świata szwoleżerów* Mariana Brandysa. Ponadto tomy poezji Ficowskiego, Hartwig, Kamińskiej, Międzyrzeckiego, M. Jastruna, Ważyka, Kornhausera, Lipskiej, *Mapa pogody i Muzyka wieczorem* Iwaszkiewicza, *Odczepić się* Białoszewskiego, debiuty Piotra Sommera i Tomasza Jastruna.

dodać przynajmniej jedną pozycję spoza bibliografii literackiej — *Nową klasę* Dżilasa.

Tak więc, jeśli wziąć pod uwagę możliwości i warunki, w jakich działał drugi obieg w porównaniu z wydawnictwami objętymi państwowym mecenatem, jego dorobek zdaje się wówczas istotnie imponujący. Mimo niewielkich nakładów, „środowiskowej” na ogół dostępności dzieł, małego druku i — paskudnej często — szaty graficznej, stanowi niewątpliwie poważne dla mecenatu zagrożenie, stając się przy tym swoistym emisariuszem na kraj nie tylko literatury emigracyjnej, ale i emigracyjnych wydawnictw.

Związki między krajem a emigracją są wówczas zresztą szczególne. Wydawnictwa niezależne wydają głównie dzieła publikowane wcześniej w Londynie i Paryżu; prym wiodą w tym względzie, co znamienne, książki Instytutu Literackiego i to na długo przed zawarciem umowy między tymże a NOWą. Instytut inauguruje natomiast w roku 1977 serię „bez cenzury”, w ramach której ukazują się książki pisarzy krajowych, podpisane — co ważne — prawdziwymi nazwiskami. Zdarza się, iż książka napisana w Polsce ukazuje się najpierw w Paryżu (tak jest m. in. z *Ja wiem, że to niesłuszne* Barańczaka, prozą Orłosa i Madeja, *Kościółem, lewicą, dialogiem* Michnika), czasem jednak odwrotnie, Instytut wydaje tytuły znane już z drugiego obiegu (choćby *Kompleks polski*, *Nierzeczywistość*, *Miazgę*). Nawet *Zbiegi okoliczności* Jeleńskiego ukazały się o rok wcześniej w Krakowie niż w Paryżu; wersje wydań nie są wprawdzie identyczne.

Mimo wzajemnych animozji dochodzi zresztą — i to przed Sierpniem — także do pewnego wymieszania obu obiegu krajowych, choćby poprzez osoby publikujących i tu, i tam autorów (m.in. Andrzejewski, Ficowski, Kornhauser).

Do oficjalnego obiegu przenika też, bardzo wprawdzie nieśmiało, literatura emigracyjna. W latach 1978–81 wydane zostaną wybory poezji Józefa Wittlina, Wierzyńskiego, Lechonia, dwa (po Nagrodzie Nobla i wizycie w kraju) tomy wierszy Miłosa oraz *Dolina Issy*, a także (w roku 1981) *Miesiące* Brandysa. Jeśli idzie o stosunek do emigracji, tendencji tej nie przerwie nawet stan wojenny. Odwrotnie — niemal demonstracyjnie<sup>6</sup> — wprowadzać się będzie do pierwszego obiegu książki pisarzy emigracyjnych. Oczywiście „wybierane rozumnie”, jak to określa Witold Nawrocki, wówczas kierownik Wydziału Kultury KC, z wyraźnym po-

mijaniem emigracji nowszej<sup>7</sup> (wraz z *Traktatem moralnym*), ale i eseje tegoż oraz Stempowskiego, w 1988 — *Szkice Literackie* Czapskiego, *Dzieła zebrane* Gombrowicza wraz z *Dziennikami*, *Utwory wybrane* Hłaski (Czytelnik 1985), poza tym wybory poezji m. in. Brzękowskiego, Balińskiego, Obertyńskiej, Śmieji...

13 grudnia waży natomiast w sposób niezwykle radykalny na wzajemnych relacjach obiegów krajowych. To teraz dopiero mówić można naprawdę o sytuacji „obłożonej twierdzy”. To teraz diagnoza Krzemińskiego brzmiałaby w pełni przekonująco i od teraz będzie się miało w pogardzie tak zwaną „sferę szarą”, będącą dotąd terenem, na którym spotykały się w jakimś sensie i „fasada”, i „tyły”.

Cechą „podziemnego” ruchu wydawniczego lat 1982–83 jest na przykład ogromny wzrost liczby antologii. Wcześniej wydawano je sporadycznie, nie miały one zresztą cech doraźnej propagandy. Obok antologii poezji emigracyjnej i krajowych wyborów tekstów poświęconych kwestiom języka totalitarnego, ukazało się ledwie parę o charakterze okazjonalnym.

W następnym dwuleciu antologie stanowią ponad siedemdziesiąt pozycji, wiele z nich zostaje wznowionych, ogromna ich większość odnosi się do wydarzeń bieżących, dominują pieśni i wiersze ulotne, także z internowania. Nazwy wydających je oficyn rzadko są znane, często za to wyraziste (Targowica, Ekstremista, Zosia-Samosia, Wydawnictwo im. kaprala Wałęsy).

W tytułach antologii często pojawia się przymiotnik „wojenny”, często tytuły te mają charakter życzeniowy (*Obyś Polsko wolną była*), zawierają w sobie groźbę lub pociechę (*Kiedy Polacy prawdziwie powstaną* i *Kiedy prawdziwi Polacy powstaną*), lub apodyktyczny nakaz (*Zerwij kajdany, połam bat*). Przeważa tematyka martyrologiczna (najpopularniejsze, trzykrotnie wydane oraz nagrane na kasecie NOWej *Idą pancry na „Wujek”*), patriotyczna i religijna — na ogół wszystkie te elementy silnie są ze sobą

---

<sup>6</sup> Ową otwartością wobec emigracji zawstydzać się będzie opozycjonistów lekceważących jakoby — niewątpliwie w tej i innej dziedzinie — zasługi władz. Tępiący ostro opozycję Marian Stępień będzie pierwszym autorem, który w swej książce o literaturze współczesnej wyjątkowo dużo miejsca, jak na przyjęte wcześniej zwyczaje, poświęci emigrantom.

<sup>7</sup> Nawrocki wyrazi to wprost: „Jeśli idzie o tzw. emigracyjny program muszę stwierdzić z satysfakcją, że stara emigracja okazała się bardziej zrjonalizowana od nowej (»Życie Literackie« nr 47/1985)

sprzęgnięte, podobnie jak podczas wieczorów poezji w kościołach. Zdarzają się też programy satyryczne, szopki, zbiory dowcipów (*Kawał polski*) na ogół dość niskiej próby.

Negatywnym bohaterem tych antologii jest oczywiście Jaruzelski. Bohaterem pozytywnym... Piłsudski. Teraz dopiero zaczyna on funkcjonować jako postać literacka (poza antologiami wierszy także kasetą NO-Wej), choć jako autor „debiutował” w drugim obiegu znacznie wcześniej — wydaną przez NOWą *Bibułą*.

Popularność tego typu tomów zbiorowych w latach następnych znacznie słabnie, ale już trwale stanowiąc będzie znaczący procent konspiracyjnych poezji. Motyw martyrologii pojawi się w szczególnym zgęszczeniu po śmierci księdza Jerzego Popiełuszki.

Właśnie wielka ilość antologii złożonych z utworów na ogół anonimowych, tworzonych i drukowanych szybko, pod wpływem emocji, sprawia, iż produkcja z lat 1982–83 ma walor przede wszystkim dokumentacyjny, jako swoista relacja z pola walki, gdy nie pora na obiektywizm i nie czas na refleksje. Można ją oceniać rozmaicie — jako chlubny wyraz niezależności i społecznej samoobrony, lub jako przejaw grafomanii i łatwizny literackiej i umysłowej, w którą tak łatwo popaść w sytuacji, gdy rzeczywiste zagrożenie każe odwoływać się do emocji i reakcji zbiorowych.

Jeśli można mieć do tego wydawniczego ruchu pretensje, to o to, iż utrzymywano go zbyt długo i że znajdował swe odbicie w szeregu innych edytorskich inicjatyw, m. in. tak ważnych jak kształtowanie społecznej świadomości. Zaś to ostatnie stawało się niestety coraz wyraźniej tożsame z upowszechnianiem wzmagających dobre samopoczucie stereotypów oraz kultywowaniem wzorców osobowych, obowiązujących w polskiej niepodległościowej literaturze od dwóch stuleci, bez żadnej próby ich rewizji.

Proces ten rozpoczął się zresztą już wcześniej i znalazł swój wyraz choćby w nielicznych książeczkach dla dzieci. Pierwsze, jak reklamowano, niezależne dziełko w tym zakresie, to wydane w roku 1981 przez „Sigmę” opowiadanie Słońskiego (przedruk z 1917) *Jak to na wojence ładnie...*, drugie *Katechizm polskiego dziecka* (Solidarność lubelska, 1981, przedruk z 1916, wznowiony przez warszawskie ABC w 1984), trzecie — *Abecadło wolnych dzieci* Or-Ota (przedruk z 1926, ABC, 1984, następnie dwa wydania 1986, 1989).

Od roku 1982 dość dużą rolę odgrywać też zaczyna w drugim obiegu Unia Nowoczesnego Humanizmu o bardziej wyraźnych niż w którymkolwiek z wydawnictw (łącznie z Głosem) sympatiach ideowych. Wtedy właśnie ukazą się tu *Kościół, naród i państwo*, oraz *Myśli nowoczesnego Polaka* Dmowskiego, którego antymasońską i antysemitką powieść o sensacyjnej fabule *Dziedzictwo* wyda za poznańską Księgarnią św. Wojciecha (1930) bezimienna oficyna warszawska<sup>8</sup>. W tym samym roku ukazują się też w Warszawie *Protokoły mędrców Syjonu* z komentarzami Feliksa Konecznego, wznowione w 1983 w Krakowie. Unia wydaje między innymi *Gospodarkę narodową* Adama Doboszyńskiego (1983) oraz *Cywilizację bizantyjską. Cywilizację żydowską. Świętych w dziejach narodu polskiego* Konecznego (1985).

Oczywiście, między bogoojczyźnianą produkcją wyrosłą z buntu przeciwko realnej, brutalnej przemocy a coraz większą ilością książeczek o rodowodzie endeckim nie ma żadnych analogii — co więcej, sama myśl, iż mogą one istnieć wydaje się krzywdząca. Zda się wszakże, że właśnie atmosfera pierwszych „powojennych” miesięcy szczególnie sprzyja nacjonalistycznej ideologii.

Można w tym, rzecz jasna, dostrzec po prostu nieuchronny (a może wręcz korzystny) objaw pluralizmu światopoglądowego, o którym oficjalnie zaczęło się mówić dopiero w czasach „wojny na górze”. Tym bardziej, że w tym samym czasie dużym powodzeniem cieszą się *Dwa patriotyzmy* Lipskiego, wychodzą pisma Adama Ciołkosza, więcej niż dotychczas publikuje Michnik — jego *Gdy myślę Polska i Niezłomny z Londynu* wyprzedzają znacznie wydane w Głosie *Myśli staroświeckiego Polaka* Wierzbickiego.

Wszystkie te polityczne sympatie nie znajdują zresztą (poza przypadkiem Dmowskiego) specjalnego odbicia w literaturze. Przy lekturze bibliografii Czachowskiej i Dorosz można o nich w ogóle zapomnieć<sup>9</sup>,

---

<sup>8</sup> Wydał ją wówczas Dmowski pod pseudonimem Wybranowski, który i teraz zachowano.

<sup>9</sup> Nie odnotowuje się tu przecież książek o charakterze *sensu stricte* politycznym. Bibliografię tę czyta się jednak inaczej, mając pod ręką dwie wcześniejsze całościowe pozycje: *Bibliografię publikacji podziemnych w Polsce 13 XII 1981–VI 1986* Władysława i Wojciecha Chojnackich wydaną w Paryżu oraz krakowskie *Materiały do bibliografii do druków zwartych wydanych poza zasięgiem cenzury 1982–1986* Marka Jastrzębskiego.

mimo że i w tej dziedzinie literatury zachodzą w stosunku do lat poprzednich wyraźne zmiany.

O ich charakterze decyduje przede wszystkim szok związany z 13 grudnia, który usuwa jakby na dalszy plan wydarzenia Marca '68 czy Grudnia '70, a więc najważniejsze doświadczenia przedstawicieli tak zwanej Nowej Fali i ich rówieśników, którzy byli wszak głównymi inicjatorami i animatorami ruchu niezależnego lat 1977–79.

Reakcja na ten szok sprawia, iż „opozycja” (a jest to zarówno opozycja „stara”, jak i całkiem „świeża”) tworzy teraz środowisko o wiele rozleglejsze i mimo różnych rozgrywek ambicjonalnych scementowane. Zarazem stan wojenny zaostża wzajemną nietolerancję między tymi, co wypowiedzieli posłuszeństwo władzy i tymi, co ją poparli. Opozycja bojkotuje nie tylko popularne mass-media, ale i szanowane przedtem wydawnictwa, miesięczniki i tygodniki kulturalne, poddane zresztą głośnym „weryfikacjom”.

Zachowania strony przeciwnej są z kolei coraz bardziej agresywne. Pośród internowanych 13 grudnia znajduje się wielu pisarzy. Po bezpardonowych atakach na dotychczasowy Zarząd Główny zostaje rozwiązany ZLP, a na jego miejsce powołany nowy, żądający w nowo opracowanym statucie od swych członków m. in. „pełnej akceptacji ustroju PRL”, realizacji polityki kulturalnej państwa, absolutnej rezygnacji z wszelkich form współpracy z „ośrodkami antypolskiej dywersji” w kraju i zagranicą. Kazimierz Molek, wówczas zastępca sekretarza Wydziału Kultury KC, mówi wprost, że w ZLP nie może być miejsca dla redaktorów »Zapisu«, członków KOR, współpracowników Instytutu Literackiego.

W maju 1983 zostaje wydany wyrok śmierci na Zdzisława Najdera. W styczniu 1984 Sejm uchwała „prawo prasowe” skazujące na karę do roku więzienia każdego, kto „bez wymaganego zezwolenia wydaje albo rozpowszechnia dziennik, czasopismo lub inną publikację i to bez względu na jej treść”.

Już w roku 1982 — wtedy głównie na łamach »Rzeczywistości« trwa kampania „antywiązkowa” przypominająca jako żywo marcową. Uwaga władz jest jednak skierowana wówczas przede wszystkim na środowisko aktorskie. To aktorski bojkot telewizji jest najgroźniejszy, bo najbardziej widowiskowy i zauważalny z wszystkich bojkotów. Dopiero po rozwiązaniu ZASP-u ataki na literatów przybierają na sile i trwać będą w podobnej formie do końca roku 1986. Pośród autorów najbardziej zajadłych

artykułów znajdują się zarówno przedstawiciele władz, jak i pisarze: Nawrocki, Molek, Majchrowski, Machejek, Andrzej Wasilewski, Marian Stępień, Kazimierz Koźniewski. Jerzy Grzymkowski wyraża w prasie radzieckiej ubolewanie m. in. z powodu zbyt nikłej liczby swych internowanych kolegów. Zaostrza się cenzura. Jerzy Lisowski dostrzeże w tym wyraz szacunku dla literatury: „Prawdą jest, że u nas o wiele częściej niż na Zachodzie dotyka ona [cenzura] słowa pisarza. Ale to dlatego, że przyznaje mu [...] nieporównanie większą wagę niż na Zachodzie. [...] Cenzurowanie słowa pisarza jest czymś w rodzaju [...] okazywania mu szacunku”<sup>10</sup>.

Opozycja nie czuje się jednak wdzięczna. Przepaść między nią a władzami oraz aktywnymi członkami neo-związku będzie tak głęboka, że nie uda się jej zasypać nawet po czerwcu 1989 mimo usilnych od roku 1988 starań, podejmowanych zarówno przez ministra Krawczuka, jak Żukrowskiego i Koźniewskiego, proponujących pojednanie „nawet bez przeprosin”. Zmontowane z wielkim trudem spotkanie obu stron w Krakowie zakończy się fiaskiem. Jan Józef Szczepański podsumuje to następująco: „Więzy zaufania i szacunku zostały bezpowrotnie zerwane. Bezpowrotnie”.

Wszystko to na losach wydawnictw niezależnych ważyć musi niezwykle silnie. Działają w warunkach o wiele większego zagrożenia. Żadna z oficyn nie ujawnia już — jak to bywało — nazwisk swych działaczy. Utrudniony jest, zagrożony licznymi konfiskatami i ryzykiem osobistym, kolportaż itd., itd. Podstawy i tradycje wydawnicze są jednak tak silne, że ilość oficyn nie tylko nie maleje, lecz rośnie. Poszerza się też znacznie liczba wydających „pod ziemią” pisarzy. Zmienia się też, szczególnie w okresie pierwszym, charakter twórczości bardziej teraz interwencyjnej, odnoszącej się wprost do rzeczywistości. Prozę zaczną wypierać opowiadania, bliskie nieraz — jak u Nowakowskiego — pośpiesznie pisanemu reportażowi. Rzadko udaje się autorowi zdobyć dystans wobec tematu; zdarza się to Andermanowi, a najpełniej realizuje to J. M. Rymkiewicz w ironicznych i autoironicznych *Rozmowach polskich latem roku 1983*

---

<sup>10</sup> Wystąpienie na Forum Kultury w Budapeszcie, listopad 1985; za: »Twórczość« nr 3/1986.



(NOWa, 1984), niewątpliwie największym osiągnięciu prozy krajowej tamtych lat.

Drukowany tu po raz pierwszy w roku 1984 Mroźek pozostanie prawie wyłącznie autorem *Donosów*, mających rekordową ilość wydań (siedemnaście!). Charakter niemal interwencyjny mieć będzie też ogromna ilość wierszy, choć akurat poezje bronią się także pod względem literackim. Najgłośniejszy pozostanie tom *Raport z obłąkanego miasta* Herberta, wydany po raz pierwszy w 1983 roku przez Krakowską Oficynę Literacką (w sumie trzy wydania)<sup>11</sup>.

Mnoży się też, niestety, ilość książek złych literacko bądź pretensjonalnych, czasem postrzegających rzeczywistość w ramach socrealistycznego niemal czarno-białego schematu; jest to nie tylko cechą omawianych już antologii, także dzieł autorskich z najwstydlivszym przykładem — powieścią z kluczem *Umierający i zmarłychwstali* Dalcza (wyd. Azyl, 1985)<sup>12</sup>. W tym kręgu umieścić też trzeba wszystkie ówczesne dramaty — od pseudoromantycznej *Nocy grudniowej* Konrada Kurunda po pozostające na ogół w rękopisach utwory o Lechu Wałęsie. Nawet sprawny literacko, cieszący się znaczną sławą (dzięki inscenizacji Wajdy w kościele na Żytniej) *Wieczernik* Brylla, pełen bezpośrednich i łatwo czytelnych aluzji do stanu wojennego, nie będzie odbiegać od tej zasady.

Obok tematyki „wojennej” dominuje w latach 1981–86 w ówczesnych publikacjach problematyka zbrodni sowieckich. Preferencje wydawnicze — pomimo wielu publikacji dużej wagi — nie zawsze idą w parze z wartością dokumentów.

„Antybolszewizm” jest też od początku kryterium decydującym o wznawianiu dzieł dawnych. Z Feldmana przypomina się tylko *O Rosji* Wrażenia z wycieczki (1984), z Jeske-Choińskiego *Po czerwonym zwycięstwie* (1983), z Żeromskiego *Na probostwie w Wyszkowie* (po raz pierwszy w 1979, następnie siedem wydań), oraz *Snobizm i postęp* (1981), z Iłakowiczówny — *Opowieść o moskiewskim męczeństwie* z roku 1927,

<sup>11</sup> Wymienić wypadałoby jeszcze bodaj: *Ulicę Mandelsztama* Rymkiewicza, *Przechowalnię ciemności* Lipskiej, *Drzewa* (1987) Polkowskiego i wiele wierszy młodych, głównie: Polkowskiego, Maja, Jastruna, Sommera.

<sup>12</sup> Fragmenty Dalcza przedrukowała z zadowoleniem »Polityka«. Wcześniej skompromitowano na jej łamach, dzięki zręcznemu wyborowi fragmentów, jedno z głośniejszych okolicznościowych dzieł o pozorach dokumentu — *Konspirę*.



z Kossak-Szczuckiej *Pożogę, Wspomnienia z Wołynia 1917-1919* (1980). Nawet Dobraczyńskiemu zapomina się chwilowo jego przeszłe i obecne winy, aby wydać szkic z opublikowanego w roku 1938 tomu *Bolszewizm* (1986).

Jest przy tym swoistą przewrotnością, że jedynymi w tym zakresie pozycjami beletrystycznymi dużej rangi są utwory napisane przez Rosjan. Właśnie po roku 1983 uwaga wydawców zwraca się ku najlepszej prozie rosyjskiej, rzecz jasna dysydenckiej. Wcześniej wydano właściwie tylko *Jeden dzień Iwana Denisowicza Solżenicyna* oraz *Mówi Moskwa i inne opowiadania* Arzaka. Teraz między innymi przypomniano *Przekłęte dni* Bunina, *Doktora Żiwago* Pasternaka, *Archipelag GULag* (w latach 1983-88 siedem wydań) i *Krąg pierwszy* (1989) Solżenicyna, *I powraca wiatr* Bukowskiego (1984), *Żywoć człowieka* Maksimowa (1986), *Wykop* Płatonowa, Rybakowa, Szalamowa, Wojnowicza, *Świetlaną przyszłość* Zinowiewa, przypominając także *Zamiatina* (m. in. *My*). Równocześnie wychodzą książki poświęcone Rosji, między innymi Hellera i Drawicza.

Towarzyszy temu równolegle, choć nie tak bujnie, zainteresowanie literaturą czeską i słowacką. Autorami najpopularniejszymi są Kundera (w latach 1983-89 osiem wydań pięciu utworów, z których jednak tylko *Życie jest gdzie indziej* i *Niezdolna lekkość bytu* doczekały się wznowień) oraz Hrabal (dziewięć wydań czterech tytułów). Prócz powieści i opowiadań z literatury czeskiej wydaje się też dramaty (gatunek skądinąd raczej nie lubiany lub niewart uwagi) m. in. Havla i Kohouta. Havel pozostaje jednak głównie autorem esejów (*Eseje polityczne*, Biblioteka »Krytyki«, 1984 i *Thriller i inne eseje*)<sup>13</sup>.

Jest uderzające, jak bardzo uboga, schematyczna i bezradna wobec rzeczywistości okazuje się w porównaniu z tymi książkami „niezależna” proza polska. Nie przez przypadek bestsellery drugiej połowy lat osiemdziesiątych to szeroko rozumiana „literatura faktu”, zastępująca zresztą nie tylko beletrystykę, ale i nie mający w drugim obiegu szans reportaż<sup>14</sup>.

---

<sup>13</sup> Niebagatelne jest i to, że zarówno literatura rosyjska, jak i czeska, mają świetnych tłumaczy. Pierwsza m. in. Łobodowskiego, Woroszyłskiego, Drawicza, Lewandowską, w poezji — Barańczaka. Druga — głównie Jagodzińskiego, Heartmana, Illga.

<sup>14</sup> Poza Kuśmierkiem nikt nie uprawia, bo i jak, tego gatunku. Hanna Krall zaczyna pisać powieści, ciesząc się zresztą uznaniem, choć minoderyjne. Jedyna głośna książka opracowana przez Pracownię Reportażu, a wydana przez NOWą *Kto tu wpuścił dziennikarzy*

A więc autorskie zbiory wywiadów jak *Oni* Torańskiej czy *Hańba domowa* Trznadla (1986 i 1987). Rozmowy (m. in. Beresia z Konwickim *Pół wieku czyśćca*, 1986 i Szejnert z Korzeniewskim *Sława i infamia*, 1988). Relacje zebrane (*Komedianci, rzecz o bojkocie*, 1989) względnie wspomnienia o charakterze dokumentu (*Kadencja* J. J. Szczepańskiego, 1986, *Książki i ludzie* Korzeniewskiego, 1989).

Wbrew doraźnemu „rozpolitykowaniu” rośnie jednak po roku 1983 zainteresowanie eseistyką i poważną publicystyką. Bywają to wznowienia rzeczy wydanych wcześniej. Do najważniejszych pozycji zaliczyć wypada *Rodowody niepokornych* Cywińskiego, książki Michnika, Herlinga-Grudzińskiego, Miłosza, Czapskiego, Vincenza, Kołakowskiego, Wata. A także: Brodskiego, Havla, Sartre’a, by nie wspomnieć już o wyborze pism Simone Weil (Krağ, 1983) i nie objętych bibliografią literacką *Nędzy historyzmu* Poppera (1984) oraz *Problemie winy* Jaspersa (NOWa, 1982).

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych towarzyszy temu eseistyka i krytyka literacka: Adolfa Rudnickiego, Burka, Łapińskiego, Nyczka, pojawiają się książki kontrowersyjne, lecz szeroko dyskutowane (*Polskie, arcypolskie* Wernera, *Spotkania z Miłoszem* Walickiego i inne). Wychodzi kilka ważkich książek zbiorowych m. in. *Literatura źle obecna. Rekonansans* (1986; zbiór referatów z wcześniejszej o pięć lat sesji pod tym samym tytułem) i *Obecność. Rozmowy o ...* poświęcona Kołakowskiemu (1987) oraz przewodniki po krajowej i emigracyjnej literaturze (*Literatura polska po 1939 roku. Przewodnik encyklopedyczny* pod red. M. Drabikowskiego, t. 1 i *Szkice o literaturze emigracyjnej* Danilewicz Zielińskiej). W pobliżu wszystkich tych pozycji umieścić trzeba rozważania dotyczące języka totalitarnego Gołomsztoka (w przekładzie Drawicza), Głowińskiego, J. Karpińskiego. W miarę rozluźniania cenzury skłonność do koncentrowania się krytyki na problemach literackich i językowych wzrasta.

Cała ta wyliczanka nazbyt pewnie nużąca, ale konieczna, bowiem bibliografia w zgodzie z obowiązującymi w tego typu pracach zasadami, nie porządkuje materiału ani wedle gatunków, ani chronologii, cała więc ta wyliczanka, w której przeważają książki i autorzy uznani, godni upowszechniania, zdaje się przeczyć sceptycyzmowi, jaki towarzyszył po-

czątkowi tych rozważań. Należy jednak pamiętać, że kilkadziesiąt choćby tytułów interesujących, czy nawet wybitnych, stanowi ledwie nikły procent spośród 1918 pozycji w bibliografii zarejestrowanych<sup>15</sup>. Oczywiście, można uznać i to za liczbę imponującą. Tym bardziej, że fakt, iż dziełom wybitnym towarzyszyły mierne, chybione, demagogiczne, był też w jakimś sensie objawem zdrowia; tak przecież (o czym obecnie przekonujemy się co dzień) wygląda zawsze kultura wyjęta spod terroru odgórných dyrektyw. Co więcej, gdy pamiętać o rzeczywistości politycznej, w której działał, szczególnie po 13 grudnia, drugi obieg, można uznać, że nawet pozycje, których wartość była czysto doraźna, spełniły znaczną pozytywną rolę. Wyrażały i podtrzymywały protest, uwalniały od lęku (zarówno tych, co je tworzyli, jak i tych, co je czytali), zmuszały obieg oficjalny do pewnych cenzuralnych ustępstw. Oceniane z tamtej perspektywy nawet wątpliwe edytorskie inicjatywy nie tylko mogą, ale nawet powinny zasługiwać na taryfę ulgową. Tak jak każda, nawet nieudolna, twórczość walcząca o godność, narodową świadomość, przetrwanie. Wiadomo, że czas zweryfikuje korzystnie tylko nieliczne jej przejawy.

Bardzo trudno dziś powiedzieć, które z wymienionych tu dzieł wytrzymają ową próbę. Można jednak na pewno już dziś stwierdzić jedno. Główne zasługi drugiego obiegu polegały na zapisywaniu wszelkiego rodzaju „białych plam”. Miały wprowadzić do powszechnej świadomości to wszystko, czego starano się ją pozbawić; zarówno, gdy szło o własną historię, zbiorową tożsamość, jak i kulturę. Trzeba przyznać, że dokonano w tej dziedzinie bardzo wiele. Ale drugi obieg od samego początku i we wszystkich fazach swego rozwoju cierpiał na parę ograniczeń, z których części pokonać nie mógł, a części pokonać nie chciał lub nie potrafił. Pierwsze wynikały już z samego jego usytuowania na marginesie, a nie w centrum życia literackiego, bo niezależnie od tego, co się często mówi, miejsce centralne zajmowała kultura oficjalna.

Przekonanie opozycji objawione między innymi na Forum Kultury Niezależnej (1 V 1989), że w istocie to „drugi” obieg był „pierwszym”, nie świadczy bowiem o niczym innym jak samozadowoleniu. W rzeczy-

---

<sup>15</sup> Byłoby rzeczą niezwykle ciekawą i żmudną obliczyć, o jak wielką liczbę zmniejszyły się owe 1918 pozycje odnotowanych przez Czachowską i Dorosz, gdyby poprzestać tylko na ich pierwszych „drugoobiegowych” wydaniach, wątpić zresztą należy, czy byłoby to możliwe, bowiem czasem ta sama książka ukazywała się pod innymi tytułami.

wistości to obieg oficjalny dyktował „nieoficjalnemu” warunki (choć sam też, jak pisałam, szedł na pewne ustępstwa), już choćby przez to, że to on wyznaczał oficynom niezależnym pole manewru. Miały one wszakże zagospodarować tylko te tereny, którymi ich właściciel (choćby i nieprawowity) zajmować się nie chciał. Narażanie własnego i cudzego bezpieczeństwa dla wydania *Dziennika* czy książek Miłosza miało sens tak długo, jak długo nie ukazywały się ich oficjalne edycje. W jakimś sensie o randze, jaką spełniał podziemny ruch wydawniczy, też decydowała cenzura.

Oficyny podziemne, nawet gdyby nie nęcano ich tak dotkliwymi szykanami, nie mogły więc prowadzić żadnej sensownej i całościowej polityki edytorskiej. Mogły co najwyżej „uzupełniać” o wiele od nich bogatszy — bo wspierany przez potężnego i wszechwładnego mecenasa — rynek wydawniczy. Stanowiły w dodatku ledwie jego niewielki fragment, choćby z czysto technicznych względów. Fakt, iż mimo towarzyszących temu niedogodności (jak choćby królujący bardzo małe druk) chciano czytać drugoobiegowe książki, wynikał stąd, że były to książki „zakazane”, normalnie niedostępne, a i tak rozprowadzane w niewielkim nakładzie<sup>16</sup>.

Poza tym drugi obieg skazany był niejako na przedruki i na to, co nieliczni w końcu autorzy krajowi zechcieli mu dostarczyć. Jego „konspiracyjność” nie pozwalała na swobodne kontakty z pisarzami nawet w kraju, cóż dopiero za granicą, na korespondencje z firmami wydawniczymi ani na żmudne wyszukiwanie zapomnianych dzieł i talentów, na czasochłonne konsultacje, słowem na to wszystko, co zapewnia autentyczną samodzielność i samorządność. Trzeba było w tym względzie korzystać z cudzych usług — Instytutu Literackiego, Polonii, Aneksu i innych. Mniejsze wydawnictwa czerpały przy tym na ogół nawet nie z drugiej, lecz z trzeciej bądź czwartej ręki, uciekając się często do piractwa.

Do owych ograniczeń „obiektywnych” dochodziły inne narzucone sobie jak gdyby „od wewnątrz”.

„Opozycyjność” zobowiązywała rzecz jasna do opozycji. Opozycja jest zawsze jakąś formą zależności od tego przeciw czemu się występuje.

---

<sup>16</sup> Właśnie na tym zrobiły później znaczne pieniądze firmy oficjalne — głównie Alfa. Kiedy jednak owoc zakazany stał się ogólnie dostępny, począł zalegać półki.

W gruncie rzeczy prawie cały drugi obieg padał ofiarą owej presji, którą miał na myśli Gombrowicz w swym słynnym już spostrzeżeniu: „Niczego nie możemy przemyśleć, ponieważ nie mamy swobodnej głowy. Myśl nasza tak bardzo jest przykuta do naszej sytuacji i tak zafascynowana komunizmem, iż możemy myśleć jedynie przeciw niemu lub z nim — i *avant la lettre* jesteśmy przytwierdzeni do jego rydwanu, pokonał nas wiążąc nas z sobą, choć cieszymy się pozorami wolności”<sup>17</sup>.

Przestrzegał przed tym już w rocznicę powstania NOWej Bohdan Chwedeńczuk: „Dopóki kulturę niezależną będzie wyznaczać prawie bez reszty [...] obraz świata zorganizowany wokół przeciwstawienia władz-antywładza, dopóki będzie ją więzić ten doraźny i ciasny horyzont, dopóty będzie ona na miarę tego horyzontu [...] więc ciasna, powierzchowna, jałowa”<sup>18</sup>. Podobne obawy wyrażali anonimowi uczestnicy ankiety. „Czy kultura może być niezależna”, ogłoszonej o wiele później w początkowych numerach »Kultury Niezależnej«.

Jak już tu pisano, wielu książkom udało się horyzont przekroczyć, ale wyłącznie nieliczne i to głównie w ostatnim już okresie (kiedy zainteresowano się nie tylko literaturą dysydentów) nie były w ogóle skażone tą chorobą.

A objawów choroby było wiele.

Przede wszystkim przyjęcie zasady, że przeciwnik jest tylko jeden i że jest nim wyłącznie komunistyczna (czy szerzej — totalitarna) władza. Dalej pewność, że skażeni złem mogą być tylko rządzący. Wreszcie przekonanie, że rację ma ten tylko, kto myśli tak jak my. W drugim obiegu zdarzały się wprawdzie książki wolne od agresywności, ale trudno przypomnieć sobie takie (wyjawszy może niektóre felietony Kisielewskiego), które rozważać by zechciały w najmniejszym bodaj stopniu — a przynajmniej relacjonować — niepopularne w środowisku racje polityczne; rozważać, czy wdawać się z nimi w uczciwą, nie zakładającą z góry własnego pełnego zwycięstwa, dyskusję.

Na pewno zaś nie było takich, które jako motto mogłyby przyjąć słowa Andrzeja Kijowskiego wypowiedziane na Kongresie Kultury Polskiej:

---

<sup>17</sup> W. Gombrowicz, *Dzieła* t. VII (*Dziennik*), Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986, s. 46.

<sup>18</sup> Za: »Kontakt« nr 25–26/1986.

„Czyż poza odwagą zuchwałego dworaka żadna inna literatura nie przystoi i żaden inny nakaz moralny na nią nie czeka? Otóż czeka: mówić prawdę społeczeństwu o jego stanie duchowym i moralnym”<sup>19</sup>. Co gorsza pełne poświęcenia odkłamywanie własnej historii też jest skażone tendencyjnością. Zapisywano wprawdzie z pożytkiem liczne „białe plamy”, ale tworząc zarazem plamy nowe; konsekwencje tego zabiegu dają o sobie znać obecnie w sposób tyleż groźny, co konieczny.

Powszechną świadomość zdają się zresztą od początku kształtować raczej książki gorsze niż lepsze. Raczej nietolerancyjne niż tolerancyjne. Broszura Lipskiego *Dwie ojczyzny* cieszy się wprawdzie względnym powodzeniem, ale przyjęta jest dobrze głównie w bliskim mu intelektualnie i politycznie środowisku. Pierwszy esej podejmujący sprawę stosunków polsko-żydowskich w sposób możliwie neutralny, *Piołun czy popiół. Czy Polacy i Żydzi wzajemnie się nienawidzą?* Zimanda przechodzi właściwie niezauważony.

Dość zdumiewająca jest niejednokrotnie polityka wydawnicza (tym bardziej, że trudno stwierdzić, czy decydują o niej sympatie wydawców, nietrafny kolportaż czy gusta czytelników), wielu pozycji wartościowych i zdawałoby się poczytnych (jak choćby *Błaszany bębenek*) nie wznawia się, inne mają zaskakującą ilość wydań. Obowiązują swoiste mody: nie tylko na literaturę antytotalitarną, także na autorów. Widać to wyraźnie choćby w stosunku do emigracji. Niezwykle długo poza Miłoszem, Gombrowiczem i Herlingiem dostrzega się tylko nielicznych, po roku 1984 przychodzi wielka moda na prozę — budzącego zresztą liczne kontrowersje — Mackiewicza, najpierw nie dostrzeganego, a potem od razu znajdującego się u szczytu wydawniczej statystyki. Dopiero u schyłku lat osiemdziesiątych pojawia się, zresztą precedensowo, Leo Lipski, Haupt, Goetel, Sergiusz Piasecki, a także Jerzy Kosiński, którego popularność znów pewnie graniczyłaby ze snobizmem, gdyby inicjatywy w tym względzie nie przejął obieg oficjalny. Nie doczekali się wszakże ani jednego wydania ani poeci grupy „Kontynentów”, ani Zbyszewski, ani żaden z autorów z kręgu londyńskich »Wiadomości«.

To prawda, że dzięki nielegalnym publikacjom możliwe było zapoznanie się szerszej publiczności czytelniczej z dziełami autorów, które ze

---

<sup>19</sup> Za: »Almanach Stanu Wojennego« nr 1.

względu na zakaz oficjalny nie były wydane. Ale właśnie obowiązek przełamania tego zakazu sprawiał, że nikt tu jakby nie dawał wiary, iż uczuć niezależności, nonkonformizmu i szanowania pewnych zasad moralnych może uczyć także literatura skądinąd cenzuralna. Literatura kojarzyć się miała głównie z polityką; to przekonanie wpaja się także uczniom, nawet w wydawnictwach tak cennych, jak niektóre „Zeszyty Edukacji Narodowej” warszawskiego KOS-u czy opracowane pod redakcją Tadeusza Patrzalka *Glosariusze* do podręczników historii literatury polskiej od średniowiecza do dziś<sup>20</sup>. Polityka kojarzy się zaś na ogół z dogmatyzmem (tyle że dogmatyzmem innego rodzaju niż oficjalny), a nie z budowaniem pluralizmu, o który rzekomo się walczy. Jak w życiu.

Oczywiście, wszystko to wynika z lektury *Literatury i krytyki poza cenzurą* tylko w sposób cząstkowy, bibliografia uwzględnia bowiem tylko druki zwarte, które są ledwie częścią procesu, który znajdował odbicie w „drugoobiegowych” czasopismach. Trzeba się będzie przez nie przekopać.

Niezależnie zresztą od tego, jak oceniony zostanie ostatecznie drugi obieg, jedno jest pewne. Należy po prostu przystąpić wreszcie do ustawiania na półkach — by posłużyć się formułą Leszka Szarugi — już nie książek „właściwych”, lecz po prostu wartościowych. Bez spoglądania na miejsce ich wydania. Książki drugiego obiegu zajmą tam, w porównaniu z książkami wydanymi oficjalnie i z książkami wydanymi na emigracji, z pewnością miejsce nie najważniejsze, lecz po prostu istotne.

Pytanie tylko, ile będzie pośród nich utworów napisanych w Polsce właśnie (a nie w Paryżu, Londynie, Monachium czy Izraelu), którym uwolnienie się od cenzury pozwoliło osiągnąć prawdziwą niezależność myśli, niedbalej o środowiskowe opinie, sporą intelektualną rangę i wszystko to wyrazić w stosownej formie? Myślę, że najbezpieczniej jest pytanie to uznać za czysto retoryczne.

[1992]

---

<sup>20</sup> Wydano we Wrocławiu pięć zeszytów. Dwa ostatnie (od *Młodej Polski* do dziś) wyszły ostatnio jako tom II oficjalnego już wydania (Ossolineum).





# Nowomowa na wolności

Czy nowomowa ma czego szukać na wolności? W tak sformułowanym tytule kryje się oczywiście prowokacyjny paradoks. Wywodzona od Orwella nowomowa kojarzyć się powinna przecież ściśle i bezpośrednio z systemem totalitarnym. Cała, dość zresztą od lat siedemdziesiątych obfita, polska literatura przedmiotu — od pierwszych rozważań o języku marcowej kampanii, przez wydawane w drugim obiegu i na emigracji socjolingwistyczne rozprawy<sup>1</sup>, po ostatnie, opublikowane już w Trzeciej Rzeczypospolitej, książki Michała Głowińskiego — taki ma właśnie punkt odniesienia. Nowomowa to język oficjalnej propagandy czy wężziej: „język partyjny”, język odgórnego manipulacji, kształtowany czasem wedle zasad bezwzględnie ortodoksyjnych, czasem względnie liberalnych — zawsze jednak podporządkowany i sprawdzany wedle tego samego kryterium: użyteczności w służbie wszechobowiązującej ideologii. Zniewalający nie tyle umysły — co język.

Zniewolenie to w rozmaitych okresach PRLowskiego życia przybierało różne formy i różnymi dokonywało się metodami. Z jednej strony polegało na widocznym, wręcz rytualnym uprzywilejowaniu języka władzy, nadaniu mu nadzwyczajnych uprawnień. Nota bene, na ów uprzywilejowany język składały się nie tylko słowne klisze, zbitki pojęciowe, metafory, ale nawet specjalna składnia („składnia [...] staje się zbiorem gotowych sztanc wyrażeniowych, wobec których swoboda mówiącego jest minimalna”<sup>2</sup>). Z drugiej strony, w jeszcze większym rozmiarze i chyba z lepszym skutkiem niewolenie języka dokonywało się poprzez trzy-

---

<sup>1</sup> Między innymi szkic Jakuba Karpińskiego w »Kulturze« (Paryż, nr-y 9 i 10/1972) i w »Zapisie« o marcu, rozprawy Jerzego Bralczyka o propagandzie lat siedemdziesiątych, zbiór *Nowomowa* wydany przez KOS, *Mowa do ludu* Jakuba Karpińskiego (Wyd. Puls, Londyn 1984).

<sup>2</sup> S. Balbus, *Słowa i desygnaty czy akty i gatunki mowy*, »Teksty Drugie« nr 4/1990.

manie pewnych słów „na uwięzi”; możliwość ich użycia stawała się ściśle reglamentowana nie tylko przez sytuację polityczną, ale także kaprysy poszczególnych władców. Zamykano w sferze tabu znaczną liczbę słów, choćby owe słowa na literę „w”, co ostatecznie skłoniło do wyjazdu bohatera Mrożkowych *Emigrantów*.

Oczywiście, niewolący nacisk miał różne nasilenia. Łagodniał, kiedy niezbyt korzystne dla władzy warunki — jak w czasie popaździernikowej odwilży czy w sierpniu 1980 roku — zmuszały ją do szukania kompromisu, a nawet do prób „dialogu” ze społeczeństwem. Wtedy bywało, że właśnie wymykająca się spod kontroli nowomowa hamowała te próby; rządzący, nazbyt już nawykli do swoich stereotypów, nie byli w stanie nawet pod naporem okoliczności zawiesić ich na kolku („Nowomowa nie tylko utrudnia negocjacje, ale także nie dostarcza argumentów<sup>3</sup>). Z kolei w okresach przykręcania śruby — w stalinizmie, po marcu 1968 czy w pierwszych miesiącach stanu wojennego — próbowano uczynić z oficjalnego języka jedyną dozwoloną formę społecznego komunikowania. (Poza chwilami takiego napięcia przynajmniej rządzonej pozostawiano w tej mierze dość znaczną swobodę). Nowomowa w rozmaity sposób funkcjonowała także wewnątrz samego obozu władzy. W pierwszym dziesięcioleciu powojennym była mową całej partii<sup>4</sup>, potem różnicowało się to bardzo znacznie. Sposób mówienia „puławian” różnił się znacznie od sposobu mówienia „natolińczyków” przynajmniej do momentu, kiedy Gomułka wydał walkę frakcjom; z kolei język moczarowców był nieco inny niż język Gomułki, nie mówiąc już o różnicach między „betonem” („Grunwaldem” czy Forum Katowickim) a tak zwanymi liberałami partyjnymi lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Bywało, że nieoczekiwanym przejawem nowomowy stawały się incydentalne odezwania nie należące do oficjalnego języka, choć z niego czerpiące natchnienie. Kiedy indziej nowomowa anektowała słowa czy sformułowania w intencjach od niej jak najdalsze: przykładem opisane przez Głowińskiego zawłaszczanie przez partię słów „jedność” i „soli-

---

<sup>3</sup> M. Głowiński, *Nowomowa a kryzys społeczny w: Peereliada*, PIW, Warszawa 1993, s.149.

<sup>4</sup> Nota bene dziwne, że język lat stalinowskich, niewątpliwie wart opisu, znalazł się, w gruncie rzeczy, poza obszarem uwagi badaczy.

darność”, do których odwoływał się podczas swych wizyt w Polsce papież. Nie mówiąc już o rozlicznych formułach zastępczych stosowanych przy nazywaniu zjawisk niewygodnych („bilety towarowe” zamiast kartek w 1976 roku, „zamieszki chuligańskie” w miejsce robotniczych demonstracji czy „przerwy w pracy”, by nie mówić o strajkach).

Właśnie ta, bardzo tu skrótowo opisana zmienność, wielowariantowość i różnorodność PRL-owskiej nowomowy powoduje, że zjawisko to warte jest szerszej uwagi, wykraczającej poza zainteresowania socjolingwistów. Jest ono bowiem nie tylko przykładem kuriozalnego, sztucznego, stworzonego niejako dekretem języka — lecz także odbiciem rzeczywistości, w jakiej żyliśmy, z całą jej zmiennością, starciami, dramataми i tragifarsami, a także odbiciem mentalności — nie tylko rządzących, ale i obywateli. Badacz nowomowy odtwarza obraz przed chwilą minionej epoki bodaj skuteczniej niż ci, od których oczekiwaliśmy takich syntez: artyści, pisarze, filmowcy, autorzy dramatów. Nie jest uzurpacją nazwanie jednej z trzech świetnych ksiązek Michała Głowińskiego — napisanych przed, lecz wydanych już po czerwcu 1989 roku — *Peereliadą*<sup>5</sup>.

Historia opisana w tych książkach wymaga już, rzecz jasna, przypisów. Co dobrze zdaje się świadczyć o czasie teraźniejszym: młodzi czytelnicy nie mają okazji poznać prezentowanych zjawisk z autopsji, trudno się więc im dziwić, że traktują je jak swoiste księgi nonsensu. A przecież nadmiarem dobrego samopoczucia byłoby wierzyć, że z nowomową rozstajemy się teraz radośnie i zdecydowanie, jak kiedyś pożegnała komunizm Joanna Szczepkowska (też zresztą przedwcześnie i lekkomyślnie).

I nie idzie tu tylko o językowe „prześwity z niedawnych lat”, jakie dwa bodaj lata temu sygnalizował już Głowiński w »Gazecie Wyborczej«. Ani o to, że nad obecnym językiem ciąży „totalitarne znieprawienie”, charakterystyczne na przykład dla antysolidarnościowych kampanii lat osiemdziesiątych, kiedy to „słowa nie są traktowane jak pojęcia coś opisujące, ale jak hasła wartościujące<sup>6</sup>. Ta ostatnia cecha nie przynależy zresztą tylko do komunistycznego języka, odnaleźć ją można w propagandzie rozma-

---

<sup>5</sup> M. Głowiński, op. cit., Pozostałe to: *Nowomowa po polsku*, PEN, Warszawa 1990 i *Marcowe gadanie*, Pomost, Warszawa 1991.

<sup>6</sup> Hanna Świda-Ziemba na zebraniu warszawskiego KIKu w kwietniu 1991.

tych ideologii i epok. Idzie o coś więcej: o głęboki wpływ, jaki nowomowa wywarła — może nawet niechcący — na kształtujące rzeczywistość Trzeciej Rzeczypospolitej środowisko szeroko rozumianej opozycji, który to wpływ odkrywamy dziś coraz częściej i z coraz większym zdumieniem.

W czwartym numerze »Tekstów Drugich« z 1990 ukazał się szkic Anny Wierzbickiej *Język antytotitalarny w Polsce: O pewnych mechanizmach samoobrony językowej*. Już tytuł sugerował, i to apodyktycznie, istnienie systemu językowego, który — jak wolno wnosić z nazwy — był rodzajem odpowiedzi na nowomowę. Artykuł jednak w istocie tezie tej zaprzeczał, był bowiem na pół lingwistyczną, na pół socjologiczną rozprawką, odnotowującą — z widoczną satysfakcją — wyrażenia określane jako „anty-totalitarne”. Do przytoczonych przez Annę Wierzbicką: komucha, komuny, ubeka, ubecji dopisać można jeszcze kilkanaście albo i więcej. Ma jednak rację Jerzy Bralczyk: „z kilku wyrazów i kilku zastosowań [...] reguł morfologicznych języka stworzyć się nie da. Ma to tyle z językiem wspólnego, co wymyślenie przez kilku uczniów dla nie lubianych nauczycieli przezwisk, których używanie tak wspaniale pozwala na odregowanie napięć<sup>7</sup>.”

Nawet jeśli porównanie wydaje się drastyczne, nie sposób odmówić mu racji. Język antytotitalarny w Polsce na większą skalę nie powstał. Można mówić o języku obronnym (albo po prostu normalnym). Takim językiem był: „niewymuszony, choć miejscami wulgarny do plugawości język ulicy. [...] Takim językiem byłby język pewnego typu eseistyki humanistycznej. [...] Taki był język Kościola<sup>8</sup>. Czasem wierność owemu językowi wymagała — jak w latach stalinowskich — prawdziwej odwagi, kiedy indziej była po prostu wyrazem niezależności, tolerowanej a nawet (gdy wziąć pod uwagę dotacje na różnego typu książki polskie i obce) wspieranej przez prawodawców nowomowy.

I właśnie fakt, iż ów normalny język nie zamilkł, a nawet był — poza latami 1949–1953 — językiem dominującym, sprawił, że oddziaływanie czystej nowomowy nie było w ogólnym rozrachunku nazbyt dotkliwie; stanowiła ona teren chroniony<sup>9</sup>, lecz jednak izolowany.

<sup>7</sup> *Antytotitalarny metajęzyk*, »Teksty Drugie« nr 4/1990.

<sup>8</sup> Tamże.

Ale to nie język normalny zdobył sobie największą popularność wśród opozycji ostatniego przed upadkiem PRL-u dziesięciolecia. Odwrotnie: ceniono sobie nade wszystko „język walki”, który — wymierzony w nowomowę wprost i bezpośrednio — zarazem dzielił z nią wiele cech. Głównie kategorię czarno-białe oceny i związaną z nimi niechęć do wszelkiego dialogowania. Nie tylko do dialogu z władzą, ale i z różnymi opcjami światopoglądowymi w ramach samej opozycji. A także, co najważniejsze — choć brzmi bluźnierczo — niechęć do dialogu ze społeczeństwem, z którym nadal się nie rozmawiało, zakładając dufnie, iż myśli ono dokładnie tak, jak aktywna opozycja. W tej akurat sprawie rację miał Piotr Wierzbicki, kiedy w swych — skądinąd dogmatycznych i tendencyjnych — *Myślach staroświeckiego Polaka* przestrzegał przed „okopaniem się przy dogmacie, że stanowimy zjednoczony, umęczony naród, wyznający ideały Solidarności, wsłuchany w słowa TTK<sup>10</sup>”.

Okopanie się przy dogmacie było w jakimś sensie naturalną reakcją na 13 grudnia, język walki zaś wydawał się w tych okolicznościach całkiem stosowny. Opozycyjni działacze i publicyści mają więc na swoją obronę bardzo dużo. W niczym jednak nie zmieniało to faktu, że skłonność do przemawiania w imieniu całego „umęczonego narodu”, bez potrzeby refleksji nad tym, jakie są rzeczywiste oczekiwania i potrzeby znacznej jego części, już wówczas przynosiła ogromne szkody. Wydając walkę partii, pronom, wronom, etc. cały wysiłek skierowano bowiem na odzyskiwanie słów-tabu i dewaluowanie słów oficjalnie preferowanych. Nad tym, co słowa te znaczą naprawdę dla szarych ludzi (w tym i sporej części inteligencji), specjalnie się nie zastanawiano. Pojęcia takie, jak wolność, demokracja, pluralizm, zerwanie z monopolem państwa, samorządność, czy przedsiębiorczość, wydawały się wartościami samymi w sobie; precyzowanie ich sensu a tym bardziej zastanawianie się nad wszelkimi komplikacjami, jakie nieść mogą, wydawało się marnowaniem czasu. Z kolei wszystko, co pisano w prasie oficjalnej — choćby o trudnościach, z jakimi boryka się Zachód, o bezrobociu, pułapkach wolnego rynku — odrzucano jako propagandową nowomowę. Nie znaczy to oczy-

---

<sup>9</sup> Jak bardzo, świadczy na przykład to, iż po dojściu do władzy Gomułki niezwykle szybko i radykalnie zaczęto cenzurować satyryczny dział *Mowa trawa* w »Po prostu«.

<sup>10</sup> P. Wierzbicki, *Myśli staroświeckiego Polaka*, Głos, Warszawa 1985.

wiecie, że nie wiadomo, iż rzeczywistość niekomunistyczna nie jest rajem, w którym wszystkim żyje się komfortowo i którą rządzą tylko miłość, prawda i sprawiedliwość; uważano jednak, że z perspektywy gorzkich doświadczeń „obozu” wszelkie inne są po prostu nieistotne.

Nie byłoby w tym wszystkim niczego dramatycznego, gdyby językiem walki posługiwano się celowo, dla doraźnych celów taktycznych, ze świadomością, że przy jego pomocy nie da się ogarnąć olbrzymiej liczby problemów. Gdyby, jednym słowem, dało się odłożyć go do lamusa w momencie zwycięstwa.

Przez jakiś czas wydawało się zresztą, że na to się zanosi; nowomowa w znaczeniu Orwellowskim stawała się pojęciem całkowicie historycznym. Od zakończenia obrad Okrągłego Stołu nikt nie przemawiał językiem dawnej propagandy, nie ustalał ogólnie dozwolonych i niedozwolonych reguł w zakresie słów czy składni. Od co najmniej trzech lat nie pilnuje już języka cenzura. „Scena publiczna stanęła otworem dla nieskrępowanej walki na słowa. Mamy wreszcie perswazję, a i demagogię z prawdziwego zdarzenia — pisał w 1990 roku Zdzisław Łapiński — Teraz wyłania się obiekt znacznie trudniejszy do uchwycenia, różne odmiany języka ideologicznego, którymi przemawia nie groteskowo obcy nam i wynaturzony stwór instytucjonalny, ale nasza własna »wspólnota komunikacyjna«”. Łapiński sytuacji aktualnej nie apoteozował, wręcz odwrotnie, ale rozważania swe nazwał optymistycznie *Elegią na odejście nowomowy*<sup>11</sup>.

Czas, jaki upłynął od tej publikacji, każe na ów optymizm — wtedy uzasadniony — spojrzeć z rezerwą. Język, jaki owładnął bowiem życiem publicznym, nie jest już wprawdzie nowomową, niemniej w tak ogromnym stopniu składa się ze stereotypów pojęciowych i klisz językowych, a także ze słów zmieniających całkowicie — na użytek doraźny — swe pierwotne sensy, że przestaje być „normalnym” językiem i domaga się swojej oddzielnej nazwy. I do głowy nie przychodzi nic lepszego, niż właśnie nowomowa. Nowa nowomowa oczywiście. Nowomowa na wolności.

Bezpośredniego wpływu na jej narodziny nie miały żadne wydarzenia narzucone społeczeństwu przez siły mu obce. Miały na nie natomiast

---

<sup>11</sup> »Teksty Drugie« nr 4/1990.

z całą pewnością wpływ złe przyzwyczajenia i złe fascynacje. O złych (peerelowskich i antypeerelowskich) przyzwyczajeniach była już mowa. Pośród fascynacji najistotniejszą rolę spełnia tu chyba język Lecha Wałęsy.

Zafascynowanie to, ściśle związane z generalną apoteozą osoby charyzmatycznego przywódcy Solidarności (wyraz „charyzma” też szybko wszedł do „nowonowomowy”), skoncentrowało się przede wszystkim na jego sposobie mówienia. Spontanicznym, niepoddanym żadnym regułom, nieobliczalnym, pełnym sprzeczności i zaskakujących niespodzianek, „dziwacznych metafor nigdy do tej pory niespotykanych”, „oddalających od razu wszelkie podejrzenia o nieautentyczność”<sup>12</sup>. Kiedy Jerzy Urban starał się dyskredytować Wałęsę między innymi poprzez wskazywanie, iż każdego dnia mówi co innego — nie mógł osiągnąć celu nie tylko dlatego, że był osobą skompromitowaną, a Wałęsa wielbioną, ale dlatego również, że ośmieszał właśnie to, co pociągało swą zupełną odmiennością wobec oficjalnych przemówień odczytywanych z kartki, gdzie każde zdanie, argument czy inwektywę można było przewidzieć z góry.

Szło zresztą o coś więcej. Nieobliczalność języka Wałęsy była elementem gry z władzą: niekonsekwencje wyglądały jak maskowanie właściwych zamierzeń, realizowanych zresztą z doskonałym na ogół rezultatem. Co więcej, słowa i wypowiedzi Wałęsy sprawiające wrażenie destabilizujących, zastrzających sytuację, w istocie prowadziły idealnie do osiągnięcia celów i to kilku równocześnie. Wałęsa przy pomocy swojej osobliwej mowy jednocześnie wymuszał na peerelowskiej władzy kompromisy, jakich by się pewnie nikomu innemu nie udało osiągnąć, opanowywał ekstremistyczne nastroje w Solidarności, ba, mówiąc nieustannie o potrzebie kompromisu obalił w końcu ustrój szybciej, niż ktokolwiek by mógł sądzić. Można powiedzieć, że nie znajdzie się łatwo nikogo drugiego, kto by przy pomocy słów osiągnął tak imponująco dużo — choć znalazłoby się wielu równie, a może i bardziej zasłużonych dla Solidarności, jeśli idzie o czyny i koncepcje działania.

Ale miało to i swoją gorszą stronę. Lech Wałęsa nagradzany, wielbiony, a i nienawidzony (nie tylko przez władze, także przez część związkowych kolegów) zaistniał jako symbol Solidarności dzięki instynktowi politycznemu i niezwyklej umiejętności nawiązywania kontaktu z tłu-

---

<sup>12</sup> J. Bralczyk *O języku Wałęsy*, »Teksty Drugie« nr 4/1990.



mem. To, że gorzej wypadal w polityce gabinetowej, nie miało większego znaczenia; negocjacje gabinetowe nie mają żadnego wpływu na popularność. Ta zaś sprawiła, że Lech Wałęsa niebezpiecznie uwierzył w trzy rzeczy. Uznał za pewnik, że reprezentuje najlepiej i w każdych okolicznościach polskie społeczeństwo (stąd właśnie, a nie z egocentryzmu, coraz częściej zamiast „my” slyszymy w jego ustach „ja”). Po wtóre, uwierzył, że kiedy zdania nieprzemysłane i sprzeczne wygłasza on sam — skutek musi być tak czy owak pozytywny. Wreszcie założył, że jeśli rzeczywistość nie wygląda tak, jak miała wyglądać w jego obietnicach — nie ma w tym jego winy, lecz winni są ci, co myśl jego skrzywili, blokując też stosowne działania.

Być może tak przekonany o swej wszechmocy język Lecha Wałęsy uległby pewnej ewolucji po wygranych wyborach prezydenckich, gdyby nie okazało się bardzo szybko, że w sposób dość podobny, tylko o wiele mniej konkretny (a za to o wiele bardziej brutalny!) przemawia większość tak zwanych politycznych elit. Rozpoczęty „wojną na górze” wyścig na frazesy, zaklęcia i inwektywy wytyczył nie tylko językowy charakter kolejnych kampanii wyborczych (przebiegających niekoniecznie elegancko także i w krajach rozwiniętej demokracji), ale i nowomowy politycznej dnia codziennego. Jak porażająco ogromny jest rozmiar tego zjawiska, świadczy fakt, iż ze wszystkiego, co zostało powiedziane w ciągu paru lat wolności w Polsce, pamięta się wyłącznie hasła tym skuteczniejsze, im bardziej demagogiczne i pozbawione treści.

Część z nich (popularność ich wzrasta) powtarza niemal dokładnie frazeologię dawnej nowomowy. „Określone koła” i „sterowanie z zagranicy”, „europejscy liberałowie”, „rewizjonistyczna lewica”, „trockiści” i nawet „tak zwana opozycja z lat osiemdziesiątych”<sup>13</sup>. Nie brak „ludzi, którzy spełnili swe niechlubne zadanie”<sup>14</sup>, działa się „z woli ludu”, w „imię społeczeństwa” i „dla dobra narodu” (na które to dobro powoływano się raz po raz w marcu), ale też pod groźbą „strajkowego pistoletu”, etc., etc.

---

<sup>13</sup> O programie Jędrzeja Giertycha w łódzkim piśmie »Świat« (nr 11/1993) czytamy: „nie udzielił moralnego poparcia komunizmowi, a jedynie wypowiedział się przeciw tzw. opozycji o trockistowskich korzeniach”.

<sup>14</sup> Tak pisał tygodnik »Niedziela« o Rzeczniku Praw Obywatelskich.



Część hasel brzmi inaczej, część jest opatrzona przeciwnym znakiem wartości. Ale ich całkowita semantyczna dowolność jest taka sama jak niegdyś (postkomuniści, różowi i katolewica zastępująca dawnych rewizjonistów czyli zdrajców własnych szeregów; mamy „wartości chrześcijańskie” stwarzające równie dowolne pole manipulacji, co onegdajsze „ideały socjalizmu”). Często też wywołują one niezbyt chwalebne skojarzenia: „agenci Moskwy” przywodzą na myśl „agentów imperializmu”, „szczekające kundelki” są tylko trochę mniej groźne od „psów łańcuchowych”, a podziałów na lewicę i prawicę dokonuje się tak samo dowolnie jak kiedyś i z tą samą obraźliwą intencją.

Pojawiają się też zawołania nowe: „przyśpieszenie”, „gonienie w skarpetkach”, „sto/trzysta milionów dla każdego”, „wchodzenie do Europy” i „ewangelizacja” teź. W Solidarności „wzrasta zapotrzebowanie na obalenie rządu”, jak powiada jej przewodniczący. Owym hasłem, niemal rozczulającym w swym bezsensie, towarzyszą obelgi i pomówienia (niekiedy całkiem oryginalne, kiedy indziej wyświechtane już mocno przez komunistów), za które nikt nikogo nie pociąga do odpowiedzialności. Może dlatego stają się podręcznym słownikiem nowomowy na wolności, odmalowującej świat tak ponury, że melancholijne „komuno wróć” naprawdę nie powinno dziwić. Wedle nowomowy, 4 czerwca 1989 sprowadził na Polskę same klęski, stokroć gorsze od jałtańskich: panowanie udających kiedyś opozycję konfidentów, targowiczian i zwolenników piątego rozbioru, aferzystów pograżających kraj w bezprawiu i budujących nowy PRL tym tylko różniący się od starego PRL-u, że żyje się w nim, produkuje, uczy i leczy znacznie trudniej, na dodatek w stałym lęku przed skolonizowaniem Polski przez Zachód lub (co nieco lepsze) wykończeniem przez złodziejską prywatyzację.

Ta propaganda destabilizacji, depresji i ubóstwa jest o wiele skuteczniejsza od dawnej propagandy sukcesu. Tamta kreowała bowiem świat na tyle niezgodny z codziennością, że jej siła oddziaływania była znikoma. Propaganda klęski Trzeciej Rzeczypospolitej wyraża tymczasem nastroje ogromnej części społeczeństwa, której w odpowiednim momencie nikt nie poinformował o nieuchronnych kosztach przemian. Społeczeństwo jest więc nadal skore do walki z „onymi”, winnymi pogorszenia jego losu, a „onych”, jak się okazuje, jest dziś więcej niż w PRL-u.

Tak więc słowo nie wsparte ani programem, ani działaniem, ani myślą ma niszczycielską moc. To prawda, że nie stoi za nim, jak niegdyś, żaden

aparatu przymusu, nie wspiera go instytucja cenzora ani jedynie słuszna ideologia. Nie ma też jednej, „oficjalnej” nowomowy i każdą z jej odmian można poddać publicznej krytyce. Tylko że dyskusja z nowomowami, choćby dozwolona, jest coraz bardziej bezskuteczna. To też jedna z cech nowomowy, w jej najbardziej jadowitej wersji, upaja jak narkotyk. Producenci, ufni w moc sprawczą słów (nie bez powodu — świadczą o tym najlepiej choćby manifestacje uliczne), nie chcą pamiętać, iż jest to broń obosieczna. Zwłaszcza, gdy nie jest już peerelowskim drewnianym gadaniem, niezdolnym do wywoływania jakichkolwiek emocji.

Nowomowa zrytualizowana musiała upaść wraz z ustrojem, w którym powstała, a który został społeczeństwu narzucony. Nowomowa na wolności współkształtuje — nie najlepiej na razie niestety — ustrój, o który owo społeczeństwo ponoć jak jeden mąż walczyło. Pozostaje tylko oczekiwać (obawiam się, że bezskutecznie) książki, którą, jako rzecz równie historyczną, będzie można kiedyś postawić na półce obok *Peereliady* Michała Głowińskiego, a której tytuł będzie pochodną tego, co jeszcze przed chwilą nazywano „młodą polską demokracją”, a co dziś jest już nie takie młode, choć coraz bardziej niedojrzałe. Wiele wskazuje na to, że będzie to książka barwna: pełna grozy, ale i śmieszności.

[1993]

# Kazimierza Brauna spowiedź bez powodu

Człowiek naprawdę wolny nie może nie posługiwać się pamięcią. Trzeba to zostawić — jak jest. Jako dokument.

Stanisław Bereś do Kazimierza Brauna

Niezwykle trudno pisać o tej książce<sup>1</sup>. Jakże bowiem polemizować z artystą, który — jak sam o sobie mówi — nie sprzeniewierzył się nigdy, ani w sensie dosłownym, ani metaforycznym, żadnemu z przykazań dekalogu. Który heroicznie walcząc o uchronienie Polski przed gotowanym jej losem „pustyni kulturalnej” przeszedł przez komunizm kryształowo czysty, a wiodły go trzy niezłomne zasady: „po pierwsze nie opuścić niedzielnej Mszy św. [...], po drugie, nie zapisać się do partii, po trzecie nie powiedzieć czegoś, czego by potem nie mógł powtórzyć”. Jak więc bez szacunku i czolobitności oceniać *Rozdartą kurtynę* Stanisława Beresia i Kazimierza Brauna, kolejną książkę w modnym dziś gatunku wywiadów-rzek, gdzie prawda miesza się z autoidealizacją nieomal na każdym kroku?

Pomieszenie to widoczne jest od samego początku, od podtytułu. Ma to być *Opowieść o teatrze i nie tylko o teatrze*. Jest to jednak sformułowanie mocno na wyrost i nawet ewentualne ukonkretnienie podtytułu dopełniaczem: *Opowieść o teatrze i nie tylko teatrze Kazimierza Brauna* nie może sprawić, by przestał obiecywać zbyt wiele.

O teatrze Brauna mówią tu bowiem tylko opisy przedstawień sporządzone ręką samego bohatera. Uwzględnione są — czemu się trudno dzi-

---

<sup>1</sup> S. Bereś, K. Braun, *Rozdarta kurtyna. Rozważania nie tylko o teatrze*, Aneks, Londyn 1993.

wić — dzieła najgłośniejsze; porażek nie znajdziemy. Autor ceni swą pracę i jeśli sięga po opinie recenzentów, to tylko po to, by potwierdzić wybitność, a skryć mankamenty. „Bardzo dużo pisano o tym spektaklu, w różnych językach zresztą. Spektakl miał ogromne powodzenie” — notuje reżyser. „Za granicą *Przyrost* [naturalny Różewicza — M.F.] zdobył, mówiąc bardzo oględnie, najwyższe pochwały, został zaliczony do najważniejszych przedstawień tamtych lat” — czytamy o innym jego scenicznym dziele. Jeśli zaś mowa o jakichś recenzenckich zastrzeżeniach, szybko dowiadujemy się, że czepiała się krytyka „partyjna”, reżyserowi niechętna wyłącznie ze względów politycznych.

Teatr Brauna to nie tylko spektakle, lecz także jego dyrekcje. Pierwszą, lubelską, Braun ocenia jako niezwykle istotną, czyniącą z tego miasta ważny ośrodek teatralny dzięki spektaklom nowatorskim formalnie i śmiałym politycznie i dzięki zbudowaniu mocnego, młodego zespołu aktorskiego (aczkolwiek opowiadający przyznaje się nawet do „debiutanckich potknięć”, jakie mu się w Lublinie zdarzały). Druga, wrocławska, relacjonowana jest z perspektywy głośnego odwołania ze stanowiska w roku 1984. Braun uważa ją za dojrzałą artystycznie, bezkompromisową politycznie, zaangażowaną w pozateatralne wypadki po właściwej stronie barykady, z Solidarnością jawną i tajną („zapisali się chyba wszyscy, łącznie z dyrektorem... tylko że zamiast wzajemnych pretensji, jak to bywało gdzie indziej, bo wiesz, że Solidarność wyrzuciła wtedy około połowy dyrektorów w kraju, u nas Solidarność współpracowała zgodnie z dyrekcją, a dyrekcja z Solidarnością”).

Poza spektaklami i dyrektorowaniem, poza pracą naukową, też zresztą związaną z teatrem (doktorat w Lublinie, habilitacja we Wrocławiu, wykłady, książki) mamy jeszcze w książce Brauna to, „co nie jest teatrem” — czyli rzeczywistość. Peerełowską rzeczywistość, w której Braun, „obywatel PRL-u”, uczestniczyć musi, ale zawsze na zasadzie norwidowskiej „osobności”. Najpierw z powodu poważnej krechy w życiorysie (kilkuletnie po 1948 roku więzienie ojca, stryja i kilku jeszcze bliskich krewnych), później — z wyboru. Rzeczywistość ta przedstawiana jest na ogół prawdziwie, nie brak tu pouczających anegdot, a i sam los młodego Brauna zdaje się symptomatyczny. Mimo to trudno traktować *Rozdartą kurtynę* jako cenne świadectwo epoki — co, zdaje się, chcieliby w niej widzieć obydwa rozmówcy. Nie dlatego nawet, że jest subiektywna — subiektywizm jest przecież nieodłączną cechą wszystkich podobnych

książek, co więcej, z takich właśnie subiektywnych spojrzeń składa się później całkiem obiektywne całości. Wiele faktów z relacji Brauna nie może podlegać dyskusji, wielu jego opiniom nie da się postawić zarzutu stronniczości. Nie subiektywizm jest więc tu przeszkodą, ale skrajny egocentryzm; tym bardziej drażniący, im usilniej Braun podkreśla wielką niechęć do mówienia o sobie i przełamywanie jej wyłącznie pro publico bono. Kiedy w liście do Beresia z początku 1992 roku (zatem późniejszym o trzy lata od samych rozmów<sup>2</sup>) pisze: „To jest wszystko spóźnione [...] Po co to komu? Wiem, że ludzie w kraju niechętnie się teraz oglądają wstecz” — myśli przecież nie o historii własnych dokonań, lecz o historii kraju w ogóle. Ta „historia powszechna” ma jednak akurat dokładnie taki wymiar, jaki mu jest potrzebny do szkicowania własnych, heroiczych na ogół, zmagañ.

Podobnie z ludźmi sportretowanymi w *Rozdartej kurtynie*. Jeśli nie liczyć pierwszych dwudziestu paru stron — jednej dziesiątej książki — na których jej bohater opowiada o swojej rodzinie, między innymi o Jerzym Braunie i Jadwidze Domańskiej, wszystkie pozostałe występujące w książce osoby: artyści, działacze, decydenci określani są nade wszystko przez swój stosunek do opowiadającego. Gdy ów stosunek był dobry — na przykład w przypadku Stanisława Witolda Balickiego — poznajemy w lekturze cechy tylko pozytywne, na przykład osobistą kulturę i inteligencję działacza. Gdy zaś wrogi — jak w przypadku Krasowskich — nie dość, że czytamy o brutalności i partyjniactwie rywali, ale okazuje się, że nawet ich nowohuckie sukcesy, uważane raczej za niewątpliwe, są zasługą kogo innego — Szajny. O artystach innych niż Kazimierz Braun nie mówi się w tej książce prawie wcale — a jeśli już, to najczęściej w znamiennych, uogólniających opozycjach. „Niektórzy dostępowali wielkiego zaszczytu: byli zapraszani na polowania (lub sami wpraszali się skutecznie), te polowania — o ile wiem — odbywały się w gronach wojskowo-partyjnych [...] no, więc ja na polowania nie jeździłem.” „Liczni ludzie teatru pili wódkę z sekretarzami KC i KW [...], ja wódki nie piłem. Z nikim”. „Nagrody państwowej, czy ministerialnej, a więc tej, która ujawniała jednocześnie poparcie dla delikwenta, nie dostałem nigdy. Nigdy,

---

<sup>2</sup> Nagrane zostały w 1988 i spisane w 1989 w Lille.

kropka. Może to ci pokaże dokładnie różnice w traktowaniu mnie a osób, które dostawały nagrody państwowe już za swoje debiuty reżyserskie”.

Ten być może usprawiedliwiony, lecz jednak dość szczególny sposób postrzegania rzeczywistości i bliźnich (o których zresztą w imię chrześcijańskiego miłosierdzia nie mówi się na ogół nic złego z nazwiska), prowadzący tę rozmowę Stanisław Beres nie tylko akceptuje, ale i utwierdza. Co gorsza, sam wyraźnie ciągnie całość w stronę tej odmiany wywiadów-rzek — w połowie lat osiemdziesiątych jakoś odkrywczej, dziś nazbyt już zbanalizowanej — w których celem nie jest szukanie prawdy, lecz testowanie szlachetności (lub nieszlachetności) interlokutorów. Probierzem szlachetności jest zaś wyłącznie stosunek do komunistycznej władzy. Ciekawość pytającego jest więc zdeterminowana z góry, i to w sposób doktrynerski aż do śmieszności. Pytania i odpowiedzi zadowolilyby może antykomunistę, który w PRL-u nie spędził ani chwili czynnego zawodowo życia. Kogoś, kto naprawdę byłby przekonany, że była to rzeczywistość nienormalna tak dalece, że — aby zachować w niej uczciwość — nie wypadało odnosić tu żadnych sukcesów ani doznawać jakichkolwiek przyjemności. Odwrotnie: powinno się było żyć na marginesie, w głodzie i w biedzie, demonstrując bezustannie bunt wobec wszystkiego, co oficjalne.

Stąd uporczywe i bezkompromisowe indagacje Beresia o standard mieszkań Brauna, samochodu, wysokości gaży. I mieszczące się w tejszej konwencji odpowiedzi przyciskanego do muru. A więc: suterena u początku reżyserskiej drogi w Warszawie, „złe wyposażenie” mieszkania z betonową podłogą w Toruniu, potem nieco lepsze, lecz obok dancingu („możesz sobie wyobrazić, co to było dla kogoś, kto pisze nocami”) w Lublinie, przeciekający dach i piece we Wrocławiu. Samochód: „pierwszy syrenka, kupiony w 1968 roku za pożyczone pieniądze, potem fiat 125, łada, łada”. Gaża nie sięgająca pułapu („takie gaże były rezerwowane dla swoich”). Wreszcie wyjazdy zagraniczne — nigdy „z wyjątkiem dwóch okazji, dawno temu, w Lublinie [...] nie byłem wysyłany za granicę przez władzę. Odwrotnie, wielokrotnie odmawiano mi paszportu, albo zakazywano przyjąć zaproszenia”. W tej litanii żalów brakuje tylko informacji, czy Braunowi zdarzyło się pójść do restauracji, czy też stołował się całe życie w barze mlecznym, a także, czy stać go było kiedykolwiek na choćby najtańszy urlop.

Nie ma żadnego powodu by kwestionować szczerłość odpowiedzi, jakich Braun udziela Beresiewi, chociaż — gdyby już wdawać się w te żenujące wyliczanki — można by spytać, czy reżyser istotnie uważa, że jego dość liczne występy zagraniczne z teatrem (także po grudniu 1981) nie miały nic wspólnego z „wysyłaniem przez władze”, i czy jego kłopoty paszportowe można porównać z odmowami, na jakie narażona była spora liczba innych twórców i intelektualistów. Wnikanie jednak w tę materię zwyczajnie nie ma sensu, podobnie jak nie ma sensu „lustrowanie” pozycji materialnej rozmaitych, bynajmniej nie uwielbiających ustroju, fachowców z różnych dziedzin. W ciągu co najmniej trzydziestu paru lat — od „odwilży” — ogromnie wielu ludzi żyło w rzeczywistości nienormalnej, ale przecież nie obozowej czy okupacyjnej. W rzeczywistości tej można było, bez żadnego podejrzenia o nieuczciwość, awansować, tworzyć liczne dzieła, cenzurowane wprawdzie, lecz broniące się same, bez żadnej ustrojowej taryfy ulgowej. Nikt nie uznawał tego wówczas — i słusznie — za kolaborację, chyba że były ku temu osobne powody. Niewielu też wyznawało tak dziś popularny pogląd, że był to żywot gnidzi, by posłużyć się starym określeniem Wierzbickiego.

Kiedy więc Bereś atakuje Brauna za jego przynależność do nomenklatury i „prominenckość”, nie sposób nie zgodzić się z argumentacją oskarżanego: „Skoro byłem reżyserem (»jakimś tam«, jak mówi Norwid) to zacząłem otrzymywać propozycje dyrekcyjne [...]. Skoro chciałem się rozwijać, mieć szersze pole, to chciałem też zostać dyrektorem teatru. [...] Ale może to trzeba jeszcze inaczej wyjaśnić: nie ja osobiście byłem w nomenklaturze [...], byłem w nomenklaturze, bo byłem dyrektorem teatru, a nie: byłem w nomenklaturze — więc zostałem dyrektorem teatru; znam parę takich przypadków właśnie”. Braun — podobnie jak znaczna większość jego kolegów po fachu — do „przypadków” takich nie należał, sam fakt objęcia dykcji teatru nie dyskredytował go więc moralnie, przynajmniej w oczach innych. Próba narzucenia dzisiejszej, niekoniecznie przystającej do dawnych warunków, perspektywy w ocenie etyczności działań i decyzji nie służy więc niczemu, a nawet, odwrotnie, zaciemnia i mąci obraz.

Paradoksalnie, nie służy też ani żadnej demaskacji, ani nawet oczyszczającemu katharsis. Bohaterowie takich rachunków sumienia, broniąc się z góry przed zarzutem niecznych intencji, z reguły tak dokonują swej spowiedzi, aby nawet coś, czego nie ma sensu oceniać w kategoriach



chwalebne-naganne (potrzeba sukcesu, ambicje twórcze, nawet chęć poprawy sytuacji materialnej) posłużyło w końcu ich chwale moralnej. Dlatego właśnie niemal wszystko, co zostało w PRL-u stworzone, okazuje się, jak dziś widzimy, dziełem bohaterских Wallenrodów, którzy tylko dlatego godzili się wydawać książki w państwowych (partyjnych) wydawnictwach, wystawiać obrazy w państwowych (partyjnych) galeriach i przygotowywać spektakle na państwowych (partyjnych) scenach — nie mówiąc już o obejmowaniu różnych stanowisk — aby ocalić naszą narodową substancję i świadomość. A związane z tym wszystkim profity przedstawiane są z reguły jako potworne jarzmo, które należy wziąć na swe barki, aby — tak jak Braun — „w warunkach Polski zniewolonej przez komunizm robić cały czas teatr [literaturę, filmy, muzykę, etc. — MF] sprzeciwiający się oficjalnej polityce kulturalnej [...], lansować wartości i idee artystyczne oraz struktury i modele stosunków międzyludzkich [...], które [...] zawierały w sobie ziarno i wzorec kontestacji, niepodległego tworzenia i myślenia, niezależnych postaw”.

A z publikowanych dziś deklaracji artystów, działaczy, ba, nawet polityków wynika niezbicie, że służba owemu wallenrodycznemu posłannictwu była tak powszechna, że właściwie nie bardzo wiadomo, na jakich to jeszcze obszarach mogli działać w Polsce prawdziwi, cyniczni, komunistyczni Krzyżacy.

Problem udało się więc w parę lat po upadku tamtej rzeczywistości wspólnymi siłami sprowadzić do absurdu; *Rozdarta kurtyna* nie zajmuje tu szczególnie eksponowanego miejsca. Co nie znaczy, by nie była groteskowa. Nawet ideologicznie słuszne pozycje do grania, tak zwane „daniiny” repertuarowe, które każdy z dyrektorów musiał składać władzy (i jeśli czynił to bez gorliwości, nie miano o to pretensji), przedstawia się w książce Beresia i Brauna jako ideologiczną dywersję. Dowiadujemy się na przykład, że w *Balladę o tamtych dniach*, lżawo sielankowy obrazek Jurandota i Grodzieńskiej z „Polski Lubelskiej”, wmontowano fragmenty kronik filmowych z powstania warszawskiego i „powstał spektakl wręcz groźny w wyrazie”. W *Bolszewikach* Michaiła Szatrowa z kolei — wspomina reżyser — „Lenin wystąpił z ogromną czupryną! [...] Nie założyłem mu tradycyjnej łysej peruki [...]. I to oczywiście postawiło cały spektakl w (zamierzonym) cudzysłowie”.

Spowiedź Kazimierza Brauna z prawdziwych i — głównie — urojonych grzechów kończy się moralnym happy endem. Zaprojektowany

przez Brauna czytelnik („ — Więc naprawdę chcesz mnie »rozliczyć?« — Mnie to do niczego nie jest potrzebne, ale »ludzie«, a raczej ewentualni czytelnicy pewnie chcieliby wiedzieć. Ja ci daję raczej szansę o tym powiedzieć”) odłoży więc książkę z satysfakcją, szczególnie, jeśli nie jest szczególnie krwiożerczy i żądny ofiar. Ale czytelnikowi, któremu rozliczenia nie są do niczego potrzebne, towarzyszyć będzie raczej uczucie pewnego zawstydzenia. Wolalby, przypuszczam, wynieść z tej rozmowy korzyść większą niż sugestię, trudną do zaakceptowania nawet przy uznaniu talentu i zasług Brauna — iż oto obcował z jednym z dwóch, może trzech, najwybitniejszych, najbardziej bezkompromisowych i antykomunistycznych reżyserów. Poddawanych ciężkim próbom, z których (niezależnie od okresowych, drobnych słabości) zawsze wychodzili zwycięsko.

Kazimierz Braun do tłumaczenia się ze swej politycznej postawy nie ma żadnego powodu. Nigdy nie uchodził za artystę wysługującego się władzy, swą karierę w kraju zakończył jako jeden z politycznych wygnańców. Jeśli nawet uznał, że istnieje konieczność, aby jeszcze bardziej eksponować swą czystość — wystarczyłoby może jedno zdanie. Natomiast troska o konstruowanie wizerunku „wiecznego opozycjonisty” (wymuszona, powtarzam, w znacznej mierze przez Stanisława Beresia) przynosi rezultaty dokładnie odwrotne do zamierzonych. Trudno przecież z należytą powagą traktować namaszczone eksplikacje, takie na przykład: „określasz mnie jako »antykomunistę«, zgadzam się z tym. Ale zarazem mówisz, że się nie deklarowałem — dawniej — jako antykomunista. [...] Mówisz o mojej postawie »przystosowawczej«. Na zewnątrz — ależ oczywiście. Tylko że dla mnie to był dalszy ciąg i konsekwencja konspiracyjnego stylu życia starszego pokolenia z czasu wojny i zaraz po wojnie”.

Gdyby nie ów wieczny przymus udowadniania własnej świętości, byłaby z pewnością *Rozdarta kurtyna* książką o wiele pożyteczniejszą. Są w niej partie, w których refleksje twórcy wyrastają wreszcie ponad rozwinięte do przesady instynkty samoobronne: choćby uwagi o niezależności, którą można osiągać „bez nalepiania sobie na czoło etykiety”, układające się w rodzaj przekonującego manifestu o obowiązkach artysty i wolności teatru. Autowybielająca i „antykomunistyczna” perspektywa dominuje jednak nad całością: chęć wykreowania własnej heroicznej sylwetki przygłusza szansę opowiedzenia prawdy „o teatrze i nie tylko teatrze” takim, jaki był wtedy, gdy Braunowi przyszło go współtworzyć.

Zamiast tego mamy kolejną w ostatnich czasach wspomnieniową książkę „ideologiczną”, mitotwórczą. Co razi tym bardziej, że nadszedł już chyba czas na naprawdę rzetelną próbę opisu peerelowskiej przeszłości (w teatrze i wszystkich innych dziedzinach), wolną tak od sentymentów, jak i resentymentów. Ostentacyjne manifestowanie politycznych preferencji, tak mało w dodatku dziś oryginalnych, może taki opis jedynie utrudnić.

Kazimierz Braun tak naprawdę dobrze o tym wie — ale nie wyciąga z owej wiedzy praktycznych wniosków. Nie tylko w *Rozdartej kurtynie*, której wolno w końcu być tylko mniej lub bardziej przekonującym autoportretem. Także — co istotniejsze — w szkicu o teatrze polskim lat stalinowskich opublikowanym niemal równocześnie z książką w »Zeszytach Historycznych«<sup>3</sup>, gdzie manipulowanie faktami idzie w parze z myśleniem całkowicie ahistorycznym, aczkolwiek niezwykle efektownym. Ten kuriozalny w tysiącu sformułowań „fragment większej całości” poświęconej *Teatrowi Polski zniewolonej* (1939–1989) pokazuje dowodnie, jak bardzo pokrętnie i dalekie od obiektywizmu oceny przynieść może forsowane „odkłamywanie” przeszłości prowadzone z użyciem ideologicznych kryteriów i z dbałością o własny wallenrodyczno-heroiczny wizerunek w tle.

[1993]

---

<sup>3</sup> »Zeszyty Historyczne«, Paryż nr 104, 1993.

# Portret inteligenta

Andrzej Dobosz zaistniał w mej pamięci najpierw jako postać. Dostrzegało się go i zapamiętywało od razu, mimo że nie brylował towarzysko — przynajmniej w potocznym sensie tego słowa — odzywał się cicho i mało, a jego posturę trudno nazwać imponującą. Dla nas — z młodszego odeń o dwa lata (co znaczyło wówczas wiele) rocznika polonistów, stał się przede wszystkim niezbywalnym elementem uniwersyteckiego i przyuniwersyteckiego pejzażu. Bardzo „osobnym”, chociaż przez pewien czas wydawał się nam — jak najniesłuszniej — odmłodzonym i pomniejszonym odbiciem Jana Kotta, którego i on i my byliśmy uczniami. Żadna z jego pisanych wkrótce teatralnych recenzji nie wywarła, jak mi się zdaje, większego wrażenia. Nic dziwnego; konkurencja w tej dziedzinie w pierwszych „odwilżowych” latach była duża — prym bez wątpienia wodził właśnie Kott. Jako autor zabłysnął jednak Dobosz szybko. Ogłoszona we wrześniu '56 *Szkola życia* przynosiła świetny opis wojska; nie tak okrutny, jakim go czynią dziś różne *Krolle*, ale za to inteligentny, finezyjny, odwołujący się do konkretności, a zarazem metaforyczny. Szło tu o konkretne wojskowe absurdy, które wszakże skupiały jak w soczewce absurd całej rzeczywistości. Podobnie jak w zrodzonym zarówno z Gombrowiczowskiej *Ferdydurke*, jak i z całkiem nieliterackiej reporterskiej ciekawości felietonie o szkole, do której — dzięki podstępowi — udało się dwudziestodwuletniemu Doboszowi wkraść w roli ucznia.

Jest rzeczą znamioną, że w zasadzie żaden z późniejszych świetnych tekstów Dobosza nie wywołał podobnego rezonansu, choć przez cały czas miał on swych wiernych admiratorów. Szerszą popularność zdobyła mu raczej rola w — niemiłosiernie przez cenzurę okrojonym — *Rejsie*, rola szczególna, bo polegająca — jak tego żądał reżyser — na „zagranium samego siebie”. Co Dobosz wykonał doskonale zapewne dlatego, że była to rola nie tylko dlań najwłaściwsza, ale chyba i jedyna, której mógł podołać tak bezbłędnie.

„Zagrać samych siebie” mieli, jak wiadomo, w *Rejsie* wszyscy; zarówno zawodowi aktorzy, jak amatorzy. Ale niezależnie od nader owocnego efektu tego eksperymentu, jego ideę tak naprawdę zrealizowali do końca tylko Dobosz i Himilsbach. A może nawet tylko Dobosz. Bo on jedynie zastosował się do wskazania dosłownie: Nie był sobą, lecz grał siebie.

Co być może w tym akurat wypadku znaczyło dokładnie to samo. Bowiem Dobosz „grał siebie” również w życiu. Wydany właśnie przez Puls tom jego tekstów z lat 1956–1990 *Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia*<sup>1</sup> ukazuje to dowodnie także tym, co Dobosza nigdy nie widzieli na oczy.

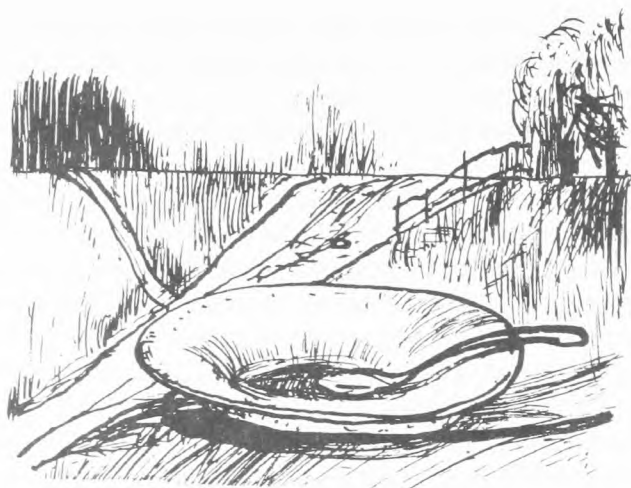
Zarazem jednak dowodzi rzeczy istotniejszej. Przekonuje bowiem, że „granie siebie”, dbałość o doskonałość samokreacji, wszystkie związane z tym śmieszności, dziwactwa i snobizmy wcale nie muszą wykluczać autentyczności. Wręcz odwrotnie: mogą często służyć jej obronie. A także obronie wielu wartości, w imię których niekoniecznie trzeba trafiać do więzienia, ale którym wcale nie jest łatwo dochować wierności na co dzień.

I również z tego powodu — a nie tylko ze względu na literackie i intelektualne walory — *Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia* jest książką tak dużej wagi. Szczególnie obecnie. Można ją czytać na różnorakie sposoby; tak jak czyta się „pisma wybrane”. Na wrywki, od środka, od końca, a także solennie — od początku i po kolei. Trudno tę ostatnią metodę zalecać wszystkim czytelnikom. Czytelnikom nie powieści wszak ani rozprawy, lecz złączonych w całość felietonów, anegdot i esejów.

Ale zdaje się, że właśnie taka lektura jest w tym przypadku najwłaściwsza. Bowiem mimo iż — dłuższe i krótsze — teksty Dobosza mają, co oczywiste, wartość samoistną, to ogromna ich większość swój pełny sens objawia dopiero w ścisłym połączeniu z innymi. Być może i dlatego ranga *Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia* wykracza daleko poza granice przynależne zazwyczaj tego rodzaju edycjom. Stając się — poza wszystkim innym — autoportretem (czy po prostu portretem) inteligenta. Tego inteligenta, którego się dziś specjalnie, z różnych względów nie ceni, a bez którego znaczącej obecności tak łatwo brnąć we frazeologię, umysłową łatwiznę, złe obyczaje i zwyczajne chamstwo.

---

<sup>1</sup> A. Dobosz, *Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia*, Puls, Londyn 1993.



Andrzej Dobosz jest w pewnym sensie inteligentem modelowym: i to w dawnym, tradycyjnym rozumieniu tego pojęcia. Z wszystkimi jego słabościami, pewną manierycznością, egocentryzmem, nadmierną cząstką „literackością” w ocenianiu świata („od dawna zresztą przyzwyczaiłem się myśleć, a więc i mówić cytatami”) i zbyt częstymi może ucieczkami w książki („zauważyłem jednak, że argument za tym, by przełożyć życie nad książki zaczerpnąłem właśnie z jednej książki”). Ale także z wszystkimi jego zaletami, które w każdej epoce i ustroju należałoby pielęgnować troskliwie. Niecodziennym odczytaniem („zaczynały się najlepsze lata mojego życia: czytanie”). Wiedzą zdobywaną z przyjemnością i bezinteresownie, wykorzystywaną wprawdzie — z umiarem i dystansem — w publikowanych tekstach, lecz gromadzoną nie na ich doraźny użytek. Ciekawością świata i ludzi zaspokajaną nie tylko poprzez codzienną obserwację życia, lecz także (a nawet przede wszystkim) dzięki godzinom spędzonym w bibliotekach, a owocującą awersją do łatwych uogólnień, postrzegania zjawisk wyłącznie w dwu przeciwstawnych barwach. Wiernością zasadom moralnym, odnoszącym się nie tylko — jak to dziś w zwyczaju — do polityki, ale i spraw z pozoru drugorzędnych, co nie bardzo jest dziś, niestety, w modzie. Pisze np. Dobosz na marginesie rozważań o jednej z książek: „Idea, że wobec zmarłych nie obowiązują nas już względy przyzwoitości, jakie bylibyśmy im gotowi świadczyć za życia jest — jak się wydaje — świeżej daty”. Jakże egzotycznie brzmi to

w istocie banalne zdanie dzisiaj, gdy „względy przyzwoitości” przestały w tej mierze obowiązywać także w stosunku do żywych i gdy dyskrecja jest uważana za cnotę bezrozumną.

*Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia* (tytuł książki pochodzi od pseudonimu Dobosza z „epoki »Współczesności«”) nie jest jednak — jak wiadomo — moralizatorem. Raczej subtelnym ironistą. Doskonałym podpatrywaczem codzienności, o której bardzo rzadko mówi w manierze publicystycznego „wprost”. Myślę, że nie tylko ze względu na onegdajszą cenzurę (choć i ten powód nie był w swoim czasie bez znaczenia), ale i z upodobania. Jest w tej książce sporo sformułowanych w sposób bezwzględny kąśliwości i na temat nonsensów bieżącego życia, i poszczególnych osób: Przymanowskiego, Drozdowskiego, KTT, Jana Zakrzewskiego („...zawsze wtedy jest audycja *Co słycać*, w której Jan Zakrzewski opowiada z Nowego Jorku o kolejnych przykrościach, które go spotkały”). Jest nieco anegdot i charakterystycznych „rozmów zasłyszanych” — najczęściej w autobusie. Ale tak naprawdę, gdyby się chciało (co nie jest konieczne) szukać w tej książce istotnej prawdy o PRL-owskiej rzeczywistości, o mentalności, o codziennej kulturze, to wyłania się ona raczej z tekstów, które ukazują ich degrengoladę poprzez zderzenie „dziś” i „wczoraj”, oglądaną nie z dziennikarskiej, lecz znacznie szerszej i głębszej perspektywy; tej jaką daje erudycja pozwalająca osadzić „tu i teraz” nie tylko w doraźnych aktualnych kontekstach.

A więc w esejach, poświęconych np. PWN-owskiej Bibliotece Klasyków Filozofii, słownikom biograficznym lub po prostu książkom kucharskim dawnym (*Kuchnia narodowa polska* z lipca 1968!) i całkiem nowym. Szkic *O kaszy mannej* (lato 1989), traktujący o *Współczesnej kuchni polskiej* Henryka Dębskiego wydanej w stutysięcznym nakładzie w drugim roku „wojny jaruzelskiej” staje się dla Dobosza dodatkowo — niewykorzystaną przez innych — okazją do stworzenia mini-syntezy stanu wojennego, w której mniej idzie zresztą o martyrologię („ketchupem wreszcie mają być skropione »szparagi a la Radziwiłł«. Pomawianie Radziwiłłów, że szparagi jadali z ketchupem było zapewne najdrobniejszą z niegodziwości, uczynionych w Polsce w roku 1983”), bardziej o kwestię smaku. Nie tylko smaku pojmowanego — jak to w książkach kucharskich bywa — nader dosłownie, ale i w sensie Herbertowskim.

Jest przy tym wyraźnym znakiem czasu, że o ile dawniej, czytając teksty Dobosza odnajdywało się (nawet w tych od dnia codziennego naj-



odleglejszych) aluzje do współczesności, tak teraz owa współczesność zdaje się tu stosunkowo mało zajmująca. W jakimś sensie chciałoby się tu użyć formuły, którą on sam posłużył się pisząc o Zbigniewie Raszewskim: „eseje mieszają się z rzetelnym opisem rzeczywistości, wydającej się bytem podrzędnego rodzaju”.

Byt istotny odsłaniany jest dzięki lekturom. Nad wyraz rozległym, i nieraz zaskakującym. Przede wszystkim dziewiętnastowiecznym: Dobosz projektujący w połowie lat 60-tych napisanie powieści osadzonej ok. roku 1840 przygotowywał się do zadania solennie. Swoje „postanowienie, by przeczytać książki wydane między rokiem 1815 a 1855” realizował w stopniu maksymalnie możliwym, nie pomijając nie tylko pamiętników, korespondencji, prasy, ale także *Kucharki litewskiej* Wincentyny Zawadzkiej i *Fantazyjnych objawów zmysłowych* doktora Wiktora Szokalskiego. Powieść, jak się zdaje, nie powstała, ale lata nie były zmarnowane. Ani dla czytelników Dobosza — na marginesie bowiem tych lektur powstała ogromna ilość jego świetnych esejów. Ani dla samego autora: obcowanie z książkami jest dla niego wyraźnie przyjemnością większą niż ich tworzenie. Ilość tytułów i zakres zainteresowań (wszystko tu zaspakaja ciekawość czytającego: i rozważania o dziewiętnastowiecznym tkactwie, i *Praktyczne wskazówki dla zbieraczy motyli*) są doprawdy imponujące. Nic dziwnego, że podczas rewizji, jaką przeprowadzono u Dobosza w roku 1972, z ust „jednego z panów” wydobyło się ni to usprawiedliwienie, ni skarga: „To trwa tak długo, bo ma pan wydawnictwa, z którymi dotąd nie zetknęliśmy się”.

Przy pewnej dla Dobosza niechęci (której jednak chyba nikt nie żywi) owo powoływanie się na coraz to inne książki można by określić swoistym rodzajem snobizmu. Ale, jeśli nawet i on wchodzi częściowo w grę, to z pewnością nie jest decydujący. Mamy oto do czynienia z niezbyt już popularnym gatunkiem humanisty z prawdziwego zdarzenia, a w dodatku — co jeszcze radsze — nie dającego się zamknąć w żadnej ze specjalistycznych szuflad („Profesor Kurkowska, w rozprawie, której nie skończyłem jeszcze, mówi o humanistycznych intelektualistach. Hmm... Jak określić matematyka Hugona Steinhausa?”). W tej mierze pozostał wierny swemu odkryciu, dokonaniem jeszcze w czasie studiów, kiedy to czytywał w bibliotece uniwersyteckiej różne stare oraz (z poręki Kotta) nowsze, lecz niedozwolone wówczas czasopisma: „Któregoś dnia pojąłem, że historia, a mówiąc dokładniej parę ówczesnych historii interesuje

mnie znacznie bardziej niż krytyka teatralna”. „Filozof, o którym chcę opowiedzieć, analizował sytuację, w której praca zaczyna być podzielona, każdy ma pewien swój wyłączny, ograniczony krąg działalności. [...] W tej chwili przypomina się myśl filozofa odmiennej zupełnie tradycji, Pascala: Nie powinno się mówić o nim ani matematyk, ani kaznodzieja, ani krasomówca, ale człowiek; jedynie ta ogólna właściwość przypada mi do smaku”.

Ponieważ jednak określenie „człowiek Dobosz” nie brzmi fortunnie także dlatego, że człon pierwszy ma w takich zbitkach określone konotacje, wolno chyba rzecz bardziej uściślić, zresztą przy pomocy formuły dość pojemnej: eseista, wywodzący się z najlepszej, choć niecenionej w PRL-u szkoły Jerzego Stempowskiego.

Dzięki inicjatywie Pulsu został bowiem przypomniany przede wszystkim Dobosz — doskonały eseista, wrażliwy jak niewielu na kwestię stylu i języka. Zgoda, iż zajmujący się nie tylko pisaniem esejów. A zarazem właśnie człowiek, człowiek niezależny, przeczący (jak i wielu innych) dość popularnej tezie, iż w PRL (gdzie spędził przed wyjazdem do Francji — blisko czterdzieści lat życia) żadna niezależność nie była możliwa. Dobosz nie był aktywnym opozycjonistą (choć — o czym nie pisze — brał udział w paru opozycyjnych akcjach), ale żył w świecie, w którym władzę sprawował sam. Nie był to żaden „świat zastępczy”, lecz świat, który stanowił dlań niejako „środowisko naturalne”. To prawda: w znacznej mierze dzięki cechom swego szczególnego charakteru i intelektu, zapewniającym mu ową niezależność niejako samoistnie. Doskonałość i „prawdziwość” kreacji Dobosza w *Rejsie* wyraża m. in następująca scena: trzech członków Rady, przygotowującej artystyczny wieczorek, dyskutuje jego koncepcję, stopniowo pogrążając się w wodzie. Zaangażowanie ideą jest istotniejsze od tego, co dookoła. Dotyczy to całej trójki: ale tylko w wypadku Dobosza — owo „dookoła” oznacza więcej niż rzekę. Także owych dwóch współtowarzyszy, z którymi w swych teoretycznych wywodach nie ma wszak żadnego kontaktu, co nie wydaje się dla niego żadnym ograniczeniem ni przeszkodą.

P. S.

W recenzjach — bardzo pochlebnych — jakie się z książki Dobosza ukazały, podkreśla się z reguły drugie „polityczne” dno jego tekstów lub też — jak czyni to Jan Gondowicz w »Gazecie Wyborczej« — zwraca

uwagę na jego „niespełnienie” — wynik życia w Peerelu. Otóż nie sądzę. Myślę, że niezależnie od wszelkich ograniczeń, jakie przed Doboszem — jak przed każdym z piszących — stawiała cenzura, mimo asekuracji redaktorów typu Machejka, które uniemożliwiały z pewnością powstanie wielu mini-esejów (przygoda z Machejkiem została zresztą świetnie opisana) Dobosz osiągnął dokładnie tyle, ile zamierzył. Na tym m. in. polega jego osobność, że słowo „spełnienie” ma dlań — jak się zdaje — nieco inny sens niż dla większości publicystów.

[1994]



# Członek rzeczywisty związku ukąszonych

Leżą oto przed nami trzy starannie przez Krąg wydane tomy *Pism wybranych* Jana Kotta<sup>1</sup>. *Pisma wybrane* ukazują portret Kotta zarazem prawdziwy i wyidealizowany. Pominięto tu najbardziej kontrowersyjną publicystykę z lat 1944–1953, naznaczone zbyt silnym duchem nowej wiary interpretacje hołdujące „nowemu literaturoznawstwu” oraz recenzje, które w powszechnej pamięci kojarzą się z oskarżeniem — jednoznacznym w czasach „soc” — o formalizm lub mistycyzm (choćby ze *Snu nocy letniej* Horzycy czy *Jak wam się podoba* Wiercińskiego). Teksty podano nie za pierwodrukami, lecz za wydaniem książkowymi tak, jak życzył sobie autor. Zlekceważono chronologię.

Z punktu widzenia autora, wydawcy, a także czytelnika zainteresowanego przede wszystkim atrakcyjnością lektury — wszystkie te decyzje edytorskie wydają się oczywiste i usprawiedliwione; tym bardziej, że idzie przecież o *Pisma wybrane*, nie zebrane. Widziany w tej perspektywie Kott prezentuje swe najlepsze cechy: rzadki talent literacki, żywą inteligencję, erudycję nie bezdennie głęboką, lecz wystarczająco rozległą, by uprawomocniała tak dla autora znamieną umiejętność „czytania wszystkiego przez wszystko”, czasem bardziej może efektywnego niż usprawiedliwionego, zawsze jednak fascynującego i inspirującego nawet opornych. W tym sensie rację ma Tadeusz Nyczek, kiedy pisze we wstępie: „Kott najpierw był pisarzem, potem wszystkim innym”. Od tego zdania należałoby, być może, rozpocząć z *Pism* recenzję.

Ale fenomenowi Kotta nie da się przy pomocy takiej recenzji wyjaśnić. Nie przez przypadek pisanie o Kocie sprawia — wszystkim, którzy chcą ocenić go sprawiedliwie — nie byle jaką trudność.

---

<sup>1</sup> J. Kott, *Pisma wybrane*, Krąg, Warszawa 1991.

Jan Kott jest bowiem kimś więcej niż pisarzem, przynajmniej gdy używać tego pojęcia w obiegowym sensie. Jest przede wszystkim kreatorem. Kreatorem rzeczywistości (do pewnego momentu także politycznej), literatury, teatru, wielorakich mitów, samego siebie. Jego zabiegi kreacyjne obejmowały zarówno sfery czysto intelektualne, jak i — aż nazbyt — konkretne, i to nie tylko w pierwszym dziesięcioleciu powojennym. Bardzo zresztą w jego życiu ważnym, o czym trzeba pamiętać.

Dla Kotta-krytyka znaczenie mają oczywiście te tylko okresy twórcze, które sprzyjały w sposób szczególny jego pisarstwu, oraz te eseje, artykuły, recenzje, które pisarstwu temu — w istocie wyśmienitemu — wystawiają świadectwo najlepsze. Ale jednocześnie Kott należy do pewnej formacji polskich lewicowych intelektualistów, którzy współtworzyli — zarówno w najlepszym, jak i w najgorszym sensie słowa — polską kulturę, i to nie tylko poprzez swe dzieła, ale i poprzez wielorakie „mitologie”, z których część przybierała groźną, doktrynerską postać.

Byli to w latach trzydziestych młodzi pisarze, dziennikarze, artyści, lewicowcy na poły serio, na poły „salonowi” (tak określa przedwojennego Kotta Leopold Tyrmand, a przymiotnika tego użył wcześniej w stosunku do komunizmu Schillera Wat w *Moim wieku*), flirtujący też często z neotomizmem, bywający w Paryżu, rozsmakowani w nadrealistach i wszelkiej awangardzie, troszkę snobistyczni, troszkę gniewni i rewolucyjni, jak Kott ze swego młodzieńczego wiersza:

„Przestańcie wreszcie tłumaczyć, wywalcie drzwi z łoskotem,  
Niech pokaleczą się dłonie o gładką śliskość szyb [...]   
Świat wolą pokonany jak brylant u stóp legł [...]   
Magnitogorska piece płoną! A POLSKA?”<sup>2</sup>

Często poznający potem rzeczywistość radziecką brutalnie i z bliska<sup>3</sup>, a mimo to — lub może właśnie dlatego — zgłaszający już w czasie wojny akces do PPR-u, by oddać swe siły w służbę partii i marksizmu, który wówczas jeszcze, mimo całej agresywności, dopuszczał przez chwilę

<sup>2</sup> *Wiersze*, Warszawa 1934. W tomie oprócz wierszy Kotta pomieszczono też poezję Ryszarda Matuszewskiego i Włodzimierza Pietrzaka.

<sup>3</sup> W zamieszczonej na końcu trzeciego tomu *Pism* nocie biograficznej o pobycie Kotta we Lwowie pod okupacją sowiecką jakoś się nie wspomina.

dyskusję i różnice światopoglądów. Potem zamieniający dość potulnie, nie szczędząc samokrytyki, marksizm na zupełnie ciasną ortodoksję, na podporządkowanie socrealizmowi przy całej jego obcości; bo cóż miały wspólnego polskie i radzieckie produkcyjniaki z lansowanym przez »Kuznicę« racjonalizmem i realizmem wielkich osiemnasto— i dziewiętnastowiecznych Francuzów?

Historia zresztą rychło okazała się Wielkim Mechanizmem, pozerającym — jak wolno było z ich wypowiedzi mniemać — w pierwszej kolejności swych onegdajszych pupilów i chwalców. A oni dalej byli aktywni. Rzucili wprawdzie legitymacje, gdy okazało się, że partia — choć odrodzona — nie chce zaaprobować ich nowego wcielenia<sup>4</sup>. Ale naprawiali, jak umieli, by posłużyć się metaforą Sandauera, zegarek, który sami zepsuli. W miarę upływu czasu oddalali się na ogół od polityki, choć wspierali — z etykietą rewizjonistów — nieśmiało wtedy jeszcze opozycyjne akcje (pod *Listem 34* podpisali się, obok Kotta, także Ważyk i Jastrun i żaden z nich nie uległ naciskowi władz, nie znalazł się pośród dziesięciu dystansujących się od własnej akcji). Wreszcie zaś pozostawali rozproszeni i samotni, choć do końca mieli poczucie wspólnoty łączące zazwyczaj towarzyszy broni.

Formację tę, która odegrała w dziejach PRL-u rolę ogromną, nie tylko przez swe działania i pisma, ale i przez wpływ, jaki wywarła szczególnie na ludzi młodych — i to zarówno w okresie »Kuznicy«, „odwilży”, jak i później jeszcze — ocenić jest niezwykle trudno. Bowiem przy takiej ocenie cisną się z reguły pod pióro prawie same stereotypy. Łatwo przybrać postawę prokuratora pewnego własnych racji, lub też odwrotnie — wyrozumiałego nawet wobec ciężkich grzechów adwokata.

W stosunku do Kotta w pierwszej z tych ról wystąpił w nie wolnym od zawiści *Porachunku osobistym* Leopold Tyrmand<sup>5</sup>, pisząc o Kotcie — bezpartyjnym już wówczas i zbuntowanym — jako o „arcykapłanie cnót transfiguracyjnych”, wychodzącym równie dobrze na swych oportuni-

---

<sup>4</sup> O decyzji oddania w 1956 roku przez Kotta legitymacji partyjnej czytamy we wstępie Nyczka, że wpłynęła na nią „też w jakiś przewrotny sposób grafomańskość kultury, jaką produkował nieuchronnie komunizm”. Tymczasem przyczyna była całkiem konkretna i dobrze chyba Nyczkowi znana. Było nią cofnięcie zgody na wydawanie miesięcznika »Europa«.

<sup>5</sup> »Kultura« nr 3/1967.



zmach, jak na buntach. Równie elokwentnym w okresie »Kuznicy«, gdy „marksizm był jeszcze zamożnym przeciwnikiem, a nie podejrzanym monopolistą”, w latach socrealizmu i w czasie odwilży („znalazł się na trybunie wiecu na Politechnice, gdzie z zapalem przemawiał do ludzi niezbyt zorientowanych w jego pokrewieństwie ze Żdanowem”). Równie bezkarnym, gdy rozprawiał się z okresem błędów i wypaczeń, który sam zresztą współtworzył, jak i wtedy, kiedy podpisywał *List 34* przeciwstawiający się polityce kulturalnej Gomułki. „Krwiożerczy opozycjonista Kott mieszka w tym samym domu, co komunistyczny premier Cyrankiewicz, [...], dostaje paszport zagraniczny”.

Tyrmand nie mógł wtedy wiedzieć, że ów paszport oznaczać będzie dla Kotta — podobnie jak dla niego samego — wieloletnie wygnanie. Niemniej jeśliby nawet autor *Porachunku* złagodził swoje opinie o Kocie wygnanym z kraju i obłożonym zapisem cenzuralnym na nazwisko i książki — to z pewnością ostry opór wzbudziłby w nim późniejszy o lat przeszło dwadzieścia *Przyczynek do biografii*<sup>6</sup>.

Ów *Przyczynek*, pełen przekręconych zdarzeń, konfabulacji i przemilczeń, w którym czuć przemieszana z ironiczną pobłażliwością sympatię do siebie samego, ów *Przyczynek* dobrze mieści się wśród nowych — posierpniowych — „obrachunków inteligenckich”, znaczonych między innymi *Hańbą domową*, a biorących swój początek jeszcze ze *Zniewolonego umysłu*. Skomentował je boleśnie i trafnie Gustaw Herling-Grudziński, korzystając ze swej luksusowej w tym względzie pozycji emigranta: „kto wie, może powstanie kiedyś ZUH, Związek Ukąszonych przez Hegła”<sup>7</sup>. Bo choć sam Kott w interesującej *Rzeczy o ukąszeniach*<sup>8</sup> pisał: „w usprawiedliwieniu historii z góry i na wyrost ukąśnienie heglowskie okazało się najbardziej złowrogie” — to z pułapki tej do dziś wydostać się nie umie.

Tadeusz Nyczek uważa, że to nieważne. Pierwsze zdania eseju otwierającego *Pisma* brzmią: „Kiedy w 1990 roku Kott opublikował *Przyczynek do biografii*, rozległ się jęk zawodu. Oczekiwano po tej książce prawdy i ekspiacji. Prawdy o życiu Kotta i ekspiacji za grzechy komuni-

<sup>6</sup> Aneks, Londyn 1990.

<sup>7</sup> *Dziennik pisany nocą*, »Kultura«, Paryż, z. 10/1984.

<sup>8</sup> W: *Kamienny Potok. Eseje*, Aneks, Londyn 1986, s. 231.

zmu. Nie doczekano się ani jednego, ani drugiego. Doczekano się za to kolejnej literackiej opowieści. [...] Czyli takiej, która najpierw podlega prawom sztuki, a potem życiowej wiarygodności”. *Przyczynek* można oczywiście (pewnie nawet należy) traktować tak właśnie: jako rodzaj beletrystyki, powieści czy pamiętnika, w którym autor tylko częściowo utożsamia się z narratorem, a prawda ma mieszać się ze zmyśleniem. Ale tak czytać tę książkę mogą głównie ludzie Kottowi przyjaźni, a w dodatku zdający sobie sprawę z tego, gdzie przebiega granica między rzeczywistością a fikcją. Czytelnicy niechętni — a jest ich jeszcze sporo — dostrzegli w *Przyczynku* przede wszystkim wielopiętrowe mistyfikacje, służące nie tyle upiększaniu literatury, co życia. A czytelnicy młodzi, mający prawo traktować tytuł książki dosłownie, wyciągnęli zapewne z lektury dość osobliwe wnioski, a ich wiedza o autorze, jak i o towarzyszącej mu pięćdziesięcioletniej dramatycznej historii, stała się jeszcze bardziej niejasna.

Ostatnie warszawskie spotkania Kotta z młodzieżą podszyte są każdorazowo pewną obustronną rezerwą. Dla młodych legenda Kotta — nawet gdy czytali z entuzjazmem jego szkice — podszyta jest jakąś dwuznacznością, wynikłą zresztą z reguły z plotek, dotyczących spraw z zamierchłej przeszłości. Sam Kott przed spotkaniami zauważa niechętnie: pewnie pytać będą o socrealizm.

Lecz nie o socrealizm tylko idzie, lecz o niejasność statusu peerelowskiej kultury (a w Polsce Ludowej wydał Kott w końcu większość swoich książek; w *Aloesie* zawarte były główne wątki następnych). O kulturze tej coraz powszechniej mówi się bezmyślnie, że jej nie było w ogóle, podczas gdy wiadomo o niej na pewno tyle, że rzadko pozwalała twórcom być tylko twórcą; tym mocniej dotyczyło to człowieka tak wrażliwego i otwartego, jak Kott. Sprowadzenie zatem tego przypadku do efektownej formuły „Kott czyli styl”, jak robi to Nyczek, wydaje się zabiegiem dość wątpliwym. I niebezpiecznym — jeśli prowadzi do takiego zdania: „Kott zdradził w życiu mnóstwo rzeczy, łącznie z rozumem politycznym, szacunkiem dla faktów, konsekwencją moralności i moralnością konsekwencji. Nie zdradził nigdy naprawdę tylko literatury. Ta wierność została nagrodzona”.

Jest prawdą, że Kott nigdy nie zdradził stylu i nawet w najgorszych, stalinowskich latach nie odwoływał się w swej krytyce do języka propagandy (w publicystyce politycznej mu się to jednak zdarzało). Niemniej

wiadomo również, że jego teksty nie traciły przez to niczego ze swej złowrogiej (niekiedy) mocy. W przypadku Kotta — inaczej niż w przypadku wielu podrzędnych publicystów — liczyło się mniej to, co i jak mówił, bardziej to, kiedy wypowiadał swe sądy. Triumf literatury nad życiem jest więc tu względny.

Ale idzie też o sprawę znacznie poważniejszą. Po pierwsze, wymienione przez Nyczka zdrady (a Stefan Kisielewski dodałby do nich jeszcze jedną: zdradę klerkizmu<sup>9</sup>) przynależą do różnych porządków i mają niejednaką wagę. Po wtóre, Kott jest nie tylko zdolnym literatem, ale także przenikliwym i wrażliwym na fałszywe intelektualistą. Sąd Tyrmanda o nim jest z pewnością tendencyjny, powierzchowny i krzywdzący, lecz nie znaczy to, by należało popadać w drugą skrajność. Cytowane często, sformułowane na marginesie wspomnień o Jerzym Stempowskim, wyznanie Kotta, iż najpierw uczył się pisać, potem czytać, a na końcu nie ufać<sup>10</sup>, można traktować wprawdzie równie dobrze jak gorzkie serio, i jak kokietyjny żart; ale tak czy owak, taka myśl pasuje raczej do genialnego dziecka niż do człowieka, któremu życie upłynęło i na myśleniu, i na działaniu.

Zresztą nie jest to wyznanie wiarygodne — przynajmniej, gdy idzie o czytanie. Właśnie przy pomocy swych, w bardzo charakterystyczny sposób zmiennych, lektur budował Kott swój światopogląd. Nie ma w Polsce chyba krytyka, który by tak radykalnie — i w większości, wolno wierzyć, szczerze — zmieniał swe wsparte literaturą rozumienie człowieka i historii. Co więcej, zmiany te nie musiały być warunkowane polityką, choć bywało i tak.

Od koncepcji Maritaina, głoszącego wprawdzie obowiązek podporządkowania się zbiorowości, lecz bez wyrzekania się swych osobowych praw, przeszedł — i to w dość podejrzanym momencie — do marksizmu redukującego jednostkę wyłącznie do jej funkcji społecznych. Nie napisał jednak nigdy, że jednostka jest bzdurą, odwrotnie — nawet w roku 1951, gdy podporządkowano ją doszczętnie systemowi, stwierdzał: „Człowiek

---

<sup>9</sup> Por. *Mitologia zwycięża*, »Tygodnik Powszechny« nr 29/1946: „Dla Kotta nie jest to zapewne problemem — nie uznaje on pojęcia klerk [...] najważniejszym — jak stwierdza — celem jest konkretne działanie społeczne”.

<sup>10</sup> *Listy Kassandry z ziemi berneńskiej w: Kamienny Potok*, op. cit., s. 135.

jest lepszy od ustroju, w którym żyje, od sideł, które stara się na niego zarzucić dwór, kościół i rodząca się moralność pieniądza”<sup>11</sup>. Nawet jeśli szło mu o „lepszość” człowieka od ustroju feudalnego, a nie komunistycznego, można w tym sądzie odczytać pewne credo ponadczasowe. Było to w dodatku zdanie zupełnie odmienne od refleksji notowanych przezeń na początku lat sześćdziesiątych, a więc w czasach, gdy na człowieka starano się — przynajmniej oficjalnie i z pozoru — patrzeć raczej tak, jak na podmiot niż na przedmiot dziejów. „Nieubłagany walec historii miażdży wszystko i wszystkich. Człowiek jest określony przez sytuację, przez stopień schodów, na którym się znalazł. I ten stopień schodów określa całą jego wolność wyboru”<sup>12</sup>.

Potem wolność wyboru jeszcze bardziej się kurczy. Bohaterowie Szekspirowskiego *Ryszarda III*, do których odnosi się powyższy cytat, są „sami w świecie mordu, gwałtu i przemocy i okrucieństwa [...], świat został odarty z pozorów, porządek moralny zdruzgotany”. Jednak w świecie tym istnieje coś, co nazwać można — co prawda, straszliwą — logiką historii. Jednak w powstałym w tym samym prawie czasie szkicu o *Królu Learze* kwestionuje się i ją także; nie bez powodu padają tu nazwiska twórców tak zwanego teatru absurdu, a także Dürrenmatta z jego *Romulesem Wielkim*. Wszystko jest zarazem tragedią i groteską, człowiek staje twarzą w twarz już nie z okrucieństwami historii, lecz z okrucieństwem Absolutu. Ale Absolut ten jest absurdalny; przez doświadczenia teatru absurdu będzie Kott później czytał tragedię grecką. Człowiek może się przeciw absurdowi zbuntować — jak Edyp, który wykluwa sobie oczy, bo „nie chce dłużej patrzeć na absurdalny świat”, ale od absurdu przez to nie ucieknie. Edyp przecież nie ginie: „żyje, aby być świadectwem Absurdu”<sup>13</sup>. Wybór utożsamiony zostaje z grą, i to grą, w której z góry wiadomo, kto zostanie pokonanym, kto zwycięzcą.

A na koniec liczyć się poczyna jedynie esencja. „Esencją jest to, co z nas zostaje. Esencją jest dramat ludzki oczyszczony z przypadku, ze

---

<sup>11</sup> *Spór o Szekspira w: Jak wam się podoba*, PIW, Warszawa 1955, s. 132.

<sup>12</sup> *Królowie w: Szekspir współczesny*, PIW, Warszawa 1965, s. 65.

<sup>13</sup> *Tragedia grecka i absurd w: Zjadanie bogów. Szkice o tragedii greckiej*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986, s. 280.

złudzeń, że są w nim wybory”<sup>14</sup>. Esencja nie jest już ani wyborem, ani grą.

Oczywiście, ową zmienną perspektywę, w jakiej Kott postrzega człowieka, wyznacza jego zmienny stosunek do historii. Historia, której optymistyczną i rozumną wersją zawstydzali wszystkich nie-marksistów „kuźniczanie”, kojarzyła się oczywiście wyłącznie z przymiotnikami budzącymi nadzieję. Kott reklamował ją zarówno swymi zaangażowanymi w życie bieżące artykułami, referatami, wykładami i polemikami, jak i krytycznoliterackimi interpretacjami klasyków, także Shakespeare’a. Po roku 1953 rzeczownik „historia” kojarzyć się zacznie w jego rozważaniach z rzeczownikiem „tragizm”. W eseju *Królowie* pisze o dwu wizjach historii — i, co znamienne, wizję nietragiczną w ogóle tu pomija. „Są dwa podstawowe typy historycznego tragizmu. U podstaw pierwszego leży przeświadczenie, że historia ma swój sens [...], dąży w określonym kierunku. Jest rozumna, albo przynajmniej dająca się zrozumieć. Tragiczna jest wtedy cena historii, cena postępu, jaką płacić musi ludzkość. Do tragizmu urasta wtedy każde prekursorstwo, które popycha naprzód ów nieubłagany walec historii, ale właśnie z racji swego prekursorstwa musi zostać przez niego zmiażdżone. Takie właśnie rozumienie historycznego tragizmu głosił Hegel. Bliskie było ono młodemu Marksowi”. „Jest drugi rodzaj historycznego tragizmu. Wyrasta on z przeświadczenia, że historia nie ma sensu i stoi w miejscu, albo ciągle powtarza swój okrutny cykl”<sup>15</sup>.

„Nieoptymistycznemu” Kottowi — jak i wszystkim rozczarowanym marksistom — wizja pierwsza wydaje się zgodna z ich prywatnym doświadczeniem; nie całkiem zresztą prawomocnie — wszak nie na Hegla i młodego Marksa wolno było się powoływać w latach 1945–1954, a termin „ukąszenie heglowskie” ukuł pisarz przebywając już na emigracji. Jednak ta druga wizja zda się Kottowi w drugiej połowie lat pięćdziesiątych „współczesna”. To na jej użytek przywołany zostanie Wielki Mechanizm. Zawdzięcza on genezę lekturze Shakespeare’a, a jest „porządkiem historii, w której król jest boskim pomazańcem”. Można, rzecz jasna, mieć nadzieję, że wraz z obaleniem boskich pomazańców Mechanizm przestanie działać. Ale na miejsce obalonych królów pojawią się nowi. Historię

<sup>14</sup> *Teatr esencji: Kantor i Brook w: Kamienny Potok*, op. cit., s. 123.

<sup>15</sup> *Królowie w: Szekspir współczesny*, op. cit., ss. 51-52.

można wyszydzić — tak właśnie, jak czyni groteska. Nie znaczy to, iż nad wyszydzoną zdobędzie się choćby psychiczne zwycięstwo. Przecież nawet sceptyczny i ironiczny Romulus Wielki Dürrenmata zostaje przez nią wystrychnięty na dudka.

Historia jest obecna we wszystkich pismach Kotta. Najpierw jako tło, potem główna bohaterka. Choć jednak już od czasów odwilży jej portret malowany jest z określonej perspektywy, którą najogólniej nazwać by można polską (z polskimi doświadczeniami wojny, stalinizmu, października), wprost pisze o tym Kott dopiero we wstępie do drugiego wydania *Szekspira* w końcu lat osiemdziesiątych<sup>16</sup>: „Historia nie biegnie z tą samą szybkością w różnych czasach i w różnych miejscach. W Polsce w ciągu ostatniego półwiecza, a więc w czasie dorosłego życia mojego pokolenia Polaków, wydaje się jakby bardziej obecna niż w innych miejscach i czasach.” Nie ma to wszakże większego znaczenia: łączenie historii z doświadczeniami polskimi objawiło się po raz pierwszy w Kottowej krytyce teatralnej czasu odwilży; dotyczyło wtedy — co rozumiałe — głównie błędów, wypaczeń i opisywanych przez zbrodnie Szekspirowskie i romantyczne zbrodni ustroju. Tych tylko, rzecz jasna, które nie wychodziły poza rewelacje ogłoszone ogólnie. Na mówienie o historii, która z polskich inteligentów zrobiła „gulasz i gułag”<sup>17</sup>, może sobie Kott pozwolić dopiero w momencie całkowitego uwolnienia się od cenzury; uczyni to zresztą na marginesie nie Shakespeare’a, lecz Witkacego. Przedtem będą tylko *Hamlety po XX Zjazdach* i *Wyzwolenia* z Konradami, co „właśnie wyszli z seminarium Wyki lub Kubackiego, nasłuchali się marksizmu od Markiewicza” i „poszli wszystko wyparskać do piwnicy Pod Baranami”<sup>18</sup>. Nota bene tylko owe *Hamlety* (chłopcy z »Po prostu«) i *Konrady* umieszczeni zostają w określonym i współczesnym środowisku, zbrodniarze nadal będą nosić wyłącznie imiona elżbietańskich władców.

Jest przy tym znamienne, że dla Kotta nie wydaje się to w interpretowaniu polskich losów narzuconą z góry i ograniczającą przeszkodą. Z jego fascynacją historią łączy się — paradoksalnie — swoista ahistorycz-

<sup>16</sup> Wstęp ten drukował »Dialog« w n-rze 6/1988.

<sup>17</sup> *Witkiewicz albo realizm nieoczekiwany* w: *Kamienny Potok*, op. cit., s. 50.

<sup>18</sup> *Wielka „zielona gęś” Wyspiańskiego z bardzo polskim finałem* w: *Miarka za miarkę*, PIW, Warszawa 1962, s. 74.

ność, bardzo wyraźna od czasów odwilży. Jakby obowiązki, jakie narzucało na swych wyznawców „nowe literaturoznawstwo”, zraziły go całkowicie i raz na zawsze do interpretowania dzieł w ich historyczno-literackim kontekście. Odtąd już zawsze utożsamia „niegdyś” z „teraz”. Już w recenzji z *Dziadów* Bardiniego z roku 1955 pojawia się kilkakrotnie słowo „współczesność” lub „współczesny”; ta obsesja nie opuści odtąd Kotta nigdy. Oczywiście ta „współczesność” nie oznacza zawsze tego samego. Jak wszystko, zmienia u autora *Szkiców o Szekspirze* swój sens równie atrakcyjnie, jak zbyt lekko.

Stawia się czasem nawet Kottowi zarzut, że ulega łatwo pewnym koniunkturom i modom. Nie jest to chyba zarzut trafny. Można raczej powiedzieć, że Kott mody tworzy czy tworzył. Z pewnością wszakże owa skądinąd efektowna u krytyka „nieznośna lekkość” sądu powoduje, że jego szkice, nad wyraz — w momencie powstawania — inspirujące i świeże, są też dość szybko podatne na starzenie się; łatwo stają się anachroniczne.

\* \* \*

Piszę to wszystko w złudnej nadziei, że w ocenie Kotta da się wyważyć jakieś rozsądne proporcje. A przecież jego indywidualność, niepowtarzalność, urok zasadza się właśnie na swoistej niekonsekwencji i nieodpowiedzialności. Na odwadze i potrzebie stałego „mierzenia się z życiem i doświadczeniem”<sup>19</sup> i na stałej ciekawości życia, która nie opuszcza go aż do dziś. Zapewne, gdyby nie ta nieodpowiedzialność, niekonsekwencja i ciekawość, uniknęłyby wielu zasadzek, w które wpadał sam i w które wpadali — za jego sprawą — inni. I w życiu, i w pisarstwie. Nikt też nie mógłby go nazwać „arcykapłanem transfiguracji” lub „konikiem polnym”<sup>20</sup>, najwyżej konformistą. Ale nie byłoby też jego książek tak interesujących i odmiennych od tego, co zwykło się nazywać krytyką literacką i teatralną. Nie byłoby też jego wykładów i seminariów z drugiej połowy lat pięćdziesiątych, na których on pierwszy uczył na taką skalę sztuki koja-

<sup>19</sup> *Daję wam dzień, czas a nawet pogodę. Rozmowa z Janem Kottem*, »Gazeta Wyborcza« 21 X 1991.

<sup>20</sup> Określenie Zbigniewa Kubikowskiego. Por. J. Trznadel, *Hańba domowa. Rozmowy z pisarzami*, Instytut Literacki, Paryż 1988, s. 50.



rzenia, a zarazem przyglądania się szczegółom (i nie miały tu nic do rzeczy jego słynne profesorskie i publicystyczne gafy). Nie byłoby też owego „pokoleniowego” życiorysu, który — w sposób też co prawda niepełny, ale znacznie od *Przyczynku* uczciwszy — spisał przy pomocy *Szekspira współczesnego*, *Zjadania bogów* i *Kamiennego Potoku*. Nie jest to zresztą tylko życiorys pokoleniowy.

I jeszcze jedno. *Kłopoty z Kottem* (Janusz Majcherek, młodszy od Kotta co najmniej o dwa, a od Tyrmanda o półtora pokolenia, tak właśnie zatytułował swój szkic o *Zjadaniu bogów*<sup>21</sup>) biorą się nie tylko stąd, że tak trudno wyważyć tu względną choćby sprawiedliwość. Także stąd, że — pisze o tym sporo Nyczek — literatura i życie przenikają się tu w stopniu wprost niezwykłym. I nie tylko literatura i życie. Również wady i zalety, trzeźwość i szaleństwo, autentyczność i poza. W jednym z wierszy, obok cytowanej już apoteozy Magnitogorska, dwudziestoletni wówczas Kott tak sumował — w sposób dojrzały i niebanalny, jak zapewne sądził — ludzką naturę:

„Každy z nas choć raz w życiu walczył z wiatrakami [...] Przeszły lata doświadczeń. W cóż dziś mamy wierzyć ?[...] Sancho Pansa nas uczy trudnej sztuki życia, że dwa a dwa jest cztery, stale nam powtarza [...] Lecz czasem wieczorem [...] fala wspomnień z dzieciństwa nas cicho otoczy zmartwychwstanie Don Kichot [...]”

Otóż zdaje się, że w Janie Kocie Sancho Pansa i Don Kichot to jedna i ta sama osoba.

[1992]

---

<sup>21</sup> »Dialog« nr 8/1986.



# Czy Władysław Gomułka zdradził „Październik”?

Peerelowska historia zda się — jak na razie — tematem raczej wyeks-ploatowanym. W powszechnej świadomości pozostały z niej na ogół same hasła; tylko jedno „hańba domowa” zachowało zresztą publicystyczną nośność. Także i tak bardzo przed czerwcem '89 pielęgnowana „legenda Października” straciła jakby swój onegdajszy blask. I istotnie, oglądana z dzisiejszej perspektywy — szczególnie przez tych, co z tytułu wieku wcześniej się o nią nie otarli — wydawać się musi cokolwiek egzotyczną. „Październikowa rewolucja polskiej prawdy. Rewolucja obywateli — przeciw niepraworządnej władzy. Rewolucja ludzi pracy — przeciw gwałtom zadany ekonomice. Rewolucja wrażliwości i wyobraźni — przeciw gwałtowi zadanemu słowom. [...] Rewolucja narodu — przeciw zależności i dyskryminacji w stosunkach z Wielkim Bratem”<sup>1</sup>. Jak bardzo pusto brzmią dziś słowa, których patos przed jedenastu laty wydawał się zupełnie naturalny.

Tracąc w ogromnym stopniu swój heroiczny wymiar „legenda Października” nie przestała być wszakże legendą. Choćby z tego względu, że dość dokładnie i uczciwie już opisana — wciąż kryje ogromną ilość spraw wieloznacznych i nierozstrzygniętych. Niektóre nawet w świetle dostępnych wreszcie archiwów pozostają niejasne. Wszystko tu jest — poza faktami — sporne. Rzeczywisty początek i koniec procesu, jego charakter, same określające go pojęcia, pośród których właśnie najpopularniejsze — „Październik” wydaje się najbardziej wątpliwym.

To prawda, że używa się go metaforycznie; głównie z kulminacją między wiosną 1955 a o półtora roku późniejszą od niej jesienią. Ale

---

<sup>1</sup> T. Burek, *Zapomniana literatura polskiego Października*, »Wola — Solidarność«, z. 5, [1983].

geneza nazwy pozostaje mimo to jednoznaczna; odsyła do VIII Plenum. Nawet kolejne rocznice postalinowskiej „odnowy” łączy się z konkretnym miesiącem, eksponując rolę Gomułki i przyznając — chcąc nie chcąc — rację jego tezie, iż „zwrotu historycznego” w procesie demokracji dokonała partia i to partia pod jego — znowu — kierownictwem.

Oczywiście, Październik to nie tylko to, co działo się na sali obrad. Można nawet powiedzieć więcej: Październik (także ten przez „p” małe) to głównie to, co działo się poza nią. Faktem jest jednakże, że choć obrady te toczyły się — po raz pierwszy — „pod naciskiem mas i pod kontrolą czuwającej po fabrykach klasy robotniczej”<sup>2</sup> zasługę ich pozytywnego (jak sądzono) finału przypisywano głównie Gomułce. Tworząc tym samym pewien tegoż życzeniowy portret, który pokrywać począł się skazami nie od razu.

Dat, od których zwykle mierzyć się tzw „odchodzenie od Października” jest jak wiadomo wiele i trudno nawet autorytatywnie stwierdzić, którą z nich należałoby przyjąć za właściwą. Żadna z nich nie wyznacza przecież dokładnie granic jakiegoś jednolitego procesu; jedną z jego charakterystycznych cech było wszak to, iż składał się z różnorodnych „odejść” i „powrotów”; był to poza tym czas swoistej walki, w której to ten, to ów odnosił zwycięstwo albo też (co najczęstsze) obie strony ogłaszały remis.

Tak czy owak za datę końcową — najpóźniejszą zwykle się uważać pierwsze lata 60-te (procesy polityczne pisarzy, *List 34*), za najwcześniejszą — dzień 24 października, kiedy to Władysław Gomułka wezwał rozentuzjasmowanych warszawiaków, aby zaniechawszy „wiecowania i manifestacji” wzięli się do spokojnej pracy.

„Początek końca” Październikowych przemian zaczęto zresztą łączyć z wystąpieniem I sekretarza na Placu Defilad dopiero z paroletniego dystansu. Szczególnie po Marcowych doświadczeniach, każących dostrzec analogie między owym wczesnym apelem a hasłami typu „studenci do nauki, pisarze do pióra”. W październiku 1956, nie wydawało się ono zbyt niebezpieczne, przecież nawet „rewolucyjne” »Po prostu« nawoływało: „Dziś mówimy, że należy skończyć z wiecowaniem” i to nawoływano nie

---

<sup>2</sup> W. Wirpsza *Kronika wielkich dni*, »Po prostu« nr 44/1956.

tylko pod wrażeniem świeżej węgierskiej tragedii, ale i w przekonaniu, że „w obecnej chwili wiece są nieskuteczną formą organizacji mas”<sup>3</sup>.

Także dopiero po wypadkach Marcowych inaczej poczęto czytać komentarz »Życia Warszawy« z 25 X 1956, dotyczący powiecowej manifestacji z wersami o „grupach rozgorączkowanych wyrostków”, które „spotkały się ze zdecydowaną postawą robotników i milicji obywatelskiej”. Bowiem dopiero po Marcu ze zrozumiałą wrażliwością reagować poczęto na wzmianki o ukróceniu „chuligańskich wybryków” przez „robotniczy aktyw”. Jesienią ‘56 pamiętano wprawdzie (toczyły się wciąż jeszcze procesy poznańskie), iż określenie „chuligański wybryk” może mieć bardzo szeroki zakres semantyczny, ale przymiotnika — robotniczy nie trzeba było opatrywać cudzysłowem. Gdy po wiwatach na cześć Gomułki uformował się pochód, zmierzający pod radziecką ambasadę interweniowali skutecznie prawdziwi wszak robotnicy z Żerania, i to ci sami, którzy przed niespełna tygodniem, w obronie demokracji i suwerenności gotowi byli ryzykować głową. Wszystko odbyło się w dodatku bez nadmiaru gwałtów; milicja była raczej zdezorientowana niż brutalna. Powołane niedługo potem — po częściowym fiasku w tłumieniu manifestacji w Płocku, Bydgoszczy, Szczecinie — sześciotysięczne specjalne jednostki do rozpydzenia demonstracji (późniejsze ZOMO) okazały tak naprawdę swą sprawność dopiero w Łodzi i na Śląsku latem 1957.

Dla zwolenników i współtwórców szeroko pojętego Października, dzień 24. nie krył więc żadnej zapowiedzi zmiany kursu. Tym bardziej, że spełnione zostały wkrótce — choć nie bez oporów<sup>4</sup> — oba naczelną żądania wiecujących: Rokossowski istotnie wyjechał do Moskwy, a prymas Wyszyński odzyskał wolność. W dodatku kontrast między łagodnym

---

<sup>3</sup> Apel redakcji »Po prostu« i »Sztandaru Młodych«, »Po prostu« nr 45/1956 (z 4 XI).

<sup>4</sup> O odwołaniu Rokossowskiego tak mówił na IX Plenum w maju 1957 Gomułka: „Początkowym zamiarem Biura nie było zdejmowanie marszałka Rokossowskiego z dowództwa armii [...] Przyjmowałem delegacje oficerów, którzy przychodzili mnie zapytać o to. Odpowiedziałem — nie będziemy zdejmować marszałka. Ale potem [...] wielu oficerów wypowiedziało się przeciwko marszałkowi [...] Wojsko to jest wojsko. Albo będzie zdjęty oficer, który występował przeciwko dowódcy albo będzie zdjęty dowódca. Gdybyśmy mieli do czynienia z dziesięcioma czy stu oficerami to byśmy zdjęli 10 czy 100 oficerów. Ale myśmy musieli stanąć na innym stanowisku” (AAN, zespół BP KC PZPR, p. 71, t. 30). Także uwolnienie kardynała Wyszyńskiego odbywało się pod narastającą od lata 1956 presją społeczną.

finałem wiecu warszawskiego a równoległymi konsekwencjami manifestacji w Budapeszcie napawał nadzieją.

Pierwsze wyraźne obawy o to, czy proces odnowy realizowany jest właściwie, zaczęto formułować dopiero (a dotyczy to także pism emigracyjnych) wczesną jesienią 1957, z oczywistym nasileniem po likwidacji »Po prostu«, oraz rozpędzeniu związanych z nią studenckich demonstracji i to rozpędzeniu w sposób, który tak zadziwił rozczarowanego już przecież i wcześniej — Jerzego Zawieyskiego: „Milicja użyła petard łzawiących i co najgorsze, wręcz niepojęte [podkreśl. M.F.] biła studentów pałkami”<sup>5</sup>.

Ale nawet wtedy nie określano tego mianem „zdradzonej nadziei”, co najwyżej „marnowaną szansą”. Winą za ich naruszanie nie obwiniano zresztą Gomułki; wręcz przeciwnie. W opublikowanym w kilkanaście dni po sprawie »Po prostu« artykule redakcyjnym »Tygodnika Powszechnego« pisano: „z satysfakcją stwierdzamy wiele, jakże istotnych zmian na lepsze, ale zarazem stwierdzamy narastanie niebezpieczeństw, zagrażających nowemu kierunkowi politycznemu, który przed rokiem został zainaugurowany. [...] Są w Polsce ludzie, którzy [...] obawiają się, że respektowanie woli narodu doprowadzi do przekreślenia socjalizmu”.

Artykuł »Tygodnika Powszechnego« był dla myślenia ówczesnego dość typowy nie tylko poprzez ton umiarkowanego pesymizmu. Wyrażał mianowicie dwa dość powszechne przekonania. Pierwsze — iż zwycięstwo Gomułki na VII Plenum tożsamy było nie tylko z kontynuacją, ale i poszerzeniem uzyskanych wcześniej swobód. Drugie — że intencjom tym stają na przeszkodzie „ludzie” — niewątpliwie z dawnego „Natolina”. Bardzo dobitnie pogląd ów sformułował na łamach paryskiej »Kultury« Zbigniew Jordan: „Zawieszenie »Po prostu« jest zwycięstwem konserwatywnego i dogmatycznego skrzydła Partii nad obrońcami październikowego programu”. (*Odwrót od Października*, z. 12/1957). Nie ulega wątpliwości, że za czołowego przedstawiciela tych ostatnich wciąż uważano Gomułkę.

I sekretarza broniono jeszcze na — skądinąd bardzo krytycznej — styczniowej (1958) Radzie Kultury, kiedy to nie szczędził mu wyrazów sympatii („pokazał, że można budować socjalizm z ludzką twarzą”, „przy-

---

<sup>5</sup> Z *Dziennika* (3 X 57) za: »Polityka« nr 5/1982.

wrócił nam wreszcie miarę godności”) sam Słonimski apelujący poza tym do Rady, by za główny cel uznała obronę „zdobyczy Października [...], zdobyczy absolutyzmu oświeconego przeciw zwolennikom absolutyzmu nieoświeconego”, którzy coraz częściej dają znać o sobie<sup>6</sup>.

Oczywiście w wielu środowiskach, wcześniej wobec Gomułki przychylnych wzrasta rezerwa także wobec niego samego. Mniej więcej w tym samym czasie zaczyna kursować po Warszawie dowcip „Co się zmieniło w Polsce po Październiku? Gomułka”. Ale i tutaj nie kwestionuje się przecież jego wcześniejszych dobrych intencji.

Czy jednak słusznie? Czy myślenie Gomułki z 19 X 1956 oraz Gomułki o rok starszego było rzeczywiście tak odmienne? I czy na ową ewentualną zmianę wpłynęły jedynie warunki zewnętrzne?

Odpowiedzi jednoznacznej udzielić jest trudno. Kiedy czyta się dziś przemówienie ówczesnego kandydata na szefa partii, wygłoszone na VIII Plenum dostrzec w nim można dwa jakby nurty. To co mieści się w pierwszym korespondowało doskonale ze społecznym oczekiwaniem, drugi od początku wzbudzić winien nieufność.

W pierwszym zawierała się krytyka licznych „błędów” założeń i realizacji Planu 6-letniego, „systemu kultów” (bo Gomułka mówił już nie tylko o kulcie Stalina, ale związanej z nim „piramidzie kultów” w partyjnym, coraz bardziej oderwanym od mas, aparacie), wreszcie nie dość „partnerskich” kontaktów ze Związkiem Radzieckim. Towarzyszyła tej krytyce i rehabilitacja Poznania, i postulat oczyszczenia partii z osób szczególnie skompromitowanych, i obietnica prawdziwego wsluchania się w „głos mas”. Słowem to wszystko, o czym pisano i mówiono (także na szczytach partii) już wcześniej, lecz co teraz dopiero otrzymywało jak gdyby — dzięki Gomułce — znak najwyższej jakości, wiarygodności i potwierdzenia. To właśnie odwołując się do tej części przemówienia, pisano z optymizmem w »Po prostu« o „w istocie nowej, trzeciej fazie w rozwoju rewolucji” wreszcie zgodnej z wolą narodu<sup>7</sup> i ona spowodowała liczne (również ze strony Kościoła i części emigracji) wyrazy poparcia dla I sekretarza.

---

<sup>6</sup> Plenarne posiedzenie Rady Kultury z dn. 21 I 1958, AAN, zespół KC PZPR, sygn. 237/XVIII-179.

<sup>7</sup> R. Turski, E. Lasota *Polski Październik*, »Po prostu« nr 44/1956 (z 28 X).



To w odniesieniu do owych obietnic mówić można o zawiedzionych nadziejach bądź zdradzie. Etapy owej „zdrady” są ogólnie znane, a obejmuje ona niemal wszystkie dziedziny życia. Plan sześćoletni zastąpił jednak plan pięcioletni, zniszczono Rady Robotnicze, „piramidę dawnych „kultów” zastąpiono pojęciem niepodważalnego autorytetu Biura Politycznego, stosunki z ZSRR ani przez moment nie miały charakteru „partnerskich”, zakazano nawet wszelkich (nierzadkich przed wyborem Gomułki) polemik z prasą radziecką. Poznań objęto — po rocznicowym przemówieniu Gomułki w czerwcu 1957 — strefą milczenia. Itd, itd...

Tłumaczono to różnie: naciskiem — o czym była już mowa — przeciwników reform, „racją stanu”, która po wydarzeniach węgierskich przestała być pustym dźwiękiem, zmienną sytuacją międzynarodową. Całym więc zestawem tzw. „okoliczności zewnętrznych”, w połowie października nie do przewidzenia.

Tak naprawdę wydaje się wszakże, że większość procesów nazywanych „odchodzeniem od Października” (po raz pierwszy pojęcia tego użył bodaj Jerzy Zawieyski jesienią 1957 w swym dzienniku) rozpoczął właściwie październik. I to nie mimo, lecz — na skutek — objęcia władzy przez Gomułkę. Dla wszystkich, którzy znali jego charakter, fobie, uprzedzenia, ograniczenia, a także patrzyli na jego działalność nie tylko poprzez „martyrologiczną” legendę lat 1949–54, lecz także — okres pierwszych powojennych rządów, powinno to być zresztą oczywiste. Tym bardziej, że Gomułka postawił sprawę jasno i to jeszcze w przeddzień wyboru na stanowisko I sekretarza.

Wszystko bowiem, co dotyczyło już nie „rozhurunku z przeszłością”, lecz konkretnego programu na przyszłość zawierało się w owym drugim nurcie jego przemówienia, a w dodatku sformułowane zostało bez faryzeuszostwa i dobitnie. Z absolutną wiarą w kult prawd niepodważalnych. Wystarczy wskazać na najważniejsze:

1. Proces demokratyzacji — choć konieczny — nie może przebiegać żywiołowo. „Na czele procesu demokratyzacji staje nasza partia i tylko ona [...] może pokierować tym procesem w takim kierunku, aby proces ten prowadził rzeczywiście do [...] wzmocnienia podstaw naszego ustroju, a nie do ich osłabienia”.

2. Zdolność do kierowania procesem przemian może okazać tylko partia zachowującą jedność: „Ciężki wóz zadań, jakie stoją przed partią

w chwili obecnej może się toczyć pomyślnie naprzód tylko wówczas, kiedy zaprzęgnięte do niego siły [...] ciągnąć go będą w jednym kierunku”.

3. „Kierowniczej roli partii” (termin ten jest zresztą późniejszy: zastąpiono nim wcześniejszą „dyktaturę proletariatu” dopiero w listopadzie 1957 na zjeździe partii komunistycznych w Moskwie) podporządkować się muszą wszystkie stronnictwa i organizacje także młodzieżowe. „Młodzieży naszej partia winna wyraźnie powiedzieć: w wielkim i doniosłym procesie demokratyzacji maszerujecie w czołówce, lecz spoglądajcie stale na wasze i całej Polski Ludowej dowództwo [...], na Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą”.

4. Należy — uznając prawo środków prasowego przekazu i literatury do „konstruktywnej krytyki” — zwalczać to, co nie służy wzmocnieniu ustroju lecz jego (zakamuflowanej często) destrukcji.

Skuteczna realizacja wszystkich tych wskazań była oczywiście możliwa tylko pod warunkiem, iż na czele partii stanie człowiek wystarczająco silny, aby okazać — gdy trzeba — niezbędną bezwzględność, a zarazem („autorytetu nie można sobie przypiąć do piersi jak medal”) mający społeczne poparcie i to — w tym akurat momencie — poparcie autentyczne, a nie malowane. Jest niezwykle znamienne, że krytykując „wypaczenia” stalinizmu Gomułka ostrzegał: „byłoby wielkim błędem i pomieszaniem pojęć, gdyby ktoś próbował robić znak równania między kultem a autorytetem jednostki”<sup>8</sup>. Nie ulega wąpliwości, że sam za autorytet taki się uważał i nie bez podstaw. Tym bardziej, że choć w samej partii miał swych bardzo wyraźnych przeciwników pośród wszystkich istniejących tam frakcji (głównie zresztą wśród „liberałów”) to nie miał — z czego doskonale zdawano sobie sprawę — poważnego konkurenta, zdolnego spełnić obydwa wymienione wyżej warunki. Wybory do Biura Politycznego i Sekretariatu<sup>9</sup> z najwyższą ilością wymaganych głosów dla Ochaba, a najmniejszą dla Zambrowskiego i „młodych sekretarzy” jeszcze prawdę tę — wyostrzyły. Jeśli idzie zaś o mandat społeczny, ostatecznym jego potwierdzeniem były nie tyle wiwaty na Placu Defilad, co

<sup>8</sup> Wszystkie cytaty za: »Nowe Drogi« nr 10/1956.

<sup>9</sup> Bardzo zresztą znamienne, że dokonano ich po spotkaniu z przybyłą zniennać delegacją radziecką. Wniosek Jaworskiej i Tatarkówny, aby do rozmów przystąpić z wybranym już Biurem poparły tylko wnioskodawczynie przy 3 głosach wstrzymujących się i 61 przeciw. AAN, zespół BPKC PZPR, p. 71, t. 28.

styczniowe wybory do Sejmu z blisko 90% frekwencją i głosowaniem w ogromnej większości „bez skreśleń”. Wydaje się, że to dopiero ten sukces dał Gomułce poczucie siły.

Wybory te musiały być dla niego zrazu ciężką i nie gwarantującą wygranej próbą. Jeszcze na VIII Plenum mówił wszak: „Wybory zostaną przeprowadzone w oparciu o nową ordynację wyborczą, która pozwala ludziom wybierać, a nie tylko głosować. Jest to zmiana bardzo ważna [...] Ten kandydat, który cieszyć się będzie najwyższym zaufaniem zostanie wybrany”. Nowa ordynacja wyborcza, opracowana jeszcze 11 IX, a więc pod rządami Ochaba przewidywała m. in. swobodę skreśleń (ilość kandydatów o 1/3 wyższa niż mandatów), dopuszczenie odrębnych list wyborczych stowarzyszeń politycznych, organizacji zawodowych i spółdzielczych, ZMP. Już 4 XI przeforsował Gomułka zasadę wspólnej listy Frontu Jedności Narodu. 10 I wycofano z tej listy nazwiska wielu kandydatów pod pretekstem „słabości charakteru”, „braku dyscypliny” etc. Zaś 19 I — a więc w przeddzień wyborów — Gomułka rzucił dramatyczny apel o głosowanie bez skreśleń: „wszystkie reakcyjne siły<sup>10</sup> agitują bądź za skreślaniami czołowych kandydatów, bądź za skreślaniami kandydatów z ramienia Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej [...] Skreślanie kandydatów naszej partii — to przekreślanie niepodległości kraju, to skreślanie Polski z mapy państw europejskich”.

Apel spotyka się z właściwym odzewem, i to dzięki poparciu prymasa Wyszyńskiego, Episkopatu oraz niektórych środowisk emigracyjnych. Wola wyborców po raz kolejny okazuje się więc tożsama z wolą I sekretarza. Partia zaś, mimo iż władza jest dla niej — „nieraz gorzka jak piołun” nie może oddać jej w cudze ręce. „każda inna władza byłaby dla Polski tragicznym nieszczęściem, a [...] dla wszystkich ludzi pracy w mieście i na wsi byłaby wielekroć gorsza niż najgorsza władza ludowa”<sup>11</sup>.

---

<sup>10</sup> „Raporty do użytku wewnętrznego” sporządzone przez lokalne komitety wyborcze owe reakcyjne siły obwiniają z całą bezwzględnością, donosząc np., iż „Chudy Jan kandydat ZSL w Nowym Targu w wystąpieniu swym powiedział, że »skończyło się rządzenie Partii«, »Członkowie ZSL zdecydują — w przeciwieństwie do tow. Gomułki — głosowaniem z ołówkiem w rękę”, zaś w Myślenicach »grupa demagogów« i warcholów przekształciła zebranie w wiec, na którym padło szereg wypowiedzi przeciwko kandydatowi partii tow. Cieslakowi”. Za: *Wokół Października*, ZEN, z. 3, Warszawa [1984]; stąd też cytata z Gomułki. Por. także Gomułka *Przemówienia*, t. I, październik 1956 — wrzesień 1957, Warszawa 1957.

Aby jednak władzę utrzymać trzeba było działać sprawnie, konsekwentnie i bezwzględnie. Tak też realizuje Gomułka swój program zawarty w wystąpieniu na VIII Plenum.

Fakt, iż w październiku dość powszechnie zlekceważono zawarte w nim groźby, wynikał w znacznej mierze z tego, że nie był to program nowy. Podobne postulaty podejmowano aż do znudzenia na wszystkich niemal wcześniejszych — postalinowskich już — naradach i plenach. Co więcej, w znacznej mierze je realizowano; przecież partia nigdy nie dawała pełnej swobody dyskusji, nigdy też nie dopuszczono do głosu rzeczywistych przeciwników systemu. „Rewolucja prawdy”, o której pisał Burek — nawet w czasach największej „odwilżowej” gorączki — była „surogatem wolności i prawdy [...] wolności na 45% [...] prawdy na 47%”, jak to określił w czerwcu 56 w swym *Dzienniku Gombrowicz*. Ale niewątpliwie i owe procenty — jak na zwyczaj ustroju — było to zbyt wiele. To, że w ogóle udało się je w okresie „odwilży” osiągnąć, zawdzięczano w ogromnej mierze temu, iż wewnątrz partii toczyła się walka.

W tym sensie rację miał krytykowany za swą „spiskową teorię dziejów” — Witold Jedlicki, kiedy pisał o szansach, jakie stwarzała ta „swoista namiastka systemu wielopartyjnego”<sup>12</sup>.

I choć z pozoru wyglądać to mogło po prostu na chęć wzajemnego pojednania w istocie oznaczało likwidację frakcji. Wystąpienie Gomułki przeciw jakimkolwiek już nie frakcjom, a nawet grupom, w partii na majowym (1957) IX Plenum nie pozostawia w tym względzie wątpliwości.

Walka z „frakcyjnością” nie będzie przebiegać bez oporów; świadczą o tym kolejne narady i plena ( m. in. z X 57, gdy podjęta zostanie decyzja o weryfikacji członków partii). W końcu jednak ma swój zadawalający finał w marcu 1959, gdy dopuścić można wreszcie do kilkakrotnie odsuwanego III Zjazdu. To na jego forum wyjaśni Gomułka — bez wątplenia przekonywająco — powód, dla którego od samego początku zwalcza przede wszystkim „rewizjonizm”. „W krajach budujących socjalizm dzia-

---

<sup>11</sup> W. Gomułka na spotkaniu z wyborcami w dniu 14 I 1957. Za: *Przemówienia*, t. 1, Warszawa 1957, s.193.

<sup>12</sup> W. Jedlicki, *Chamy i Żydy*, w: *Klub Krzywego Koła. Dokumenty*, Instytut Literacki, Paryż 1963.

lalność rewizjonizmu jest wspierana przez wszystkie reakcyjne siły, a przecież jest nie do pomyślenia, Towarzysze, by reakcja mogła wspierać dogmatyzm”<sup>13</sup>.

Pojęcie „sił reakcyjnych” rozumiane jest, co oczywiste, dowolnie. Tak naprawdę nie mają one wszak żadnych szans na ujawnienie. Ściśle tajny protokół z narady kierownictwa Komitetu d.s. Bezpieczeństwa z kierownikami urzędów wojewódzkich — jeszcze z kwietnia ’56 — informował wprawdzie, iż „widoczne jest duże ożywienie we wszystkich wrogich środowiskach” czyli pośród „byłych elementów”: AK-owskich, WRN-owskich, NZS-owskich, chadeckich, PSL-owskich, wreszcie „nacjonalistów ukraińskich” i „reakcyjnego kleru”, ale „szeroko rozwijane w dyskusjach plany stworzenia legalnej opozycji” sama bezpieka uważa za nierealne bądź „plotki”<sup>14</sup>. Co nie znaczy, aby nie tworzyły się wówczas nowe środowiska rzeczywistej opozycji i to nie tyle pod wpływem „nastrojów odwilżowych”, co zbrodni ujawnianych w wyniku amnestii oraz repatriacji<sup>15</sup>.

Za czasów Gomułka za przeciwnika względnie zorganizowanego uważać można jednak tylko „reakcyjny kler”. Wczesne „odwilżowe” gesty I sekretarza wobec środowisk katolickich idą od początku w parze z zachowaniami nielojalnymi, prowadzącymi konsekwentnie — z miesiąca na miesiąc — do pogarszania się stosunków. Kościoła nie represjonuje się wprawdzie jak przed czterema laty, ale oskarża wciąż o ideologiczny sabotaż. Mówiono już w maju 1957 na IX Plenum, formułując stanowisko ogólniej niż na wrześniowej naradzie Komisji Prasowej KC PZPR: „Wreszcie wskazać trzeba na najpoważniejsze oparcie ideologii reakcyjnej — klerykalizm”; „pewne koła katolickie zmierzają konsekwentnie do tego, by [...] skupić wokół siebie wszystkie siły prawicy”<sup>16</sup>.

<sup>13</sup> W. Gomułka *Przemówienia*, t. 3, 1959, Warszawa 1959, s. 213.

<sup>14</sup> Por. archiwum Biura Ewidencji i Archiwum UOP, sygn. 17/IX/77, t. 17.

<sup>15</sup> Już w grudniu 1955 *Notatka w sprawie repatriacji* alarmuje: „Część repatriantów przejawia antyradzieckie nastroje. Dotyczy to zwłaszcza transportu, który przybył 11 gr. b. r. [...] składającego się w przeważającej części z b. członków AK z wileńszczyzny”. AAN, zespół BP KC PZPR, p.14.

<sup>16</sup> Wystąpienie na naradzie Komisji Prasowej KC PZPR we wrześniu 1957. Za: *Wokół Października*, op. cit.

Jest zresztą niezwykle znamienne, że nawet w okresie dobrych jeszcze stosunków z prymasem, »Tygodnikiem«, KIK-ami — dużymi względami cieszy się Pax, a szczególnie grupa Piaseckiego. Z autorem *Instynktu państwowego*, który tuż przed Plenum tak wzburzył sojuszników Gomułki, prowadzi się teraz przyjacielskie rozmowy. A kiedy w listopadzie '56 »Świat« piórami Górnickiego i Tyrmanda przypomina jego Falangowską i tuż powojenną przeszłość, interweniuje cenzura, obejmująca zapisem całą „sprawę Piaseckiego”. Będzie to ochrona stała, w roku 1959 za referat o ONR-Falandze Jan Józef Lipski zostaje na skutek interwencji Piaseckiego wyrzucony z PIW-u.

Miało więc swe głębokie motywacje pytanie, jakie stawiał jesienią 1957 w paryskiej »Kulturze« (z.11) Juliusz Mieroszewski: „W oparciu o jakie siły zamierza Gomułka budować polską drogę do socjalizmu? W oparciu o wielopolszczyznę Natolina, Paxu i pomniejszych ugrupowań? W oparciu o te siły można zbudować satelickie państwo, ale nie polską rewolucję i socjalizm”.

Tyle tylko, że Gomułka nigdy nie był rzecznikiem „rewolucji” w sensie jaki miał na myśli eseista emigracyjny, a jego wizja socjalizmu — o czym będzie jeszcze mowa — była bardzo specyficzna.

Łączyła się ściśle z ową tak eksponowaną już na VIII Plenum „kierowniczą rolą partii”. Postulat ten poczęto wcielić w życie z takim rozmachem, iż już wkrótce nie było wiadomo, jakim to jeszcze organizacjom poza własną PZPR miałby przewodzić. Bardzo szybko poskromiono wszelkie nadzieje „bratnich” stowarzyszeń na minimalną choćby samodzielność; efektywnym na to przykładem jest choćby reprimenda Gomułki pod adresem ZSL: „Coraz śmielej zaczynają podnosić głowę różni warcholi [sic!], demagodzy a także ludzie, którym się śni jeszcze zbankrutowany agent obcych wywiadów — Mikołajczyk”<sup>17</sup>. Niezwykle szybko odbiera się inicjatywę młodej lewicy”. Przystają prawie natychmiast po powstaniu istnieć Związek Młodych Demokratów, Związek Młodych Robotników, Rewolucyjny Związek Młodzieży. Monopol ZMP-owski zastąpiony zostanie monopolem ZMS-owskim. Likwiduje się większość Klubów Młodej Inteligencji, szczególnie tych o dużym rezonansie środowiskowym (a większość z nich utrzymywała kontakty także z robotnika-

---

<sup>17</sup> AAN, zespół BP KC PZPR, p. 71, t. 28.

mi), wobec wielu (m. in. krakowskiego Czerwonego Pomidora) stosuje się dotkliwie szykany; władzom na rękę jest stosowanie w miejsce metod administracyjnych pośrednich presji, w wyniku których część Klubu rozwiązuje się niby samorzutnie.

Ogranicza się — aż do likwidacji w 1958 — działalność związków branżowych. Samorządy robotnicze napotykać na coraz większe trudności aż po ich ostateczną w tym samym roku pacyfikację.

Najbardziej dostrzegalne represje dotyczą jednak prasę; i to nie tylko w działach społeczno — politycznych, lecz także kulturalnych. Idzie nie tylko o zapowiedziane już na VIII Plenum zahamowanie demokratycznej krytyki, coraz bardziej energiczną działalność cenzury, lecz także o zahamowanie niebezpiecznej tendencji przełamywania „monopolu druku” towarzyszącej powstawaniu licznych czasopism.

W 1957 roku nie wyraża się lub cofa zgodę m. in. na wydawanie »Treści« z Jerzym Kwiatkowskim i Tadeuszem Nowakiem, »Telimeny« (Samozwaniec, Waldorff, A. M. Swinarski), »Krytyki« Drewnowskiego, »Rzeczy« Sandauera i Przybosia oraz — co odbije się największym rezonansem — »Europy«, złożonej w większości z byłych „Kuźniczian”. W dwu ostatnich wypadkach pozytywna decyzja była już niemal pewna; oba pomysły zyskują akceptację Biura Prasowego i Wydziału Kultury, i to „po dokładnym zbadaniu sytuacji w czasopiśmiennictwie kulturalnym”. Akceptacje uzasadnia się w dodatku faktem, iż o miesięczniki te starają się „grupy skupiające najważniejszych pisarzy polskich” i to „postępowych racjonalistów”<sup>18</sup>. Jak się okazuje, nie ma to jednak istotniejszego znaczenia. W wypadku »Europy« tłumaczyć to można przynajmniej fatalną oceną wystawioną pierwszemu złożonemu (lecz nie rozprowadzonemu) numerowi; po jego lekturze nie mówi się już o pisarzach postępowych, a — o „ludziach o określonym, skryształizowanym światopoglądzie (Słonimski, Ważyk, Zawieyski i inni)”. W wypadku »Rzeczy« sprawa nie zostaje — jak się zdaje — w ogóle wyjaśniona.

Po dwu numerach zlikwidowany zostaje kwartalnik »Opinia« pod redakcją Seweryna Pollaka (Feddecki, Stawar, Treugutt).

Zapowiedź likwidacji wielu „odwilżowych” pism — szczególnie młodzieżowych zawiera już wypowiedź Gomułka z grudnia ’56, kiedy to na

---

<sup>18</sup> Por. »Kultura Niezależna« nr 65, grudzień 1990.



uwagę jednego z dziennikarzy, iż „zamykanie pism nie likwiduje problemów”, odpowiada: „administracyjne metody są najgorsze, ale powstaje pytanie, co lepsze jest. Na pewno już lepsze będą administracyjne metody aniżeli pozwolenie na szerzenie wręcz wrogiego stanowiska i wręcz wrogich poglądów”<sup>19</sup>. Skorzysta się z nich już wkrótce w stosunku do co najmniej kilku periodyków.

Decyzje dotyczące pism młodej inteligencji są tym drastyczniejsze, że są to wszystko periodyki powstałe w okresie „odwilży”, a czasem nawet tuż po Październiku. Powstały one mimo stałych (od początku 1955) narzekań KC na niezdiscyplinowanie prasy, jej zbyt krytycyzm (ten zarzut w stosunku do »Po prostu« pojawia się już w XI 55), demagogię. Oskarża się o te grzechy zresztą i prasę partyjną, na licznych naradach wzywając do „wzmoczonych ofensyw ideologicznych”. W 1956 na lipcowym VII Plenum, gdzie emocje każą zapomnieć o języku propagandy mówi się wręcz, iż dziennikarze „nam wyrządzili szkodę i za to trzeba ich po tyłku porządnie łać”<sup>20</sup>.

Jednak mimo, iż ataki są zajadłe, ich polityczne konsekwencje są niewielkie, a dotyczy to nie tylko pism, ale i osób. Owszem, po opublikowaniu *Poematu dla dorosłych* zdjęto z funkcji redaktora naczelnego »Nowej Kultury« Hoffmana (do którego żywiono pretensje już od druku *Pamiętnika uczennicy* w grudniu 1953) oraz zorganizowano głośną naradę partyjnych pisarzy mających potępić Ważyka. Ale jeśli pamiętać o tym, że *Poemat* został oficjalnie uznany przez Biuro Polityczne za antypartyjny, szkodliwy i znieważający klasę robotniczą oraz — co istotniejsze — że w jego sprawie interweniował sam Chruszczow, to nic nie usprawiedliwia sądu, iż były to posunięcia świadczące o „sile stalinizmu mimo odwilży”<sup>21</sup>.

Kiedy pozostający jeszcze w najściślejszym kierownictwie partyjnym Jakub Berman gromił w trzy miesiące później na naradzie poświęconej literaturze „tendencje jawnie rewizjonistyczne” oraz „drobnomieszczań-

---

<sup>19</sup> Narada Aktywu partyjnego KC z dziennikarzami 10 II 56. AAN, zespół KC PZPR, sygn. 237/V-246.

<sup>20</sup> AAN, zespół BP KC PZPR, p. 70, t. 26.

<sup>21</sup> List Wasilewskiej do Chruszczowa opublikował Aleksander Kochański w nr. 27 »Polityki« z 1992. Ogłoszony tam protokół z narady redakcja opatrzyła nagłówkiem „Stalinizm był silny mimo odwilży”.

ski radykalizm”, to choć wymieniał nazwiska nie miało to praktycznych konsekwencji. Zakazy druku zdarzały się rzadko (przypadek K. T. Toeplitza w »Nowej Kulturze«) i to z reguły po dłuższym już okresie publikowania „niewłaściwych” tekstów. Poza Hoffmanem nie było głośnych przypadków odwoływania redaktorów naczelnych, jeśli nie liczyć istnej karuzeli zmian w »Trybunie Ludu«, choć i tu sprawę różnych „nieprawidłowości” załatwiono definitywnie dopiero po lutym 1957, przywracając na to stanowisko — mimo protestu zespołu — Leona Kasmana<sup>22</sup>.

Rzadko odmawiano też zgody na nowe periodyki. Jedyne głośny przypadek dotyczy »Niezależnych Klerków«, którego projekt złożył w lutym 1955 Stefan Kisielewski. Projekt odrzucono kategorycznie, komentując to m. in. faktem, że jego twórcami są „ludzie związani z takimi ośrodkami obcej ideologii, jak były »Tygodnik Powszechny«”. Jeśli jednak pamiętać, że jest to sam początek roku 1955 i w stosunku do kościoła trwa niezmiennie polityka zapoczątkowana w 1953, to taka akurat decyzja oraz towarzyszący jej komentarz nie mogą budzić zdziwienia. Kisielewskiego traktuje się zresztą w jakimś sensie poważnie. Gomułka nie bawi się już w żadne ceregiele. Sankcje, jakie podejmuje wobec prasy polegają zresztą nie tylko na likwidacji pism istniejących i wstrzymywaniu — projektowanych. To teraz dopiero wprowadza się — po raz pierwszy od początku „odwilży” zapisy na nazwiska. Sprawa »Po prostu« nie kończy się wszak na jego rozwiązaniu. Dziesięć osób (m. in. Lasota) zostaje wyrzuconych z partii, sześciu grozi to samo. Wszyscy objęci zostają zakazem druku oraz zatrudnienia „na jakichkolwiek funkcjach dziennikarskich”. W kwietniu 1958 powraca się do tej sprawy, by — stwierdziwszy z goryczą, iż zakazu przestrzegano ściśle ledwie przez parę miesięcy, a później niektórych autorów publikowano pod pseudonimami — zakaz zaostriżyć, czyniąc wyjątek dla tych, którzy w międzyczasie wyrazili „solidarność z polityką partii”. Ścisłym zakazem druku objęci są nadal m. in. Ambroziewicz, Urban, R. Turski i Zimand. W tym samym dokładnie czasie w związku z usunięciem ze stanowiska redaktora naczelnego »Sztandaru Młodych« Mariana Turskiego i odejściem na znak solidarno-

---

<sup>22</sup> Po odwołaniu w marcu '56 Matwina stanowisko to objął na 2 miesiące Werfel, następnie Morawski (miesiąc), Titkow (3 miesiące) i znów do czasów Kasmana — Matwin.

ści części zespołu, objęto zakazem druku m. in. Adamickiego, Fikusa, Lewandowską.

Po wystąpieniu z partii (1957) „grupy Europy” (Andrzejewski, Hertz, Jastrun, Kott, Ważyk, Żuławski) nie poddaje się ich wprawdzie podobnym represjom, ale już w rok później po wrocławskim Zjeździe ZLP (XII 58), gdzie — zwyczajowo już — krytykowano cenzurę, politykę wydawniczą etc. — zaniedbanie to zostanie nadrobione. Sekretarz KC przyznaje, iż „nie doceniał należycie renegackiej postawy niektórych pisarzy, którzy demonstracyjnie wystąpili z partii”<sup>23</sup>, w wyniku czego Biuro Polityczne zaleca w styczniu 1959 m. in. „traktować grupę »Europy« jako grupę przeciwników politycznych” oraz „spowodować wycofanie” jej „z kolegiów wydawniczych czasopism (Kotta z »Przeglądu Kulturalnego«, Żuławskiego z »Twórczości« itp.), ograniczyć „współpracę w redakcjach szczególnie w PIW-ie, Czytelniku i »Twórczości«, stosować ostrzejsze kryteria selekcji przy załatwianiu do druku tekstów, wreszcie wstrzymać ich wyjazdy za granicę”<sup>24</sup>. Zakaz druku obejmuje też dziennikarzy innych pism oraz oraz radia, nie mówiąc już o coraz od roku 1957 powszechniejszych zwolnieniach ze stanowisk kierowniczych. Dotyczy to także wydawnictw. Niedługo potem (w połowie 1958) zapadnie pierwszy wyrok w procesie o kolportowanie paryskiej „Kultury” (3 lata dla Hanny Rawskiej).

Fakt, iż mechanizm represji uruchomiono na dobre dokładnie w rocznicę VIII Plenum nie jest wcale paradoksem. Jest — jak pisałam — raczej kontynuacją tego, co Gomułka tam właśnie zapowiadał.

Ulegając niewątpliwie różnym „obiektywnym” koniecznościom, bez których „polska droga do socjalizmu” stałaby się z pewnością bardziej własna, realizował przy tym konsekwentnie założenia ustrojowe, które zadekretował w Moskwie „rząd lubelski”. Kiedy bronił swych racji przed kilkunastoma czy kilkudziesięcioma dziennikarzami, twórcami, intelektualistami, a nawet „przed społeczeństwem” („przed reakcją społeczną będziemy bronić Października”) zdawał się Gomułka całkiem serio myśleć, iż zdobycze te chroni. Oznaczały one bowiem dla niego co innego niż dla tych, których rychło i — z przekonaniem — nazwał „antysocjali-

---

<sup>23</sup> AAN, zespół KC PZPR.

<sup>24</sup> Cyt. za: »Kultura Niezależna« nr 65, grudzień 1990.

stami”. Tę różnicę uchwycił dobrze (nie mający zresztą na myśli Gomułki) Roman Zimand, gdy pisał w grudniu 1956 w »Po prostu« (nr 43): „jeden z moich kolegów powiedział mi dość dawno: publicyści dzielą się na tych, którzy piszą o błędach i wypaczeniach i na tych, co piszą o tzw. błędach i wypaczeniach [...] Oto jeden z korzeni sporu. Czy trzeba usuwać tylko błędy i wypaczenia, czy też trzeba zmienić system społeczno-polityczny, zwany stalinizmem”.

Gomułka był, rzecz jasna, rzecznikiem poglądu pierwszego. „Błędy i wypaczenia” były dla niego tylko błędami i wypaczeniami; na VIII Plenum mówił wszak o konieczności wymienienia złych śrubek w dobrze poza tym funkcjonującym mechanizmie. Pogląd drugi uważał nie tylko za błędny, ale i szkodliwy. Większość swego exposé, na grudniowej naradzie dziennikarzy, poświęcił na demaskowanie poglądów Zimanda (nazywanego uporczywie Ziemandem) i Kołakowskiego, a także sprawie tego, czy ustroj ZSRR był ustrojem socjalistycznym — rzecz jasna z potępieniem wątpliwych; od tej pory cenzura zacznie zresztą tępić słowo „stalinizm”, zastępując je enigmatycznym „okresem minionym”. Już wtedy bowiem uznano, że sama dyskusja na tematy tak niebezpieczne jest szkodliwa, przynajmniej na łamach prasy: „Czy można wybrać takie formy [publicystyczne — M. F.], że wyjdzie on [Zimand] ze swoim stanowiskiem publicznie, napisze artykuł [...] itd., itd. będzie przemawiać do miliona ludzi? Nie, tak my nie uważamy [...] jest określone miejsce gdzie ma się szukać prawdy [...] To określone miejsce to są organizacje partyjne”<sup>25</sup>. To przekonanie bardzo bliskie opinii Gorkiego sprzed lat dokładnie 30-tu (pisał on wówczas do Afinogenowa, że jego *Kłamstwo* można by „zagrać w jakimś zamkniętym teatrze, przed grupą dobrze podkutych leninowców, niezachwianie przekonanych o słuszności generalnej linii”<sup>26</sup>), to przekonanie więc miało wkrótce — o czym była już mowa — znaleźć wyraz polityczny.

Z okazji grudniowego ataku na Zimanda użył też Gomułka słowa „utopia”. Mówił wręcz „program Zimanda przecież jest programem Armii Zbawienia czy klasztoru”.

<sup>25</sup> AAN, zespół BP KC PZPR, p. 71 oraz zespół KC PZPR, sygn. 237/V-246.

<sup>26</sup> Za: M. Heller, *Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka*. Warszawa 1981, s. 131.

W gomułkowskiej wizji „socjalizmu” mieściła się bowiem złagodzona (bo już nie krwawa) rzeczywistość lat 1944-48. Nie mieściły się w niej natomiast absolutnie mrzonki „pozał się Boże, lewicy partyjnej” (tego sformułowania użył na IX Plenum), nie mówiąc już o ludziach z dawnego PPS.

Nie było więc w wizji tej miejsca na ideę samorządów robotniczych. (na IX Plenum uznał Gomułka, iż grożą one uspołdzielczeniem przez robotników fabryk, a więc kapitalizmem), ani na samorzady terytorialne (zdjęty wraz z całym wrześnieowym numerem »Po prostu« 1957 — artykuł Kurowskiego w tej m. in. sprawie nazwano „kontrewolucyjnym”), ani na decentralizację kultury, ani na organizacje młodzieżowe, mieniące się wprawdzie „socjalistycznymi”, lecz nie dość wylewne w stosunku do partii, ani na wielość klubów i pism uprawiających względnie swobodne dyskusje.

Kiedy czyta się obecnie archiwalne protokoły zebrań BP i sekretariatu KC, różne służbowe „notatki” — donosy, a szczególnie akta cenzury, wydawać się może, że „ideę Października” mordowano nie tylko bezwzględnie, ale i tępo, małostkowo, ponad miarę zagrożeń. Jest to jednak mniemanie mylne. Gomułka dobrze wiedział (i okazywał w tym mądrość o wiele większą niż wszyscy rzeczywiści reformatorzy, powtarzający z uporem, iż „stoją na gruncie ustroju”), że ruch, który rozpoczął się mniej więcej półtora roku przed objęciem przezeń władzy, w ustroju tym pomieścić się nie może. I to nie tylko z „geopolitycznych” względów.

Skromne z pozoru i naturalne żądanie, by w kraju, kierowanym przez „klasę robotniczą” wpływ na życie i to tylko na terenie swego zakładu mieli sami robotnicy w istocie zawierało w sobie groźbę tego, iż za chwilę wpływać oni zechcą także na to, co się dzieje poza macierzystym zakładem. Podtrzymywanie innych — tak licznych przed Październikiem — inicjatyw społecznych doprowadzić mogło do przeświadczenia, że „kierownicza rola partii” jest fikcją lub uzurpacją. Masy mogłyby stwierdzić, że wcale partia nie musi im „mówić, co i jak robić, aby kształtować budownictwo socjalizmu” (Gomułka na IX Plenum). Nie grożący, jak to wyglądało, żadną ustrojową rewolucją postulat swobodnego zrzeszania się młodzieży, choćby tylko tej lewicowej za rok — dwa skończyłby się zapewne żądaniem przekształcenia organizacji w partię; już w grudniu 1956 w ulotce Związku Młodych Demokratów można było przeczytać, iż „uwazamy, że nie ma takiej partii, która miałaby monopol na teoretyczne

i praktyczne tworzenie sprawiedliwości społecznej”. I tak krok po kroku pojęcie „socjalizmu” poczęłoby oznaczać nie socjalizm „prawdziwy”, „słuszny”, lecz socjalizm „w ogóle”. Bardzo blisko tego był już wszak Kołakowski, kiedy mówił w lutym 1957: „uprawiane często przeciwstawianie demokracji socjalistycznej — demokracji burżuazyjnej jest szkodliwym nonsensem, ponieważ chodzi nie o likwidację osiągnięć demokracji burżuazyjnej, ale ich rozszerzenie przez system, który usunąłby z niej elementy fikcyjności wynikłe z nierówności społecznej”<sup>27</sup>. To po tym wystąpieniu Gomułka szkodliwość Kołakowskiego przyrównał do szkodliwości Kazimierza Mijala. Co gorsze, mogło by się okazać, iż istotnie, jak pisał w zdjętym przez cenzurę felietonie Kijowski, „chodzi nie o wytłumaczenie historii, ale o jej zmianę”<sup>28</sup>. W tym kierunku zmierzali wszak Jan Strzelecki (jego niedopuszczone do druku w 1957 *Zapiski* opatruje cenzor komentarzem „wszystkie mają jedno na celu, dowieść, że to co się dzieje w krajach socjalistycznych, Polsce i Związku Radzieckim [...] nie ma nic wspólnego z socjalizmem”<sup>29</sup>. Edward Lipiński, Zimand, Kołakowski. „rewizjonistyczni” publicyści.

\* \* \*

W zdjętym przez cenzurę w listopadzie 1956 tekście Kołakowskiego *Czym jest socjalizm?*, pisany dla »Po prostu«, na pytanie tytułowe odpowiadał autor wyjaśniająco: „socjalizm to naprawdę bardzo dobra rzecz”. Dwie szpalty druku zajęła wyliczanka, czym socjalizm nie jest (a więc m. in. „państwem, którego żołnierze pierwsi wstępują na ziemię innego kraju”, „państwem, które sądzi, że tylko ono może zbawić ludzkość”, „państwem, którego obywatel nie może przeczytać największych dzieł współczesnej literatury”<sup>30</sup> itd. itd.). Gomułka wiedział, że socjalizm, któremu służył musi być tym wszystkim właśnie. Wolno sądzić, że naprawdę, a nie tylko z konieczności, nie uznawał tego za ograniczenie

<sup>27</sup> »Życie Warszawy« nr 29/1956.

<sup>28</sup> AAN, zespół GUKPPiW, t. 485.

<sup>29</sup> J.w., t. 426.

<sup>30</sup> Z tego samego (47) numeru »Po prostu« zdjęto jeszcze m. in. *Ciemność w południe* Koestlera.

ani „zdradę”. Czy została w ten sposób zaprzepaszczona szansa, jaką w oczach wielu stwarzał Październik?

Nie wydaje się, by tak czy owak była ona wówczas zbyt duża. Choć rzecz jasna nie trzeba jej było dodatkowo pomniejszać i to nie próbując nawet półśrodków. Wszak z szeregu ograniczeń, które tłumaczono później „geopolityką”, zdawali sobie sprawę także ci, których oskarżano o brak politycznego rozumu. Andrzej Kijowski pisał w roku 1956 («Nowa Kultura» nr 48): „Nie zagraża nam władza, która mówi »jestem władzą«. Nie zagraża nam racja stanu, która mówi »jestem racją stanu«. Zagraża nam racja stanu, która mówi »jestem wolą mas«, a nie jest wolą mas. Zagraża nam racja stanu, która mówi »jestem ideą braterstwa pokoju.«” Podobnie myślał i Kołakowski, i publicyści »Po prostu«.

Ale jednym z nieodłącznych i niebagatelnych elementów systemu było wszak podawanie konieczności za dobrodziejstwa. O tym też Gomułka wiedział, kiedy 19 X 56 stawał znów po latach za partyjną mównicą.

[1992]





# Autorytecie wróć? czyli intelektualisci u władzy

Lutowy numer »Res Publici Nowej«<sup>1</sup> poświęcony został problemowi zdrady. Pojętej tyleż dosłownie, co nieco metaforycznie. Jest to numer wart lektury, także dzięki temu, że nie wydaje się tu ocen apodyktycznych, odwrotnie — już samo hasło wywoławcze zawiera „dwuznaczność”: *Dwuznaczność zdrady*. Co więcej autorzy i dyskutanci reprezentują różne sposoby myślenia i do różnych przyznają się ideowych tradycji, a mimo to nie miotają pod swym adresem obelg, nie wszczynają kłótni, po prostu wymieniają poglądy (i wątpliwości). Być może właśnie fakt, że owa — z pozoru naturalna — metoda wydaje się dziś tak egzotyczną, sprawia, że chciałoby się poszerzyć poruszane przez redakcję kwestie o jeden jeszcze temat, w zasadzie tu pominięty a wart obecnie szczególnej chyba uwagi. Idzie o coś, co można niezbyt precyzyjnie określić „zdradą klerków”. Rozumianą znacznie szerzej niż u Julienu Bandy, bo dotyczącą już nie tylko tego, co rozumieć można za odstępstwo od powinności — moralnych i intelektualnych — jakich od klerka się niegdyś wymagało, ale i tych przyczyn, które sprawiły, że samo pojęcie „klerkizmu” stało się dziś zapoznane, archaiczne i śmieszne. Nawet jeśli klerka zastąpić — nie całkiem adekwatnie — bardziej oswojonym intelektualistą.

W formule „zdrada klerków”, którą do niedawna posługiwano się w pismach wychodzących poza cenzurą dla określenia tych, co przystąpili do komunistycznego dworu, dziś mieszczą się już inne treści. Dość zresztą różnorodne. Można je w dodatku poszerzyć o „zdradę”, jakiej w stosunku do klerków dopuścili się inni — co z Bendą ma już niewiele wspólnego, ale za to z naszą rzeczywistością aż nadto wiele. Kiedy bowiem próbuje się określić sytuację intelektualistów w nareszcie wolnej Polsce, trzeba

---

<sup>1</sup> »Res Publica Nowa« nr 2/1995.

przyznać, że tyleż „zdradzili się” oni sami, co zostali „zdradzeni”: ci z „dworu” przez niespodziewany rozwój wydarzeń, ci z opozycji — przez tych, z którymi czuli szczególnie silny „ponadklasowy” związek.

\* \* \*

„Dziś słowo »imponderabilia« wyszło z użycia. Suwerenność, wolność, sprawiedliwość — przestały z nagle być czymś jednoznacznym, czymś, co tworzy płaszczyznę wspólną. [...] Lub zasługują jedynie na wzruszenie ramion, skoro oznaczają równocześnie bezrobocie, niepewność i biedę” — pisze Teresa Bogucka w świetnym eseju *Hipokryzja wolnych*<sup>2</sup>, zwracając uwagę na społeczną dewaluację wartości kiedyś kwestionowanych tylko przez totalitarną władzę, a dziś głównie przez „lud rozżalony”, co w sposób zasadniczy zmienia sytuację dawnych obrońców tychże imponderabiliów. „Poczucie wyrażania duszy narodu rosło w miarę krzepnięcia opozycji i wreszcie zyskało dziesięciomilionowe potwierdzenie, a po dziewięciu latach pieczęć wyborców. A zaraz później ta więź między ludem a jego, powiedzmy, rzecznikiem zniknęła. A może była tylko złudzeniem? Może jej w ogóle nie było?”.

Niezwykle trudno odpowiedzieć na te pytania. Nikt przecież nie badał sprawy dogłębnie, a w pogmatwanej historii Polski znaleźć można dowody zarówno na potwierdzenie, jak zaprzeczenie tej tezy. Wbrew pozorom odpowiedź taka nie jest jednak konieczna. Niezależnie od tego, czy intelektualści (inteligenci) polscy różnych historycznych epok przemawiali tak naprawdę tylko w imieniu swoim czy też nieokreślonej większości „narodu”, dla ich własnej kondycji ważne było przede wszystkim przeswiadczenie, że nie są wyobcowaną, ale — wręcz przeciwnie — wiodącą częścią społeczeństwa. To w jego imię wyrzekali się nieraz swych naukowych czy artystycznych karier, by stanąć na czele powstań, spisków, „opozycji”. Co więcej — to właśnie poczucie poparcia większości oraz wpływu na jej zachowania, różniło setki rzeczywistych inteligenckich bohaterów od „klerków” Bendy, którzy winni odznaczać się przede wszystkim odwagą (ba, heroizmem!) przeciwstawiania się, w miarę potrzeby,

---

<sup>2</sup> »Dialog« nr 12/1994.

i społeczeństwu, i stadnemu myśleniu w imię własnej intelektualnej oraz etycznej niezależności.

Oczywiście, i tych ostatnich w Polsce nie brakowało, nie wyłączając czasów Peerełu. Ale popularniejszy był — co w naszych narodowych losach zrozumiałe — model „romantyczny”, wedle którego samotnictwo, nie intelektualistów jeszcze, lecz poetów, nie stało w sprzeczności z „rządem dusz”. Paradoksalnie, przekonanie, iż „rząd” ów można rzeczywiście sprawować utrzymało się w mocy nawet wtedy, gdy pochodzić on miał nie z boskiego, lecz — jak w latach stalinowskich — partyjnego nadania.

Stalinizm w Polsce nie trwał wprawdzie nazbyt długo, ale winien był nauczyć intelektualistów szczególniego sceptycyzmu wobec przemawiania „w imię” i „do” ludu, tymczasem nie zrezygnowali oni z psychicznego komfortu, jaki takie „przemawianie” mogło zapewnić. Tyle że przemawiano już (jeśli nie liczyć cyników) nie u boku, lecz wbrew władzy. „Z przyzwoleniem społecznym”, jak sądzono po doświadczeniach Października, chociaż ową wiarę na „przyzwolenie społeczne” powinien osłabić choćby rok 1968. Od momentu powstania KOR-u i drugiego obiegu pielęgnowanie owych złudzeń stało się zresztą łatwiejsze; dopiero szok z Tymińskim stanowił pewne otrzeźwienie, choć nie wyciągnięto z niego żadnych racjonalnych wniosków. Szok ów przyszedł zresztą po dziesięcioletniej „solidarnościowej” euforii, która objęła i stan wojenny.

Oczywiście złudzenia co do jedności interesów, doświadczeń, mądrości intelektualistów i ludu można oceniać z dzisiejszego punktu widzenia po prostu jako skrajną naiwność. Ale nie jest to ocena ani wyczerpująca ani sprawiedliwa. Gdyby spora część emigracyjnych i krajowych intelektualistów, zwanych tzw. „opozycją polityczną” nie wierzyła w społeczne poparcie, rzeczywistość peerelowska lat 1955–89 wyglądałaby z pewnością o wiele bardziej ponuro i kto wie, czy doszłoby w ogóle do robotniczego Sierpnia.

Nie kwestionowali tego przecież na początku nawet przywódcy z gdańskiej Stoczni. Podczas spotkania z Czesławem Miłoszem w roku 1981 sam Lech Wałęsa przyznał wielkodusznie: „Uczyłem się trochę na pańskich wzorach. Więcej ja chyba panu zawdzięczam. I chyba my wszyscy”<sup>3</sup>. Wiedział też jeszcze, iż sporo zawdzięcza także swym inteligenc-

---

<sup>3</sup> Ten i następne cytaty z obu spotkań za: »Puls« nr 48, styczeń–luty 1991.

kim doradcom. To dopiero w osiem lat później, już po przegranej komunistów, gdy znów przyszło mu stanąć naprzeciw autora *Traktatu moralnego* i *Zniewolonego umysłu* — „surowym tonem powiedział Miłoszowi, że rzeczywistość społeczna i polityczna poszła dziś w Polsce daleko, a kultura pozostała w tyle i powinna ją doganiać” — jak notował „jeden z obserwatorów”, dodając od siebie: „spojrzałem na zasepionego Miłosa i zapytałem siebie, skąd my to znamy. Dlaczego powraca ten koszmarny — zdawałoby się — prześniony sen, w którym przywódcy pouczali pisarzy i tłumaczyli im rzeczywistość, której jakoby ludzie kultury nie rozumieją, gdyż nie pracują w sztolniach i stocznjach”.

A był to jeszcze czas, gdy Wałęsa nie był przeciwny nie tylko współpracy z intelektualistami, ale nawet przejmowaniu przez nich władzy. Mówił wprawdzie, że premierowi Mazowieckiemu zdrowe siły społeczne winny patrzeć na ręce („od początku musimy stwarzać mu takie warunki, aby się nie mógł pokrzywić, aby nie mógł popełnić błędów i wypaczeń”), ale dodawał — może szczerze — iż „nie chce pełnić jakichś funkcji. Nie

chcę być nawet przewodniczącym związku. I nie będę”.

Co było później, kiedy owemu „nie chcę” zaczęło towarzyszyć „ale muszę”, przypominać raczej nie trzeba. Bardzo szybko okazało się w każdym razie, iż jedynym prawdziwym sukcesem inteligentkiej opozycji było, iż umiała wspiąć się do władzy po plecach robotników.

Przybierająca coraz bardziej monstrualną postać próżność Wałęsy (wkrótce zapomni nawet o swych klasowych kolegach, ważny pozostanie tylko jeden genialny Elektryk) była zresztą w ogromnej mierze wynikiem wcześniejszej postawy intelektualistów, towarzyszących mu na początku — a i w środku — drogi. Niewątpliwe sukcesy i równie niewątpliwą związkową charyzmę związkowego przy-



wódcy, który jedyny tak naprawdę porozumieć się umiał z „masami”, uczyniono przedmiotem swoistego kultu. Kult prawie nigdy (może poza kultem niektórych świętych) nie przynosi dobrych rezultatów, choćby poprzez to, że wyklucza jakiegokolwiek krytyczne i własne widzenie. Kto jak kto, ale intelektualści powinni o tym wiedzieć doskonale. Ale „kult”, szczególnie w odniesieniu do Wielkiego Robotnika, pozwala intelektualistom na zaspokojenie ich dwu istotnych potrzeb: rozładowuje pewne kompleksy (choćby kompleks inteligenckiego nieudacznictwa i rzekomej „gorszości”) oraz stwarza doskonałą okazję do działań mitotwórczych. Nic dziwnego, że Wałęsa stał się w ówczesnym piśmiennictwie wybitnych historyków literatury już nie tylko tym, kim był rzeczywiście: a więc niezwykle zręcznym i odważnym przewodniczącym Związku, który w dziejach powojennej Polski odegrał wielką rolę. Tego było, rzecz jasna, za mało, trzeba było przywoływać bliskie sercu większości intelektualistów literackie paralele: stawał się więc Wałęsa i „polską Antygoną”, i Konradem Wallenrodem, i Panem Wołodyjowskim. Kiedy więc odwrócił się plecami do swych apologetów, musieli oni przeżyć wstrząs podwójny. „Zdradzał” ich nie tylko współtowarzysz określonych działań, lecz wykreowany przez nich „narodowy symbol” — z robotnikiem (jakimkolwiek) nie mający jak widać wiele wspólnego. Bez wątpienia trudno odnaleźć się w sytuacji, w której opuszczają nas — wraz z konkretnym, żyjącym człowiekiem — i Antygoną, i pogromcą Krzyżaków, i Mały Rycerz.

Tak więc wzajemne rozstanie, które nastąpiło wprawdzie zbyt szybko, ale tak czy owak było nieuniknione, stanowiło rozczarowanie ponad miarę bolesne. Co prawda już niedługo potem zaczęto pisać trzeźwo, że „solidarnościowy” „sojusz inteligencko-robotniczy” był tworem sztucznym, pewną lokalną specjalnością, ale uraz pozostał. Bezkrytyczny zachwyt „mądrością” „ludu” czy „narodu”, który „zawsze ma rację” zastępować zaczęły lekceważenie i pogarda, równie źle wróżące jak to pierwsze. A w dodatku utrudniające znalezienie sobie odpowiedniego miejsca w świecie, który coraz mniej odpowiadał dawnym o nim wyobrażeniom.

Nie było to chyba jednak najniebezpieczniejsze. Konflikt Wałęsa — intelektualści był (i takim do dziś pozostał) przede wszystkim konfliktem politycznych ambicji. U jego podstaw stała walka o władzę. I to nie żadna walka o władzę „robotniczą” lub „inteligencką”. U samych początków „wojny na górze” stał z pewnością urażony w swej narastającej manii

wielkości Wałęsa (rząd Mazowieckiego nazbyt szybko i gorliwie starał się wyzwolić od dawnej od niego zależności). Ale rozpętali tę wojnę inteligencji, którzy pozostali (nie na długo, jak się okazało) u jego boku. „Obóz gdański” przeciw „obozowi warszawskiemu”. A wkrótce i odwrotnie.

Trzeba ogromnej kultury politycznej i nie tyle jakiegoś doświadczenia demokratycznego, aby walka o władzę — a bodaj o wpływy — była walką na (choćby naciągane) argumenty i programy a nie na pięści. Kiedy nie wiadomo jeszcze, jakie argumenty i programy można w ogóle na swą korzyść przywołać, najbezpieczniej jest bezpardonowo ośmieszać i poniżać przeciwnika. Nie jest istotne, że przy okazji dewaluuje się samego siebie.

Trzeba to powiedzieć otwarcie. Żadne z pogardliwych słów, jakie wypowiedział Wałęsa między rokiem 1989 a 1995 pod adresem „jajogłowych”, żadna z jego decyzji, wyrosłych z lekceważenia innego niż własny rozum, nie uczyniła intelektualistom (a szerzej — inteligencji) tyle szkody, ile to, czego dokonali i dokonują w tym zakresie sami. I to mocą gorzkiego paradoksu — właśnie w chwili, gdy nic już niby nie stało na przeszkodzie, by zabrać się za odbudowę swego nadwątlonego — przez różne wcześniejsze konieczności — autorytetu.

Zamiast tego zaczęto go z zapalem niszczyć, nawet wtedy, kiedy główne karty w politycznej grze zostały rozdane w ten sposób, że żaden z zainteresowanych nią intelektualistów nie odniósł zwycięstwa. Tym razem klęska i zagrożenie nie obudziły potrzeby wzajemnego wsparcia i jedności. Wprost przeciwnie. „Bojowy” nawyk okazał się tak silny, że





zniszczył wszystko, co do chwili obecnej nazywa się nostalgicznie „dawnym etosem”.

Oczywiście „etos” ten, tak czy owak nie mógł królować wiecznie. Zbyt wiele od początku było w nim utopii, bardzo trudno sprawdzającej się w normalnym życiu. Nie tylko dlatego (choć dla tego także), że, jak pisze Bogucka, istnieje pewna nieuchronna sprzeczność między sytuacją „więźnia, który głosi ideały na procesie i jest im wierny w celi, ale po wyjściu na wolność nie ma już do tego głowy, bo musi utrzymać żonę, dzieci, spłacić długi, kupić dom i w ogóle”. A pod tym „w ogóle” kryje się z pewnością i presja „rozżalonego ludu”.

Niebagatelną sprawą było i to, że ów „etos” łączył się niepodzielnie z przymiotnikiem „solidarnościowy”. A „solidarność” w oczach wielu znaczyła w gruncie rzeczy „tożsamość”: poglądów, ambicji, charakterów wszystkich, co się na nią powoływali. Każda (nie tylko „młoda, polska”) demokracja musiała złudzeniom tego typu przynieść kres. To tylko w świecie, który zakładał ostry podział „my” i „oni” — można było „czytając książki Zbigniewa Herberta, Leszka Kołakowskiego czy Czesława Miłosza” nie być świadomym „wszystkich dzielących ich różnic. Szukać raczej tego, co im wspólne: wyboru prawdy przeciw sile, odwagi nazywania rzeczy po imieniu”<sup>4</sup>.

Nieuniknione w nowej sytuacji „dostrzeżenie różnic” nie mogło zresztą nikomu przynieść szkody. Odwrotnie, same korzyści. Pod jednym wszakże warunkiem: zachowania szacunku dla tego, co jednak było wspólne, niezależnie od odmiennych „rodowodów”, ideowych sympatii i poglądów, które dopiero w „wolnej Polsce” można było wyartykułować, niezależnie od przynależności do tego czy innego (lub nieprzynależności do żadnego) Kościoła etc., etc. Nie było to przecież niemożliwe. Piękny przykład wzbicia się „ponad podziały” dał w latach siedemdziesiątych Bohdan Cywiński swoją książką *Rodowody niepokornych*. Książka, mimo iż „wyraźnie światopoglądowo ukierunkowana” „zachowuje zarazem bezstronność [...], ożywiona pragnieniem, aby zanim przyjdzie oceniać, zrozumieć wszystkie racje i argumenty strony przeciwnej”<sup>5</sup>. Niestety,

---

<sup>4</sup> A. Michnik, *Takie czasy...Rzecz o kompromisie*, Nowa, Warszawa 1986, s. 4.

<sup>5</sup> M. Szpakowska, *Dziedzictwo nasze i nie nasze*, »Twórczość« nr 12/1971.

*Rodowody niepokornych*, nie tak znów dawno uznane za książkę wybitną, wyszły po upadku PRL-u z mody.

Nie przez przypadek zginęły w cieniu *Hańby domowej* Trznadla, która weszła nawet do kanonu lektur szkolnych. Nie dlatego tylko, że ta druga dotyczyła czasów nie tak, jak u Cywińskiego, odległych (choć odległość lat kilkudziesięciu może wydawać się nazbyt odległa tylko tym, co przywykli do postrzegania każdego zjawiska z doraźnej, politycznej właśnie, perspektywy). Raczej dlatego, że „obiektywizm” przestał być zaletą. A ogromna ilość intelektualistów jest zainteresowana raczej zohydzeniem niż nobilitacją przeszłości; szczególnie tych, co myślą inaczej. Ale na zohydzeniu cudzej przeszłości cierpi nie tylko przeciwnik. W pamięci ludzi nie wprowadzonych w przeróżne wewnętrzne, inteligentne podziały, źli stają się wszyscy.

Gdyby zaś odtwarzać losy i postawy polskich intelektualistów (inteligentów) oraz rolę, jaką odegrali oni — szczególnie w powojennej Polsce — na podstawie tego, co wypisuje się na ich temat, przede wszystkim — co nie znaczy wyłącznie — w tzw. prasie pravicowej, okazałoby się, że nie ma w nich nic, co wzbudzić by mogło czyjąkolwiek przychylność, nie mówiąc już o jakichkolwiek „wartościach”. Nie na darmo nad publicystyką tą unosi się raczej duch *Traktatu o gnidach* Wierzbickiego niż *Z dziejów honoru* Michnika; o tych, co — na przekór wszystkim — zachowali wierność sobie, ocalając przed zniewoleniem ogromne obszary nauki i kultury, na ogół w ogóle się nie pamięta. Tych, co zaangażowali się czynnie w walkę z reżymem po prostu się zohydza, oczywiście, gdy nie znaleźli się dziś pośród „naszych”. Pluralizm i tolerancja, tak pięknie brzmiące, póki nie wyszły poza sferę postulatów, nie sprawdziły się w praktyce. Na placu boju pozostały albo „późne wnuki Lenina”, pozbawieni moralności i patriotycznych uczuć „liberałowie” oraz „salonowe kliki” albo „ksenofobiczny Ciemnogród”. Nie potrzeba już pezetperowskich aparatczyków, aby niszczyć „legendę” Miłosza — robi to Herbert. Kołakowskiego kompromituje nie Komisja Kontroli Partyjnej KC, lecz jego niedawni redakcyjni koledzy z krakowskiego pisma. Po drugiej stronie — Herbert przypominany jest już nie tyle jako autor *Pana Cogito* i *Potęgi smaku*, co zaciętrzewionych felietonów z »Tygodnika Solidarność«, a Piotr Wierzbicki nie jako dawny świetny felietonista »Tygodnika Powszechnego«, lecz fanatyk z »Gazety Polskiej«, która realizuje to wszystko, od czego jej redaktor naczelny odżegnywał się jeszcze i w

swych — też przecież bardzo tendencyjnych — *Mysłach staroświeckiego Polaka*, i późniejszych felietonach, wymierzonych w „jajogłowych” z »Tygodnika Solidarność«, tuż po przejęciu tam władzy przez Jarosława Kaczyńskiego.

Co najdziwniejsze (bo nie da się już tłumaczyć żadną polityczną walką) ogromna pasja, jaką wkłada się w „obnażanie” rzekomych (ponoć) autorytetów z przeciwnego „obożu”, zawodzi całkowicie, gdy idzie o budowanie autorytetów własnych. Kiedy Andrzej Friszke wydaje niezwykle interesującą (co nie znaczy niekontrowersyjną) i pionierską książkę o opozycji politycznej w powojennej Polsce, wytacza się przeciw niemu najpoważniejsze działa, zarzucając — bez powodu — stronicze spisywanie dziejów jednego salonu, licząc skrupulatnie, ile stron poświęcono KOR-owi, a ile prawicy, stawiając (utajone) pytanie, czemu miast zajmować się losami jakichś niepoważnych „elit” nie spisał autor dziejów Kościoła w Peerelu (co zresztą uczynił niemal w tym samym czasie kto inny). A »Tygodnik Solidarność« ocenił książkę z odrazą jako dowód, że „zniesienie cenzury nie załatwia wszystkiego [...], nadal podlegamy indoktrynacji, uprawianej przez potężne, bo bogate i powiązane z władzą lobby, które dopiero co odzyskały historię Polski, chce zawłaszczyć dla siebie”. Jeśli nawet przyjąć z powagą podejrzenie, iż urodzony w roku 1956 Andrzej Friszke, wieloletni współpracownik »Przeglądu Powszechnego«, »Więzi« (a niegdyś i »Tygodnika Solidarność«) powiązany jest z prokomunistyczną i antykościelną nomenklaturą, pozostaje pytanie, czemu to redaktorzy »Tygodnika...« miast oburzać się na „zawłaszczanie historii przez...”, sami nie pofatygują się do bibliotek i archiwów, by, po wieloletnich studiach, napisać historię Polski, ich zdaniem uczciwą i prawdziwą. Wolno wszak wątpić, by powędrowali za to do więzienia lub chociażby stracili swe posady. Ale tak naprawdę nie chodzi przecież ani o „uczciwość” ani „prawdę”. Aby podjąć wysiłek „odklamania” czegokolwiek i zaprezentowania jakichś własnych wartości i autorytetów trzeba wszak charakteru i umiejętności znacznie większych niż te, które przydają się w zręcznym produkowaniu inwektyw.

Jest rzeczą pewną, że skłócona — w sposób jak nigdy chyba małostkowy — inteligencja, przynajmniej ta — do niedawna — „humanistyczna” i „twórcza” nie umie, poza nielicznymi wyjątkami, odnaleźć w nowej rzeczywistości względnie prestiżowego miejsca. Nie tylko zgodziła się bez oporu (na który umiała zdobyć się wobec komunistów) na swą inte-

lektualną, moralną a i — materialną — degradację, ale — jak już pisałam — bardzo w niej dopomogła rysując „portret własny” równie przygnębiający jak obraz politycznych (inteligentkich, robotniczych i chłopskich) elit.

A w malowaniu owego portretu mają swój udział nie tylko ci, co intelektualną uczciwość zamienili na partyjne politykierstwo, ale i ci, co poddali się przez zaniechanie. Jakby uwierzyli, że w rzeczywistości, która odebrała im status „duchowego przywódcy”, stały się nieważne wszelkie obowiązki, jakie łączono niegdyś z inteligentką powinnością „budzenia sumień”, „rozdrapywania ran”, etc. To prawda, że sformułowane w niedzisiejszej już poetyce, mogą one pobrzmiwać li tylko patosem i megalomanią. Ale przecież miast dewaluacji, warto nazwać je po prostu prościej i określić bardziej konkretnie. Kto wie, czy nie okazałoby się wówczas, że czas intelektualistów wcale nie przeminął. Że istnieje szansa na to, aby wielu z nich kojarzyło się z pojęciem „autorytetu”, o którego potrzebie tyle się wciąż pisze, choć tak naprawdę nie cieszy się on dziś estymą nie tylko w III Rzeczypospolitej.

Tyle, że ten „autorytet” odzyskać mógłby dziś zapewne raczej dawny klerk, nawet mówiący rzeczy niepopularne, niż dawny „opozycjonista”, którego szlachetne apele przyjmuje się jak „mowę-trawę”. Zresztą między klerkiem a opozycjonistą nie musi być różnicy. W ogromnie wielu opozycjonistach — tkwi klerk, tyle że zepchnięty jakby na plan dalszy przez różne polityczne burze. Należy go po prostu rozbudzić. Jest na to ostatnia pora.

W czasie grudniowej sesji<sup>6</sup>, na spotkaniu zorganizowanym przez przyjaciół Jana Józefa Lipskiego ksiądz Leon Kantorski zadał niezwykle istotne pytanie o to, czemu tak mało dba się w obecnej Polsce o podtrzymywanie pamięci o ludziach szlachetnych i niezwykłych. Było to pytanie szczególnie dramatyczne, bowiem właśnie owa sesja, na której mówiono skądinąd niezmiernie ciepło o niezwykłym i szlachetnym człowieku, ujawniła, jak bardzo szybko postępuje proces swoistej „partyjnej” degradacji intelektualistów. Kiedy bowiem w roku 1991 żegnano Jana Józefa Lipskiego na Powązkowskim cmentarzu, nad jego grobem spotkali się

---

<sup>6</sup> Sympozjum poświęcone Janowi Józefowi Lipskiemu odbyło się 10 grudnia 1994 w Sali Lustrzanej Pałacu Staszica w Warszawie.

ludzie różnych orientacji, toczący niekiedy ze sobą bardzo już ostre polityczne walki. W obliczu owej śmierci straciły one jakby swoją ważność; wydały się tym — czym były w istocie — rzeczą małą i drugorzędną. W trzy lata później okazały się decydującymi; do IBL-u nie przybył nikt (lub prawie nikt) z ludzi, łączonych publicznie z prawicą. Nie jest ważne, czy nie zostali zaproszeni, czy po prostu zlekceważyli uroczystość. Ważny był symboliczny wymiar obu wydarzeń. Niemniej — a może o wiele bardziej — porażający i gorzki niż ten, który przypisać można było spotkaniu dwu, wspomnianych na początku Noblistów. Nie wydaje się rzeczą roztropną lekceważenie tego faktu.

[1995]



# Umysł zniewalany

Minął już dawno czas „ukąszeń heglowskich”, „Ketmanów” i „Murti-Bingów”. Można wątpić, czy ktokolwiek dziś czyta *Zniewolony umysł* Miłosza — a jeśli, to z pewnością nie czerpie z niego żadnych nauk przydatnych w dniu dzisiejszym. A jednak samo zjawisko istnieje — cóż z tego, że w zupełnie odmiennej niż dawna formie.

Paradoksalnie, z całą ostrością uświadamiają tę prawdę dwa historyczno-krytyczne dzieła; paradoksalnie, bo — choć oba przywołują pojęcie „zniewolenia” — pojmują je wyłącznie w sensie historycznym. Udowadniając zarazem przez swój specyficzny styl i sposób myślenia, że historia ta ma, niestety, swe kontynuacje.

Idzie o noszące datę świeżą, ledwie ubiegłoroczną, teksty Wiesława Pawła Szymańskiego i Kazimierza Brauna<sup>1</sup>, o charakterze z pozoru odmiennym. W stosunku do pierwszego słowo „tekst” zresztą nie pasuje; idzie bowiem o książkę, zbierającą w całość szkice autora publikowane wcześniej w »Arce«, a wydane obecnie pod sugestywnym tytułem *Uroki dworu (rzecz o zniewalaniu)*. Drugi odwrotnie — wydrukowany został jako szkic samoistny, choć stanowi rozdział dużej syntezy, która ukaże się zapewne niebawem jako *Teatr Polski zniewolonej (1939–1989)*.

*Uroki dworu* dotyczą literatury, a charakter książki określony jest skromnie choć dobitnie: „tak naprawdę nie piszę o twórczości Dąbrowskiej, Nowaka czy Przybosa. Piszę jedynie o elementach ich osobowości (twórczo-psychologicznej), które były podatne na zniewalanie”. Są to więc rozważania z pogranicza socjo — i psychopatologii. Książka Brauna — jako swoisty podręcznik dziejów teatru pięćdziesięciolecia — siłą rzeczy koncentrować musi się na twórczości i to twórczości nie tylko

---

<sup>1</sup> W. P. Szymański *Uroki dworu (Rzecz o zniewalaniu)*, Wydawnictwo Arka, Kraków 1993; K. Braun *Apogeum stalinizmu w teatrze (1949–55)*, »Zeszyty Historyczne« (Paryż) nr 104, 1993.



artystów na zniewalanie podatnych, ale i tych — nielicznych — co mu się oparli.

Autorów łączy jednak wiele. Przede wszystkim obydwaj są profesorami uniwersytetów; jeden krajowego, lecz o zasłużonej renomie, drugi skromniejszego, ale za to aż w Buffalo. Obydwaj, choć są pedagogami, a więc osobami, które przywiązywać winny szczególną wagę do maksymalnej bezstronności opinii — lubią sądy apodyktyczne, mimo iż oparte na dość wątpliwym materiale dowodowym. Obydwaj wreszcie — ufni w niepodważalność własnych zasad etycznych — za nic sobie mają wszelki kontekst historyczny, zapominając o tym, że nawet ci, co strzegą nie naruszalności zasad dekalogu i to tak ważnych, jak przykazanie „nie zabijaj”, inne stosują w tym względzie miary wobec walczącego na froncie żołnierza niż bandyty z czasów pokoju.

Szymański wybiera za bohaterów swych prokuratorskich esejów pisarzy, którzy choć dawali się uwodzić urokom komunistycznego dworu, nie należeli do gatunku czysto dyspozycyjnych. Nawet w przypadku Gałczyńskiego, o którym mowa w szkicu ostatnim, poświęconemu »Przekrojowi«, ten przymiotnik nie jest wszak na miejscu. Zawyża poprzeczkę nie przez przypadek. Kompromitowanie byle kogo to zajęcie dla żurnalistów, nie historyków literatury. Zresztą szkice mają mówić o zniewalaniu, a nie — jak u Brauna — o zniewoleniu. „Rzecz zniewolona (umysł zniewolony) jest produktem gotowym. Zniewalanie [...] jest procesem płynnym”; może on w ogóle nie zostać zakończony lub się cofnąć, jak w przypadku Tadeusza Nowaka, gdy wystąpił po 13 grudnia z partii („Tadeuszowi pozostało teraz właściwie jedno, a tu miał kolejne szczęście. Przyglądać się, jak z miesiąca na miesiąc wyrasta tuż przed jego oknami wspinały kościół. Myślę, że wiele dawał na jego budowę. W każdym razie zaprzyjaźnił się z budującym ten kościół proboszczem”).

W istocie jednak owa różnica jednej samogłoski, różniąca „proces gotowy” od „płynnego”, tak z pozoru istotna, nie ma dla meritum sprawy wielkiego znaczenia. Szymańskiemu nie idzie bowiem o śledzenie czegoś, co się staje i to staje się pośród różnych komplikacji, lecz o udowodnienie przyjętych z góry tez. Najdrastycznie demonstruje to szkic o Dąbrowskiej — może dlatego, że sytuację ułatwia tu dziennik, a może z tej przyczyny, że w przeciwieństwie do Nowaka jest ona dla autora osobą całkowicie obcą. Co nie znaczy, aby esej-wspomnienie o Nowaku wolny był od insynuacji, rzucanych jednak jakby mimochodem, z obłudną nieco

troską, by cesarzowi oddane zostało co cesarskie: „Ten sukces wydawniczy [...] był, oczywiście, sukcesem Tadziowego arcyzmu i talentu [...] nikomu z nas nie przyszło nawet do głowy, żeby Tadeuszowi zazdrościć. Tak samo jak nam nie przyszło do głowy chyba [podkr. MF] i Tadziowi także, że sukces ten jest mimo wszystko zdalnie i bardzo świadomie kierowany. [...] Ci, którzy sięgnęli po władzę tuż po wojnie, synowie chłopscy, kiedy po ćwierćwieczu znojnej pracy (w aparacie partyjnym, w aparacie bezpieczeństwa przede wszystkim) zaczynają powoli przechodzić na emeryturę, znaleźli swojego piewę, epika czy barda”.

Z Nowakiem rzecz jednak odbywa się w rękawiczkach oraz ze świadomością, iż ma się do czynienia z artystą, choćby artystą z dała sterywanym. Metoda jest tu dość subtelna a rzecz nadaje się jeszcze do jakichś polemik. Wspomniany szkic o Dąbrowskiej jest po prostu efektem manipulacji, czasem naiwnej, najczęściej po prostu cynicznej.

Za najcyniczniejsze uznać trzeba preparowanie cytatów. Kiedy tylko dziennik Dąbrowskiej potrzebny jest Szymańskiemu do udowodnienia jakiejś tezy, np. o jej rozwiązłości erotycznej („skończył się dla mnie okres, w którym małżeństwo było dla mnie najbardziej zasadniczą formą życia, było życia wykładnikiem, barwą nadającą koloryt innym rzeczom [...]. Myśl moja przerosła tę formę ludzkiego pożycia, odnajduje sens współżycia właściwego w tysiącu innych stosunków”) lub zaakceptowaniu „nowej wiary”, wkracza w jej teksty z bezwzględnością i wprawą, której nie powstydziliby się żaden z peerelowskich cenzorów, choć ten nie zawsze rzecz jasna skreślałby dokładnie to samo, co Szymański. Podobnie jak ogromna ilość marksistowskich (o zgrozo!) krytyków przyznałaby zapewne bez oporów, że ma w Szymańskim swego wprawnego — choć ideologicznie *à rebours* — kontynuatora, jeśli idzie o wyrywanie rzeczy, pisanych przez osoby im niemiłe, z należącego im kontekstu oraz interpretacje dosadne a stojące w sprzeczności z intencją oskarżonego.

Bardzo bliski dawnym, modelowym pod względem światopoglądowym, praktykom jest tu też swoisty system kojarzeń, dzięki któremu z pewnych faktów (niekiedy zresztą skłamanych) i poglądów (często przeznaczonych lub nazywanych w sposób całkowicie dowolny) można wyciągać wygodne dla siebie pewniki-wnioski. Tak więc jak niegdyś pochodzenie np. ziemiańskie określało automatycznie czyjąś „reakcyjność”, katolicyzm — skrajny konserwatyzm, a „europejskość” — agencję imperialistyczną lub wrogi komunizmowi „kosmopolityzm” (to ostat-

nie pojęcie nie straciło i w III RP nic na pejoratywnym znaczeniu), tak i u Szymańskiego jedna konstatacja pociąga za sobą natychmiast drugą. „Nieuporządkowane życie erotyczne”, czyli trzech wyliczonych z nazwiska kochanków Dąbrowskiej i brak ślubu ze Stanisławem Stempowskim lub przekonanie: „Nie, nie mam zmysłu historycznego. Pochodzę z warstwy ahistorycznej, z bezimiennych chłopów” (Przyboś *Zapiski bez daty*, 1970) prowadzić muszą nieuchronnie do komunizmu. Komunizm (a i szerzej — wszelka „lewicowość”) oznacza z kolei zawsze nieuporządkowane życie erotyczne i „oderwanie się od korzeni”, jeśli komunista nagle sobie o owych korzeniach przypomni, to tylko wtedy, gdy potrzebne mu to, aby się „uszlachetnić”, uhistorycznić poprzez kreowaną przez kogoś (jak w wypadku Nowaka) legendę.

Każdy „liberalizm” (czy to dawny, czy to współczesny — tego ostatniego zdaje się Szymański nienawidzić ze specjalną mocą) łączy się z pogardą dla wartości „wyższych”, po cóż zawracać sobie nimi głowę, skoro można żyć niemoralnie. Jeśli ktoś jest masonem, to z pewnością zaciekle antyklerykałem etc., etc., aż wstyd ciągnąć tę listę. W dodatku nie przychodzi Szymańskiemu w ogóle do głowy, że ani fascynacja socjalizmem, ani krytyczne sądy np. o emigracji wcale nie muszą być dowodem na „zniewolenie umysłu”, na komunistyczną propagandę. Tak jak nie przychodzi mu do głowy, iż wykorzystywanie opinii z prywatnego dziennika (opublikowano go wszak po śmierci pisarki w całkiem innych — mimo wszystko — niż stalinizm warunkach) po to, by czynić z nich kontrargument przeciw czemuś, co zostało ogłoszone, jest prostą nieuczciwością; jednym z najdrastyczniejszych jej przejawów jest przeciwstawienie słynnemu artykułowi Dąbrowskiej o Conradzie jej krótkiego późniejszego zapisku po to, by zdewaluować wagę i szczerść tego pierwszego.

Wystawiając pisarzom swe cenzurki, stale podkreśla Szymański na jak wiele się naraża. W opinii „salonu warszawskiego” oczywiście, owych europejskich intelektualistów, w Polsce (legion ich), którzy z rozkoszą zamkną go „w opłotkach najbardziej okrutnego Ciemnogrodu”.

Myli się zresztą tylko częściowo. Bowiernaprawdę sytuuje się obok niego bardzo blisko. Nie dlatego, że — jak pisze — symbolem Ciemnogrodu są dziś wszystkie tradycyjne wartości: rodzina, honor, Kościół. Nikt poza fanatycznymi demagogami nie może uważać za symbol „Ciemnogrodu” kogoś tylko dlatego, że jest on praktykującym katolikiem, patriotą

i niewiarołomnym małżonkiem. Ale na pewno wyznacznikiem „Ciemnogrodu” (jeśli już w ogóle upierać się przy tym pojęciu) jest pogarda dla każdego innego niż własny światopoglądu, pogarda połączona z bezbrzeżną pychą, która pozwala autorowi na ironiczny dystans wobec lewicowych „duchowych ojców” Dąbrowskiej („Krzywickiego, Abramowskiego, Brzozowskiego”), na podważanie autorytetu Stanisława Stempowskiego (a i Jerzego także), na pełne tajonej nienawiści kpinki z Kołakowskiego. Jest symbolem „Ciemnogrodu” liczenie komuś kochanków (w długim życiu Dąbrowskiej było ich zresztą niewielu), utożsamianie liberalizmu z niemoralnością, nie mówiąc już o sympatii dla „ludowej mądrości”, głoszącej, iż „antyklerykałami są przede wszystkim Żydzi i masoni”.

A poglądy rodem z „Ciemnogrodu” pożenione z jawnie złą wolą, pomówieniami oraz diagnozami, formułowanymi w oparciu o zafałszowany materiał nie stanowią z pewnością najlepszej rekomendacji przy odkłamywaniu przeszłości.

Kazimierz Braun wprawdzie meandrami życia intymnego swych bohaterów się nie zajmuje, porzekadeł ludowych nie cytuje i nie zajmuje się dociekaniem, czy wpływ na łatwe uleganie „urokom komunistycznego dworu” ma narcyzm, rozwiązłość czy klasowe wyobcowanie, ale i tak z Szymańskim łączy go wiele.

Jest więc równie jak tamten kategoryczny w porządkowaniu ludzkich biografii i świata. A owa kategoryczność i w tym wypadku nasuwa pamięć o nie najlepszych peerelowskich doświadczeniach. Nie dokonuje wprawdzie przewodów myślowych typu: jeśli x to y, ale i on podtrzymuje tradycję znaną raczej z „marksistowskich” podręczników, które tak bardzo dbały, aby to, co „postępowe” oddzielić od tego, co „reakcyjne”, w których autor „szyłkowej epoki imperializmu” bądź też kontrewolucjonista Wyspiański nie mogli się zetknąć z Mickiewiczem — tym od *Ballad i romansów* oczywiście. Podtytuły rozprawy Brauna każdego wsadzają bezapelacyjnie do właściwej mu szuflady: z jednej strony *Książęta Niezłomni: Horzyca i Wierciński, Enklawy małżeństwa Byrskich*, Kotlarczyk, z drugiej — *Komunistyczna kariera antykomunisty* (to o Korzeniewskim) i *Wschodzące gwiazdy komunizmu* (od Zamkow po Dejmka). Tylko rozdział *Dramat Leona Schillera* w innej nazwany jest poetyce, co o tyle mylące, że o żadnym „dramacie” nie ma tu mowy: jest tylko szczegółowo od roku 1946 wyliczona kariera politruka.

Podobnie bowiem jak Szymański, operuje Braun faktami w sposób całkowicie selektywny. Należy Dąbrowskiej i Przybosiowi wyliczyć wszystkie ich komunistyczne przewiny, wygodniej jednak przemilczeć te elementy ich biografii, w których nie tylko dworowi uwieść się nie dawali, ale nawet stawiali mu opór. Podobnie z Schillerem. O ile u Horzycy liczą się tylko jego dzieła i intencje, o tyle u Schillera tylko to, co paskudne w politycznej karierze; a i w dziedzinie dokonań milczy się tu o *Burzy*, *Celestynie* czy *Drdzie*, przestrzegając w tym względzie bardzo rygorystycznie wyznaczonych dla stalinizmu ram czasowych, o czym w wypadku „książąt niezłomnych” się zapomina. A nawet więcej: o ile wyraźnie się podkreśla, iż Horzyca nie mógł po wojnie zrealizować wielu swych repertuarowych i inscenizatorskich marzeń, o tyle sugeruje się, iż Schiller (podobnie zresztą jak Korzeniewski w funkcji dyrektora Narodowego) wyrzekli się ich bez przykrości, a nawet z własnej woli. Jak u Szymańskiego fałsz zaczyna urastać poczyna do rangi prawdy. Nie może wszak Braun nie wiedzieć, iż Schiller (owszem, często w stosunku do partii zawstydzająco czołobitny) do ostatniej chwili ludził się, iż grać będzie mu wolno głównie wielkich polskich romantyków; że słał w tej sprawie niewyobrażalnie naiwne memoriały i przed, i po objęciu dyrekcji w Polskim, a więc w sezonie 1949/50 — w samym zenicie stalinizmu. A jeśli wie, bo wiedzieć musi, to jak może sugerować, iż artysta ten „kontentował się omawianiem swych projektów w gronie najbliższych współpracowników”, okazując równocześnie wielkie zaangażowanie w dzieło wprowadzenia na sceny polskie „realizmu socjalistycznego i repertuaru sowieckiego”.

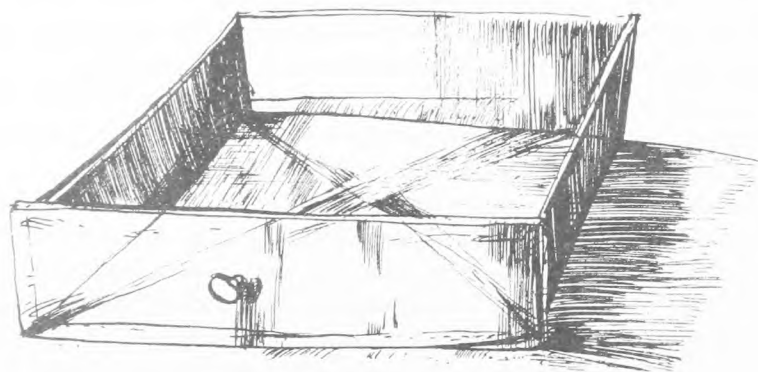
Nie idzie zresztą tylko o Schillera oraz o wiele innych przeinaczeń, chodzi tu o osobliwe kryterium ważności, które każe mówić o znaczeniu w tych akurat latach „enklawy Byrskich”, o pomijaniu kompletnym np. Dąbrowskiego czy Axera; ten ostatni opuszczony został z tego pewnie powodu, iż nie mieścił się ani w kategoriach „książąt niezłomnych” ani „gwiazd komunizmu”.

Podobnie jak u Szymańskiego roi się tu od stwierdzeń efektownych, lecz nieprawdziwych. Szymański oskarżał lekko »Wiadomości Literackie« o sympatie proradzieckie, a »Przekrój« rozszyfrował jako „bank Eilego i spółki”, ułatwiający (dzięki pieniądзом płynącym z góry) kupowanie literatów. Braun lekką ręką pisze o Schillerze — socrealiście z zamiłowania, odejście Korzeniewskiego (skądinąd pełnego grzechów) z Naro-

dowego określa jako „jedną z wczesnych oznak kruszenia się stalinizmu”, Zamkow oskarża o próby uczynienia z Teatru Wybrzeże przyczółka socrealizmu, co szczęśliwie się nie udało wyłącznie dzięki temu, iż „teatr pod jej kierownictwem popadł w tarapaty” i reżyserka ratować się musiała pośpieszną ucieczką. Itd., itd.

Prawie połowa sądów zawartych zarówno w *Uroках dworu* jak *Apozeum stalinizmu* domaga się nie tylko polemik, ile po prostu zwyczajnych sprostowań.

A dochodzi do tego w obu książkach jeszcze niezwykle osobliwa perspektywa historyczna w ocenie zjawisk. Wszystko wartościowane jest tu wedle późniejszych doświadczeń (stąd np. stwierdzenie z roku 1945, iż „dużo jest w kraju do roboty”, wziąć można za ochoczy akces do komunizmu) i jeszcze późniejszych wzorców zachowań. A więc wedle ukształtowanego tak naprawdę dopiero po 13 grudnia kodeksu moralnego, który nie zezwalał na uczestnictwo w tym, co nazywano „czerwonym opłatkiem” i kazał odrzucać z niesmakiem państwowe nagrody. Ów ahistoryzm wynikły z demonstrowanego efektownie antykomunizmu autorów pozwala im nie tylko na niezwracanie uwagi na liczne komplikacje społecznego i indywidualnego życia, ale i na podawanie swych dzisiejszych, subiektywnych interpretacji pewnych faktów jako opinii ogółu i to opinii obowiązujących rzekomo przed laty. Szymański nie wspomina nawet, jaką przyjemność wielu ówczesnym inteligentom sprawiało czytanie w



szuflada



»Przekroju« *Zielonej Gęsi* Gałczyńskiego, której nie odbierano wcale jako jeszcze jednego dowodu na przewrotność „mechanizmów zniewalania”. Braun przekonuje, iż fortele reżyserów i dyrektorów, dzięki którym udawało się w latach dogmatycznego socrealizmu wstawiać w plan repertuarowy raczej Czechowa czy Ostrowskiego niż radzieckie i polskie produkcyjniaki były bez znaczenia, a nawet więcej, były realizowaniem nikczemnego planu wynaradawiania. Bowiem „choć wśród sztuk rosyjskich znajdowały się arcydzieła, to w owym czasie służyły sowietyzacji Polski, nie inaczej niż sztuki powstałe pod władzą radziecką [...] i tak odbierała ich granie publiczność”.

Aż strasznie się robi, gdy pomyśleć, że wszystko to wyszło spod piór ludzi, nie tylko uczonych, ale i kształtujących (bezpośrednio!) poglądy tych, dla których Peerel jest już tylko legendą.

A przecież ani Szymański, ani Braun nie są w owym procesie edukacji osamotnieni. Odwrotnie: mają rzesze o wiele bardziej wpływowych sprzymierzeńców, chociażby w mass-mediach. Programy TV poświęcone choćby Boyowi i Iwaszkiewiczowi, różne — tak dziś modne — rozmowy o literaturze ostatniego półwiecza etc., etc. sprawiają, że historia kultury — nie tylko zresztą powojennej — zamienia się w historię ludzkich małości, kolaboracji, politycznych i seksualnych zbrodni. Twórczość jest dla nich jedynie trzeciorzędnym, a właściwie zbędnym dodatkiem.

Na efekty tak pojętego nauczania nie trzeba długo czekać. O ile kształtujący taki właśnie obraz dojrżeli już historycy i publicyści starają się przynajmniej oddzielić twórców od ich dzieł, ich wychowankowie nie mają podobnych oporów. Nawet Jacek Trznadel, pogromca Boya, nie twierdzi wszak, że nie znał on właściwie francuskiego; Jan Prokop, oskarżający przedwojenne pismo Giedroycia o to, iż stało się wylęgarnią lewicowych liberalów, nie pisze, iż w piśmie tym ogłaszały swe teksty same miernoty; podobnie Szymański nie nazywa swych bohaterów grafomanami, Braun nie odmawia Schillerowi reżyserskiego talentu.

Ale dla Rafała Ziemkiewicza, „młodego felietonisty” i to felietonisty nie podrzędnej radiostacji a „Wolnej Europy”, nie ma już żadnych świętości. Dzieląc się ze słuchaczami swą „irytacją” z powodu jubileuszowej fety ku czci Iwaszkiewicza, kwestionuje jej celowość nie tylko ze względu na to, iż autor *Zarudzia* był „konformistą”, ale i dlatego, że był „powiedzmy sobie szczerze” miernym poetą a jeszcze gorszym prozaikiem. A jest to przykład pierwszy z brzegu.

Jest przy tym oczywiste, że zabiegów ukazujących w pisarzu przede wszystkim „komucha” najłatwiej dokonywać na nieżyjących. Żyjący dbają bowiem o korekty swych życiorysów sami, co zręcznie i przekonująco pokazuje choćby opublikowany niedawno w »Polityce«, felieton Ludwika Stommy, który zadał sobie niewdzięczny (bo któż się tym przejmie) trud porównania kilkunastu biogramów z dwóch wydań (1984 i 1993) popularnego — a więc kształtującego powszechną świadomość — *Kto jest kim w Polsce*.

Z drugiej zaś strony w roli sprawiedliwych świadków owej „zniewalanej” czy też tylko „zniewolonej” przeszłości obsadza się w TV z wielką ochotą np. Włodzimierza Sokorskiego czy Zygmunta Broniarka, których występy są po prostu wielką pochwałą cynizmu.

Choć być może jest to postępowanie logiczne. A w każdym razie dobrze służące osiągnięciu tego punktu, do którego doszła już dość dawno polityka. Skoro wszystko jest tyle samo warte czyli warte niewiele, po cóż poddawać to, co było naprawdę rzetelnym rewizjom?

[1994]





# Inkwizytor i jego ofiary

Aby obwieścić światu, że nie należy ufać intelektualistom — bo są niemoralni, brzydzy, chorowici (a ich choroby zazwyczaj odrażające), w dodatku zaś mniej mają w sferze umysłowej do zaoferowania światu od „tuzina osób, zatrzymanych przypadkowo na ulicy”, aby więc to obwieścić, nie trzeba pisać książki. W dodatku grubej.

O „intelektualistach” można mieć sąd rozmaity, także nad wyraz nieprzychylny; jest to rzecz nie tylko przekonań, ale i indywidualnych doświadczeń. Intelektualistów cechuje na ogół egocentryzm, graniczący niekiedy z pychą, upodobanie do pouczenia innych oraz skłonność do tworzenia teorii (lub np. poetyckich wizji), które często źle się sprawdzają w życiu albo nie sprawdzają się wcale. Intelektualiści (podobnie jak nieintelektualiści) — miewają romanse, z których wychodzą bez godności, dręczą żony, nie zawsze oddają długi i wbrew głoszonym poglądom bywają konformistami. Rzadko też przypominają Apolla czy „Dyskobola” Myrona.

Jeśli więc ktoś nie lubi intelektualistów i to nawet wszystkich bez wyjątku (choć bywają przecież wśród nich i ludzie przystojni, zdrowi i zacni) — trudno odmówić mu tego prawa. A nawet wyrażać z tego powodu zdziwienie. Nieporozumienie zaczyna się dopiero wtedy, kiedy ów „ktoś” stara się swą awersję uzasadniać „naukowo”.

Paul Johnson, angielski konserwatysta w wieku upoważniającym do ugruntowanych już opinii, autor znanych i u nas syntez (*Historia polityczna świata, Historia Żydów, Historia chrześcijaństwa*) podjął się tego właśnie zadania. Skrupulatnie (choć nad wyraz selektywnie i jednostronnie) prześledził biografie 13 „intelektualistów” (głównie zresztą pisarzy), a mniej szczegółowo jeszcze kilku innych<sup>1</sup>. Nie przeoczył niczego, co

---

<sup>1</sup> P. Johnson, *Intelektualiści*, Editions Spotkania, Warszawa 1994.

mogłoby wystawić im — jako ludziom prywatnym — jak najgorsze świadectwo. Powstała książka napisana, jak trafnie zauważył jeden z recenzentów, z pozycji heglowskiego „kamerdynera”.

Ale nie to jest jej największą wadą. Zapotrzebowanie na książki, koncentrujące się na skandalach z życia różnych znakomitości jest dziś duże. Milej wszakże czytać o cudzych podłościach niż wgłębiać się w wiersze Shelleya, opasłe powieści Lwa Tołstoja, nie mówiąc już o *Umowie społecznej* Rousseau czy — nie daj Boże — *Principles of Mathematics* lub *The Analysis of Mind* Russella, określonych przez Johnsona elegancko mianem „logicznych bzdur”.

Jeśli istnieje zapotrzebowanie na pewnego rodzaju „literaturę”, jest rzeczą naturalną, że znajdzie się zawsze ktoś, kto wyjdzie mu naprzeciw. Na ogół czynią to jednak żądni sensacji dziennikarze, rzadziej autorzy o poważnym dorobku, też chcąc nie chcąc jakoś przynależni do gatunku „intelektualistów”.

W przeciwieństwie do wielu skandalizujących biografii, ocierających się o pomówienie i plotkę, Johnson zaprezentował imponujące (409 stron druku) dzieło, zaopatrzone w liczne przypisy, odsyłające do źródłowych materiałów. Włożył w napisanie swej książki dziesięciokrotnie więcej trudu od drugorzędnych „szargaczy świętości”, aby dowieść tezy, którą sformułować mógłby bez żadnego wysiłku byle „przechodzień”. Z tą różnicą, że tamten dopuściłby się tylko grzechu łatwego uogólnienia. Johnson zaś — wsparty autorytetem swego nazwiska — oddaje się zabiegom, które określić należy z równą jego własnej surowością. Jako nieuczciwe, rażąco stronicze i o dość — mimo dbałości końcowego wniosku — wątpliwym przesłaniu.

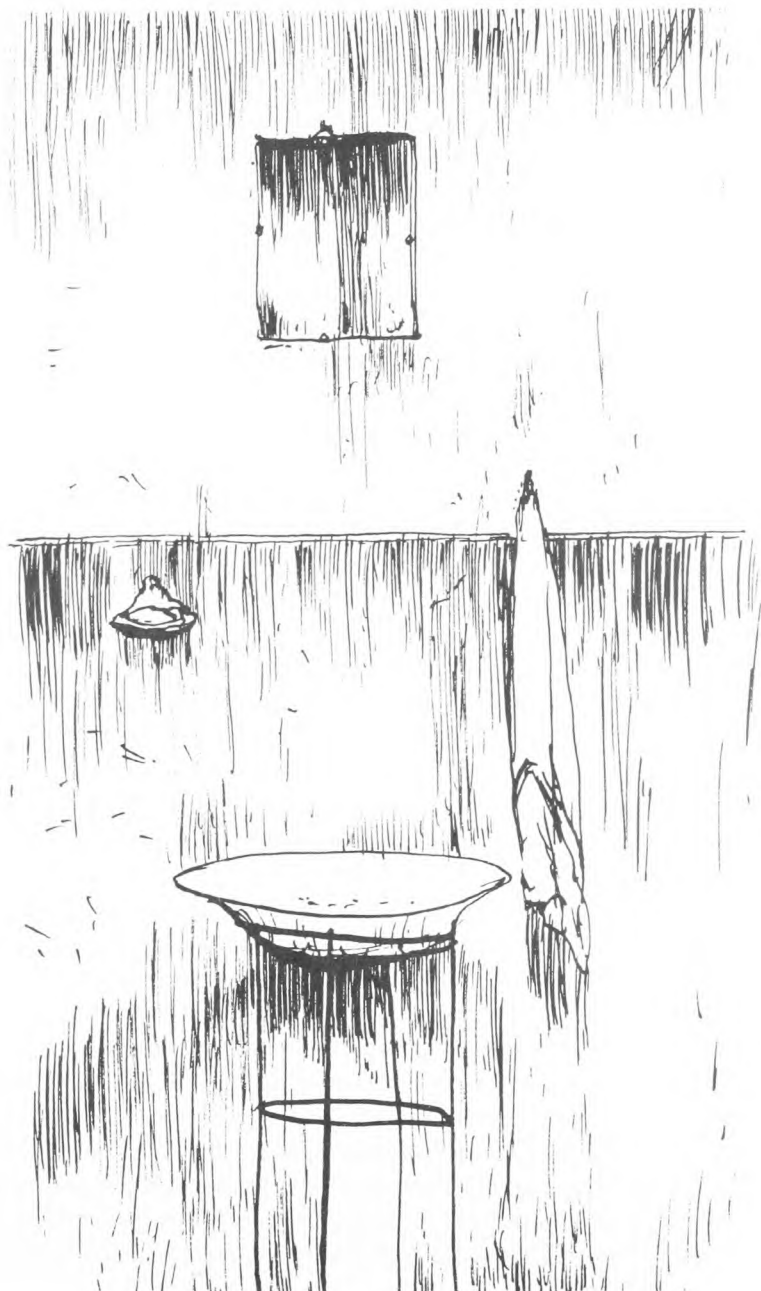
Właściwie nie ma się nawet ochoty polemizować z tą książką. Tyle tu nadużyć nad wyraz oczywistych — od tytułu począwszy na rozmaitych detalach kończąc. Johnsonowscy „intelektualiści” to bowiem ludzie niezwykle różnej rangi a nawet profesji (coż bowiem łączy Ibsena lub Tołstoja z nieznaną szerzej amerykańską pisarką Lillian Hellman, Rousseau z Edmundem Wilsonem, czy choćby Russella z Shelleyem). Jedynym, co ich łączy jest „niezwykła łatwość pisania” oraz paskudne charaktery. Przede wszystkim to drugie, bo pierwsze (podobnie jak talent) wydaje się rzeczą bez znaczenia. Piramidalne nagromadzenie przeróżnych obrzydliwości pozwala sformułować „prawdy” odnoszące się nie tylko do nieszczęsnych ofiar dociekliwości Johnsona, ale i „intelektualistów w ogó-

le". Wszyscy intelektualiści oddają się rozpuście, uwielbiają alkohol, porzucają oddane sobie kobiety lub wplątują je w upokarzające trójkąty i czworokąty („taki układ, jak zobaczymy, stał się wciąż powracalnym celem intelektualistów”), wszyscy — lub prawie wszyscy — zafascynowani są przemocą, nie wyłączając nawet intelektualistów potencjalnych; nawet Hitler „miał największe powodzenie w domach akademickich, a jego wyborcze apele do studentów ciągle odnosiły o wiele większy skutek niż jego dokonania wśród ludności Niemiec wziętej jako całość. Hitler zawsze wypadł dobrze wśród nauczycieli i profesorów uniwersytetu”. To intelektualiści „uczestniczyli w najbardziej makabrycznych okrucieństwach SS”, to Rousseau był protoplastą stalinowskich łagrów, a Shelleya należy obarczyć winą za zbrodnie rewolucji 1917 roku.

Pomijając całą absurdalność i kłamliwość tej metody dowodzenia swego — stwarza ona nieograniczone możliwości skompromitowania każdego w gruncie rzeczy zawodu czy nawet warstwy społecznej, Johnson żywi szczególną urazę do „świeckich intelektualistów”, szczególnie tych, u których można się dopatrzeć (zresztą w sposób dowolny) „lewicowości”. Ale na podobnej, jak zastosowana przez niego, zasadzie można zdemaskować nieobyčajność i „monotonną — jak u Sartre’a — głupotę” „Artystów”, „Filozofów”, ba, nawet księży, nie mówiąc już o owym tak przecież cenionym „tłumie przechodniów”, szczególnie gdy jego przedstawiciele doberze się (jak intelektualistów) „nieprzypadkowo”.

Można by więc ułożyć całą serię dowodzącą, iż dla pogardzanej i krzywdzonej przez geniuszy ludzkości najlepszym rozwiązaniem byłoby właściwie, gdyby każdy, kto nie jest moralnie nienaganny, siedział po prostu cicho, a jeśli musi już spisywać swe wrażenia i myśli, malować obrazy czy wygłaszać „kazania”, to powinien oddawać się swym maniom potajemnie, nie wciągając w to Boga ducha winnych i cnotliwych mas. Dotyczyć to winno nawet przedstawicielei nauk ścisłych, o ile swych badań nie potrafią spisać językiem zrozumiałym dla czwartoklasisty oraz gdy obojętne są im (jak np. Russellowi) „poglądy” i „uczucia tłumu”.

Cóż jednak zrobić z tym, co już zostało opublikowane? Książka Johnsona nie udziela na to niestety odpowiedzi. Jego maksymalizm etyczny, każący mu zozydzać, co tylko zozydzić się daje, nie jest tożsamy z surowością inkwizytora, palącego na stosie zatrute (lub napisane zatrutą ręką) dzieła. Idea „oczyszczenia” kultury, twórczości czy nauki z wszystkiego, co nie jest dziełem ludzi ustabilizowanych, wiernych zasadom



dekalogu i zawsze dających w życiu świadectwo prawdzie (i to zgodnej z tym, co za prawdę uznaje sam Johnson), idea taka byłaby wprawdzie ideą obłądną, ale przynajmniej konsekwentną. Łatwiej byłoby wówczas zrozumieć, czemu służy — w praktyce — owo „wejrzenie w szereg indywidualnych przypadków tych, którzy starali się doradzać ludzkości”, „zbadanie ich moralnych i wyrokujących kompetencji do wykonania tego zadania”.

Bez postawienia kropki nad „i” intencje Johnsona są wprawdzie oczywiste, ale wnioski praktycznie żadne. W końcu ani Rousseau, ani Shelley, ani Ibsen, ani Tolstoj czy nawet Brecht i Sartre nie „wstaną” już, „by wygłosić nam kazanie”, nie założą żadnego „komitetu” powołanego do „uszcześliwiania ludzkości” ani nie będą się starali ucześcić „dźwigni władzy”. Jak więc okazać im lekceważenie? Nie czytając ich dzieł? Ale sam Johnson przyznaje choćby, iż „czci Shelleya jako poetę”. Czytając je z obrzydzeniem? Przenosząc wstręt autorów na żyjących? Strzegąc się intelektualistów nie tylko jako przyjaciół, dłużników, ojców, mężów czy kochanków, ale i myślowych szarlatanów?

Johnson właśnie w „świeckich intelektualistach” (nawet tych XVIII- i XIX-wiecznych) upatruje źródła wszelkich niegodziwości „naszego tragicznego stulecia”. Nie dba przy tym o myślenie historyczne (część „grzechów” Rousseau czy Shelleya była wszak symptomatyczna dla epoki), pomija z premedytacją każdy szczegół, mogący rzucić korzystniejsze światło na swych bohaterów, delectuje się natomiast każdym „występkiem”. Wszystko po to, aby dowieść banalnej skądinąd prawdy, że między talentem a moralnością nie zawsze (a nawet bardzo rzadko) postawić można znak równości oraz — aby dokonać nad wyraz ryzykownego uogólnienia. Sprawia to po prostu wrażenie, że książka ma być rodzajem odwetu na tych wszystkich, którzy zdaniem autora „z wielką przyjemnością oddali się krytycznemu badaniu religii i jej wyznawców. Jaki przynosiły pożytek lub też jaką szkodę czyniły ludzkości te wielkie systemy wiary? Jak dalece papieże i księża żyli zgodnie z przykazaniami czystości i prawdy, dobroci i miłości bliźniego? Werdykt był surowy”.

Jeśli nawet uznać (zresztą bezpodstawnie), iż to właśnie było głównym celem wszystkich omawianych przez Johnsona „świeckich intelektualistów”, trzeba przyznać, że on sam prześcignął ich nie tylko bezwzględnością, ale i prymitywnością swego „werdyktu”.

Być może nie szło zresztą o prostą mściwość. Być może Johnson wierzy naprawdę, że najbardziej pilną potrzebą, która uchroni świat od deprawacji, jest uwolnienie go od „świeckich intelektualistów” i że należy w tym celu podsycać różne modne obecnie antyinteligencjne fobie. Wydaje się wszakże, że dzisiejsza rzeczywistość wygląda tak, jak wygląda nie z nadmiaru, lecz raczej z braku literatów i myślicieli na miarę Shelleya, Ibsena, Tolstoja i Russella, choćby recenzującemu książkę krytykowi »Sunday Telegraph« wydawali się oni tylko „intelektualnymi awanturnikami”.

A tę właśnie opinię wybija na okładce wydawca polskiego (fatalnego zresztą) przekładu. Widać dyrektorowi Editions Spotkania zda się, że również w Polsce właśnie intelektualistom należy się najbardziej bezpardonowa odprawa. Jak napisano na wstępie — nie jest on w swej opinii osamotniony. Mimo że intelektualiści polscy, jeszcze niedawno nazbyt może przejęci swą misją, starają się dziś raczej skrywać niż eksponować swe istnienie, czego ich liczni krytycy jak gdyby w ogóle nie dostrzegali. To prawda, że większość współczesnych polskich intelektualistów nie potrafi odnaleźć się w nowej roli, jednak jeszcze bardziej zdezorientowani wydają się dziś ich krytycy.

Czy zresztą w owej krytyce idzie tylko o „intelektualistów”? A jeśli, to jakich? Johnson nie precyzuje przecież jasno, co dlań oznacza samo pojęcie. Chodzi nie tylko o wątpliwy dobór osób, połączonych w jedno tytułem książki, ale także o terminologiczny galimatias w jej finale. Co najmniej dziesięć dwunastych zawartości *Intelektualistów* poświęcono ludziom, o których można — jak udowodnił Johnson — powiedzieć wiele złego, ale chyba nie to, że pozbawieni byli wyrazistej osobowości. Tymczasem końcowe zdania książki wymierzone są w „intelektualistów dalekich od stania się wielkimi indywidualnościami”, co więcej — „stosujących się do pewnych utartych wzorców postępowania”; czyżby byli to ci sami, którym zarzuca się przez cały czas gwałcenie norm, przyjętych w „normalnym świecie”? To przecież raczej ów tak idealizowany przez Johnsona „tuzin spotkanych przypadkowo na ulicy osób” odpowiadać się wydaje powyższemu opisowi.

Czy ów „tuzin osób” jest istotnie przenikliwszy od Russella bądź Ibsena czy też po prostu od „przeciętnych przedstawicieli inteligencji”? Pisze wszak Johnson: „wydaje się rozszerzać przekonanie, że intelektualiści nie są mądrzejsi jako nauczyciele [...] niż szarlatani [...]. Podzielał



ten sceptycyzm. Tuzin osób, zatrzymanych przypadkowo na ulicy, może udzielić równie rozsądnych opinii o sprawach moralnych i politycznych, co przeciętni przedstawiciele inteligencji”. Kogo się więc dyskredytuje: poetę, pisarza i filozofa o światowej sławie, czy np. urzędnika ze średnim wykształceniem? Jeśli tego ostatniego, sprawa jest prosta. Na narodziny wybitnych a niemoralnych poetów, pisarzy i filozofów nie mamy niestety wpływu, chyba żeby wbrew dekalogowi skazywać ich wraz z wydaniem pierwszej książki na ścięcie. Ale przyrostowi inteligencji zapobiec można w sposób bezkrwawy. Wystarczy zamknąć szkoły średnie i wyższe oraz instytucje, w których znajduje ona niepotrzebne schronienie. Wydawnictwa rzecz jasna także.

Może istotnie przyniosłoby to pożytek. Chociaż dla entuzjastów omówionej książki (a jest ich wielu, jak świadczą różne czytelnicze rankingi) byłby to fakt bolesny; nigdy nie ukazałaby się ona drukiem.

[1994]



# Spór o Kościół

Polska jest dziś krajem w stanie podgorączkowym. Nie ma sprawy, która by nie wzniecała płomienia [...] Ludzie nie są w stanie »przebić się ku ludziom«.

ks. Józef Tischner, 1993

Powiada się o diable, nie bez racji, iż tkwi w szczegółach. Od dość dawna zdaje się wszakże, że diabeł swe ambicje lokować zaczął znacznie wyżej. Coraz częściej bowiem natknąć się można na niego także w sferze pojęć ogólnych towarzyszących życiu publicznemu. Pewnie dzięki jego aktywności tak ogromnie trudno nieraz dociec, co pojęcia te w ogóle znaczą, znaczyć miały i znaczyć powinny.

W Peerelu nie zwracało się na to tak wielkiej uwagi. Pojęcia ogólne zmieniały tam co prawda sens w sposób dowolny, nie dziwiło to jednak specjalnie nikogo. Pojęcia ogólne — w każdym razie te z publicystyki i mass mediów — miały swą z góry określoną użytkową funkcję. Służyły propagandzie albo też (od powstania drugiego obiegu) propagandę demaskowały. Jedne i drugie miały być przede wszystkim sugestywne a nie ściśle; tych oficjalnych nie traktowano — już z założenia — serio, te opozycyjne mierzono raczej wedle odwagi niż przenikliwości i precyzji, odkładając to na lepsze czasy.

Kiedy jednak czasy takie nadeszły, ani przenikliwość, ani precyzja nie wzrosły specjalnie w cenie. Nie wydają się w każdym razie przydatne dla prowadzenia sporów. A nawet więcej, właśnie z ich braku spory owe czerpią poniekąd swą żywotność.

A dotyczy to, niestety, także coraz bardziej emocjonalnych i nabrzmiałych wzajemną irytacją dyskusji wokół roli Kościoła w Polsce wyzwolonej już spod różnorodnych narzucanych pretensji, lecz niezdolnej do zrzucenia z siebie wieloletnich uprzedzeń i przyzwyczajęń.

Trzeba przy tym powiedzieć od razu, że oskarżenia i inwektywy nie przemyślane — wypowiedane już nie tylko w stanie podgorączkowym, ale wręcz silnej gorączki — padają z obu stron. Że mało kto dba o rzeczywiste znaczenie licznych rzeczowników, przymiotników i zbitek słownych, takich choćby jak „klerykalizm”, „antyklerykalizm”, „państwo wyznaniowe”, „walka z Kościołem”, „cenzura katolicka”, „wartości chrześcijańskie”, „libertynizm” i „obskurantyzm”, „tolerancja” i „nietolerancja”. Że określenia sprowadzające tych, co krytykują niektóre poczynania Kościoła, do rzędu szczekających psów różnej maści są wprawdzie mniej eleganckie, ale nie bardziej bolesne niż oskarżenia o „religijny fundamentalizm” tych, co w tej lub owej (czasem czysto religijnej sprawie) mają zdanie odmienne od „kundelków”<sup>1</sup>. Że choć nazwanie przez prymasa Polski „widowiskiem” (i to jeszcze przed ogłoszeniem wyroku, który okazał się wszak dość bliski intencjom Kościoła) prac Trybunału Konstytucyjnego nad wnioskiem rzecznika o trybie nauczania i wprowadzenia religii do szkół budzić musi protest, to nie wydaje się, aby najlepszą dla wyrażenia tego typu protestu formułą, były slogany o „wyprawach krzyżowych” czy „krucjacie ‘93”. itd., itd.

Nie mówiąc już o tym, że rozumny dystans wobec najbardziej nawet drażniących zachowań czy odezwań strony przeciwnej, który winien obowiązywać zarówno reprezentantów wysokich instytucji religijnych jak „neutralnych światopoglądowo” jest i tu, i tu sprawą coraz rzadszą.

Pamiętając o tym wszystkim (a także o wielu nie wyliczonych w tym miejscu obustronnych nietaktach, wyolbrzymieniach, mniej lub bardziej świadomych manipulacjach) nie sposób jednak oprzeć się wrażeniu, iż głównie ci, co najgłośniej przemawiają w imieniu Kościoła przyczyniają się do stałego wzrostu gorączki. Tym bardziej, że przemawiając z pychą, której z pewnością nie pochwaliliby Chrystus, rekrutują się raczej spośród tych wierzących, o których ks. Józef Tischner pisał, iż „gdy przychodzą na Mszę, to trochę spóźnieni, dopiero po słowach »Panie,

---

<sup>1</sup> W pobliżu takich „religijnych fundamentalistów” znalazło się nazwisko Ojca Jacka Salija, co dla wszystkich, którzy się z nim zetknęli bądź czytają (choćby krytycznie) jego teksty, musi być niesprawiedliwością nie mniejszą niż szereg zarzutów z drugiej strony, choćby pod adresem »Gazety Wyborczej«. Inna rzecz, że ukuty został także inny termin „fundamentalisci ateistyczni” i że posłużył się nim podczas pielgrzymki parlamentarzystów na Jasną Górę w marcu 1993 nie dziennikarz a duchowny — Ojciec Jan Pach.

zmiłuj się nad nami«<sup>2</sup>, niż spośród tych, którzy pamiętają, iż w liturgii kościelnej znajduje się fraza „moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina”.

Być może to, iż właśnie oni wzięli w swoje ręce obronę katolicyzmu, wiary, Pana Boga, nie bardzo odpowiada wielu dostojnikom Kościoła. Trudno to jednak stwierdzić wobec niezwykle pobłażliwości, jaką Kościół okazuje akcji wyborczej prowadzonej (nieprawnie wówczas!) w kościołach i braku zdecydowanego dystansu do najbardziej nawet nieodpowiedzialnych sformułowań, o ile nie pochodzą one z obozu „wroga”. A także wobec szeregu wypowiedzi swych najwyższych przedstawicieli, określanych później łagodnym mianem „niefortunnych”, a które dolewają oliwy do ognia.

Jest rzeczą oczywistą, że obraz Kościoła, jaki z tego wszystkiego się wylania, musi być jednostronny i skrzywiony. O woli, znaczeniu i posłannictwie Kościoła nie przesądzą jednak poszczególne zachowania i wypowiedzi jego mniej lub bardziej prawomocnych przedstawicieli. Ale nie można też uważać, że są to sprawy nieistotne czy drugorzędne. Na wizerunek Kościoła, zwłaszcza powszechnego, składają się jednak nie tylko piękne czyny i światłe myśli, ale także działania dwuznaczne i demagogiczne frazesy, których autorzy mają sobie za nic przykazanie o nie używaniu imienia Boskiego nadaremno. Ogromna większość ludzi urabia sobie pogląd na Kościół poprzez doświadczenie osobiste i w tym sensie decydujące dla nich znaczenie może mieć zetknięcie z pełnym obłudy proboszczem, fanatycznym katechetą, kaznodzieją wzywającym, by głosować tylko na katolików „z polskim nosem”. Być może informacje o antysemickich wystąpieniach niektórych księży, o nauczycielach religii, nakazujących dzieciom donosić na matki, które „zabiły ich poczętego braciszka lub siostrzyczkę” i innych, nakazujących — profilaktycznie — nosić jedynakom czarne wstążki po „zamordowanym” rodzeństwie są przesadne, wystarczy wszakże jeden przykład, by skonstruować w oparciu oń regulę.

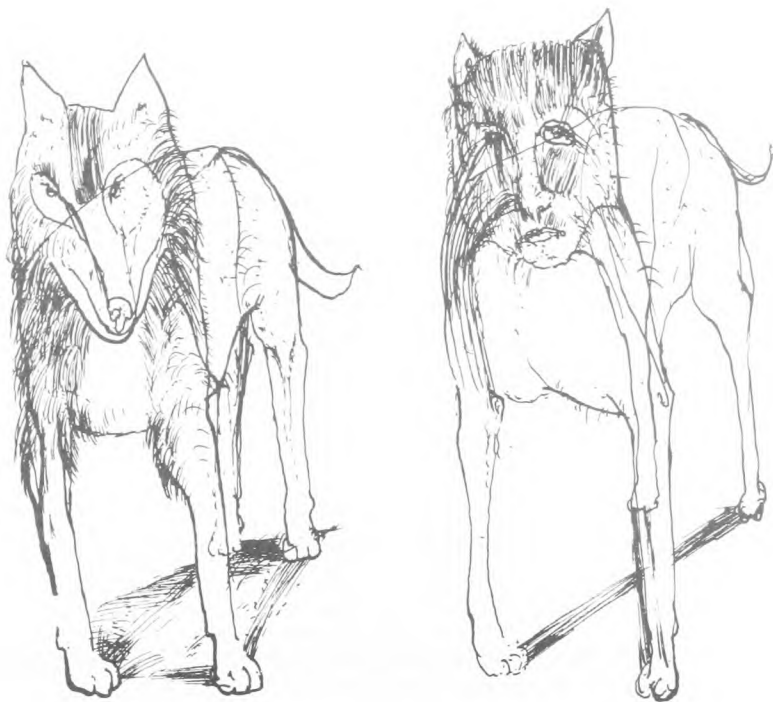
Oczywiście Kościół, zwłaszcza ten najbardziej otwarty, niezacietrzewiony, traktujący serio ustalenia II Soboru Watykańskiego, nie może

---

<sup>2</sup> J. Tischner, *Smugi cienia, czyli wiara religijna po komunizmie*, »Tygodnik Powszechny« nr 1/1993.

podobnym zjawiskom zapobiec. Byłoby jednak dobrze, aby od czasu do czasu wypowiedział się oficjalnie także w ich sprawie, miast koncentrować się jedynie na prawdziwym lub urojonym przeciwniku. O ile bowiem wróg zewnętrzny szkodę Kościołowi wyrządzić może, ale nie musi (gdzież są ci naprawdę groźni pogromcy Kościoła, starający się zepchnąć Go na niedostrzegalny margines życia społecznego i depreczujący brutalnie katolicką i narodową tradycję?!), o tyle wszelkiego rodzaju „swoi” obłudnicy i nadgorliwcy szkodę tę wyrządzają mu na pewno.

Aby dokonać rzetelnego rachunku sumienia z własnych a nie cudzych grzechów, trzeba, rzecz jasna, znacznego hartu ducha oraz mądrości wynikającej z przeświadczenia, że to nie ów rachunek, lecz przemilczanie błędów świadczy na naszą niekorzyść. Jednak jak pisał ks. Tischner — „nasza polska wiara nigdy nie przeszła przez naprawdę radykalną krytykę wewnętrzną. Dotychczasowe krytyki miały charakter zewnętrzny. Towa-



rzyszyło im prześladowanie. Dlatego nie miały większego znaczenia. Dziś sytuacja się zmieniła. I jeśli się dobrze przyjrzeć, to się zobaczy: to nie obcy, to dzieci polskiego chrześcijaństwa stawiają pytania”<sup>3</sup>.

Stawiają, lecz rzadko otrzymują odpowiedzi, częściej — rady moralne, bardzo mało liczące się z rzeczywistością, i z ułomnościami ludzkiej natury (a ułomności te są cechą nie tylko ateistów, żydów czy muzułmanów). Może stąd ów spadek popularności Kościoła we wszystkich sondażach, którym oczywiście w swym zadufaniu nie musi się ufać, stąd mało przychylnie opinie o „czarnych”, które coraz częściej można usłyszeć także w sklepie czy na ulicy, marne stużłotówki składane na tacę, drzwi mieszkań coraz częściej zamknięte przed duchownym, chodzącym „po kołędzie”. Stąd wreszcie tak niewielka popularność katolickiej prasy skierowanej do „zwyczajnych wiernych”, o czym pisał w »Więzi« (nr 11/1992) Tomasz Wiścicki pod wymownym tytułem *Dlaczego dobra prasa w Polsce jest niechrześcijańska?*.

Gdyby wszystkich tych oznak nie lekceważono tak lekkomyślnie i to wbrew ostrzeżeniu wielu księży, także spośród Episkopatu, być może udałoby się Kościołowi uniknąć błędów „Solidarności”, która przyczyniła się do rosnącej popularności SLD upatruje wciąż jedynie w jego knowaniach, a nie w samej sobie.

Tak czy owak obrachunku takiego wszakże uniknąć się nie da. „Nie ma co liczyć, że różne przykre sprawy z życia Kościoła uda się ukryć. Powinny być one omawiane w prasie katolickiej, a nie antyreligijnej, która tylko czeka na każdą okazję i odpowiednio każdą sprawę rozdmuchuje”<sup>4</sup>.

Miejsce dla przeprowadzenia owego obrachunku jest zresztą obojętne i o jego wyborze nie osobie spoza Kościoła decydować, nawet jeśli żywi ona rezerwę wobec wszelkiej „gettowości” wynikłej z obaw, by nie zaszkodzić własnej, słusznej skądinąd sprawie. Na razie głównym miejscem polemik godzących nie tyle w powszechną słabość innych, co Kościoła, jest »Tygodnik Powszechny«, oskarżany zresztą z tego powodu — również przez przyjazne mu osoby — o nadmierne zaangażowanie publicystyczne. Nawet poświęcony kwestiom prasy w III Rzeczypospolitej obiektywny i nienapastliwy numer »Więzi« (nr 11/1992) zajął się prześledze-

<sup>3</sup> J. Tischner, *Czy Kościół nas okłamał?*, »Tygodnik Powszechny« nr 2/1993.

<sup>4</sup> L. Koj, *Od bezradności do programu*, »Znak« nr 10/1992.



niem „manipulacji” wyłącznie w prasie niekatolickiej, głównie zresztą w »Gazecie Wyborczej«. I choć ton poświęconego tej sprawie szkicu daleko odbiegał od zacierzawionych napaści różnych „prawdziwych katolików”, oddając dziennikowi co królewskie<sup>5</sup>, to nie przez przypadek chyba pominięto tu na przykład »Niedzielę« czy paxowskie, a więc nie od tak dawna naprawdę wierne Kościołowi »Słowo Powszechne«, z którego narodziło się już wkrótce »Słowo — Dziennik Katolicki«. A to właśnie »Niedziela« i »Słowo« do tematu „informacja czy manipulacja” dostarczyć by mogły szczególnie obfitego materiału. To tu oskarżono między innymi rzecznika praw obywatelskich o sprzyjanie pornografii, brutalną walkę z większością (sprawa religii w szkołach) i z mniejszością (farmaceuci odmawiający sprzedaży środków antykoncepcyjnych w aptekach) katolicką. To tu używa się zwrotów dobrze znanych skądinąd: „Zieliński spełnił zadanie. Przyszła więc kolej na partie lewicy i działaczki feministyczne”. To tu rysuje się wizję państwa dyskryminującego „dużą część społeczeństwa” w imię „państwa dla niewierzących”; wizję apokaliptyczną, w której Kościół tępiony jest „z agresją i nienawiścią, przekraczającymi wszystko, czego dokonały wobec niego systemy totalitarne” (»Słowo« z 24/25 IV 1993), zaś katolicy doznają bezmiaru „szykan w miejscach pracy, na uczelniach, w szkołach ze strony rozjątrzonych wyznawców liberalizmu” (»Niedziela« z 3 I 1993). To tu padają sugestie o konieczności kontroli telewizyjnych programów. I tu wreszcie wypisuje się bzdury o „biednych niewierzących” narażonych już przez sam brak wiary na pokusę, „by rasizm uznawać za naukę przyszłości, eugenetykę ludzką za podstawę kultury, Stalina za boga, anarchizm za moralność” (cytat ze »Słowa« z 19 IV 1992) oraz o skłonności do demoralizacji młodzieży.

Ale poza »Tygodnikiem Powszechnym« nikt prawie z wierzących z poglądami tymi nie podejmuje regularnej dyskusji, bo też niewielu ma odwagę ks. Adama Bonieckiego, piszącego na łamach »Tygodnika«, iż

<sup>5</sup> J. Liberek, *Informacja czy manipulacja? Jak »Gazeta Wyborcza« pisze o Kościele*, »Więź« nr 11/1992. Autor stwierdza między innymi: „Histerycznie reakcje czytelników, które nierzadko wywołuje »Gazeta Wyborcza« swoimi publikacjami na temat Kościoła, nie mają — moim zdaniem — zbyt głębokiego uzasadnienia. Żadna inna gazeta — przypomnijmy opinię Ojca Macieja Zięby [por. »Gazeta Wielkopolska« z 15 IV 1992 — M. F.] — nie napisała tak wiele ciekawych tekstów o Kościele. Jako jedyne pismo niekatolickie drukuje ona w całości lub obszernie homilie papieskie, kazania prymasa, listy Episkopatu”.

„ogarnia go febra”, kiedy stwierdza, „że niektórzy bracia (i siostry) w wierze z całą powagą wysuwają postulat cenzury”<sup>6</sup>.

Mówi się czasem, iż Kościół (jeśli nie liczyć paru jego przedstawicieli, jak m.in. ks. ks. Tischner i Pasierb, bp bp Dembowski i Pieronek, arcbp Tokarczuk) nie dystansuje się zbyt stanowczo do różnych agresywnych wypowiedzi swych wyznawców, bo czuje się generalnie w „defensywie”. I to czuje tym boleśniej, im powszechniej oskarżany jest o ofensywność. Poczucie zagrożenia często rodzi agresję, agresja traktowana jest przez tych, przeciw którym się kieruje, jako „ofensywność”, której z kolei należy się przeciwstawić. Koło się zamyka, by toczyć się dalej.

Czy istotnie nie ma z tej sytuacji wyjścia? Rzecz z pewnością wymaga czasu. Historia powojennej Polski relacje między Kościołem a niechętną pojaltańskiemu reżimowi opozycją uczyniła niemal sielskimi, zwłaszcza po 13 grudnia. Tej sielance (jak też „Solidarności”) sprzyjały jednak raczej nienormalne warunki, niż naprawdę głębokie porozumienia. Stąd tak szybkie po roku 1989 wzajemne rozczarowanie. Oto Kościół okazał się nie tak otwarty, zdolny do dyskusji, jak sądzono, oto opozycja gwałtownie zapomniała, ile Kościołowi zawdzięcza (zawdzięczała mu w istocie wiele, co nie znaczy, że wszystko). Te wzajemne pretensje tłumaczyły się — zwłaszcza na początku — bardzo prosto. Ktoś, kto dopiero co wy dostał się spod systemu wielorakich kontroli, cenzur, nakazów i zakazów, zwykł dmuchać na zimne, a cóż dopiero na prawie gorące. Ktoś, kto przywykł do roli jedyne go przez lata moralnego autorytetu, z trudem znosi słowa krytyki, cóż dopiero impertyncje. Ale przecież bardzo wiele poglądów, które dziś wydają się albo wyrazem nadmiernej ekspansji Kościoła, albo wyrazem wojującego antyklerykalizmu, są po prostu immanentnymi elementami takiego bądź innego światopoglądu, który może artykułować się wyłącznie za pomocą pojęć bliskich jemu samemu a nie innym.

Kościół katolicki zawsze mówił wszak o potrzebie ewangelizacji — tyle tylko, że nie zawsze nadawał tej sprawie tak jednoznaczny, jak bywa to dziś, wymiar i nie zawsze (a nawet rzadko) główny ster oddawał w ręce Polaków. Ale przecież jak najdalej od nietolerancji religijnej II Sobór Watykański (dla którego hasło „każdy Polak to katolik, a każdy katolik to

---

<sup>6</sup> A. Boniecki, *O katolickiej cenzurze i wartościach chrześcijańskich*, »Tygodnik Powszechny« nr 4/1993.

Polak”<sup>7</sup> musiałoby wydać się szkodliwym nonsensem), nastawiony nie tylko na dialog, ale — o czym coraz bardziej się zapomina — na czerpanie „wartości” z różnych światopoglądów, nawet ów sobór, wspaniałe dzieło Jana XXIII i Pawła VI, przeciwstawiał się ateizmowi jako „groźnemu złu negacji”. Z kolei nawet chrześcijanie (a cóż dopiero wyznawcy innych religii i niewierzący) różnią się między sobą, jak wiadomo, ogromnie i to także w łonie jednego Kościoła, by wymienić najbardziej w tej dziedzinie bogaty: protestancki. Faktu, iż dają temu wyraz, nie można traktować w kategoriach zamachu na autorytet rzymskokatolików, ich Kościoła czy papieża; zresztą i sam dogmat o nieomyślności papieża jest dość świeży, biorąc pod uwagę historię Kościoła, daty (1870) i nie obowiązuje nawet tych, co jak prawosławni też do przymiotnika „katolicki” się przyznają. Traktowanie wypowiedzi krytycznych jako karygodnej „walki z papieżem” — nawet wtedy, gdy dotyczą poglądów Jana Pawła II na stosowanie środków antykoncepcyjnych, jest groźnym nieporozumieniem, tym bardziej uderzającym, iż sami obrońcy papieskiego honoru nie we wszystkim (choćby w sprawie AIDS, sporu o kościół w Przemyślu, apeli o tolerancję poświadczanych czynami) Papieża zbyt uważnie słuchają. To antypeerełowska solidarność, w tamtym okresie rozumiała, kazała w każdym krytycznym zdaniu wietrzyć atak lub zdradę. To wtedy, nie dziś, nie wypadało mówić o błędach Kościoła, czy jego prymasa, mimo, iż również do kardynała Stefana Wyszyńskiego żywiono usprawiedliwione żale, choćby za brak potępienia w 1968 roku antysemityzmu czy stanowisko, jakie zajął w sprawie strajku 1980. A i tamte, nie wyrażane zresztą publicznie, żale nie oznaczały braku szacunku.

Jeżeli przyjrzeć się z bliska głównym punktom zapalnym sporu o Kościół w III Rzeczypospolitej, okazuje się, iż ujawniają się one nie w kręgu spraw zasadniczych, lecz szczegółowych, a ich podłoże jest raczej politycznej, obyczajowej czy pryncypialnej niż światopoglądowej natury. I dotyczyło to nie tylko akcji wyborczych w kościołach, religii w szkołach, wszechobecności krzyża w miejscach publicznych, antykoncepcji, sprawy podatków etc., ale i kwestii aborcji, kiedy to przeciwników jej prawnego uregulowania nazywano już nie tylko komunistami, ale wręcz „mordercami” lub (pośrednio) dziećmi i wnukami oświęcimskich oprav-

---

<sup>7</sup> Z kazania podczas jednej z mszy żałobnych w warszawskim kościele na Wawrzyszewie.

ców, z drugiej zaś strony zwolennikom ustawy przeciwstawiano się hasłami o „prawie kobiety do własnego brzucha”, co oczywiście dla tych, którzy między aborcją a zabójstwem stawiają znak równości musi być argumentem niepoważnym.

Efekty tak prowadzonych dyskusji, toczonych w dodatku ponad głowami tych, o których prawa rzekomo się walczy i na których sądy i żądania samozwańczo się powoływano, nie mogły być imponujące. Nie dlatego nawet, że nikt tu nikogo nie przekonał. To od początku można było przecież przewidzieć. Przekonanie o czymś ludzi różniących się od siebie nie tylko poglądami dającymi się zracjonalizować, ale i kwestią wiary (o której sam Kościół mówi, iż jest aktem łaski) — jest najczęściej niemożliwe. Możliwy jest natomiast pewien kompromis, pozostawiający wszystkim stronom margines swobody i to nawet w sprawach tak zdawałoby się niewątpliwych, jak „ochrona życia poczętego”<sup>8</sup>.

Jest rzeczą zrozumiałą, iż w krajach o tradycjach chrześcijańskich pewne zasady (jak choćby „oko za oko, ząb za ząb”) muszą być odrzucone nawet przy największym pluralizmie i tolerancji, niekoniecznie jednak dlatego, iż na straży owych tradycji stoi jedynie Kościół rzymskokatolicki, też mający zresztą w swej historii mroczne momenty. Wydają się one bowiem zakorzenione wystarczająco silnie jako tradycje „ogólnoludzkie”, zgoda, że o rodowodzie chrześcijańskim. Kościół rzymskokatolicki w kraju, w którym ponad 80% mieszkańców deklaruje swą przynależność do niego właśnie, musi mieć, rzecz jasna, rozleglejsze pole działania, a nawet pewne religijne przywileje. Z tą zasadą, obowiązującą w każdym kraju o dominującej religii, mniejszość musi się pogodzić. Absolutnie jednak godzić się nie można na praktyki, w których większość stara się sobie ową mniejszość podporządkować, wszystko jedno, czy za pomocą fizycznego przymusu czy też prawnych i psychologicznych presji. Metoda pierwsza należy dziś w Polsce do przeszłości, ta druga niestety święci triumfy. Można wprawdzie zgodzić się z tymi przedstawicielami

---

<sup>8</sup> Bardzo istotną była tu na przykład sprawa referendum w sprawie ustawy antyaborcyjnej. Nie dlatego, aby wyniki referendum miały przesądzić o „prawie do zabijania”. Ale referendum (gdyby przeprowadzono je uczciwie, bez presji, co zresztą raczej wątpliwe) mogło pokazać, ile osób aborcję utożsamia z morderstwem (tak jak utożsamia się z nim na ogół eutanazję). Wynik ujemny winien wzbudzić obawy co do skuteczności ustawy i skłonić do innych — niż ustalenie prawa — rozwiązań.

Kościola, którzy teorie o powstaniu państwa wyznaniowego każą włożyć (przynajmniej na razie) między bajki — zwłaszcza gdy przez państwo wyznaniowe rozumieć państwo rządzone bezpośrednio przez kler. Trudno jednak nie zadawać sobie pytania, które odważnie postawił ks. Józef Tischner: czy Kościół pragnie władzy i czy twierdząc, iż nie pragnie „nas okłamać”. Pytania, które niekoniecznie zadawać muszą jedynie — i to w złej intencji — niewierzący. („Pytanie boli nie tylko tych, do których jest kierowane, ale i tych, którzy je zadają. Ten moment nie powinien ująć naszej uwadze”<sup>9</sup>). Powodów, by je stawiać, jest aż nadto wiele, dotyczące one i spraw generalnych, i szczegółowych. Ich ilość nie maleje, lecz rośnie; wystarczy przywołać kwestie najbardziej kontrowersyjne, obydwie z bieżącego roku. Zarówno zapis o „wartościach chrześcijańskich”, jak wrzawa wokół rzecznika praw obywatelskich dowodziły poza wszystkim innym, iż mniej może idzie o meritum sprawy, bardziej o zwyczajne postawienie na swoim. Zapis o „wartościach chrześcijańskich” nie przyniósł i nie przyniesie żadnego pożytku projektodawcom, o ile nie zechcą oni (w jakim zresztą charakterze — sądu, komisji, kolejnej rady złożonej wyłącznie z tych, co je forsowali?) naruszyć „wolności słowa” i to w sposób równie dowolny, jak naruszał ją w PRL-u przepis o „tajemnicy państwowej”. Nie mówiąc już o tym, iż jest to (podobnie jak nazwy niektórych politycznych partii) zapis obłudny, bo sprowadzający się w istocie do „wartości” rzymskokatolickich; trudno wszakże wyobrazić sobie, aby tolerowano w telewizji programy, w których kwestionowano by, jak czyni się to w niektórych religiach chrześcijańskich, na przykład kult Matki Boskiej, Jej wniebowstąpienie, sens pielgrzymek albo też by pozostawiano bez komentarza wypowiedzi pastorów protestanckich, mówiących, iż aborcję uważają wprawdzie za akt zabójstwa, o czym starają się przekonywać wiernych, sprawę odpowiedzialności pozostawiając jednak w rękach Boga.

Pomysł odwołania rzecznika praw obywatelskich (obywatelskich, nie zaś wyłącznie rzymskokatolickich, a nawet chrześcijańskich) oraz traktowanie jego zastrzeżeń do pewnych przepisów ustawy, która nie wzbudziła zachwyty pośród wielu wierzących i praktykujących katolików, a także bzdury, jakie w związku z tym nawypisywano chociażby w »Niedzieli«

---

<sup>9</sup> J. Tischner *Czy Kościół...* op. cit.

czy »Słowie«, wskazują po prostu na to, iż ci, co je produkują, albo nie mają pojęcia, na czym walka z religią i Kościołem naprawdę polega, albo też nie poczuwają się do żadnej odpowiedzialności za słowo. Dramatyczny apel między innymi samego kardynała Glempa o „obronę praw wiary, praw ludzi wierzących”, którzy „mają prawo do swojej obecności w życiu publicznym”<sup>10</sup> muszą dziwić w państwie, którego prezydent nosi wizerunek Matki Boskiej w klapie, premier jest — czemu daje publiczny wyraz — osobą praktykującą, koalicja rządowa a nawet parlamentarna opozycja składa się w większości z różnych odcieni katolików<sup>11</sup>. W państwie, w którym pokazuje się raz po raz rozmaite twarze oficjalów (tak jakby modlić się oni mogli tylko w świetle telewizyjnych reflektorów), w którym prezydent i sejm mają własne kaplice (bowiem, jak wiadomo, to Pan Bóg ma obowiązek przybywać do swych wyznawców, a nie odwrotnie). I w państwie, w którym kancelaria prezydenta nadaje komunikaty: „Gościem prezydenta na mszy św. i śniadaniu w Belwederze był...”<sup>12</sup>, nie odczuwając w nich żadnej niestosowności w nazywaniu Lecha Wałęsy gospodarzem owej mszy.

Te kaplice, msze, nie przemyślane do końca zapisy wskazują na pewien niebezpieczny — także dla Kościoła — objaw: satysfakcjonowanie się zewnętrżnością. A czymś „zewnętrżnym” może stać się nawet ważki religijny symbol, na przykład krzyż i modlitwa wprowadzone do szkoły na mocy ustawy. Moc sprawcza takich ustaw jest z reguły pozorna. Tak jak niegdyś zakaz wieszania krzyża, odmawiania modlitwy i uczęszczania na religię nie wpłynął na przyśpieszony proces laicyzacji, a nawet w ogromnej mierze ją udaremnił, tak i dziś obowiązujący w tej dziedzinie nakaz może przynieść odmienne od zamierzonych rezultaty. Już je, zdaje się, w wielu wypadkach przynosi.

Spory wokół obecności krzyża w szkole (sprawy, o którą nie warto nawet ateistom i innowiercom kruszyć kopii; jego obecność w klasie szkolnej ani nie oznacza religijnego przymusu, ani nie może sprowokować aktów nietolerancji) »Wprost« (18/93) określa sugestywnie jako „łamanie krzyżem”. Jest w tym przesada, podobnie jak w końcowej konkluzji po-

<sup>10</sup> »Słowo — Dziennik Katolicki« z 22 IV 1993.

<sup>11</sup> Tekst pisany był za czasu rządów Hanny Suchockiej — przyp. red.

<sup>12</sup> Informator kancelarii Prezydenta z 9 III 1993.



święconego tej kwestii artykułu: „Dla »ludzi złotego środka« kończy się czas siedzenia okraciem na barykadzie”<sup>13</sup>. Sytuacja wymaga raczej rozważań niż barykad. Rozważa nie musi zresztą oznaczać jakiegokolwiek z którejkolwiek strony konformizmu, odwrotnie, może być synonimem odwagi — wbrew temu, co się pisze — między wierzącymi a ateistami. Podział przebiega przede wszystkim wewnątrz Kościoła.

I choć jest to podział wynikły raczej z politycznych niż teologicznych przyczyn, można wyraźnie mówić o tych, co przesłanie II Soboru Watykańskiego traktują serio, i o tych, co uważają je praktycznie za nic. Podział przebiega też — co bardziej widoczne, bo rozgrywa się niemal na oczach wielomilionowej widowni — między katolickimi partiami w sejmie, a także wewnątrz katolickiej prasy. Jeśli idzie o tę ostatnią, gdyby sporządzić wzorem ks. Ludwika Civaroli (*Podręcznik Akcji Katolickiej*, 1935) wykaz periodyków dobrych, czyli „nie tylko nie sprzeciwiających się dogmatom i moralności chrześcijańskiej”, ale będących „narzędziem ich rozgłaszania i obrony”, oraz periodyków złych — ogromna ilość urzędowych obrońców „wartości chrześcijańskich” pośród pierwszych umieściłyby pewnie pełne nienawiści »Niedzielę«, »Słowo« i »Gazetę Polską«. »Tygodnikowi Powszechnemu« wyznaczono by zaś niewątpliwie miejsce nie tylko obok »Gazety Wyborczej«, ale i niegdysiejszej »Trybuny Ludu« (choć to właśnie zespół »Słowa« pozostawał przez lata w jej bardzo bliskim sąsiedztwie). Część katolików zwanych elegancko „katolewicą” (a należeć do niej mogą nie tylko wieloletni publicyści świeccy, lecz i duchowni) jest dziś w oczach innych katolików bardziej niebezpieczna od jawnych wrogów<sup>14</sup>.

<sup>13</sup> B. Mazur, *Polska Rzeczypospolita katolicka. Łamanie krzyżem*, »Wprost« nr 18/1993.

<sup>14</sup> M. in. Ojciec J. Pach w marcu 1993 na Jasnej Górze: „Niech Maryja, Matka i Królowa, osłania was swym płaszczem i płonąca gromnicą przed stadem wilków — zwłaszcza przed tymi w owej skórze, deklarującymi się jako postępowi katolicy” (za: »Wprost« nr 18/1993); zarzuty »Słowa« pod adresem niemiłych redaktorom partii politycznych (w większości katolickich), iż „nie kryły swojej wrogości wobec Kościoła i negacji wartości chrześcijańskich” (»Niedziela« z 22 IV 1993); rozlegające się tu i ówdzie żądania, by »Tygodnik Powszechny« pozbawić przymiotnika „katolicki”, niechęć do duchownych udzielających wywiadów na przykład »Gazecie Wyborczej«, nawet jeśli — jak b. sekretarz Episkopatu, abp Bronisław Dąbrowski — zajmować się mają kontaktami z tymi, co nie wierzą, a więc nie czytają z reguły ani »Słowa«, ani »Niedzieli«.

Jest też pewnym, iż z reprezentowania „katolewicy” (co rzecz jasna świadczyć będzie na jej niekorzyść) łatwiej się będzie porozumieć ogromnej ilości niewierzących czy protestantów niż posłom z ZCHN, SdRP czy PC. Można by na to machnąć ręką: w końcu ten typ pokrewieństw czy różnic nie obchodzi nikogo poza nieliczną środowiskową grupą tzw. intelektualistów (a jak twierdzi »Niedziela«: „myśliciele zaszkodzili niejednemu, i to jeszcze jak”) i tzw. „elitami”. Ale rzecz dotyczy w gruncie rzeczy wszystkich wierzących. Wydaje się, że przed Kościołem, jeśli chce być względną jednością i niewątpliwym autorytetem, stoi naprawdę o wiele więcej „wewnętrznych” niż „zewnątrznych” problemów. Być może to one właśnie uniemożliwiają, przynajmniej na dość długo, stworzenie „państwa wyznaniowego”, jeśli ktoś (a jest tak na pewno) o nim myśli.

[1993]





# Kłopoty z opozycją

Tytuł wydanego przez londyński »Aneks« ponad 600-stronicowego dzieła Andrzeja Friszkego brzmi z pozoru stanowczo i jednoznacznie: *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980*. Jak bardzo złudną jest owa jednoznaczność wskazuje choćby polemika, jaką książka wywołała. Tylko w niewielkim stopniu skoncentrowana na ocenie tego, co się u Friszkego znalazło, w o wiele większym na różnych rzeczowych i rzekomych opuszczeniach i „naddatkach”. A więc na tym, co zdaniem poszczególnych dyskutantów w pojęciu „opozycji politycznej” się mieści, a zostało tu pominięte (jak np. instytucja Kościoła katolickiego jako całość, ruch oazowy, protesty robotnicze z czerwca 1956 i 1976 oraz grudnia 1970) oraz na tym, co zostało przypisane mu bezprawnie („rewizjonizm”, a nawet ruch opozycyjny lat 1950–75 w ogóle, „różne kolorowe papużki, koliberki, motyle i małpeczki”<sup>1</sup>, czyli niezadowolone z systemu inteligentkie grupki, etc., etc.).

Pojęcie „opozycja” okazuje się więc nad wyraz elastycznym i w znacznym stopniu zależnym od światopoglądowych preferencji polemistów. Nad całością sporów unosi się w dodatku bezradne pytanie, sformułowane wprost przez Andrzeja Urbańskiego w »Arce«: „Kto jest bohaterem głównym tej książki?”<sup>2</sup>.

---

<sup>1</sup> Sformułowanie Tomasza Strzembosza z recenzji książki zamieszczonej w »Tygodniku Solidarność« nr 50/1994. Jej autor zarzuca Friszkemu patrzenie na historię z „okien salonu politycznego”, z którego nie widzi się lub „niedowidzi” tego, co masowe i prawdziwie — jak Kościół katolicki — antykomunistyczne. Podobnie sądzi cytujący obficie Strzembosza, Janusz Zabłocki (»Ład«), a także niektórzy uczestnicy rozmowy redakcyjnej (z udziałem autora) w »Arce«, mniej zresztą od tamtych w swych opiniach apodyktyczni, tendencyjni i agresywni.

<sup>2</sup> »Arka« nr 4–5/1994.

Jednym słowem wszystko zda się problematyczne. Nic w tym zresztą dziwnego. Historię opozycji politycznej można spisywać i oceniać z pełną świadomością tylko wtedy, gdy istniała ona legalnie, a więc miała określone formy organizacyjne (najczęściej partyjne) i określony status, na przykład, przez udział w parlamencie, a bodaj możliwość publicznego wyrażania swych opinii. O wiele trudniej o konsekwencję i precyzję, gdy mówi się o „opozycji” wobec władzy, która przymykała wprawdzie niekiedy oczy na pewne działania opozycyjne, zawsze jednak traktując je jako pół (lub całkowicie) kryminalne, a w dodatku rościła sobie prawo do dowolnego określania, co w ogóle jest opozycją i w jakim wymiarze. Słowa „opozycja” używano zresztą w oficjalnych enuncjacjach niechętnie. Jest znamionym, że nie występuje ono jako hasło w *Marcowym gadaniu* Głowińskiego, choć wtedy właśnie pojawiała się od czasu do czasu w dezawuujących ją zbitkach (jak sławna „bananowa opozycja”), a w partyjnych dokumentach dzielono ją nawet wedle skali zagrożenia: „pierwszego, drugiego i trzeciego rzutu”. Ale partyjna nowomowa lubująca się w określeniach bardziej przemawiających do wyobraźni korzystała na ogół o wiele chętniej z określeń, które uważała za eufemizmy: „bandyci” bądź „bankruci polityczni”, „agenci”, „wrogowie własnego kraju” itd., itd. Zapas inwektyw był, jak wiadomo, pomysłowy i szeroki od czasu walki z opozycją jeszcze legalną, bo Mikołajczykowską, przez wszystkie późniejsze etapy, ze szczególnym nasileniem w latach stalinowskich i okresach tzw. „kryzysów” lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Jedyną chyba w miarę obiektywną definicję „opozycji” odnaleźć można w wydanym w 1966 roku tomie 8 *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej*. Odnosi się ona do „opozycji parlamentarnej” w... *Wielkiej Brytanii*.

Terminu „opozycja polityczna” używała jednak (jeśli nie liczyć lat 1945-47) dość niechętnie i sama opozycja, bywało nawet, że się od niego — czy to z przekonania czy ze względów taktycznych — odżegnywała. Przynajmniej do czasu, bowiem od lat siedemdziesiątych (i to jeszcze przed rokiem 1976) zaczął on funkcjonować, najpierw w niektórych tekstach drukowanych przez jej przedstawicieli w pismach emigracyjnych, później też w prasie drugiego obiegu. Ale nawet wówczas nikt nie analizował samego pojęcia. Nie wydawało się to konieczne także autorowi wydanego w drugim obiegu (1989) *Leksykonu opozycji politycznej lat 1976-89* przyjmującemu za podstawę opozycyjności po prostu nielegal-

ność (ugrupowań politycznych, wydawnictw, periodyków). Wszystkie poważniejsze prace historyków czy publicystów emigracyjnych i — po roku 1976 — krajowych brały zaś za przedmiot rozważań tylko wybrane zagadnienia, najchętniej (jeśli nie liczyć książek Lipskiego i samego Friszkego o KORze) dotyczące pierwszego powojennego trzylecia.

Tak więc Andrzej Friszke podjął się zadania pionierskiego nie tylko dlatego, że — co podkreślają nawet jego adwersarze — zgromadził, uporządkował i zinterpretował ogromny materiał (w tym archiwalny), dotąd prezentowany najwyżej fragmentarycznie, ale i dlatego, że zmierzył się z czymś niby wiadomym, lecz tak naprawdę niejasnym i nieokreślonym. Czymś co — jak chce Tomasz Strzembosz — winno być „usystematyzowane” i „przejrzyste”, ale takim z tysiąca powodów być nie może, przynajmniej w książce, mającej charakter (za co jej chwala) syntezy.

Trudność podstawowa wiąże się przecież nie tylko ze zdecydowanym ustaleniem, co w PRL opozycją było a co nie, ale także z wyraźnym określeniem czym był sam PRL, czy raczej „peerelowski” ustrój, realizowany znacznie wcześniej niż zaczęła funkcjonować usankcjonowana dopiero konstytucją z roku 1952 oficjalna nazwa.

Próby sprecyzowania istoty owego ustroju, podlegającego wprawdzie znacznym ewolucjom, lecz opierającego się na zasadniczo niezmiennych regulach — podjęto w III RP dość szybko i powszechnie. Jeśli jednak nie liczyć pryncypialnych lecz schematycznych diagnoz, stawianych przez tzw. anty-komunistycznych radykałów, nie osiągnięto w tej mierze zgody. Co poświadcza także ostatnia, wielomiesięczna ankieta »Tygodnika Powszechnego« *Spór o PRL*; mimo że wzięły w niej udział takie w tej mierze autorytety jak Jan Nowak-Jeziorański, Leszek Kołakowski, Krystyna Kerstenowa, Andrzej Paczkowski, Jakub Karpiński, Jerzy Holzer. Nie ma nawet jasności co do tego, czy był to system totalitarny; wątpliwości w tej mierze nie budzą tylko lata stalinowskie.

Grzązki i amorficzny jest więc cały teren, po którym przyszło się Friszkemu poruszać<sup>3</sup>: opozycja i punkt jej odbicia. Ponieważ jednak mię-

---

<sup>3</sup> Wątpliwości mogą tu budzić nawet daty graniczne; szczególnie początkowa, druga wynika bowiem zapewne z konieczności. I istotnie rozmowę w »Arce« rozpoczyna pytanie o to, czemu za punkt wyjścia nie przyjęto roku 1944. Friszke motywuje swą decyzję tym, że dopiero od roku 1945 można mówić o Polsce jako państwie w sensie prawa

dzy jednym i drugim musi istnieć ścisła specyficzna zależność, zasadne staje się cytowane przeze mnie pytanie z »Arki«: „kto jest głównym bohaterem książki?” I wydaje się, że odpowiedź może być tylko złożona. Jest nią tyleż opozycja, co PRL. To bynajmniej sprawy nie ułatwia.

\* \* \*

Andrzej Friszke, historyk nad wyraz sumienny, nie zadawała się oczywiście stwierdzeniem, że jeśli coś jest trudno definiowalne to nie należy tego definiować w ogóle. Odwrotnie, stara się możliwie dokładnie zaprezentować przedmiot swego opisu: „Opozycją polityczną [...] było świadome, zaplanowane, oparte na pewnym programie działanie organizacyjne lub intelektualne na rzecz obalenia systemu lub jego reformy w kierunku ograniczenia monopolu władzy partii i przywrócenia podmiotowości społeczeństwa. Aby pewne środowisko lub osobę uznać za przedstawicieli opozycji, ich działalność musiała być przez władze oceniona negatywnie i zagrożona represją lub — co najmniej — szykanowaniem i ograniczeniem wpływu na społeczeństwo”. Tak pojętą opozycję wyraźnie przeciwstawia się „oporowi”, a więc „spontanicznemu, nie zorganizowanemu i nie kierowanemu sprzeciwowi wobec narzuconego porządku politycznego, ideologicznego, często połączonemu z obroną tradycyjnych wartości”.

Wszystko jest tu więc wyłożone wprost, co nie znaczy, że do końca satysfakcjonująco, z czego zdaje sobie niewątpliwie sprawę sam autor, skazany niejako z góry na różne manewry i asekuracje. O ile bowiem jest dość oczywistym, co oznacza „działanie organizacyjne”, to formuła „działanie intelektualne” może budzić poważne wątpliwości. Podobnie jak określenie „pewien program”. „Pewien” czyli jaki? Gdzie przebiega granica między załączkiem choćby programu a zbiorem pobożnych życzeń? Są to wszakże niedopowiedzenia nieuniknione, bowiem bez nich nie sposób pomieścić (zresztą zasadnie) w ramach jednych rozważań zjawi-

---

międzynarodowego. Wydaje się to zasadne i z innych względów: do połowy roku 1945 można mówić raczej o pewnej „dwuwładzy”, tyle że z wyraźną (dzięki zapleczu radzieckiemu) przewagą rządu lubelskiego. Ta dwuwładza kończy się jednak definitywnie wraz z oficjalnym samorozwiązaniem podporządkowanych Londynowi sił zbrojnych oraz Delegatury Rządu i Rady Jedności Narodowej, poprzedzonym aresztowaniem i procesem „szesnastu”.

sko niejednorodne. Powstają jednak i inne pytania. Czy na przykład „opozycja polityczna” i „opór”, tak jak je przedstawia Friszke, wyczerpują całość problemu? W którym z owych pojęć pomieścić na przykład sytuację, towarzyszącą latom stalinowskim, kiedy „opozycja polityczna” praktycznie nie istniała<sup>4</sup>, bo istnieć nie mogła, ale opór społeczny wykroczył daleko poza ramy czegoś „spontanicznego”, a „obrona wartości tradycyjnych” (w wielu środowiskach — nawet gimnazjalnych, domach i Kościele) miała charakter działania zaplanowanego na długo, choć istotnie „nie zorganizowanego”. I odwrotnie — czy tak zwane „podziemie” lat 1945-47 niewątpliwie zorganizowane (oczywiście na miarę możliwości), kierowane i związane z różnymi opcjami ideologicznymi można nazwać „opozycją polityczną”, na co z pewnością nie przystaliby jego przywódcy<sup>5</sup>. Czy nie należało — jak to sugerował już Jerzy Jedlicki — w ogóle zacząć zasadniczą część książki od połowy lat pięćdziesiątych, resztę czyniąc za ledwie wstępem. Tym bardziej, że sam Friszke uznaje ten okres za przełomowy, między innymi za względu na zupełnie inne już relacje — władza i jej przeciwnicy. I to nie tylko z uwagi na ustanie powszechnego krwawego terroru, ale również zupełnie inne rodowody i cele stawiane sobie w latach następnych przez opozycję.

Po roku 1955 nie tylko nie będzie przecież mowy o zbrojnym oporze, ale nie odrodzi się też żadna (choćby szykanowana i ograniczana w swych działaniach) „opozycja parlamentarna”, której kres niektórzy<sup>6</sup> dostrzegają

---

<sup>4</sup> Friszke wskazuje wprawdzie na pewne jej ślady, bardzo jednak ułomne. Być może, że jest ich więcej, wiedza o nich jest jednak na razie żadna; wolno też wątpić, by ocalała ich dokumentacja. Tak czy owak mogły to być grupy nieliczne i głęboko zakonspirowane bez żadnego praktycznego wpływu na rozwój wydarzeń.

<sup>5</sup> Nie sposób w tej mierze nie przyznać racji Andrzejowi Urbańskiemu, gdy mówi „Tak na dobrą sprawę czy Niepokólczycki był opozycjonistą wobec PRL? Nie. On zwalczał nowy, tworzący się ustrój siłą zbrojną dopóki to było możliwe. Niepokólczycki jest tutaj tylko symbolem dziesiątek tysięcy ludzi, którzy to robili”.

<sup>6</sup> Marek Łatyński w książce *Nie paść na kolana. Szkice o opozycji lat czterdziestych* (Londyn, 1985) za datę graniczną uznaje jedno z pierwszych posiedzeń Sejmu — 8 lutego 1947, kiedy to usłyszano tam świetne i nad wyraz ostre przemówienie Zygmunta Żuławskiego, przerwane przez marszałka: „Było to ostatnie takie przemówienie” i poza nielicznymi posłami z PSL, nikt nie miał go odwagi nagrodzić oklaskami. Odtąd można już było mówić nie o opozycji, lecz o „pojedynczych, sporadycznych deklaracjach niezgody [...], o aktach sprzeciwu.”

jeszcze w okresie, gdy istnieje SP Karola Popiela i Mikołajczykowski PSL. Nie będzie nawet miejsca na spacyfikowaną lubelską wersję PPS czy PSL, a Władysław Gomułka wkrótce po dojściu do władzy będzie mówił o „sojuszniczym” przeciw ZSL, iż trzeba bardzo uważnie mu się przyglądać. Wcześniej — kampanią o „głosowanie bez skreśleń” — pozbawiono zarówno ZSL, jak i SD szans w wyborach do Sejmu.

Wszystko to sprawę „opozycji” lat następnych niezwykle komplikuje, o czym trzeba pamiętać, jeśli chce się naprawdę sprawiedliwie ocenić nie tylko skuteczność takich a nie innych decyzji selekcyjnych, podjętych przez Friszkego, ale i samą bohaterkę tytułową jego książki.

Bardzo wielu jej czytelników (i recenzentów) zda się uważać, iż za opozycję polityczną w PRL uznawać można te tylko ugrupowania, które miały charakter zdecydowanie „antyustrojowy” (czytaj anty-komunistyczny). Mniejsza z tym, że jest to sprzeczne zarówno z definicją Friszkego, jak i zwyczajowym rozumieniem terminu (rzeczownik „opozycja” oznacza wszak nie bezpardonową walkę a sprzeciw, sprzeciw ten można zgłaszać zarówno pod adresem całej rzeczywistości politycznej, jak i pewnych jej elementów; na tej zasadzie działa większość partii politycznych w krajach demokratycznych). Gdyby rzecz traktować dogmatycznie okazałoby się, że poza radykalnymi partiami (typu ND) o rodowodzie nie-lewicowym, żadna „opozycja polityczna” w PRL nie istniała. Trzeba wówczas zakwestionować prawo do używania tej nazwy nawet przez Popielowski SP i Mikołajczykowski PSL, które specjalnych nadziei na obalenie ustroju nie żywiły, a chciały tylko mieć pewien wpływ na jego kształt. Pozostaną więc na placu boju stronnictwa i ugrupowania prawicowe, które jednak (poza krótkim okresem działalności w zbrojnym podziemiu oraz w zmienionej postaci po roku 1976) w ogóle nie mogły się w omawianym przez Friszkego okresie ujawnić, nawet w latach różnych „odwilży” z październikową włącznie. W kwietniu 1956 ściśle tajny protokół z narady Komitetu d/s Bezpieczeństwa z kierownikami urzędów wojewódzkich informował wprawdzie, iż obserwuje „duże ożywienie” „byłych elementów” AK-owskich, WRN-owskich NZS-owskich, chadec-kich, „nacjonalistów ukraińskich” i „reakcyjnego kleru”, ale nie danym im było rozwinąć żadnej działalności. Podobnie jak zduszono od razu wszelkie antykomunistyczne i antyradzieckie nastroje, „przejawiające się wśród repatriantów” z ZSRR, głównie „b. członków AK z wileńszczyzny”. Ani oni, ani środowiska niechętnie od początku Gomułce nie mogły



w żaden publiczny sposób wyrażać swych opinii, stąd zapewne wrażenie nastroju ogólnej euforii, towarzyszącego pierwszym miesiącom po VIII Plenum.

Nieliczne pomniejsze i nie tak wyraźnie ideowo określone, legalne inicjatywy — nawet typu istniejącego 6 tygodni Związku Młodzieży Demokratycznej — bardzo szybko się likwiduje, co więcej, aż do powstania ROPCIO, nie mają one większego rezonansu, może z wyjątkiem grupy „Ruch”, której siła oddziaływania jest i tak znacznie mniejsza niż np. KORu i innych inicjatyw przypisywanych „lewicy” — z akcją oświatową i wydawniczą włącznie. Niezależnie bowiem od przyczyn, które złożyły się na ten stan rzeczy, faktem jest, że o organizacjach typu „prawicowego” (zarejestrowanych przez Friszkego z rzetelnością, na jaką pozwalają dostępne dokumenty) słyszało się zwykle szerzej tylko z okazji procesów politycznych, których im nie szczędzono.

Na placu boju pozostawała więc długo jedynie opozycyjna „lewica”, w dodatku wcale nie ta o rodowodach przedwojennych. A nawet więcej — głównie PZPR-owska, nierzadko odpowiedzialna za „miniony okres”. W dodatku przez 20 lat nie zorganizowana, a jeśli wykorzystująca jakieś formy instytucjonalne, to legalne i raczej o charakterze dyskusyjnym.

Jest to jeden z powodów, dla których mówienie o „opozycji” lat 1956-76 uważa się nieraz za nadużycie. Tomasz Strzembosz pisze wręcz, iż mówić można wówczas „o »opozycji« Jasia wobec Józia, kółka Kasi wobec grupy Mieczysława”. Andrzej Urbański (porównując rzecz do walk na szekspirowskim dworze): „Jeden karzeł zabija drugiego karła. Jeden Zambrowski kłóci się z drugim dżentelmenem. O co się kłóć? O opozycję, o rewizjonizm? Nie, oni się kłóć o władzę dla siebie. Przecież to jest realny spór do co najmniej 66-ego roku”.

Gdyby szło o sytuację w normalnym, demokratycznym kraju można by zastrzeżenia te uznać za zasadne. Ale Polska popaździernikowa nie była krajem demokratycznym a tylko „zdemokratyzowanym” — i to w stosunku do okresu tak jednoznacznego, jak stalinowski. W normalnym demokratycznym kraju różnice zdań, jakie cechują członków danej partii nazywa się co najwyżej wewnętrzną dyskusją. Gdy są one bardziej drastyczne mówi się o frakcjach. W PZPR jednak — wzorem KPZR, gdzie zlikwidował je jeszcze w roku 1921 Lenin — o żadnych frakcjach mówić nie było wolno, wyjąwszy krótki okres przed i po objęciu władzy przez Gomułkę. W okresie stalinowskim nawet „dyskusja” nie była możliwa; o

tym, że nie jest to partia monolityczna do śmierci Bieruta w ogóle nie wspominało się nawet w partyjnych dokumentach, a i potem nie podawano ich do publicznej wiadomości (wystarczy przypomnieć, że najbardziej burzliwe VII Plenum z lipca 1956, zreferowane zostało niezwykle powściągliwie, częściowo, w sposób daleki od prawdy, i to nawet w miesięczniku o tak małym kręgu rzeczywistych odbiorców jak »Nowe Drogi«).

Owszem, wiadano dość powszechnie — choć nieoficjalnie — o grupie „puławian” i „natolińczyków”, czyli mniej elegancko „Żydów” i „chamów”. Żadnej z nich nie można było nazwać „opozycją polityczną”, chyba, że w stosunku do zbrodniczego systemu, który samemu się współtworzyło i który został zamknięty, nie dzięki tym bardziej w partii oświeconym, lecz na skutek „okoliczności zewnętrznych”. Zresztą w okresie, kiedy grupy te toczyły między sobą zaciekle spory nie wiadomo było jeszcze, która z nich zostanie przy władzy i której — wobec tego — przyszłoby pełnić rolę opozycji.

Ale od momentu, gdy Władysław Gomułka zapowiedział walkę z „rewizjonizmem” (a zrobił to bardzo szybko, bo już w styczniu 1957, bardzo sprawnie ją następnie rozwijając) rzecz nie jest już tak jednoznaczna. Szczególnie, jeśli wierzyć (a są takie podstawy, potwierdzone późniejszym biegiem wydarzeń), że nie szło tu tylko — by użyć współczesnego języka politycznego — o „stołki”, ale i pewien styl sprawowania władzy oraz pewne (oczywiście niezwykle ułomne) swobody polityczne.

Na temat tego, czy „rewizjonizm” w partii lat 1957-68 był czy nie był „opozycją” można mieć różne zdanie i różne na rzecz swego poglądu argumenty. Z pewnością rzecz wyglądała inaczej w wypadku elit, inaczej gdy szło o członków szeregowych. Tak czy inaczej problem „rewizjonizmu” jest jednak dość charakterystyczny.

„Rewizjonizm” od początku uznany bowiem został za „opozycję” niejako z odgórnego „nadania”. I to za „opozycję” (nie używano zresztą jeszcze wtedy tej nazwy) niebezpieczną, bo stanowiącą — jak to określił w maju 1957 Gomułka — „punkt oparcia dla wszystkich sił reakcyjnych”, nie tylko w kraju (później łączono go wszak — jako „rewizjonizm zwyrodniały” — z trockizmem). Rzecz sprowadzała się zatem nie tylko do politycznych elit, także do większości działań tych wszystkich, których tenże sekretarz nazwał na IX Plenum „pozał się Boże, lewicą”.

Już wkrótce po dojściu do władzy Gomułki, można było dostrzec wyraźne znamiona konfliktu. Za jeden z najwcześniejszych jego symptomów wolno uznać artykuł Romana Zimanda w »Po prostu« (nr 43), wprowadzający jaskrawe rozgraniczenie (co prawda tylko w odniesieniu do publicystów) na tych, którzy piszą o „błędach i wypaczeniach systemu” i tych, którzy piszą o „tzw. błędach i wypaczeniach”. Nie był to spór werbalny. Szło o tych, którzy uważają, iż wystarczy „usunąć błędy i wypaczenia”, by system funkcjonował wspaniale i o tych, którzy sądzą, że „trzeba zmienić system społeczno-polityczny zwany stalinizmem”, bowiem system ten, choć narodził się w „przodującym kraju” nie ma nic wspólnego z socjalizmem. Pisali o tym i inni ówcześni członkowie partii (niektórzy, jak Zimand, pozostali w niej już niedługo, inni jak Kołakowski jeszcze przez dziesięciolecie lub dłużej). Tyle, że większość podobnych tekstów lądowała w archiwach Głównego Urzędu. Ich treść wyraża dobrze komentarz cenzora, dotyczący *Zapisków* Jana Strzeleckiego: „wszystkie mają jedno na celu, dowieść, że to, co się dzieje w krajach socjalistycznych — Polsce i Związku Radzieckim [...] nie ma nic wspólnego z socjalizmem”<sup>7</sup>. Nic dziwnego skoro w (również zatrzymanym) tekście Kołakowskiego<sup>8</sup> z okresu po „interwencji” na Węgrzech pośród cech, określających „czym socjalizm nie jest”, znalazły się m.in. punkty: „państwem, którego żołnierze pierwsi wstępują na ziemię obcego kraju”; „państwem, które sądzi, że tylko ono zbawi ludzkość” i że ma prawo do decydowania arbitralnego, co w myśleniu ludzi i narodów jest „słuszne” lub „niesłuszne”.

Jeśli dodać do tego upartą dążność do stworzenia samorządów robotniczych i terenowych, różnych inicjatyw oddolnych, przerzucenie obowiązku zatwierdzania planów gospodarczych z Biura Politycznego na Sejm, i wiele jeszcze innych pomysłów, rozsadzających nie tylko „stalinowski” system, trudno nie dostrzec w tym wszelkich cech „opozycji politycznej”, dążącej do „upodmiotowienia” ustroju przez jego dość radykalną reformę.

Paradoks polegał na tym, że dość długo łudzono się, że owa reforma jest również celem Gomułki. Cała publicystyka »Po prostu« i innych pism

---

<sup>7</sup> AAN, zespół GUKPPiW, t. 845.

<sup>8</sup> j.w.

„młodej inteligencji”, działalność licznych młodzieżowych organizacji, klubów dyskusyjnych etc., etc. miała wspierać, a nie kwestionować, linię „odrodzonej partii”. Nawet fakt bardzo rychłej likwidacji, owych — wątplych przecież „instytucji demokratycznych”, nie zmienił tego przekonania; utwierdzał, co najwyżej, w mniemaniu, iż dążeniom I sekretarza przeciwdziała wpływy „beton”. Myślenie to zaczęło się zmieniać około połowy lat sześćdziesiątych. Jeszcze *List otwarty* Kuronia i Modzelewskiego z roku 1964, który uznać można za pierwszy tak obszerny dokument programowy, adresowany był do partii (co prawda do jej członków, a nie do Biura). Jeszcze po sesji na UW w 10-lecie Października, gdzie nie kryto rozczarowania rozwojem wypadków, wierzono, że dla ludzi o poglądach prezentowanych m.in. przez Pomiana i Kołakowskiego jest wciąż w partii miejsce itd, itd. Dopiero rok 1968 przyniósł w tej mierze otrzeźwienie, choć dalej (i tak było jeszcze w sierpniu 1980) stano na gruncie reformowalnego socjalizmu.

Wszystko to — a ten stan rzeczy nie skończył się wraz z połową lat siedemdziesiątych — sprawiało, że jak pisał w polemice z Tomaszem Strzemboszem Jerzy Jedlicki w »Gazecie Wyborczej«: „Polską specyfiką był właśnie brak ostrych rozgraniczeń między tym, co wewnątrz i co zewnątrzsystemowe, półlegalne i całkiem nielegalne, jawne i zakonspirowane”.

A dotyczyło to przecież nie tylko „lewicy”, ale i środowisk katolickich, liberalów, i neopozytywistów Znak, i wielu innych. Nie wyłączając wcale — inteligentkich i robotniczych — komunistów z Rewolucyjnego Związku Młodzieży, którzy nie nadawali się (wbrew opiniom Strzembosza i Zabłockiego) na sojuszników systemu. bo ich popaździernikowe hasło „powrotu do źródeł” oznaczało bardziej powrót do pewnej utopii niż do jakiegokolwiek — zrealizowanego w praktyce — systemu. Rzecz jasna możliwość (bo projekty te udaremniono) „opozycji komunistycznej” (a była nią i „frakcja chińska”) w kraju dążącym do komunizmu zda się aberracją<sup>9</sup>, nie dziwiącą jednak specjalnie w peerelowskiej „nierzeczywistości”.

---

<sup>9</sup> Jedną z takich „komunistycznych” inicjatyw Friszke pomija, nie wspominając wcale ani o nazwisku Mijala, ani byłego przodownika pracy Michała Krajewskiego, choć szykowali oni przecież prawdziwy „zamach stanu”. „Robotniku polski! Zbudź się, rewolucja Cię zwoła! [...] dopóki nie przepędzisz kliki pana Gomułki i innych macherów od polityki,

Jest przecież rzeczą niezwykle charakterystyczną, że główne ataki władzy wymierzone były w ów nurt „opozycyjny”, kojarzący się przede wszystkim z »Po prostu«, Klubem Poszukiwaczy Sprzeczności, „komandosami”, którzy — tak długo jak długo było to możliwe — „próbowali częściowo dostosować się do ram prawnych i instytucjonalnych, ustanowionych przez władze”<sup>10</sup> i których ideologia i program (czy to, co uchodzić mogło za ramy programu) nie powinny być sprzeczne z dążeniami rządzących, przynajmniej gdyby brać serio oficjalne oświadczenia tych ostatnich.

Ale to właśnie owym „stojącym na gruncie zasad ustroju” grupom poświęcano (zarówno na różnych tajnych naradach, jak w prasie) szczególnie wiele uwagi, choć w tych akurat przypadkach (inaczej niż w odniesieniu do „prawicy” czy grup o charakterze niemarksistowskim) trudno było otwarcie zakwestionować system reprezentowanych przez nie wartości<sup>11</sup>. Pewne niewątpliwe dysproporcje (na korzyść lewicy), jakie występują w książce Friszkego, stąd się między innymi biorą. Jako historyk zależny jest od dokumentów; większość tych, które znajdują się w archiwach dotyczy likwidacji, oskarżeń, rozpraw, procesów, aresztowań przedstawicieli tak zwanej „lewicy”. „Tak zwanej”, bo termin nie jest precyzyjny. Sama „lewica” nie była przecież jednorodna, a poza tym przypisywane jej ugrupowania i „salony polityczne” skupiały niejednokrotnie ludzi o różnych sympatiach ideowych i światopoglądowych, nie mówiąc już o współpracy między różnymi (np. KIK i „komandosi”) środowiskami. Oskarżanymi o działalność „polityczną” nawet wówczas, gdy o niej nie myśleli, bowiem jak wiadomo za „działalność polityczną”

---

dopóki nie wygonisz z kraju burżujów polskich i żydowskich, dopóki nie weźmiesz [...] krótko za pysk [...] fałszywej inteligencji, nikt Cię nie będzie poważał” pisano w roku 1964 w podpisanej przez Polską Partię Komunistyczną broszurze, którą zresztą „zaaresztowano” wraz z jej autorami, bez poważniejszych nota bene dla tychże konsekwencji.

<sup>10</sup> J. Karpiński, „Opozycja” w: *Polska, komunizm, opozycja: słownik*, Polonia, Londyn 1985.

<sup>11</sup> Podobny dylemat towarzyszył tłumieniu różnych „buntów” robotniczych (1956, 1970, 1976) i studenckich (1968), kiedy wysuwane przez rzekomych „antysocjalistów” i „agentów” żądania nie wykraczały nie tylko poza ramy ustrojowe, ale nawet poza to, co obłudnie głosiła partia (równość społeczna, prawo do „chleba i wolności”, rzetelna informacja itd. itd.).

mogło być uznane przez wymiar sprawiedliwości prawie wszystko: w okresie stalinowskim — strój „bikiniarski”, słuchanie jazzu, pomysł wystawienia *Kłótni* czy *Kordiana*, później — interwencja w sprawie zwiększenia nakładu książek, inscenizacja *Dziadów*, czytanie emigracyjnych książek (niekoniecznie politycznych), wydawanie bądź przechowywanie drugoobiegowych tomików Miłosza czy Herberta oraz różne inne artystyczne czy „intelektualne działania”, raz tolerowane, kiedy indziej noszące w oczach władzy znamiona „dążenia do obalenia systemu”. Była to więc często „polityczność z mianowania”, co nie miało przy jej zwalczaniu większego znaczenia.

Ale „polityczność” — tym razem rzeczywista — zdominowała także myślenie opozycji — i to prawie każdej: z „prawa”, „centrum” i „lewa”. Sprawom ekonomicznym poświęcano niewiele miejsca, nie dostrzegając na ogół związku między obydwu sferami lub — dostrzegając go przelotnie. Tylko Stefan Kisielewski powtarzał przez lata uporczywie: „opozycja winna zacząć od nacisku społeczno-gospodarczego nie zaś śpieszyć się do zachodnich form demokracji politycznej [...] co w naszych warunkach (44 lata braku autentycznego życia politycznego) przybrać musi formę karykaturalną. Najpierw zdemokratyzować trzeba »bazę«, czyli uwłaszczyć społeczeństwo, a potem dopiero zająć się »nadbudową«. Wolny jest ten, kto posiada środki — tak zresztą twierdził »sam« Karol Marks”<sup>12</sup>.

Lekceważenie dla „bazy” (wyraźne szczególnie od lat sześćdziesiątych) wynikało nie tylko z obrzydzenia do Karola Marksa. Jedną z cech całej opozycji było niewątpliwie i to, że wojowała o sprawy jej samej najbliższe. A że była to prawie wyłącznie (przynajmniej do końca lat siedemdziesiątych) opozycja inteligencka, to wartościami dla niej najistotniejszymi były „wolność”, „demokracja”, „niepodległość”, z rzadkim tylko żądaniem „chleba”.

Nie da się natomiast pod miano „opozycji politycznej” podciągnąć — jak chcą niektórzy — ani determinacji, która kazała wyjść robotnikom na ulice miast w roku 1956, 1970 i 1976, ani społecznego poparcia, jakie poprzez różne wiece udzielono jesienią 1956 Gomułce, choć to właśnie dzięki ówczesnym manifestacjom i wiecom udało się doprowadzić nie tylko do wyboru tegoż na I sekretarza, ale i uwolnienia Kardynała Wy-

<sup>12</sup> »Kultura«, Paryż, nr 1–2/1984.

szyńskiego czy odesłania Konstantego Rokossowskiego do Moskwy. Ale na żadnym etapie peerelowskich dziejów nie doszło do sytuacji, która miała miejsce w Czechosłowacji w czasie „praskiej wiosny”. A (nie trwający zresztą zbyt długo) opozycyjny sojusz „robotniczo-inteligencki” objawił się dopiero w latach wykraczających poza ramy omawianej książki.

Nie można też nazywać „opozycją polityczną” Kościoła, choć zdarzało się (zresztą nieczęsto i nie zawsze fortunnie), że zabierał on głos w sprawach polityki i zdarzało się (o wiele częściej), że doznawał politycznych represji. Kościół bronił po prostu pewnych wartości uniwersalnych, niezwykle odległych od tych doraźnych, którym chciano nadać oficjalnie moc obowiązującą. Nie akceptował komunizmu i starał się przeciwdziałać jego doktrynie. Ale ani zamiarem prymasa Hłonda ani Wyszyńskiego nie było uczynienie zeń instytucji „politycznej”, czy choćby instytucji popierającej takie czy inne opozycyjne partie czy grupy. W znacznym stopniu sytuację tę zmienił dopiero stan wojenny. Sprawy wzajemnych relacji Kościół i PRL to zresztą temat na oddzielną książkę, która została już zresztą napisana<sup>13</sup>.

Jedną z niebagatelnych zalet dzieła Friszkego jest i to, że uświadamia, ile tematów, zahaczających przecież o problem „opozycji w PRL” należy jeszcze podjąć. Zauważył to już w czasie rozmowy w »Arce« Łukasz Plesnar : „Nie wiem czy panowie zauważyli, że w czasie tej dyskusji powstały pomysły na cztery książki: o historii PRL-u, o mechanizmach wewnątrz PZPR-owskich, o historii ruchu oporu i intelektualistach polskich”. Należy je tylko napisać.

[1995]

---

<sup>13</sup> A. Dudek, *Państwo i Kościół w Polsce 1945-1970*, Kraków 1995.





# ANEKS



# *Myśli staroświeckiego Polaka po latach*

...czyż zaś przyniesie ona więcej korzyści niż strat, nam wszystkim z prawa i lewa, zobaczymy.

Jan Józef Lipski  
w recenzji z książki, grudzień 1985

Kiedy w samym środku lat osiemdziesiątych Piotr Wierzbicki — głośny już nie tylko felietonami w prasie oficjalnej, ale i drugoobiegową powieścią-pamfletem *Cyrk* oraz drukowanym w »Zapisie« (nr 9/1979) *Traktatem o gnidach* — wydał w „Głosie” swoje *Myśli staroświeckiego Polaka* nie poświęcono im należytej uwagi. Mówiono o niej wprawdzie sporo, tak zwana „prawica” zapewne z satysfakcją, tak zwana „lewica” z oburzeniem. Jan Józef Lipski poświęcił im bardzo jak na siebie gniewną replikę w numerze 15 »Kultury Niezależnej«. W gruncie rzeczy jednak *Myśli* zlekceważono. Jak bardzo i jak niesłusznie pokazał dalszy bieg wypadków przez nikogo, nota bene, nieprzewidzianych.

Generalnym zamierzeniem *Myśli staroświeckiego Polaka* było — tak jak to sformułował autor — przeciwstawienie się tendencji, która „ślepe posłuszeństwo” polskiej inteligencji (opuszczonej w znacznej mierze w niesprawiedliwym, choć przenikliwym miejscami *Traktacie...*) przetworzyła w „ślepy protest”. Trzeba było nie lada odwagi, aby nie będąc autorem reżimowym, wręcz odwrotnie, niedawno internowanym, zdeklarowanym opozycjonistą, podjąć — w ogniu szlachetnej i upajającej walki z władzą — podobny zamiar, pisząc w dodatku bez ogródek i ze świadomością ryzyka: „polscy inteligenci z szatanów przemienili się w aniołów, a ja piszę tekst o tym, że jest to przemiana zła. Budująca [...], ale — w drugiej swej połowie — niebezpieczna, niepożyteczna, wręcz grzeszna. Narodowe i społeczne powołanie polskich inteligentów polega na tym, żeby w najtrudniejszej sytuacji zmobilizować taki potencjał idei, strategicznych planów, taktycznych rozwiązań [...], żeby naród miał pewność, iż jego przywództwo duchowe jest najbardziej kompetentne z możliwych

[...]. Tymczasem polska inteligencja, odrzuciwszy gnidzią skorupę zakłamania, wpadła prosto i gładko w ethos rocznicowo-ministrancki. [...] Oto stoją, pokazują jakieś znaki, powtarzają »chcemy żyć w prawdzie«, »zakorzenie«, »tożsamość«, deklamują zwrotki antytotalitarno — patriotycznej nowomowy [...]. Dlaczego? Bo uprawiając przez lat kilkadziesiąt małe gierki [...] tak chcą być moralnie nieposzkodowani i politycznie jednoznaczni [...]. Użyli rozumu w niegodnej sprawie, więc postanowili już więcej nie myśleć”.

Uderzając w symboliczne lub puste gesty, czynił to Wierzbicki z właściwą sobie przesadą, lecz tym razem trafiał w słabości konspiracyjnego życia bezbłędnie. Jeśli nawet nie był to głos „obiektywny”, był to z pewnością głos potrzebny. Gesty istotnie górowały nad myślą. Samozadowolenie moralne nad samokrytycyzmem. „Gestowość” i życzeniowość sądów nad potrzebą konfrontowania ich z poglądami innych, a co najważniejsze z rzeczywistością. Nie pamiętam, aby ktoś odważył się np. w tamtym czasie obnażyć tak brutalnie jak Wierzbicki mit o żadnym jedynie wolności i kapitalizmu całym narodzie. Wręcz przeciwnie — zdania dziś tragicznie banalne brzmiały wówczas jak herezja: „Polacy to jest bardzo dziwny naród. Gdy przyjąć na wiarę, co oni sami mówią i myślą o sobie [...] to można odnieść wrażenie, że ten naród przeżarty jest ideologią antysocjalistyczną, że żyje tu wyjątkowo dużo zwolenników systemu zachodniego [...]”. Otóż wrażenie to jest absolutnie mylne. [...] Chcieliby oni, to prawda, sprowadzić do Polski trochę, i to nawet sporo, zachodniej demokracji. Obradować, zgłaszać rezolucje, głosować, powtórnie głosować, nie zgadzać się, zgłaszać votum separatum, [...] udzielać poparcia, cofać poparcie, głosować po raz trzeci, czwarty, dziesiąty. [...] Parlamentarny demokratyzm z niekończącymi się debatami to jest żywioł, w którym czują się jak ryba w wodzie. Tego okres »Solidarności« dowiódł ponad wszelką wątpliwość. Ale okres »Solidarności« [...] dowiódł [...] czegoś jeszcze [...], że oni swą zachodnią demokrację chcieliby sprowadzić do Polski w sposób cudownie komfortowo — luksusowy: zdjąć ją jak wierzchnią piankę z zachodniego systemu gospodarki i włożyć delikatnie na wierzch systemu gospodarki socjalistycznej. Ma zatem być wolny rząd, niezależny parlament, mają być wolności osobiste i wolne związki — ale ma być również państwo, które zapewnia prawidłowe funkcjonowanie nadal uspołecznionej gospodarki, które daje wszystkim pracę, które gwarantuje wysokie dochody. [...] Nowojorskie pieniądze z pracy peerelowskiego pracownika. [...] Polacy są w gruncie rzeczy głę-

boko przywiązani do socjalistycznych idei państwowo-gospodarczych”. „Nam się te miliony ludzi popierających realny socjalizm mogą nie podobać, my możemy bardziej cenić robotnika z Ursusa [...]. Ale my nie możemy twierdzić, że owi ludzie mniej cenieni przez nas nie istnieją [...], by uniknąć [...] okopania się przy dogmacie, że stanowimy zjednoczony, umęczony naród, wyznający ideały »Solidarności«, wsłuchany w słowa TKK, rządony przez ZOMO” („ZOMO to są synowie prezesów GS, dyrektorów punktów skupu [...], pracowników niewykwalifikowanych”).

Gdyby punkt widzenia Wierzbickiego podzielała wtedy bodaj część opozycji być może udałoby się za parę lat uniknąć niespodzianki z Tymińskim, a wygraną w czerwcu 89 traktować nie tylko jako oszalamiające zwycięstwo, ale przede wszystkim początek trudnej niezwykle drogi, w którą wyrusza się nie z milionami sojuszników a milionami tych, których dopiero teraz trzeba do niej przekonać, pokonując ogrom złych nawyków, klisz myślowych i zwykłego nieprzystosowania do warunków innych (pod wieloma względami mniej korzystnych) niż poprzednie. I w którą wyrusza się nie z humanistyczną — też potrzebną — frazeologią, nie z dobrymi intencjami, lecz zapasem bodaj programów: gospodarczego, społecznego, edukacyjnego etc.

Gdyby więc *Myśli staroświeckiego Polaka* także w wielu innych (niezależnie od obowiązujących przekonań) realizowały naprawdę to, co autor sformułował jako zamierzenie generalne, a więc rozbiły pewne groźne stereotypy, przestrzegając przed niebezpieczeństwem pozostawania w ich niewoli, wolno by je uznać za jeden z najważniejszych, najprzenikliwszych i najbardziej uczciwych krajowych tekstów wydanych w podziemiu. I nie miałoby tu nic do rzeczy ani to, że — w swych najcenniejszych fragmentach — pozostały wówczas głosem wołającego na puszczy (był to wszak los większości podobnych książek), ani też to, że ich autor — o czym uprzedza już w tytule — zalicza się do „prawicy”, mającej za „największego polskiego myśliciela politycznego doby popowstaniowej — Romana Dmowskiego”.

Fakt, iż o *Myślach*, jako o rozprawie, pisać można jedynie w trybie warunkowym wynika bowiem nie z tego, iż Wierzbicki fascynuje się przywódcą Narodowej Demokracji i jest zwolennikiem większości (bo nie wszystkich) jej ideologicznych haseł. Rzecz w tym, iż *Myśli staroświeckiego Polaka* tak w ogromnych partiach gorzkie wprawdzie, lecz przecie sprawiedliwe — nie realizują jako całość — tego, co autor założył

i obiecał. Wymierzone w urojenia, manipulacje, myślenie powierzchowne i fobijne są w znacznej części książką urojeniową, manipulacyjną, powierzchowną i fobijną.

Generalnemu jej zamierzeniu, o którym była już mowa towarzyszy bowiem ( a nawet je dominuje) pewien generalny impuls, wyłożony przez „staroświeckiego Polaka” krótko i szczerze: „autor ma po dziurki od nosa wszelkiej postępowości, awangardowości, lewicowości w wydaniu zarówno wschodnim, jak i zachodnim”.

Wolno mu oczywiście. Wyznanie, pochodzące zresztą z minionej już jakby epoki, kiedy to „prawica” mogła istotnie czuć się — inaczej niż obecnie — usunięta w cień przez „lewicę” jest dość naturalne w ustach człowieka o sprecyzowanych jasno poglądach, którym będzie dawał wyraz i później w coraz bardziej zajadłym tonie. Więc nie warto by może poświęcać owemu wyznaniu uwagi, gdyby nie to, że legło ono u podstaw rozumowania, które miast w zmienionych warunkach racjonalnieć przybiera wciąż coraz bardziej surrealistyczne rozmiary. O ile bowiem nikt (ani z „lewa”, ani z „prawa”, ani z „centrum”) nie przemyślał w stosownym momencie tego, co w książce Wierzbickiego było do przemyślenia, o tyle upowszechniło się, coraz bardziej wulgarniejac (także w poglądach Wierzbickiego — redaktora »Nowego Świata«) to, co było w niej — mówiąc eufemistycznie — problematyczne. A więc atak na polską powojenną „lewicę”, po raz pierwszy chyba na łamach tej książki podjęty w sposób tak — przy wciąż przywoływanych pozorach obiektywizmu — jednostronnie tendencyjny i nieuczciwy.

Książka Wierzbickiego, atakując stan głów polskiej opozycji lat 80, miała być zarazem upomnieniem się o rehabilitację myśli prawicowej. Równocześnie zaś myśli tej próbą. Niezależnie od tego, jaki miało się samemu stosunek do przywoływanej przez autora tradycji politycznej, niezależnie od tego, jaki sens nadawano aktualnie pojęciom „lewica” i „prawica” nie można było nie zgodzić się z tezą autora, iż zachwianie równowagi między funkcjami ideowymi w powojennej Polsce nie wyszło na zdrowie ani prawicy, ani lewicy. „Zablokowanie możliwości rozwoju idei prawicowych [...] nie zdołało unicestwić jej przejawów. Formacji prawicowej zdołano jedynie odjąć piętra wyższe, piętra myślowej ekspresji [...]. Pozostały jej natomiast warstwy dalsze: instynktów, uczuć, fobii. Przejawiło się to jaskrawo w okresie »Solidarności«, gdy tzw. prawdziwi Polacy, bez jakiegokolwiek myślowego zaplecza, bez programu i kultury politycznej [...] nie potrafili wyjść poza jałowy, nie prowadzący do nicze-

go antysemityzm. [...] Lewica nie wie jeszcze tego, ale ona padła też ofiarą owej nienormalnej sytuacji w życiu publicznym [...], lewica (zachodnio-europejska, nietotalitarna) tworzyła zawsze ów biegun, na którym pluralizm polityczny, demokratyczna różnorodność [...] stanowiły wartości najwyższe”.

Wydawać by się zatem mogło, że ktoś, kto na ową niby oczywistą, lecz aprobowaną milcząco anomalię zwrócił uwagę, a zarazem umie snuć refleksje nie na poziomie „warstw dalszych”, lecz właśnie „pięter wyższych” i to bez towarzyskich, „partyjnych” czy środowiskowych uzależnień (pisze wszak Wierzbicki — wówczas w zgodzie z prawdą — „nie należę do żadnej grupy, nikogo nie reprezentuję”), że ten ktoś podejmie trud poważnego zaprezentowania własnych racji oraz poważnego (w imię ogólnego dobra) przeciwstawienia ich racjom cudzym.

Nic podobnego. *Myśli staroświeckiego Polaka* jako program są zbyt pełne sprzeczności, zbyt beztrosko, powierzchownie i selekcyjnie wybierają (choćby u Romana Dmowskiego) to, co wygodne, odrzucając to, co „niesłuszne”, bo już nieskuteczne. Bez świadomości, że z reaktywowania dawnych ideologii, choćby wspartego przez liczne korekty niewiele już może twórczego wyniknąć, nawet jeśli Dmowskiego ożenić z ...Piłsudskim, i że należałoby się może odnieść raczej do doświadczeń współczesnej zachodniej prawicy. Co najgorsze zaś w sposób całkowicie dowolny operuje się tutaj pojęciami. Już nie „prawicy i „lewicy” nawet — te stara się Wierzbicki na użytek swej książki jakoś określić: „mówiąc »formacja prawicowa« mamy na myśli ogół ludzi i poglądów dających pierwszeństwo raczej tradycji niż zmianom, związanych z dziedzictwem raczej polskim niż europejskim, przyznających walory raczej państwu rządzonemu silną ręką niż państwu rządzonemu przez lud, bliższych raczej nacjonalizmowi niż kosmopolityzmowi, związanych raczej z tradycją katolicką niż z tradycją ateistyczną, nastawionych do socjalizmu w wydaniach zarówno realnych, jak idealnych raczej krytycznie niż życzliwie, upatrujących ideał gospodarczy raczej we własności prywatnej niż we własności państwowej, społecznej, ogólnonarodowej, samorządowej itp.”. Z formacją lewicową jest, rzecz jasna, dokładnie odwrotnie.

Mniejsza o to, że owe charakterystyki są zarazem zbyt szerokie i zbyt wąskie, że — jak pokazuje dzisiejsze doświadczenie — poszczególne elementy definicji są wymienialne (jak sprawa własności prywatnej na przykład). Nie można się jednak tym nieścisłościom dziwić. Peerelowska

rzeczywistość nie tylko zlikwidowała poszczególne frakcje, ale i wprowadziła w tej dziedzinie terminologicznej galimatias; określać co to „prawica” nie było zresztą potrzeby, wystarczyło ją potępiać. Wierzbicki próbuje zdefiniować pojęcia na użytek własnej książki, nie twierdzi, że są to definicje doskonałe, a jego dystans wobec zastosowanych przez się wyróżników zaznacza najlepiej słówko „raczej”.

Dystansu tego i pokory próżno jednak szukać, gdy od określenia przedmiotu badań przechodzi autor do polemik. Pojęcia zasadnicze zostają utrzymane, lecz ze składającymi się na nie pojęciami szczegółowymi dzieją się rzeczy dziwne. Nie dlatego oczywiście, że Wierzbicki nie rozumie sensu słów, lecz dlatego po prostu, że tak jest mu wygodnie. I oto nagle okazuje się, że ogromna większość cech „lewicy” to są cechy wręcz stalinowskie. „Kosmopolityzm” zaczyna być tożsamy niemal z „proletariackim internacjonalizmem”, gdzie dobro tak zwanego robotnika unieważnić każe uczucie miłości do ojczyzny, zaś „europejskość” wyklucza przywiązanie do wartości rodzimych (zapomina przy tym Wierzbicki, że był czas, gdy „kosmopolityzm” zwalczano, jeśli nie tak samo to niewiele mniej energicznie niż „nacjonalizm”, a tak zwana „żelazna kurtyna” odgradzała przede wszystkim od Europy). „Postęp” kojarzyć się poczyna z tym tylko, co było miłym — bo zgodnym z jej wytycznymi — partii, wyraźnie wszak określającej, co za „postępowość” — wolno. Zaś „władza ludu” to po prostu władza tych, co zamieszkują Biuro Polityczne, KC i komitety wojewódzkie. „Lewica” staje się więc synonimem partyjnej lub wręcz bezpieczeniackiej góry, a „myśl lewicowa” — oficjalnej propagandy. Bowiem, choć Wierzbicki pisze, iż „Lipskiego, Kuronia, Lityńskiego, Bujaka (a dodałby to tego pewnie jeszcze kilka nazwisk) uważa za Polaków niemniej „wspaniałych” od Moczulskiego, Macierewicza, Niesiołowskiego, Czumy, to owa wielkoduszność nie daje o sobie znać tam, gdzie kreśli dzieje powojennej lewicy (jest zresztą znamienne, że lewica jest tu jedynie „powojenna”; „inteligencja przedwojenna” to wyłącznie prawica). Ma więc powód „wspaniały Polak” Lipski, by się oburzać: „Wierzbicki należy do tych publicystów, którzy lubią mylić mnie z Różańskim, bo obaj jesteśmy lewicowi”. Chociaż autor *Myśli staroświeckiego Polaka* uważa to zapewne za lewicową nadwrażliwość.

Przewrotność metody Wierzbickiego polega bowiem na tym, że co innego deklaruje, a co innego spełnia. Jego „krótki kurs powojennej lewicy” jest wzorcowym wręcz przykładem manipulacji, gdy trzeba inteligentnej, gdy trzeba topornej, w tym ostatnim przypadku zawsze można się



wszak powołać na swą profesję pamflecisty. Wynika z niej jednoznacznie, że lewicy i tej u szczytu władzy, i tej „gnidziej”, i tej „opozycyjnej” powodziło się w Peerelu doskonale. Już w roku 1945, gdy prawica gniła w lochach i dogorywała w łagrach, lewica „obejmowała swe intelektualne posady w ministerstwach, wydawnictwach, redakcjach”, by w dodatku, wsparta aparatem terroru „przez dziesięć pierwszych lat [...] walczyć z prawicą nie tylko słowem, lecz również ogniem i mieczem”. W latach stalinowskich z zapalem bezwzględnych ZMP-owców przeżywała na „polskich uniwersytetach” niedostępnych dla prawicy (gdzie wobec tego wykształcili się Moczulski, Niesiołowski, sam Wierzbicki?) „swe intelektualne uniesienia nad *Kapitałem* i *Krótkim kursem WKP(b)*”. W roku 1968 przeniosła się z uniwersytetów polskich na zagraniczne, zaś „Andrzej Czuma i Stefan Niesiołowski powędrowali nie na zagraniczne katedry, tylko do więzienia”. Ale na tym nie dosyć. Oto „los zgotował prawicy figla tak perfidnego, że aż nie mieści się w głowie [...] Otóż jakby mało było niesprawiedliwości w monopolu lewicy na uczestnictwo w sprawowaniu władzy, to jeszcze przez całe dziesięciolecia miała ona monopol na sprzeczenie się z tą władzą”<sup>1</sup>. Wykorzystała go też w swoim czasie znakomicie: do rozłożenia »Solidarności« i zniszczenia konkurencyjnego, bo wybitnego taktyka — Wałęsy. W dodatku cały czas wspierana była — znów w przeciwieństwie do osamotnionej prawicy — siłami z zewnątrz — „gdy bowiem pod koniec lat 70 skryształizował się wreszcie dwubiegunowy, acz niesymetryczny układ [...], to wyszedł na jaw fakt zadziwiający: polską lewicę popiera zachodnioeuropejska i amerykańska lewica, polską prawicę zachodnioeuropejska i amerykańska prawica ma w nosie”. Nad tym, czy przyczyną owego zadziwiającego przypadku jest nie tylko straszliwe fatum ciężące nad rodzimą prawicą, lecz także pewne jej niezachwycające właściwości, Wierzbicki oczywiście się nie zastanawia. Tak jak nie zastanawia się nad tym, czy fakt, iż na „zagranicznych katedrach” znaleźli się

---

<sup>1</sup> W istocie, jest to prawda w odniesieniu od „odwilży”, kiedy to pozwolono (nie na długo) dojść do głosu późniejszym „rewizjonistom” a nawet ludziom lewicy, nie tylko nigdy z partią nie związanych, ale walczących z jej „monopolem”. „Prawica” nadal musiała milczeć. Jest też prawdą, że „myśli prawicowej” nie udało się oficjalnie objawić nawet w tak szczątkowej, zdefiniowanej (choćby przez cenzurę) postaci, jak dane to było „myśli lewicowej”. Kompleks „prawicy” jest więc w tym sensie usprawiedliwiony, co nie znaczy, by miał się objawiać „ślepą niechęcią”.

(zresztą z powodów, które Wierzbicki przemilcza<sup>2</sup>) Kołakowski, Baczek czy Hirszowicz, a nie przedstawiciele grupy „Ruch”, wynikał naprawdę z tego, że pierwsi byli „lewicowi” a drudzy „przeciwnie”. I jak nie bierze pod uwagę, iż większy rezonans „lewicowych” akcji KOR, latających uniwersytetów i inicjatyw wydawniczych niż planu wysadzenia pomnika Lenina a nawet programu ROPCiO (którego historia przedstawiona jest zresztą kłamliwie) brać się może nie tylko z nietolerancji lewicy i jej wcześniejszego uprzywilejowania (a czemuż to „prawica” miast wydać choćby *Myśli nowoczesnego Polaka* przygotowywała aż dwie edycje jego antysemitckiego i antymasońskiego powieścidla, napisanego w dodatku pod pseudonimem?). Nikt wszak nie kazał czytywać »Zapisu« miast »Opinii« i brać udziału w „zorkiestrowanej kampanii” »Biuletynu Informacyjnego« i »Krytyki« przeciw Moczulskiemu.

Dlaczego Wierzbicki nad sprawami tymi przechodzi tak gładko? Wszak pisarzowi, dbałem o przywrócenie właściwego układu sił politycznych, pisarzowi pouczającemu (i słusznie) o potrzebie ich stałej myślowej konfrontacji zależeć powinno przede wszystkim na rzeczowym pokazaniu, w czym nie ma racji przeciwnik, a także na obnażeniu słabości własnego stronnictwa, choćby po to, aby słabościom tym zaradzić. Czy autor tak jak Wierzbicki — gdy chce — wnikliwy i — gdy chce — niedemagogiczny, umiejący wydobyć na wierzch to, czego nie chcą dostrzec inni, musi uciekać się do fałszywych uogólnień, przemilczeń i insynuacji? Oczywiście może, a nawet powinien, jeśli uważa, że wyższości danej ideologii nad drugą dowodzić należy metodą kompromitacji tejże, oczywiście zachowując pozory obiektywizmu. Bo Wierzbicki jest „obiektywny”. Przyznaje, że prawica jest mniej wykształcona (nikt wszakże nie chciał jej kształcić). Píše także: „Pozostaje jeszcze pytanie: czy młody polski inteligent formacji lewicowej, uczeń Leszka Kołakowskiego, Edwarda Lipińskiego, Adama Michnika odpowiada za to, że czterdzieści lat temu wsadzano do więzień przedwojennych inteligentów i za to, że prawicowy dziennik »Le Figaro« popiera wicepremiera Rakowskiego a nie Leszka Moczulskiego? Oczywiście nie odpowiada”. Zapomina jednak całkowicie, że w lochach i łagrach, a także na Syberii, ginęli nie tylko

---

<sup>2</sup> Być może dlatego, że Wierzbicki uznaje legendę Marca za wykreowaną przez lewicę i to w myśl prostej maksymy, iż dla Polski „czasy niezłe = czasy, w których Żydom wiedzie się nienajgorzej, czasy złe = czasy, w których Żydom wiedzie się źle”.

przedstawiciele „formacji prawicowej” (czyni jeden od tej zasady wyjątek, odnotowując w przypisie: „Represje dotknęły również niektórych działaczy PPS”, lecz natychmiast dorzuca apodyktycznie: „lewica w swym nurcie głównym specjalnie się nie przejęła kaźnią swych dawnych towarzyszy”), zapomina, że „zapluty karzeł reakcji” to niekoniecznie był prawicowiec, podobnie jak niekoniecznie był nim student i profesor usuwany z „polskiego uniwersytetu” w latach stalinowskich, choć sytuacja „prawicy” była istotnie o wiele pod tym względem gorsza. Pisząc z przekąsem o „obsadzaniu katedr zagranicznych” przez lewicę po Marcu i przeciwstawiając owemu niecnemu procederowi więzionych — Niesiołowskiego i Czumę, a później i Moczulskiego, nie pamięta (?), że w więzieniach wiele lat spędzili także Kuroń, Modzelewski, Michnik, że podczas zajść na uniwersytecie bito i wsadzano do aresztu także „lewicowych” (i obojętnych politycznie) studentów i o tym, że ciężko chory Jan Józef Lipski z własnej woli porzucił Zachód po to, by powrócić na swój proces. Wyliczając grzechy opozycji po stanie wojennym ma na myśli w zasadzie tylko opozycję lewicową, tak jakby ośmieszona przezeń skłonność do symbolicznych gestów, „rozbuchania rocznicowo-obchodowego” była tejże — a nie np. KPN — domeną, jakby to lewica umiłowała sobie słowo „Targowica” i jakby tylko ona nie zdołała wypracować racjonalnego programu działań (pisze za to Wierzbicki o jakimś — nigdy niestety nie objaśnionym — wypracowanym w latach 60. dalekosiężnym programie niepodległościowym grupy „Ruch”).

Co zaś może najważniejsze, poza „lewicą” i „prawicą” niczego innego Wierzbicki w Polsce nie dostrzega. Jest to zabieg wprawdzie nieuczciwy, lecz skuteczny. W ten sposób w worku z nalepką „lewica” pomieścić można nie tylko „Lipskiego i Różańskiego”, by posłużyć się tym jednym przykładem, ale po prostu wszystko, co prawicy się nie podoba. Np. Radio Wolna Europa, donoszące raczej o KOR-owcach niż „Ruchu”, paryską »Kulturę«, „katolewicę” z KIKami i Jerzym Turowiczem na czele i masonerię. Tak przecież czyni się obecnie niemal codziennie.

Emocje towarzyszące dziś lekturze *Myśli staroświeckiego Polaka* nie są już tak gwałtowne, jak niegdyś. Jakość politycznych (a często i literackich) polemik wywołać musiała — u każdego, kto zachować pragnie jaką taką normalność — odruchy samoobrony: obojętność wobec nieodpowiedzialnych sądów, dowolnych klasyfikacji, przedziwnych interpretacji cudzych biografii i przekonań, a nawet całych obszarów polskiej historii.

Odczuwa się jedynie żal, że ta książka, która miała (o czym świadczą niektóre jej stronicy) szansę zachęcić choćby do refleksji nad słowem „pluralizm”, które oznaczać winno nie tylko wolność słowa dla opozycji, ale i równouprawnienie różnych opcji w łonie jej samej (bo faktem jest, że „lewica” nie umiała reagować na słowo „prawica” inaczej niż alergicznie), że książka szansę ową zaprzepaściła z kretesem. Przykro również, że mit solidarnościowej jedności już wtedy obnażył swą pozorną w sposób (Lipski pisał o nim „jak z magła”) tak niestety podobny do metod późniejszej „wojny na górze”. Bo nie szło o to, by podzielać wątpliwość, jakiej dał wyraz sam autor w ostatnich zdaniach *Mysli...*: „Wartoż ich dzielić, przeciwstawiać linie podziałów [...] wartoż rzucać zaczyn fermentu pod orszak, który z okrzykiem »kochajmy się« wyrusza w epopeję długiego marszu?”. Oczywiście, że byłoby warto — gdyby istotnie szło o „rzucanie” fermentu a nie mogących wywołać trwale uszkodzenia — petard. Hasło „kochajmy się” niewiele jest warte, gdy maskuje wzajemne animozje, sprzeczne ambicje, kompleksy. Ale nawet, gdy ich nie skrywa i tak jest mniej pobudzające — choć łatwiejsze — od hasła „spróbujmy się zrozumieć”, nie czyni jednak najmniejszego kroku w tym drugim kierunku; a gdy go nawet czasem uczynić pragnie, zaraz to niweczy.

Gdyby autor traktował serio własną apostrofę: „W tej książce wezwania myśli prawicowej do zdwojonego wysiłku oznacza nie apel, żeby ona raźniej wywijiała maczugą, lecz zachętę, żeby podjąwszy problemy, których nie potrafiła rozwiązać lewica, znalazła dla nich rozwiązania lepsze”; dziś winien się wstydić rzeczywistych efektów swego dzieła. Zawarty w niej atak na lewicę, podjęty został nie przez tych, których chciał Wierzbicki widzieć „bohaterami pozytywnymi swego działania”; przez specjalistów od machania maczugą właśnie.

Najważniejsze dla autora posłannictwo „formacji prawicowej”, restauracja kapitalizmu w Polsce („Przyszła Polska, jeśli nie ma natychmiast zbankrutować, powinna być nie krajem idealnego socjalizmu, tylko nieidealnego kapitalizmu”) nie przez nią zostało podjęte. Odwrotnie, to prawica broni hałaśliwie i bez programu modelu gospodarki, uznanego za „socjalistyczny”. Ze sporządzonego przez Wierzbickiego zestawu „wciąż żywego” dziedzictwa Dmowskiego („że polityka, która przedsiębiorąc działanie, nie oblicza jego skutku, to nie jest żadna polityka”, „że warunkiem powodzenia polityki polskiej jest taka praca nad programem i nad jego upowszechnieniem, żeby w krytycznym momencie społeczeństwo rozumiało swoich przywódców”, „że polityka jest domeną zawodowstwa

i że nie mogą jej prowadzić amatorzy i dyletanci”) przyjęto najbardziej klaustrofobiczne lub wątpliwe. Przede wszystkim jedno, doprowadzenie do perfekcji „że w polityce trzeba być nieufnym”. Co oznacza po prostu tyle: oceniać cudze działania wyłącznie poprzez własne kompleksy (cóż stąd, że nie bezpodstawne) i własne ambicje (cóż stąd, że nie obce żadnym politykom). Faktem jest, że „prawica” w czwartym roku III Rzeczypospolitej nie wyszła poza ów, krytykowany przez Wierzbickiego, model „prawdziwego Polaka”.

[1993]



## Od Wydawcy

Wydana przez nas książka została przygotowana do druku przez Martę Fik. Niektóre z zawartych tu — wcześniej publikowanych — szkiców Autorka opracowała na nowo. Śmierć przerwała Jej pracę nad tą książką. Szkic „*Myśli staroświeckiego Polaka*” *po latach* drukujemy więc w wersji roboczej i zamieszczamy na końcu książki w Aneksie, ponieważ nie znamy miejsca wyznaczonego mu w układzie książki przez Martę Fik.

## Nota bibliograficzna

Szkice zamieszczone w książce były wcześniej publikowane w następujących czasopismach:

*Marzec '68. Za kogo się wstydzimy?* »Puls« nr 50, maj–czerwiec 1991.

*Testy dla buntowników*, »Puls« nr 54, styczeń–luty 1992.

*Członek rzeczywisty związku ukąszonych* »Dialog« 1992 nr 4.

*Remanent owoców zakazanych*, »Puls« nr 56, maj–czerwiec 1992.

*Przepraszam, że jestem inteligentem*, »Puls« nr 57, lipiec–sierpień 1992.

*Czy warto pisać o socrealizmie* »Puls« nr 59, listopad–grudzień 1992.

*Wirus socrealizmu*, »Puls« nr 60, styczeń–luty 1993.

*Spór o Kościół* »Puls« nr 62, maj–czerwiec 1993.

*Skiwski zdrajca heroiczny?* »Puls« nr 63, lipiec–sierpień 1993.

*Nowomowa na wolności*, »Dialog« 1993 nr 8.

*Kazimierza Brauna spowiedź bez powodu*, »Dialog« 1993 nr 11.

*Portret inteligenta (O Andrzeju Doboszu)*, »Dekada Literacka« 1994 nr 5.

*Umysł zniewalany*, »Tygodnik Powszechny« 1994 nr 17.

*Inkwizytor i jego ofiary*, »Tygodnik Powszechny« 1994 nr 43.

*Autorytecie wróć?*, »Tygodnik Powszechny« 1995 nr 18.

*Kłopoty z opozycją*, »Więź« 1995 nr 6.

Szkice wcześniej nie publikowane:

*Czy Władysław Gomułka zdradził Październik?*

*Myśli staroświeckiego Polaka po latach*



## Indeks nazwisk

### A

Abramowski, Edward 179  
Achmatowa, Anna 89  
Adamiecki, Wojciech 157  
Afinogenow, Aleksandr 158  
Ajdukiewicz, Kazimierz 15  
Ambroziewicz, Jerzy 156  
Anderman, Janusz 95  
Andrzejewski, Jerzy 14, 41, 42, 56, 72,  
76, 77, 88, 90, 157  
Arżak, Nikołaj patrz Daniel, Julij 97  
Axer, Erwin 180

### B

Baczko, Bronisław 230  
Balbus, Stanisław 105  
Balicki, Stanisław Witold 117  
Baliński, Stanisław 91  
Barańczak, Stanisław 86, 87, 90, 97  
Bardini, Aleksander 140  
Bartyzel, Jacek 35  
Bauman, Zygmunt 72, 73  
Bądkowski, Lech 78  
Benda, Julien 26–27, 163, 164  
Bereś, Stanisław (pseud. Stanisław  
Nowicki) 47, 99, 115, 117–121  
Bereza, Henryk 38  
Berman, Jakub 155  
Beylin, Paweł 55, 58, 59, 60, 84  
Będkowski, Stanisław 58  
Białoszewski, Miron 14, 45, 89  
Bieńkowska, Flora 56  
Bieńkowski, Władysław 88  
Bierdiajew, Nikołaj 26  
Bierezin, Jacek 88  
Biernacki, Andrzej 11, 17  
Bicrut, Bolesław 41, 214  
Blumsztajn, Seweryn 69  
Błoński, Jan 14  
Bocheński, Jacek 54, 55, 57, 58, 59, 60, 72,  
74, 77

Bogucka, Teresa 164  
Boniecki, Adam 198, 199  
Borowski, Tadeusz 41, 89  
Boy-Żeleński, Tadeusz 22, 24, 35, 182  
Bralczyk, Jerzy 105, 108  
Brandys, Kazimierz 41, 42, 56, 60, 76,  
77, 88, 90  
Brandys, Marian 56, 59, 78, 89  
Bratny, Roman 42, 78  
Braun, Andrzej 76, 77, 80  
Braun, Jerzy 117  
Braun, Kazimierz 115–122, 175–176,  
179–180, 182  
Brecht, Bertolt 44, 88, 189  
Brodski, Josif 88, 98  
Broniarek, Zygmunt 183  
Brook, Peter 138  
Broszkiewicz, Jerzy 79  
Brycht, Andrzej 76  
Bryll, Ernest 76, 78, 80, 96  
Brzękowski, Jan 92  
Brzozowski, Stanisław 179  
Buczowski, Leopold 45  
Buhler, Josef 21, 28  
Bujak, Zbigniew 228  
Bukowiński, Władysław 88  
Bukowski, Władimir 97  
Bunin, Iwan 97  
Burek, Tomasz 77, 98, 143, 151  
Byrska, Irena 179, 180  
Byrski, Tadeusz 179, 180

### C

Céline, Louis-Ferdinand 23  
Chojnacy, Władysław i Wojciech  
(pseud. Józefa Kamińska) 93  
Chruszczow, Nikita 155  
Chrzanowski, Tadeusz 11  
Chudy, Jan 150  
Chwedeńczuk, Bohdan 101  
Ciołkosz, Adam 93

Civaroli, Ludwik 204  
 Conrad, Joseph 89, 178  
 Cyrankiewicz, Józef 57, 134  
 Cywiński, Bohdan 98, 169–170  
 Cząstka, Szymon 49  
 Czachowska, Jadwiga 85, 93, 99  
 Czapski, Józef 88, 91, 99  
 Czechow, Anton 182  
 Czernik, Stanisław 24  
 Czuma, Andrzej 228, 229, 231

**D**

Dalcz, Aleksy 96  
 Daniel, Julij (pseud. Nikołaj Arzak) 72  
 Danilewicz Zielińska, Maria 98  
 Dąbrowska, Maria 14, 22, 34, 35, 175, 176, 177–178, 179, 180  
 Dąbrowski, Bronisław 180, 204  
 Dąbrowski, Witold 59, 76  
 Dejmek, Kazimierz 68, 71, 179  
 Dembowski, Bronisław 199  
 Dębski, Henryk 126  
 Diderot, Denis 44  
 Dmowski, Roman 93–94, 225, 227, 232  
 Dobosz, Andrzej 123–129  
 Doboszyński, Adam 93  
 Dobraczyński, Jan 98  
 Dobrowski, Stanisław Ryszard 74  
 Domańska, Jadwiga 117  
 Dorosz, Beata 85, 93, 99  
 Dostojewski, Fiodor 26  
 Drabikowski, Marek 98  
 Drawicz, Andrzej 89, 97, 98  
 Drda, Jan 180  
 Drewnowski, Tadeusz 53, 57, 154  
 Drozdowski, Bohdan 126  
 Dudek, Antoni 219  
 Dürrenmatt, Friedrich 137, 139  
 Dygat, Stanisław 56  
 Džilas, Milovan 90

**E**

Eile, Marian 180  
 Eisler, Jerzy 67–70, 72, 76, 81, 84  
 Elektorowicz, Leszek 10  
 Elzenberg, Henryk 15

**F**

Fedecki, Ziemowit 154  
 Feldman, Wilhelm 96  
 Ficowski, Jerzy 14, 42, 76, 88, 89, 90  
 Fielding, Henry 44  
 Fik, Marta 5–7, 235  
 Fikus, Dariusz 157  
 Flaszten, Ludwik 14  
 Friszke, Andrzej 171, 207, 209–213, 216, 217, 219  
 Fryde, Ludwik 24

**G**

Galczyński, Konstanty Hldefons 38, 176, 182  
 Gaworski, Henryk 42, 74, 75, 77  
 Geremek, Bronisław 86  
 Giedroyć, Jerzy 182  
 Gierek, Edward 64, 65, 70, 81, 82  
 Giertych, Jędrzej 112  
 Giertych, Maciej 64  
 Glomp, Józef 203  
 Głowiński, Michał 41, 42, 43, 46–50, 83, 98, 105–107, 114, 208  
 Golomsztok, Igor 98  
 Gołubiew, Antoni 14  
 Goetel, Ferdynand 21–22, 27, 104  
 Gombrowicz, Witold 19, 45, 84, 88, 89, 90, 91, 100, 102, 123, 151  
 Gomułka, Władysław 55, 64, 65, 70, 74, 76, 106, 109, 134, 144–154, 156–161, 212, 213, 214–215, 216, 218  
 Gondowicz, Jan 128  
 Gontarz, Ryszard 75, 77  
 Gorki, Maksim 158  
 Górnicki, Wiesław 153  
 Górski, Konrad 15  
 Grabowska, Mareclina 56, 60  
 Grass, Günter 88  
 Grochowiak, Stanisław 78  
 Grodzieńska, Stefania 120  
 Grynberg, Henryk 90  
 Grzędziński, January 63, 73, 74, 75, 76, 79  
 Grzeźczak, Marian 58, 74  
 Grzymkowski, Jerzy 95

**H**

Hamera, Bogdan 47  
 Hamsun, Knut 23  
 Harasymowicz, Jerzy 45  
 Hartwig, Julia 89  
 Hass, Ludwik 11  
 Haupt, Zygmunt 102  
 Havel, Vaclav 97, 98  
 Heartman, Paweł (właśc. Godlewski, Piotr) 97

Hegel, Georg Wilhelm 65, 138  
 Heller, Michail 97, 158  
 Hellman, Lillian 186  
 Hen, Józef 76  
 Herbert, Zbigniew 14, 19, 36, 42, 96, 126, 169, 170, 218  
 Herling-Grudziński, Gustaw 11, 61, 88, 89, 98, 102, 134

Hertz, Paweł 56, 76, 157

Hessen, Sergiusz 15  
 Himilsbach, Jan 124  
 Hirszowicz, Maria 230

Hitler, Adolf 187

Hlond, August 219

Hlasko, Marek 45, 91

Hoffman, Paweł 155, 156

Holland, Henryk 59, 84

Holzer, Jerzy 209

Hołuj, Tadeusz 79

Horzyca, Wilam 131, 179, 180

Hrabal, Bohumil 88, 98

**I**

Ibsen, Henryk 186, 189, 190

Illg, Jerzy 97

Iłakowiczówna, Kazimiera 14, 97

Ingarden, Roman 11, 15

Iredyński, Ireneusz 76

Irzykowski, Karol 24

Iwaszkiewicz, Jarosław 42, 89, 182

**J**

Jagodziński, Andrzej Sławomir 97

Jan Paweł II 200

Jan XXIII 200

Janta-Polczyński, Aleksander 45

Jarosiński, Witold 54

Jaruzelski, Wojciech 33, 38, 92

Jasienica, Paweł 72, 73, 74, 76, 78, 79, 88

Jasieński, Bruno 45

Jaspers, Karl 98

Jastrun, Mieczysław 56, 72, 78, 89, 133, 157

Jastrun, Tomasz 89, 96

Jastrzębski, Marek (pscud. Józef Galewski) 93

Jaworska, Helena 149

Jedlicki, Jerzy 211, 216

Jedlicki, Witold 151

Jefimow, Aleksiej 48

Jeleński, Konstanty 89, 90

Jerofiejew, Wiedenikt 88

Jeske-Choiński, Teodor 96

Johnson, Paul 185–187, 189–190

Jordan, Zbigniew 146

Jurandot, Jerzy 120

**K**

Kaczyński, Jarosław 171

Kamieńska, Anna 42, 89

Kantor, Tadeusz 138

Kantorski, Leon 172

Kapuściński, Ryszard 89

Karpiński, Jakub 88, 98, 105, 209, 217

Karpowicz, Tymoteusz 78

Karst, Roman 56, 60, 78

Kasman, Leon 156

Katarzyna II 48

Kąkol, Kazimierz 77

Kersten, Krystyna 11, 64, 209

Kijowski, Andrzej 13, 14, 62, 74, 76, 77, 88, 101, 160, 161

Kisielewski, Stefan 21, 23, 58, 73, 74, 76, 77, 79, 101, 136, 156, 218

Kleiner, Juliusz 15, 51

Kliszko, Zenon 54, 55, 56, 58, 60, 74

Koc, Adam 26

Kochański, Aleksander 155

Koestler, Arthur 89, 160

Kohout, Pavel 97

Koj, Leon 197

- Kołąkowski, Leszek 11, 15, 33, 36, 53–63,  
65, 73–76, 89, 98, 158, 160–161,  
169, 170, 179, 209, 215, 216, 230
- Komolka, Jan 89
- Koneczny, Feliks 93
- Konwicki, Tadeusz 47, 55, 56, 59, 60, 72,  
85, 88, 99
- Koprowski, Jan 42
- Kornhauser, Julian 89, 90
- Korzeniewski, Bohdan 79, 99, 179, 180
- Kosiński, Jerzy 102
- Kossak-Szczucka, Zofia 97
- Kotarbiński, Tadeusz 63
- Kotlarczyk, Mieczysław 179
- Kott, Jan 56, 82, 89, 123, 127, 131–141,  
157
- Koźniewski, Kazimierz 95
- Krajewski, Michał 216
- Krall, Hanna 89, 99
- Kraśniński, Edward 69
- Krasowski, Jerzy 117
- Kraško, Wincenty 55, 57, 57, 79
- Krawczuk, Aleksander 96
- Kreutz, Mieczysław 15
- Krupa, Barbara 57
- Krynicky, Ryszard 88
- Krzemiński, Adam 86–88, 91
- Krzysztoń, Jerzy 89
- Krzywicki, Ludwik 179
- KTT patrz Tocplitz, Krzysztof Teodor 126
- Kubacki, Waclaw 139
- Kubiak, Tadeusz 42
- Kubikowski, Zbigniew 42, 78, 141
- Kundera, Milan 88, 98
- Kuroń, Jacek 54, 63, 216, 228, 231
- Kurowski, Stefan 159
- Kurund, Konrad 96
- Kuryluk, Karol 24
- Kuśmierk, Józef 99
- Kuśniewicz, Andrzej 89
- Kwiatkowski, Jerzy 22, 154
- L**
- Lasota, Eligiusz 147, 156
- Lechoń, Jan 90
- Legutko, Ryszard 35, 36
- Lenart, Józef 71, 77
- Lenin, Włodzimierz 120, 213, 230
- Lewandowska, Irena 97, 157
- Liberek, Jarosław 198
- Lipiński, Edward 15, 160, 230
- Lipska, Ewa 89, 96
- Lipski, Jan Józef 14, 76, 89, 93, 102,  
153, 172, 209, 223, 228, 231,  
232
- Lipski, Leo 102
- Lisiecka, Alicja 68
- Lisowski, Jerzy 95
- Lityński, Jan 228
- Łagowski, Bronisław 11
- Łapiński, Zdzisław 14, 88, 98, 110
- Łatyński, Marek 211
- Łobodowski, Józef 97
- Łopieńska, Barbara 53, 58
- Łubieński, Tomasz 89
- M**
- Machejek, Władysław 71, 77, 95, 129
- Macierewicz, Antoni 38, 228
- Mackiewicz, Józef 12, 13, 27, 102
- Mackiewicz, Stanisław Cat 63
- Madej, Bogdan 90
- Maj, Bronisław 96
- Majakowski, Włodzimierz 44
- Majcherek, Janusz 141
- Majchrowski, Krzysztof 86, 95
- Makowiecki, Tadeusz 22
- Maksimow, Władimir 97
- Malewska, Hanna 14, 89
- Mandalian, Andrzej 76
- Mandelsztam, Osip 88
- Maritain, Jacques 137
- Markiewicz, Henryk 139
- Marks, Karol 138, 218
- Maśliński, Józef 24
- Matuszewski, Ryszard 76, 78, 132
- Matwin, Władysław 156
- Mazowiecki, Tadeusz 166, 168
- Mazur, Bogusław 204
- Mentzel, Zbigniew 86, 87, 89
- Mętrak, Krzysztof 78
- Michnik, Adam 19, 33, 38, 88, 90, 93,  
99, 169, 170, 230, 231
- Mickiewicz, Adam 179

Miroszewski, Juliusz 153  
 Międzyrzecki, Artur 42, 76, 77, 89  
 Mijał, Kazimierz 160, 216  
 Mikołajczyk, Stanisław 153  
 Miller, Jan Nepomucen 63  
 Miłosz, Czesław 14, 31, 38, 88–90, 98,  
 100, 102, 165–166, 169–170,  
 175, 218  
 Minkowski, Aleksander 50  
 Moczar, Mieczysław 70  
 Moczarski, Kazimierz 89  
 Moczulski, Leszek 228, 229, 230, 231  
 Modzelewski, Karol 54, 63, 216, 231  
 Molek, Kazimierz 94, 95  
 Monteskiusz, właśc. Montesquieu, Charles  
 Louis 19  
 Morawiec, Elżbieta 33, 35, 36  
 Morawski, Jerzy 156  
 Morawski, Stefan 72  
 Mrożek, Sławomir 45, 72, 80, 96, 106  
 Mycielski, Zygmunt 72

## N

Nałkowska, Zofia 14  
 Najder, Zdzisław 94  
 Namiotkiewicz, Walery 76  
 Nawrocki, Witold 90–91, 95  
 Newerly, Igor 55, 58, 60, 78  
 Niepokólczycki, Franciszek 211  
 Niesiołowski, Stefan 228, 229, 231  
 Nowak, Andrzej 33, 35  
 Nowak, Roman 55, 56, 57  
 Nowak, Tadeusz 154, 175, 176–177, 178  
 Nowak-Jeziorański, Jan 209  
 Nowakowski, Marek 76–77, 95  
 Nowakowski, Zygmunt 22  
 Nowicki, Stanisław patrz Bereś, Stanisław  
 47  
 Nyczek, Tadeusz 98, 131, 133, 134–135,  
 136, 141

## O

Obertyńska, Beata 91  
 Ochab, Edward 150  
 Odojewski, Włodzimierz 77  
 Olszewski, Jan 19, 33, 35, 36  
 Orłoś, Kazimierz 76, 90

Or-Ot właśc. Oppmann, Artur 92  
 Orwell, George 86, 87, 88, 89, 110  
 Osęka, Andrzej 5  
 Ossowska, Maria 15  
 Ossowski, Stanisław 15, 63  
 Ostrowski, Aleksandr 182

## P

Pach, Jan 194, 204  
 Paczkowski, Andrzej 64, 209  
 Palach, Jan 81  
 Panufnik, Andrzej 41, 42  
 Pascal, Blaise 128  
 Pasierb, Janusz 199  
 Pasternak, Boris 97  
 Patrzałek, Tadeusz 103  
 Paweł VI 200  
 Peiper, Tadeusz 14  
 Piasecki, Bolesław 153  
 Piasecki, Sergiusz 102  
 Pieronek, Tadeusz 199  
 Pietrzak, Włodzimierz 132  
 Pigoń, Stanisław 15  
 Piłsudski, Józef 92, 227  
 Piotr I 48  
 Piscator, Erwin 46  
 Piwowarczyk, Andrzej 56  
 Plesnar, Łukasz 219  
 Platonow, Andriej 97  
 Pohorille, Maksymilian 55, 57  
 Polkowski, Jan 88, 96  
 Pollak, Seweryn 56, 76, 154  
 Pomian, Krzysztof 54, 60, 216  
 Popiełuszko, Jerzy 93  
 Popiel, Karol 212  
 Popper, Karl 99  
 Pound, Ezra 23  
 Prokop, Jan 35, 182  
 Przyboś, Julian 41, 154, 175, 178, 180  
 Przymanowski, Janusz 77, 126  
 Putrament, Jerzy 74, 75, 77, 78  
 Puzyna, Konstanty 14

## R

Radlińska, Helena 15  
 Rakowski, Mieczysław 230

Raszewski, Zbigniew 69, 127  
 Rawska, Hanna 157  
 Rokossowski, Konstanty 145, 219  
 Rousseau, Jean Jacques 186, 187, 189  
 Roux de, Dominique 88  
 Róžański, Jacek 228, 231  
 Różewicz, Tadeusz 14, 45, 116  
 Rudnicki, Adolf 78, 98  
 Rusinek, Kazimierz 76  
 Russell, Bertrand 89, 186, 187, 190  
 Rybakow, Władimir 97  
 Rymkiewicz, Jarosław Marek 95–96

## S

Safjan, Zbigniew 50  
 Sali, Jacek 194  
 Samozwaniec, Magdalena 154  
 Sandauer, Artur 42, 133, 154  
 Sartre, Jean Paul 98, 187, 189  
 Schaff, Adam 73  
 Schiller, Leon 132, 179–180, 182  
 Sfar, Dawid 78  
 Shakespeare, William 137, 138–141  
 Shelley, Percy Bysshe 186, 187, 189, 190  
 Siniawski, Andriej 72  
 Siwiec, Ryszard 81  
 Skiwski, Jan Emil 21–23, 25–29  
 Skuszanka, Krystyna 117  
 Sławiński, Janusz 38  
 Słomeczyński, Maciej 45  
 Słonimski, Antoni 22, 56, 72, 74, 76, 78, 147, 154  
 Słoński, Edward 92  
 Słucki, Arnold 56  
 Sołżenicyn, Aleksandr 88, 97  
 Sokorski, Włodzimierz 71, 183  
 Sommer, Piotr 89, 96  
 Stachura, Edward 76, 89  
 Staff, Leopold 14  
 Stalin, Józef 34, 147, 198  
 Starewicz, Artur 55  
 Stawar, Andrzej 14, 154  
 Steinhaus, Hugo 127  
 Stempowski, Jerzy 89, 91, 128, 136, 179  
 Stempowski, Stanisław 14, 34, 178, 179  
 Stern, Anatol 14, 45  
 Stępień, Marian 91, 95

Stomma, Ludwik 183  
 Strykowski, Julian 56, 57, 59, 89  
 Strzelecki, Jan 88, 160, 215  
 Strzembosz, Tomasz 11, 207, 209, 213, 216  
 Suchocka, Hanna 203  
 Swinarski, Artur Maria 154  
 Szalamow, Warlam 97  
 Szajna, Józef 117  
 Szaniawski, Jerzy 14  
 Szaruga, Leszek 85, 88, 102  
 Szatrow, Michail 120  
 Szczepański, Jan 18  
 Szczepański, Jan Józef 11, 14, 90, 95, 98  
 Szczepkowska, Joanna 107  
 Szczypiorski, Andrzej 76, 78  
 Szejnert, Małgorzata 98  
 Szokalski, Wiktor 127  
 Szostakowicz, Dmitrij 41, 42  
 Szpakowska, Małgorzata 169  
 Szpotański, Janusz 72, 88  
 Szweykowski, Zygmunt 15  
 Szymanski, Wiesław Paweł 34–35, 175–182  
 Szyborska, Wisława 60  
 Szyr, Eugeniusz 57  
 Śmieja, Florian 91  
 Świdła-Ziemia, Hanna 15, 107

## T

Tarn, Adam 71  
 Tatarkiewicz, Władysław 15  
 Tatarkówna, Michalina 149  
 Tchórzewski, Andrzej 74  
 Terlecki, Władysław 76  
 Tischner, Józef 193, 194–195, 196–197, 199, 202  
 Titkow, Walenty 156  
 Toeplitz, Krzysztof Teodor 126, 156,  
 Tokarezuk, Antoni 199  
 Tolstoj, Lew 186, 189190  
 Tomasik, Wojciech 42  
 Torañska, Teresa 83, 98  
 Treugutt, Stefan 154  
 Trznadel, Jacek 12, 13, 14, 19, 33, 42, 98, 140, 141, 170, 182

Turowicz, Jerzy 231  
Turski, Marian 156  
Turski, Ryszard 147, 156  
Tymiński, Stanisław 165, 225  
Tyrmand, Leopold 89, 132, 134, 136,  
141, 153

**U**

Urban, Jerzy 111, 156  
Urbanowski, Maciej 21–28  
Urbański, Andrzej 207, 213

**V**

Vincenz, Stanisław 98

**W**

Wajda, Andrzej 96  
Waldorff, Jerzy 154  
Walicki, Andrzej 98  
Wałęsa, Lech 92, 96, 111–112, 165–168,  
203, 229  
Wandurski, Witold 45  
Wańkiewicz, Melchior 72, 89  
Wasilewska, Wanda 155  
Wasilewski, Andrzej 95  
Wat, Aleksander 14, 38, 88, 99, 132  
Ważyk, Adam 41, 56, 90, 133, 154, 155,  
157  
Weil, Simone 98  
Werfel, Roman 156  
Werner, Andrzej 98  
Wicha, Władysław 55  
Wierciński, Edmund 131, 179  
Wierzbicka, Anna 108  
Wierzbicki, Piotr 10, 11, 93, 109, 119, 170,  
223–233  
Wierzyński, Kazimierz 88, 90  
Wilczek, Jan 47  
Wilhelmi, Janusz 71  
Wilson, Edmund 186  
Winawer, Bruno 22  
Wiścicki, Tomasz 197  
Wirpsza, Witold 59, 144

Witkacy, właśc. Witkiewicz, Stanisław  
Ignacy 83, 139  
Wittlin, Józef 90  
Wojdowski, Bogdan 76  
Wojnowicz, Władimir 97  
Wolter, Voltaire, właśc. Arouet,  
François Marie 31  
Woroszyński, Wiktor 42, 56, 59, 88, 97  
Wyka, Kazimierz 14, 25, 139  
Wyspiański, Stanisław 48, 139, 179  
Wyszyński, Stefan 57, 145, 150, 200,  
219

**Z**

Zabłocki, Janusz 207, 216  
Zagajewski, Adam 88  
Zagórski, Jerzy 14, 78  
Zakrzewski, Jan 126  
Załoski, Roman 78  
Zambrowski, Roman 149, 213  
Zamiatin, Jewgienij 98  
Zamkow, Lidia 179, 181  
Zawadzka, Wincentyna 127  
Zawadzki, Wacław 56, 60  
Zawieyski, Jerzy 14, 72, 78, 146, 148,  
154  
Zbyszewski, Karol 102  
Zieliński, Tadeusz 198  
Ziemkiewicz, Rafał 182  
Zięba, Maciej 198  
Zimand, Roman 102, 156, 158, 160,  
215  
Zinowiew, Aleksandr 98  
Żdanow, Andriej 48, 134  
Żeromski, Stefan 22, 89, 96  
Żółkiewska, Wanda 76, 78  
Żółkiewski, Stefan 72, 76  
Żukrowski, Wojciech 41, 50, 95  
Żuławski, Juliusz 56, 72, 157  
Żuławski, Zygmunt 211

## Spis treści

<i>Jerzy Turowicz</i> Przedmowa . . . . .	5
Przepraszam, że jestem inteligentem . . . . .	9
Skiwsi zdrajca heroiczny? . . . . .	21
Wirus socrealizmu . . . . .	31
Czy warto pisać o socrealizmie? . . . . .	41
Testy dla buntowników . . . . .	5
Marzec '68. Za kogo się wstydzimy? . . . . .	
Remanent owoców zakazanych . . . . .	
Nowomowa na wolności . . . . .	1
Kazimierza Brauna spowiedź bez powodu . . . . .	115
Portret inteligenta . . . . .	123
Członek rzeczywiście związku ukąszonych . . . . .	131
Czy Władysław Gomułka zdradził „Październik”? . . . . .	143
Autorytecie wróć? czyli intelektualści u władzy . . . . .	163
Umysł zniewalany . . . . .	175
Inkwizytor i jego ofiary . . . . .	185
Spór o Kościół . . . . .	193
Kłopoty z opozycją . . . . .	207
ANEKS . . . . .	221
<i>Myśli staroświeckiego Polaka</i> po latach . . . . .	223
Od Wydawcy . . . . .	235
Nota bibliograficzna . . . . .	236
Indeks nazwisk . . . . .	237





Obecnie ukazująca się książka to zbiór szkiców, esejów i recenzji Marty Fik, publikowanych w szeregu czasopism, tekstów wprawdzie dość różnorodnych, ale złączonych nicią przewodnią refleksji na temat roli, miejsca i odpowiedzialności inteligencji twórczej, ludzi, których określa się mianem intelektualistów, ich roli i postaw w latach PRL-u oraz w obecnym trudnym czasie budowy demokracji, po latach totalitarnego zniewolenia.

[...]

Autorytety nie rodzą się na kamieniu. Autorytetami mogą stać się ludzie mądrzy i do gruntu uczciwi, odważni i odpowiedzialni. Ludzie łączący idealizm z realizmem. Rozumiejący świat w jakim żyjemy i całą jego złożoność, mający wyraźną wizję świata w jakim chcielibyśmy żyć, których głos kierowałby ludzi na drogi prowadzące do tego świata.

Takim człowiekiem była Marta Fik, osoba rozumiejąca, sprawiedliwa i obiektywna, odrzucająca czarno-białe schematy, tolerancyjna nie dla zła, ale dla ludzi, świadoma kondycji ludzkiej. Była jednym z autorytetów moralnych, których nam dziś tak bardzo brakuje.

*Z przedmowy Jerzego Turowicza*



Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001010808427

ISBN 83-907833-0-4

# MARTA FIK

## AUTORYTECIE WRÓĆ?

TEL. 852.229



ERRATA



OLCZYŃSKA WYDAWNICZA



*AUTORYTECIE WRÓĆ?*



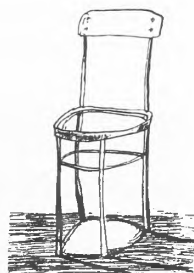
# MARTA FIK

## AUTORYTECIE WRÓĆ?

---

SZKICE O POSTAWACH POLSKICH INTELEKTUALISTÓW  
PO PAŹDZIERNIKU 1956

PRZEDMOWA  
JERZY TUROWICZ



Okladka, strona tytułowa, ilustracje:  
Zdzisław Wiatr

© Copyright by Bogdan Augustyniak, Łukasz Augustyniak,  
Szymon Augustyniak, 1997

Illustrations © Copyright by Zdzisław Wiatr, 1997

Pozycja subsydiowana przez  
Fundację Kultury



oraz

Polską Fundację Upowszechniania Nauki

Bank Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych SA

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001010808427

ISBN 83-907833-0-4



11.852.229

Ofcyna Wydawnicza Errata s.c., Warszawa

Skład: SCRIPT, Warszawa



Druk: Biutex sp. z o.o.

1997e0 15685/1



# Przedmowa

Zgon Marty Fik w grudniu 1995 roku, w wieku 58 lat, stanowił ogromną stratę dla polskiej kultury. Była znana jako znakomity teatrolog, świetny krytyk teatralny, wykładowca w Wyższej Szkole Teatralnej, autorka szeregu cennych książek z dziedziny teatru. Ale byłoby błędem zamykać jej znaczenie do dziedziny teatru. Jej rozległa wiedza, wrażliwość, zaangażowanie obejmowały wszelkie dziedziny życia kulturalnego i nie tylko kulturalnego w Polsce naszego czasu. Świadectwem tego jest najważniejsze, niezwykle, można powiedzieć zdumiewające dzieło Marty Fik *Kultura polska po Jałcie. Kronika lat 1944–1981*. Ta licząca niemal 850 stron książka, wydana w roku 1989 w Londynie, a w 1991 wznowiona w kraju, poprzez kronikarski, chronologiczny zapis tysięcy faktów przedstawia nie tylko życie i rozwój kultury w latach PRL-u, ale przede wszystkim zależność kultury od polityki, zniewolenie, a nieraz i niszczenie tej kultury przez politykę. Książka ta w normalnych warunkach powinna była powstać jako dzieło całego zespołu kompetentnych badaczy. Jeśli napisałem, że dzieło to jest zdumiewające, to właśnie dlatego, że trudno zrozumieć, jak Marta Fik mogła sama wykonać tę ogromną pracę w ciągu dwu czy trzech lat. Do tego samego nurtu twórczości Marty Fik należy jej ostatnia książka, wydana w 1985 roku *Marcowa kultura*, książka — jak napisał Andrzej Osęka — na temat tego, co stało się w Polsce z kulturą i świadomością zbiorową w marcu 1968. I wreszcie — by wiedzieć, kim była Marta Fik nie można pominąć faktu, że w stanie wojennym przez kilka lat współredagowała dwa ważne pisma kulturalne drugiego obiegu: »Nowy Zapis« i »Kulturę Niezależną«.

Obecnie ukazująca się książka to zbiór szkiców, esejów i recenzji Marty Fik, publikowanych w szeregu czasopism, tekstów wprawdzie dość różnorodnych, ale złączonych nicią przewodnią refleksji na temat roli, miejsca i odpowiedzialności inteligencji twórczej, ludzi, których określa się mianem intelektualistów, roli i postaw w latach PRL-u oraz w obecnym trudnym czasie budowy demokracji, po latach totalitarnego zniewo-

lenia. Pisarstwo Marty Fik cechuje ogromny obiektywizm. Co nie znaczy, że nie ma swojego własnego stanowiska. Przy swoim rodowodzie ideowym, lewicowym, w sensie, w jakim socjalizm rozumiano przed wojną, jest zdecydowanym wrogiem komunizmu w wersji tak sowieckiej, jak i PRL-owskiej, ale odrzuca też fundamentalistyczny antykomunizm operujący czarno-białymi schematami, stanowiącymi właśnie dziedzictwo komunizmu, który całą rzeczywistość pokazywał w kolorach czarno-białych, tym samym tę rzeczywistość fałszując i zakłamując. Surowo oceniając postawy niektórych intelektualistów w latach PRL-u, postawy nacechowane konformizmem, oportunizmem czy nawet cynizmem, Marta Fik równocześnie ostro rozprawia się z „prokuratorami” dopatrującymi się wszędzie „hańby domowej”. „Prokuratorom” tym, czy też — można powiedzieć — „inkwizytorom” pragnącym wszystkim „wymierzać sprawiedliwość”, Marta Fik zarzuca ahistoryzm, nieliczenie się z kontekstem w jakim działali oskarżani przez nich intelektualiści oraz nieliczenie się ze złożonością natury ludzkiej, która jeśli nie usprawiedliwia, to przynajmniej pozwala zrozumieć błędzenie czy nawet uleganie „heglowskiemu ukąszeniu”.

Na marginesie książek Michała Głowińskiego, Jerzego Eislera czy Andrzeja Friszke Marta Fik analizuje znaczenie socrealizmu, rolę wydarzeń Marca 1968, jak i w ogóle demokratycznej opozycji ludzi kultury (i nie tylko) przeciw reżimowi Polski Ludowej. Świetny i dobrze udokumentowany szkic o Władysławie Gomułce dowodzi, że Gomułka bynajmniej nie zdradził „Października”, bo związane z objęciem przez niego kierownictwa partii nadzieje na „socjalizm z ludzką twarzą” były bezpodstawne. W innym szkicu Marta Fik wskazuje na odpowiedzialność intelektualistów za budowanie mitu Lecha Wałęsy, ale pisze też o zawinionym przez Wałęsę konflikcie z tymi intelektualistami, który walnie przyczynił się do dzisiejszej fali antyinteligentckiego populizmu.

Trudno w tej krótkiej prezentacji książki wskazać na wszystkie jej tematy, ale nie należałoby pominąć tego, co Marta Fik pisze o przemianach postaw intelektualistów, kiedyś członków PZPR, występujących z partii na skutek rozczarowania i utraty wiary, że komunizm realizuje piękne ideały sprawiedliwości i szacunku dla praw człowieka. Szczególne miejsce zajmuje w tej książce szkic *Spór o Kościół* pisany — jak to sama podkreśla — z pozycji „osoby spoza Kościoła”, zawierający — w związku z toczącą się u nas dyskusją na temat miejsca i roli Kościoła w życiu

publicznym — krytyczne oceny pewnych żenujących gestów czy wypowiedzi ludzi Kościoła w ostatnich czasach. Pewne tezy tego szkicu mogą się wydać kontrowersyjne, ale na pewno Marta Fik ma rację, gdy mówi, że przemilczanie własnych błędów bardziej szkodzi Kościołowi niż rzetelny rachunek sumienia i reagowanie na niefortunne wypowiedzi.

Największą jednak wartością tej książki — jak wspomniano na początku tej przedmowy — jest głęboka, obiektywna i sprawiedliwa analiza roli inteligencji czy też intelektualistów przed i po roku 1989. Przy dość powszechnej niechęci do reżimu pojałtańskiego, w społeczeństwie polskim, zwłaszcza po roku 1956 przeważał model przystosowania. Świadomą opozycję tworzyła niewielka mniejszość tego społeczeństwa, a w niej rolę wiodącą pełniła inteligencja — nie cała oczywiście — ludzie sztuki i nauki, działacze katolicycy, młodzież akademicka. W momentach przełomowych, gdy ruch oporu obejmował — nieraz na krótko — szersze masy społeczeństwa, intelektualiści pomagali artykułować postulaty tego społeczeństwa, byli jego rzecznikami, w pewnej mierze według modelu romantycznego, w którym poeci i artyści sprawowali „rządy dusz”. Toteż mieli prawo, a nawet obowiązek zaangażowania politycznego w nową rzeczywistość powstającą po roku 1989.

Marta Fik dobrze widzi błędy i grzechy intelektualistów, nieraz grzechy zaniechania, ale broni roli inteligencji w procesie obalenia komunistycznego reżimu. Marta Fik pokazuje, że tzw. sojusz robotniczo-inteligentki, tak wymownie manifestujący się w dniach „Solidarności”, był tworem sztucznym i krótkotrwałym. Przekonanie o zwycięstwie „etosu” okazało się utopią. Dziś, kiedy jesteśmy świadkami bardzo silnych populistycznych postaw antyinteligentkich i bezpodstawnego na ogół oskarżania inteligencji, właśnie wczorajszych opozycjonistów, „etosowców”, o to, że dzisiejsza rzeczywistość społeczno-polityczna nie jest taka, jakiej się spodziewano, Marta Fik stwierdza, że czas inteligencji bynajmniej nie przeminął, i że choć mamy do czynienia z dość powszechnym kryzysem, upadkiem autorytetów, to jednak by wyjść na prostą z okresu przejściowego, jaki przeżywamy, inteligencja nadal powinna, choć niekoniecznie w bezpośrednim zaangażowaniu politycznym, kształtować świadomość społeczeństwa, nadal potrzebne są autorytety, o czym mówi tytuł jej książki *Autorytecio wróć?* Tytuł ten wprawdzie Marta Fik opatrzyła znakiem zapytania, ale jest to tylko wyraz pewnego sceptycyzmu, a nie przekonania, że autorytety nie są potrzebne.

Autorytety nie rodzą się na kamieniu. Autorytetami mogą stać się ludzie mądrzy i do gruntu uczciwi, odważni i odpowiedzialni. Ludzie łączący idealizm z realizmem. Rozumiejący świat, w którym żyjemy i całą jego złożoność, mający wyraźną wizję świata, w jakim chcielibyśmy żyć, których głos kierowałby ludzi na drogi prowadzące do tego świata.

Takim człowiekiem była Marta Fik, osoba rozumiejąca, sprawiedliwa i obiektywna, odrzucająca czarno-białe schematy, tolerancyjna nie dla zła, ale dla ludzi, świadoma kondycji ludzkiej. Była jednym z autorytetów moralnych, których nam dziś tak bardzo brakuje.

*Jerzy Turowicz*

# Przepraszam, że jestem inteligentem

Ostatnie chyba żywe spory wokół statusu, racji bytu i ewentualnych bieżących zadań polskiej inteligencji wygasły, mniej więcej wtedy, gdy rozgorzała „wojna na górze”. Wtedy to spore grono publicystów — różnych zresztą światopoglądów i generacji — uznało na ogół zgodnie, że misja tejże, jeśli nie wygasła, to znacznie przybladła. Ponieważ w owym pogrzebie onegdajszego postannictwa brali ochoczo udział również ludzie z tak zwanych inteligenckich elit, wolno było problematyki zaniechać. Wczorajsze „inteligenckie elity” wchłonięte zostały zresztą w znacznej mierze przez dzisiejsze „elity polityczne” i wyłącznie w tej roli pretendować mogą do roli głównych bohaterek obchodzących kogośkolwiek polemik. Inteligencka „reszta” (nie jest to określenie pejoratywne, przywołanie go usprawiedliwione jest po prostu brakiem odpowiedniej terminologii) zajęła się przede wszystkim kwestiami konkretnymi: pauperyzacją, duchową i materialną, reprezentowanych przez siebie zawodów. Bez jakichkolwiek zresztą pozytywnych rezultatów i bez większego — niż środowiskowy — rezonansu.

Nic dziwnego, że kiedy krakowska »Arka«<sup>1</sup> ogłosiła wyniki rozesełanej przez się ankiety na ów niemodny temat, opatrzyła je tytułem *Polowanie na intelektualistów*. Upolowani intelektualiści (nazwani w tekście bardziej opisowo: „wybitnymi przedstawicielami życia umysłowego”) mieli stać się zresztą nie tylko cennymi trofeami, lecz zarazem myśliwymi naprowadzającymi na dalsze tropy. Ich zadaniem było między innymi określenie, kto to taki intelektualista w ogóle. Zawsze wszak łatwiej polować, kiedy wie się dokładnie na kogo.

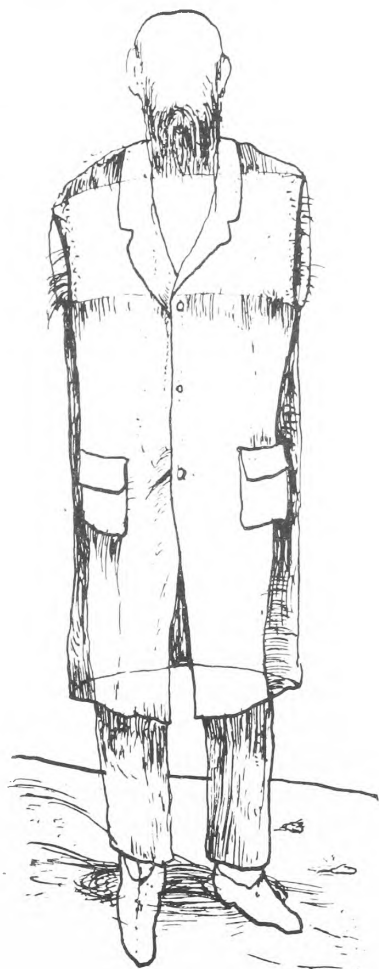
Pytania »Arki« — a właściwie jedno rozbudowane pytanie — brzmiały: „Czy uważa się Pan (Pani) za intelektualistę, inteligenta? Co to znaczy

---

<sup>1</sup> »Arka« nr 37–38, 1992.

w kontekście tradycji historycznej inteligencji polskiej, doświadczenia »hańby domowej« lat PRL-u, zmiany politycznego układu odniesienia po 1989 roku, współczesnych sporów ideowych i politycznych w Polsce?”

Odpowiedzi mają charakter różnorodny, i jeśli chodzi o szczególność opinii, i objętościowo: od trzech zdań skreślonych niedbale przez Piotra Wierzbickiego po mały traktat Leszka Elektorowicza o stopniu i rodzajach zaangażowania się polskiej inteligencji w powojenną rzeczywistość. Zbliża je do siebie jedno. Prawie wszystkie odnoszą się z rezerwą



do pojęcia „intelektualista” i prawie wszystkie lekceważą pierwszy i ostatni człon drugiego pytania. Tylko Tadeusz Chrzanowski (a są wśród respondentów między innymi Jan Józef Szczepański, Gustaw Herling-Grudziński, Ludwik Hass, Krystyna Kersten, Tomasz Strzembosz; dokładnie połowa odpowiadających ma tytuł profesorski) uważa się za intelektualistę, tylko Kerstenowa wyznaje, iż „aspiruje do tej roli, świadoma swych niedostatków”. Tylko Bronisław Łagowski wymienia dwa nazwiska intelektualistów, jego zdaniem, „pozytywnych”, choć bardzo od siebie różnych: Ingardena i Kołakowskiego, a w dodatku zdanie swe uzasadnia. Równocześnie prawie nikt nie zahacza nawet w swych rozważaniach o doświadczenia inne, niż peerelowskie.

Między niechęcią do samookreślenia się w roli intelektualisty a lekceważeniem wszystkiego, co nie dotyczy okresu 1944-1989 zachodzi zresztą nieoczekiwany, lecz logiczny związek. Fakt, że aż trzynaście spośród czternastu osób, chętnie przyznających, iż są inteligentami (tylko Herling-Grudziński i Andrzej Biernacki buntują się także przeciw temu określeniu), odżegnuje się od bycia intelektualistami — wynika bowiem na ogół nie tyle z przesadnej skromności, co z fatalnych konotacji, jakimi obrosło wedle nich to pojęcie. Mówiąc najprościej: intelektualista to inteligent (to prawda, że wysokiej na ogół umysłowej rangi) o orientacji prokomunistycznej jak na Zachodzie, lub wręcz wprzęgnięty, jak w kraju, w służbę komunistycznej władzy. Wierzbicki pisze wprost: „Przed wojną nie było w Polsce intelektualistów, byli tylko inteligenci”. Biernacki: „Zbyt [...] mam mocno zakarbowane w pamięci — wychowanie szkół wrocławskich — czym był tak zwany Kongres Intelektualistów”. Tomasz Strzembosz: „Różnię się od większości polskich intelektualistów tym, że nigdy nie byłem członkiem PPR czy PZPR”. I tak dalej, i tak dalej.

To niezwykle, wręcz zdumiewające zawężenie perspektywy (bo czyż nie jest to także „patrzenie jednym okiem” i, co więcej, w jednym tylko kierunku, o które Szczepański oskarża — w innym sensie — *les intellectuels de gauche*) ma swe oczywiste motywacje.

Otóż niezależnie od intencji, jakie przyświecały redakcji »Arki«, ogłoszona przez nią ankieta udziela odpowiedzi właściwie na jedno tylko pytanie. Mianowicie o wpływ okresu nazwanego tu globalnie „hańbą domową” na myślenie dzisiejsze. Co więcej, odpowiedź tę uzyskuje się niejako nie wprost; nie zostaje ona bowiem jasno sformułowana w żadnej wypowiedzi, a wynika raczej z lektury wszystkich.

Ograniczenie pola widzenia do terenu, na którym spędziło się — z reguły — całe swoje młode i dorosłe życie (zwłaszcza, gdy nie chodzi o pisanie naukowej dysertacji, lecz udział w ankiecie) jest zabiegiem zrozumiałym. A jednak przykrą jest świadomość, że mało kto chce — bo przecież na pewno umie — ograniczenie to przewyciężyć. I że tak łatwo akceptuje się stereotypy, coś stąd, że w formie wypowiedzi niezbyt zobowiązującej.

Bowiem, gdyby je podważyć, okazałoby się rychło, że już sam charakter pytania dotyczącego komunistycznego czterdziestopięcioletnia wzbudzić powinien sprzeciw. Określająca je formuła narzuca przecież z góry pewien punkt widzenia. Niezbyt prawdziwy, a niesprawiedliwy na pewno.

Kariera, jaką zrobiło pojęcie „hańby domowej” przywołane przed siedmiu laty przez Jacka Trznadla, warta byłaby oddzielnego socjo-psychologicznego opisu.

„Hańba domowa” oznaczająca pierwotnie zaledwie pewien etap peerelowskich dziejów, które miały potem także swe mniej lub bardziej zasłużone legendy (Października, Marca, KOR-u, stanu wojennego), stała się oto synonimem całego powojennego okresu i wszystkiego, czego w nim dokonano. Synonimem wszelkich więc inicjatyw, dzieł i postaw bez jakichkolwiek różnic i półcieni; tak właśnie, jak to widział Józef Mackiewicz.

No cóż, mimo że poddawanie krytyce poglądów Józefa Mackiewicza nie jest dziś w modzie, nie musi się ich przecież w całości podzielać. Nie każdy — nawet spośród ich wyznawców — ma zresztą do tego prawo. Radykalizm Mackiewicza kosztował go drogo, także na emigracji; radykalizm jego naśladowców dodaje im jedynie splendoru. Mackiewicz od znienawidzonej przez się rzeczywistości pozostawał w dosłowny sposób z dala, nie współtworzył jej nawet z pozycji wroga w przeciwieństwie do tak zwanych opozycyjnych krajowych pisarzy, artystów, publicystów, historyków literatury etc., którzy wszak jakoś w niej żyli i to z nie całkiem zakneblowanymi ustami. Gdyby zresztą konsekwentnie i serio traktować Mackiewiczowski antykomunistyczny radykalizm, prawo do odżegnywania się od „hańby” mieliby tylko ci, co powojenne czterdziestopięcioletcie spędzili, jeśli nie w więzieniach, to w każdym razie nic cenzuralnego nie ogłaszając oraz ci, co swe dorosłe życie rozpoczęli nie wcześniej niż w roku 1989.



Ale wtedy pojęcie „hańby domowej”, której ulec musiał — wedle kryteriów tak ekstremalnych — każdy polski (wedle Mackiewicza, już nie polski zresztą, lecz sowiecki) nieemigracyjny intelektualista, niezależnie od swojej indywidualnej postawy, zachowań i osiągnięć — wtedy pojęcie to staje się tak pojemne i nieostre, że po prostu bezużyteczne.

Czy w ogóle jest zresztą najszcześliwsze, skoro nie określa rzeczy bezspornych i jednoznacznych?

Kiedy Jacek Trznadel — nie mający się jeszcze wówczas za antykomunistycznego Savonarolę — układał swą książkę, miał prawo przywołać ten termin, choć już wówczas wydawał się on nazbyt apodyktyczny i nieprecyzyjny. Choćby przez to, że postawiono tu na równej szali dwie odrębne hańby. Tę, będącą synonimem konformizmu, próżności, skłonności dworskich, strachu (choć strach w czasach przemocy stanowi inną od tamtych kategorię) — oraz tę, wynikłą ze zdrady podstawowych dla intelektualistów wartości: obowiązku wątpienia, krytycyzmu, tolerancji, których zdradzać im nie wolno nawet w imię najszczytniejszych w ich odczuciu ideologii. Są to hańby w skutkach podobne, całkiem przeciw innego rzędu, innej wymagające analizy i do nieco różnych prowadzące wniosków.

Ale pojęcie „hańby domowej”, rozumiane jako metafora określająca całą prawie środowiskową sytuację, budzi sprzeciw i dlatego, że wprowadza pewien obraz dosyć — w niezamierzony sposób — zbieżny z poglądami lansowanymi bardzo długo przez samych komunistów. Taki oto, że po stronie ustroju stoją — i to w przeważającej większości — ci najlepsi, przeciw niemu buntuje się zaś grupka frustratów, którzy w żadnych warunkach nie byłiby w stanie odnieść naukowego, literackiego czy artystycznego sukcesu. Trznadel zdawał sobie zresztą z tego sprawę, pisał przecież we wstępie do swojej książki: „Jesteśmy wciąż pod presją propagandy tamtego [stalinowskiego] okresu, która dbała o wywołanie wrażenia, że udział w nowej ideologii był masowy”. I właśnie pamięć o tym niebezpieczeństwie zadecydowała (a była to jedna z najistotniejszych zalet przywoływanego tomu) o doborze rozmówców. Tylko pięciu spośród nich — a dodać do tego można jeszcze samego autora — uczestniczyło w propagowaniu tak zwanej nowej wiary w sposób gorliwy. Dwóch uczyniło to z pewną rezerwą. Sześciu (miał do nich dołączyć jeszcze Andrzej Kijowski) nie miało — choć mogło — z systemem nic wspólnego; o trzech z nich mówić można jako o opozycji.

Nie chodzi zresztą tylko o liczby. Spośród owych pięciu gorliwców jedynie Andrzejewskiego określić można mianem pisarza, a ściślej autorem dwóch wydanych przed wojną książek. Czterej pozostali to literaci zupełnie świeżej daty. A proporcje zachowane w książce Trznadla nie idealizowały rzeczywistości, wręcz odwrotnie.

W samym nawet środowisku literackim, a przede wszystkim we wskrzeszonym po wojnie Związku, pisarzy z dużym, przedwojennym jeszcze autorytetem było mało. Wielu wybitnych już nie żyło, bardzo wielu znalazło się na emigracji, a emigracja ta (z materialnych i emocjonalnych przyczyn bardzo ciężka) była przecież również niezgodą na hańbę. Jeśli zaś idzie o pisarzy pozostających w kraju, też nie wszyscy stali się apostołami nowej wiary. Nie byli nimi wszak ani Gołubiew, Malewska, Zawieyski, Staff, Wat, Stawar, Iłakowiczówna, Stern, Peiper, Szaniawski, ani — mimo stanowisk w dyplomacji czy sejmie — Miłosz, Zagórski, Nałkowska, a nawet wbrew wszystkiemu, Dąbrowska (nie mówiąc już o jej towarzyszu, Stanisławie Stempowskim). Nie było nimi wielu młodych, skazujących się w imię własnych racji niemal na nieistnienie, jak Herbert, Białoszewski, Szczepański, Lipski ani też — mimo wydanych tomów — Ficowski czy Różewicz. Nie była nimi grupa uczniów Wyki: Błoński, Flaszen, Kijowski, Puzyna, którzy od swego mistrza uczyli się nie tylko — jak młody Trznadel<sup>2</sup> — konformizmu.

To prawda, także wielu spośród nich współżyło jakoś z tak zwanym socrealizmem, by posłużyć się formułą Zdzisława Łapińskiego. Ale współżył z socrealizmem, a nawet uwiarygodniał system i »Tygodnik Powszechny« do momentu zamknięcia, i nawet Kościół, nie mówiąc już o ówczesnych absolwentach liceów, zapisujących się do ZMP, by dostać się na studia, i wkuwających na pamięć *Krótki kurs WKP(b)*, by te studia potem ukończyć. Uwiarygodnianiem systemu było bowiem prawie wszystko, co działo się poza murami więzień. Zarówno udział w akcjach propagandowych, jak i w tych, które uznać trzeba za neutralne czy nawet cenne, bo zapobiegające raczej niż sprzyjające zakrojonej z rozmachem sowietyzacji<sup>3</sup>. Te ostatnie przecież też pracowały na autorytet władzy, nie

---

<sup>2</sup> Por. J. Trznadel *Hańba domowa*, Instytut Literacki, Paryż 1986.

<sup>3</sup> Grano przecież wówczas w teatrach obok produkcyjniaków także sztuki klasyczne, urządzało wystawy dawnych obrazów, wydawano klasykę (obca, w dodatku w doskonałych przekła-

dość że silnej, to jeszcze — jak się okazywało — niedogmatycznej, bo zezwalającej na działalność niepropagandową i nieortodoksyjną.

Ale od współżycia z socrealizmem do hańby domowej droga była nad wyraz długa. I gdyby sporządzić rzetelny bilans hańb i odporności na hańbę, okazać by się mogło, że to ta pierwsza skryje się w cieniu drugiej, nie odwrotnie.

Rzecz nie polegała bowiem na ilości zaangażowanych, lecz na tym, że to oni tylko mogli wyrażać swoje opinie głośno i z odgórnym zapewnieniem rezonansu. Czy znaczy to, że w krzewieniu hańby odnosili zwycięstwo?

Przed wszystkim bardzo szybko sami z niej wyrosli. Po wtóre, bardzo krótka i nieskuteczna była, jak się okazało, siła ich oddziaływania. O ileż krótsza, niż siła oddziaływania tych, którzy byli prawdziwą — mimo że usuniętą w cień — intelektualną elitą, choćby usuwanych z katedr lub szukanowanych profesorów, których wspomagali często nauczyciele gimnazjum. „Jeszcze jedna z legend to ta: intelektualiści byli stalinowcami. Wymienia się tu np. Kołakowskiego. Tymczasem Kołakowski był w tym czasie młodym asystentem, studentem tuż po wojnie. Intelektualiści to był np. profesor Kreutz, profesor Hessen (zwolniony), profesor Radlińska [...]. Wielkie nazwiska znanych profesorów: to byli intelektualiści tamtego okresu”<sup>4</sup>. Ossowscy, Elzenberg, Tatarkiewicz, Ajdukiewicz, Edward Lipiński, Konrad Górski, Szweykowski, Pigoń, Kleiner, Ingarden i tylu innych — we wszystkich prawie dziedzinach. Nie brali udziału w hańbie i wolno powiedzieć chyba więcej: ocalili przed nią (nie tylko w tamtym okresie) wielu swoich formalnych i nieformalnych uczniów. Bo to nie Pawka Morozow, a właśnie oni stworzyli wzorce osobowe, obowiązujące w następnych latach nie tylko „niepokornych”, lecz również ogromnie wielu wczorajszych pryszczatych i „wściekłych” — zbuntowanych okresowo przeciw swym pedagogom — ZMP-owców.

„Hańba domowa”, jeśli nawet przystać na to pojęcie, nie była więc i wtedy udziałem większości. Tak jak Kongres Intelektualistów we Wro-

---

dach), prowadzono badania, których założenia i wyniki niekoniecznie oparte były na fałszu.

<sup>4</sup> H. Świda-Ziemba, *Szary człowiek w stalinizmie*, »Kultura Niezależna« nr 66, 1991.

clawiu (gromadzący zresztą wielu intelektualistów wysokiej rangi) nie był symbolem wszelkich ówczesnych ich działań.

Działań nie tak, rzecz jasna, jak Kongres nagłościonych i przez to efektywnych. Nic dziwnego. Wszak jedyną formą protestu przeciw temu, co lansowano oficjalnie, mogła być tylko odmowa udziału w kłamstwie. A jedyną w podjęciu tej decyzji podporą — wiara, że istnieją wartości, jednak godne wyrzeczeń, choć tak zdawałoby się niepopularne.

Że broniono ich głosem z pozoru cichym? A jakże inaczej można było wyrażać swój protest? Przez emigrację przy pomocy cudownego latającego dywanu? Samospalenie? Marsz pod KC lub urząd bezpieczeństwa z transparentem „przeciw”? Tak właśnie zdaje się sądzić niemałe grono publicystów i to nie tylko tych, co o terrorze stalinowskim nie mają pojęcia.

Przesadzam, oczywiście. Ale jest coś niezwykle drażniącego i niepokojącego w fakcie, iż *Hańba domowa* Trznadla (która w roku 1986 nie bez powodu stała się bestsellerem) jest jedyną, umieszczoną w dodatku w kanonie szkolnych lektur, diagnozą tamtego okresu. Że — co gorsza — najbardziej nośny pozostał z niej tytuł, i że tytułem tym od pewnego czasu określa się całe powojenne czterdziestopięćciolecie.

Czterdziestopięćciolecie — nawet w swych najbardziej liberalnych okresach — nienormalne. Ograniczające, już nie tylko w totalitarnym, ale surrealistycznym wręcz wymiarze, wolność słowa. Krępujące naturalny rozwój nauk, nie tylko przecież z powodów bezpośrednio politycznych, lecz także innych, z nich wynikających. Czterdziestopięćciolecie, w którym można było wskutek woli rządzących zostać skazanym na naukowy, pisarski czy artystyczny niebyt. I tak dalej, i tak dalej... znamy to wszyscy.

Ale było to zarazem czterdziestopięćciolecie (a więc nie na przykład krótki okres wojny), w którym robiono — niekoniecznie nieuczciwie — naukowe, pisarskie, artystyczne kariery, prowadzono badania cenione nie tylko w ZSRR, ale i w Europie, wydawano specjalistyczne czasopisma (też o europejskiej renomie) oraz książki, których brak na czytelnicznym rynku tak bardzo się dziś odczuwa. Oczywiście, osobista cena za tę względnie normalną egzystencję (względnie, bo ze stałą świadomością wielorakich tabu, które trzeba było przecież zaakceptować) była różna. Ale i skali owej zależności nie da się mierzyć wedle jednej, założonej ogólnie miary.

Bardzo dziś popularny pogląd, że kultura i nauka w powojennej Polsce poza drugim obiegiem nie istniała (wyraził go między innymi minister kultury i sztuki w swoim wystąpieniu przesłanym na ręce Andrzeja Biernackiego, przewodniczącego poznańskiej sesji poświęconej ruchowi podziemnemu<sup>5</sup>), i że wszystko, co oficjalnie zaistniało jest naprawdę jedynie czarną dziurą lub świadectwem konformizmu i zniewolenia — pogląd ów traktowany jest jako dowód antykomunistycznego myślenia. Ale godzi tak naprawdę nie w komunistów, a w tych wszystkich, co na miarę ówczesnych możliwości (a czasem i ponad miarę) zachowali nie tylko osobistą niezależność i autorytet, ale w dodatku obronili w znacznej mierze autorytet dziedzin, które reprezentowali.

Sadomasochistyczne ukierunkowanie pamięci na to tylko, co w niedawnej przeszłości wstydlive, nie ma zresztą nic wspólnego z rzetelnym, choćby nawet przesadnie krytycznym, rozrachunkiem. Nie towarzyszy mu (w większości) ani rzetelność w przeprowadzaniu analiz, ani bezstronność wniosków. Odwrotnie: towarzyszy jej ta sama skłonność do czarno-białych schematów, które zaobserwować można niestety także w ustosunkowywaniu się do terażniejszości. Jakoś nikt nie biada, że jest to jeden z najgroźniejszych spadków po komunizmie.

Intelektualiści polscy siedzą dziś na ogół cicho, jeśli nie liczyć tych, co z wystąpień publicznych uczynili już swą główną specjalność. Pozostali uwierzyli zapewne, że stanowią grupę dziś bez znaczenia, której cechy szczególne i zadania trudno nawet określić. Intelektualista zdaje się pojęciem mętnym i kojarzącym się — o czym już pisałam — jak najgorzej. Wbrew respondentom »Arki« jednak to nie intelektualista jest wymysłem PRL-u, chociaż peerelowska władza starała się pojęcie to dowolnie wykorzystać. To, jak wiadomo, udało się jej z nieoczekiwanym skutkiem (jest wszak bardzo znamienne, że mówiąc o intelektualistach zachodnich wciąż się wymienia, tym razem z przekazem, te głównie — jeśli nie jedynie — nazwiska, którym reklamę robili komuniści). Ale tak naprawdę zasadniczych manipulacji dokonano w PRL-u z pojęciem „inteligencja”. Rozpoczęto już bardzo wcześnie, bo tuż po wojnie, dyskusją o inteligentkich rodowodach. Podzielono inteligencję na tak zwaną pracującą,

---

<sup>5</sup> Sesja zorganizowana w Poznaniu przez Instytut Historii Nauki i Techniki oraz Uniwersytet Poznański pt. „*Nauka i kultura polska w podziemiu. Okres od Solidarności do końca stanu wojennego*”, 29-30 VI 1992.

z awansu, twórczą, techniczną, na pracowników umysłowych (termin zresztą z dwudziestolecia) i co tam jeszcze. Stosując te podziały uczyniono z niej jednocześnie klasę, którą nie jest, bo jej różniących się i poziomem wykształcenia, i specyfiką wykonywanych zawodów, i ambicjami, i tradycją przedstawicieli nie łączyło prawie nic. Uczyniono z niej klasę, którą przeciwstawiano innym klasom, bardziej, jak mówiono, słusznym. Przeciwstawiano zresztą nie tylko z pozycji tak zwanej ludowej władzy. Sami inteligenci obnosili wszak — na różnych etapach na różne sposoby — swoje prawdziwe czy urojone kompleksy; nie tylko w okresie tak zwanych obrachunków inteligentkich i dyktatury proletariatu, ale też znacznie później, choćby po sierpniowym, wspólnym przecież zwycięstwie. Jej „gorszość” wytykali w jakimś sensie inteligencji również publicyści emigracyjni, piszący, że to właśnie inteligencja jako całość okazała się najbardziej podatna na doktrynę komunistyczną i konformizm, co — jak można na licznych przykładach udowodnić — niewiele ma wspólnego z prawdą. Bo właśnie inteligencja (i intelektualiści) stanowiła procentowo największą grupę sprzeciwu a na „dobrodziejstwach” realnego socjalizmu zyskała o wiele mniej niż inne klasy.

Dziś próbuje się, jako przeciwwagę jej peerelowskiej demoralizacji przywołać — także w wypowiedziach w »Arce« — przedwojenne rozumienie pojęcia inteligencja. Ale i to przecież skazane jest na zagładę. Żaden z przywoływanych wyróżników (wykształcenie, zarabianie na życie dzięki temu wykształceniu, tak zwany inteligentki etos) nie jest już przecież jasnym kryterium. Dwa pierwsze tracą na znaczeniu, a w każdym razie przestają być ostre (czy jest na przykład inteligentem absolwent filozofii sprzedający jarzyny lub odwrotnie — wydawca bez żadnych studiów, lecz z „drugoobiegową” praktyką?), zaś formuła „inteligentki etos” choć brzmi szczytnie, nie oznacza już praktycznie nic.

Nie wydaje się jednak, aby było to tożsame z wyrokiem śmierci na intelektualistów. Przeciwnie. To prawda, że pojęcie to jest mętne i nieprecyzyjne; Jan Szczepański w zamieszczonym w *Encyklopedii kultury XX wieku*, pisanym niedawno haśle podaje kilkanaście jego definicji, własnych i pożyczonych. Z każdej z nich można coś przyjąć, każdą można uzupełnić, dodając także coś od siebie. Jeśli jednak przyjąć (nieprecyzyjnie, ale chyba w zgodzie z dość potocznym odczuciem), że intelektualistą jest człowiek w swej specjalności wybitny, najczęściej zresztą humanista, zabierający głos nie notorycznie, lecz w razie rzeczywistej potrzeby

w sprawach publicznych, i to w sposób nie-zacietrzewiony, nie-malostkowy, nie-partykularny i nie-koniunkturalny — to nie wydaje się, by z pojęcia tego należało rezygnować. Nie wydaje się też, by nie można było wtedy odzyskać autorytetów.

Bardzo dziś chętnie mówi się o ich upadku. Zapewne okoliczności nie są dla ich rodzenia się sprzyjające. Ale autorytety upadają — także teraz — przede wszystkim wskutek tego, iż do ich kryzysu doprowadzają przede wszystkim ci, którzy skądinąd tyle mówią o ich potrzebie.

Jest oczywistym, że autorytetu nie zdobywa się mechanicznie ani też na drodze jakiegoś zaprogramowania. Jeśli intelektualści polscy chcą (a jest przecież taka potrzeba) odegrać jakąś pozytywną rolę w kraju, który choć „wolny” przedstawia obraz pod wieloma względami dość ponury, muszą jednak odwrócić głowy w kierunku teraźniejszości i przyszłości, a nie tylko przeszłości, napawającej ich tak wielkim niesmakiem. Powinni wyzbyć się przede wszystkim najgorszych manier polityków i, co więcej, zrealizować marzenia z czasów komuny, by od polityki uzyskać niezależność (co nie znaczy, by nie wypowiadać się niekiedy i w jej sprawach). Muszą wyzbyć się zarówno pychy, jak fałszywej skromności. Zrozumieć, że koniec ich romantycznej misji wymaga nie tylko pogodzenia się z tym faktem, ale i zastanowienia nad swą obecną sytuacją. Niekiedy można odnieść wrażenie, że czyni się w tym kierunku pierwsze kroki, ale rzeczywistych grzechów — tych, będących konsekwencją peerelowskiego czterdziestopięcioletnia, i tych przez nie niezawinionych — jest zbyt wiele. Należy do nich między innymi nietolerancja i coraz bardziej zanikająca, tak ceniona niegdyś przez Herberta „potęga smaku”. On sam — w moim mniemaniu — zdradził ją, podpisując lipcowy apel intelektualistów, którzy potępili tak zwanych agentów obalających rząd Olszewskiego, i zdradza ją nierzadko Adam Michnik, a także ci — co jak Trznadel w »Pulsie« — prowadzą z nim polemikę wedle najlepszych, komunistycznych reguł. Należy do nich stadność myślenia, która tak bardzo w roku 1956 irytowała Gombrowicza, i którą w swych opcjach „za i przeciw” ugruntowała opozycja stanu wojennego. Należy też nieumiejętność, czy brak odwagi, wypowiedania myśli, które uznane mogą być za niepopularne także przez własne koterie (bo koterie istnieją, wszystko jedno, polityczne, zawodowe czy towarzyskie). I tak dalej, i tak dalej.

W *Mysłach* Monteskiusza znajduje się jedna, będąca spreparowanym cytatem: „Prokrust: »Moja reforma trwa. Wszak wiecie, że kogokolwiek

dopadnę, kładę go, jak jest długi na moim łóżku. Zbyt krótkich rozciągam, zbyt długim obcinam nogi [...] A oni upierają się przy tym, aby zachować swoją miarę». Myśl jest tylko z pozoru nieaktualna. Wszak Prokrustów komunistycznych zastąpili inni, nie tak z pewnością groźni i bezwzględni, ale też nie całkiem nie-groźni i nie całkiem nie-bezwzględni. Wcale nie jest prawdą, iż tylko pod groźbą więzienia czy represji ludzie (także inteligenci i intelektualiści) skłonni są wyrzekać się „swojej miary”; czasem nawet wtedy są w stanie — jak część intelektualistów lat stalinowskich — ją zachować, czasem wyrzekają się jej pod lada pretekstem. Osiągają popularność, nie narażają się nikomu, lecz nie od tego przecież zaczynać należy budowę autorytetu. Być może zresztą zdobędą go dopiero ci, których spory o przeszłość, związane z nią uprzedzenia i animozje już nie dotyczą. I którzy zajmować się nimi po prostu nie chcą... przynajmniej w sposób, który im się poleca jako obowiązujący.

[1992]



## Skiwski zdrajca heroiczny?

Czterdziesty trzeci numer krakowskiego dwumiesięcznika »Arka« przyniósł m. in. spory szkic Macieja Urbanowskiego *Bohaterowie i zdrajca: sprawa Jana Emila Skiwskiego*. Wedle dość powszechnej — nie do końca sprawiedliwej — opinii jest to tekst rehabilitujący postać niezbyt już pamiętanego krytyka, publicyisty, pisarza i tłumacza (1899–1956), który w latach II wojny jawnie i w sposób niewątpliwy kolaborował z Niemcami. Apogeum tej współpracy przypadło na okres od kwietnia 1944 do stycznia 1945, kiedy to redagował Skiwski propagandowe pismo »Przełom« (ogłosił tu głośne teksty: przestrzegającą przed „czerwoną Moskwą” i nawołującą do współpracy z Niemcami *Cenę krwi* oraz potępiający powstanie warszawskie *Patos i głupstwo*), pisywał materiały dla Reichspropagandaamt oraz wysłał (30 IX 1944) na ręce szefa propagandy GG Buhlera pragmatycznie — utopijny materiał w sprawie współpracy Niemiec — po zwycięstwie — z pobitymi narodami „aryjskich braci”.

Ale nazwisko Skiwskiego już w roku 1941 znalazło się — obok Goetla — na opublikowanej przez AK-owski »Biuletyn Informacyjny« liście osób skazanych na infamię, której wkrótce towarzyszyć zaczął towarzyski bojkot, nasilony po publicznych wypowiedziach Skiwskiego aprobujących m. in. likwidację warszawskiego getta. Zresztą od początku wojny (choć nikt jeszcze nie sądził, że losy Skiwskiego potoczą się tak jednoznacznie) „tłumaczył on — jak wspomina Stefan Kisielewski — najpierw, póki się jeszcze krępował, z aluzjami i niedomówieniami, później wprost, że Polska, jeśli nie chce się znaleźć w skazanym na zagładę »gasnącym świecie« musi przyłączyć się do jedności europejskiej pod kierunkiem Niemiec. [...] Rzecz charakterystyczna, w rozważaniach swych zastanawiał się tylko nad sprawą: kto wygra?, nigdy zaś: kto ma rację?” (*Wspomnienia i inwektywy w: Polityka i sztuka*, Warszawa 1949).

W roku 1945 Skiwski wraz z wycofującą się armią hitlerowską opuścił Polskę. W tym samym roku został potępiony przez komisję weryfikacyjną Związku Zawodowego Literatów Polskich. Nikt nie miał wątpliwości co

do słuszności owego potępienia; Maria Dąbrowska notowała w *Dzienniku* po przesłuchaniu w tej sprawie: „Oddzielałam sprawę Goetla od sprawy Skiwskiego. W sprawie Goetla wyrażam moje przekonanie, że nie współpracował z propagandą niemiecką, w sprawie Skiwskiego ogólnie znany jest fakt, że współpracował”. Podobnie uznano za sprawiedliwy (choć nie były to czasy służące sprawiedliwości) wyrok sądowy z czerwca 1949 roku, skazujący zaocznie Skiwskiego na dożywocie i utratę obywatelstwa polskiego (Skiwski mieszkał już wtedy w Wenezueli pod przybranym nazwiskiem). Nad Skiwskim zapadło milczenie, choć nie jest prawdą, że nazwisko jego jako krytyka utonęło w całkowitej oficjalnej niepamięci. Prawdą jest natomiast, że nie wznowiono żadnej z jego książek. Ani pisanej z pragmatycznych pozycji myśli endeckiej (w 1926 współpracował Skiwski z »Myślą Narodową«), niechętniej cierpiętnictwu i romantycznemu społecznikostwu, a atakującej Żeromskiego *Poza wieszczbiarstwem i pedanterią* (1929), ani *Na przelaj* (1935), tomu będącego zbiorem szkiców z »Wiadomości Literackich« i »Pionu«, wymierzonych w szeroko pojęte „życie ułatwione” (nie chodziło tu tylko, jak się sugeruje, o Boya czy Słonimskiego, ale i o wszelkie — także religijne, kulturalne, intelektualne płycizny), uznanego w »Roczniku Literackim« 1935 za „najciekawszą książkę roku w swoim dziale”. O książce tej Tadeusz Makowiecki pisał, iż w przeciwieństwie do reszty (a konkurentami byli m. in. Zygmunt Nowakowski, Boy, Słonimski, Winawer), przypominającej „pochody manifestacyjne, przechodzące czwórkami przez ulice, by wnieść parę mocnych okrzyków i powrócić do domu”, ta „prowadzi kampanię, osacza, przypiera do muru”.

Nie wznawiano więc ani jego książek, ani poszczególnych recenzji, co nie było zresztą oznaką wyjątkowej wobec Skiwskiego zawziętości, w latach 1945–1990 odłożono wszak na półki ogromną ilość dzieł nie tylko prawicowych, ale i lewicowych krytyków.

Kto jednak chciał, mógł korzystać z hasła w *Słowniku Polskich Pisarzy Współczesnych* (Warszawa 1964), odnotowującego skrupulatnie zarówno to, co przed wojną napisał Skiwski, jak też to, co o nim napisano; jak wiadomo w owym (cenzurowanym) *Słowniku* nie mogła się znaleźć niemała ilość bardziej znaczących nazwisk. Nazwisko Skiwskiego — krytyka, a nie tylko (jak pisze Urbanowski) kolaboranta — pojawia się ostatnio w różnych opracowaniach syntetycznych, a w (selektywnej z konieczności) *Literaturze dwudziestolecia* Jerzego Kwiatkowskiego (Warszawa

1990) poświęcono mu stosunkowo dużo miejsca i to z troską o obiektywizm.

Nie znaczy to, że Skiowskiemu — literatowi nie należy się więcej uwagi. Impulsywny, a wówczas całkowicie zrozumiały, sąd Kisielewskiego, iż Skiwski wykreślił się sam z grona polskich pisarzy, nie powinien mieć wciąż mocy obowiązującej, a w każdym razie nie może oznaczać wyroku skazującego dzieła tegoż na wieczną banicję. Skiwski nie był wprawdzie pierwszoplanową postacią przedwojennego życia literackiego, ale odgrywał w nim rolę dość znaczącą, był też z pewnością publicystą, mającym odwagę myślenia (i pisania) „pod prąd”. Na retoryczne (bo opinia autora w tej mierze jest oczywista) pytania kończące szkic Urbanowskiego: „Czy [...] potrafimy na chwilę zapomnieć o jego zdradzie i przypomnieć Skiwskiego — krytyka literackiego? Czy jest to możliwe? Czy warto [...]?” można — nawet nieco na wyrost — odpowiedzieć twierdząco. Rzecz jednak w tym, że upominający się o to tekst w »Arce« wcale do wysiłku takiego nie zachęca. O ile bowiem artykuł ten trudno traktować jako „rehabilitację kolaboranta” *sensu stricto*, to jednak jest w nim zbyt wiele miejsc dwuznacznych i argumentacji wątpliwej, aby można go było uznać za próbę naprawdę uczciwego uporania się z problemami, przed jakimi stanął autor. Zresztą i sam cel, jaki sobie wyznaczył, nie jest do końca jasny. Ma nim być — jak wolno sądzić — swego rodzaju „oczyszczenie pola” do rozmowy o Skiwskim-krytyku i publicyście. Ale o tym dowiadujemy się ze szkicu niewiele. To bowiem, co z twórczości jego zostaje przypomniane, służyć ma przede wszystkim uwiarygodnieniu tezy, iż Skiwski „zdrajca” nie jest postacią aż tak paszkodną, jak się sądzi. W o wiele mniejszym stopniu idzie natomiast o udowodnienie, że Skiwskim jako literatem zajmować się — mimo wszystko — należy. Cóż bowiem z tego, że Urbanowski, apelując o oddzielenie fragmentu biografii Skiwskiego od jego działalności pisarskiej, przywołuje w sukurs nazwiska Céline’a, Hamsuna czy Pounda (a można do nich dorzucić wiele innych — naukowców, myślicieli, pisarzy i artystów — o życiorysach z różnych względów wstydliwych), kiedy nie stara się nawet przekonać, że umieszczenie Skiwskiego-twórcy w ich sąsiedztwie jest, nawet przy zachowaniu właściwych proporcji, w ogóle zasadne. Przywracanie Skiwskiego polskiej myśli krytycznej należałoby wszak zacząć od jej bezpośredniego zareklamowania. Nie wystarczy parę czy paręnaście zdań typu: „A przecież był to pisarz ceniony [...], uczestniczył

w wielu ciekawych dyskusjach literackich Dwudziestolecia, był partnerem polemik Boya, Irzykowskiego czy Czernika, cenili jego szkice Fryde, Maśliński i Kuryluk.” Miast owego powoływania się na osoby trzecie, lepiej byłoby może przywołać jeden czy dwa teksty Skiwskiego i opatrzyć je rzeczowym — dotyczącym i osoby, i pisarstwa — komentarzem. Nic nie wydaje się stać temu na przeszkodzie, tak jak nikt nie może dziś wzbronić wydania choćby *Na przelaj*, jakkolwiek wolno sądzić, że książka ta znalazłaby się pewnie na cenzorskiej liście poznańskiego ZCHN-u.

Szkic Urbanowskiego jednak, wbrew swym intencjom, do zajęcia się Skiwskim-publicystą specjalnie — jak się rzekło — nie zachęca. Odwrotnie, wzmaga opór i irytację. Z pozoru jest to szkic uczciwy i niestronniczy, nie zataja się tu wszak żadnych drastycznych a niesławnych poczynań bohatera, nie ukrywa się potępiających sądów o jego działalności, jakie zgodnie formułowali ludzie różnych światopoglądów i orientacji, zarówno w kraju jak na obczyźnie, nie przekonuje się ani o tym (nie byłoby to zresztą możliwe), iż taktyka przyjęta przez Skiwskiego była słuszna, ani że jego poglądy dają się obronić. Pada tu wielokrotnie słowo „zdrada”, chociaż ironia tytułu znacznie sens tego pojęcia osłabia, a kwestionują go dodatkowo rzucone mimochodem zdania: „W naszej narodowej tradycji [...] zdrajcy nie przysługuje współczucie i zrozumienie. Główne role w naszych narodowych dramatach odgrywają jasne postaci Bohaterów, a ciemny, przyczajony gdzieś z boku Zdrajca nie budzi nigdy sympatii [...]. Zdrajca tylko rozjaśni blask bijący od Bohaterów i pozwoli zabłysnąć naszej cnocie pełnią chwały”.

Sarkazm niby nie bezpodstawny. Jednak już w tym zakwestionowaniu czy delikatnym wykpieniu owej opozycji — będącej wprawdzie źródłem wielu polskich mitów, lecz w latach okupacji zasadnej i podstawowej — zawarta jest pewna manipulacja, która cechuje cały artykuł tak z pozoru bezstronny. Manipulacja dotycząca i niektórych faktów, i — co wyraźniejsze i dotkliwsze — ich interpretacji, istotne bowiem stają się (wbrew autorskim sugestiom) nie takie czy inne postęпки i wybory Skiwskiego, lecz to, co te postęпки i wybory (oczywiście także w ocenie Urbanowskiego naganne) w jakimś stopniu usprawiedliwia. A usprawiedliwić mogą je po pierwsze: bezinteresowność („dla świadka wydarzeń dowodem swojej bezinteresowności autora *Czadu* była jego nędza, tak w roku 1941, jak w 1944”); po wtóre: typowa dla prawdziwych „klerków” wierność własnym wcześniejszym przekonaniom; po trzecie wreszcie: sytuacja

zewnątrzną, która przekonaniom tym nie tylko nie zaprzecza, ale w nich utwierdza.

W dyskusję o tym, czy Skiwski działał w czasie wojny bezinteresownie czy też nie, wdawać się nie warto; można jedynie mieć do Urbanowskiego pretensje, iż nad opiniami odmiennymi przechodzi zbyt łatwo do porządku (czemu na przykład powtarza, że o bezinteresowności tej świadczy m. in. fakt, iż Skiwski nawiązał współpracę z okupantem wówczas, gdy nadzieje na zwycięstwo Niemców były już niewielkie, skoro sam pisze w innym miejscu, iż Skiwski w zwycięstwo to wierzył do ostatka, co potwierdzają sądy współczesnych? Czemu odrzuca najpierw jako zbyt hipotetyczną i mało konkretną sugestię żony pisarza, która — jak zeznał Kazimierz Wyka — twierdziła, że jego okupacyjnym życiem kierowała przede wszystkim nieodparta pasja pisania i drukowania o wymiarach wręcz chorobliwych?). Nie warto wdawać się w te rozważania z powodu braku konkretnych argumentów. Dywagacje na temat szlachetności bądź nie czyichś intencji mogą być interesujące i owocne tylko wówczas, gdy ich tematem są rozważania nad naturą ludzką, nie zaś ocena postępów nie bez powodu uznanych za haniebne. W tym ostatnim przypadku powoływanie się na czyjąś „bezinteresowność” stwarzać może co najwyżej wrażenie, iż wyznaje się pogląd, że kiedy zło wyrządza nie karierowicz, konformista czy sadysta, lecz „ideolog”, należy przy ocenie tego zła stosować swoistą „taryfę ulgową”. Tym bardziej, gdy to, co zda się złem dla innych, nie wydaje się złem, lecz dobrem w oczach tego, co do niego przykładą ręki. A tak właśnie przedstawiony jest tu Skiwski; wedle opinii większości „zdrajca” wprawdzie — ale w swej „zdradzie” „klerk heroiczny”.

Do motywu „klerka” powraca Urbanowski wielokrotnie. „Klerk — jak swą postawę określał Skiwski — winien zazdrośnie strzec swego prawa do niezależności intelektualnej, prawa do głoszenia poglądów wbrew opinii większości, zwłaszcza zaś elit. Klerk jest *outsiderem* w świecie elit. Jego znakiem jest herezja” (s. 138). „Ten swoiście pojmowany patriotyzm, ta wierność wobec własnej herezji czyniły Skiwskiego w oczach środowiska literackiego, a potem już całego społeczeństwa, osobą podejrzaną, napiętnowaną najpierw niesławą kolaboracji, a potem otwartej zdrady” (s. 146). „Ale czy zbrodnia Skiwskiego nie była przede wszystkim zbrodnią heretyckiego i osobnego myślenia?” (s. 149) itd., itd.

Z pozoru zgadza się wszystko. Współpraca Skiwskiego z Niemcami nie stała w sprzeczności z jego wcześniejszymi fascynacjami ideologicznymi. Odwrotnie. Jeśli nawet początkowo zmieniał w jakimś stopniu światopoglądowe opcje, a przynajmniej publicystyczną przynależność (od »Myśli Narodowej« do »Wiadomości Literackich« i »Pionu«), to co najmniej od połowy lat trzydziestych krystalizowała się, z jednej strony, jego niechęć do Sowietów (a szerzej i Rosji; już w 1933 roku pisał przy okazji rozważań o Dostojewskim: „Gdyby świat wyglądał tak jak Rosja opisywana przez Rosjan, lepiej byłoby umrzeć”), z drugiej — fascynacja faszyzmem, najpierw w jego włoskim, potem niemieckim, a także — w pożądanym — polskim wydaniu. Faszyzm zachodni był wszak dla niego ucieleśnieniem niezbędnego ładu i porządku, zupełnie inaczej niż komunizm radziecki — symbol przemocy i rozkładu. Ten ostatni był mu wstrętny nie tylko ze względów ideologicznej, ale i estetycznej natury. Na marginesie uwag o *Problème du communisme* Bierdiajewa pisał Skiwski, trafnie zresztą, o „wyjątkowej brzydocie komunizmu. Zazwyczaj mówi się o jego okrucieństwie. Ale kto wie, czy nie gorszą, bo trwalszą i nieuleczalną, jego cechą jest brzydota [...], obcość wszystkiemu, co jest pięknem, lekkością, wdziękiem” związana z komunizmem „tak samo ściśle jak liturgia katolicka z religią katolicką” (w: *Na przełaj*).

Od 1937 roku — kiedy to zresztą wyrażał pełne poparcie dla OZON-u i jego przywódcy Adama Koca — narasta jego antysemityzm (choć, jak zapewnia Urbanowski, „Skiwski nie zaskakiwał jakimś szczególnym na ówczesnym tle »żydożerstwem«”); w roku 1939 bierze udział w kampanii przeciw »Wiadomościom Literackim«.

Tak więc wolno istotnie powiedzieć, że lata wojny — choć burzyły nadzieje Skiwskiego na zbudowanie totalizmu rodzimego — nie stawiły go przed koniecznością rewidowania czy wyrzekania się swych poglądów, do czego musiałoby dojść, gdyby znalazł się on we wrześniu 1939 na przykład na terenie Lwowa. Wolno nawet powiedzieć, że nie rewidując — w przeciwieństwie do wielu onegdajszych nacjonalistów i nieco abstrakcyjnych zwolenników faszyzmu — swych „przedwojennych ideałów”, jak to określa Urbanowski, zrealizował w stopniu wydawałoby się wręcz doskonałym owe cele, które w roku 1927 stawiał przed „klerkami” Benda. Za jedyne prawo uznał wszak swoje przemyślenia. Między nim a jego prawdą nie stanęły „żadne względy utylitarne, uczuciowe czy instynktowne”; dwa ostatnie w każdym razie na pewno.

Tyle tylko, że tak pojęta zasada „wierności sobie” (której realizacją sam Benda zapewne by się nie zachwycił) czyni z owej „wierności” nabyt już abstrakcyjną wartość. Kiedy bowiem przywołuje się ją nie dla przypomnienia o obowiązku „osobnego”, gdy trzeba, myślenia bez względu na osobiste koszty, ale dla usprawiedliwienia całkowitej obojętności na ludobójstwo, przemoc, niesprawiedliwość etc. — budzić musi nie podziw, lecz odrazę.

A cały szkic Urbanowskiego (powołującego się wciąż na „realizm” Skiwskiego, czyli skłonność do myślenia wynikłego z analizy konkretnej rzeczywistości) w ogromnym stopniu od grozy rzeczywistości okupacyjnej abstrahuje. „Zdrada” Skiwskiego opisywana jest tak, jakby stanął on po stronie — niemiłego wprawdzie innym, lecz bliskiego sobie ideowo — „okupanta” w sytuacji względnie normalnej, bez obozów zagłady, ulicznych egzekucji, bestialstw Gestapo.

W uwolnionej od owych drastyczności hitlerowskiej okupacji łatwo jest oczywiście przywołać jako argument rozstrzygający — Katyń. Pisze Urbanowski: „Dziesiątego kwietnia 1943 roku pisarz znalazł się bowiem na pokładzie samolotu, którym leciała do Smoleńska pierwsza polska ekipa [...] Po wizycie w Katyniu [...] wbrew wyraźnym zakazom podziemia zgodził się udzielić krótkiej wypowiedzi gadzinowemu »Nowemu Kurierowi Warszawskiemu«. Wyznał: »Byłem przygotowany na najgorsze [...] ale to, co widziałem, to straszliwe oskarżenie bolszewizmu, przekraczające swą grozą najśmielszą fantazję«. Katyń jest zapewne jednym z bodźców pchających Skiwskiego do inicjatywy, która jednoznacznie pogrąży go w oczach opinii publicznej”.

O niemoralności przeciwstawiania „mniejszego zła” w postaci zbrodni hitlerowskich „większemu”, czyli sowieckiemu złu, napisano już wystarczająco dużo (i bez skutku), aby do owej oczywistości powracać. Przypadek Skiwskiego nie był zresztą ani przypadkiem Józefa Mackiewicza, ani Ferdynanda Goetla; jego współpraca z Niemcami w latach 1944–1945 nie była już tylko elementem propagandy antybolszewickiej, lecz czynnym włączeniem się w propagandę prohitlerowską<sup>1</sup>. Być może istotnie wierzył

---

<sup>1</sup> Józef Mackiewicz uważał zresztą, że te dwa rodzaje zaangażowania są ze sobą sprzeczne, zwracając uwagę nie tyle na nieetyczność działań typu Skiwskiego, co na ich wątpliwy skutek: „Wszystko, co piszą Niemcy lub pozwalają pisać pod swą cenzurą, jest przez 99% Kraju czytane na opak, przeto uprawiając propagandę antysowiecką sprowadzają ją do

— o czym pisał we wspomnianym już memoriale do Buhlera — że po skończeniu wojny zwycięskie Niemcy z „narodu panów” przekształcą się w „naród wodzowski”, chcący harmonijnie współpracować z narodami „młodszyimi cywilizacyjnie”, z tymi rzecz jasna, które godne są współpracy, i oczywiście — aryjskimi. Być może sądził, że dla takiego rozwiązania nie ma alternatywy innej niż doprowadzająca do zagłady Europy ewentualna wygrana Związku Radzieckiego i że świadomość owego braku alternatywy sprawi, iż uda się zapomnieć o wojennych okropnościach oraz spać spokojnie z powodu wydarzeń tak błahych, a może i koniecznych, jak eksterminacja Żydów. Być może w końcu ta jego wiara i wynikające z niej życiowe decyzje nie miały żadnego praktycznego znaczenia ani dla losów poszczególnych osób (co wszak niepewne), ani też świata. Przecież, jak pisze Urbanowski, „jego koncepcje nie zyskały żadnego odzewu w społeczeństwie i były całkowitym fiaskiem politycznym. W istocie Skiwski nikomu nie zaszkodził”. A skoro tak, nie ma znów o co tak bardzo kruszyć kopii.

Ale jeśli nawet wszystkie te „być może” są prawdą, to przecież niepodobna przejść do porządku nad sposobem rozumowania, które dopuszcza do ważenia na szalach dwu zbrodni po to, aby jedną usprawiedliwić przy pomocy drugiej. Albo zbrodniczość drugiej w ogóle przemilczeć.

Maciej Urbanowski swego bohatera nie rozgrzesza wprost argumentem „katyńskim”. Pisze: „Tak w świetle okupacyjnego wymiaru sprawiedliwości, jak i zwłaszcza polskiego kodeksu etycznego, postępowanie pisarza było szczególnie ciężkim wykroczeniem”. Wolno mniemać, że zgodził się z tym, iż nie tylko o wojenny i polski kodeks tu chodzi.

Autor *Bohaterów i zdrajcy* nie może jednak nie zdawać sobie sprawy, że dla sporej części czytelników (zwłaszcza tych, co okupacji hitlerowskiej nie doświadczyli na własnej skórze) tłumaczenie „sprawy Skiwskiego” „sprawą katyńską” czy szerzej „sowiecką” wydawać się może właśnie argumentem uniewinniającym. Albowiem „antykomunizm” i „antybolszewizm” stały się wszechsprawiedliwiającymi kategoriami moralnymi i politycznymi, a przymiotnik „antykomunistyczny” nobilitować winien wszystko. Tak jakby słuszne potępienie „najlepszego z ustrojów” wynikało nie z odrazy do zbrodni, niesprawiedliwości, obłądy, zniewolenia,



lecz ze szczególnej awersji do słowa, które samo w sobie nie oznacza jeszcze ani zbrodni, ani niesprawiedliwości, ani obłudy, ani zniewolenia. Albowiem, tak jak niegdyś dobra była tylko „demokracja socjalistyczna”, tak dziś naprawdę godne potępienia zda się tylko to, co „komunistyczne”<sup>2</sup>. Świadczą o tym wciąż nowe przykłady, by przywołać choćby — już nie rehabilitację — a wręcz apoteozę NSZ, organizacji, której dzieje trzeba po latach milczenia oczywiście „odkłamać”, ale niekoniecznie poprzez ryczałtowe wynoszenie na pomniki i przymykanie oczu na gwałty, których ponad wszelką wątpliwość dopuszczono się tu i to w sposób okrutny.

Artykuł o Skiwskim jest do tego wszystkiego zaledwie przyczynkiem. Trudno zresztą powiedzieć, czy tendencyjnym, czy tylko wynikiem z bardzo dziś rozpowszechnionej mody na całkowity ahistoryzm myślenia<sup>3</sup>. Poglądy autora nie zostały wyłożone nigdzie wprost, trudno więc o polemikę z nimi. Idzie tu raczej o pewne, dość niestety jednoznaczne, sugestie. Zdają się one tym bardziej wątpliwe, że dwumiesięcznik »Arka« nie zwykł zaglądać do dusz i badać czystości intencji swych antybohaterów — a już zwłaszcza okazywać im „litości i współczucia” — nawet jeżeli należą do nich pisarze o biografii mniej od Skiwskiego wstydlivej. Trudno nawet wyobrazić sobie, co pomyślano by tu o próbie naszkicowania „obiektywnego” portretu, na przykład, polskiego komunisty (a choćby i lewicowca), który wierzył bezinteresownie — z wiernością klerka —

---

<sup>2</sup> Ów „antykommunizm”, polegający na dostrzeganiu prawdziwych zbrodni tylko w zbrodniach komunizmu, idzie w parze z drugą, równie paranoiczną „antykommunistyczną” tendencją, polegającą — paradoksalnie — na mimowolnym „pacyfikowaniu” i pomniejszaniu grozy tych zbrodni. Jak bowiem nazwać uporczywą skłonność do porównywania dzisiejszego ustroju z ustrojem peerelowskim i to w jego najgorszej fazie, działań rzeczownika praw obywatelskich do działań stalinowskich, nazywanie obecnych „prześladowań” Kościoła gorszymi od komunistycznych itd., itd.?

<sup>3</sup> A o tym „ahistoryzmie” przesądza w tym przypadku nie tylko abstrahowanie od grozy okupacyjnej rzeczywistości, lecz i sprawy znamienne, choć mniejszej wagi. Jak choćby przywoływanie poglądów formułowanych przez Skiwskiego na początku lat trzydziestych dla określenia sytuacji wojennej, czy interpretacja jego zastrzeżeń wobec powstania warszawskiego, tak jakby refleksje te spisywane były nie w dniach agonii powstania i to w dodatku w piśmie finansowanym przez Niemców. Owo „nie wypada”, które zabraniało wtedy mówić o bezsensownej ofierze i „setkach Polaków ginących na ulicach” — nie wynikało przecież wówczas ani z towarzyskiego konwenansu, ani tym bardziej z chęci „zrobienia przyjemności paru kalkulatorom politycznym z Londynu i zgrai moskiewskich lobuzów”, jak pisał w *Przełomie* Skiwski.

wiedząc w dodatku o okropnościach koncentracyjnych obozów — że komunizm jest „mniejszym złem” niż hitleryzm, a w dodatku dawał wyraz tej wierze w finansowanym przez Rosjan piśmie, potępiającym w ramach rozsądku i w imię „narodowego ocalenia” powstanie warszawskie w sam przeddzień jego upadku.

Może jest zresztą w tym wszystkim zrozumiała psychologicznie odwet na ideologii, która ciążyła na powojennych losach Polski najbardziej niepodzielnie i najdłużej. Nie jest to wszakże usprawiedliwienie wystarczające, przynajmniej dla tych, co mają ambicję kształtowania opinii publicznej. Zwłaszcza, gdy sami czują w sobie powołanie „klerków heroicznych”. A na brak tychże uskarżać się dziś nie można.

[1993]

# Wirus socrealizmu

— Przyzna pan jednak, że większość owych straszliwych nadużyć została w Anglii zwalczona, a inne narody robią obecnie wiele, aby im zapobiec.

— Przyznaję. Czemu jednak ludzie są tylko trochę lepsi i trochę szczęśliwsi, aniżeli za czasów Aleksandra VI, nocy świętego Bartłomieja, Cromwella?

Wolter

Kiedy profesor Gil — jedyny spośród bohaterów Miłoszowskiego *Zdobycia władzy* — myśli o „dziewczątce” w czerwonym krawacie, córce dozorczy, największą przykrość sprawia mu pewność, iż „nie zrozumiałaby go, gdyby jej mówił, że nowy świat, w który wierzyła, jest dlatego światem okrutnym, iż brak mu szacunku wobec złożoności człowieka, szacunku, który być może winien nazywać się pobożność”.

Dziewczątka i chłopców w ZMP-owskich mundurkach już od dawna oglądać można tylko na plakatach sprzed lat przeszło czterdziestu. Skompromitowane zostały proste i straszne prawdy „nowej wiary”. Wielu z tych, którzy je głosili, przekonało się dotkliwie na własnej skórze, jak niebezpieczna jest pewność, że racja stoi tylko po jednej stronie, a ludzi wolno oblepiać etykietkami niczym słoiki w spiżarni. Upadło imperium stojące na straży tego, co wyłącznie słuszne. Zdawać by się mogło — i tak przecież sporej liczbie naiwnych do niedawna się zdawało — że zatriumfuje wreszcie szybko oraz mądrze tolerancja i pluralizm, a odzyskana z trudem „wolność słowa” pomagać będzie nie w łatwym nazywaniu świata, lecz w jego zrozumieniu. Że wreszcie świat ten ujrzyć będzie można z perspektywy szerszej i bardziej złożonej niż „pro” i „antykommunistyczne” getta, w których rozmawia się tylko z tymi, co myślą dokładnie tak jak my.

No cóż. Idealizacja rzeczywistości, o którą się walczy lub o której się marzy, jest rzeczą naturalną. Równie naturalnym jest rozczarowanie na-

stępujące po jej zwycięstwie. Przypadek tak zwanego „postkomunizmu” nie jest w tym względzie żadnym historycznym ewenementem. Na zjawiska, które wydają się szczególnie drastycznym zaprzeczeniem onegdajszych wyobrażeń, trzeba więc z pewnością patrzeć z dystansem. Część zjawisk ulegnie być może jeszcze bardziej złowrogiej eskalacji, ale o większości będzie można w ogóle zapomnieć. A jednak obserwując niektóre objawy tak zwanego życia umysłowego w Polsce nie sposób oprzeć się zdumieniu i irytacji, które odczuwamy wobec wystąpień i działań wielkiej liczby tak zwanych polityków.

Nie bez powodu zresztą. Zbieżność między myśleniem określanym u nas mianem „politycznego” (choć w istocie jest wzorcowo niepolityczne) a sądami formułowanymi niekiedy przez profesorów-humanistów, znanych eseistów, krytyków i historyków literatury jest chwilami przerażająca. I nie idzie tu nawet o zbieżność myślenia, lecz sposób jego wyrażania. O ów dość niestety częsty ton arogancji, apodyktyczności, megalomanii, która uprawnia do opatrywania przeciwnika etykietami wskazującymi na jego absolutną intelektualną i moralną niższość. O skłonność do wsłuchiwania się jedynie w głos własny. A także o — rzadką jeszcze, lecz widoczną — manipulację faktami oraz cudzymi poglądami, przywołującą chwilami pamięć o najgorszych latach peerelu.

Objawia się bowiem u niektórych publicystów coś, co nazwać można w pewnym uproszczeniu syndromem socrealistycznym. Socrealistycznym a nie stalinowskim — co podkreślam, aby nie być oskarżoną o to, iż dzisiejszą rzeczywistość przyrównuję do epoki łagrów, tortur, bezprawnych wyroków śmierci. Idzie po prostu o pewien generalny myślowy stereotyp, który towarzyszył krytyce i publicystyce, uznanym słusznie za patologiczne. Potępienie patologii w odniesieniu do przeszłości niekoniecznie (jak się okazuje) chroni przed — mniej z pewnością groźną, ale nie nieszkodliwą — mutacją tej choroby.

Jej objawy są powszechnie znane. A więc podział świata wedle dwóch tylko kolorów, formułowanie wniosków nie w oparciu o stan rzeczywisty, lecz założoną przez się tezę, wspierania ich wyrwanymi z kontekstu lub wymyślonymi zgoła „cytatami”, łatwość uogólniania, wreszcie insynuacja. Cały ten arsenał — będący skądinąd w stałym użyciu u polityków — coraz częściej prezentowany bywa na łamach periodyków, określanych niegdyś mianem „literackich” albo „społeczno-kulturalnych”. Co gorsza, posługują się nim dość chętnie ludzie pióra toczący nie tak dawno

z podobnymi praktykami zaciętą walkę, a dziś przejmujący nawet wczorajszy język. Oto Jacek Trznadel pisze o Adamie Michniku jako o przedstawicielu tej części opozycji, „którą stanowią kolaboranci z ideologią komunistyczną” („na tym tle postawa jego jest typową postawą trockistowską”), „pragnącym przyznać komunizmowi »prometejski« charakter”) i „zaprzęgającym do swego działania grupę dziennikarzy, którzy poszli na dzieło prowokacji” (»Puls« nr 56). Oto Andrzej Nowak, redaktor naczelny głównego krakowskiego literackiego periodyku »Arka«, pisze o »Gazecie Wyborczej« i »Tygodniku Powszechnym« jako o tych, co „przygotowali ostateczną sentencję moralną *Stanu Wojennego*: niechaj ofiary poproszą o wybaczenie swoich oprawców”<sup>1</sup> (nr 39–40). Oto redakcja tegoż pisma komentuje decyzję Leszka Kołakowskiego o wystąpieniu z Rady Patronackiej »Arki« (w związku z oświadczeniem redakcji w sprawie „agenturalnego zamachu” na rząd Olszewskiego) jako włączenie się „nie po raz pierwszy, do potężnego chóru, który dysponuje głównymi ośrodkami masowej komunikacji w Polsce”, usiłując w ten sposób „zmonopolizować racje moralne i intelektualne dla jednego, rządzącego dziś w Polsce obozu” (nr 41).

Egzemplifikacji nie warto mnożyć<sup>2</sup>, zapewne w ogóle należałoby je pominąć milczeniem — wszystkie mają wszak wyraźny podtekst polityczny. Ale rzecz dotyczy także literatury. Weryfikacje dokonywane na tym terenie — choćby w osławionych już podręcznikach szkolnych — pozwalają patrzeć z nadzieją w przyszłość, w której tak jak niegdyś wszystko zostanie pod względem moralnym, ideowym i artystycznym pokwalifikowane, a co więcej owo „wszystko” ograniczyć będzie można do nie nazbyt rozległego wyboru dzieł, które przejdą zwycięsko próbę właściwych wartości.

---

<sup>1</sup> Chodzi o książkę W. Jaruzelskiego, *Stan Wojenny. Dlaczego...*, BGW, Warszawa 1992.

<sup>2</sup> A mnożyć by je można dość długo. Sama też padłam ofiarą tego typu polemiki, gdy na przykład mój sąd (»Puls« nr 57, lipiec–sierpień 1992), iż Kongres Intelektualistów we Wrocławiu (w którym — co jest faktem — uczestniczyło sporo autentycznych, a nie mianowanych intelektualistów) nie jest jedynym symbolem zachowania tychże w PRL-u, bo była ogromna liczba intelektualistów, którzy na żaden kompromis nie szli, został zinterpretowany jako „obrona potiomkinowskiej wsi” i to obrona bez pamięci o „ofiarach, które z grobu wstać nie mogły” (E. Morawiec, »Arka« nr 42, 1992).

Dorobek krytyczny w tym zakresie jest już spory, choć nie każdy „weryfikujący” tekst odznacza się logiką i precyzją właściwą na przykład rozważaniom Wiesława Pawła Szymańskiego o Dąbrowskiej (*Maria Dąbrowska — uroki dworu*), snutym na łamach czterdziestego drugiego numeru »Arki«. Wszystko w tym szkicu układa się w przekonywającą moralnie konstrukcję, wykazującą dobitnie, jak jeden grzech pociąga za sobą grzech drugi i następne. A więc „nie uporządkowane życie erotyczne” rodzić musi miłość do totalitaryzmu (choć w tym jednym przypadku skutek można wziąć za przyczynę), skłonność do „europejskiego liberalizmu” owocuje brakiem busoli etycznej, narcyzmem oraz zajadłością („za maską libertynizmu w życiu osobistym kryje się niekiedy, jeśli nie zwykła ludzka głupota, to — o paradoksie — wykrzywiona nienawiścią twarz dogmatyka”). Przyjaźń z „Wielkim Mistrzem w wolnomularstwie” Stanisławem Stempowskim<sup>3</sup> powoduje skrajny antyklerykalizm, bowiem nawet „ludowa mądrość mówi, że antyklerykałami są przede wszystkim Żydzi i masoni” itd., itd.

Grzech jest przy tym zawsze grzechem niezależnie od tego, czy objawia się, czy też nie, poprzez działania. Bywa, iż w tym drugim przypadku jest grzechem szczególnie ciężkim. W tym sensie „nekrolog”, którym Dąbrowska oplakiwała w roku 1953 śmierć Stalina uznać można jedynie za drobną przewinę wobec machiavellicznego trzymania się na uboczu „dworu” w latach poprzednich. Bowiem owa (pozorna) niezależność była „tym niebezpieczniejsza i tym bardziej niemoralna”, iż w istocie oznaczała do „dworu” tego miłość „w jakimś sensie zdemaskowaną, dalece utajnioną”.

Tekst Szymańskiego mógłby więc być — w swojej klasie — tekstem wręcz instruktażowym nie tylko dla biografów i interpretatorów tekstów literackich i wspomnieniowych, ale i dla ideologów mających ambicje kreowania pełnej dogmatycznych podskórnych napięć wizji świata. Nie

---

<sup>3</sup> Stempowski (w którego bezwzględną prawosć nikt — o ile wiem — do tej pory nie wątpił) obrywa w tym tekście nie tylko jako mason. Szymański przyznaje wprawdzie, iż to on „hamował miłość” autorki *Nocy i dni* do „zaistniałego w Polsce komunistycznego systemu”, ale w chwilę potem dezawuuje tę opinię, stwierdzając, iż fakt, że Dąbrowska za życia Stempowskiego nie była „na dworze” wynikać mógł stąd po prostu, iż przestrzegające moralności socjalistycznej władze mogły ich tu nie tolerować ze względu na nielegalność ich związku.

przeszłego już tylko, lecz i współczesnego, „trochę tylko lepszego” i „trochę tylko szczęśliwszego” od tego, co odszedł w niebyt.

Bo choć światem tym nie rządzi już fizyczna przemoc i niemal każdy ma w nim prawo do publicznej samoobrony, to nadal władza nim obezwładniający psychiczny szantaż. I w tym punkcie szkic Szymańskiego spotyka się z innymi traktującymi obecną rzeczywistość jako teren podatny dla działań zorganizowanego i wpływowego wroga.

Kompleks wroga rodzą, z jednej strony, dawne przyzwyczajenia (choć tym, co mu ulegają, geneza taka wydaje się nieprawdopodobną i obraźliwą), z drugiej, frustracje bardzo świeżej daty. W demonstrowaniu owych kompleksów przoduje po zastąpieniu na stanowisku naczelnego Ryszarda Legutki przez Andrzeja Nowaka — »Arka«. Wróg ma swe zarazem mgliste i sugestywne imiona: „zainstalowana przy Okrągłym Stole lewica” (J. Bartyzel, nr 39–40), „warszawskie centrum »europejskich intelektualistów«” (W. P. Szymański, nr 42), „Latający Uniwersytet Wszechwiedzy”, którego członkami są „lewicowe elity” (E. Morawiec, tamże), kontynuatorzy „płytkości duchowej formacji Boya” oraz »Wiadomości Literackich«, wylęgarni późniejszych największych serwilistów (J. Prokop, tamże). Ów wielo-, a właściwie jednoimienny przeciwnik ma realną i niebezpieczną moc oddziaływania i niszczy wszelką wartość i myśl od siebie niezależną. Nie przez przypadek „warszawskie centra” (czemu tylko warszawskie?, wszak groźny »Tygodnik Powszechny« jest pismem równie krakowskim co »Arka«) nazywa się „mafią”. Istnienie mafii wywołuje zaś u tych, co do niej nie należą (a kto przynależy, decyduje redakcja) zrozumiałe uczucie osaczenia.

Kiedy więc Szymański, wspiera swój pogląd o źródłach antyklerykalizmu Dąbrowskiej „ludową mądrością” o Żydach i masonach zaraz dodaje: „Ci, którzy powołują się w tym wypadku na mądrość ludową, mają zagwarantowaną etykietę »antysemita« i »faszysta«”. Kiedy kręci nosem nad nazbyt rozwiązłym życiem swej bohaterki, ma świadomość podjętego ryzyka: „Gdybym powiedział, że współżycie z kochankiem (kochanką) [...] jest niemoralne, nieetyczne, zostałbym natychmiast przez europejskich intelektualistów w Polsce [...] na zawsze zamknięty w opłotkach [...] Ciemnogrodu. W najlepszym wypadku jakiś rzecznik Praw Obywatelskich (a co jeden to lepszy) wniósłby pozew o naruszenie prywatnej wolności”. Świadomość pełnego bohaterstwa mieli też »Arkowi« sygnatariusze listu protestującego przeciw odwołaniu rządu Olszewskiego; je-

szcze w najnowszym numerze tego pisma Elżbieta Morawiec nazywa jednego z nich, Zbigniewa Herberta, „samotnym obrońcą walczącym z mafią”, choć, jak doniosła z dumą wcześniej redakcja, podpisów pod oświadczeniem było kilkaset. Poczucie absolutnego wyobcowania i zepchnięcia na margines („dzikości” i „prostactwa”) mają uczestnicy dyskusji z czterdziestego drugiego numeru: *Czy można nie być nowoczesnym?*, czyli — między innymi — uznawać podział na dobro i zło nie podlegający żadnym relatywizacjom. Poczucie to jest u większości tak silne, że pozwala zlekceważyć rozsądne spojrzenie biorącego udział w rozmowie Ryszarda Legutki, iż „spór dotyczy kwestii fundamentalnych. Gdybym mógł doradzić coś panom, którym leży ten problem na sercu, to można coś zmienić [...] uderzając gdzie indziej. Nie w »Gazetę Wyborczą«, czy w konkretnych ludzi, czy partie (np. Unię Demokratyczną), ale tworząc kulturę, tworząc pewien system myśli”.

Fakt, iż owa mądra zasada — do której zresztą Legutko w swojej eseistyce na ogół się stosuje — zostaje zbagatelizowana, jest zrozumiała: łatwiej wyliczać rzekome ośrodki hamujące rozwój zdrowych idei, niż samemu owe idee przekonywająco i bez zaciętrzewienia sformułować i przedstawić. Nikomu z „osaczonych” nie przychodzi przy tym do głowy, iż terror (jeśli istnieje) jest co najmniej dwustronny. Przykro jest co prawda czuć się „prostakiem” i „dzikim”, ale równie nieprzyjemnie jest występować w roli interesownego — w imię interesu rządzących elit — pogromcy owych „prostych” i „dzikich” (czytaj „prawdziwych”) wartości, i to w dodatku pogromcą silnym jedynie zapleczem mafii, którą od czasu do czasu wolno nazwać po prostu — bardzo rzecz jasna, tolerancyjnie, pluralistycznie, po chrześcijańsku i narodowo — mafią agentów<sup>4</sup>.

---

<sup>4</sup> Cel działalności owych agentów czyli wszystkich, którzy mieli zastrzeżenia do sprawowania rządów przez Olszewskiego, a zwłaszcza przez jego ministrów (i chodzi tu nie tylko o sposób prowadzenia lustracji) określany jest jasno. Jest nim ochrona zbrodniarzy i likwidacja pamięci o ich ofiarach. O logikę (która winna wszak cechować redaktorów i autorów literacko-filozoficznego pisma) się tu nie dba. Sejm zatwierdzający ustawę lustracyjną składa się ze „swoich”, którzy natychmiast po głosowaniu nad odwołaniem rządu zamieniają się w plugawych „obcych”, znajdujących swych rzeczników w szantażystach typu Kołakowskiego i jemu podobnych. »Arka« musi więc stwierdzić z heroizmem i honorem: „nam temu szantażowi poddać się nie wolno” (nr 41, 1992). Na niesłusznie w całej tej akcji oskarżonych można w imię miłości bliźniego po prostu machnąć ręką.



Dość zabawny — choć może należałoby raczej użyć przymiotnika „tragikomiczny” — jest przy tym fakt, że większość tych, co lękają się jak diabła „europejskich liberalów”, kiedyś występowała w ich obronie. Dziś samo pojęcie „Europa” przeciwstawione jest przez wielu z nich pojęciu „Polska” z taką zawziętością, jaką okazywali w stosunku do „Zachodu” propagandziści obozu „ludowej demokracji”. Tyle że „europejski liberal” nie oznacza już imperialistycznego antykomunisty, a odwrotnie, kogoś bardzo bliskiego (choćby poprzez swój niewątpliwy brak zasad, relatywizm, „kosmopolityzm”) komunistycznej rodzinie. „Europejski liberal” jest wszak synonimem „lewicowca”, „lewicowiec” to w istocie „postkomunista”, „postkomunista” zaś — niezależnie od głoszonych poglądów, potwierdzonych nierzadko biografiami — to ktoś, kto zagraża, jak wiadomo, wszelkim uniwersalnym wartościom, nie tylko tym zawartym w dekalogu, ale i tym, które łączą się na przykład z poczuciem patriotyzmu. Choć przemalowany — „europejski liberal” tak jak w PRL wydaje się głównym zagrożeniem państwa.

Trudno oprzeć się wrażeniu (towarzyszącemu nie tylko lekturze trzech ostatnich numerów »Arki«, ale i na przykład, numeru pięćdziesiątego ósmego »Pulsu«,), że u źródeł owych obsesji oraz kategorycznych stwierdzeń tkwią nie tyle poważne przemyślenia i wyraźnie sformułowane światopoglądy, co ogromnie wyolbrzymione sentymenty i resentymenty, a także zdumiewająca u intelektualistów — by posłużyć się tym nienawistnym dzisiaj dla wielu słowem — niechęć do wyjścia poza własne myślowe podwórko. Niemożliwość zrozumienia, że wiara we własne wartości nie oznacza, iż wszystko, co poza ich obrębem, może być już tylko antywartością. A także, zrozumiały może u ludzi bardzo młodych, ale zawstydzający u dojrzałych, „brak szacunku wobec złożoności człowieka”, a także złożoności jego biografii, którą wyznacza wszak nie tylko jakiś bezwzględny kodeks moralny (choć i tak może się zdarzyć), ale i osobiste, i historyczne doświadczenia. Brak szacunku oraz brak ciekawości połączone z pogardą dla realiów — także tych peerelowskich, kiedy trochę co innego bywało odwagą i „podważaniem systemu” niż obecnie. Pozwala to formułować sądy i potępienia niezwykle sugestywne, lecz pozbawione istotnej wagi, demagogiczne. Rodzi się pięknie brzmiący maksymalizm etyczny — im dogmatyczniej przywoływany, tym bardziej jednak zawodny. Zamiast bowiem uwydatniać różnice między uczciwością i nieuczciwością, dobrem i złem, próbą — ułomną może — „wierno-

ści sobie” i konformizmem, różnice te zaciera. Jego efekt jest podobny do efektu Macierewiczowskiej lustracji.

Wszystkie te obsesje i rozrachunki są tym bardziej przygnębiające, że pozwalają przechodzić lekko i niezobowiązująco nad problemami naprawdę istotnymi. Jest niezwykle znamienne, że większość z nich tak chętnie odfajkowuje się przy pomocy sondaży, rankingów, ankiet, kierowanych w dodatku do przedstawicieli tych samych (nienajmłodszych już) pokoleń. Przybierająca na sile ankietomania sprzyja wszak umysłowemu lenistwu, powielaniu stereotypów, rzucaniu inwektyw nie popartych (bo po co) żadnym rzetelnym argumentem. W odpowiedzi na ankietę można, na przykład, umieścić Miłosza wśród producentów „odpustowych imitacji z plastiku” (H. Bereza; »Kultura« nr 7–8/1992), nazwać Wata „złomowiskiem, na którym walają się bryły szlachetnego kruszcu”, które nie mają zresztą żadnej wagi, skoro „w tej twórczości nie ma nic poza — niedokonaniami”, a Gałczyńskiego „starą kokotą tandetnie wysztafirowaną” (J. Sławiński, tamże) itd. Taka pryncypialność pozwala zachwycić się własną odwagą, stanowiącą przeciwwagę dla dawnej konwencji prawienia towarzysko-salonowych duserów. Większość ankiet ma zresztą charakter terapeutyczny, służy głównie poprawianiu dobrego samopoczucia. Pozwala odciąć się od brzydkich „niby intelektualistów” PRL-u (»Arka« nr 37–38) lub utwierdzić się, w łatwy sposób, we własnej racji w sporze z Jaruzelskim oraz Michnikiem (»Puls« nr 56). W owej psychoterapii nie biorą oczywiście udziału wszyscy respondenci, ale i tak wartość poznawcza ich wypowiedzi jest prawie żadna. I nie wynika to tylko z faktu, że głos w ankiecie za w s z e skazany jest z natury swojej na uproszczenia, bywały bowiem ankiety, z których wynikały wnioski sporej wagi. Było ich wiele w dwudziestoleciu, ale zdarzały się i w PRL-u, by przypomnieć ankietę ogłoszoną na początku 1955 roku w »Nowej Kulturze«, ankietę, która mimo nieefektownego pytania o najlepsze książki minionego dziesięciolecia stała się pierwszym zbiorowym „odwilżowym” głosem nie tylko w kwestii pisarstwa.

Wszystko to są zapewne sprawy marginalne. „Życie umysłowe” rozwija się w Polsce wprawdzie niemrawo, gdzieś na uboczu spraw, które zdają się (niekoniecznie słusznie) najważniejszymi, ale trudno powiedzieć, aby zamarło. Toczy się też innym w gruncie rzeczy torem i w innej poetyce niż ta, o której piszę. Nie brak przecież pism, pisarzy i publicystów (i to różnych orientacji artystycznych i politycznych) wolnych od

zacierzewień i frustracji. Co więcej — tak jak zdarzają się pośród nich tacy, którzy od czasu do czasu dają się ponieść jak najgorszym emocjom — tak samo wielu z tych, którzy zdają się w swej zaciekłości i obsesjach „nieprzemakalni” przemawia, i to nierzadko, w sposób „otwarty”, najdalej od dogmatyzmu i urojeń. Można więc po prostu zlekceważyć to, „co gorsze”, ciesząc się „lepszym”. Ale tak już bywa, że największy rozgłos w każdej sferze zdobywają na ogół sądy ekstremalne. I one właśnie, zapewne niepotrzebnie, zaprzatają naszą myśl.

[1993]



# Czy warto pisać o socrealizmie?

„A więc książka o socrealizmie! Muszę się wytłumaczyć z podjęcia tego właśnie tematu, spotykałem się bowiem z apodyktycznie sformułowaną opinią, że czymś takim zajmować się nie warto. Otóż pozwałam sobie myśleć inaczej. Rzeczywiście, socrealizmem zajmować się nie warto wówczas, gdy naukę o literaturze [...] pojmuje się wyłącznie jako bezpośrednie mówienie o wartościach [...]. Socrealizm jest antywartością [...] Żywię jednak przekonanie, że tak aksjologicznie ukierunkowane pojmowanie nauki o literaturze to intelektualny luksus, na który trudno sobie pozwolić zwłaszcza w XX wieku, skoro tak wielką rolę odgrywają w nim różne totalizmy, nadużycia kultury masowej, propagandowe szaleństwa” — pisze we wstępie do swojej ostatniej książki Michał Głowiński<sup>1</sup>. Nie znajdzie ona pewnie aż tylu podekscytowanych czytelników, co jego prace o nowomowie (być może myślę się zresztą), jej wartość jest jednak nie mniejsza. Także dlatego, że jest jedną z najważniejszych prac na ten — również w moim przekonaniu — godny uwagi temat.

Z wielu powodów. Po pierwsze dlatego, że szkice te stawiają pewne ważne pytania, być może oczywiste, których jednak nikt jakoś wcześniej nie postawił. Po wtóre z tego powodu, że chociaż przedmiot badań uznany tu został za „antywartość”, konwencja jego opisu nie jest ani łatwo przesmiewcza, ani tanio moralizatorska. Po trzecie, bo pominięto tu zjawiska i nazwiska najmińsze, a zajęto się (poza szkicem poświęconym *Krótkiemu kursowi WKP(b)*, ale to inna historia) utworami — i to nie najbardziej ortodoksyjnymi — twórców wybitnych, znaczących lub bodaj (przykład Żukrowskiego) głośnych: Borowskiego, Kazimierza Brandysa, Andrzejewskiego, Ważyka, Szostakowicza, Panufnika, a w rozważaniach o „poezji i rytuale”, czyli wierszach ku czci Bieruta: Przybosa, Woroszył-

---

<sup>1</sup> M. Głowiński *Rytuał i demagogia. Trzydzieści szkiców o sztuce zdegradowanej*, Warszawa, Open 1992.

skiego, Tadeusza Kubiaka, Iwaszkiewicza, Kamieńskiej, Ficowskiego, Międzyrzeckiego<sup>2</sup>. Po czwarte z tej przyczyny, iż postaci te przywołano (i tu ufać można całkowicie autorowi) „nie przez złośliwość czy po to, by rzucić ciemne światło na ich życie”, jak to czynili różni mali — typu Bratnego — „demaskatorzy” przypominający „złą przeszłość” artystom występującym później przeciw systemowi. Po piąte — ponieważ wydaje się, że wobec omawianych zjawisk i dzieł stosowano miarę surową, lecz sprawiedliwą; to ona właśnie kazała w biograficznej książce Panufnika dostrzec „bohaterski oportunizm”, by posłużyć się dawnym wyrażeniem Sandauera, a z wyznań Szostakowicza wydobyć prawdziwy dramat i karkotyczną „walkę o twarz”<sup>3</sup>. Po szóste wreszcie — z tego względu, że odłożono tu na bok jałowe rozważania, kto służył socrealizmowi z sercem czystym, choć naiwnym, a kto odwrotnie, i skupiono się głównie na faktach. To ostatnie jest szczególnie ważne, bo roztrząsania wyłącznie etycznej natury prowadzą z reguły do efektu, o którym mówił Zbigniew Kubikowski: „My dotąd tylko wiemy, dlaczego każdy był w porządku. Ale nie, dlaczego wszystko było nie w porządku”<sup>4</sup>. Głowiński — jako jeden z nielicznych — koncentruje się na tej drugiej sprawie, oczywiście też nie wyjaśniając jej (czy to w ogóle możliwe?) do końca<sup>5</sup>.

<sup>2</sup> Jak pisze, na „liście tej” — tak bardzo kultowo dworskiej — „pojawia się jedno tylko nazwisko literata całkiem nieznanego [...] i dwóch autorów, którzy oddali swe pióra na usługi komunistyczne w ciągu dziesięcioleci (Gaworski, Koprowski)”, ss. 111–112. Jeśli idzie o analizowanie dzieła to — wbrew częstej praktyce — skupia się Głowiński raczej na ciekawszych niż najgorszych. W wypadku Andrzejewskiego na *Wojnie z zadufkami*, a nie Partii i twórczości pisarza, w wypadku Brandysa na *Obywatelach*, a nie na *Człowiek nie umiera*.

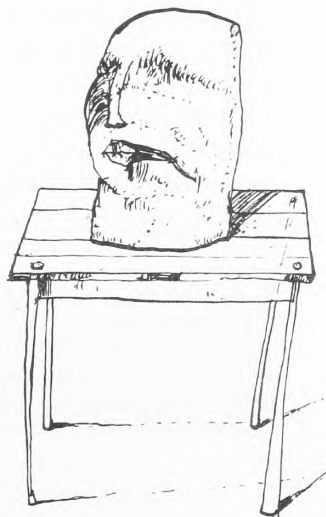
<sup>3</sup> A. Panufnik *O sobie*, Londyn 1987; D. Szostakowicz *Świadectwa*, Nowa 1987.

<sup>4</sup> Patrz: J. Trznadel *Hańba domowa*, Paryż 1986, s. 68. Właśnie w *Hańbie* najistotniejsze jest ustalanie stopnia „winy”, „świadomości zła”, „czystych intencji”. Zajmują się tym (na ogół dość bezkrytycznie) i sami onegdajsi „zaangażowani”, i (czasem nazbyt apodyktyczni, jak Herbert) ówczesni „opozycjoniści”.

<sup>5</sup> Lista zasług Głowińskiego jest o wiele dłuższa, omówienie wielu z nich wymagałoby jednak wchodzenia w szczegóły. Z tych bardziej generalnych — zwrócić wypada uwagę na rozważania dotyczące narracyjnych możliwości nowomowy, w czym ma zresztą Głowiński — jak sam przyznaje — poprzednika (por. W. Tomasik *Polska powieść tendencyjna 1949–1955. Problemy perswazji literackiej*, Wrocław 1988). Oczywiście nie znaczy to, że szkice te nie zawierają sądów kontrowersyjnych.

Przy tym wszystkim jego tom zajmuje się wyłącznie tym, co pod miano socrealizmu podpada. Jak wszystkie dotychczasowe jest książką o „pewnej metodzie i jej realizatorach, a nie o okresie socrealizmu”. To znaczy nie wychodzi poza rozważania o „uległych” bądź „gorliwych”, nic nie mówiąc o tych, co „metodzie” nie ulegli lub ulegli w tak niewielkim — że praktycznie bez znaczenia — stopniu. Nie było to zadaniem książki; uprzedza o tym już tytuł zbioru, trudno zgłaszać więc do autora z tego powodu jakiegokolwiek pretensje. Chciaż nadszedł już zapewne czas, aby refleksjom o kulturze lat stalinowskich przywrócić właściwe proporcje, także przez przypomnienie „opornych”, którzy wszak nie zawsze i nie we wszystkim skazani byli na całkowite milczenie.

Sam „socrealizm”, choć tak krystalicznie modelowy — zarówno w zakresie formy, jak i w zakresie treści — oceniać można zresztą z nieco różnych punktów widzenia. Bardzo często dostrzega się w nim wyłącznie agresywną propagandowość, widoczną niewątpliwie w pewnym gatunku plakatów (choć nie powstał wtedy żaden o przerażającej sile wcześniejszego „Zaplutego karła reakcji”), w tytułach, głównie zbiorów satyrycznych (*Gwoździe dla Trumana*, *Przeciw klerykałizmowi*, *Zgrzebłem po kołtunie* etc.) w języku publicystyki czy nawet tak zwanych prac naukowych. W istocie jednak, przewrotność koncepcji propagandowej „soc” polega na tym, iż — jak pisze Głowiński — miała ona „udawać, że propagandą nie jest, że stanowi mimetyczną wizję świata, odwołującą się do rzeczywistości znanej czytelnikom z codziennej empirii i że przedstawia ją z perspektywy zdrowego rozsądku”. Stąd właśnie, zdaniem autora, owo odcięcie się od tradycji „agitpropu”, a nawiązanie — już w nazwie — do realizmu. Realizmu, z którego odrzucono wprawdzie wszystko, co dla „nowej wiary” nieporęczne, wykorzystując wszakże trzy jego nad wyraz istotne cechy: „mimetyczność” — jednak nie jako wartość samoistną (jak u naturalistów), lecz powiązaną z „autorytatywnym komentarzem oceniającym” oraz ukrywaniem literackości (redukcja elementów metaliterackich, obecnych w powieści osiemnastowiecznej). Ową — jak ją nazywa — „regułę zatajonej literackości” uważa Głowiński



za szczególnie ważną, bo uniemożliwiającą wszelkie „gry z odbiorcą” i „tworzenie dystansu”, sugerującą natomiast, „że prawdą jest wszystko, co w księgach zapisane”. Stąd wyraźna niechęć „soc” do wzorów literackich, takich jak dzieła Fieldinga czy Diderota, które — co warto może podkreślić, choć w książce się o tym nie wspomina — fascynowały jeszcze „Kuznicę”, i to nie tylko jako wdzięczny przedmiot rozważań późniejszego „nowego literaturoznawstwa”.

Stąd też zapewne — by przykłady powieściowe poszerzyć o dramat i teatr — tak wyraźna niechęć do Brechta, oskarżanego skądinąd głównie o „pacyfizm” i „formalizm”, ale niebezpiecznego także przez swą teorię „gry z dystansem”, która mimo całej propagandowości i tendencyjności jego sztuki, miała skłaniać do krytycyzmu i refleksji. I stąd (a nie tylko ze względu na zbytnią — jak na wytrzymałość socrealizmu — dwuznaczność jego dramatów) ówczesna teatralna anatema, którą obłożono Majakowskiego, atakującego wszak<sup>6</sup> właśnie te formalne wzorce, które socrealizm — bardzo w tym względzie tradycyjny — utwierdzał.

Odwolywanie się do poetyki dziewiętnastowiecznego realizmu wynikało zresztą chyba nie tylko z przyjętych przez „soc” założeń, ale i z przykrego wcześniejszego doświadczenia. Swoista „genialność” soc jako modelu propagandowego (właśnie owo „krycie propagandowości”, wtłoczenie w fałszywą ramę moralną) polegała i na tym, że odrzucił on tak stanowczo koncepcję sztuki, jaką wypracowano i propagowano w rewolucyjnej Rosji, w komunistycznych i lewicowych kołach artystów niemieckich po I wojnie, a także w lewicujących, komunizujących i komunistycznych kręgach inteligencji polskiej. Odrzucił tak radykalnie, że gdy chodzi o twórców radzieckich oraz członków KPP — równało się to z wyrokami śmierci nie tylko na dzieła, ale i osoby.

Awangarda i agitacja nie były już potrzebne. Awangarda, która zdawała się jej entuzjastom najwłaściwszym dla „nieburżuazyjnych” mas sposobem przedstawiania świata, okazała się nieskuteczna, bo została

---

<sup>6</sup> Jak wiadomo, właśnie bohaterowie negatywni *Łaźni* chwalą sztuki „przystępne, komunikatywne”, na które „można dzieci prowadzić [...] Jesteśmy młodą klasą, robotnik to duże dziecko”. Tu także zaatakowana zostaje sztuka agitacyjna. Na kwestię reżysera: „Towarzyszu, myśmy chcieli z teatru uczynić narzędzie walki i budowy” odpowie Pobiedonosikow: „A ja was proszę w imieniu wszystkich robotników i chłopów, abyście mnie nie budzili [...] Wyście powinni pieścić mi ucho, a nie budzić”.



odrzucona właśnie przez owe masy, w gustach raczej „mieszczańskie”, marzące raczej o zwyczajnych — choć niecodziennych — fabułach, ujętych w ramy dobrze im znanej poetyki; awangardą rewolucyjną w literaturze i w teatrze podniecali się raczej inteligenci. Poza tym awangarda kryła w sobie niepożądane elementy „niespodzianki”, co dostrzegali przenikliwie w roku 1948 Janta-Połczyński: „Prekursorstwo jest dlatego nie mile widziane, bo nie wiadomo nigdy, jakie nowe fermenty przyniesie, co przepowie, czym zaniepokoi, bo wymyka się możliwości planowania”<sup>7</sup>.

Czas agitacji zaś przeminął. Socrealizm powstawał wszakże w ZSRR wówczas, gdy nowa władza miała już poczucie absolutnej siły; nie przez przypadek zbiegł się z okresem „Wielkiego Strachu”. Szło więc raczej o afirmację *status quo* niż zmianę czegokolwiek, co jest zadaniem wszelkich, najbardziej nawet ortodoksyjnych „agitok”. W Polsce podobnie: „socrealizm” zbiegł się ze stalinizmem. Zresztą już wcześniej „agitki” nie były w modzie; nawet gdyby nazwiska Wandurskiego, Sterna i Jasieńskiego nie były obłożone partyjną klątwą, model sztuki, jaki propagowali, był w latach czterdziestych absolutnie nie do przyjęcia przez komunistyczną władzę. Dążyła ona raczej do wyciszenia i kamuflowania wszelkich społecznych reakcji; stąd między innymi program „rewolucji łagodnej” lansowany — gdy zważyć na ówczesny terror — cynicznie i bezwstydnie, lecz z nie najgorszymi rezultatami. A właśnie pobudzenie emocji było jednym z celów „sztuki zaangażowanej” lat dwudziestych.

Można, rzecz jasna, powiedzieć, że o wiele bezpieczniejszy model twórczości skonwencjonalizowanej<sup>8</sup>, choć nie budził gwałtownych reakcji „negatywnych” (z punktu widzenia ówczesnych polityków) miał niewiele większą niż awangarda moc sprawczą. A nawet gorzej: była ona o wiele mniejsza. W końcu wokół żadnego socrealistycznego spektaklu

---

<sup>7</sup> A. Janta-Połczyński *Wracam z Polski: 1948, Paryż 1949*, s.140.

<sup>8</sup> Te wzorce przetrwały zresztą socrealizm, nawet gdy służyły doprowadzeniu języka i ideologii „soc” do absurdu (*casus* Mrożka). Najszybciej zerwała z nimi poezja (*Obroty rzeczy* Białoszewskiego, *Poemat otwarty* Różewicza, *Cuda* Harasymowicza). W prozie trudno dostrzec jedną i tak wyrazistą tendencję, można tu mówić o przelamywaniu konwencji w sferze języka (Hłasko) czy treści. Niewątpliwie rozbięciem tradycyjnego wzorca była proza Gombrowicza i Buczkowskiego. W dramacie — jeśli nie liczyć realizacji bardzo elitarnego teatru na Tarczyńskiej oraz całkowicie nieudanej półrealistycznej, półbrechtowskiej *Samotności* Słomczyńskiego — dopiero *Kartoteka* Różewicza w 1960.

nie zdarzyło się zgromadzić nie tylko kilkunastu (jak u Piscatora) czy kilkudziesięciu (jak w trakcie widowisk ulicznych w Rosji) tysięcy widzów, ale nawet dziesięciu, którzy przybyliby nań z własnej woli. Nie pomagały też niskie ceny na książki, jeśli kupowano — nie z przymusu — to klasykę. Rzadko można było znaleźć indywidualnego nabywcę portretów przodowników pracy etc., etc. „Socrealizm” okazał się więc nieatrakcyjny już od swego zarania i to nie tylko dlatego, że świat przezeń przedstawiony był — wbrew głoszonym postulatam — światem dalekim od założonej empirii, ale i dlatego (kto wie zresztą, czy nie z tego głównie powodu), że obowiązujące go żelazne rygory: schematyzm postaci, omijanie wątków miłosnych i osobistych, konieczność ideologicznych „happy endów” — czyniły z reprezentujących go dzieł twórczość na wskroś papierową i śmiertelnie nudną. Lekceważącą zresztą całkowicie potrzeby odbiorcy, który zawsze i w każdych warunkach, a w dodatku niezależnie od gustów i stopnia wykształcenia, szuka w sztuce „czegoś innego” i „podniecającego”, a nie — zakłamanego w dodatku — przedłużania swego mozolnego i pozbawionego radości życia.

W tym sensie „genialność” idei „soc” wydaje się problematyczna. Czy jednak słusznie? Odpowiedź na to pytanie zależy w znacznym stopniu od tego, czy na „socrealizm” patrzeć jako na zjawisko realizujące się i zrealizowane w takiej to a takiej ilości utworów, czy też jako na pewien proces, który (przynajmniej w Polsce) był zaledwie w powijakach, i który wobec tego trudno, przynajmniej gdy idzie o skuteczność, jednoznacznie osądzić.

„Socrealizm” — o czym wiele pisze też Głowiński — chociaż odwoływał się do realizmu, był od niego, jak wiadomo, całkowicie odmienny. „Mimetyczność” (jakakolwiek) nie wchodziła tu tak naprawdę w grę, bo sztuka socrealistyczna była (i miała być) jak najdalsza od wszelkiej „prawdy”, zarówno tej, która fascynowała naturalistów, jak i realistów. W przeciwieństwie do jednych i drugich „soc” podsuwał czytelnikowi czy widzowi rzeczywistość znaną mu nie tyle z codziennego doświadczenia, co z partyjnych gazet. To, co było tu najbardziej autentyczne to rekwizyt: widać to najlepiej w sztukach widowiskowych, gdzie z naturalistyczną prawie pedanterią — dbano o to, by ubrania robotników, szlifierki, piece hutnicze, lokomotywy wyglądały „jak żywe”. „Autorytatywny komentarz oceniający” obecny w powieści realistycznej został w „soc” utożsamiony z „autorytatywnym komentarzem partii” czy też po prostu wszystkich, co

reprezentowali ówczesny aparat terroru (pisze Głowiński: „Muszę tu podkreślić fakt, z którego nie zdawałem sobie sprawy, zanim przystąpiłem do systematycznej pracy nad tym tomem. Sformułuję rzecz z brutalną otwartością: socrealizm to literatura, pokazująca świat z bezpieczeniackiego punktu widzenia”). Wolno przypuszczać, że właśnie owe konieczne z punktu widzenia ideologii przesunięcia uczyniły ze sztuki socrealistycznej twórczość nie do strawienia — nie tylko przez „wroga ustroju”, ale w istocie i jego popleczników.

Mówi się wprawdzie często (i pogląd ten podziela chyba także autor *Demagogii i rytuału*), że klęska „soc” polegała między innymi na tym, że zwracał się on, tak naprawdę, tylko do już przekonanych. Nie jest to o tyle prawdą, że jeśli wierzyć wspomnieniom niegdysiejszych socrealistów (choćby Konwickiego w rozmowach z Beresiem<sup>9</sup>), chętniej produkowali oni własne dzieła niż czytali bądź oglądali cudze. Jeśli twórczość ta miała w ogóle jakichś przejętych jej treścią odbiorców, to może wśród najbardziej aktywnej ZMP-owskiej młodzieży, mimo że i tego nie da się dziś jednoznacznie stwierdzić.

W każdym razie tylko w młodym inteligenckim, izolowanym od świata „agitatorze” mógł socrealizm upatrywać chłonnego adresata, bo przecież nie w autentycznym proletariatusz lub chłopie, czyli w tych, co tak modną halę produkcyjną, stocznię, PGR, problemy produkcyjne, normy itd. poznawali naprawdę, na własnej skórze, w codziennym doświadczeniu. Doświadczeniu tak bardzo ze „stalinowską sielanką” sprzecznym, że aż zachodzi pytanie, czy mimo wszystkich wysiłków z upowszechnianiem książki, filmów, teatru, mimo „rzeczowych” dyskusji, jakie prowadzono z przedstawicielami ludu pracującego po spektaklach (by zasięgnąć na przykład opinii, czy aktor gra jak prawdziwy robotnik) — czy więc mimo to, wszystko tak naprawdę szło o pozyskanie sobie właśnie owego „ludu”, na którego modelowanie było już jakby za późno, bo tak czy owak myślał on swoje. I czy wobec tego cele „soc” nie były aby bardziej dalekosiężne?

---

<sup>9</sup> Indagowany przez Beresia: „A jak się odbierało książki współpokoleniowców?” Konwicki odpowiada: „Ja nawet nie wiem, co wtedy napisał Wilczek czy Hamera. Ja nie miałem nawet czasu czytać”. S. Nowicki [S. Beres] *Pół wieku czyśca. Rozmowy z Tadeuszem Konwickim*, Londyn 1986, ss. 69–70.

Broniąc swego zainteresowania socrealizmem pisze Głowiński między innymi, że warto się nim zajmować także z tego powodu, że w swym konflikcie ze wszystkim, co w tradycji europejskiej uznane zostało za wartość, był tak radykalny i kuriozalny, że aż wart opisu.

To prawda. Jednym z podstawowych założeń polityki kulturalnej socrealizmu była (nie tylko w Polsce), jak wiadomo, całkowita izolacja od kultury śródziemnomorskiej, własnej tradycji — jeśli tylko uznana została za wsteczną — od ogromnej ilości dzieł rosyjskich, a nawet tego, co można by nazwać poważnie uprawianym marksizmem (w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych w roli tej występował jedynie Żdanow i parę rodzimych agresywnych pań). Wprowadzono prohibity, nie wydawano prawie zachodnich książek, nie sprowadzano filmów i teatrów, nie organizowano żadnych międzynarodowych wystaw, wyjazdy zagraniczne przysługiwały tylko wybranym, żelazna kurtyna zapadła także między literaturą krajową i emigracyjną, wielu autorów (również klasycznych, jak Wyspiański) wygnano z teatru. Itd., itd. — wszystko to rzeczy zbyt znane, by ciągnąć wyliczankę. Wzór obowiązujący w kulturze, twórczości i nauce był jeden: radziecki. Książeczki dla przedszkolaków (nie mówiąc już o lekturach szkolnych) zapoznawały z rosyjską i radziecką pseudo-rzeczywistością, by wspomnieć choćby wzruszające opowiadania dla najmłodszych *O młodocianych i dorosłych obywatelach Związku Radzieckiego*. Nawet historię na użytek szkół spisywali bratni (często anonimowi) specjaliści i to w duchu uznania nie tylko dla porewolucyjnych, ale i carskich rządów. Polski uczeń miał odczuwać wstyd z powodu klęsk i wad swego narodu, a cieszyć sukcesami nie tylko rewolucji październikowej, ale i paradoksalnie — wielkiej Rosji<sup>10</sup>.

I właśnie owa zaprogramowana od ukończenia trzeciego roku życia edukacja miała przynieść, po pewnym czasie rzecz jasna, wyniki. Socrealistyczne literackie, plastyczne, filmowe produkcje poruszały mało kogo, *Krótki kurs WKP(b)* — niezależnie od tego, jak bardzo był przerażający — wkuwano na pamięć z konieczności. Na razie. Bowiem indoktrynowa-

---

<sup>10</sup> I tak na przykład autor wydanej w roku 1950 *Historii nowożytnej* Jefimow nie skąpi słów uznania Katarzynie II i Piotrowi I za udział w rozbiórce Polski, uznając to za spełnienie się dziejowej sprawiedliwości, dzięki czemu do „Rosji przeszły ziemie zamieszkałe przez Białorusinów, co uwolniło tych ostatnich od ucisku polskiego”; dokładnie więc jak jesienią 1939.

ne przez lata nowe pokolenie mogło go już przecież traktować naprawdę jak *Biblię*. Przestrzegaj przed tym autor emigracyjny: „Komuniści [...] posługują się wobec dzieci starą zasadą psychologiczną powtarzania pewnych stwierdzeń i pomijania innych. [...] Nie trzeba tej metody uważać za prostacką ani naiwną”<sup>11</sup>. Że nie mylił się, wskazywały ankiety na temat wiedzy historycznej przeprowadzone wśród uczniów u schyłku lat osiemdziesiątych, a więc w pokoleniu edukowanym w sposób bądź co bądź bardziej świątły i liberalny niż w socrealizmie.

Aby więc ocenić skuteczność metody socrealistycznej trzeba by poczekać co najmniej kilkanaście lat. Aż dorosliby ci, co z żadną inną — niż oficjalna — kulturą nie mieliby się okazji zetknąć, którzy rzeczywistość przelomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych znalazłby tylko z socrealistycznych powieści (powieści pełniłyby więc wówczas rolę nie literatury dworskiej czy „życzeniowej”, lecz historycznego świadectwa). Trzeba by — o wiele drastyczniej niż to robiono — ograniczyć wpływ domu, Kościoła, niektórych nauczycieli. Trzeba by nawet wymienić — na całkowicie tępa i bezwzględna — znaczną część partyjnych decydentów.

Na szczęście proces został przerwany, zaś w czasie „odwilży” — też zresztą nie naruszającej zasad systemu — realizm socjalistyczny „został [...] w Polsce na zawsze spalony”, by posłużyć się obrazową formułą Głowińskiego. „Od połowy lat pięćdziesiątych socrealizmu w Polsce nie można już było traktować poważnie”.

Nie oznacza to przecież, iż odesłać go można było do lamusa z napisem „śmieszne”, choć właśnie śmiechem reagowali i reagują na obrazy, powieści, artykuły i podręczniki z tamtych lat nie pamiętający „socrealizmu” młodzi ludzie. Ma rację Głowiński, gdy pisze, że socrealizm nie był jedynie przynależnym przeszłości epizodem. Zaważył wszak na biografii nie tylko artystycznej — a może nawet przede wszystkim nie-artystycznej — tych, co go współtworzyli i tych, co nie chcieli wziąć w nim udziału. Zaważył na losach polskiej kultury: przeciął pewne tendencje i prądy obecne jakoś, mimo wszystkich ówczesnych ograniczeń, w polskiej kulturze pierwszych powojennych lat, rozwój innych w ogóle uniemożliwił, a jeszcze inne znacznie opóźnił. Wywołał — na zasadzie kontrreakcji — pewne późniejsze zjawiska (czy mody), o których nie byłoby mowy

---

<sup>11</sup> S. Cząstka, *Podręczniki szkolne dla dzieci i młodzieży*, »Kultura«, Paryż z. 5/1953.

w normalnej sytuacji. Itd., itd. W tym sensie można mówić o jego wpływie — bardzo wprawdzie pośrednim — jeszcze i dziś, kiedy nie tylko „soc”, ale i całą PRL-owską politykę kulturalną mamy za sobą.

Czy jednak tylko w tym sensie? Michał Głowiński kończy ostatni szkic swego zbioru akcentem w gruncie rzeczy optymistycznym. Otóż śledząc losy życia tych, którzy zasłużyli na miano „komunistycznej formacji literackiej” wcale nie przez swą „socrealistyczną” przynależność, lecz służbę znacznie dłuższą i wierną (reprezentuje ją między innymi Żukrowski) pisze: „formacja ta przestała być literacko czynna, choć tacy czy inni [np. Safjan i Minkowski — M.F.] jej uczestnicy zajmują się tym lub owym [...]. Piszą sensacyjne kawałki, wydają brukowe pisma [...]. Formacja komunistyczna przekształciła się w formację chałturniczą”. Nie tylko więc „socrealizm” został „spalony” i „ośmieszony”. Bóg ideologii przemienił się w boga rynku. A to już materiał na całkiem inne rozważania: dla „socrealizmu” naprawdę nie ma w nich miejsca.

A jednak socrealizm istotnie „wciąż kusi, by się nim zajmować”. I to nie tylko (choć również) z tych wszystkich powodów, o których pisze Głowiński. Kusi w sposób szczególny. Już nie tylko jako zjawisko związane immanentnie z latami stalinowskiego terroru, jako jego jawna czy utopijna propaganda etc., etc., ale jako pewien fenomen psychologiczny, który może dać o sobie znać nie tylko w warunkach totalitarnych, choć tylko w warunkach totalitarnych można mu nadać najwyższą moc sprawczą.

Otóż dziś właśnie, gdy totalitaryzm — zwłaszcza w Polsce — wydaje się naprawdę pokonany, gdy nikomu (nawet pośród najbardziej zacietrzewionych i dogmatycznych przywódców niektórych partii) nie przychodzi do głowy, aby wymuszać swoje racje siłą, a cóż dopiero terrorem, gdy — mimo iż śmieszny i żaloszny — panuje jednak po latach znów pluralizm, gdy „socrealizm” jest dla najmłodszych już tylko niezbyt ciekawą bajką i gdy zniknął nawet z pola widzenia przedmiot socrealistycznego opisu: odbudowujące się, nowo powstające miasta, gospodarstwa łączone w PGR-y, ochotnicy do przekraczania „norm”, wroga stonka i dzielne traktorzystki, otóż właśnie dziś spojrzeć można na „socrealizm” jakby z pozapolitycznej perspektywy. Jest to rzecz jasna zabieg z gruntu fałszywy, ale pozwalający zobaczyć bardzo jasno, jak wiele pożądanego i dziś komfortu zapewniała ideologia „soc”. A nie myślę tu ani o zaspakajaniu próżności (co socrealizm, gdy szło o jego orędowników, rozwinął

do perfekcji), ani o łatwym promowaniu nie tylko ludzi utalentowanych, ale i miernot, ani o nie zawsze dostatnim („pryszczaci” naprawdę żyli skromnie), ale zawsze zabezpieczonym życiu, nie myślę więc o niczym, co atrakcyjne, lecz niejako „zewnątrzne”. Ważniejsze wydaje się bowiem owo poczucie „wewnętrznego” psychicznego luksusu, jaki „socrealizm” zapewnił, oczywiście tym tylko, co weń wierzyli. Uwalniał wszak od myślenia, pozwalał lekceważyć lub wręcz zwalczać wszelkie odmienne od własnej postawy, i to bez żadnych wątpliwości w zakresie tak zwanych „wyrzutów sumienia”, dawał pewny klucz, czy wręcz wytrych (jak wyraził to na zjeździe polonistów w roku 1950 Juliusz Kleiner) do brutalnego otwierania wszystkich drzwi, które dotychczas ledwie uchyla- no i to z delikatnością, zezwalał (w przypadku swych istotnie fanatycz- nych wielbicieli) uznawać utopię za rzeczywistość.

I mimo że zapisał się w powszechnej świadomości tak właśnie jak powinien: jako jeden z najwstydlivszych epizodów kultury, to nie wszy- stko, co tę wstydlivność potwierdzało, przestało być aktualne. Nie ze względu na „postkomunistyczne” nawyki, lecz dlatego, że „socrealizm” opiewający wyższość jednej z najbardziej nieludzkich ideologii odwoły- wał się przecież do głęboko ludzkich, choć wstydlivych, cech ludzkiej natury. Warto czasem i o tym pamiętać.

[1992]





# Testy dla buntowników

W ósmym numerze zeszłorocznej »Res Publici«<sup>1</sup>, ogłaszającej dość często — choć w sposób raczej nonszalancki<sup>2</sup> — materiały archiwalne, znalazły się tym razem protokoły swoistych przesłuchań, jakim w gmachu KC PZPR poddano pisarzy protestujących u końca 1966 roku przeciw wydaleniu z partii Leszka Kołakowskiego. Lektura owych protokołów wywołuje refleksje dość przykre, zarazem jednak uświadamia, jak ogromna przepaść dzieli dzisiejszą — tak bardzo niedoskonałą — demokrację od ustroju zwanego „realnym socjalizmem”. Mimo wszelkich obecnych wciąż postkomunistycznych przyzwyczajęń, cechujących, niestety, nie tylko była „nomenklaturę”, ale i jej onegdajsze ofiary.

*Partyjne z pisarzami rozmowy* — jak je reklamuje okładka pisma — uświadamiają rozmiar przebytej w ciągu ostatnich lat drogi tym drastycznej, iż reprezentują one zarówno mentalność ówczesnej władzy, jak i ówczesnych buntowników. Buntowników, wtedy jeszcze partyjnych,

---

<sup>1</sup> »Res Publica« nr 7–8/1991.

<sup>2</sup> Nie podaje się tu z reguły żadnych wskazówek, dotyczących faktu, skąd pochodzą dokumenty. Można się więc najwyżej domyślać, iż omawiane protokoły znajdują się w Archiwum KC PZPR. Jak wiadomo, przechowywane tam materiały posiadają sygnatury; ich podanie jest nie tylko obowiązkiem opracowującego je do druku, ale i pewną koleżeńską przysługą w stosunku do tego, kto ze sprawą chciałby zapoznać się bliżej. Barbara Łopieńska, opracowująca całość, nie podaje też żadnych dodatkowych informacji. Nie wiadomo, czy zachował się cały tekst zapisu magnetofonowego i czy jest on w istocie tak „belkotliwy” jak twierdzą przesłuchiwni, czy istnieje więc podstawa, by uznać go za zniekształcony. Nie wiadomo, czy zachował się jego drugi wariant (ów „przepisany przez inteligentniejszą maszynistkę”) ani też, czy wykorzystano całość protokołów (czyżby CKKP rozmawiała tylko z niektórymi sygnatariuszami?). Niejasne jest, czy odstępstwa od — normalnej w rozmowie — pierwszej osoby poprzez wtręty (w osobie trzeciej) typu: „Tow. Drewnowski broni Kołakowskiego jako wartości w partii”, pochodzą od protokolanta czy dziennikarki, oraz czy rozmowy publikowane są w całości, czy we fragmentach.

lecz już wkrótce otoczonych legendą. Sprawa owego protestu stała się wszak, obok wcześniejszego o dwa lata *Listu 34* oraz *Listu otwartego* Kuronia i Modzelewskiego z marca 1965, jedną z najgłośniejszych opozycyjnych (czy, by użyć ówczesnej terminologii — rewizjonistycznych) afer jedenastolecia 1956–67.

Tak jak w wypadku tamtych, do rangi legendy podnieśli ją — paradoksalnie — nie sami bohaterowie lub też ich (anonimowi) sprzymierzeńcy, lecz ci, w których interesie leżało raczej tuszowanie i pomniejszanie sprawy. Podobne paradoksy kształtowały zresztą w znacznej mierze całą polską powojenną rzeczywistość, z wyjątkiem okresu stalinowskiego, gdy działano zarówno skutecznie, jak z troską o dyskrecję, propagandą posługując się nie tylko z cynizmem, ale i z wprawą. Całkiem inaczej niż w okresie gomułkowskim, kiedy to ilość procesów, relegowań z partii i uniwersytetów, różnorakich anatem znacznie przewyższała płynące z nich dla władzy zyski. Większość wydarzeń, które dały do nich powód, wystarczyło zlekceważyć, bo ich ujawnienia i napiętnowania nie wymagała nie tylko polska „racja stanu”, ale nawet „racja partii”.

Chociaż to drugie nie jest tak bardzo pewne.

Kiedy w dziesiątą rocznicę Października Leszek Kołakowski i Krzysztof Pomian w niezbyt dużej sali Wydziału Historycznego UW poddali druzgocącej jak na tamte czasy krytyce wszystko, co uznali za nowe „wypaczenia” socjalizmu, można było w końcu uwierzyć, że krytyki tej dokonują właśnie z punktu widzenia członków partii, której przecież nawet wtedy nie chcieli dobrowolnie opuścić. Trzeba więc było sprawę bodaj przedyskutować na partyjnym forum szerszym niż CKKP — choćby w POP ZLP, czego domagali się właśnie pisarze. Na pewno należało się zastanowić nad tym, czy autorytet partii bardziej osłabia głośne wypowiedzenie — choćby wobec stukilkudziesięciu studentów — pewnej ilości ostrych zdań, nie komunikujących przecież żadnych prawd nieznanych, czy też rezonans, jaki wywołają — także za granicą — sankcje zastosowane wobec prelegentów, nie mówiąc już o reakcjach samej młodzieży<sup>3</sup>. W końcu o tym, co groźniejsze winni wiedzieć nie tylko literaci. Jednak upór, z jakim sześćoosobowa komisja (Zenon Kliszko, Witold Jaroński,

---

<sup>3</sup> Refleksja Jacka Bocheńskiego (a mówili o tym i inni) — „Uważam, że wpływ wychowawczy na młodzież ma fakt wydalenia z partii i to, co się stało po zebraniu” — nie należała w końcu do odkrywczych.

Artur Starewicz, Władysław Wicha, Roman Nowak oraz jako przewodniczący Wincenty Kraśko) powołana dla przeprowadzenia pierwszych „rozmów” oddalała wszystkie — zarówno odważne jak tchórzliwe — argumenty przesłuchiwanym, upór ten świadczył dobitnie o całkowitej niemożności wzajemnego porozumienia. Obraz partii, jaki zdawali się widzieć sygnatariusze listu, odwołujący się wciąż do pojęć takich, jak potrzeba krytyki, konieczność dyskusji, ograniczona choćby demokracja<sup>4</sup> czy potrzeba autorytetów, oraz obraz partii, jakiej strzegli przedstawiciele jej najwyższych władz, zdawały się nieprzystawalne w sposób zdumiewający. I co gorsza, zdumiewała nie tyle dogmatyczność i ograniczoność tych drugich, co złudzenia pierwszych.

Partia, której bronili — przed Kołakowskim, Beylinem, Konwickim, Bocheńskim, Newerlym oraz kilkunastu ich kolegami — członkowie Biura Politycznego KC i CKKP nie miała bowiem wcale być partią liberalną, otwartą i światłą. Odwrotnie, o jej sile stanowiła ortodoksyjność, jak najwęższe myślowe horyzonty, całkowita „niereformowalność”, a także nie poddawanie się jakimkolwiek wątpliwościom<sup>5</sup>.

Taki kierunek wyznaczał wszak partii prawie natychmiast po jej „odwilżowym” przełomie — bo już w listopadzie 1956 — na krajowej naradzie aktywu PZPR w Warszawie Władysław Gomułka. W tym więc sensie rację miał Zenon Kliszko, kiedy mówił, iż poglądy Kołakowskiego bardziej są „burżuazyjne” czy „socjaldemokratyczne” niż „partyjne”, podobnie jak miał rację twierdząc, że ktoś kto uważa, iż system monopartyjny grozi degeneracją, pragnie innego niż istniejący systemu.

Ładne zdanie Igora Newerly’ego: „Głęboka indywidualność Kołakowskiego może odegrać niepoślednią rolę. Autorytet kościoła katolickiego polega na tym, że obok papieży miał też świętych i myślicieli” — brzmieć więc musiało w gmachu KC zarazem patetycznie i śmiesznie. Tym bardziej, że najwyższa partyjna władza jest nie tylko „papieżem” samozwańczym, ale i pozbawionym (poza Gomułką) prawie całkiem indywidualności; swój „rząd dusz” sprawuje — po prostaku.

<sup>4</sup> Jeśli idzie o demokrację członkowie CKKP mieli o jej istocie własne wyobrażenia: „Demokracja to nie wolność wyborów, ale zbiorowisko ludzi, którzy mają zjednoczone poglądy” (M. Pohorille do Beylina)

<sup>5</sup> Odpowiadając na zarzut impregnowania na wszelką krytykę Pohorille pytał: „Uważacie, że partia nie ma co robić [...] tylko ma występować bijąc się w piersi?”

Minęły już dawno — niebezpieczne zresztą — czasy, kiedy w Wydziałach Kultury KC zasiadali ludzie o enkawudowskich często powiązaniach, ale o niekwestionowanej inteligencji, erudycji i, co niebagatelne, wywodzący się nieraz z artystycznych, dziennikarskich i inteligenckich środowisk przedwojennych.

Teraz komisja Kraški nawet nieskomplikowanych przecież rozmów z kilkoma partyjnymi pisarzami nie jest w stanie przeprowadzić bez „ścią-gawki” z ustalonymi wcześniej pytaniami. Poziomu umysłowego, jaki reprezentują członkowie CKKP nie warto nawet komentować.

„Święci i myśliciele”, pozyskiwani w pierwszych powojennych latach, by poświadczyć wiarygodność narzuconej władzy, też nie są już potrzebni. W archiwum KC PZPR (AAN, sygn. 237/XVIII-320) pośród materiałów dotyczących Marca znajdują się tak zwane *Tezy*. Dotyczą one analizy sytuacji POP od prezesury Słonimskiego („okresu całkowitego zamętu pojęć po XX Zjeździe”) po początek roku 1967. *Tezy* stopniowe wychodzenie pisarzy z partii — odnotowują z ulgą. Zarówno pierwszy zbiorowy *exodus* grupy „Europy” z roku 1957 (Andrzejewski, Dygat, Hertz, M. Jastrun, Kott, Ważyk, J. Żuławski ) jak i późniejszy o lat dziesięć, związany ze sprawą Kołakowskiego (poza już wymienionymi: Flora Bieńkowska, Marian i Kazimierz Brandysowie, Marcelina Grabowska, Roman Karst, Andrzej Piwowarczyk, Arnold Słucki, Seweryn Pollak, Strykowski, Woroszyński, Waclaw Zawadzki). Komentarz do tego drugiego brzmi jednoznacznie: „Dopiero odejście drugiej grupy (szesnastu) z POP zaczyna stwarzać przesłanki do odrodzenia”.

Jest przy tym znamienne, że tak sprzyjające owemu odrodzeniu „partyjne rozmowy z pisarzami” z roku 1966 nie zawierają w sobie elementów pogroźek, nikt nie nakłania sygnatariuszy — jak to było w wypadku *Listu 34* — do wycofania podpisu, a nawet nie zgłasza, jeśli chodzi o samą akcję, żadnych pretensji („nie mamy do was pretensji o napisanie tego listu, bo takie prawo posiadacie” — powiada nawet Roman Nowak do Konwickiego). Rozmowy mają raczej charakter testu sprawdzającego „praworządność” myślenia przepytywanych. W pewnym momencie Kli-szko mówi o tym wprost: „My nie rozpatrujemy sprawy, że towarzysze podpisali ten list, lecz że solidaryzują się z poglądami Kołakowskiego” (do Pollaka).

List jest więc — podobnie jak wystąpienie na Uniwersytecie głównego bohatera sprawy — jakby na rękę najwyższemu kierownictwu od dawna

zirytowanemu strategią partyjnej egzekutywy (wspomniane tu *Tezy* określają ją jako „kurację snem”), polegającą na uległości tejże wobec niektórych „rewizjonistycznych” kolegów — m. in. tych, którzy wspierali moralnie *List 34* czy bojkotowali „spotkania autorskie organizowane jako walka z Wyszyńskim” — uległości wynikającej z lęku przed „utraceniem szeregu towarzyszy, z których niektórzy rzeczywiście należą do wybitnych pisarzy, koło niektórych zaś tworzy się legendę wybitności”.

Rozróżnienie: wybitność „prawdziwa” i „nadmuchana” nie jest rzecz jasna zwykłym stwierdzeniem stanu faktycznego. Wielkością fałszywą staje się zwykle „rewizjonista” o nazwisku wystarczająco głośnym, by sprawa zastosowanych wobec niego represji nabrała rozgłosu w środowisku i poza nim. Za wielkość fałszywą uznaje się podczas „partyjnych rozmów” m. in. Kołakowskiego. Co prawda nie w komisji Kraški, tam zachowuje się jeszcze jakieś poczucie miary („my nie krytykujemy L. Kołakowskiego jako filozofa, ale jako polityka”). Komisja stosuje metodę inną — odwołanie się do „demokracji”, pojętej jako swoista „równość wszystkich”. Eugeniusz Szyr ujmuje to następująco: „statut partii nie przewiduje przywilejów dla filozofów”, ktoś inny powie to samo o pisarzach<sup>6</sup>. Do podobnej zasady „prawa równego dla wszystkich” odwoływano się już przed paroma miesiącami: z okazji odmowy wydania paszportu prymasowi Wyszyńskiemu<sup>7</sup>.

Członkowie CKKP, równie niechętni wszelkim przywilejom, nie mają już zahamowań także w sprawie wartości Kołakowskiego jako intelektualisty: „Wy wokół Kołakowskiego tworzycie mit” (R. Nowak do Strykowskiemu), „wszyscy tylko mówią: jaki on genialny. Wmówiono mu, że jest genialny” (B. Krupa do Drewnowskiemu). Wcześniej padnie charakterystyczne zdanie: „Ja uważam, że wielu filozofów, literatów, artystów pisze pod rynek zagraniczny, bo wszystko już sobie zaliczyli za czasów

---

<sup>6</sup> I ten motyw powróci w przesłuchaniach w CKKP, zresztą w formie o wiele bardziej jednoznacznej. Maksymilian Pohorille spyta Bocheńskiego: „Jak wy sobie wyobrażacie rolę intelektualistów w partii [...] jak to może być: jedni będą ciężko pracować, a drudzy tylko będą głosić moralę?”

<sup>7</sup> Józef Cyrankiewicz, motywując decyzję władz w tej sprawie, uprzedził, iż nie będą one „czynić w stosunku do biskupów odstępstwa od powszechnie obowiązujących prawnych zasad wydawania paszportów” (»*Życie Warszawy*« z 6 III 1966). Szło oczywiście raczej o zasady bezprawne.

stalinowskich, a teraz już piszą pod chałturę” (j. w.). Motyw wypominania czasów stalinowskich pojawi się już wcześniej. Podobnie jak uderzający we wszystkich tych rozmowach (głównie z CKKP) wątek antyinteligencji, z wyraźnym przeciwstawieniem świadomości „rewizjonistów” — świadomości mas pracujących (S. Będkowski do Bocheńskiego o wystąpieniu Kołakowskiego: „Gdyby to przemówienie przeczytał robotnik, to na pewno powiedziałby, że Kołakowski [...] chce wyprowadzić ludzi na ulicę i że chce doprowadzić do chaosu”).

Dwa różne języki, jakimi się tu przemawia, to już zresztą nie tylko sprawa różnych poglądów, lecz również — a może przede wszystkim — kwestia zupełnie odmiennych mentalności.

Antyinteligencja oraz żenujący wręcz poziom (to już objawiona w całej krasie „dyktatura ciemniaków”, jak ją nazwie w dwa lata później Kisielewski), jaki reprezentują ci, co decydować mają — w dziesięciolecie Października — kto winien, a kto nie, do partii należeć, nie są oczywiście niczym szczególnie zaskakującym, wiadomo było o tym dobrze. Jeśli więc lektura protokołów opublikowanych w »Res Publice« sprawa — jak pisałam we wstępie — przykrość, to ze zgoła innego powodu.

Otóż rozmowy te uprzytomniają, jak ogromny był wówczas stopień swoistego „usidlenia”: wszystko jedno umysłów czy charakterów. I to niejednokrotnie umysłów wybitnych i charakterów nieprzeciętnych. To poznanie „kulis” legendy istotnie — jak chce autorka wstępu do *Rozmów* Barbara Łopieńska — nikogo (lub prawie nikogo) „nie kompromituje” ani też nie odkrywa się tu „prawd objawionych”. Stenogramy „mówią po prostu [podkr. M. F.] o tym, jak to było w 1966 roku. [...] to klimat, język i prawda połowy lat sześćdziesiątych”; nie tylko połowy zresztą.

I właśnie owo niewinne słówko „po prostu” uświadamia nagle w sposób szczególny rozmiar nienormalności sytuacji, zapisanej w niewinnych na pozór stenogramach.

Z dwóch co najmniej powodów.

Po pierwsze, bowiem, dziwi ton tych rozmów — ze strony pisarzy pełen skrępowania, jakie zwykło się odczuwać wobec osób znaczniejszych czy lepszych od siebie. Ton w dodatku wykrętny, „nieszczery” — jak to nie bez racji określa Kliszko. Tylko kilku sygnatariuszy (głównie Beylin i Newerly, a także Grześczak) ma odwagę wyrażenia wprost swych poglądów i przyznania, że ich podpis pod listem oznacza coś więcej niż przekonanie, iż „wykluczenie towarzysza Kołakowskiego z partii”

przyczynić się może do „pogłębienia kryzysu ideowego w życiu partyjnym licznych środowisk intelektualnych i artystycznych”<sup>8</sup>. Czyli odwagę przyznania, iż uznaje, że krytyka, jakiej poddał Kołakowski życie publiczne, kulturalne a także gospodarkę, jest krytyką słuszną. Większość — szczególnie w pierwszej fazie rozmów — omija temat zasadniczy<sup>9</sup> i trudno nawet odgadnąć, czy argument o niespójności przedstawionego w charakterze dowodu magnetofonowego, nie autoryzowanego zapisu wystąpienia na Uniwersytecie jest szukaniem sobie wygodnego alibi, czy poddaniem w wątpliwość jego wiarygodności. Zresztą tylko Paweł Beylin zakwestionuje jednoznacznie moralny i prawny aspekt posługiwania się tym typem dowodów: „problem przestrzegania Konstytucji to jest bardzo ważna sprawa. Jak ona jest przestrzegana, może posłużyć tekst, który nie był nagrany za wiedzą Kołakowskiego i nie autoryzowany” (z rozmowy w CKKP).

Wprawdzie między pierwszą (w listopadzie) a drugą (w grudniu) fazą rozmów stanowisko kilku przynajmniej pisarzy wyraźnie się „utwardza” (dotyczy to zwłaszcza Bocheńskiego, Konwickiego i Strykowskiego), jakby odkryli, iż władzom partyjnym stawić należy czoło w sposób bardziej godny i uczciwy — przy całym dla tej postawy szacunku — stwierdzić trzeba, że nie powinna być ona specjalnym zaskoczeniem. Na „partyjne rozmowy” wzywano intelektualistów i twórców już nieraz, co najmniej jedna — przesłuchanie w sprawie udziału w pogrzebie Henryka Hollanda w roku 1961 — powinna trwale zapisać się w pamięci środowiska.

---

<sup>8</sup> Z listu protestacyjnego w obronie Kołakowskiego.

<sup>9</sup> W niektórych przypadkach obrona Kołakowskiego przybiera wręcz karykaturalny wymiar. Witold Wirpsza tłumaczy ton referatu Kołakowskiego nadpobudliwością oraz „niepanowaniem nad tym, co się dzieje” („Kiedyś [...] stwierdziłem, że ten człowiek nie otwiera od roku listów”) wynikłymi z gruźlicy. Marian Brandys mówi o „bardzo ciężkim kryzysie nerwowym”. Nikt nie zmienia swej pozytywnej opinii o Kołakowskim, ale na pytanie, czy miał rację w swym uniwersyteckim wystąpieniu, padają odpowiedzi często śmieszne, niemal jak z kabaretu: „Kołakowski myli się podając pierwsze miejsce [Polski w świecie — M.F.] w śmiertelności niemowląt. O ile pamiętam to jest drugie lub trzecie miejsce” (Dąbrowski). Część rozmówców stara się bagatelizować „winę” prelegenta: „nie sądzę, aby Kołakowskiemu chodziło o otwarcie wszystkich drzwi i okien, ale chodzi o pewne okienka, które nie szkodzą ustrojowi” (Woroszyński).

Jest oto koniec roku 1966, Leszek Kołakowski atakuje odważnie politykę państwa w sferze ideologicznej, społecznej i kulturalnej, wskazuje na pauperyzację dosłowną i duchową społeczeństwa, brak perspektyw. Krzysztof Pomian ocenia bardzo krytycznie sytuację w ruchu młodzieżowym. Paweł Beylin wspiera Kołakowskiego m. in. w przekonaniu, iż nie można budować żadnej, a więc i „socjalistycznej” demokracji, pozabawiając ludzi możliwości wyboru („ktoś już powiedział, że nasze wybory to wyścigi konne, w których udział bierze jeden koń. Ja uważam, że winny być dwa alternatywne programy ekonomiczno-społeczne”). Igor Newerly stwierdza: „Kołakowski wyraża spostrzeżenia i poglądy większości ludzi”. Jacek Bocheński pyta: „W 1956 roku partia po raz pierwszy w życiu cieszyła się wielkim autorytetem i co z tym autorytetem zrobiła partia?”.

Zarazem każdy z nich ufa wtedy jeszcze, że jego miejsce jest w partii. Kołakowski składa odwołanie od decyzji CKKP, Beylin na wiadomość o zawieszeniu w prawach członka stwierdza, że nie jest to dla niego „sprawą prostą”, bo za „partię czuje się moralnie odpowiedzialny”, podobnie Newerly (jedyny zresztą — obok Karsta — który oddaje legitymację partyjną jeszcze przed oceną przez CKKP). Z tych, co do CKKP dotarli, jedynie Tadeusz Konwicki, zmęczony kolejną rozmową, na pytanie: „Czy wam zależy na partii?” wyduśza w końcu: „szczerze mówiąc, nie”. Rozstanie z partią nie jest „sprawą prostą” zapewne i dla tych, co (po usunięciu z niej obok Kołakowskiego, Pomiana, także Beylina, Bocheńskiego, Konwickiego, Zawadzkiego) legitymację oddadzą sami (spoza sygnatariuszy listu Kazimierz Brandys, Marcelina Grabowska i w Krakowie Wisława Szymborska). Fakt pozostaje przecież faktem.

To przywiązanie do partii (a wolno przyjąć, iż jest ono szczerze; przypadkami zwykłego konformizmu zajmować się zresztą nie warto; jest on zjawiskiem pozaustrojowym i należy do innej sfery zjawisk) jest zrozumiałe: wszyscy sygnatariusze listu, podobnie jak ten, który dał do niego powód, spędzili w partii całe swoje dotychczasowe dorosłe życie. Ich wiarę w to, iż „moralna za jej działalność odpowiedzialność” nie pozwala na dezercję, można w końcu zrozumieć, szczególnie, gdy na sprawę patrzeć mniej schematycznie, niż się to robi obecnie.

Mimo to nie sposób oprzeć się pytaniu, jak możliwa była jeszcze wciąż owa — jak to określił Konwicki — wizja „socjalizmu naiwnego”, który budować chciano wraz z partią i to w Polsce, a nie na księżycu. To przecież Kliszko miał rację indagując Newerly’ego: „Dlaczego więc je-



steście w takiej partii, jak ją Kołakowski ocenia? Dlaczego go bronicie, żeby go nie wykluczać z partii? Co to znaczy, nie ma wolnych wyborów, nie ma swobody zrzeszania się? [...] Czy on żyje na księżycu, czy w Polsce?”.

Bilans dziesięciolecia 1957-66 wyglądał wszak (by ograniczyć się do przykładów ważnych dla intelektualistów) następująco: zlikwidowane zostały wszystkie tygodniki młodej inteligencji z »Po prostu« na czele; zmieniono uznane za zbyt liberalne redakcje wielu pism; zawieszono obiecane zgody na wydawanie pism nowych, powołano zaś do życia — bojkotowany przez pewien czas — nowy tygodnik »Kultura«, podejmujący program „walki z reakcyjną ideologią”; trwała kampania przeciw pisarzom ośmielającym się jawnie bądź pod pseudonimami współpracować z paryską »Kulturą« czy londyńskimi »Wiadomościami« — wydano w związku z tym parę sądowych wyroków; tolerowano wprawdzie dość nieraz śmiałe dyskusje na pisarskich zebraniach, ale nic z nich nie dostało się na łamy prasy, a po zlikwidowaniu Klubu Krzywego Koła i Grupy „Przedmieście” także na inne publiczne fora.

Pamiętając o tym wszystkim trudno z okazji sprzeciwu wywołanego sprawą Kołakowskiego nie powtórzyć słów Herlinga-Grudzińskiego, napisanych zresztą z okazji o dwa lata wcześniejszej, bo w związku z Listem 34: „Jeśli cokolwiek można mu zarzucić, to to, że narodził się dość późno”<sup>10</sup>.

I nie sposób o tym wszystkim zapomnieć czytając — z pewnością nie skłamane a późniejsze o lat dwadzieścia dwa wyznanie Kołakowskiego: „Wielu z nas — mówię nadal o tych samych uczestnikach rewizjonistycznego nurtu, a więc o ludziach rodowodu komunistycznego — przestało się uważać za komunistów w rozpoznawalnym sensie dość wcześnie, w ciągu 1955-go roku, większość jednak (wśród nich i ja sam) przechowała swoje partyjne legitymacje w mniemaniu — nie całkiem może błędnym, gdy je abstrakcyjnie wysłowić, ale w sumie bodaj mylącym i dopuszczającym zbyt wiele dwuznaczności — że skoro partia jest jedyną czynną formą życia politycznego, warto z tej formy korzystać na rzecz jakichś ulepszeń w życiu społecznym”<sup>11</sup>.

---

<sup>10</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Memoriał Trzydziestu Czterech*, »Kultura«, Paryż, nr 5/1964.

<sup>11</sup> Leszek Kołakowski, *Postowie do Pochwała niekonsekwencji*, Puls, Londyn 1989.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, iż to, co w roku 1988 objawiło się już Kołakowskiemu<sup>12</sup> jako oczywiste złudzenie, w roku 1966 mogło się zdawać jeszcze przekonaniem racjonalnym. Lecz już wtedy było chyba dość dobrze wiadomo, że wpływowych „uczestników rewizjonistycznego nurtu” na życie społeczne — choć w sferze moralnej nie bez wielkiego znaczenia, w sferze konkretnych posunięć władz był prawie żaden. „Polska lewica” w sposób zorganizowany działać mogła istotnie tylko w PZPR — bo o opozycji w rozumieniu drugiej połowy lat siedemdziesiątych nikt jeszcze nie myślał — ale płaciła za to zbyt chyba wysoką cenę. Nawet jeśli stosowała się do zasady moralnej wyłożonej przez Kołakowskiego w roku 1957 w »Po prostu«: „Lewica nie odmawia kompromisów z rzeczywistością, żąda jednak nazywania ich kompromisami. Lewica będzie przeciwdziałać dorabianiu ideologii do wymogów chwili”<sup>13</sup>, to — gdy chodzi o obietnicę zawartą w drugim zdaniu — realizowała ją głównie w dość zamkniętym środowiskowym kręgu. Nieortodoksyjni, otwarci, wybitni itd., itd. partyjni intelektualisci podnosili przede wszystkim w oczach swoich kolegów prestiż swych związkowych organizacji partyjnych. Tym bardziej, że na większość — jednoznacznych przecież i nie pozostawiających złudzeń — wydarzeń reagowano dość niemrawo, w każdym razie na forum szerszym. Wyraźniejsze zbiorowe protesty artykułowano głównie na związkowych zebraniach i zjazdach, zaś dwa grupowe wyjścia z partii spowodowane były wydarzeniami bardzo bliskimi „własnemu ciału”. Grupa „Europy” wystąpiła z niej na skutek cofnięcia zgody na wydawanie własnego pisma, a nie na przykład na znak protestu wobec likwidacji »Po prostu«. „Szesnaście” z roku 1966 dystansowało się wyraźnie od

<sup>12</sup> Pisał dalej: „Mniemanie to [...] nie było może całkiem oparte na urojeniu, o ile obecność w partii znacznej ilości ludzi tego rodzaju ułatwiała korozję ideologiczną systemu, biorąc jednak pod uwagę całe *dossier* rządów komunistycznych [...] przyniosło, być może, więcej szkód niż pożytku [...] tym bardziej, że nikt z nas [...] nie miał wpływu na żadne decyzje polityczne”.

<sup>13</sup> Leszek Kołakowski *Sens ideowy pojęcia lewicy*, »Po prostu« nr 8/1957. Jeśli idzie o zgodę na pewien — nieodzowny czasem kompromis — nazywany jednak po imieniu, bardzo podobnie, choć ostrzej pisał mniej więcej w tym samym czasie Andrzej Kijowski: „Nie zagraża nam władza, która mówi jestem władzą. Nie zagraża nam racja stanu, która mówi: jestem racją stanu. Zagraża nam tylko władza, która mówi: jestem wolą mas, a nie jest wolą mas. Zagraża nam racja stanu, która mówi: jestem ideą wolności, braterstwa, pokoju.” (»Nowa Kultura«, nr 48/1956.)

*Listu otwartego* Kuronia i Modzelewskiego, kwestionując co najwyżej partyjną metodę polemiki, polegającą na wsadzaniu ludzi na trzy lata do więzienia. Nawet Kołakowski mający odwagę zająć wobec tego jakieś (poza czysto retorycznym) stanowisko w odwołaniu od decyzji CKKP w swojej sprawie podkreślał: „W związku z dokumentem podpisanym przeze mnie — wspólnie z profesorami Kotarbińskim i Ossowskim — na użytek procesu Modzelewskiego i Kuronia, powtarzam [...]: dokument ten miał charakter wyjaśnienia sądowego i wykazywał, że [...] skazanie oskarżonych za rozsiewanie fałszywych wiadomości było bezprawne. Dokument ten nie zawierał ani nie sugerował solidarności z treścią programów sporządzonych przez Kuronia i Modzelewskiego, nigdy i nigdzie zresztą aprobaty takiej nie udzielałem”.

Ta wstrzeźliwość charakteryzowała zresztą nie tylko literatów partyjnych. Nawet w sprawie *Listu 34* łatwiej było zorganizować władzom 600 podpisów pod potępiającym go oświadczeniem niż ludziom solidaryzującym się z nim po cichu — zdobyć się na głośny wyraz poparcia. W sprawie Millera, Grzędzińskiego i Mackiewicza walne zebranie warszawskiego oddziału ZLP wypowiedziało się następująco: „Walne zebranie wypowiada się za jak najszerszą i jak najswobodniejszą dyskusją pisarzy na temat wszystkich nurtujących środowisko pisarskie [podkr. M.F.] problemów [...] uważa jednak, że istnieje nieprzekraczalna granica między najbardziej nawet krytycznymi, wywołanymi obywatelską troską wypowiedziami w dyskusji wewnątrz krajowej a międzyobywatelskim niełojalnym wykorzystywaniem obcej propagandy”<sup>14</sup>. Jakby dyskusji „wewnątrz krajowej” nie uniemożliwiała skutecznie cenzura.

Nawet w roku 1968 niewątpliwa solidarność środowisk intelektualnych wobec marcowej kampanii artykułowana była (wbrew legendzie) w sposób jednoznaczny i otwarty tylko ustami swych nielicznych przedstawicieli, zresztą prawie wyłącznie ze środowisk uniwersyteckich i pisarskich. I sytuacja ta — zmieniając się już w drugiej połowie lat siedemdziesiątych — radykalnie odmieniła się dopiero po 13 grudnia.

A przecież równocześnie to właśnie pisarze — bezpartyjni i partyjni — stali się w tamtych i nieco późniejszych latach symbolem sumienia. Jeśli nawet nie wywiązywali się zbyt dobrze ze swego posłannictwa (tego,

---

<sup>14</sup> Archiwum oddziału warszawskiego ZLP.

które sami w końcu — wzorem romantyków — pragnęli wziąć na swoje barki), to trzeba powiedzieć, że nikt wtedy nie miał o to specjalnych pretensji. Społeczeństwo, w swej ogromnej masie „realny socjalizm” znosiło wprawdzie nie najlepiej, lecz bez specjalnego oporu. To prawda, że nie uległo komunistycznej doktrynie i kultywowało to, co w komunizm godziło: tradycję, katolicyzm, system niekoniecznie oficjalnych wartości i poglądów. Ale prawdą jest także, że stan swoistej schizofrenii i widocznego przecież zniewolenia, przywykło uznawać w jakimś sensie za naturalny. Zdumienie budzili raczej ci, co „czern” uparli się nazywać „czernią”, a nie na przykład „szarością”. To nie tylko studenci i pisarze z roku 1968 nie znaleźli w społeczeństwie oparcia; także robotnicy z Wybrzeża 1970.

Jeśli spojrzeć naprawdę uczciwie we własne sumienie, okaże się, że tylko nieliczni spośród tych, co spędzili w PRL znaczną część swego dorosłego życia, nie mieli żadnego udziału w podtrzymywaniu komunizmu, a nawet, że nie czerpali z niego żadnych korzyści. Gdyby wszyscy byli tak waleczni, nieprzekupni, jak teraz twierdzą, komunizm padłby już temu lat ...dzieści, nawet gdyby razem z nim zniknąć miała z mapy Europy Polska. Chyba, że przyjąć za prawdziwą, nowatorską tezę profesora Giertycha, wyłożoną nie tak znów dawno w przedwyborczym studio, iż dostępu do opozycji bronił polskiemu społeczeństwu jakiś syjonistyczny spisek.

W modnych dziś rozważaniach na temat tego, czy ustrój PRL był systemem totalitarnym, twierdzi się dość często, iż o prawdziwym totalitaryzmie mówić można tylko w okresie stalinowskim<sup>15</sup>. Jeśli przyjąć, iż niezbywalną cechą totalitaryzmu jest krwawy terror, wolno się z tym zgodzić. Jeśli jednak uznać, iż totalitaryzm polega głównie na uzurpowaniu sobie przez władze prawa do ingerencji nie tylko w całą sferę życia publicznego, ale i w prywatne przekonania oraz w — mniej lub bardziej — doskonałą realizację tej idei, to powiedzieć trzeba, iż powszechny opór wewnętrzny wobec tej metody silniejszy był w latach stalinizmu (mimo sporej ilości gorliwych intelektualistów, „wściekle czerwonych” ZMP-owców etc.) niż w okresie znacznie liberalniejszego Gomułki z lat sześćdziesiątych czy też Gierka. Wolno chyba powiedzieć nawet więcej. Tak

---

<sup>15</sup> Por. m.in.: *Czy PRL była państwem totalitarnym?* — stenogram konwersatorium pod kier. A. Paczkowskiego z wprowadzeniem do dyskusji Krystyny Kersten, Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1991.

jak niegdyś „ukąszona przez Hegla” inteligencka i młodzieżowa awangarda nowej wiary stanowiła w — milczącym z konieczności — narodzie mniejszość (niezwykle zresztą niebezpieczną), tak i później zbuntowani już intelektualiści stanowili nikły tylko procent społeczeństwa.

Czy oznacza to, iż protesty i rozterki „rewizjonistów” z lat sześćdziesiątych nie miały w ogóle znaczenia? Wręcz odwrotnie. Jest zapewne sporo przesady w retrospektywnej konstatacji Kołakowskiego: „rewizjonizm miał w tych latach niejaką skuteczność i chociaż, z jednej strony, przyczyniał się do podtrzymywania mylnej wiary, iż komunizm da się zreformować na podstawie własnych swoich założeń ustrojowych, to w ogólnych wynikach [...] miał głównie destrukcyjną rolę i demontował stopniowo wszystkie części urzędowej ideologii marksizmu-leninizmu”<sup>16</sup>. Jednak, niezależnie od tego, że o demontażu komunizmu nie zdecydowali intelektualiści, jest faktem, że istnieje wyraźna ciągłość (także w znacznym stopniu personalna) między „rewizjonizmem” ery Gomułkowskiej, opozycją — wyzbytą już złudzeń co do „reformowalności” komunizmu — z czasów „późnego Gierka” a Sierpniem ‘80, w którego narodzinach intelektualiści mieli przecież od czasów KOR-u i »Robotnika« swój udział.

Problem w tym tylko, jak o owym związku między działaniami partyjnych, przywiązanych do ideałów Października „lewicowców” a fiaskiem komunistów w czerwcu roku 1989 przekonać tych, dla których Sierpień ‘80 jest jedynie niejasnym wspomnieniem dzieciństwa. Niezbyt wrażliwych na argumenty dowodzące, iż złożenie podpisu pod listem protestacyjnym — choćby w sprawie wydalonego z partii wybitnego kolegi — wymagało w połowie lat sześćdziesiątych prawdziwej odwagi.

Tym bardziej, że w ocenie owych faktów przez młodych tkwi — obok zgubnej skłonności do ahistorycznego myślenia — niezbędna wszak dla społecznego zdrowia potrzeba jasnego rozróżniania między tym, co uznaje się za dobro lub zło, odwagę lub tchórzostwo, etc. — bez obowiązujących dawniej przymiotników: „mniejsze”, „większe”, „względne”, „konieczne”.

[1992]

---

<sup>16</sup> L. Kołakowski, *Postowie do: Pochwata niekonsekwencji*, op.cit.



## Marzec '68. Za kogo się wstydzimy?

Najbardziej zdumiewającym fragmentem tej książki<sup>1</sup> jest parę zdań zawartych we wstępie: „Co się zaś tyczy archiwów to — jak się wydaje — niektórzy historycy przeceniają ich wartość. Wielu uważa, że dostęp do Centralnego Archiwum Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Centralnego Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Archiwum Akt Nowych i archiwów wojewódzkich pozwoli wyświetlić wszystkie tajemnice i zagadki historii PRL. Otóż niezupełnie. Z rozmów z osobami, które uzyskały dostęp do tych archiwów, wynika, że wielu dokumentów, które w nich powinny się znajdować po prostu tam nie było. [...] Pamiętać należy także o fałszowaniu dokumentów [...]. To, że jakiś dokument znajduje się w danym archiwum, wcale nie musi oznaczać, że zawiera informacje prawdziwe”.

Zdumiewa tu wszystko: fakt, iż autor tych słów sam jest historykiem, a nie, na przykład, pamiętnikarzem, że jako autor pierwszej tak obszernej „odkłamującej” monografii Marca ufa — w sprawie stanu archiwów dotyczących tego okresu — osobom trzecim<sup>2</sup>, a wreszcie, że usprawiedliwienia szuka w nad wyraz niebezpiecznym argumente o pozorze prawdy. Wyrazić je można w haśle: nie ufajcie dokumentom.

Ostrożność w traktowaniu dokumentów jest oczywistą cnotą niezwykle u historyka pożądaną, jednak tylko wtedy, gdy oznacza krytyczne do nich podejście. W sformułowaniu Eislera wydaje się być wszakże tożsąma z ich lekceważeniem.

Książka, wydana w roku 1991, pisana była w okresie znacznie wcześniejszym, gdy omijanie archiwów było po prostu koniecznością — jeśli

---

<sup>1</sup> Jerzy Eisler, *Marzec 1968*, PWN, Warszawa 1991.

<sup>2</sup> W istocie, choć archiwa te przynoszą rozczarowanie, kryją w sobie nad wyraz smakowite niespodzianki.

nawet ktoś do nich dotarł i tak nie mógł ze zdobytej tam wiedzy zrobić publicznego użytku. Zacytowane zdania można więc traktować jako perswazyjne bądź samoperswazyjne, a więc usprawiedliwiające sens podjęcia pracy wbrew warunkom tak poważnie ją ograniczającym. Mimo to nie powinny zostać napisane. Przydałoby się raczej wyjaśnienie, bez którego konsekwencja, z jaką Eisler przestrzega swej „antyarchiwalnej metody” (nawet archiwa prywatne wykorzystane tu zostały w niewielkim bardzo stopniu), musi budzić usprawiedliwioną nieufność. Tym bardziej, że materiałem dowodowym czyni Eisler cudze ustne i drukowane relacje, jakby zapominając, że tu jeszcze łatwiej o zafalszowania, nie tylko świadome, lecz i półświadome, a nawet więcej, że zafalszowania takie są (nawet przy najlepszej woli i uczciwości rozmówców) nieuniknione, bo pamięć ludzka jest zawodna i selektywna; zjawiska sprzed lat dwudziestu trudno oceniać z nieskażonej myśleniem dzisiejszym ówczesnej perspektywy, etc., etc.

Eisler w gruncie rzeczy wie o tym dobrze i, gdyby wyrazić zgodę na obronę przez niego metodę, trzeba stwierdzić, że w wyznaczonych granicach porusza się uczciwie. Konfrontuje z reguły różne, w interpretacji i szczegółach, wspomnienia, nie sugeruje — poza przypadkami oczywistymi — iż tak właśnie „było naprawdę”, odwrotnie, wielokrotnie ostrzega, iż rzecz mogła wyglądać inaczej. Podobnie postępuje z cudzymi tekstami, choć często zawodzi go w ich doborze intuicja lub też (jak choćby w wypadku cytowanych parokrotnie *Mandarynow* i *gryzipiórków* Lisieckiej) nie daje im niezbędnego komentarza.

Efekt końcowy w sferze „prawdy historycznej” ocenić winni specjaliści: na ocenę taką istotnie wiarygodną trzeba będzie pewnie poczekać. Jeśli sądzić po rozdziałach, poświęconych *Dziadom* czy lutowemu zebraaniu literatów bardzo wiele spraw domaga się sprostowania, a prawda nieraz miesza się z legendą. Czasem legendzie przyznaje się prawo obywatelstwa zbyt łatwo, co wynika — jak się zdaje — nie tylko z luk spowodowanych brakiem dostępu do dokumentów, ale także z wyraźnego preferowania rozmówców — polityków raczej niż ludzi kultury<sup>3</sup>.

---

<sup>3</sup> Przykładem niech będzie zdanie dotyczące inscenizacji Dejmka: „trudno dziś osądzić, czy [...] arcydziełem, czy tylko wydarzeniem teatralnym”, jakby nie można było zebrać jakichkolwiek — choćby niejednoznacznych — informacji na ten temat u budzących zaufanie onegdajszych widzów. Nieścisłości związane z *Dziadami* wyjaśnił niedługo m.



Z tym wszystkim monografia Eislera jest książką ważną. Przynosi sporo szczegółów mało lub powierzchownie znanych (szczególnie wrażenie robi rozdział, poświęcony antysemickim czystkom, w którym po raz pierwszy pokazano jak *m a s o w a* była skala tego zjawiska). Osadza Marzec w rzeczywistości wcześniejszych lat sześćdziesiątych, których był swoistym zwieńczeniem. Zmierając do przedstawienia obrazu „wyważonego i wolnego od politycznej emocji” w znacznej mierze celowi temu pozostaje wierna, odchodząc między innymi od tak modnego dzisiaj schematu czarno-białych życiorysów. Przy wszystkich swych wadach ma niezaprzeczalną zaletę: istnieje. Można i należy ją uzupełniać, prostować, zmieniać, ale rozległy fundament został położony. Jeśli nazwać ją — jak uczynił to Seweryn Blumsztajn w »Gazecie Wyborczej« — „pierwszą przymiarką do Marca”, to jest to z pewnością przymiarka posuwająca sprawę naprzód.

Pytanie tylko, jak będą wyglądały przymiarki bardziej zaawansowane. I w tym miejscu rodzą się wątpliwości poważniejsze niż niepokój, związany z jedną książką.

Nastał dziś czas zapisywania „białych plam”. Każdy, kto zechce — źle czy dobrze, powierzchownie czy przenikliwie, demagogicznie bądź sumiennie — korzystać może z dobrodziejstw zniesienia cenzury, przynajmniej tej o nazwie Głównego Urzędu... Na temat Marca oraz wielu wcześniejszych i późniejszych PRL-owskich „kryzysów” powstanie (już powstało) wiele książek, artykułów, przyczynków. Będą ujawniać (już ujawniają) coraz to nowe akty przemocy i bezprawia. Być może zdemaskować się uda nawet wiele manipulacji, związanych z preparowaniem dokumentów. W tym sensie opis zdarzeń stanie się — kto wie — tak bliski „prawdy”, jak tylko to jest możliwe. Czy jednak będzie to istotnie obraz maksymalnie „prawdziwy”? Otóż nie sądzę. Przynajmniej tak długo, jak długo nie uda się przekroczyć zaklętego kręgu stereotypów. A więc tak długo, jak długo rozliczenia z komunizmem nie wyjdą poza rozrachunki z władzą.

---

in. dwie prace historyków teatru: złożony już dawno do druku *Raptularz 1967–68* Zbigniewa Raszewskiego i przygotowywana przez Edwarda Krasińskiego monografia *Dziadów '68*. Z żadnym z tych autorów Eisler nie rozmawiał, opierając się głównie na niezbyt ścisłych relacjach zamieszczonych w »Res Publice« nr 3/1988.

W momencie, kiedy Eisler przygotowywał swe dzieło, nie było to rzecz jasna ani możliwe, ani pożądane; trudno wystawić rachunki grzechów tym, którzy tak czy owak skazani są na, zbyt ciężką nieraz, pokutę. Ale „uczucie niedosytu”, o jakim mówią ci, co książkę już czytali, wynika nie tylko z faktu, iż „raz jeszcze historia prześcignęła jej badacza”, ujawniając to, co w trakcie jego pracy było obwarowane licznymi tabu. W końcu na okrzyk „znamy to, znamy” mogą wciąż jeszcze pozwolić sobie tylko nieliczni, przynajmniej, gdy od wiedzy bardzo ogólnej przejść do konkre- tów. Pewna banalność *Marca 1968* zasadza się więc (przynajmniej dla piszącej te słowa) nie na tym, iż nie przynosi on aż tylu rewelacji, jakby się chciało, ale na specyficznej „schematyczności” spojrzenia. „Schematycz- ności”, którą odczuć można dopiero obecnie, a więc niezawinionej wła- ściwie przez autora; ten miał bowiem do zwalczenia inne schematy, w mniej lub bardziej propagandowym stylu powielane przez oficjalne publi- kacje. Wiele z nich zdemaskował zresztą, dzięki pewnej bezstronności i niezależności sądu wychodząc też — na ile było to wówczas możliwe — poza schemat „opozycyjny”. Dziś okazuje się jednak, że w końcu pozostał w niewoli obydwu. Oba przecież, choć w całkowitym odwróce- niu perspektyw, dostrzegały sprawę Marca tylko poprzez opozycję: rzą- dzący i ich partyjne rozgrywki oraz zbuntowani przeciw nim studenci i intelektualisci.

Zawiera się w tym oczywiście jakaś prawda o Marcu. Nawet nie „jakaś”, lecz spora. Władza i walczący o władzę (wszystko jedno Gomuł- ka, Gierek czy Moczar) postępowali haniebnie. Studenci — a w każdym razie bardzo wielu spośród nich — doznali bezmiaru krzywd, także w sen- sie dosłownym, fizycznym: bici, aresztowani, poniewierani. W sposób niezwykle prawy i, jak na swe przyzwyczajenia, nadzwyczaj odważny zachowała się część intelektualistów, głównie pracowników wyższych uczelni i pisarzy. Czy jednak część tak znacząca, jak skłonni jesteśmy wierzyć ?

\* \* \*

Zacząć pewnie wypada od siebie. Wiosną 1968 pisywałam recenzje teatralne we »Współczesności«. Nie uważałam się za osobę szczególnie nieprzyzwoitą i nie dawano mi odczuć, że nią jestem. W tygodniku »Współczesność«, jako pismo społeczno-kulturalne zresztą dość cenio- nym, ukazało się wówczas — jak wiadomo — oświadczenie Józefa Le-

narta, żądające wyrzucenia z ZLP „wichrzycieli” oraz piętnujące inspiratorów zająć na uniwersytecie. Właśnie przestano grać *Dziady*, Dejmek podał się do — nie przyjętej jeszcze — dymisji, wkrótce Tarn musiał odejść z »Dialogu«. Pisywanie recenzji sprawiało mi przyjemność, były to recenzje z przedstawień politycznie obojętnych, książek o teatrze, scenograficznych wystaw, etc. W »Życiu Literackim« Władysława Machajka, »Miesięczniku Literackim« Sokorskiego, nie bojkotowanej już »Kulturze« Wilhelmię ogłaszało swe teksty, poświęcone literaturze, teatrowi, filmowi, plastyce, filozofii wielu ludzi nie tylko nie mających nic wspólnego z reżimem, ale wyrażających przy wielu okazjach całkiem śmiało swój niechętny do niego stosunek. Wszyscy byliśmy po „właściwej” stronie: studentów, „Kisielewskich”, „Michników” oraz „syjonistów” żegnanych na Dworcu Gdańskim. Żaden z tekstów przez nas napisanych nie zawierał niczego, pod czym chciałoby się teraz wymazać swój podpis. To, że ukazywały się w pismach, których redaktorzy naczelni popierali „marcową kampanię” wydawało się jakby sprawą przypadku. Nie trzeba więc było specjalnie „grubej kreski”, aby o owej kolaboracji-niekolaboracji zapomnieć.

Tym bardziej, że była to wówczas forma współegzystencji z systemem raczej powszechna. Przyjemnie jest dziś o tym nie pamiętać, pielęgnując tak bardzo poprawiającą samopoczucie myśl, że się jednak było „przeciwn”, prawdą jest jednak, iż ogromna większość inteligencji, także tej, która przywykła do publicznego posługiwania się piórem i którą „kampania marcowa” napawała obrzydzeniem, w żaden publiczny sposób obrzydzenia tego nie artykułowała. Nie rezygnowano na ogół, na znak solidarności z wyrzuconymi z pracy kolegami, z własnych posad, nie rezygnowano ze współpracy z instytucjami, wydawnictwami, miesięcznikami i tygodnikami, na których czele stali ludzie darzeni skądinąd pogardą, nie pisano protestów. To prawda, okazywano często — na prywatne (choć nie tajne policji) sposoby — sympatie represjonowanym, dotyczyło to jednak, po pierwsze, wąskich środowisk<sup>4</sup>, a po wtóre, owe ludzkie i nie pozbawione ryzyka odruchy (zapisane między innymi w cytowanych przez

---

<sup>4</sup> Nawet jeśli były to instytuty PAN (jak IBL i IS) bądź nieliczne redakcje, z których głównie »Pamiętnik Teatralny« stał się dla wielu politycznym azylem.

Eislera relacjach Baumana i Morawskiego) mają — oglądane z obecnej perspektywy — wymiar tragikomiczny.

Kiedy Koło „Znak” — w osobach pięciu swoich przedstawicieli — zostaje, za swą nienadmiernie przecież radykalną<sup>5</sup> interpelację, zmieszane w Sejmie z błotem, nikt nie udziela mu ostrożnego choćby poparcia ani na sali obrad, ani w kularach: „Gdy pod wieczór posłowie Znak u opuszczali gmach Sejmu, wokół nich była pustka. Tylko poseł Stefan Żółkiewski podszedł w hallu do Zawieyskiego i ucałował go”. Cały dzień trwał natomiast „orwellowski »seans nienawiści«”<sup>6</sup>. A przecież w Sejmie zasiadali wówczas także ci, którym owa nienawiść musiała wydawać się odrażająca.

Wcześniej (6 marca, a więc już po lutowym zebraniu Oddziału Warszawskiego ZLP) w obronie studentów wystąpi w swym liście do rektora UW sześciu zaledwie literatów: Andrzejewski, Bocheński, Jastrun, Konwicky, Słonimski, Wańkiewicz. Jeszcze wcześniej, 7 lutego, dokładnie w dzień po ogłoszeniu wyroku na Janusza Szpotańskiego, trzech pisarzy — Jasienica, Słonimski i J. Żuławski — przynosi na zebranie Zarządu Pen-Clubu projekt rezolucji, w której obok protestu w sprawie *Dziadów* znajdzie się apel o uniewinnienie więzionych za przekonania pisarzy greckich i rosyjskich (między innymi Siniawskiego i Daniela). Po dyskusji z projektu pozostaje niewiele: decyzja o interwencji MKiS i to wyłącznie w kwestii pierwszej. W Wydziale Kultury KC znajdzie się natychmiast optymistyczna — nie bez powodu — *Notatka na użytek*: „Niepowodzenie opozycji w Pen-Clubie wydaje się potwierdzać tezę, iż większość pisarzy nie jest w tej chwili skłonna do zaognienia sytuacji”<sup>7</sup>.

Protest przeciw wejściu wojsk do Czechosłowacji złożyli tylko Andrzejewski i Mycielski, i poza krajem — Mrozek.

W archiwum tegoż Wydziału pośród niezwykle licznych „wyrazów poparcia” dla linii politycznej partii (udzielały go małe i duże zakłady

<sup>5</sup> Jest tam wprawdzie fragment, mówiący o „zagrożającej życiu” brutalności milicji, a decyzja o zdjęciu *Dziadów* nazwana zostaje „ingerencją zagrożającą swobodzie życia kulturalnego i uwłaczającą narodowym tradycjom”, ale mówi się też dwukrotnie, iż protest przeciw tym aktom nie może być utożsamiany z „wrogą postawą wobec socjalizmu”.

<sup>6</sup> Oba cytaty za Eislerem, s. 333.

<sup>7</sup> AAN, zespół KC PZPR, sygn. 237/XVIII-312.

przemysłowe, instytucje kulturalne: zawodowe i niezawodowe — wraz ze Związkiem Teatrów Amatorskich i Stowarzyszeniem Fotografików Amatorów) znaleźć można trzy czy cztery listy sprzeciwu. Wszystkie zresztą anonimowe. Jeden z nich napisany przez nauczycieli — w obronie Kołakowskiego, Baumana i... Schaffa — kończy znamienne zdanie: „Powinniśmy podpisać ten list, ale to nie my stworzyliśmy szkołę cynizmu i kunktatorstwa w tym kraju [...] i dlatego wolimy być tchórczami, a nie jeszcze jedną grupą naiwnych”<sup>8</sup>.

Istotnie, poparcie udzielane represjonowanym (czy to „wichrzycielom”, czy zwalnianym z pracy osobom żydowskiego pochodzenia) kończyło się zazwyczaj kolejną represją: dotyczyła ona obrońcy. Czy jednak całkowicie bez znaczenia był fakt, iż owi obrońcy działali na ogół w pojedynkę?

Oczywiście, nawet działania bardziej powszechne mogły nie mieć żadnego znaczenia. Mogły, ale nie musiały — dowodem przykład z pozoru drobny. Usunięty z SDP January Grzędziński pozostał (wraz z Jasienicą i Kisielewskim) członkiem ZLP mimo silnych presji na Zarząd Główny, i na Sąd Koleżeński. Trzeba było dopiero późniejszego o rok Walnego Zjazdu w Bydgoszczy, aby i związek pisarzy zaakceptował bezprawie.

Ów Zjazd Bydgoski ginie zresztą całkowicie w cieniu, wspomnianego już w tym miejscu, lutowego zebrania literatów warszawskich<sup>9</sup>. Nic dziwnego: w Bydgoszczy działy się rzeczy raczej wstydlive, w Warszawie — bohaterskie. Heroizm a nie konformizm nadają się do legendy.

A przecież prawda o Marcu zawiera w sobie jedno i drugie.

Zebranie Oddziału Warszawskiego zostało już opisane tyle razy<sup>10</sup>, że nie ma powodu relacjonować go raz jeszcze. Jeśli nie liczyć wieców i strajków studenckich była to z pewnością jedyna manifestacja środowiskowej solidarności. Wyrażała ją gorąca atmosfera sali, aplauz z jakim

---

<sup>8</sup> j.w.

<sup>9</sup> Także Eisler, poświęcając mu — słusznie zresztą — osobny rozdział, wszystkie inne narady pisarzy pomija.

<sup>10</sup> Poza Eislerem i cytowanymi przez niego źródłami, przypomniawszy o nim »Wezwanie«, zaś w Archiwum KC PZPR (AAN, sygn. 237/XVIII-319) znajduje się pedantyczna z niego relacja wraz z rejestracją wszystkich wystąpień, a nawet „głosów z sali”, często zidentyfikowanych.

przyjmowano — niezwykle ostre — wystąpienia opozycji, a wreszcie owe 221 podpisów, złożonych pod rezolucją Kijowskiego. Nawet literaci, reprezentujący w wyraźny sposób odgórną linię partii, czuli to wyraźnie. Henryk Gaworski krzyczał wprawdzie ze swadą: „Wara od nas, wara od naszych spraw [...] ze swoimi bólami poradzimy sobie bez znakomitych recept i judaszowych rad różnego autoramentu wybawców”<sup>11</sup>, ale nawet Putrament stracił głowę i począł apelować o poparcie dla Gomułki, choć to przywódca nie bez wad i do negocjacji trudny. Tłumaczył się zresztą z tego niebawem w pisemnej samokrytyce, złożonej 10 IV na ręce Kliszki: „gdybym mówił o nim w tonie podniosłym, nikt by nie zareagował na końcowy argument polityczny [...] Nie przypominam sobie, abym użył zwrotu »facet«, użyłem natomiast zwrotu »człowiek«”<sup>12</sup>.

„Końcowy argument polityczny” to oczywiście nakłanianie zebranych do podpisywania konkurencyjnej „rezolucji Dobrowolskiego”. W tym zakresie osiągnął I sekretarz POP rezultat w dosłowny sposób połowiczny: podpisały ją bowiem 124 osoby.

W konfrontacji z nastrojem sali i treścią wystąpień nie tylko Kisielewskiego, Słonimskiego, Kołakowskiego, Grzędzińskiego, Jasienicy, Bocheńskiego, lecz także Mariana Grześczaka i Andrzeja Tchórzewskiego<sup>13</sup> podpisy te wydawały się aktem partyjnego konformizmu. Były nim w znacznym stopniu, nie mówiąc o tym, że dla wielu sygnatariuszy stanowiły po prostu formę wywiązania się z postawionego przed nimi partyjnego obowiązku<sup>14</sup>.

Ale już z perspektywy kilku następnych tygodni ten konformizm nabrał cech odwagi. Zresztą po słynnym wystąpieniu Gomułki 19 marca w Sali Kongresowej — wystąpieniu poprzedzonym „spontanicznymi

---

<sup>11</sup> AAN, zespół KC PZRP, sygn. 237/XVIII-319.

<sup>12</sup> Wystąpienie swoje uznał Putrament w całości za „nieudane, nieskuteczne a zatem politycznie szkodliwe”, a niejasne, składane w jego trakcie obietnice obopólnego „dogadania się” stron za „ponizanie się moje, bądź co bądź sekretarza organizacji partyjnej wobec wrożej większości na sali”. Archiwum, j.w.

<sup>13</sup> W *Notatce na użytek KC* zwrócono uwagę, że tych dwóch członków partii zajęło „stanowisko wymagające konsekwencji partyjnych”, Archiwum, j.w.

<sup>14</sup> Na zebraniu egzekutywy, poprzedzającym zebranie pisarzy uznano, że nie zajęcie stanowiska w sprawie *Dziadów* źle przysłuży się organizacji partyjnej w ZLP.

ulicznymi wiecami”, na których naród udzielał I sekretarzowi poparcia także w tępieniu „inspiratorów”<sup>15</sup> — nikt nie wyraziłby zgody na przedstawienie rezolucji nawet tak łagodnej.

Uderza bowiem fakt, na który nie zwraca się na ogół uwagi, że frontalny atak na środowisko literackie po zebraniu warszawskim nastąpił z niewielkim, lecz zastanawiającym opóźnieniem. Co prawda 2 marca na naradzie aktywu społeczno-politycznego w Komitecie Warszawskim mówiono o „reakcyjnej grupie członków [...] która z coraz większym zacieźtrzewieniem i wrogością atakuje Partię i Polskę Ludową”<sup>16</sup>, ale nie nadało jeszcze sprawie odpowiedniego rozgłosu. Podobnie na późniejszym o sześć dni posiedzeniu egzekutywy POP i Koła ZSL po zebraniu Oddziału padło wprawdzie zdanie, przedrukowane w numerze 7 »Współczesności«: „właśnie w wyniku tego zebrania wyraźnie zmieniła się płaszczyzna naszej walki z przeciwnikami”, ale wówczas można je było jeszcze uznać za ogólną, nie nową w końcu „wytyczną”. Zresztą ton sporządzonej tuż po 29 lutego *Notatki na użytek KC* ujawnił w ocenie sytuacji tak zwany „umiarkowany optymizm”. Odnotowując głosy sprzeciwu sali wobec niektórych fragmentów przemówienia Grzędzińskiego, jej autor pisał: „stanowiska [opozycji — M. F.] nie są przyjmowane bezkrytycznie [...]”. Można wnioskować, że skrajność tych stanowisk [...] prowadzi do pewnego otrzeźwienia grupy neutralnej”, można też „dostrzec szereg momentów dobrze świadczących o POP ZLP [...]”. Po entuzjastycznie przyjętym wystąpieniu Leszka Kołakowskiego, towarzysz Gaworski zdołał przynajmniej u części zebranych podważyć efekt wystąpienia”<sup>17</sup>. Ani słowem nie wspomina się tu też o gafie Putramenta; on sam swoją samokrytykę składał zresztą dopiero w jedenaście dni po wydarzeniu.

Datą decydującą o zaostreniu ataku na literatów oraz — co bardziej zrozumiałe na pedagogów uniwersyteckich był, jak się wydaje, 8 Marca. Wtedy też zaczyna się łączyć w sposób widowiskowy oba środowiska, co wyraża się choćby we wspólnym hasle: „studenci do nauki, pisarze do pióra”.

---

<sup>15</sup> Artykuł Gontarza w »Kurierze Polskim« ukazał się dokładnie na tydzień przed spotkaniem w Sali Kongresowej.

<sup>16</sup> »Życie Warszawy« z 3 marca 1968.

<sup>17</sup> Archiwum, j.w.

Do tej pory zjawisko potępiono wprawdzie, lecz zarazem jakby je bagatelizując. Zaostrzenie reakcji następuje jednak niemal z dnia na dzień, mimo że w środowisku literackim nie daje o sobie znać żadna eskalacja nastrojów, odwrotnie, rzecz na zewnątrz nieco cichnie, a w każdym razie nie zatacza szerszych kręgów. Najlepszym dowodem na to jest fakt, że — aby pokazać skalę niebezpieczeństwa — zarówno władze jak i dyspozycyjni dziennikarze musieli uciec się do zasady gramatycznej, stosowanej już w stalinizmie: owej przedziwnej liczby mnogiej, tworzonej od pojedynczych i wciąż tych samych nazwisk.

Bo nazwisk tych naprawdę nie ma aż tak wiele i — co istotne — większość z nich reprezentuje opozycję znacznie wcześniejszą niż Marcowa<sup>18</sup>. W tym sensie termin „notoryczna opozycja”, pojawiający się w większości „notatek służbowych” Wydziału Kultury, mniej i bardziej „tajnych”, ma swe uzasadnienie, choć niekoniecznie oznacza za każdym razem te same osoby. W grudniu 1968 obejmuje on Andrzejewskiego, Grzędzińskiego, Jasienicę, Kisielewskiego, Kolakowskiego, Międzyrzeckiego i ... Żółkiewskiego. Pojawia się też wtedy termin dodatkowy: „drugi rzut opozycji” (A. Braun, K. Brandys, W. Dąbrowski, J. Ficowski, J. Hen, P. Hertz, A. Kijowski, J. J. Lipski, A. Mandalian, S. Pollak), a także najłagodniejsze: „sympatycy opozycji” (R. Matuszewski, A. Szczypiorski<sup>19</sup>, W. Żółkiewska).

Do wszystkich tych trzech<sup>20</sup> grup można dodać oczywiście jeszcze szereg nazwisk — większość jest powszechnie znana, przytacza je nie tylko Eisler, ale i inne źródła. Są pośród nich i pisarze, i znani profesoria, głównie z wydziałów Socjologii, Filozofii i Ekonomii UW, strajku-

<sup>18</sup> Choć na przykład z sygnatariuszy *Listu 34* tylko Słonimski, Andrzejewski i Kisielewski zaistnieli naprawdę aktywnie w roku 1968.

<sup>19</sup> W związku z zaliczeniem Szczypiorskiego do tej właśnie kategorii, K. Rusinek wystosował list do KC, wykazujący bezzasadność zarzutu, co z kolei wywołało z drugiej strony odpowiedź dokumentującą jego słuszność. AAN, zespół KC PZPR, sygn. 237/XVIII-324.

<sup>20</sup> Umiłowanie do triady jest w podziałach partyjnych zastanawiające. Między innymi klasyfikację tę stosował w roku 1964 w stosunku do młodych pisarzy Namiotkiewicz: kryła się w tym ocena moralna (pisarze „dobrzy” — między innymi Bryll; „pośredni” — Stachura, W. Terlecki, K. Orłoś, Wojdowski; „źli” — Brycht, Iredyński, Nowakowski). Podobnie poprugował w Marcu 1968 ludzi żydowskiego pochodzenia Gomułka.



jący ze studentami polonistyki pracownicy IBL, nauczyciele szkół średnich i adwokaci.

Trzeba przyznać, iż chętnych do publicznego głoszenia fałszu nie było procentowo więcej niż chętnych do głoszenia prawdy; jedni i drudzy stanowili nikły procent nie tylko społeczeństwa, ale i własnego środowiska; wyraźną mniejszość w mniejszości. „Kampanię marcową” przeprowadzali bądź ludzie i dawniej od partii zależni (Putrament, Machejek, Przymanowski, Kąkol, Lenart i paru innych), bądź wcześniej ogółowi prawie nieznanymi (Gaworski, Gontarz). Dotyczyło to zwłaszcza dziennikarzy; większość z nich przypomniała o sobie znów dopiero w stanie wojennym.

Czy jednak ta wyraźna u większości niechęć do opowiadania się po stronie władzy miała głębsze praktyczne konsekwencje? Dawałam już wcześniej wyraz swym poważnym w tym względzie wątpliwościom, teraz wypada dorzucić do nich nowe. Ich sens zawiera przywołana już opozycja: zebranie w Warszawie i Zjazd w Bydgoszczy. O ile bowiem wszystkie partyjne wypowiedzi, mówiące o „pewnej izolacji” opozycjonistów od reszty związkowych kolegów wyglądały w lutym na nerwowe samopocieszenie, o tyle u schyłku roku rzecz wyglądała inaczej. Na poprzedzające Bydgoszcz grudniowe zebranie Oddziału Warszawskiego nie przybyła wcale „notoryczna opozycja”, co można uznać za walkower. Przybył wprawdzie ów „drugi rzut”, ale nikt z jego przedstawicieli nie zabrał głosu, mimo iż na zebraniu tym przedstawiono spreparowaną krótko przed nim listę delegatów na Zjazd i że Putrament wyjaśnił okoliczności jej powstania w sposób cynicznie otwarty: „Normalnie zmiany kandydatów ze Zjazdu na Zjazd były nieduże. Obecnie jest zmiana w 50% [...]. Nie mamy zamiaru ukrywać, że ten skład listy został w dużej mierze przez nas narzucony Zarządowi Głównemu [...], okazał on dość dużo zdrowego rozsądku, by porozumienia co do wspólnej listy nie zrywać”<sup>21</sup>.

Zmiany wymuszone na Zarządzie (warto dodać, że z Zarządu tego odszedł w tym czasie tylko Międzyrzeczki) były w rzeczywistości olbrzymie. Pod presją władz partyjnych usunięto 28 nazwisk (m. in. Andrzejewskiego, Bocheńskiego, K. Brandysa, A. Brauna, T. Burka, Kijowskiego, Kisielewskiego, Międzyrzeczkiego, Nowakowskiego, Odojewskiego, Sło-

---

<sup>21</sup> Archiwum KC PZPR, j.w.

nimskiego, J. Zagórskiego, Zawieyskiego). Wcześniej pod wpływem rozmów z egzekutywą wycofało zgodę na kandydowanie 17 osób, między innymi M. Brandys, Jasienica, Jastrun, Newerly, A. Rudnicki, a także Karst i Dawid Sfar; dwóch ostatnich dzięki zaaprobowanym na Zjeździe poprawkom do statutu ZLP wkrótce zresztą z listy członków skreślono. Z listy „partyjnej” weszły 22 osoby, między innymi: Bryll, Bratny, Grochowiak, Żalusi<sup>22</sup>.

Putramenta ani Zarządu nie wygwizdano, opozycja — jak głosiła „ściśle tajna” notatka w KC — „skoncentrowała się przeto na skreśleniu części partyjnego aktywu w tajnym głosowaniu” i wyszła.

Być może — a nawet z pewnością — nie wszystko odbyło się tak gładko, jak głosili przedstawiciele „partyjnego aktywu”. Faktem jest jednak, że odnieśli tym razem niezaprzeczalny sukces i że sprawdziła się ich wcześniejsza diagnoza, iż „skrajna opozycja” nie czuła już powszechnego wobec swych działań poparcia. Bardzo prawdopodobnie brzmiało więc zdanie, iż także trzech dalszych (wybranych w Warszawie) „sympatyków opozycji” (właśnie Matuszewski, Szczypiorski, Żółkiewska) zrezygnowało z wyjazdu do Bydgoszczy „po zorientowaniu się, iż będą stanowić na Zjeździe izolowaną mniejszość”<sup>23</sup>.

Nie znaczy to oczywiście, iż znaleźli się tam sami konformiści. W dyskusji nie brakło głosów krytycznych, między innymi Grochowiaka, Kubikowskiego, Bądkowskiego, Karpowicza, Mętraka. Zmiany w statucie, głównie punkt zezwalający na pozbawianie członkostwa za działalność „szkodliwą dla kultury socjalistycznej” i współpracę z ośrodkami wrogimi PRL, budziły dezaprobatę.

Ale gdy przyszło do głosowania, tylko Krzysztof Mętrak głosował przeciw, przy sześciu głosach wstrzymujących się. Proporcje w głosowaniu nad powołaniem Komisji Weryfikacyjnej były nieco lepsze (11 głosów przeciw), ale przy ogólnej liczbie stu kilkudziesięciu literatów i tak była to „lepszość” żałosna.

Między lutym 1968 a lutym 1969 wydarzyło się zresztą więcej rzeczy wstydlivych.

---

<sup>22</sup> Pełne listy nazwisk por. »Kultura Niezależna« nr 70.

<sup>23</sup> Archiwum, j.w.

2 kwietnia '68 warszawska POP ZLP podjęła rezolucję, w której po brutalnej „demaskacji” Grzędzińskiego, Jasienicy, Kisielewskiego zażądano wyrzucenia ich ze Związku, bo „poza granicami tolerancji w ZLP muszą znaleźć się ci pisarze, którzy z pozycji jawnie reakcyjnych [...] prowadzą [...] walkę polityczną, przeciw naszemu ludowemu państwu”<sup>24</sup>. Natychmiast posypały się wyrazy solidarności nie tylko z wszystkich bratnich POP innych oddziałów, ale i wielu zarządów. W swym „oburzeniu” starały się one nie tylko dorównać, ale wręcz zdystansować „rezolucję matkę”. Jedyna względnie liberalna POP krakowska została w osobach Hołuja i Broszkiewicza zbesztana na naradzie aktywu partyjnego w Warszawie nie tylko przez Kraškę, ale i przez wielu kolegów po piórze. I znów nikt (a byli na sali pisarze, żywiący w sprawie stosunku do „wydarzeń” znacznie więcej zastrzeżeń niż Hołuj i nie pozbawieni odwagi, co wykazał stan wojenny) nie udzielił organizacji tej poparcia.

A przecież środowisko pisarskie — głównie dzięki postawie stosunkowo licznych swych przedstawicieli — i tak wyszło z Marca najbardziej obronną ręką. Inni stawiali w zakresie „opozycji” zaledwie pierwsze nieporadne kroki. Gdy czytać ich apele, listy, rezolucje, uderza przedziwny rodzimy „machiawellizm” stylu. Gdy SPATiF-ZASP na zebraniu poprzedzającym o cztery dni zebranie lutowe literatów, zebraniu o wiele mniej burzliwym i umiarkowanym w słowach, lecz przecież odważnym (by wspomnieć bodaj śmiało wystąpienie Korzeniewskiego z głośnym werselem-cydatem o „rządzie dusz”), gdy więc na tym zebraniu sformułowane zostają na piśmie protesty związane ze zdjęciem *Dziadów* — i to bez „zasięgnięcia opinii Stowarzyszenia” — to sam „apel do KC” kończy zdanie być może głęboko ironiczne, a jednak dwuznaczne: prośba o „udzielenie władzom i instancjom terenowym dyrektyw, które usunęłyby źródło zarysowującej się w ostatnim okresie dezorientacji repertuarowej”<sup>25</sup>. Z kolei list ZG ZPAP, „dramatycznie oceniający fakt użycia środków porządkowych na terenie ASP w Warszawie” ów dramatyzm upatrywał jedynie w „moralnych następstwach w psychice przyszłych artystów i przyszłych członków ZPAP”, a na początku zapewniał, iż Związek „stoi na stanowisku socjalizmu [...] i stwierdza, że środowisko plastyczne ko-

<sup>24</sup> »Współczesność« nr 8/1968.

<sup>25</sup> AAN, zespol KC PZPR, sygn. 237/XVIII-315.

rzysta z pełnej swobody wypowiedzi artystycznej”<sup>26</sup>. I tak we wszystkich, bardzo zresztą rzadkich odruchach protestu: każda pretensja opatrzona jest mniej lub bardziej jawną asekuracją.

Większość środowisk nie musi zresztą bawić się w te — szlachetne w intencjach — dyplomacje. ZG ZAiKS zapewnia po prostu na początku marca o swym przywiązaniu do partii i pogardzie dla „inspiratorów”. Podobnie SDP, które po swym Zjeździe (14–15 marca) dokonuje w dodatku drastycznej weryfikacji członków. Nie mówiąc już o organizacjach partyjnych oraz POP-ach niektórych uczelni<sup>27</sup>.

Często te wielorakie — nie zawsze wszak wymuszone — „posłania do cara” poprzedzały gorące dyskusje, głosy sprzeciwu. W końcu jednak podpisywali je niemal wszyscy, jakby własny pogląd wydawał się nie tak istotny, skoro nie występuje się indywidualnie a za zasłoną instytucji.

A przecież wszystkie te Zarządy, Stowarzyszenia, Związki i POP-y to żywi ludzie, z których wielu do dziś wspomina Marzec z niesłabnącym oburzeniem, którego przy innych okazjach i wówczas zresztą nie kryli<sup>28</sup>. Nie opuszczali jednak swych stowarzyszeń, związków, partii<sup>29</sup> etc., wyrzekając się w imię dobra własnego — „ich dobra” (bo pojawiały się raz po raz szantaże, że „jeśli nie” to to i owo się zawiesi lub rozwiąże<sup>30</sup>).

I jeszcze do tego ci wszyscy nie zawsze zrzeszeni, na ogół bezpartyjni krytycy, zaświadczający — jak niżej podpisana — normalność bieżącego kulturalnego życia<sup>31</sup>.

<sup>26</sup> AAN, zespół KC PZPR, sygn. 237/XVIII-312.

<sup>27</sup> Nie miałam dostępu do teczek nie podlegających Archiwum Wydziału Kultury, a tu omawiano tylko szkoły artystyczne i to ze względu na właściwą lub nie postawę pedagogów wobec studentów, wyrażaną m. in. wspólnym podpisywaniem petycji. Najgorzej ocenione zostały w tym względzie przez partię łódzka PWSTiF oraz warszawskie: PWST i PWSM. Najpozytywniej uczelnie z Katowic, Gdańska, Poznania oraz łódzka PWSM.

<sup>28</sup> Właściwie jedyną organizacją, której członkowie zdobywali się wyłącznie na gesty poparcia a nigdy sprzeciwu, był PAX.

<sup>29</sup> W Oddziale Warszawskim zrobił to na zebraniu lutowym A. Braun.

<sup>30</sup> W materiałach KC poprzedzających Zjazd w Bydgoszczy znajduje się wyciąg z akt prawnych, dotyczący takiego właśnie „zawieszenia”.

<sup>31</sup> Uderzająca jest na przykład łatwość, z jaką krytyka teatralna zaakceptowała wymianę Mrożka na Brylla.

Jakby łagodnie na sprawę nie patrzeć (bo wyostrająca winy optyka dzisiejsza czy nawet posierpniowa jest w tej mierze z pewnością niesprawiedliwa i „ahistoryczna”) nie da się utrzymać opozycji: władza i zbuntowana inteligencja. Pośrodku znajduje się bowiem owa milcząca — poza środowiskiem studenckim — większość. Nie da się więc opisać roku 1968 wyłącznie z perspektywy „onych” i tych, co przeciw „onym” otwarcie wystąpili. Nie da się go opisać nawet uwzględniając w tym wszystkim tak liczne „niewinne” ofiary Marca. Jego ponury bilans obciąża nie tylko sumienie rządzących, ale i — w znacznym stopniu — owej „milczącej większości”. Przydałoby się zatem pamiętać o złagodnym wariacie „hańby domowej”, spowodowanej nie poprzez zaangażowanie już, a „zaniechanie” raczej. Poprzez podporządkowanie się — choćby podświadome — regułom, jakie narzucił trwający już przecież prawie pół wieku ustrój. To prawda, rok 1968 stał się szokiem, który legł u źródeł późniejszych działań, opisanych „ku pokrzepieniu serc” przez Eislera w rozdziale *Pokłosie Marca*. Ale zarazem przynależał jeszcze staremu myśleniu. Wszak nawet debiutujące po grudniu '70 „pokolenie '68” żywiło wobec Gierka złudzenia nie aż tak odległe od nadziei wiązanych na przykład przez »Po prostu« z Październikiem.

Jest oczywistym, że ówczesnych postaw nie wolno osądzać wedle miary obowiązującej (aż do przesady) w roku 1991. Rygorystyczny kodeks moralny — przyjęty przez ogromną większość wszystkich tym razem (wraz z dziennikarskimi) środowisk — obowiązywać zaczął w stanie wojennym. Wiodła do niego długa i mozolna droga, której etapy i kulminacje zna każdy. Nie zmienia to faktu, iż w roku 1968 model „adaptacji” do politycznej rzeczywistości (oczywiście nie bez frustracji i buntów) był silniejszy niż „model oporu”. Dlaczego? Co pozwalało większości polskiej inteligencji przelknąć wszelkie rozczarowania niespełnionego nigdy Października, patrzeć obojętnie na kampanię prasową związaną z *Listem 34* (a nawet wesprzeć ją podpisami sześciuset literatów), na procesy pisarzy z połowy lat sześćdziesiątych, na ataki na rewizjonistycznych filozofów, historyków, godnych szacunku członków partii, na wyroki wydawane na przestrzeni także kilku przed i pomarcowych lat na młodzież, co sprawiło, iż — praktycznie aż do roku 1991 — utrzymać można było w tajemnicy śmierć Siwca, choć samospalenie Pałacha odbiło się słusznie echem na całym świecie?

W czym tkwiła przyczyna? We względnych luksusach małej stabilizacji? Ale przecież stabilizacja ta tkwiła także w epoce „późniejszego Gierka”, gdy zbierano z powodzeniem podpisy w sprawie zmian w Konstytucji, gdy powstawał KOR, drugi obieg i latające uniwersytety. We wszechogarniającym strachu? Wszak strach ten w roku 1982 winien być większy niż na przykład w 1967. W stałej wierze w „socjalizm z ludzką twarzą”? Temu przecież właśnie Marzec urządził ostateczny pogrzeb. W podporządkowaniu się prawom politycznego realizmu? Lecz argument o geopolitycznym fatum stracił na mocy dopiero długo po Sierpniu. Wiadomo tylko tyle: mimo iż w roku 1968 (a także parę lat przed i po nim) nie mogło już być właściwie mowy o Murti-Bingach, Ketmanach, „ukąszeniach heglowskich” — „zniewolenie umysłów” (nie wszystkich oczywiście, ale o tym nawet w stalinizmie nie było mowy) trwało. Nie tak groteskowe, zawstydzające, lecz czy mniej groźne? Pewnie tak, skoro udało się w końcu z niego otrząsnąć i nie trzeba było do tego aż rewelacji XX Zjazdu. Ale, aby nastąpił pierwszy krok, nie wystarczył Gdańsk '70. To dopiero po paru latach pejzaż uległ zaskakującej odmianie, którą tak dobrze dostrzegł Kott, spisując wrażenia z pierwszej po trzynastu latach wizyty w kraju: „zmieniły się w Polsce granice podległości [...] najbardziej uderzyła mnie ta nowa zwyczajność wydawnictw bez cenzury [...] *List 34* był czymś niezwykle, teraz dobre trzy dziesiątki wydawnictw niekoncesjonowanych wydają się czymś zwykłym i powszednim”<sup>32</sup>. A przecież jeszcze w pierwszej połowie 1980, roku zarówno KOR, jak niezależni wydawcy wielu ludziom zdawali się bezrozumnymi maniakami szlachetności.

Jest szalenie trudno wyjaśnić istotę tego swoistego letargu. Użyto tu słowa „adaptacja” i zwykle rozumie się je jednoznacznie jako tożsame niemal z konformizmem. W „adaptacji”, przystosowaniu kryją się jednak treści szersze; zresztą i konformizm niejedną ma naturę. Mówiąc o „adaptacji” myślę raczej o pewnym „zagospodarowaniu” na własny (i części podobnych nam osób) użytek fragmentu czegoś, co w całości wydaje się wrogie i obce. To własne „gospodarstwo” może nawet stwarzać pozory niezależności od reszty, można je urządzić wedle zasad znanych w cywilizowanym świecie i można w nim żyć w przekonaniu, iż na tak wydzielonym terenie nie tylko żyje się uczciwie, ale nawet, przez sam fakt

---

<sup>32</sup> J. Kott, *Miesiąc po 13 latach w: Kamienny Potok*, Londyn 1986, s. 70.

istnienia, czyni wyłom w otaczającej barbarii. Nie piszę tego ironicznie: ilość wysp, na których kultywuje się wartości inne niż użyteczne ma na pewno znaczenie ogromne. Ale, aby wyspy te istniały, potrzebna jest pewna tolerancja krążących wokół nich piratów. Chcąc sobie na nią zasłużyć, nie można ich rozdrażniać.

Tym, co komunizm wpoił ze skutkiem w świadomość swych obywateli, było z pewnością przekonanie, że każdy wykonany przez nich drastyczny ruch może być ruchem na gorsze. Jakby gdzieś tam głęboko i wstydliwie wierzono w rozliczne ostrzeżenia wysyłane przez wysoko ustawionych „onych”.

Jest zastanawiająca kariera, jaką zrobił ten zaimek długo jeszcze przed książką Torańskiej. Kto wie, czy nie on zawiera w sobie klucz do zrozumienia zagadki.

Od niego rozpoczyna się *Marcowe gadanie* Głowińskiego. „Oni” to izolowana od społeczeństwa narzucona władza: „nikt nie ma wpływu na ludzi należących do »onych«, tak jak się nie ma wpływu na zjawiska atmosferyczne, określane konstrukcjami osobowymi: »pada«, »grzmi«”<sup>33</sup>. W przeciwieństwie do Torańskiej (u której „oni” noszą konkretne nazwiska, co nie ma zresztą większego znaczenia) Głowiński w owej formule upatruje poważne niebezpieczeństwo: „dokonała się więc mitologizacja władzy [...] Jest to z całą pewnością mitologizacja negatywna — mimo wszystko nie żyjemy w czasach pierwotnych, w których uświęca się siły potężne i nieznanne”.

Wydawać się może, iż w roku 1968 nikt już — poza językiem potocznym — w ten sposób władzy nie uświęcał, nikt tym bardziej nie kojarzył jej z „Onymi” z Witkacego. A jednak odrzucana i ośmieszana zdawała się wciąż symbolem czegoś nieodwracalnego i wyższego. Jest znamienne, iż często nawet ludzie z dawna przez tę władzę represjonowani, wygłaszający przeciw niej płomienne filipiki nie tylko w mieszkaniach prywatnych, ale i na publicznych zebraniach, wezwani przed jej potężne oblicze (najpierw do Białego Domu, a po roku 1981 na przykład na Rakowiecką) zachowywali się jak onieśmieleni uczniacy, czujący się w obowiązku udzielać wielu wykrętnych wyjaśnień. Jakże charakterystyczne, że cyto-

---

<sup>33</sup> M. Głowiński, *Marcowe gadanie*, Pomost, Warszawa 1991, s. 7.

wana przez Eislera prosta wypowiedź Pawła Beylina na pytanie, czemu był na pogrzebie Hollanda („bo umarł”), warta była aż anegdoty.

Ale zmitologizowani „oni” to nie tylko owa najwyższa w państwie — i poza nim — piramida (złożona z kolejnych „onych”) wiodąca od I sekretarza KPZR bądź radzieckiego szefa bezpieczeństwa, przez ich polskie odpowiedniki, do sekretarzy powiatowych i jakichś tam pułkowników. „Oni” oddzieleni szczerze od „nas” — to także ci dworscy dziennikarze i pismacy, z którymi nie czuło się związku. Tak pojętych „onych” nie zrodziło już proste poczucie bezradności wobec silniejszych. Raczej potrzeba swoistej terapii. Wystarczy wszak nie być „onim”, aby uciszyć swe sumienie. Cóż za wspaniały i niegroźny (nie dziw więc, że praktykowany latami) sposób pozbycia się poczucia odpowiedzialności. „Ja tu za nic nie jestem odpowiedzialny”, mógł wszak powtórzyć za Gombrowiczowskim Henrykiem każdy człowiek uczciwy.

Koniec lat siedemdziesiątych zburzył w znacznym stopniu ten mit, choć nie szkodzi pamiętać, że wykształcił jedno jeszcze rozumienie słowa „oni”. Dla wcale nie małej części inteligencji, nie mówiąc już o całym społeczeństwie, „onimi” stała się opozycja. Nie tylko w sensie: „»oni« nas wyręczą”, także — niestety — w mniej przychylnym: „»oni« mogą zburzyć i ten względny spokój, który nam pozostał”.

Oczywiście takie i inne pojmowanie „onych” wiąże się nie tylko z istnieniem „komuny”, by tego dowieść nie trzeba odwoływać się do historii, wystarczy przywołać teraźniejszość. Ale właśnie w komunizmie ów mit pełnił, jak się zdaje, rolę szczególną, pozwalając się ulokować w nim, urządzić bez szczególnego bólu (o czym dziś wstyd, oczywiście, pamiętać) także milczącej — tak długo — większości. I kto wie, czy i obecnie nie jest najgroźniejszą po nim pozostałością.

[1991]



# Remanent owoców zakazanych

Schowal matrycę do torby, jął starannie zapinać plastikowe rzemyki. Znowu odezwały się gdzieś w głębi motory na wysokich obrotach.

— Nie wiem, czy warto ryzykować głową za takie wiersze — niepewnie rzekł kolejarz.

Tadeusz Konwicki, *Rzeka podziemna*

*Rzeka podziemna* była czwartą z kolei powieścią Konwickiego wydaną w konspiracji. Kolportowana (1984) podobnie jak *Wschody i zachody księżycy* (1982) w warunkach znacznie trudniejszych niż *Kompleks polski* i *Mała Apokalipsa* była pod względem literackim ledwie ich ubogą krewną; stopień ryzyka nie pozostawał więc w stosunku wprost proporcjonalnym do jakości. To ona — a nie tomik wątpliwej wartości wierszy poety Ż. — znaleźć mogła się w torbie Siódmego i spowodować sceptycyzm, „falszywego” zresztą, kolejarza. Mogła ją tam też zastąpić ogromna ilość innych dzieł drugoobiegowych autorów, nie tylko tych mało lub średnio, ale i wybitnie utalentowanych.

Wydana właśnie bibliografia *Literatura i krytyka poza cenzurą 1977–1989* opracowana przez Jadwigę Czachowską i Beatę Dorosz przypomina o tym, znanym skądinąd, fakcie w sposób aż nazbyt bolesny.

Zakrawa to na paradoks, bowiem bibliografia (niezależnie od swej czysto użytkowej roli) odbierana jest dość powszechnie jako kolejny pomnik wystawiony tym wszystkim, którzy znaleźli w sobie dość odwagi, siły i chęci na podjęcie — syzyfowego, jak się z początku zdawało — wysiłku, by zainspirować i kontynuować „akt obywatelskiego nieposłuszeństwa”, jak patetycznie określił przed laty walkę o wolność słowa i myśli — Leszek Szaruga<sup>1</sup>. Paradoks jest jednak pozorny. Legenda dru-

---

<sup>1</sup> L. Szaruga, głos polemiczny, »Polityka« nr 46/1980.

giego obiegu jest legendą zasłużoną z tysiąca powodów — będzie o nich tu jeszcze mowa. Ale jak każda legenda wymaga oceny trzeźwej, wolnej nie tylko od resentymentów, lecz od sentymentów także.

Wydaje się, iż najwyższa na to pora. O literaturze „poza cenzurą” można wszak nareszcie rozmawiać bez — samoograniczającego krytycyzm — poczucia obowiązku koniecznej w zagrożeniu solidarności, bez podejrzeń, że jest się na usługach władzy czy w niewoli własnego konformizmu, a także bez moralnego dyskomfortu, wynikającego z przeświadczenia, że atakuje się tych, co bronić się nie mogą, lub też, że dostarcza się argumentów tym, którzy posłużą się nimi w sposób bynajmniej nie bezinteresowny<sup>2</sup>.

Bibliografia *Literatura i krytyka poza cenzurą* taki w miarę już niezależny, wolny od emocji, konieczności i uprzedzeń zabieg ułatwia, choćby przez to, iż dostarcza po temu wystarczającego materiału. Jeśli nawet uzupełniać ją będzie trzeba o nieodnotowane tu pozycje<sup>3</sup>, nie zmieni to z pewnością w sposób znaczący całości obrazu. Obrazu, którego oczywiście w sposób odpowiedzialny odmalować się w tym miejscu nie da; trzeba by na to więcej miejsca, czasu, lepszej znajomości wielu książek, pełnej konfrontacji z tym, co ukazywało się w tym czasie oficjalnie i co przez cenzurę bywało odrzucane etc., etc. Ponieważ jednak zadanie to zbiorowym wysiłkiem podjąć będzie trzeba — nie bez sensu jest chyba bodaj nakreślenie wstępnego, dyskusyjnego z pewnością szkicu. Przed ponad jedenastu laty, tuż po sierpniowym zwycięstwie zachęcali do tego na łamach »Polityki« Adam Krzemiński i Zbigniew Mentzel (nr-y 40 i 41/1980).

Krzemiński, w nawiązującym do głośnego tekstu Barańczaka *Fasada i tyły szkicu Między fasadą i tyłami*, wzywał między innymi do zerwania

<sup>2</sup> Co zdarzało się często, by przypomnieć choćby wielki, przewrotny szkic Krzysztofa Majchrowskiego *Nic albo nic* z »Życia Literackiego« nr 11/1986, który swój atak na mizerność intelektualną omawianych przez się opozycyjnych książek wspiera cytataми Bronisława Geremka, zaczerpniętymi z niemilego poza tym Majchrowskiemu emigracyjnego »Kontakt«.

<sup>3</sup> Uzupełniać zaś trzeba będzie na pewno; w niezwykle efektowny sposób rozpoczął się ten proces na zorganizowanym przez SPP spotkaniu promującym książkę, w którym uczestniczył, jak się okazało, wydawca *Folwarku zwierzęcego* Orwella (lubelskie „Spotkania”) z roku 1976 — pozycji uznanej przez autorki niemal za mityczną.

z zasadą wartościowania dzieł wedle ich przynależności do oficjalnego i nieoficjalnego nurtu: „chodzi o podjęcie dyskusji, które zostały przerwane lub wykoślawione [...]. I wtedy może się okazać, że fronty przebiegają całkiem inaczej niż się wydaje — nie między postawą zależną a niezależną, lecz między twórczą a odtwórczą, między przenikliwością a płytcizną, między talentem a pozerstwem”. Mentzel w swym eseju demaskował „mowę zależną” całej polskiej literatury, niezależnie od tego, czy powstała pod czy poza cenzurą („polska literatura współczesna nie potrafi spojrzeć w twarz swojej współczesności”). Pisał: „Rok 1970 nauczył polską literaturę współczesną stawiać pytanie — jak można bronić prawa do niezależności? Rok 1980 powinien wreszcie nauczyć polską literaturę współczesną stawiać pytanie, jak można bronić niezależności, jak niezależności dowieść?” I wcześniej: „Rozbicie literatury polskiej na dwa fronty miało dla niej skutki fatalne. [...] Nie tylko dlatego, że na każdym froncie powstały nowe »malutkie zadania pisarskie«. Podstawowym warunkiem normalnego rozwoju literatury jest możliwość jej normalnej oceny”, zaś pisarze — zarówno ci popierani przez władzę, jak i przez nią potępiani „znajdują w krytyce swoich bezkrytycznych rzeczowników. I jedni, i drudzy korzystają z taryfy ulgowej”.

Niezależnie od kontrowersyjności wielu sądów Krzemińskiego i Mentzla sam postulat, by wartość literatury mierzyć wartością dzieł, a nie postaw ich twórców, i to wedle mało skomplikowanego schematu: co nasze to dobre, co „ich” — niewiele warte, był postulatem słusznym i rozsądnym.

Rzecz w tym, iż został zgłoszony w momencie, gdy na rozsądek było jeszcze za wcześnie. Reakcje (szczególnie twórców drugiego obiegu i tych, co mu sekundowali) były dość gwałtowne: dano im wyraz i w następnych numerach »Polityki«, w »Życiu Literackim« i na łamach innych pism — głównie zresztą, co charakterystyczne, oficjalnych. Opozycja nazbyt była obolała, by dyskutować nad trafnością diagnoz w oderwaniu od okoliczności, które taki, a nie inny stan rzeczy zrodziły. To zrozumiale. W zbyt świeżej pamięci zapisały się rozliczne szykany, bezkarne insynuacje, na które nie mogło być innej — niż „drugoobiegowa” — odpowiedzi, całkowita dowolność (czasem zwykła prywata) w posługiwaniu się cenzurą.

W dodatku pojawiający się — głównie u Krzemińskiego — zarzut zabarykadowania się opozycji w swoistych okopach, co owocuje agre-

sywnością właściwą dla „psychologii obłączonej twierdzy”, nie był zarzutem, który w tamtych latach należałoby kierować akurat pod adresem „niezależnej” literatury. Mógł dotyczyć raczej pewnej części publicystyki i — najbardziej sprawiedliwie — wielu opinii wyrażanych ustnie i srodowiskowo. W październiku 1980, gdy ukazały się drukiem oba artykuły, drugi wydawniczy obieg obchodził dokładnie swe trzylecie; NOWa rozpoczęła wszak działalność wczesną jesienią 1977. Do końca — w warunkach niezwykle przecież niesprzyjających — wyda *Kompleks polski* (jako nr 3 powstałego parę miesięcy wcześniej »Zapisu«), *Nierzeczywistość* Brandysa (wznowienie 1978), *Cienie zapomnianych przodków* Michnika, felietony Kijowskiego, *Socjalizm po 60 latach* Bieńkowskiego, *Pochodzenie systemu* Jakuba Karpińskiego. Do jesieni 1980 ukaże się tu jeszcze między innymi pięć tomików wierszy Miłosza ( w tym *Traktat moralny*, *Traktat poetycki*) oraz *Zdobycie władzy i Zniewolony umysł*, *Czarny polonez* Wierzyńskiego, *Wspomnienia polskie* i rozmowy de Roux z Gombrowiczem, *Mój wiek* Wata, *Inny świat* Herlinga-Grudzińskiego, *Wspomnienia starobielskie* Czapskiego, *Miesiące* Brandysa, *Mała apokalipsa* Konwickiego, *Miazga* Andrzejewskiego, *Wielki strach* Strykowski, tomiki wierszy Barańczaka, Ficowskiego, Woroszyńskiego, debiuty poetyckie Polkowskiego i Bierzina, *Utwory wybrane* Szpotańskiego, *Rozważania o wojnie domowej* Jasienicy, *Zapiski 1950-53* Strzeleckiego, szkic Zdzisława Łapińskiego o poezji Miłosza *Między polityką a metafizyką*. Z literatury obcych: *Wiersze i poematy* Brodzkiego i *Późne wiersze* Mandelstama (oba tomy w tłumaczeniu Barańczaka), *Jeden dzień* Iwana Denisowicza Sołżenicyna, *Moskwa* Pietuszki Jerofiejewa, *Zbyt głośna samotność* Hrabala, *Folwark zwierzęcy* Orwella, *Elegie bukowskie i inne wiersze* Brechta w przekładzie Krynickiego, *Błaszany bębenek* Grassa. Równocześnie nakładem innych wydawnictw niezależnych ukazują się między innymi wiersze Barańczaka, Krynickiego, Zagajewskiego, Szarugi, *Dziennik Gombrowicza* (po raz pierwszy wydał go Klin, 1980; w latach 1981-84 jeszcze pięć wydań, w tym Kręgu, 1984) oraz tegoż *Kosmos*, *Rok 1984* Orwella (Głos), *Nieznośna lekkość bytu* Kundery.

Nawet jeśli spośród owych wyliczonych tu może zbyt skrupulatnie książek były takie, o których rozgłosie zdecydował fakt, iż podejmowały problematykę ze względów politycznych zakazaną (dotyczyło to zwłaszcza zbrodni radzieckich — poza Czapskim i Herlingiem wydano jeszcze *Wspomnienia z Kazachstanu* Bukowińskiego, *Dzieje rodziny Ko-*

rzeniowskich Wańkowicza), to przecież nie „niecenzuralność” stanowiła o ich randze. Z pewnością zaś nie były to dzieła pisarzy zajadłych, propagandowych, nie mających odwagi zmierzenia się — w wymiarze szerszym niż publicystyczny — ze współczesnym czasem; nie wszystkie ustępowały doskonałością literacką *Ferdydurke*, wiele z nich spełniało ów warunek „konieczności” zaistnienia, o którym pisał Mentzel, dostrzegając jego spełnienie niegdyś u Borowskiego<sup>4</sup>. Inna rzecz, że najmniej skutecznie broniła się w tym względzie polska proza najnowsza. Mimo iż właśnie w latach 1977-81 powstała większość najciekawszych utworów prozatorskich, przegrywała ona i ilościowo, i co najważniejsze, w znacznym stopniu artystycznie z tym, co ukazywało się wówczas „pod cenzurą”<sup>5</sup>.

Sytuacja ta nie uległa zmianie ani w sumie proporcji, ani ogólnego poziomu także w roku 1981, kiedy to obok dzieł niemal propagandowych wydano — oprócz wznowień — między innymi *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy* Lipskiego, *Pytania o Rosję* Drawicza, *Dziennik pisany nocą* oraz trzy zbiory opowiadań Herlinga-Grudzińskiego, *Eseje dla Kassandry* Stempowskiego, *Zbiegi okoliczności* Jeleńskiego, Miłosza — oprócz wierszy — *Człowieka wśród skorpionów*, *Prywatne obowiązki*, *Rodzinną Europę*, *Ziemię Ulro* oraz *Księgę psalmów*, Gombrowicza *Operetkę i Trans-Atlantyk*, Kołakowskiego *Obecność mitu*, a także *Kamienny potok* Kotta, *Dziennik 1954* Tyrmanda, *Zwycięstwo* Grynberga. Z przekładów *Requiem* Achmatowej, *Szkice polityczne* Conrada, *Trzy eseje* Russella, *Eseje* Orwella, *Ciemność w południe* Koestlera. Warto może do tego

---

<sup>4</sup> „Czy wśród tysięcy już książek prozatorskich wydawanych w ciągu dziesięciu, a nawet dwudziestu lat [...] jest choć jedna książka konieczna, tak, jak konieczne są w prozie polskiej XX wieku opowiadania Borowskiego albo jedyna powieść arcydzieło — *Ferdydurke*? Czy wśród tych książek jest choć jedna, którą — jak marzył Żeromski — można by dać bez wstydu do czytania »bezstronnemu i czującemu człowiekowi Zachodu«?”

<sup>5</sup> W latach 1977-88 ukazały się w pierwszym obiegu m. in. *Zawał* Białoszewskiego, *Lekcja martwego języka* Kuśniewicza, *Listy staropolskie z epoki Wazów* Malewskiej, *Autograf* Szczepańskiego, *Obłąd* Krzysztonia, *Tabula rasa* Stachury, *Stręczyciel idei* Kornhausera, *Ucieczka do nieba* Komolki, *Zdążyć przed Panem Bogiem* Krall, *Rozmowy z katem* Moczarskiego, *Cesarz* Kapuścińskiego, *Bić się czy nie bić?* Łubieńskiego, dwa ostatnie tomy *Końca świata szwoleżerów* Mariana Brandysa. Ponadto tomy poezji Ficowskiego, Hartwig, Kamieńskiej, Międzyrzeckiego, M. Jastruna, *Wążyka*, Kornhausera, Lipskiej, *Mapa pogody i Muzyka wieczorem* Iwaszkiewicza, *Odczepić się* Białoszewskiego, debiuty Piotra Sommera i Tomasza Jastruna.

dodać przynajmniej jedną pozycję spoza bibliografii literackiej — *Nową klasę* Dżilasa.

Tak więc, jeśli wziąć pod uwagę możliwości i warunki, w jakich działał drugi obieg w porównaniu z wydawnictwami objętymi państwowym mecenatem, jego dorobek zdaje się wówczas istotnie imponujący. Mimo niewielkich nakładów, „środowiskowej” na ogół dostępności dzieł, małego druku i — paskudnej często — szaty graficznej, stanowi niewątpliwie poważne dla mecenatu zagrożenie, stając się przy tym swoistym emisariuszem na kraj nie tylko literatury emigracyjnej, ale i emigracyjnych wydawnictw.

Związki między krajem a emigracją są wówczas zresztą szczególne. Wydawnictwa niezależne wydają głównie dzieła publikowane wcześniej w Londynie i Paryżu; prym wiodą w tym względzie, co znamienne, książki Instytutu Literackiego i to na długo przed zawarciem umowy między tymże a NOWą. Instytut inauguruje natomiast w roku 1977 serię „bez cenzury”, w ramach której ukazują się książki pisarzy krajowych, podpisane — co ważne — prawdziwymi nazwiskami. Zdarza się, iż książka napisana w Polsce ukazuje się najpierw w Paryżu (tak jest m. in. z *Ja wiem, że to niestuszne* Barańczaka, prozą Orłosa i Madeja, *Kościółem, lewicą, dialogiem* Michnika), czasem jednak odwrotnie, Instytut wydaje tytuły znane już z drugiego obiegu (choćby *Kompleks polski*, *Nierzeczywistość*, *Miazgę*). Nawet *Zbiegi okoliczności* Jeleńskiego ukazą się o rok wcześniej w Krakowie niż w Paryżu; wersje wydań nie są wprawdzie identyczne.

Mimo wzajemnych animozji dochodzi zresztą — i to przed Sierpniem — także do pewnego wymieszania obu obiegu krajowych, choćby poprzez osoby publikujących i tu, i tam autorów (m.in. Andrzejewski, Ficowski, Kornhauser).

Do oficjalnego obiegu przenika też, bardzo wprawdzie nieśmiało, literatura emigracyjna. W latach 1978–81 wydane zostaną wybory poezji Józefa Wittlina, Wierzyńskiego, Lechonia, dwa (po Nagrodzie Nobla i wizycie w kraju) tomy wierszy Miłosza oraz *Dolina Issy*, a także (w roku 1981) *Miesiące* Brandysa. Jeśli idzie o stosunek do emigracji, tendencji tej nie przerwie nawet stan wojenny. Odwrotnie — niemal demonstracyjnie<sup>6</sup> — wprowadzać się będzie do pierwszego obiegu książki pisarzy emigracyjnych. Oczywiście „wybierane rozumnie”, jak to określa Witold Nawrocki, wówczas kierownik Wydziału Kultury KC, z wyraźnym po-

mijaniem emigracji nowszej<sup>7</sup> (wraz z *Traktatem moralnym*), ale i eseje tegoż oraz Stempowskiego, w 1988 — *Szkice Literackie* Czapskiego, *Dzieła zebrane* Gombrowicza wraz z *Dziennikami*, *Utwory wybrane* Hłaski (Czytelnik 1985), poza tym wybory poezji m. in. Brzękowskiego, Balińskiego, Obertyńskiej, Śmieji...

13 grudnia waży natomiast w sposób niezwykle radykalny na wzajemnych relacjach obiegów krajowych. To teraz dopiero mówić można naprawdę o sytuacji „oblężonej twierdzy”. To teraz diagnoza Krzemińskiego brzmiałaby w pełni przekonująco i od teraz będzie się miało w pogardzie tak zwaną „sferę szarą”, będącą dotąd terenem, na którym spotykały się w jakimś sensie i „fasada”, i „tyły”.

Cechą „podziemnego” ruchu wydawniczego lat 1982–83 jest na przykład ogromny wzrost liczby antologii. Wcześniej wydawano je sporadycznie, nie miały one zresztą cech doraźnej propagandy. Obok antologii poezji emigracyjnej i krajowych wyborów tekstów poświęconych kwestiom języka totalitarnego, ukazało się ledwie parę o charakterze okazjonalnym.

W następnym dwuleciu antologie stanowią ponad siedemdziesiąt pozycji, wiele z nich zostaje wznowionych, ogromna ich większość odnosi się do wydarzeń bieżących, dominują pieśni i wiersze ulotne, także z internowania. Nazwy wydających je oficyn rzadko są znane, często za to wyraziste (Targowica, Ekstremista, Zosia-Samosia, Wydawnictwo im. kaprala Wałęsy).

W tytułach antologii często pojawia się przymiotnik „wojenny”, często tytuły te mają charakter życzeniowy (*Obyś Polsko wolną była*), zawierają w sobie groźbę lub pociechę (*Kiedy Polacy prawdziwie powstaną* i *Kiedy prawdziwi Polacy powstaną*), lub apodyktyczny nakaz (*Zerwij kajdany, połam bat*). Przeważa tematyka martyrologiczna (najpopularniejsze, trzykrotnie wydane oraz nagrane na kasecie NOWej *Idą pancry na „Wujek”*), patriotyczna i religijna — na ogół wszystkie te elementy silnie są ze sobą

---

<sup>6</sup> Ową otwartością wobec emigracji zawstydzać się będzie opozycjonistów lekceważących jakoby — niewątpliwe w tej i innej dziedzinie — zasługi władz. Tępiący ostro opozycję Marian Stępień będzie pierwszym autorem, który w swej książce o literaturze współczesnej wyjątkowo dużo miejsca, jak na przyjęte wcześniej zwyczaje, poświęci emigrantom.

<sup>7</sup> Nawrocki wyrazi to wprost: „Jeśli idzie o tzw. emigracyjny program muszę stwierdzić z satysfakcją, że stara emigracja okazała się bardziej zrationalizowana od nowej (»Życie Literackie« nr 47/1985)

sprzęgnięte, podobnie jak podczas wieczorów poezji w kościołach. Zdarzają się też programy satyryczne, szopki, zbiory dowcipów (*Kawał polski*) na ogół dość niskiej próby.

Negatywnym bohaterem tych antologii jest oczywiście Jaruzelski. Bohaterem pozytywnym... Piłsudski. Teraz dopiero zaczyna on funkcjonować jako postać literacka (poza antologiami wierszy także kasetą NO-Wej), choć jako autor „debiutował” w drugim obiegu znacznie wcześniej — wydaną przez NOWą *Bibułą*.

Popularność tego typu tomów zbiorowych w latach następnych znacznie słabnie, ale już trwale stanowiąc będzie znaczący procent konspiracyjnych poezji. Motyw martyrologii pojawi się w szczególnym zgrupowaniu po śmierci księdza Jerzego Popiełuszki.

Właśnie wielka ilość antologii złożonych z utworów na ogół anonimowych, tworzonych i drukowanych szybko, pod wpływem emocji, sprawia, iż produkcja z lat 1982–83 ma walor przede wszystkim dokumentacyjny, jako swoista relacja z pola walki, gdy nie pora na obiektywizm i nie czas na refleksje. Można ją oceniać rozmaicie — jako chlubny wyraz niezależności i społecznej samoobrony, lub jako przejaw grafomanii i łatwizny literackiej i umysłowej, w którą tak łatwo popaść w sytuacji, gdy rzeczywiste zagrożenie każe odwoływać się do emocji i reakcji zbiorowych.

Jeśli można mieć do tego wydawniczego ruchu pretensje, to o to, iż utrzymywano go zbyt długo i że znajdował swe odbicie w szeregu innych edytorskich inicjatyw, m. in. tak ważnych jak kształtowanie społecznej świadomości. Zaś to ostatnie stawało się niestety coraz wyraźniej tożsame z upowszechnianiem wzmagających dobre samopoczucie stereotypów oraz kultywowaniem wzorców osobowych, obowiązujących w polskiej niepodległościowej literaturze od dwóch stuleci, bez żadnej próby ich rewizji.

Proces ten rozpoczął się zresztą już wcześniej i znalazł swój wyraz choćby w nielicznych książeczkach dla dzieci. Pierwsze, jak reklamowano, niezależne dziełko w tym zakresie, to wydane w roku 1981 przez „Sigmę” opowiadanie Słońskiego (przedruk z 1917) *Jak to na wojence ładnie...*, drugie *Katechizm polskiego dziecka* (Solidarność lubelska, 1981, przedruk z 1916, wznowiony przez warszawskie ABC w 1984), trzecie — *Abecadło wolnych dzieci* Or-Ota (przedruk z 1926, ABC, 1984, następnie dwa wydania 1986, 1989).



Od roku 1982 dość dużą rolę odgrywać też zaczyna w drugim obiegu Unia Nowoczesnego Humanizmu o bardziej wyraźnych niż w którymkolwiek z wydawnictw (łącznie z Głosem) sympatiach ideowych. Wtedy właśnie ukaza się tu *Kościół, naród i państwo*, oraz *Myśli nowoczesnego Polaka* Dmowskiego, którego antymasońską i antysemitką powieść o sensacyjnej fabule *Dziedzictwo* wyda za poznańską Księgarnią św. Wojciecha (1930) bezimienna oficyna warszawska<sup>8</sup>. W tym samym roku ukazują się też w Warszawie *Protokoły mędrców Syjonu* z komentarzami Feliksa Konecznego, wznowione w 1983 w Krakowie. Unia wydaje między innymi *Gospodarkę narodową* Adama Doboszyńskiego (1983) oraz *Cywilizację bizantyjską. Cywilizację żydowską. Świętych w dziejach narodu polskiego* Konecznego (1985).

Oczywiście, między bogoojczyźnianą produkcją wyrosłą z buntu przeciwko realnej, brutalnej przemocy a coraz większą ilością książeczek o rodowodzie endeckim nie ma żadnych analogii — co więcej, sama myśl, iż mogą one istnieć wydaje się krzywdząca. Zda się wszakże, że właśnie atmosfera pierwszych „powojennych” miesięcy szczególnie sprzyja nacjonalistycznej ideologii.

Można w tym, rzecz jasna, dostrzec po prostu nieuchronny (a może wręcz korzystny) objaw pluralizmu światopoglądowego, o którym oficjalnie zaczęło się mówić dopiero w czasach „wojny na górze”. Tym bardziej, że w tym samym czasie dużym powodzeniem cieszą się *Dwa patriotyzmy* Lipskiego, wychodzą pisma Adama Ciołkosza, więcej niż dotychczas publikuje Michnik — jego *Gdy myślę Polska i Niezłomny z Londynu* wyprzedzają znacznie wydane w Głosie *Myśli staroświeckiego Polaka* Wierzbickiego.

Wszystkie te polityczne sympatie nie znajdują zresztą (poza przypadkiem Dmowskiego) specjalnego odbicia w literaturze. Przy lekturze bibliografii Czachowskiej i Dorosz można o nich w ogóle zapomnieć<sup>9</sup>,

---

<sup>8</sup> Wydał ją wówczas Dmowski pod pseudonimem Wybranowski, który i teraz zachowano.

<sup>9</sup> Nie odnotowuje się tu przecież książek o charakterze *sensu stricte* politycznym. Bibliografię tę czyta się jednak inaczej, mając pod ręką dwie wcześniejsze całościowe pozycje: *Bibliografię publikacji podziemnych w Polsce 13 XII 1981–VI 1986* Władysława i Wojciecha Chojnackich wydaną w Paryżu oraz krakowskie *Materiały do bibliografii do druków zwartych wydanych poza zasięgiem cenzury 1982–1986* Marka Jastrzębskiego.

mimo że i w tej dziedzinie literatury zachodzą w stosunku do lat poprzednich wyraźne zmiany.

O ich charakterze decyduje przede wszystkim szok związany z 13 grudnia, który usuwa jakby na dalszy plan wydarzenia Marca '68 czy Grudnia '70, a więc najważniejsze doświadczenia przedstawiciele tak zwanej Nowej Fali i ich rówieśników, którzy byli wszak głównymi inicjatorami i animatorami ruchu niezależnego lat 1977–79.

Reakcja na ten szok sprawia, iż „opozycja” (a jest to zarówno opozycja „stara”, jak i całkiem „świeża”) tworzy teraz środowisko o wiele rozleglejsze i mimo różnych rozgrywek ambicjonalnych scementowane. Zarazem stan wojenny zaostrza wzajemną nietolerancję między tymi, co wypowiedzieli posłuszeństwo władzy i tymi, co ją poparli. Opozycja bojkotuje nie tylko popularne mass-media, ale i szanowane przedtem wydawnictwa, miesięczniki i tygodniki kulturalne, poddane zresztą głośnym „weryfikacjom”.

Zachowania strony przeciwnej są z kolei coraz bardziej agresywne. Pośród internowanych 13 grudnia znajduje się wielu pisarzy. Po bezpardonowych atakach na dotychczasowy Zarząd Główny zostaje rozwiązany ZLP, a na jego miejsce powołany nowy, żądający w nowo opracowanym statucie od swych członków m. in. „pełnej akceptacji ustroju PRL”, realizacji polityki kulturalnej państwa, absolutnej rezygnacji z wszelkich form współpracy z „ośrodkami antypolskiej dywersji” w kraju i zagranicą. Kazimierz Molek, wówczas zastępca sekretarza Wydziału Kultury KC, mówi wprost, że w ZLP nie może być miejsca dla redaktorów »Zapisu«, członków KOR, współpracowników Instytutu Literackiego.

W maju 1983 zostaje wydany wyrok śmierci na Zdzisława Najdera. W styczniu 1984 Sejm uchwała „prawo prasowe” skazujące na karę do roku więzienia każdego, kto „bez wymaganego zezwolenia wydaje albo rozpowszechnia dziennik, czasopismo lub inną publikację i to bez względu na jej treść”.

Już w roku 1982 — wtedy głównie na łamach »Rzeczywistości« trwa kampania „antywiązkowa” przypominająca jako żywo marcową. Uwaga władz jest jednak skierowana wówczas przede wszystkim na środowisko aktorskie. To aktorski bojkot telewizji jest najgroźniejszy, bo najbardziej widowiskowy i zauważalny z wszystkich bojkotów. Dopiero po rozwiązaniu ZASP-u ataki na literatów przybierają na sile i trwać będą w podobnej formie do końca roku 1986. Pośród autorów najbardziej zajadłych

artykułów znajdują się zarówno przedstawiciele władz, jak i pisarze: Nawrocki, Molek, Majchrowski, Machejek, Andrzej Wasilewski, Marian Stępień, Kazimierz Koźniewski. Jerzy Grzymkowski wyraża w prasie radzieckiej ubolewanie m. in. z powodu zbyt nikłej liczby swych internowanych kolegów. Zaostrza się cenzura. Jerzy Lisowski dostrzeże w tym wyraz szacunku dla literatury: „Prawdą jest, że u nas o wiele częściej niż na Zachodzie dotyka ona [cenzura] słowa pisarza. Ale to dlatego, że przyznaje mu [...] nieporównanie większą wagę niż na Zachodzie. [...] Cenzurowanie słowa pisarza jest czymś w rodzaju [...] okazywania mu szacunku”<sup>10</sup>.

Opozycja nie czuje się jednak wdzięczna. Przepaść między nią a władzami oraz aktywnymi członkami neo-związku będzie tak głęboka, że nie uda się jej zasypać nawet po czerwcu 1989 mimo usilnych od roku 1988 starań, podejmowanych zarówno przez ministra Krawczuka, jak Żukrowskiego i Koźniewskiego, proponujących pojednanie „nawet bez przeprosin”. Zmontowane z wielkim trudem spotkanie obu stron w Krakowie zakończy się fiaskiem. Jan Józef Szczepański podsumuje to następująco: „Więzy zaufania i szacunku zostały bezpowrotnie zerwane. Bezpowrotnie”.

Wszystko to na losach wydawnictw niezależnych ważyć musi niezwykle silnie. Działają w warunkach o wiele większego zagrożenia. Żadna z oficyn nie ujawnia już — jak to bywało — nazwisk swych działaczy. Utrudniony jest, zagrożony licznymi konfiskatami i ryzykiem osobistym, kolportaż itd., itd. Podstawy i tradycje wydawnicze są jednak tak silne, że ilość oficyn nie tylko nie maleje, lecz rośnie. Poszerza się też znacznie liczba wydających „pod ziemią” pisarzy. Zmienia się też, szczególnie w okresie pierwszym, charakter twórczości bardziej teraz interwencyjnej, odnoszącej się wprost do rzeczywistości. Prozę zaczną wypierać opowiadania, bliskie nieraz — jak u Nowakowskiego — pośpiesznie pisanemu reportażowi. Rzadko udaje się autorowi zdobyć dystans wobec tematu; zdarza się to Andermanowi, a najpełniej realizuje to J. M. Rymkiewicz w ironicznych i autoironicznych *Rozmowach polskich latem roku 1983*

---

<sup>10</sup> Wystąpienie na Forum Kultury w Budapeszcie, listopad 1985; za: »Twórczość« nr 3/1986.

(NOWa, 1984), niewątpliwie największym osiągnięciu prozy krajowej tamtych lat.

Drukowany tu po raz pierwszy w roku 1984 Mrożek pozostanie prawie wyłącznie autorem *Donosów*, mających rekordową ilość wydań (siedemnaście!). Charakter niemal interwencyjny mieć będzie też ogromna ilość wierszy, choć akurat poezje bronią się także pod względem literackim. Najgłośniejszy pozostanie tom *Raport z obłąkanego miasta* Herberta, wydany po raz pierwszy w 1983 roku przez Krakowską Oficynę Literacką (w sumie trzy wydania)<sup>11</sup>.

Mnoży się też, niestety, ilość książek złych literacko bądź pretensjonalnych, czasem postrzegających rzeczywistość w ramach socrealistycznego niemal czarno-białego schematu; jest to nie tylko cechą omawianych już antologii, także dzieł autorskich z najwstydlivszym przykładem — powieścią z kluczem *Umierający i zmartwychwstali* Dalcza (wyd. Azyl, 1985)<sup>12</sup>. W tym kręgu umieścić też trzeba wszystkie ówczesne dramaty — od pseudoromantycznej *Nocy grudniowej* Konrada Kurunda po pozostające na ogół w rękopisach utwory o Lechu Wałęsie. Nawet sprawny literacko, cieszący się znaczną sławą (dzięki inscenizacji Wajdy w kościele na Żytniej) *Wieczernik* Brylla, pełen bezpośrednich i łatwo czytelnych aluzji do stanu wojennego, nie będzie odbiegać od tej zasady.

Obok tematyki „wojennej” dominuje w latach 1981–86 w ówczesnych publikacjach problematyka zbrodni sowieckich. Preferencje wydawnicze — pomimo wielu publikacji dużej wagi — nie zawsze idą w parze z wartością dokumentów.

„Antybolszewizm” jest też od początku kryterium decydującym o wznawianiu dzieł dawnych. Z Feldmana przypomina się tylko *O Rosji* Wrażenia z wycieczki (1984), z Jeske-Choińskiego *Po czerwonym zwycięstwie* (1983), z Żeromskiego *Na probostwie w Wyszkowie* (po raz pierwszy w 1979, następnie siedem wydań), oraz *Snobizm i postęp* (1981), z Iłakowiczówny — *Opowieść o moskiewskim męczeństwie* z roku 1927,

<sup>11</sup> Wymienić wypadałoby jeszcze bodaj: *Ulicę Mandelsztama* Rymkiewicza, *Przechowanie ciemności* Lipskiej, *Drzewa* (1987) Polkowskiego i wiele wierszy młodych, głównie: Polkowskiego, Maja, Jastruna, Sommera.

<sup>12</sup> Fragmenty Dalcza przedrukowała z zadowoleniem »Polityka«. Wcześniej skompromitowano na jej łamach, dzięki zręcznemu wyborowi fragmentów, jedno z głośniejszych okolicznościowych dzieł o pozorach dokumentu — *Konspirę*.

z Kossak-Szczuckiej *Pożogę, Wspomnienia z Wołynia 1917-1919* (1980). Nawet Dobraczyńskiemu zapomina się chwilowo jego przeszłe i obecne winy, aby wydać szkic z opublikowanego w roku 1938 tomu *Bolszewizm* (1986).

Jest przy tym swoistą przewrotnością, że jedynymi w tym zakresie pozycjami beletrystycznymi dużej rangi są utwory napisane przez Rosjan. Właśnie po roku 1983 uwaga wydawców zwraca się ku najlepszej prozie rosyjskiej, rzecz jasna dysydenckiej. Wcześniej wydano właściwie tylko *Jeden dzień Iwana Denisowicza* Solżenicyna oraz *Mówi Moskwa i inne opowiadania* Arzaka. Teraz między innymi przypomniano *Przeklęte dni* Bunina, *Doktora Żiwago* Pasternaka, *Archipelag GULag* (w latach 1983-88 siedem wydań) i *Krąg pierwszy* (1989) Solżenicyna, *I powraca wiatr* Bukowskiego (1984), *Żywoć człowieka* Maksimowa (1986), *Wykop* Płatonowa, Rybakowa, Szalamowa, Wojnowicza, *Światłą przyszłość* Zinowiewa, przypominając także *Zamiatina* (m. in. *My*). Równocześnie wychodzą książki poświęcone Rosji, między innymi Hellera i Drawicza.

Towarzyszy temu równolegle, choć nie tak bujnie, zainteresowanie literaturą czeską i słowacką. Autorami najpopularniejszymi są Kundera (w latach 1983-89 osiem wydań pięciu utworów, z których jednak tylko *Życie jest gdzie indziej* i *Niezdolna lekkość bytu* doczekały się wznowień) oraz Hrabal (dziewięć wydań czterech tytułów). Prócz powieści i opowiadań z literatury czeskiej wydaje się też dramaty (gatunek skądinąd raczej nie lubiany lub niewart uwagi) m. in. Havla i Kohouta. Havel pozostaje jednak głównie autorem esejów (*Eseje polityczne*, Biblioteka »Krytyki«, 1984 i *Thriller i inne eseje*)<sup>13</sup>.

Jest uderzające, jak bardzo uboga, schematyczna i bezradna wobec rzeczywistości okazuje się w porównaniu z tymi książkami „niezależna” proza polska. Nie przez przypadek bestsellery drugiej połowy lat osiemdziesiątych to szeroko rozumiana „literatura faktu”, zastępująca zresztą nie tylko beletrystykę, ale i nie mający w drugim obiegu szans reportaż<sup>14</sup>.

---

<sup>13</sup> Niebagatelne jest i to, że zarówno literatura rosyjska, jak i czeska, mają świetnych tłumaczy. Pierwsza m. in. Łobodowskiego, Woroszyłskiego, Drawicza, Lewandowską, w poezji — Barańczaka. Druga — głównie Jagodzińskiego, Heartmana, Illga.

<sup>14</sup> Poza Kuśmierkiem nikt nie uprawia, bo i jak, tego gatunku. Hanna Krall zaczyna pisać powieści, ciesząc się zresztą uznaniem, choć minoderyjnie. Jedyna głośna książka opracowana przez Pracownię Reportażu, a wydana przez NOWą *Kto tu wpuścił dziennikarzy*

A więc autorskie zbiory wywiadów jak *Oni* Torਾਂskiej czy *Hańba domowa* Trznadla (1986 i 1987). Rozmowy (m. in. Beresia z Konwickim *Pół wieku czyśćca*, 1986 i Szejnert z Korzeniewskim *Śława i infamia*, 1988). Relacje zebrane (*Komedianci, rzecz o bojkocie*, 1989) względnie wspomnienia o charakterze dokumentu (*Kadencja* J. J. Szczepańskiego, 1986, *Książki i ludzie* Korzeniewskiego, 1989).

Wbrew doraźnemu „rozpolitykowaniu” rośnie jednak po roku 1983 zainteresowanie eseistyką i poważną publicystyką. Bywają to wznowienia rzeczy wydanych wcześniej. Do najważniejszych pozycji zaliczyć wypada *Rodowody niepokornych* Cywińskiego, książki Michnika, Herlinga-Grudzińskiego, Miłosza, Czapskiego, Vincenza, Kołakowskiego, Wata. A także: Brodskiego, Havla, Sartre’a, by nie wspomnieć już o wyborze pism Simone Weil (Kraę, 1983) i nie objętych bibliografią literacką *Nędzy historyzmu* Poppera (1984) oraz *Problemie winy* Jaspersa (NOWa, 1982).

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych towarzyszy temu eseistyka i krytyka literacka: Adolfa Rudnickiego, Burka, Łapińskiego, Nyczka, pojawiają się książki kontrowersyjne, lecz szeroko dyskutowane (*Polskie, arcypolskie* Wernera, *Spotkania z Miłozsem* Walickiego i inne). Wychodzi kilka ważkich książek zbiorowych m. in. *Literatura źle obecna. Rekonansans* (1986; zbiór referatów z wcześniejszej o pięć lat sesji pod tym samym tytułem) i *Obecność. Rozmowy o ...* poświęcona Kołakowskiemu (1987) oraz przewodniki po krajowej i emigracyjnej literaturze (*Literatura polska po 1939 roku. Przewodnik encyklopedyczny* pod red. M. Drabikowskiego, t. 1 i *Szkice o literaturze emigracyjnej* Danilewicz Zielińskiej). W pobliżu wszystkich tych pozycji umieścić trzeba rozważania dotyczące języka totalitarnego Gołomsztoka (w przekładzie Drawicza), Głowińskiego, J. Karpińskiego. W miarę rozluźniania cenzury skłonność do koncentrowania się krytyki na problemach literackich i językowych wzrasta.

Cała ta wyliczanka nazbyt pewnie nużąca, ale konieczna, bowiem bibliografia w zgodzie z obowiązującymi w tego typu pracach zasadami, nie porządkuje materiału ani wedle gatunków, ani chronologii, cała więc ta wyliczanka, w której przeważają książki i autorzy uznani, godni upowszechniania, zdaje się przeczyć sceptycyzmowi, jaki towarzyszył po-

czątkowi tych rozważań. Należy jednak pamiętać, że kilkadziesiąt choćby tytułów interesujących, czy nawet wybitnych, stanowi ledwie nikły procent spośród 1918 pozycji w bibliografii zarejestrowanych<sup>15</sup>. Oczywiście, można uznać i to za liczbę imponującą. Tym bardziej, że fakt, iż dziełom wybitnym towarzyszyły mierne, chybione, demagogiczne, był też w jakimś sensie objawem zdrowia; tak przecież (o czym obecnie przekonujemy się co dzień) wygląda zawsze kultura wyjęta spod terroru odgórných dyrektyw. Co więcej, gdy pamiętać o rzeczywistości politycznej, w której działał, szczególnie po 13 grudnia, drugi obieg, można uznać, że nawet pozycje, których wartość była czysto doraźna, spełniły znaczną pozytywną rolę. Wyrażały i podtrzymywały protest, uwalniały od lęku (zarówno tych, co je tworzyli, jak i tych, co je czytali), zmuszały obieg oficjalny do pewnych cenzuralnych ustępstw. Oceniane z tamtej perspektywy nawet wątpliwe edytorskie inicjatywy nie tylko mogą, ale nawet powinny zasługiwać na taryfę ulgową. Tak jak każda, nawet nieudolna, twórczość walcząca o godność, narodową świadomość, przetrwanie. Wiadomo, że czas zweryfikuje korzystnie tylko nieliczne jej przejawy.

Bardzo trudno dziś powiedzieć, które z wymienionych tu dzieł wytrzymają ową próbę. Można jednak na pewno już dziś stwierdzić jedno. Główne zasługi drugiego obiegu polegały na zapisywaniu wszelkiego rodzaju „białych plam”. Miały wprowadzić do powszechnej świadomości to wszystko, czego starano się ją pozbawić; zarówno, gdy szło o własną historię, zbiorową tożsamość, jak i kulturę. Trzeba przyznać, że dokonano w tej dziedzinie bardzo wiele. Ale drugi obieg od samego początku i we wszystkich fazach swego rozwoju cierpiał na parę ograniczeń, z których części pokonać nie mógł, a części pokonać nie chciał lub nie potrafił. Pierwsze wynikały już z samego jego usytuowania na marginesie, a nie w centrum życia literackiego, bo niezależnie od tego, co się często mówi, miejsce centralne zajmowała kultura oficjalna.

Przekonanie opozycji objawione między innymi na Forum Kultury Niezależnej (1 V 1989), że w istocie to „drugi” obieg był „pierwszym”, nie świadczy bowiem o niczym innym jak samozadowoleniu. W rzeczy-

---

<sup>15</sup> Byłoby rzeczą niezwykle ciekawą i żmudną obliczyć, o jak wielką liczbę zmniejszyły się owe 1918 pozycje odnotowanych przez Czachowską i Dorosz, gdyby poprzestać tylko na ich pierwszych „drugoobiegowych” wydaniach, wątpić zresztą należy, czy byłoby to możliwe, bowiem czasem ta sama książka ukazywała się pod innymi tytułami.

wistości to obieg oficjalny dyktował „nieoficjalnemu” warunki (choć sam też, jak pisałam, szedł na pewne ustępstwa), już choćby przez to, że to on wyznaczał oficynom niezależnym pole manewru. Miały one wszakże zagospodarować tylko te tereny, którymi ich właściciel (choćby i nieprawowity) zajmować się nie chciał. Narażanie własnego i cudzego bezpieczeństwa dla wydania *Dziennika* czy książek Miłosza miało sens tak długo, jak długo nie ukazywały się ich oficjalne edycje. W jakimś sensie o randze, jaką spełniał podziemny ruch wydawniczy, też decydowała cenzura.

Oficyny podziemne, nawet gdyby nie nęcano ich tak dotkliwymi szykanami, nie mogły więc prowadzić żadnej sensownej i całościowej polityki edytorskiej. Mogły co najwyżej „uzupełniać” o wiele od nich bogatszy — bo wspierany przez potężnego i wszechwładnego mecenasa — rynek wydawniczy. Stanowiły w dodatku ledwie jego niewielki fragment, choćby z czysto technicznych względów. Fakt, iż mimo towarzyszących temu niedogodności (jak choćby królujący bardzo małe druk) chciano czytać drugoobiegowe książki, wynikał stąd, że były to książki „zakazane”, normalnie niedostępne, a i tak rozprowadzane w niewielkim nakładzie<sup>16</sup>.

Poza tym drugi obieg skazany był niejako na przedruki i na to, co nieliczni w końcu autorzy krajowi zechcieli mu dostarczyć. Jego „konspiracyjność” nie pozwalała na swobodne kontakty z pisarzami nawet w kraju, cóż dopiero za granicą, na korespondencje z firmami wydawniczymi ani na żmudne wyszukiwanie zapomnianych dzieł i talentów, na czasochłonne konsultacje, słowem na to wszystko, co zapewnia autentyczną samodzielność i samorządność. Trzeba było w tym względzie korzystać z cudzych usług — Instytutu Literackiego, Polonii, Aneksu i innych. Mniejsze wydawnictwa czerpały przy tym na ogół nawet nie z drugiej, lecz z trzeciej bądź czwartej ręki, uciekając się często do piractwa.

Do owych ograniczeń „obiektywnych” dochodziły inne narzucone sobie jak gdyby „od wewnątrz”.

„Opozycyjność” zobowiązywała rzecz jasna do opozycji. Opozycja jest zawsze jakąś formą zależności od tego przeciw czemu się występuje.

---

<sup>16</sup> Właśnie na tym zrobiły później znaczne pieniądze firmy oficjalne — głównie Alfa. Kiedy jednak owoc zakazany stał się ogólnie dostępny, począł zalegać półki.



W gruncie rzeczy prawie cały drugi obieg padał ofiarą owej presji, którą miał na myśli Gombrowicz w swym słynnym już spostrzeżeniu: „Niczego nie możemy przemyśleć, ponieważ nie mamy swobodnej głowy. Myśl nasza tak bardzo jest przykuta do naszej sytuacji i tak zafascynowana komunizmem, iż możemy myśleć jedynie przeciw niemu lub z nim — i *avant la lettre* jesteśmy przytwierdzeni do jego rydwanu, pokonał nas wiążąc nas z sobą, choć cieszymy się pozorami wolności”<sup>17</sup>.

Przestrzegał przed tym już w rocznicę powstania NOWej Bohdan Chwedeńczuk: „Dopóki kulturę niezależną będzie wyznaczać prawie bez reszty [...] obraz świata zorganizowany wokół przeciwstawienia władz-antywładza, dopóki będzie ją więzić ten doraźny i ciasny horyzont, dopóty będzie ona na miarę tego horyzontu [...] więc ciasna, powierzchowna, jałowa”<sup>18</sup>. Podobne obawy wyrażali anonimowi uczestnicy ankiety. „Czy kultura może być niezależna”, ogłoszonej o wiele później w początkowych numerach »Kultury Niezależnej«.

Jak już tu pisano, wielu książkom udało się horyzont przekroczyć, ale wyłącznie nieliczne i to głównie w ostatnim już okresie (kiedy zainteresowano się nie tylko literaturą dysydentów) nie były w ogóle skażone tą chorobą.

A objawów choroby było wiele.

Przede wszystkim przyjęcie zasady, że przeciwnik jest tylko jeden i że jest nim wyłącznie komunistyczna (czy szerzej — totalitarna) władza. Dalej pewność, że skażeni złem mogą być tylko rządzący. Wreszcie przekonanie, że rację ma ten tylko, kto myśli tak jak my. W drugim obiegu zdarzały się wprawdzie książki wolne od agresywności, ale trudno przypomnieć sobie takie (wyjąwszy może niektóre felietony Kisielewskiego), które rozważać by zechciały w najmniejszym bodaj stopniu — a przynajmniej relacjonować — niepopularne w środowisku racje polityczne; rozważać, czy wdawać się z nimi w uczciwą, nie zakładającą z góry własnego pełnego zwycięstwa, dyskusję.

Na pewno zaś nie było takich, które jako motto mogłyby przyjąć słowa Andrzeja Kijowskiego wypowiedziane na Kongresie Kultury Polskiej:

---

<sup>17</sup> W. Gombrowicz, *Dziela* t. VII (*Dziennik*), Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986, s. 46.

<sup>18</sup> Za: »Kontakt« nr 25–26/1986.

„Czyż poza odwagą zuchwałego dworaka żadna inna literatura nie przystoi i żaden inny nakaz moralny na nią nie czeka? Otóż czeka: mówić prawdę społeczeństwu o jego stanie duchowym i moralnym”<sup>19</sup>. Co gorsza pełne poświęcenia odkłamywanie własnej historii też jest skażone tendencyjnością. Zapisywano wprawdzie z pożytkiem liczne „białe plamy”, ale tworząc zarazem plamy nowe; konsekwencje tego zabiegu dają o sobie znać obecnie w sposób tyleż groźny, co konieczny.

Powszechną świadomość zdają się zresztą od początku kształtować raczej książki gorsze niż lepsze. Raczej nietolerancyjne niż tolerancyjne. Broszura Lipskiego *Dwie ojczyzny* cieszy się wprawdzie względnym powodzeniem, ale przyjęta jest dobrze głównie w bliskim mu intelektualnie i politycznie środowisku. Pierwszy esej podejmujący sprawę stosunków polsko-żydowskich w sposób możliwie neutralny, *Piołun czy popiół. Czy Polacy i Żydzi wzajemnie się nienawidzą?* Zimanda przechodzi właściwie niezauważony.

Dość zdumiewająca jest niejednokrotnie polityka wydawnicza (tym bardziej, że trudno stwierdzić, czy decydują o niej sympatie wydawców, nietrafny kolportaż czy gusta czytelników), wielu pozycji wartościowych i zdawałoby się poczytnych (jak choćby *Błaszany bębenek*) nie wznawia się, inne mają zaskakującą ilość wydań. Obowiązują swoiste mody: nie tylko na literaturę antytotalitarną, także na autorów. Widać to wyraźnie choćby w stosunku do emigracji. Niezwykle długo poza Miłoszem, Gombrowiczem i Herlingiem dostrzega się tylko nielicznych, po roku 1984 przychodzi wielka moda na prozę — budzącego zresztą liczne kontrowersje — Mackiewicza, najpierw nie dostrzeganego, a potem od razu znajdującego się u szczytu wydawniczej statystyki. Dopiero u schyłku lat osiemdziesiątych pojawia się, zresztą precedensowo, Leo Lipski, Haupt, Goetel, Sergiusz Piasecki, a także Jerzy Kosiński, którego popularność znów pewnie graniczyłaby ze snobizmem, gdyby inicjatywy w tym względzie nie przejął obieg oficjalny. Nie doczekali się wszakże ani jednego wydania ani poeci grupy „Kontynentów”, ani Zbyszewski, ani żaden z autorów z kręgu londyńskich »Wiadomości«.

To prawda, że dzięki nielegalnym publikacjom możliwe było zapoznanie się szerszej publiczności czytelniczej z dziełami autorów, które ze

---

<sup>19</sup> Za: »Almanach Stanu Wojennego« nr 1.

względu na zakaz oficjalny nie były wydane. Ale właśnie obowiązek przełamania tego zakazu sprawiał, że nikt tu jakby nie dawał wiary, iż uczuć niezależności, nonkonformizmu i szanowania pewnych zasad moralnych może uczyć także literatura skądinąd cenzuralna. Literatura kojarzyć się miała głównie z polityką; to przekonanie wpaja się także uczniom, nawet w wydawnictwach tak cennych, jak niektóre „Zeszyty Edukacji Narodowej” warszawskiego KOS-u czy opracowane pod redakcją Tadeusza Patrzalka *Glosariusze* do podręczników historii literatury polskiej od średniowiecza do dziś<sup>20</sup>. Polityka kojarzy się zaś na ogół z dogmatyzmem (tyle że dogmatyzmem innego rodzaju niż oficjalny), a nie z budowaniem pluralizmu, o który rzekomo się walczy. Jak w życiu.

Oczywiście, wszystko to wynika z lektury *Literatury i krytyki poza cenzurą* tylko w sposób częściowy, bibliografia uwzględnia bowiem tylko druki zwarte, które są ledwie częścią procesu, który znajdował odbicie w „drugoobiegowych” czasopismach. Trzeba się będzie przez nie przekopać.

Niezależnie zresztą od tego, jak oceniony zostanie ostatecznie drugi obieg, jedno jest pewne. Należy po prostu przystąpić wreszcie do ustawiania na półkach — by posłużyć się formułą Leszka Szarugi — już nie książek „właściwych”, lecz po prostu wartościowych. Bez spoglądania na miejsce ich wydania. Książki drugiego obiegu zajmą tam, w porównaniu z książkami wydanymi oficjalnie i z książkami wydanymi na emigracji, z pewnością miejsce nie najważniejsze, lecz po prostu istotne.

Pytanie tylko, ile będzie pośród nich utworów napisanych w Polsce właśnie (a nie w Paryżu, Londynie, Monachium czy Izraelu), którym uwolnienie się od cenzury pozwoliło osiągnąć prawdziwą niezależność myśli, niedbałej o środowiskowe opinie, sporą intelektualną rangę i wszystko to wyrazić w stosownej formie? Myślę, że najbezpieczniej jest pytanie to uznać za czysto retoryczne.

[1992]

---

<sup>20</sup> Wydano we Wrocławiu pięć zeszytów. Dwa ostatnie (od *Młodej Polski* do dziś) wyszły ostatnio jako tom II oficjalnego już wydania (Ossolineum).



# Nowomowa na wolności

Czy nowomowa ma czego szukać na wolności? W tak sformułowanym tytule kryje się oczywiście prowokacyjny paradoks. Wywodzona od Orwella nowomowa kojarzyć się powinna przecież ściśle i bezpośrednio z systemem totalitarnym. Cała, dość zresztą od lat siedemdziesiątych obfita, polska literatura przedmiotu — od pierwszych rozważań o języku marcowej kampanii, przez wydawane w drugim obiegu i na emigracji socjolingwistyczne rozprawy<sup>1</sup>, po ostatnie, opublikowane już w Trzeciej Rzeczypospolitej, książki Michała Głowińskiego — taki ma właśnie punkt odniesienia. Nowomowa to język oficjalnej propagandy czy wężziej: „język partyjny”, język odgórnego manipulacji, kształtowany czasem wedle zasad bezwzględnie ortodoksyjnych, czasem względnie liberalnych — zawsze jednak podporządkowany i sprawdzany wedle tego samego kryterium: użyteczności w służbie wszechobowiązującej ideologii. Zniewalający nie tyle umysły — co język.

Zniewolenie to w rozmaitych okresach PRLowskiego życia przybierało różne formy i różnymi dokonywało się metodami. Z jednej strony polegało na widocznym, wręcz rytualnym uprzywilejowaniu języka władzy, nadaniu mu nadzwyczajnych uprawnień. Nota bene, na ów uprzywilejowany język składały się nie tylko słowne klisze, zbitki pojęciowe, metafory, ale nawet specjalna składnia („składnia [...] staje się zbiorem gotowych sztanc wyrażeniowych, wobec których swoboda mówiącego jest minimalna”<sup>2</sup>). Z drugiej strony, w jeszcze większym rozmiarze i chyba z lepszym skutkiem niewolenie języka dokonywało się poprzez trzy-

---

<sup>1</sup> Między innymi szkic Jakuba Karpińskiego w »Kulturze« (Paryż, nr-y 9 i 10/1972) i w »Zapisie« o marcu, rozprawy Jerzego Bralczyka o propagandzie lat siedemdziesiątych, zbiór *Nowomowa* wydany przez KOS, *Mowa do ludu* Jakuba Karpińskiego (Wyd. Puls, Londyn 1984).

<sup>2</sup> S. Balbus, *Słowa i desygnaty czy akty i gatunki mowy*, »Teksty Drugie« nr 4/1990.

manie pewnych słów „na uwięzi”; możliwość ich użycia stawała się ściśle reglamentowana nie tylko przez sytuację polityczną, ale także kaprysy poszczególnych władców. Zamykano w sferze tabu znaczną liczbę słów, choćby owe słowa na literę „w”, co ostatecznie skłoniło do wyjazdu bohatera Mrożkowych *Emigrantów*.

Oczywiście, niewolący nacisk miał różne nasilenia. Łagodniał, kiedy niezbyt korzystne dla władzy warunki — jak w czasie popaździernikowej odwilży czy w sierpniu 1980 roku — zmuszały ją do szukania kompromisu, a nawet do prób „dialogu” ze społeczeństwem. Wtedy bywało, że właśnie wymykająca się spod kontroli nowomowa hamowała te próby; rządzący, nazbyt już nawykli do swoich stereotypów, nie byli w stanie nawet pod naporem okoliczności zawiesić ich na kołku („Nowomowa nie tylko utrudnia negocjacje, ale także nie dostarcza argumentów<sup>3</sup>). Z kolei w okresach przykręcania śruby — w stalinizmie, po marcu 1968 czy w pierwszych miesiącach stanu wojennego — próbowano uczynić z oficjalnego języka jedyną dozwoloną formę społecznego komunikowania. (Poza chwilami takiego napięcia przynajmniej rządzonym pozostawiano w tej mierze dość znaczną swobodę). Nowomowa w rozmaity sposób funkcjonowała także wewnątrz samego obozu władzy. W pierwszym dziesięcioleciu powojennym była mową całej partii<sup>4</sup>, potem różnicowało się to bardzo znacznie. Sposób mówienia „puławian” różnił się znacznie od sposobu mówienia „natolińczyków” przynajmniej do momentu, kiedy Gomułka wydał walkę frakcjom; z kolei język moczarowców był nieco inny niż język Gomułki, nie mówiąc już o różnicach między „betonem” („Grunwaldem” czy Forum Katowickim) a tak zwanymi liberałami partyjnymi lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Bywało, że nieoczekiwanym przejawem nowomowy stawały się incydentalne odezwania nie należące do oficjalnego języka, choć z niego czerpiące natchnienie. Kiedy indziej nowomowa anektowała słowa czy sformułowania w intencjach od niej jak najdalsze: przykładem opisane przez Głowińskiego zawłaszczanie przez partię słów „jedność” i „soli-

---

<sup>3</sup> M. Głowiński, *Nowomowa a kryzys społeczny w: Peereliada*, PIW, Warszawa 1993, s.149.

<sup>4</sup> Nota bene dziwne, że język lat stalinowskich, niewątpliwie wart opisu, znalazł się, w gruncie rzeczy, poza obszarem uwagi badaczy.

darność”, do których odwoływał się podczas swych wizyt w Polsce papież. Nie mówiąc już o rozlicznych formułach zastępczych stosowanych przy nazywaniu zjawisk niewygodnych („bilety towarowe” zamiast kartek w 1976 roku, „zamieszki chuligańskie” w miejsce robotniczych demonstracji czy „przerwy w pracy”, by nie mówić o strajkach).

Właśnie ta, bardzo tu skrótowo opisana zmienność, wielowariantowość i różnorodność PRL-owskiej nowomowy powoduje, że zjawisko to warte jest szerszej uwagi, wykraczającej poza zainteresowania socjolingwistów. Jest ono bowiem nie tylko przykładem kuriozalnego, sztucznego, stworzonego niejako dekretem języka — lecz także odbiciem rzeczywistości, w jakiej żyliśmy, z całą jej zmiennością, starciami, dramataми i tragifarsami, a także odbiciem mentalności — nie tylko rządzących, ale i obywateli. Badacz nowomowy odtwarza obraz przed chwilą minionej epoki bodaj skuteczniej niż ci, od których oczekiwaliśmy takich syntez: artyści, pisarze, filmowcy, autorzy dramatów. Nie jest uzurpacją nazwanie jednej z trzech świetnych książek Michała Głowińskiego — napisanych przed, lecz wydanych już po czerwcu 1989 roku — *Peereliadą*<sup>5</sup>.

Historia opisana w tych książkach wymaga już, rzecz jasna, przypisów. Co dobrze zdaje się świadczyć o czasie terażniejszym: młodzi czytelnicy nie mają okazji poznać prezentowanych zjawisk z autopsji, trudno się więc im dziwić, że traktują je jak swoiste księgi nonsensu. A przecież nadmiarem dobrego samopoczucia byłoby wierzyć, że z nowomową rozstajemy się teraz radośnie i zdecydowanie, jak kiedyś pożegnała komunizm Joanna Szczepkowska (też zresztą przedwcześnie i lekkomyślnie).

I nie idzie tu tylko o językowe „prześwity z niedawnych lat”, jakie dwa bodaj lata temu sygnalizował już Głowiński w »Gazecie Wyborczej«. Ani o to, że nad obecnym językiem ciąży „totalitarne znieprawienie”, charakterystyczne na przykład dla antysolidarnościowych kampanii lat osiemdziesiątych, kiedy to „słowa nie są traktowane jak pojęcia coś opisujące, ale jak hasła wartościujące<sup>6</sup>. Ta ostatnia cecha nie przynależy zresztą tylko do komunistycznego języka, odnaleźć ją można w propagandzie rozma-

---

<sup>5</sup> M. Głowiński, op. cit., Pozostałe to: *Nowomowa po polsku*, PEN, Warszawa 1990 i *Marcowe gadanie*, Pomost, Warszawa 1991.

<sup>6</sup> Hanna Świda-Ziemba na zebraniu warszawskiego KIKu w kwietniu 1991.

tych ideologii i epok. Idzie o coś więcej: o głęboki wpływ, jaki nowomowa wywarła — może nawet niechcący — na kształtujące rzeczywistość Trzeciej Rzeczypospolitej środowisko szeroko rozumianej opozycji, który to wpływ odkrywamy dziś coraz częściej i z coraz większym zdumieniem.

W czwartym numerze »Tekstów Drugich« z 1990 ukazał się szkic Anny Wierzbickiej *Język antytotalitarny w Polsce: O pewnych mechanizmach samoobrony językowej*. Już tytuł sugerował, i to apodyktycznie, istnienie systemu językowego, który — jak wolno wnosić z nazwy — był rodzajem odpowiedzi na nowomowę. Artykuł jednak w istocie tezie tej zaprzeczał, był bowiem na pół lingwistyczną, na pół socjologiczną rozprawką, odnotowującą — z widoczną satysfakcją — wyrażenia określane jako „anty-totalitarne”. Do przytoczonych przez Annę Wierzbicką: komucha, komuny, ubeka, ubecji dopisać można jeszcze kilkanaście albo i więcej. Ma jednak rację Jerzy Bralczyk: „z kilku wyrazów i kilku zastosowań [...] reguł morfologicznych języka stworzyć się nie da. Ma to tyle z językiem wspólnego, co wymyślenie przez kilku uczniów dla nieulubianych nauczycieli przezwisk, których używanie tak wspaniale pozwala na odregowanie napięć<sup>7</sup>.”

Nawet jeśli porównanie wydaje się drastyczne, nie sposób odmówić mu racji. Język antytotalitarny w Polsce na większą skalę nie powstał. Można mówić o języku obronnym (albo po prostu normalnym). Takim językiem był: „niewymuszony, choć miejscami wulgarny do plugawości język ulicy. [...] Takim językiem byłby język pewnego typu eseistyki humanistycznej. [...] Taki był język Kościoła<sup>8</sup>. Czasem wierność owemu językowi wymagała — jak w latach stalinowskich — prawdziwej odwagi, kiedy indziej była po prostu wyrazem niezależności, tolerowanej a nawet (gdy wziąć pod uwagę dotacje na różnego typu książki polskie i obce) wspieranej przez prawodawców nowomowy.

I właśnie fakt, iż ów normalny język nie zamilkł, a nawet był — poza latami 1949–1953 — językiem dominującym, sprawił, że oddziaływanie czystej nowomowy nie było w ogólnym rozrachunku nazbyt dotkliwe; stanowiła ona teren chroniony<sup>9</sup>, lecz jednak izolowany.

<sup>7</sup> *Antytotalitarny metajęzyk*, »Teksty Drugie« nr 4/1990.

<sup>8</sup> Tamże.



Ale to nie język normalny zdobył sobie największą popularność wśród opozycji ostatniego przed upadkiem PRL-u dziesięciolecia. Odwrotnie: ceniono sobie nade wszystko „język walki”, który — wymierzony w nowomowę wprost i bezpośrednio — zarazem dzielił z nią wiele cech. Głównie kategorię czarno-białe oceny i związaną z nimi niechęć do wszelkiego dialogowania. Nie tylko do dialogu z władzą, ale i z różnymi opcjami światopoglądowymi w ramach samej opozycji. A także, co najważniejsze — choć brzmi bluźnierczo — niechęć do dialogu ze społeczeństwem, z którym nadal się nie rozmawiało, zakładając dufnie, iż myśli ono dokładnie tak, jak aktywna opozycja. W tej akurat sprawie rację miał Piotr Wierzbicki, kiedy w swych — skądinąd dogmatycznych i tendencyjnych — *Myślach staroświeckiego Polaka* przestrzegał przed „okopaniem się przy dogmacie, że stanowimy zjednoczony, umęczony naród, wyznający ideały Solidarności, wsłuchany w słowa TTK<sup>10</sup>”.

Okopanie się przy dogmacie było w jakimś sensie naturalną reakcją na 13 grudnia, język walki zaś wydawał się w tych okolicznościach całkiem stosowny. Opozycyjni działacze i publicyści mają więc na swoją obronę bardzo dużo. W niczym jednak nie zmieniało to faktu, że skłonność do przemawiania w imieniu całego „umęczonego narodu”, bez potrzeby refleksji nad tym, jakie są rzeczywiste oczekiwania i potrzeby znacznej jego części, już wówczas przynosiła ogromne szkody. Wydając walkę partii, pronom, wronom, etc. cały wysiłek skierowano bowiem na odzyskiwanie słów-tabu i dewaluowanie słów oficjalnie preferowanych. Nad tym, co słowa te znaczą naprawdę dla szarych ludzi (w tym i sporej części inteligencji), specjalnie się nie zastanawiano. Pojęcia takie, jak wolność, demokracja, pluralizm, zerwanie z monopolem państwa, samorządność, czy przedsiębiorczość, wydawały się wartościami samymi w sobie; precyzowanie ich sensu a tym bardziej zastanawianie się nad wszelkimi komplikacjami, jakie nieść mogą, wydawało się marnowaniem czasu. Z kolei wszystko, co pisano w prasie oficjalnej — choćby o trudnościach, z jakimi boryka się Zachód, o bezrobociu, pułapkach wolnego rynku — odrzucano jako propagandową nowomowę. Nie znaczy to oczy-

---

<sup>9</sup> Jak bardzo, świadczy na przykład to, iż po dojściu do władzy Gomułki niezwykle szybko i radykalnie zaczęto cenzurować satyryczny dział *Mowa trawa* w »Po prostu«.

<sup>10</sup> P. Wierzbicki, *Myśli staroświeckiego Polaka*, Głos, Warszawa 1985.

wiecie, że nie wiadomo, iż rzeczywistość niekomunistyczna nie jest rajem, w którym wszystkim żyje się komfortowo i którą rządzą tylko miłość, prawda i sprawiedliwość; uważano jednak, że z perspektywy gorzkich doświadczeń „obozu” wszelkie inne są po prostu nieistotne.

Nie byłoby w tym wszystkim niczego dramatycznego, gdyby językiem walki posługiwano się celowo, dla doraźnych celów taktycznych, ze świadomością, że przy jego pomocy nie da się ogarnąć olbrzymiej liczby problemów. Gdyby, jednym słowem, dało się odłożyć go do lamusa w momencie zwycięstwa.

Przez jakiś czas wydawało się zresztą, że na to się zanosi; nowomowa w znaczeniu Orwellowskim stawała się pojęciem całkowicie historycznym. Od zakończenia obrad Okrągłego Stołu nikt nie przemawiał językiem dawnej propagandy, nie ustalał ogólnie dozwolonych i niedozwolonych reguł w zakresie słów czy składni. Od co najmniej trzech lat nie pilnuje już języka cenzura. „Scena publiczna stanęła otworem dla nieskrępowanej walki na słowa. Mamy wreszcie perswazję, a i demagogię z prawdziwego zdarzenia — pisał w 1990 roku Zdzisław Łapiński — Teraz wyłania się obiekt znacznie trudniejszy do uchwycenia, różne odmiany języka ideologicznego, którymi przemawia nie groteskowo obcy nam i wynaturzony stwór instytucjonalny, ale nasza własna »wspólnota komunikacyjna«”. Łapiński sytuacji aktualnej nie apoteozował, wręcz odwrotnie, ale rozważania swe nazwał optymistycznie *Elegią na odejście nowomowy*<sup>11</sup>.

Czas, jaki upłynął od tej publikacji, każe na ów optymizm — wtedy uzasadniony — spojrzeć z rezerwą. Język, jaki owładnął bowiem życiem publicznym, nie jest już wprawdzie nowomową, niemniej w tak ogromnym stopniu składa się ze stereotypów pojęciowych i klisz językowych, a także ze słów zmieniających całkowicie — na użytek doraźny — swe pierwotne sensy, że przestaje być „normalnym” językiem i domaga się swojej oddzielnej nazwy. I do głowy nie przychodzi nic lepszego, niż właśnie nowomowa. Nowa nowomowa oczywiście. Nowomowa na wolności.

Bezpośredniego wpływu na jej narodziny nie miały żadne wydarzenia narzucone społeczeństwu przez siły mu obce. Miały na nie natomiast

---

<sup>11</sup> »Teksty Drugie« nr 4/1990.

z całą pewnością wpływ złe przyzwyczajenia i złe fascynacje. O złych (peerelowskich i antypeerelowskich) przyzwyczajeniach była już mowa. Pośród fascynacji najistotniejszą rolę spełnia tu chyba język Lecha Wałęsy.

Zafascynowanie to, ściśle związane z generalną apoteozą osoby charyzmatycznego przywódcy Solidarności (wyraz „charyzma” też szybko wszedł do „nowonowomowy”), skoncentrowało się przede wszystkim na jego sposobie mówienia. Spontanicznym, niepoddanym żadnym regułom, nieobliczalnym, pełnym sprzeczności i zaskakujących niespodzianek, „dziwacznych metafor nigdy do tej pory niespotykanych”, „oddalających od razu wszelkie podejrzenia o nieautentyczność”<sup>12</sup>. Kiedy Jerzy Urban starał się dyskredytować Wałęsę między innymi poprzez wskazywanie, iż każdego dnia mówi co innego — nie mógł osiągnąć celu nie tylko dlatego, że był osobą skompromitowaną, a Wałęsa wielbioną, ale dlatego również, że ośmieszał właśnie to, co pociągało swą zupełną odmiennością wobec oficjalnych przemówień odczytywanych z kartki, gdzie każde zdanie, argument czy inwektywę można było przewidzieć z góry.

Szło zresztą o coś więcej. Nieobliczalność języka Wałęsy była elementem gry z władzą: niekonsekwencje wyglądały jak maskowanie właściwych zamierzeń, realizowanych zresztą z doskonałym na ogół rezultatem. Co więcej, słowa i wypowiedzi Wałęsy sprawiające wrażenie destabilizujących, zastraszających sytuację, w istocie prowadziły idealnie do osiągnięcia celów i to kilku równocześnie. Wałęsa przy pomocy swojej osobliwej mowy jednocześnie wymuszał na peerelowskiej władzy kompromisy, jakich by się pewnie nikomu innemu nie udało osiągnąć, opanowywał ekstremistyczne nastroje w Solidarności, ba, mówiąc nieustannie o potrzebie kompromisu obalił w końcu ustrój szybciej, niż ktokolwiek by mógł sądzić. Można powiedzieć, że nie znajdzie się łatwo nikogo drugiego, kto by przy pomocy słów osiągnął tak imponująco dużo — choć znalazłoby się wielu równie, a może i bardziej zasłużonych dla Solidarności, jeśli idzie o czyny i koncepcje działania.

Ale miało to i swoją gorszą stronę. Lech Wałęsa nagradzany, wielbiony, a i nienawidzony (nie tylko przez władze, także przez część związkowych kolegów) zaistniał jako symbol Solidarności dzięki instynktowi politycznemu i niezwyklej umiejętności nawiązywania kontaktu z tłu-

---

<sup>12</sup> J. Bralczyk *O języku Wałęsy*, »Teksty Drugie« nr 4/1990.

mem. To, że gorzej wypadła w polityce gabinetowej, nie miało większego znaczenia; negocjacje gabinetowe nie mają żadnego wpływu na popularność. Ta zaś sprawiła, że Lech Wałęsa niebezpiecznie uwierzył w trzy rzeczy. Uznał za pewnik, że reprezentuje najlepiej i w każdych okolicznościach polskie społeczeństwo (stąd właśnie, a nie z egocentryzmu, coraz częściej zamiast „my” słyszymy w jego ustach „ja”). Po wtóre, uwierzył, że kiedy zdania nieprzemysłane i sprzeczne wygłasza on sam — skutek musi być tak czy owak pozytywny. Wreszcie założył, że jeśli rzeczywistość nie wygląda tak, jak miała wyglądać w jego obietnicach — nie ma w tym jego winy, lecz winni są ci, co myśl jego skrzywili, blokując też stosowne działania.

Być może tak przekonany o swej wszechmocy język Lecha Wałęsy uległby pewnej ewolucji po wygranych wyborach prezydenckich, gdyby nie okazało się bardzo szybko, że w sposób dość podobny, tylko o wiele mniej konkretny (a za to o wiele bardziej brutalny!) przemawia większość tak zwanych politycznych elit. Rozpoczęty „wojną na górze” wyścig na frazesy, zakłęcia i inwektywy wytyczył nie tylko językowy charakter kolejnych kampanii wyborczych (przebiegających niekoniecznie elegancko także i w krajach rozwiniętej demokracji), ale i nowomowy politycznej dnia codziennego. Jak porażająco ogromny jest rozmiar tego zjawiska, świadczy fakt, iż ze wszystkiego, co zostało powiedziane w ciągu paru lat wolności w Polsce, pamięta się wyłącznie hasła tym skuteczniejsze, im bardziej demagogiczne i pozbawione treści.

Część z nich (popularność ich wzrasta) powtarza niemal dokładnie frazeologię dawnej nowomowy. „Określone koła” i „sterowanie z zagranicy”, „europejscy liberalowie”, „rewizjonistyczna lewica”, „trockiści” i nawet „tak zwana opozycja z lat osiemdziesiątych”<sup>13</sup>. Nie brak „ludzi, którzy spełnili swe niechlubne zadanie”<sup>14</sup>, działa się „z woli ludu”, w „imię społeczeństwa” i „dla dobra narodu” (na które to dobro powoływano się raz po raz w marcu), ale też pod groźbą „strajkowego pistoletu”, etc., etc.

---

<sup>13</sup> O programie Jędrzeja Giertycha w łódzkim piśmie »Świat« (nr 11/1993) czytamy: „nie udzielił moralnego poparcia komunizmowi, a jedynie wypowiedział się przeciw tzw. opozycji o trockistowskich korzeniach”.

<sup>14</sup> Tak pisał tygodnik »Niedziela« o Rzeczniku Praw Obywatelskich.

Część hasel brzmi inaczej, część jest opatrzona przeciwnym znakiem wartości. Ale ich całkowita semantyczna dowolność jest taka sama jak niegdyś (postkomuniści, różowi i katolewica zastępująca dawnych rewizjonistów czyli zdrajców własnych szeregów; mamy „wartości chrześcijańskie” stwarzające równie dowolne pole manipulacji, co onegdajsze „idealy socjalizmu”). Często też wywołują one niezbyt chwalebne skojarzenia: „agenci Moskwy” przywodzą na myśl „agentów imperializmu”, „szczekające kundelki” są tylko trochę mniej groźne od „psów łańcuchowych”, a podziałów na lewicę i prawicę dokonuje się tak samo dowolnie jak kiedyś i z tą samą obraźliwą intencją.

Pojawiają się też zawołania nowe: „przyśpieszenie”, „gonienie w skarpetkach”, „sto/trzysta milionów dla każdego”, „wchodzenie do Europy” i „ewangelizacja” teź. W Solidarności „wzrasta zapotrzebowanie na obalenie rządu”, jak powiada jej przewodniczący. Owym hasłem, niemal rozczulającym w swym bezsensie, towarzyszą obelgi i pomówienia (niekiedy całkiem oryginalne, kiedy indziej wyświechtane już mocno przez komunistów), za które nikt nikogo nie pociąga do odpowiedzialności. Może dlatego stają się podręcznym słownikiem nowomowy na wolności, odmalowującej świat tak ponury, że melancholijne „komuno wróć” naprawdę nie powinno dziwić. Wedle nowomowy, 4 czerwca 1989 sprowadził na Polskę same klęski, stokroć gorsze od jałtańskich: panowanie udających kiedyś opozycję konfidentów, targowiczian i zwolenników piątego rozbioru, aferzystów pogrążających kraj w bezprawiu i budujących nowy PRL tym tylko różniący się od starego PRL-u, że żyje się w nim, produkuje, uczy i leczy znacznie trudniej, na dodatek w stałym lęku przed skolonizowaniem Polski przez Zachód lub (co nieco lepsze) wykończeniem przez złodziejską prywatyzację.

Ta propaganda destabilizacji, depresji i ubóstwa jest o wiele skuteczniejsza od dawnej propagandy sukcesu. Tamta kreowała bowiem świat na tyle niezgodny z codziennością, że jej siła oddziaływania była znikoma. Propaganda klęski Trzeciej Rzeczypospolitej wyraża tymczasem nastroje ogromnej części społeczeństwa, której w odpowiednim momencie nikt nie poinformował o nieuchronnych kosztach przemian. Społeczeństwo jest więc nadal skore do walki z „onymi”, winnymi pogorszenia jego losu, a „onych”, jak się okazuje, jest dziś więcej niż w PRL-u.

Tak więc słowo nie wsparte ani programem, ani działaniem, ani myślą ma niszczycielską moc. To prawda, że nie stoi za nim, jak niegdyś, żaden

aparatu przymusu, nie wspiera go instytucja cenzora ani jedynie słuszna ideologia. Nie ma też jednej, „oficjalnej” nowomowy i każdą z jej odmian można poddać publicznej krytyce. Tylko że dyskusja z nowomowami, choćby dozwolona, jest coraz bardziej bezskuteczna. To też jedna z cech nowomowy, w jej najbardziej jadowitej wersji, upaja jak narkotyk. Producenci, ufni w moc sprawczą słów (nie bez powodu — świadczą o tym najlepiej choćby manifestacje uliczne), nie chcą pamiętać, iż jest to broń obosieczna. Zwłaszcza, gdy nie jest już peerelowskim drewnianym gadaniem, niezdolnym do wywoływania jakichkolwiek emocji.

Nowomowa zrytualizowana musiała upaść wraz z ustrojem, w którym powstała, a który został społeczeństwu narzucony. Nowomowa na wolności współkształtuje — nie najlepiej na razie niestety — ustrój, o który owo społeczeństwo ponoć jak jeden mąż walczyło. Pozostaje tylko oczekiwać (obawiam się, że bezskutecznie) książki, którą, jako rzecz równie historyczną, będzie można kiedyś postawić na półce obok *Peereliady* Michała Głowińskiego, a której tytuł będzie pochodną tego, co jeszcze przed chwilą nazywano „młodą polską demokracją”, a co dziś jest już nie takie młode, choć coraz bardziej niedojrzałe. Wiele wskazuje na to, że będzie to książka barwna: pełna grozy, ale i śmieszności.

[1993]

# Kazimierza Brauna spowiedź bez powodu

Człowiek naprawdę wolny nie może nie posługiwać się pamięcią. Trzeba to zostawić — jak jest. Jako dokument.

Stanisław Bereś do Kazimierza Brauna

Niezwykle trudno pisać o tej książce<sup>1</sup>. Jakże bowiem polemizować z artystą, który — jak sam o sobie mówi — nie sprzeniewierzył się nigdy, ani w sensie dosłownym, ani metaforycznym, żadnemu z przykazań dekalogu. Który heroicznie walcząc o uchronienie Polski przed gotowanym jej losem „pustyni kulturalnej” przeszedł przez komunizm kryształowo czysty, a wiodły go trzy niezłomne zasady: „po pierwsze nie opuścić niedzielnej Mszy św. [...], po drugie, nie zapisać się do partii, po trzecie nie powiedzieć czegoś, czego by potem nie mógł powtórzyć”. Jak więc bez szacunku i czolobitności oceniać *Rozdartą kurtynę* Stanisława Beresia i Kazimierza Brauna, kolejną książkę w modnym dziś gatunku wywiadów-rzek, gdzie prawda miesza się z autoidealizacją nieomal na każdym kroku?

Pomieszanie to widoczne jest od samego początku, od podtytułu. Ma to być *Opowieść o teatrze i nie tylko o teatrze*. Jest to jednak sformułowanie mocno na wyrost i nawet ewentualne ukonkretnienie podtytułu dopełniaczem: *Opowieść o teatrze i nie tylko teatrze Kazimierza Brauna* nie może sprawić, by przestał obiecywać zbyt wiele.

O teatrze Brauna mówią tu bowiem tylko opisy przedstawień sporządzone ręką samego bohatera. Uwzględnione są — czemu się trudno dzi-

---

<sup>1</sup> S. Bereś, K. Braun, *Rozdarta kurtyna. Rozważania nie tylko o teatrze*, Aneks, Londyn 1993.

wić — dzieła najgłośniejsze; porażek nie znajdziemy. Autor ceni swą pracę i jeśli sięga po opinie recenzentów, to tylko po to, by potwierdzić wybitność, a skryć mankamenty. „Bardzo dużo pisano o tym spektaklu, w różnych językach zresztą. Spektakl miał ogromne powodzenie” — notuje reżyser. „Za granicą *Przyrost* [naturalny Różewicza — M.F.] zdobył, mówiąc bardzo oględnie, najwyższe pochwały, został zaliczony do najważniejszych przedstawień tamtych lat” — czytamy o innym jego scenicznym dziele. Jeśli zaś mowa o jakichś recenzenckich zastrzeżeniach, szybko dowiadujemy się, że czepiała się krytyka „partyjna”, reżyserowi niechętna wyłącznie ze względów politycznych.

Teatr Brauna to nie tylko spektakle, lecz także jego dyrekcje. Pierwszą, lubelską, Braun ocenia jako niezwykle istotną, czyniącą z tego miasta ważny ośrodek teatralny dzięki spektaklom nowatorskim formalnie i śmiałym politycznie i dzięki zbudowaniu mocnego, młodego zespołu aktorskiego (aczkolwiek opowiadający przyznaje się nawet do „debiutanckich potknięć”, jakie mu się w Lublinie zdarzały). Druga, wrocławska, relacjonowana jest z perspektywy głośnego odwołania ze stanowiska w roku 1984. Braun uważa ją za dojrzałą artystycznie, bezkompromisową politycznie, zaangażowaną w pozateatralne wypadki po właściwej stronie barykady, z Solidarnością jawną i tajną („zapisali się chyba wszyscy, łącznie z dyrektorem... tylko że zamiast wzajemnych pretensji, jak to bywało gdzie indziej, bo wiesz, że Solidarność wyrzuciła wtedy około połowy dyrektorów w kraju, u nas Solidarność współpracowała zgodnie z dyrekcją, a dyrekcja z Solidarnością”).

Poza spektaklami i dyrektorowaniem, poza pracą naukową, też zresztą związaną z teatrem (doktorat w Lublinie, habilitacja we Wrocławiu, wykłady, książki) mamy jeszcze w książce Brauna to, „co nie jest teatrem” — czyli rzeczywistość. Peerełowską rzeczywistość, w której Braun, „obywatel PRL-u”, uczestniczyć musi, ale zawsze na zasadzie norwidowskiej „osobności”. Najpierw z powodu poważnej krechy w życiorysie (kilkuletnie po 1948 roku więzienie ojca, stryja i kilku jeszcze bliskich krewnych), później — z wyboru. Rzeczywistość ta przedstawiana jest na ogół prawdziwie, nie brak tu pouczających anegdot, a i sam los młodego Brauna zdaje się symptomatyczny. Mimo to trudno traktować *Rozdartą kurtynę* jako cenne świadectwo epoki — co, zdaje się, chcieliby w niej widzieć obydwa rozmówcy. Nie dlatego nawet, że jest subiektywna — subiektywizm jest przecież nieodłączną cechą wszystkich podobnych



książek, co więcej, z takich właśnie subiektywnych spojrzeń składa się później całkiem obiektywne całości. Wiele faktów z relacji Brauna nie może podlegać dyskusji, wielu jego opiniom nie da się postawić zarzutu stronniczości. Nie subiektywizm jest więc tu przeszkodą, ale skrajny egocentryzm; tym bardziej drażniący, im usilniej Braun podkreśla wielką niechęć do mówienia o sobie i przełamywanie jej wyłącznie pro publico bono. Kiedy w liście do Beresia z początku 1992 roku (zatem późniejszym o trzy lata od samych rozmów<sup>2</sup>) pisze: „To jest wszystko spóźnione [...] Po co to komu? Wiem, że ludzie w kraju niechętnie się teraz oglądają wstecz” — myśli przecież nie o historii własnych dokonań, lecz o historii kraju w ogóle. Ta „historia powszechna” ma jednak akurat dokładnie taki wymiar, jaki mu jest potrzebny do szkicowania własnych, heroiczych na ogół, zmagañ.

Podobnie z ludźmi sportretowanymi w *Rozdartej kurtynie*. Jeśli nie liczyć pierwszych dwudziestu paru stron — jednej dziesiątej książki — na których jej bohater opowiada o swojej rodzinie, między innymi o Jerzym Braunie i Jadwidze Domańskiej, wszystkie pozostałe występujące w książce osoby: artyści, działacze, decydenci określani są nade wszystko przez swój stosunek do opowiadającego. Gdy ów stosunek był dobry — na przykład w przypadku Stanisława Witolda Balickiego — poznajemy w lekturze cechy tylko pozytywne, na przykład osobistą kulturę i inteligencję działacza. Gdy zaś wrogi — jak w przypadku Krasowskich — nie dość, że czytamy o brutalności i partyjniactwie rywali, ale okazuje się, że nawet ich nowohuckie sukcesy, uważane raczej za niewątpliwe, są zasługą kogo innego — Szajny. O artystach innych niż Kazimierz Braun nie mówi się w tej książce prawie wcale — a jeśli już, to najczęściej w znamiennych, uogólniających opozycjach. „Niektórzy dostępowali wielkiego zaszczytu: byli zapraszani na polowania (lub sami wprasali się skutecznie), te polowania — o ile wiem — odbywały się w gronach wojskowo-partyjnych [...] no, więc ja na polowania nie jeździłem.” „Liczni ludzie teatru pili wódkę z sekretarzami KC i KW [...], ja wódki nie piłem. Z nikim”. „Nagrody państwowej, czy ministerialnej, a więc tej, która ujawniała jednocześnie poparcie dla delikwenta, nie dostałem nigdy. Nigdy,

---

<sup>2</sup> Nagrane zostały w 1988 i spisane w 1989 w Lille.

kropka. Może to ci pokaże dokładnie różnice w traktowaniu mnie a osób, które dostawały nagrody państwowe już za swoje debiuty reżyserskie”.

Ten być może usprawiedliwiony, lecz jednak dość szczególny sposób postrzegania rzeczywistości i bliźnich (o których zresztą w imię chrześcijańskiego miłosierdzia nie mówi się na ogół nic złego z nazwiska), prowadzący tę rozmowę Stanisław Beres nie tylko akceptuje, ale i utwierdza. Co gorsza, sam wyraźnie ciągnie całość w stronę tej odmiany wywiadów-rzek — w połowie lat osiemdziesiątych jakoś odkrywczej, dziś nazbyt już zbanalizowanej — w których celem nie jest szukanie prawdy, lecz testowanie szlachetności (lub nieszlachetności) interlokutorów. Probierzem szlachetności jest zaś wyłącznie stosunek do komunistycznej władzy. Ciekawość pytającego jest więc zdeterminowana z góry, i to w sposób doktrynerski aż do śmieszności. Pytania i odpowiedzi zadowolilyby może antykomunistę, który w PRL-u nie spędził ani chwili czynnego zawodowo życia. Kogoś, kto naprawdę byłby przekonany, że była to rzeczywistość nienormalna tak dalece, że — aby zachować w niej uczciwość — nie wypadało odnosić tu żadnych sukcesów ani doznawać jakichkolwiek przyjemności. Odwrotnie: powinno się było żyć na marginesie, w głodzie i w biedzie, demonstrując bezustannie bunt wobec wszystkiego, co oficjalne.

Stąd uporczywe i bezkompromisowe indagacje Beresia o standard mieszkań Brauna, samochodu, wysokości gaży. I mieszczące się w tejże konwencji odpowiedzi przyciskanego do muru. A więc: suterena u początku reżyserskiej drogi w Warszawie, „złe wyposażenie” mieszkania z betonową podłogą w Toruniu, potem nieco lepsze, lecz obok dancingu („możesz sobie wyobrazić, co to było dla kogoś, kto pisze nocami”) w Lublinie, przeciekający dach i piece we Wrocławiu. Samochód: „pierwszy syrenka, kupiony w 1968 roku za pożyczone pieniądze, potem fiat 125, łada, łada”. Gaża nie sięgająca pułapu („takie gaże były rezerwowane dla swoich”). Wreszcie wyjazdy zagraniczne — nigdy „z wyjątkiem dwóch okazji, dawno temu, w Lublinie [...] nie byłem wysyłany za granicę przez władzę. Odwrotnie, wielokrotnie odmawiano mi paszportu, albo zakazywano przyjąć zaproszenia”. W tej litanii żalów brakuje tylko informacji, czy Braunowi zdarzyło się pójść do restauracji, czy też stołował się całe życie w barze mlecznym, a także, czy stać go było kiedykolwiek na choćby najtańszy urlop.

Nie ma żadnego powodu by kwestionować szczerłość odpowiedzi, jakich Braun udziela Beresiewi, chociaż — gdyby już wdawać się w te żenujące wyliczanki — można by spytać, czy reżyser istotnie uważa, że jego dość liczne występy zagraniczne z teatrem (także po grudniu 1981) nie miały nic wspólnego z „wysyłaniem przez władze”, i czy jego kłopoty paszportowe można porównać z odmowami, na jakie narażona była spora liczba innych twórców i intelektualistów. Wnikanie jednak w tę materię zwyczajnie nie ma sensu, podobnie jak nie ma sensu „lustrowanie” pozycji materialnej rozmaitych, bynajmniej nie uwielbiających ustroju, fachowców z różnych dziedzin. W ciągu co najmniej trzydziestu paru lat — od „odwilży” — ogromnie wielu ludzi żyło w rzeczywistości nienormalnej, ale przecież nie obozowej czy okupacyjnej. W rzeczywistości tej można było, bez żadnego podejrzenia o nieuczciwość, awansować, tworzyć liczne dzieła, cenzurowane wprawdzie, lecz broniące się same, bez żadnej ustrojowej taryfy ulgowej. Nikt nie uznawał tego wówczas — i słusznie — za kolaborację, chyba że były ku temu osobne powody. Niewielu też wyznawało tak dziś popularny pogląd, że był to żywot gnidzi, by posłużyć się starym określeniem Wierzbickiego.

Kiedy więc Bereś atakuje Brauna za jego przynależność do nomenklatury i „prominenckość”, nie sposób nie zgodzić się z argumentacją oskarżanego: „Skoro byłem reżyserem (»jakimś tam«, jak mówi Norwid) to zacząłem otrzymywać propozycje dyrekcyjne [...]. Skoro chciałem się rozwijać, mieć szersze pole, to chciałem też zostać dyrektorem teatru. [...] Ale może to trzeba jeszcze inaczej wyjaśnić: nie ja osobiście byłem w nomenklaturze [...], byłem w nomenklaturze, bo byłem dyrektorem teatru, a nie: byłem w nomenklaturze — więc zostałem dyrektorem teatru; znam parę takich przypadków właśnie”. Braun — podobnie jak znaczna większość jego kolegów po fachu — do „przypadków” takich nie należał, sam fakt objęcia dykcji teatru nie dyskredytował go więc moralnie, przynajmniej w oczach innych. Próba narzucenia dzisiejszej, niekoniecznie przystającej do dawnych warunków, perspektywy w ocenie etyczności działań i decyzji nie służy więc niczemu, a nawet, odwrotnie, zaciemnia i mąci obraz.

Paradoksalnie, nie służy też ani żadnej demaskacji, ani nawet oczyszczającemu katharsis. Bohaterowie takich rachunków sumienia, broniąc się z góry przed zarzutem niecznych intencji, z reguły tak dokonują swej spowiedzi, aby nawet coś, czego nie ma sensu oceniać w kategoriach

chwalebne-naganne (potrzeba sukcesu, ambicje twórcze, nawet chęć poprawy sytuacji materialnej) posłużyło w końcu ich chwale moralnej. Dlatego właśnie niemal wszystko, co zostało w PRL-u stworzone, okazuje się, jak dziś widzimy, dziełem bohaterских Wallenrodów, którzy tylko dlatego godzili się wydawać książki w państwowych (partyjnych) wydawnictwach, wystawiać obrazy w państwowych (partyjnych) galeriach i przygotowywać spektakle na państwowych (partyjnych) scenach — nie mówiąc już o obejmowaniu różnych stanowisk — aby ocalić naszą narodową substancję i świadomość. A związane z tym wszystkim profity przedstawiane są z reguły jako potworne jarzmo, które należy wziąć na swe barki, aby — tak jak Braun — „w warunkach Polski zniewolonej przez komunizm robić cały czas teatr [literaturę, filmy, muzykę, etc. — MF] sprzeciwiający się oficjalnej polityce kulturalnej [...], lansować wartości i idee artystyczne oraz struktury i modele stosunków międzyludzkich [...], które [...] zawierały w sobie ziarno i wzorec kontestacji, niepodległego tworzenia i myślenia, niezależnych postaw”.

A z publikowanych dziś deklaracji artystów, działaczy, ba, nawet polityków wynika niezbitnie, że służba owemu wallenrodycznemu posłannictwu była tak powszechna, że właściwie nie bardzo wiadomo, na jakich to jeszcze obszarach mogli działać w Polsce prawdziwi, cyniczni, komunistyczni Krzyżacy.

Problem udało się więc w parę lat po upadku tamtej rzeczywistości wspólnymi siłami sprowadzić do absurdu; *Rozdarta kurtyna* nie zajmuje tu szczególnie eksponowanego miejsca. Co nie znaczy, by nie była groteskowa. Nawet ideologicznie słuszne pozycje do grania, tak zwane „daniiny” repertuarowe, które każdy z dyrektorów musiał składać władzy (i jeśli czynił to bez gorliwości, nie miano o to pretensji), przedstawia się w książce Beresia i Brauna jako ideologiczną dywersję. Dowiadujemy się na przykład, że w *Balladę o tamtych dniach*, lżawo sielankowy obrazek Jurandota i Grodzieńskiej z „Polski Lubelskiej”, wmontowano fragmenty kronik filmowych z powstania warszawskiego i „powstał spektakl wręcz groźny w wyrazie”. W *Bolszewikach* Michaiła Szatrowa z kolei — wspomina reżyser — „Lenin wystąpił z ogromną czupryną! [...] Nie założyłem mu tradycyjnej łysej peruki [...]. I to oczywiście postawiło cały spektakl w (zamierzonym) cudzysłowie”.

Spowiedź Kazimierza Brauna z prawdziwych i — głównie — urojonych grzechów kończy się moralnym happy endem. Zaprojektowany

przez Brauna czytelnik („ — Więc naprawdę chcesz mnie »rozliczać?« — Mnie to do niczego nie jest potrzebne, ale »ludzie«, a raczej ewentualni czytelnicy pewnie chcieliby wiedzieć. Ja ci daję raczej szansę o tym powiedzieć”) odłoży więc książkę z satysfakcją, szczególnie, jeśli nie jest szczególnie krwiożerczy i żądny ofiar. Ale czytelnikowi, któremu rozliczenia nie są do niczego potrzebne, towarzyszyć będzie raczej uczucie pewnego zawstydzenia. Wolalby, przypuszczam, wynieść z tej rozmowy korzyść większą niż sugestię, trudną do zaakceptowania nawet przy uznaniu talentu i zasług Brauna — iż oto obcował z jednym z dwóch, może trzech, najwybitniejszych, najbardziej bezkompromisowych i antykomunistycznych reżyserów. Poddawanych ciężkim próbom, z których (niezależnie od okresowych, drobnych słabości) zawsze wychodzili zwycięsko.

Kazimierz Braun do tłumaczenia się ze swej politycznej postawy nie ma żadnego powodu. Nigdy nie uchodził za artystę wysługującego się władzy, swą karierę w kraju zakończył jako jeden z politycznych wygnańców. Jeśli nawet uznał, że istnieje konieczność, aby jeszcze bardziej eksponować swą czystość — wystarczyłoby może jedno zdanie. Natomiast troska o konstruowanie wizerunku „wiecznego opozycjonisty” (wymuszona, powtarzam, w znacznej mierze przez Stanisława Beresia) przynosi rezultaty dokładnie odwrotne do zamierzonych. Trudno przecież z należytą powagą traktować namaszczone eksplikacje, takie na przykład: „określasz mnie jako »antykomunistę«, zgadzam się z tym. Ale zarazem mówisz, że się nie deklarowałem — dawniej — jako antykomunista. [...] Mówisz o mojej postawie »przystosowawczej«. Na zewnątrz — ależ oczywiście. Tylko że dla mnie to był dalszy ciąg i konsekwencja konspiracyjnego stylu życia starszego pokolenia z czasu wojny i zaraz po wojnie”.

Gdyby nie ów wieczny przymus udowadniania własnej świętości, byłaby z pewnością *Rozdarta kurtyna* książką o wiele pożyteczniejszą. Są w niej partie, w których refleksje twórcy wyrastają wreszcie ponad rozwinięte do przesady instynkty samoobronne: choćby uwagi o niezależności, którą można osiągać „bez nalepiania sobie na czoło etykietki”, układające się w rodzaj przekonującego manifestu o obowiązkach artysty i wolności teatru. Autowybielająca i „antykomunistyczna” perspektywa dominuje jednak nad całością: chęć wykreowania własnej heroicznej sylwetki przygłusza szansę opowiedzenia prawdy „o teatrze i nie tylko teatrze” takim, jaki był wtedy, gdy Braunowi przyszło go współtworzyć.

Zamiast tego mamy kolejną w ostatnich czasach wspomnieniową książkę „ideologiczną”, mitotwórczą. Co razi tym bardziej, że nadszedł już chyba czas na naprawdę rzetelną próbę opisu peerelowskiej przeszłości (w teatrze i wszystkich innych dziedzinach), wolną tak od sentymentów, jak i resentymentów. Ostentacyjne manifestowanie politycznych preferencji, tak mało w dodatku dziś oryginalnych, może taki opis jedynie utrudnić.

Kazimierz Braun tak naprawdę dobrze o tym wie — ale nie wyciąga z owej wiedzy praktycznych wniosków. Nie tylko w *Rozdartej kurtynie*, której wolno w końcu być tylko mniej lub bardziej przekonującym autoportretem. Także — co istotniejsze — w szkicu o teatrze polskim lat stalinowskich opublikowanym niemal równocześnie z książką w »Zeszytach Historycznych«<sup>3</sup>, gdzie manipulowanie faktami idzie w parze z myśleniem całkowicie ahistorycznym, aczkolwiek niezwykle efektywnym. Ten kuriozalny w tysiącu sformułowań „fragment większej całości” poświęconej *Teatrowi Polski zniewolonej* (1939–1989) pokazuje dowodnie, jak bardzo pokrętne i dalekie od obiektywizmu oceny przynieść może forsowane „odkłamywanie” przeszłości prowadzone z użyciem ideologicznych kryteriów i z dbałością o własny wallenrodyczno-heroiczny wizerunek w tle.

[1993]

---

<sup>3</sup> »Zeszyty Historyczne«, Paryż nr 104, 1993.

# Portret inteligenta

Andrzej Dobosz zaistniał w mej pamięci najpierw jako postać. Dostrzegało się go i zapamiętywało od razu, mimo że nie brylował towarzysko — przynajmniej w potocznym sensie tego słowa — odzywał się cicho i mało, a jego posturę trudno nazwać imponującą. Dla nas — z młodszego odeń o dwa lata (co znaczyło wówczas wiele) rocznika polonistów, stał się przede wszystkim niezbywalnym elementem uniwersyteckiego i przyuniwersyteckiego pejzażu. Bardzo „osobnym”, chociaż przez pewien czas wydawał się nam — jak najniesłuszniej — odmłodzonym i pomniejszonym odbiciem Jana Kotta, którego i on i my byliśmy uczniami. Żadna z jego pisanych wkrótce teatralnych recenzji nie wywarła, jak mi się zdaje, większego wrażenia. Nic dziwnego; konkurencja w tej dziedzinie w pierwszych „odwilżowych” latach była duża — prym bez wątpienia wodził właśnie Kott. Jako autor zabłysnął jednak Dobosz szybko. Ogłoszona we wrześniu '56 *Szkola życia* przynosiła świetny opis wojska; nie tak okrutny, jakim go czynią dziś różne *Krolle*, ale za to inteligentny, finezyjny, odwołujący się do konkretności, a zarazem metaforyczny. Szło tu o konkretne wojskowe absurdy, które wszakże skupiały jak w soczewce absurd całej rzeczywistości. Podobnie jak w zrodzonym zarówno z Gombrowiczowskiej *Ferdydurke*, jak i z całkiem Nieliterackiej reporterskiej ciekawości felietonie o szkole, do której — dzięki podstępowi — udało się dwudziestodwuletniemu Doboszowi wkraść w roli ucznia.

Jest rzeczą znamioną, że w zasadzie żaden z późniejszych świetnych tekstów Dobosza nie wywołał podobnego rezonansu, choć przez cały czas miał on swych wiernych admiratorów. Szerszą popularność zdobyła mu raczej rola w — niemiłosiernie przez cenzurę okrojonym — *Rejsie*, rola szczególna, bo polegająca — jak tego żądał reżyser — na „zagranium samego siebie”. Co Dobosz wykonał doskonale zapewne dlatego, że była to rola nie tylko dlań najwłaściwsza, ale chyba i jedyna, której mógł podolać tak bezbłędnie.

„Zagrać samych siebie” mieli, jak wiadomo, w *Rejsie* wszyscy; zarówno zawodowi aktorzy, jak amatorzy. Ale niezależnie od nader owocnego efektu tego eksperymentu, jego ideę tak naprawdę zrealizowali do końca tylko Dobosz i Himilsbach. A może nawet tylko Dobosz. Bo on jedynie zastosował się do wskazania dosłownie: Nie był sobą, lecz grał siebie.

Co być może w tym akurat wypadku znaczyło dokładnie to samo. Bowiem Dobosz „grał siebie” również w życiu. Wydany właśnie przez Puls tom jego tekstów z lat 1956–1990 *Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia*<sup>1</sup> ukazuje to dowodnie także tym, co Dobosza nigdy nie widzieli na oczy.

Zarazem jednak dowodzi rzeczy istotniejszej. Przekonuje bowiem, że „granie siebie”, dbałość o doskonałość samokreacji, wszystkie związane z tym śmieszności, dziwactwa i snobizmy wcale nie muszą wykluczać autentyczności. Wręcz odwrotnie: mogą często służyć jej obronie. A także obronie wielu wartości, w imię których niekoniecznie trzeba trafiać do więzienia, ale którym wcale nie jest łatwo dochować wierności na co dzień.

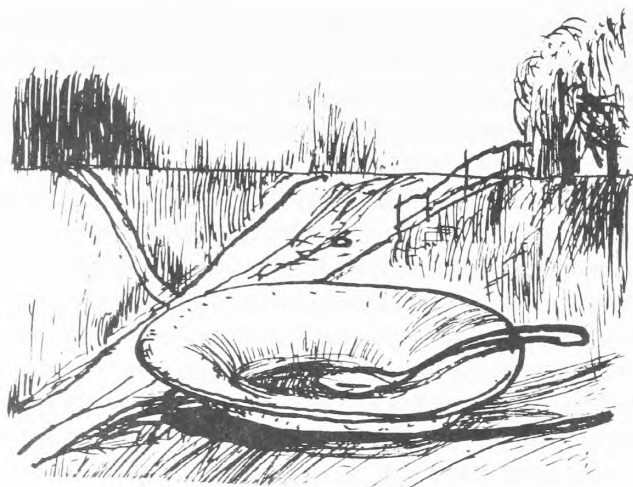
I również z tego powodu — a nie tylko ze względu na literackie i intelektualne walory — *Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia* jest książką tak dużej wagi. Szczególnie obecnie. Można ją czytać na różnorakie sposoby; tak jak czyta się „pisma wybrane”. Na wrywki, od środka, od końca, a także solennie — od początku i po kolei. Trudno tę ostatnią metodę zalecać wszystkim czytelnikom. Czytelnikom nie powieści wszak ani rozprawy, lecz złączonych w całość felietonów, anegdot i esejów.

Ale zdaje się, że właśnie taka lektura jest w tym przypadku najwłaściwsza. Bowiem mimo iż — dłuższe i krótsze — teksty Dobosza mają, co oczywiste, wartość samoistną, to ogromna ich większość swój pełny sens objawia dopiero w ścisłym połączeniu z innymi. Być może i dlatego ranga *Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia* wykracza daleko poza granice przynależne zazwyczaj tego rodzaju edycjom. Stając się — poza wszystkim innym — autoportretem (czy po prostu portretem) inteligenta. Tego inteligenta, którego się dziś specjalnie, z różnych względów nie ceni, a bez którego znaczącej obecności tak łatwo brnąć we frazeologię, umysłową łatwiznę, złe obyczaje i zwyczajne chamstwo.

---

<sup>1</sup> A. Dobosz, *Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia*, Puls, Londyn 1993.





Andrzej Dobosz jest w pewnym sensie inteligentem modelowym: i to w dawnym, tradycyjnym rozumieniu tego pojęcia. Z wszystkimi jego słabościami, pewną manierycznością, egocentryzmem, nadmierną czasem „literackością” w ocenianiu świata („od dawna zresztą przyzwyczaiłem się myśleć, a więc i mówić cytatami”) i zbyt częstymi może ucieczkami w książki („zauważyłem jednak, że argument za tym, by przełożyć życie nad książki zaczerpnąłem właśnie z jednej książki”). Ale także z wszystkimi jego zaletami, które w każdej epoce i ustroju należałoby pielęgnować troskliwie. Niecodziennym odczytaniem („zaczynały się najlepsze lata mojego życia: czytanie”). Wiedzą zdobywaną z przyjemnością i bezinteresownie, wykorzystywaną wprawdzie — z umiarem i dystansem — w publikowanych tekstach, lecz gromadzoną nie na ich doraźny użytek. Ciekawością świata i ludzi zaspokajaną nie tylko poprzez codzienną obserwację życia, lecz także (a nawet przede wszystkim) dzięki godzinom spędzonym w bibliotekach, a owocującą awersją do łatwych uogólnień, postrzegania zjawisk wyłącznie w dwu przeciwstawnych barwach. Wiernością zasadom moralnym, odnoszącym się nie tylko — jak to dziś w zwyczaju — do polityki, ale i spraw z pozoru drugorzędnych, co nie bardzo jest dziś, niestety, w modzie. Pisze np. Dobosz na marginesie rozważań o jednej z książek: „Idea, że wobec zmarłych nie obowiązują nas już względy przyzwoitości, jakie bylibyśmy im gotowi świadczyć za życia jest — jak się wydaje — świeżej daty”. Jakże egzotycznie brzmi to

w istocie banalne zdanie dzisiaj, gdy „względy przyzwoitości” przestały w tej mierze obowiązywać także w stosunku do żywych i gdy dyskrekcja jest uważana za cnotę bezrozumną.

*Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia* (tytuł książki pochodzi od pseudonimu Dobosza z „epoki »Współczesności«”) nie jest jednak — jak wiadomo — moralizatorem. Raczej subtelnym ironistą. Doskonałym podpatrywaczem codzienności, o której bardzo rzadko mówi w manierze publicystycznego „wprost”. Myślę, że nie tylko ze względu na onegdajszą cenzurę (choć i ten powód nie był w swoim czasie bez znaczenia), ale i z upodobania. Jest w tej książce sporo sformułowanych w sposób bezwzględny kąśliwości i na temat nonsensów bieżącego życia, i poszczególnych osób: Przymanowskiego, Drozdowskiego, KTT, Jana Zakrzewskiego („...zawsze wtedy jest audycja *Co słycać*, w której Jan Zakrzewski opowiada z Nowego Jorku o kolejnych przykrościach, które go spotkały”). Jest nieco anegdot i charakterystycznych „rozmów zasłyszanych” — najczęściej w autobusie. Ale tak naprawdę, gdyby się chciało (co nie jest konieczne) szukać w tej książce istotnej prawdy o PRL-owskiej rzeczywistości, o mentalności, o codziennej kulturze, to wyłania się ona raczej z tekstów, które ukazują ich degrengoladę poprzez zderzenie „dziś” i „wczoraj”, oglądaną nie z dziennikarskiej, lecz znacznie szerszej i głębszej perspektywy; tej jaką daje erudycja pozwalająca osadzić „tu i teraz” nie tylko w doraźnych aktualnych kontekstach.

A więc w esejach, poświęconych np. PWN-owskiej Bibliotece Klasyków Filozofii, słownikom biograficznym lub po prostu książkom kucharskim dawnym (*Kuchnia narodowa polska* z lipca 1968!) i całkiem nowym. Szkic *O kaszy mannej* (lato 1989), traktujący o *Współczesnej kuchni polskiej* Henryka Dębskiego wydanej w stu tysięcy nakładzie w drugim roku „wojny jaruzelskiej” staje się dla Dobosza dodatkowo — niewykorzystaną przez innych — okazją do stworzenia mini-syntezy stanu wojennego, w której mniej idzie zresztą o martyrologię („ketchupem wreszcie mają być skropione »szparagi a la Radziwiłł«. Pomawianie Radziwiłłów, że szparagi jadali z ketchupem było zapewne najdrobniejszą z niegodziwości, uczynionych w Polsce w roku 1983”), bardziej o kwestię smaku. Nie tylko smaku pojmowanego — jak to w książkach kucharskich bywa — nader dosłownie, ale i w sensie Herbertowskim.

Jest przy tym wyraźnym znakiem czasu, że o ile dawniej, czytając teksty Dobosza odnajdywało się (nawet w tych od dnia codziennego naj-

odleglejszych) aluzje do współczesności, tak teraz owa współczesność zdaje się tu stosunkowo mało zajmująca. W jakimś sensie chciałoby się tu użyć formuły, którą on sam posłużył się pisząc o Zbigniewie Raszewskim: „eseje mieszają się z rzetelnym opisem rzeczywistości, wydającej się bytem podrzędnego rodzaju”.

Byt istotny odsłaniany jest dzięki lekturom. Nad wyraz rozległym, i nieraz zaskakującym. Przede wszystkim dziewiętnastowiecznym: Dobosz projektujący w połowie lat 60-tych napisanie powieści osadzonej ok. roku 1840 przygotowywał się do zadania solennie. Swoje „postanowienie, by przeczytać książki wydane między rokiem 1815 a 1855” realizował w stopniu maksymalnie możliwym, nie pomijając nie tylko pamiętników, korespondencji, prasy, ale także *Kucharki litewskiej* Wincentyny Zawadzkiej i *Fantazyjnych objawów zmysłowych* doktora Wiktora Szokalskiego. Powieść, jak się zdaje, nie powstała, ale lata nie były zmarnowane. Ani dla czytelników Dobosza — na marginesie bowiem tych lektur powstała ogromna ilość jego świetnych esejów. Ani dla samego autora: obcowanie z książkami jest dla niego wyraźnie przyjemnością większą niż ich tworzenie. Ilość tytułów i zakres zainteresowań (wszystko tu zaspakaja ciekawość czytającego: i rozważania o dziewiętnastowiecznym tkactwie, i *Praktyczne wskazówki dla zbieraczy motyli*) są doprawdy imponujące. Nic dziwnego, że podczas rewizji, jaką przeprowadzono u Dobosza w roku 1972, z ust „jednego z panów” wydobyło się ni to usprawiedliwienie, ni skarga: „To trwa tak długo, bo ma pan wydawnictwa, z którymi dotąd nie zetknęliśmy się”.

Przy pewnej dla Dobosza niechęci (której jednak chyba nikt nie żywi) owo powoływanie się na coraz to inne książki można by określić swoistym rodzajem snobizmu. Ale, jeśli nawet i on wchodzi częściowo w grę, to z pewnością nie jest decydujący. Mamy oto do czynienia z niezbyt już popularnym gatunkiem humanisty z prawdziwego zdarzenia, a w dodatku — co jeszcze radsze — nie dającego się zamknąć w żadnej ze specjalistycznych szuflad („Profesor Kurkowska, w rozprawie, której nie skończyłem jeszcze, mówi o humanistycznych intelektualistach. Hmm... Jak określić matematyka Hugona Steinhausa?”). W tej mierze pozostał wierny swemu odkryciu, dokonanemu jeszcze w czasie studiów, kiedy to czytywał w bibliotece uniwersyteckiej różne stare oraz (z poręki Kotta) nowsze, lecz niedozwolone wówczas czasopisma: „Któregoś dnia pojąłem, że historia, a mówiąc dokładniej parę ówczesnych historii interesuje

mnie znacznie bardziej niż krytyka teatralna”. „Filozof, o którym chcę opowiedzieć, analizował sytuację, w której praca zaczyna być podzielona, każdy ma pewien swój wyłączny, ograniczony krąg działalności. [...] W tej chwili przypomina się myśl filozofa odmiennej zupełnie tradycji, Pascala: Nie powinno się mówić o nim ani matematyk, ani kaznodzieja, ani krasomówca, ale człowiek; jedynie ta ogólna właściwość przypada mi do smaku”.

Ponieważ jednak określenie „człowiek Dobosz” nie brzmi fortunnie także dlatego, że człon pierwszy ma w takich zbitkach określone konotacje, wolno chyba rzecz bardziej uściślić, zresztą przy pomocy formuły dość pojemnej: eseista, wywodzący się z najlepszej, choć niecenionej w PRL-u szkoły Jerzego Stempowskiego.

Dzięki inicjatywie Pulsu został bowiem przypomniany przede wszystkim Dobosz — doskonały eseista, wrażliwy jak niewielu na kwestię stylu i języka. Zgoda, iż zajmujący się nie tylko pisaniem esejów. A zarazem właśnie człowiek, człowiek niezależny, przeczący (jak i wielu innych) dość popularnej tezie, iż w PRL (gdzie spędził przed wyjazdem do Francji — blisko czterdzieści lat życia) żadna niezależność nie była możliwa. Dobosz nie był aktywnym opozycjonistą (choć — o czym nie pisze — brał udział w paru opozycyjnych akcjach), ale żył w świecie, w którym władzę sprawował sam. Nie był to żaden „świat zastępczy”, lecz świat, który stanowił dlań niejako „środowisko naturalne”. To prawda: w znacznej mierze dzięki cechom swego szczególnego charakteru i intelektu, zapewniającym mu ową niezależność niejako samoistnie. Doskonałość i „prawdziwość” kreacji Dobosza w *Rejsie* wyraża m. in następująca scena: trzech członków Rady, przygotowującej artystyczny wieczorek, dyskutuje jego koncepcję, stopniowo pogrążając się w wodzie. Zaangażowanie ideą jest istotniejsze od tego, co dookoła. Dotyczy to całej trójki: ale tylko w wypadku Dobosza — owo „dookoła” oznacza więcej niż rzekę. Także owych dwóch współtowarzyszy, z którymi w swych teoretycznych wywodach nie ma wszak żadnego kontaktu, co nie wydaje się dla niego żadnym ograniczeniem ni przeszkodą.

P. S.

W recenzjach — bardzo pochlebnych — jakie się z książki Dobosza ukazały, podkreśla się z reguły drugie „polityczne” dno jego tekstów lub też — jak czyni to Jan Gondowicz w »Gazecie Wyborczej« — zwraca

uwagę na jego „niespełnienie” — wynik życia w Peerelu. Otóż nie sądzę. Myślę, że niezależnie od wszelkich ograniczeń, jakie przed Doboszem — jak przed każdym z piszących — stawiała cenzura, mimo asekuracji redaktorów typu Machejka, które uniemożliwiały z pewnością powstanie wielu mini-esejów (przygoda z Machejkiem została zresztą świetnie opisana) Dobosz osiągnął dokładnie tyle, ile zamierzył. Na tym m. in. polega jego osobność, że słowo „spełnienie” ma dlań — jak się zdaje — nieco inny sens niż dla większości publicystów.

[1994]



# Członek rzeczywisty związku ukąszonych

Leżą oto przed nami trzy starannie przez Krąg wydane tomy *Pism wybranych* Jana Kotta<sup>1</sup>. *Pisma wybrane* ukazują portret Kotta zarazem prawdziwy i wyidealizowany. Pominięto tu najbardziej kontrowersyjną publicystykę z lat 1944–1953, naznaczone zbyt silnym duchem nowej wiary interpretacje hołdujące „nowemu literaturoznawstwu” oraz recenzje, które w powszechnej pamięci kojarzą się z oskarżeniem — jednoznacznym w czasach „soc” — o formalizm lub mistycyzm (choćby ze *Snu nocy letniej* Horzycy czy *Jak wam się podoba* Wiercińskiego). Teksty podano nie za pierwodrukami, lecz za wydaniem książkowymi tak, jak życzył sobie autor. Zlekceważono chronologię.

Z punktu widzenia autora, wydawcy, a także czytelnika zainteresowanego przede wszystkim atrakcyjnością lektury — wszystkie te decyzje edytorskie wydają się oczywiste i usprawiedliwione; tym bardziej, że idzie przecież o *Pisma wybrane*, nie zebrane. Widziany w tej perspektywie Kott prezentuje swe najlepsze cechy: rzadki talent literacki, żywą inteligencję, erudycję nie bezdennie głęboką, lecz wystarczająco rozległą, by uprawomocniała tak dla autora znamieną umiejętność „czytania wszystkiego przez wszystko”, czasem bardziej może efektywnego niż usprawiedliwionego, zawsze jednak fascynującego i inspirującego nawet opornych. W tym sensie rację ma Tadeusz Nyczek, kiedy pisze we wstępie: „Kott najpierw był pisarzem, potem wszystkim innym”. Od tego zdania należałoby, być może, rozpocząć z *Pism* recenzję.

Ale fenomenowi Kotta nie da się przy pomocy takiej recenzji wyjaśnić. Nie przez przypadek pisanie o Kotcie sprawia — wszystkim, którzy chcą ocenić go sprawiedliwie — nie byle jaką trudność.

---

<sup>1</sup> J. Kott, *Pisma wybrane*, Krąg, Warszawa 1991.

Jan Kott jest bowiem kimś więcej niż pisarzem, przynajmniej gdy używać tego pojęcia w obiegowym sensie. Jest przede wszystkim kreatorem. Kreatorem rzeczywistości (do pewnego momentu także politycznej), literatury, teatru, wielorakich mitów, samego siebie. Jego zabiegi kreacyjne obejmowały zarówno sfery czysto intelektualne, jak i — aż nazbyt — konkretne, i to nie tylko w pierwszym dziesięcioleciu powojennym. Bardzo zresztą w jego życiu ważnym, o czym trzeba pamiętać.

Dla Kotta-krytyka znaczenie mają oczywiście te tylko okresy twórcze, które sprzyjały w sposób szczególny jego pisarstwu, oraz te eseje, artykuły, recenzje, które pisarstwu temu — w istocie wyśmienitemu — wystawiają świadectwo najlepsze. Ale jednocześnie Kott należy do pewnej formacji polskich lewicowych intelektualistów, którzy współtworzyli — zarówno w najlepszym, jak i w najgorszym sensie słowa — polską kulturę, i to nie tylko poprzez swe dzieła, ale i poprzez wielorakie „mitologie”, z których część przybierała groźną, doktrynerską postać.

Byli to w latach trzydziestych młodzi pisarze, dziennikarze, artyści, lewicowcy na poły serio, na poły „salonowi” (tak określa przedwojennego Kotta Leopold Tyrmand, a przymiotnika tego użył wcześniej w stosunku do komunizmu Schillera Wat w *Moim wieku*), flirtujący też często z neotomizmem, bywający w Paryżu, rozsmakowani w nadrealistach i wszelkiej awangardzie, troszkę snobistyczni, troszkę gniewni i rewolucyjni, jak Kott ze swego młodzieńczego wiersza:

„Przestańcie wreszcie tłumaczyć, wywalcie drzwi z łoskotem,  
Niech pokaleczą się dłonie o gładką śliskość szyb [...]   
Świat wolą pokonany jak brylant u stóp legł [...]   
Magnitogorska piece płoną! A POLSKA?”<sup>2</sup>

Często poznający potem rzeczywistość radziecką brutalnie i z bliska<sup>3</sup>, a mimo to — lub może właśnie dlatego — zgłaszający już w czasie wojny akces do PPR-u, by oddać swe siły w służbę partii i marksizmu, który wówczas jeszcze, mimo całej agresywności, dopuszczał przez chwilę

<sup>2</sup> *Wiersze*, Warszawa 1934. W tomie oprócz wierszy Kotta pomieszczono też poezję Ryszarda Matuszewskiego i Włodzimierza Pietrzaka.

<sup>3</sup> W zamieszczonej na końcu trzeciego tomu *Pism* nocie biograficznej o pobycie Kotta we Lwowie pod okupacją sowiecką jakoś się nie wspomina.



dyskusję i różnice światopoglądów. Potem zamieniający dość potulnie, nie oszczędzając samokrytyki, marksizm na zupełnie ciasną ortodoksję, na podporządkowanie socrealizmowi przy całej jego obcości; bo cóż miały wspólnego polskie i radzieckie produkcyjniaki z lansowanym przez »Kuznicę« racjonalizmem i realizmem wielkich osiemnasto— i dziewiętnastowiecznych Francuzów?

Historia zresztą rychło okazała się Wielkim Mechanizmem, pożerającym — jak wolno było z ich wypowiedzi mniemać — w pierwszej kolejności swych onegdajszych pupilów i chwalców. A oni dalej byli aktywni. Rzucili wprawdzie legitymacje, gdy okazało się, że partia — choć odrodzona — nie chce zaaprobować ich nowego wcielenia<sup>4</sup>. Ale naprawiali, jak umieli, by posłużyć się metaforą Sandauera, zegarek, który sami zepsuli. W miarę upływu czasu oddalali się na ogół od polityki, choć wspierali — z etykietą rewizjonistów — nieśmiało wtedy jeszcze opozycyjne akcje (pod *Listem 34* podpisali się, obok Kotta, także Ważyk i Jastrun i żaden z nich nie uległ naciskowi władz, nie znalazł się pośród dziesięciu dystansujących się od własnej akcji). Wreszcie zaś pozostawali rozproszeni i samotni, choć do końca mieli poczucie wspólnoty łączące zazwyczaj towarzyszy broni.

Formację tę, która odegrała w dziejach PRL-u rolę ogromną, nie tylko przez swe działania i pisma, ale i przez wpływ, jaki wywarła szczególnie na ludzi młodych — i to zarówno w okresie »Kuznicy«, „odwilży”, jak i później jeszcze — ocenić jest niezwykle trudno. Bowiem przy takiej ocenie cisną się z reguły pod pióro prawie same stereotypy. Łatwo przybrać postawę prokuratora pewnego własnych racji, lub też odwrotnie — wyrozumiałego nawet wobec ciężkich grzechów adwokata.

W stosunku do Kotta w pierwszej z tych ról wystąpił w nie wolnym od zawiści *Porachunku osobistym* Leopold Tyrmand<sup>5</sup>, pisząc o Kotcie — bezpartyjnym już wówczas i zbuntowanym — jako o „arcykapłanie cnót transfiguracyjnych”, wychodzącym równie dobrze na swych oportuni-

---

<sup>4</sup> O decyzji oddania w 1956 roku przez Kotta legitymacji partyjnej czytamy we wstępie Nyczka, że wpłynęła na nią „też w jakiś przewrotny sposób grafomańskość kultury, jaką produkował nieuchronnie komunizm”. Tymczasem przyczyna była całkiem konkretna i dobrze chyba Nyczkowi znana. Było nią cofnięcie zgody na wydawanie miesięcznika »Europa«.

<sup>5</sup> »Kultura« nr 3/1967.

zmach, jak na buntach. Równie elokwentnym w okresie »Kuźnicy«, gdy „marksizm był jeszcze zamożnym przeciwnikiem, a nie podejrzanym monopolistą”, w latach socrealizmu i w czasie odwilży („znalazł się na trybunie wiecu na Politechnice, gdzie z zapalem przemawiał do ludzi niezbyt zorientowanych w jego pokrewieństwie ze Żdanowem”). Równie bezkarnym, gdy rozprawiał się z okresem błędów i wypaczeń, który sam zresztą współtworzył, jak i wtedy, kiedy podpisywał *List 34* przeciwstawiający się polityce kulturalnej Gomułki. „Krwiożerczy opozycjonista Kott mieszka w tym samym domu, co komunistyczny premier Cyrankiewicz, [...], dostaje paszport zagraniczny”.

Tyrmand nie mógł wtedy wiedzieć, że ów paszport oznaczać będzie dla Kotta — podobnie jak dla niego samego — wieloletnie wygnanie. Niemniej jeśliby nawet autor *Porachunku* złagodził swoje opinie o Kotcie wygnanym z kraju i obłożonym zapisem cenzuralnym na nazwisko i książki — to z pewnością ostry opór wzbudziłby w nim późniejszy o lat przeszło dwadzieścia *Przyczynek do biografii*<sup>6</sup>.

Ów *Przyczynek*, pełen przekręconych zdarzeń, konfabulacji i przemilczeń, w którym czuć przemieszana z ironiczną pobłażliwością sympatię do siebie samego, ów *Przyczynek* dobrze mieści się wśród nowych — posierpniowych — „obrachunków inteligenckich”, znaczonych między innymi *Hańbą domową*, a biorących swój początek jeszcze ze *Zniewolonego umysłu*. Skomentował je boleśnie i trafnie Gustaw Herling-Grudziński, korzystając ze swej luksusowej w tym względzie pozycji emigranta: „kto wie, może powstanie kiedyś ZUH, Związek Ukąszonych przez Hegła”<sup>7</sup>. Bo choć sam Kott w interesującej *Rzeczy o ukąszeniach*<sup>8</sup> pisał: „w usprawiedliwieniu historii z góry i na wyrost ukąśnienie heglowskie okazało się najbardziej złowrogie” — to z pułapki tej do dziś wydostać się nie umie.

Tadeusz Nyczek uważa, że to nieważne. Pierwsze zdania eseju otwierającego *Pisma* brzmią: „Kiedy w 1990 roku Kott opublikował *Przyczynek do biografii*, rozległ się jęk zawodu. Oczekiwano po tej książce prawdy i ekspiacji. Prawdy o życiu Kotta i ekspiacji za grzechy komuni-

<sup>6</sup> Aneks, Londyn 1990.

<sup>7</sup> *Dziennik pisany nocą*, »Kultura«, Paryż, z. 10/1984.

<sup>8</sup> W: *Kamienny Potok. Eseje*, Aneks, Londyn 1986, s. 231.

zmu. Nie doczekano się ani jednego, ani drugiego. Doczekano się za to kolejnej literackiej opowieści. [...] Czyli takiej, która najpierw podlega prawom sztuki, a potem życiowej wiarygodności”. *Przyczynek* można oczywiście (pewnie nawet należy) traktować tak właśnie: jako rodzaj beletrystyki, powieści czy pamiętnika, w którym autor tylko częściowo utożsamia się z narratorem, a prawda ma mieszać się ze zmyśleniem. Ale tak czytać tę książkę mogą głównie ludzie Kottowi przyjaźni, a w dodatku zdający sobie sprawę z tego, gdzie przebiega granica między rzeczywistością a fikcją. Czytelnicy niechętni — a jest ich jeszcze sporo — dostrzegli w *Przyczynku* przede wszystkim wielopiętrowe mistyfikacje, służące nie tyle upiększaniu literatury, co życia. A czytelnicy młodzi, mający prawo traktować tytuł książki dosłownie, wyciągnęli zapewne z lektury dość osobliwe wnioski, a ich wiedza o autorze, jak i o towarzyszącej mu pięćdziesięcioletniej dramatycznej historii, stała się jeszcze bardziej niejasna.

Ostatnie warszawskie spotkania Kotta z młodzieżą podszyte są każdorazowo pewną obustronną rezerwą. Dla młodych legenda Kotta — nawet gdy czytali z entuzjazmem jego szkice — podszyta jest jakąś dwuznacznością, wynikłą zresztą z reguły z plotek, dotyczących spraw z zamierchłej przeszłości. Sam Kott przed spotkaniami zauważa niechętnie: pewnie pytać będą o socrealizm.

Lecz nie o socrealizm tylko idzie, lecz o niejasność statusu peerelowskiej kultury (a w Polsce Ludowej wydał Kott w końcu większość swoich książek; w *Aloesie* zawarte były główne wątki następnych). O kulturze tej coraz powszechniej mówi się bezmyślnie, że jej nie było w ogóle, podczas gdy wiadomo o niej na pewno tyle, że rzadko pozwalała twórcom być tylko twórcą; tym mocniej dotyczyło to człowieka tak wrażliwego i otwartego, jak Kott. Sprowadzenie zatem tego przypadku do efektownej formuły „Kott czyli styl”, jak robi to Nyczek, wydaje się zabiegiem dość wątpliwym. I niebezpiecznym — jeśli prowadzi do takiego zdania: „Kott zdradził w życiu mnóstwo rzeczy, łącznie z rozumem politycznym, szacunkiem dla faktów, konsekwencją moralności i moralnością konsekwencji. Nie zdradził nigdy naprawdę tylko literatury. Ta wierność została nagrodzona”.

Jest prawdą, że Kott nigdy nie zdradził stylu i nawet w najgorszych, stalinowskich latach nie odwoływał się w swej krytyce do języka propagandy (w publicystyce politycznej mu się to jednak zdarzało). Niemniej

wiadomo również, że jego teksty nie traciły przez to niczego ze swej złowrogiej (niekiedy) mocy. W przypadku Kotta — inaczej niż w przypadku wielu podrzędnych publicystów — liczyło się mniej to, co i jak mówił, bardziej to, kiedy wypowiadał swe sądy. Triumf literatury nad życiem jest więc tu względny.

Ale idzie też o sprawę znacznie poważniejszą. Po pierwsze, wymienione przez Nyczka zdrady (a Stefan Kisielewski dodałby do nich jeszcze jedną: zdradę klerkizmu<sup>9</sup>) przynależą do różnych porządków i mają niejednaką wagę. Po wtóre, Kott jest nie tylko zdolnym literatem, ale także przenikliwym i wrażliwym na fałszywe intelektualistą. Sąd Tyrmanda o nim jest z pewnością tendencyjny, powierzchowny i krzywdzący, lecz nie znaczy to, by należało popadać w drugą skrajność. Cytowane często, sformułowane na marginesie wspomnień o Jerzym Stempowskim, wyznanie Kotta, iż najpierw uczył się pisać, potem czytać, a na końcu nie ufać<sup>10</sup>, można traktować wprawdzie równie dobrze jak gorzkie serio, i jak kokietyjny żart; ale tak czy owak, taka myśl pasuje raczej do genialnego dziecka niż do człowieka, któremu życie upłynęło i na myśleniu, i na działaniu.

Zresztą nie jest to wyznanie wiarygodne — przynajmniej, gdy idzie o czytanie. Właśnie przy pomocy swych, w bardzo charakterystyczny sposób zmiennych, lektur budował Kott swój światopogląd. Nie ma w Polsce chyba krytyka, który by tak radykalnie — i w większości, wolno wierzyć, szczerze — zmieniał swe wsparte literaturą rozumienie człowieka i historii. Co więcej, zmiany te nie musiały być warunkowane polityką, choć bywało i tak.

Od koncepcji Maritaina, głoszącego wprawdzie obowiązek podporządkowania się zbiorowości, lecz bez wyrzekania się swych osobowych praw, przeszedł — i to w dość podejrzanym momencie — do marksizmu redukującego jednostkę wyłącznie do jej funkcji społecznych. Nie napisał jednak nigdy, że jednostka jest bzdurą, odwrotnie — nawet w roku 1951, gdy podporządkowano ją doszczętnie systemowi, stwierdzał: „Człowiek

---

<sup>9</sup> Por. *Mitologia zwycięża*, »Tygodnik Powszechny« nr 29/1946: „Dla Kotta nie jest to zapewne problemem — nie uznaje on pojęcia klerk [...] najważniejszym — jak stwierdza — celem jest konkretne działanie społeczne”.

<sup>10</sup> *Listy Kassandry z ziemi berneńskiej w: Kamienny Potok*, op. cit., s. 135.

jest lepszy od ustroju, w którym żyje, od sideł, które stara się na niego zarzucić dwór, kościół i rodząca się moralność pieniądza”<sup>11</sup>. Nawet jeśli szło mu o „lepszość” człowieka od ustroju feudalnego, a nie komunistycznego, można w tym sądzie odczytać pewne credo ponadczasowe. Było to w dodatku zdanie zupełnie odmienne od refleksji notowanych przezeń na początku lat sześćdziesiątych, a więc w czasach, gdy na człowieka starano się — przynajmniej oficjalnie i z pozoru — patrzeć raczej tak, jak na podmiot niż na przedmiot dziejów. „Nieubłagany walec historii miażdży wszystko i wszystkich. Człowiek jest określony przez sytuację, przez stopień schodów, na którym się znalazł. I ten stopień schodów określa całą jego wolność wyboru”<sup>12</sup>.

Potem wolność wyboru jeszcze bardziej się kurczy. Bohaterowie Szekspirowskiego *Ryszarda III*, do których odnosi się powyższy cytat, są „sami w świecie mordy, gwałtu i przemocy i okrucieństwa [...], świat został odarty z pozorów, porządek moralny zdruzgotany”. Jednak w świecie tym istnieje coś, co nazwać można — co prawda, straszliwą — logiką historii. Jednak w powstałym w tym samym prawie czasie szkicu o *Królu Learze* kwestionuje się i ją także; nie bez powodu padają tu nazwiska twórców tak zwanego teatru absurdu, a także Dürrenmatta z jego *Romulesem Wielkim*. Wszystko jest zarazem tragedią i groteską, człowiek staje twarzą w twarz już nie z okrucieństwami historii, lecz z okrucieństwem Absolutu. Ale Absolut ten jest absurdalny; przez doświadczenia teatru absurdu będzie Kott później czytał tragedię grecką. Człowiek może się przeciw absurdowi zbuntować — jak Edyp, który wykluwa sobie oczy, bo „nie chce dłużej patrzeć na absurdalny świat”, ale od absurdu przez to nie ucieknie. Edyp przecież nie ginie: „żyje, aby być świadectwem Absurdu”<sup>13</sup>. Wybór utożsamiony zostaje z grą, i to grą, w której z góry wiadomo, kto zostanie pokonanym, kto zwycięzca.

A na koniec liczyć się poczyna jedynie esencja. „Esencją jest to, co z nas zostaje. Esencją jest dramat ludzki oczyszczony z przypadku, ze

---

<sup>11</sup> *Spór o Szekspira w: Jak wam się podoba*, PIW, Warszawa 1955, s. 132.

<sup>12</sup> *Królowie w: Szekspir współczesny*, PIW, Warszawa 1965, s. 65.

<sup>13</sup> *Tragedia grecka i absurd w: Zjadanie bogów. Szkice o tragedii greckiej*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986, s. 280.

złudzeń, że są w nim wybory”<sup>14</sup>. Esencja nie jest już ani wyborem, ani grą.

Oczywiście, ową zmienną perspektywę, w jakiej Kott postrzega człowieka, wyznacza jego zmienny stosunek do historii. Historia, której optymistyczną i rozumną wersją zawstydzali wszystkich nie-marksistów „kuźniczanie”, kojarzyła się oczywiście wyłącznie z przymiotnikami budzącymi nadzieję. Kott reklamował ją zarówno swymi zaangażowanymi w życie bieżące artykułami, referatami, wykładami i polemikami, jak i krytycznoliterackimi interpretacjami klasyków, także Shakespeare’a. Po roku 1953 rzeczownik „historia” kojarzyć się zacznie w jego rozważaniach z rzeczownikiem „tragizm”. W eseju *Królowie* pisze o dwu wizjach historii — i, co znamienne, wizję nietragiczną w ogóle tu pomija. „Są dwa podstawowe typy historycznego tragizmu. U podstaw pierwszego leży przeświadczenie, że historia ma swój sens [...], dąży w określonym kierunku. Jest rozumna, albo przynajmniej dająca się zrozumieć. Tragiczna jest wtedy cena historii, cena postępu, jaką płacić musi ludzkość. Do tragizmu urasta wtedy każde prekursorstwo, które popycha naprzód ów nieubłagany walec historii, ale właśnie z racji swego prekursorstwa musi zostać przez niego zmiążdżone. Takie właśnie rozumienie historycznego tragizmu głosił Hegel. Bliskie było ono młodemu Marksowi”. „Jest drugi rodzaj historycznego tragizmu. Wyrasta on z przeświadczenia, że historia nie ma sensu i stoi w miejscu, albo ciągle powtarza swój okrutny cykl”<sup>15</sup>.

„Nieoptymistycznemu” Kottowi — jak i wszystkim rozczarowanym marksistom — wizja pierwsza wydaje się zgodna z ich prywatnym doświadczeniem; nie całkiem zresztą prawomocnie — wszak nie na Hegla i młodego Marksa wolno było się powoływać w latach 1945–1954, a termin „ukąszenie heglowskie” ukuł pisarz przebywając już na emigracji. Jednak ta druga wizja zda się Kottowi w drugiej połowie lat pięćdziesiątych „współczesna”. To na jej użytek przywołany zostanie Wielki Mechanizm. Zawdzięcza on genezę lekturze Shakespeare’a, a jest „porządkiem historii, w której król jest boskim pomazańcem”. Można, rzecz jasna, mieć nadzieję, że wraz z obaleniem boskich pomazańców Mechanizm przestanie działać. Ale na miejsce obalonych królów pojawią się nowi. Historię

<sup>14</sup> *Teatr esencji: Kantor i Brook w: Kamienny Potok*, op. cit., s. 123.

<sup>15</sup> *Królowie w: Szekspir współczesny*, op. cit., ss. 51-52.

można wyszydzić — tak właśnie, jak czyni groteska. Nie znaczy to, iż nad wyszydzoną zdobędzie się choćby psychiczne zwycięstwo. Przecież nawet sceptyczny i ironiczny Romulus Wielki Dürrenmata zostaje przez nią wystrychnięty na dudka.

Historia jest obecna we wszystkich pismach Kotta. Najpierw jako tło, potem główna bohaterka. Choć jednak już od czasów odwilży jej portret malowany jest z określonej perspektywy, którą najogólniej nazwać by można polską (z polskimi doświadczeniami wojny, stalinizmu, października), wprost pisze o tym Kott dopiero we wstępie do drugiego wydania *Szekspira* w końcu lat osiemdziesiątych<sup>16</sup>: „Historia nie biegnie z tą samą szybkością w różnych czasach i w różnych miejscach. W Polsce w ciągu ostatniego półwiecza, a więc w czasie dorosłego życia mojego pokolenia Polaków, wydaje się jakby bardziej obecna niż w innych miejscach i czasach.” Nie ma to wszakże większego znaczenia: łączenie historii z doświadczeniami polskimi objawiło się po raz pierwszy w Kottowej krytyce teatralnej czasu odwilży; dotyczyło wtedy — co rozumiałe — głównie błędów, wypaczeń i opisywanych przez zbrodnie Szekspirowskie i romantyczne zbrodni ustroju. Tych tylko, rzecz jasna, które nie wychodziły poza rewelacje ogłoszone ogólnie. Na mówienie o historii, która z polskich inteligentów zrobiła „gulasz i gułag”<sup>17</sup>, może sobie Kott pozwolić dopiero w momencie całkowitego uwolnienia się od cenzury; uczyni to zresztą na marginesie nie Shakespeare’a, lecz Witkacego. Przedtem będą tylko *Hamlety po XX Zjazdach* i *Wyzwolenia* z Konradami, co „właśnie wyszli z seminarium Wyki lub Kubackiego, nasłuchali się marksizmu od Markiewicza” i „poszli wszystko wyparskać do piwnicy Pod Baranami”<sup>18</sup>. Nota bene tylko owe *Hamlety* (chłopcy z »Po prostu«) i *Konrady* umieszczeni zostają w określonym i współczesnym środowisku, zbrodniarze nadal będą nosić wyłącznie imiona elżbietańskich władców.

Jest przy tym znamienne, że dla Kotta nie wydaje się to w interpretowaniu polskich losów narzuconą z góry i ograniczającą przeszkodą. Z jego fascynacją historią łączy się — paradoksalnie — swoista ahistorycz-

<sup>16</sup> Wstęp ten drukował »Dialog« w n-rze 6/1988.

<sup>17</sup> *Witkiewicz albo realizm nieoczekiwany* w: *Kamienny Potok*, op. cit., s. 50.

<sup>18</sup> *Wielka „zielona gęś” Wyspiańskiego z bardzo polskim finałem* w: *Miarka za miarkę*, PIW, Warszawa 1962, s. 74.

ność, bardzo wyraźna od czasów odwilży. Jakby obowiązki, jakie narzucało na swych wyznawców „nowe literaturoznawstwo”, zraziły go całkowicie i raz na zawsze do interpretowania dzieł w ich historyczno-literackim kontekście. Odtąd już zawsze utożsamia „niegdyś” z „teraz”. Już w recenzji z *Dziadów* Bardiniego z roku 1955 pojawia się kilkakrotnie słowo „współczesność” lub „współczesny”; ta obsesja nie opuści odtąd Kotta nigdy. Oczywiście ta „współczesność” nie oznacza zawsze tego samego. Jak wszystko, zmienia u autora *Szkiców o Szekspirze* swój sens równie atrakcyjnie, jak zbyt lekko.

Stawia się czasem nawet Kottowi zarzut, że ulega łatwo pewnym koniunkturom i modom. Nie jest to chyba zarzut trafny. Można raczej powiedzieć, że Kott mody tworzy czy tworzył. Z pewnością wszakże owa skądinąd efektowna u krytyka „nieznośna lekkość” sądu powoduje, że jego szkice, nad wyraz — w momencie powstawania — inspirujące i świeże, są też dość szybko podatne na starzenie się; łatwo stają się anachroniczne.

\* \* \*

Piszę to wszystko w złudnej nadziei, że w ocenie Kotta da się wyważyć jakieś rozsądne proporcje. A przecież jego indywidualność, niepowtarzalność, urok zasada się właśnie na swoistej niekonsekwencji i nieodpowiedzialności. Na odwadze i potrzebie stałego „mierzenia się z życiem i doświadczeniem”<sup>19</sup> i na stałej ciekawości życia, która nie opuszcza go aż do dziś. Zapewne, gdyby nie ta nieodpowiedzialność, niekonsekwencja i ciekawość, uniknąłby wielu zasadzek, w które wpadał sam i w które wpadali — za jego sprawą — inni. I w życiu, i w pisarstwie. Nikt też nie mógłby go nazwać „arcykapłanem transfiguracji” lub „konikiem polnym”<sup>20</sup>, najwyżej konformistą. Ale nie byłoby też jego książek tak interesujących i odmiennych od tego, co zwykło się nazywać krytyką literacką i teatralną. Nie byłoby też jego wykładów i seminariów z drugiej połowy lat pięćdziesiątych, na których on pierwszy uczył na taką skalę sztuki koja-

<sup>19</sup> *Daję wam dzień, czas a nawet pogodę. Rozmowa z Janem Kottem*, »Gazeta Wyborcza« 21 X 1991.

<sup>20</sup> Określenie Zbigniewa Kubikowskiego. Por. J. Trznadel, *Hańba domowa. Rozmowy z pisarzami*, Instytut Literacki, Paryż 1988, s. 50.



rzenia, a zarazem przyglądania się szczegółom (i nie miały tu nic do rzeczy jego słynne profesorskie i publicystyczne gafy). Nie byłoby też owego „pokoleniowego” życiorysu, który — w sposób też co prawda niepełny, ale znacznie od *Przyczynku* uczciwszy — spisał przy pomocy *Szekspira współczesnego*, *Zjadania bogów* i *Kamiennego Potoku*. Nie jest to zresztą tylko życiorys pokoleniowy.

I jeszcze jedno. *Kłopoty z Kottem* (Janusz Majcherek, młodszy od Kotta co najmniej o dwa, a od Tyrmanda o półtora pokolenia, tak właśnie zatytułował swój szkic o *Zjadanu bogów*<sup>21</sup>) biorą się nie tylko stąd, że tak trudno wyważyć tu względną choćby sprawiedliwość. Także stąd, że — pisze o tym sporo Nyczek — literatura i życie przenikają się tu w stopniu wprost niezwykłym. I nie tylko literatura i życie. Również wady i zalety, trzeźwość i szaleństwo, autentyczność i poza. W jednym z wierszy, obok cytowanej już apoteozy Magnitogorska, dwudziestoletni wówczas Kott tak sumował — w sposób dojrzały i niebanalny, jak zapewne sądził — ludzką naturę:

„Každy z nas choć raz w życiu walczył z wiatrakami [...] Przeszły lata doświadczeń. W cóż dziś mamy wierzyć ?[...] Sancho Pansa nas uczy trudnej sztuki życia, że dwa a dwa jest cztery, stale nam powtarza [...] Lecz czasem wieczorem [...] fala wspomnień z dzieciństwa nas cicho otoczy zmartwychwstanie Don Kichot [...]”

Otóż zdaje się, że w Janie Kotcie Sancho Pansa i Don Kichot to jedna i ta sama osoba.

[1992]

---

<sup>21</sup> »Dialog« nr 8/1986.



# Czy Władysław Gomułka zdradził „Październik”?

Peerelowska historia zda się — jak na razie — tematem raczej wyeksloatowanym. W powszechnej świadomości pozostały z niej na ogół same hasła; tylko jedno „hańba domowa” zachowało zresztą publicystyczną nośność. Także i tak bardzo przed czerwcem '89 pielęgnowana „legenda Października” straciła jakby swój onegdajszy blask. I istotnie, oglądana z dzisiejszej perspektywy — szczególnie przez tych, co z tytułu wieku wcześniej się o nią nie otarli — wydawać się musi cokolwiek egzotyczną. „Październikowa rewolucja polskiej prawdy. Rewolucja obywateli — przeciw niepraworządnej władzy. Rewolucja ludzi pracy — przeciw gwałtom zadany ekonomice. Rewolucja wrażliwości i wyobraźni — przeciw gwałtowi zadany słowom. [...] Rewolucja narodu — przeciw zależności i dyskryminacji w stosunkach z Wielkim Bratem”<sup>1</sup>. Jak bardzo pusto brzmią dziś słowa, których patos przed jedenastu laty wydawał się zupełnie naturalny.

Tracąc w ogromnym stopniu swój heroiczny wymiar „legenda Października” nie przestała być wszakże legendą. Choćby z tego względu, że dość dokładnie i uczciwie już opisana — wciąż kryje ogromną ilość spraw wieloznacznych i nierozstrzygniętych. Niektóre nawet w świetle dostępnych wreszcie archiwów pozostają niejasne. Wszystko tu jest — poza faktami — sporne. Rzeczywisty początek i koniec procesu, jego charakter, same określające go pojęcia, pośród których właśnie najpopularniejsze — „Październik” wydaje się najbardziej wątpliwym.

To prawda, że używa się go metaforycznie; głównie z kulminacją między wiosną 1955 a o półtora roku późniejszą od niej jesienią. Ale

---

<sup>1</sup> T. Burek, *Zapomniana literatura polskiego Października*, »Wola — Solidarność«, z. 5, [1983].

geneza nazwy pozostaje mimo to jednoznaczna; odsyła do VIII Plenum. Nawet kolejne rocznice postalinowskiej „odnowy” łączy się z konkretnym miesiącem, eksponując rolę Gomułki i przyznając — chcąc nie chcąc — rację jego tezie, iż „zwrotu historycznego” w procesie demokracji dokonała partia i to partia pod jego — znowu — kierownictwem.

Oczywiście, Październik to nie tylko to, co działo się na sali obrad. Można nawet powiedzieć więcej: Październik (także ten przez „p” małe) to głównie to, co działo się poza nią. Faktem jest jednakże, że choć obrady te toczyły się — po raz pierwszy — „pod naciskiem mas i pod kontrolą czuwającej po fabrykach klasy robotniczej”<sup>2</sup> zasługę ich pozytywnego (jak sądzono) finału przypisywano głównie Gomułce. Tworząc tym samym pewien tegoż życzeniowy portret, który pokrywać począł się skazami nie od razu.

Dat, od których zwykle mierzyć się tzw „odchodzenie od Października” jest jak wiadomo wiele i trudno nawet autorytatywnie stwierdzić, którą z nich należałoby przyjąć za właściwą. Żadna z nich nie wyznacza przecież dokładnie granic jakiegoś jednolitego procesu; jedną z jego charakterystycznych cech było wszak to, iż składał się z różnorodnych „odejść” i „powrotów”; był to poza tym czas swoistej walki, w której to ten, to ów odnosił zwycięstwo albo też (co najczęstsze) obie strony ogłaszały remis.

Tak czy owak za datę końcową — najpóźniejszą zwykle się uważać pierwsze lata 60-te (procesy polityczne pisarzy, *List 34*), za najwcześniejszą — dzień 24 października, kiedy to Władysław Gomułka wezwał rozentuzjasmowanych warszawiaków, aby zaniechawszy „wiecowania i manifestacji” wzięli się do spokojnej pracy.

„Początek końca” Październikowych przemian zaczęto zresztą łączyć z wystąpieniem I sekretarza na Placu Defilad dopiero z paroletniego dystansu. Szczególnie po Marcowych doświadczeniach, każących dostrzec analogie między owym wczesnym apelem a hasłami typu „studenci do nauki, pisarze do pióra”. W październiku 1956, nie wydawało się ono zbyt niebezpieczne, przecież nawet „rewolucyjne” »Po prostu« nawoływało: „Dziś mówimy, że należy skończyć z wiecowaniem” i to nawoływano nie

---

<sup>2</sup> W. Wirpsza *Kronika wielkich dni*, »Po prostu« nr 44/1956.

tylko pod wrażeniem świeżej węgierskiej tragedii, ale i w przekonaniu, że „w obecnej chwili wiece są nieskuteczną formą organizacji mas”<sup>3</sup>.

Także dopiero po wypadkach Marcowych inaczej poczęto czytać komentarz »Życia Warszawy« z 25 X 1956, dotyczący powiecowej manifestacji z wersami o „grupach rozgorączkowanych wyrostków”, które „spotkały się ze zdecydowaną postawą robotników i milicji obywatelskiej”. Bowiem dopiero po Marcu ze zrozumiałą wrażliwością reagować poczęto na wzmianki o ukróceniu „chuligańskich wybryków” przez „robotniczy aktyw”. Jesienią ‘56 pamiętano wprawdzie (toczyły się wciąż jeszcze procesy poznańskie), iż określenie „chuligański wybryk” może mieć bardzo szeroki zakres semantyczny, ale przymiotnika — robotniczy nie trzeba było opatrywać cudzysłowem. Gdy po wiwatach na cześć Gomułki uformował się pochód, zmierzający pod radziecką ambasadę interweniowali skutecznie prawdziwi wszak robotnicy z Żerania, i to ci sami, którzy przed niespełna tygodniem, w obronie demokracji i suwerenności gotowi byli ryzykować głową. Wszystko odbyło się w dodatku bez nadmiaru gwałtów; milicja była raczej zdezorientowana niż brutalna. Powołane niedługo potem — po częściowym fiasku w tłumieniu manifestacji w Płocku, Bydgoszczy, Szczecinie — sześciotysięczne specjalne jednostki do rozpędzania demonstracji (późniejsze ZOMO) okazały tak naprawdę swą sprawność dopiero w Łodzi i na Śląsku latem 1957.

Dla zwolenników i współtwórców szeroko pojętego Października, dzień 24. nie krył więc żadnej zapowiedzi zmiany kursu. Tym bardziej, że spełnione zostały wkrótce — choć nie bez oporów<sup>4</sup> — oba naczelné żądania wiecujących: Rokossowski istotnie wyjechał do Moskwy, a prymas Wyszyński odzyskał wolność. W dodatku kontrast między łagodnym

---

<sup>3</sup> Apel redakcji »Po prostu« i »Sztandaru Młodych«, »Po prostu« nr 45/1956 (z 4 XI).

<sup>4</sup> O odwołaniu Rokossowskiego tak mówił na IX Plenum w maju 1957 Gomułka: „Początkowym zamiarem Biura nie było zdejmowanie marszałka Rokossowskiego z dowództwa armii [...] Przyjmowałem delegacje oficerów, którzy przychodzili mnie zapytać o to. Odpowiedziałem — nie będziemy zdejmować marszałka. Ale potem [...] wielu oficerów wypowiedziało się przeciwko marszałkowi [...] Wojsko to jest wojsko. Albo będzie zdjęty oficer, który występował przeciwko dowódcy albo będzie zdjęty dowódca. Gdybyśmy mieli do czynienia z dziesięcioma czy stu oficerami to byśmy zdjęli 10 czy 100 oficerów. Ale myśmy musieli stanąć na innym stanowisku” (AAN, zespół BP KC PZPR, p. 71, t. 30). Także uwolnienie kardynała Wyszyńskiego odbywało się pod narastającą od lata 1956 presją społeczną.

finale wieceu warszawskiego a równoległymi konsekwencjami manifestacji w Budapeszcie napawał nadzieją.

Pierwsze wyraźne obawy o to, czy proces odnowy realizowany jest właściwie, zaczęto formułować dopiero (a dotyczy to także pism emigracyjnych) wczesną jesienią 1957, z oczywistym nasileniem po likwidacji »Po prostu«, oraz rozpędzeniu związanych z nią studenckich demonstracji i to rozpędzeniu w sposób, który tak zadziwił rozczarowanego już przecież i wcześniej — Jerzego Zawieyskiego: „Milicja użyła petard łzawiących i co najgorsze, wręcz niepojęte [podkreśl. M.F.] biła studentów pałkami”<sup>5</sup>.

Ale nawet wtedy nie określano tego mianem „zdradzonej nadziei”, co najwyżej „marnowaną szansą”. Winą za ich naruszanie nie obwiniano zresztą Gomułki; wręcz przeciwnie. W opublikowanym w kilkanaście dni po sprawie »Po prostu« artykule redakcyjnym »Tygodnika Powszechnego« pisano: „z satysfakcją stwierdzamy wiele, jakże istotnych zmian na lepsze, ale zarazem stwierdzamy narastanie niebezpieczeństw, zagrażających nowemu kierunkowi politycznemu, który przed rokiem został zainaugurowany. [...] Są w Polsce ludzie, którzy [...] obawiają się, że respektowanie woli narodu doprowadzi do przekreślenia socjalizmu”.

Artykuł »Tygodnika Powszechnego« był dla myślenia ówczesnego dość typowy nie tylko poprzez ton umiarkowanego pesymizmu. Wyrażał mianowicie dwa dość powszechne przekonania. Pierwsze — iż zwycięstwo Gomułki na VII Plenum tożsame było nie tylko z kontynuacją, ale i poszerzeniem uzyskanych wcześniej swobód. Drugie — że intencjom tym stają na przeszkodzie „ludzie” — niewątpliwie z dawnego „Natolina”. Bardzo dobitnie pogląd ów sformułował na łamach paryskiej »Kultury« Zbigniew Jordan: „Zawieszenie »Po prostu« jest zwycięstwem konserwatywnego i dogmatycznego skrzydła Partii nad obrońcami październikowego programu”. (*Odwrót od Października*, z. 12/1957). Nie ulega wątpliwości, że za czołowego przedstawiciela tych ostatnich wciąż uważano Gomułkę.

I sekretarza broniono jeszcze na — skądinąd bardzo krytycznej — styczniowej (1958) Radzie Kultury, kiedy to nie szczędził mu wyrazów sympatii („pokazał, że można budować socjalizm z ludzką twarzą”, „przy-

<sup>5</sup> Z *Dziennika* (3 X 57) za: »Polityka« nr 5/1982.

wrócił nam wreszcie miarę godności”) sam Słonimski apelujący poza tym do Rady, by za główny cel uznała obronę „zdobyczy Października [...], zdobyczy absolutyzmu oświeconego przeciw zwolennikom absolutyzmu nieoświeconego”, którzy coraz częściej dają znać o sobie<sup>6</sup>.

Oczywiście w wielu środowiskach, wcześniej wobec Gomułki przychylnych wzrasta rezerwa także wobec niego samego. Mniej więcej w tym samym czasie zaczyna kursować po Warszawie dowcip „Co się zmieniło w Polsce po Październiku? Gomułka”. Ale i tutaj nie kwestionuje się przecież jego wcześniejszych dobrych intencji.

Czy jednak słusznie? Czy myślenie Gomułki z 19 X 1956 oraz Gomułki o rok starszego było rzeczywiście tak odmienne? I czy na ową ewentualną zmianę wpłynęły jedynie warunki zewnętrzne?

Odpowiedzi jednoznacznej udzielić jest trudno. Kiedy czyta się dziś przemówienie ówczesnego kandydata na szefa partii, wygłoszone na VIII Plenum dostrzec w nim można dwa jakby nurty. To co mieści się w pierwszym korespondowało doskonale ze społecznym oczekiwaniem, drugi od początku wzbudzić winien nieufność.

W pierwszym zawierała się krytyka licznych „błędów” założeń i realizacji Planu 6-letniego, „systemu kultów” (bo Gomułka mówił już nie tylko o kulcie Stalina, ale związanej z nim „piramidzie kultów” w partyjnym, coraz bardziej oderwanym od mas, aparacie), wreszcie nie dość „partnerskich” kontaktów ze Związkiem Radzieckim. Towarzyszyła tej krytyce i rehabilitacja Poznania, i postulat oczyszczenia partii z osób szczególnie skompromitowanych, i obietnica prawdziwego wsluchania się w „głos mas”. Słowem to wszystko, o czym pisano i mówiono (także na szczytach partii) już wcześniej, lecz co teraz dopiero otrzymywało jak gdyby — dzięki Gomułce — znak najwyższej jakości, wiarygodności i potwierdzenia. To właśnie odwołując się do tej części przemówienia, pisano z optymizmem w »Po prostu« o „w istocie nowej, trzeciej fazie w rozwoju rewolucji” wreszcie zgodnej z wolą narodu<sup>7</sup> i ona spowodowała liczne (również ze strony Kościoła i części emigracji) wyrazy poparcia dla I sekretarza.

---

<sup>6</sup> Plenarne posiedzenie Rady Kultury z dn. 21 I 1958, AAN, zespół KC PZPR, sygn. 237/XVIII-179.

<sup>7</sup> R. Turski, E. Lasota *Polski Październik*, »Po prostu« nr 44/1956 (z 28 X).

To w odniesieniu do owych obietnic mówić można o zawiedzionych nadziejach bądź zdradzie. Etapy owej „zdrady” są ogólnie znane, a obejmuje ona niemal wszystkie dziedziny życia. Plan sześcioletni zastąpił jednak plan pięcioletni, zniszczono Rady Robotnicze, „piramidę dawnych „kultów” zastąpiono pojęciem niepodważalnego autorytetu Biura Politycznego, stosunki z ZSRR ani przez moment nie miały charakteru „partnerskich”, zakazano nawet wszelkich (nierzadkich przed wyborem Gomułki) polemik z prasą radziecką. Poznań objęto — po rocznicowym przemówieniu Gomułki w czerwcu 1957 — strefą milczenia. Itd, itd...

Tłumaczono to różnie: naciskiem — o czym była już mowa — przeciwników reform, „racją stanu”, która po wydarzeniach węgierskich przestała być pustym dźwiękiem, zmienną sytuacją międzynarodową. Całym więc zestawem tzw. „okoliczności zewnętrznych”, w połowie października nie do przewidzenia.

Tak naprawdę wydaje się wszakże, że większość procesów nazywanych „odchodzeniem od Października” (po raz pierwszy pojęcia tego użył bodaj Jerzy Zawieyski jesienią 1957 w swym dzienniku) rozpoczął właściwie październik. I to nie mimo, lecz — na skutek — objęcia władzy przez Gomułkę. Dla wszystkich, którzy znali jego charakter, fobie, uprzedzenia, ograniczenia, a także patrzyli na jego działalność nie tylko poprzez „martyrologiczną” legendę lat 1949–54, lecz także — okres pierwszych powojennych rządów, powinno to być zresztą oczywiste. Tym bardziej, że Gomułka postawił sprawę jasno i to jeszcze w przeddzień wyboru na stanowisko I sekretarza.

Wszystko bowiem, co dotyczyło już nie „rozhurunku z przeszłością”, lecz konkretnego programu na przyszłość zawierało się w owym drugim nurcie jego przemówienia, a w dodatku sformułowane zostało bez faryzeuszostwa i dobitnie. Z absolutną wiarą w kult prawd niepodważalnych. Wystarczy wskazać na najważniejsze:

1. Proces demokratyzacji — choć konieczny — nie może przebiegać żywiołowo. „Na czele procesu demokratyzacji staje nasza partia i tylko ona [...] może pokierować tym procesem w takim kierunku, aby proces ten prowadził rzeczywiście do [...] wzmocnienia podstaw naszego ustroju, a nie do ich osłabienia”.

2. Zdolność do kierowania procesem przemian może okazać tylko partia zachowująca jedność: „Ciężki wóz zadań, jakie stoją przed partią



w chwili obecnej może się toczyć pomyślnie naprzód tylko wówczas, kiedy zaprzęgnięte do niego siły [...] ciągnąc go będą w jednym kierunku”.

3. „Kierowniczej roli partii” (termin ten jest zresztą późniejszy: zastąpiono nim wcześniejszą „dyktaturę proletariatu” dopiero w listopadzie 1957 na zjeździe partii komunistycznych w Moskwie) podporządkować się muszą wszystkie stronnictwa i organizacje także młodzieżowe. „Młodzieży naszej partia winna wyraźnie powiedzieć: w wielkim i doniosłym procesie demokratyzacji maszerujecie w czołówce, lecz spoglądajcie stale na wasze i całej Polski Ludowej dowództwo [...], na Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą”.

4. Należy — uznając prawo środków prasowego przekazu i literatury do „konstruktywnej krytyki” — zwalczać to, co nie służy wzmocnieniu ustroju lecz jego (zakamuflowanej często) destrukcji.

Skuteczna realizacja wszystkich tych wskazań była oczywiście możliwa tylko pod warunkiem, iż na czele partii stanie człowiek wystarczająco silny, aby okazać — gdy trzeba — niezbędną bezwzględność, a zarazem („autorytetu nie można sobie przypiąć do piersi jak medal”) mający społeczne poparcie i to — w tym akurat momencie — poparcie autentyczne, a nie malowane. Jest niezwykle znamienne, że krytykując „wypaczenia” stalinizmu Gomułka ostrzegał: „byłoby wielkim błędem i pomieszczeniem pojęć, gdyby ktoś próbował robić znak równania między kultem a autorytetem jednostki”<sup>8</sup>. Nie ulega wąpliwości, że sam za autorytet taki się uważał i nie bez podstaw. Tym bardziej, że choć w samej partii miał swych bardzo wyraźnych przeciwników pośród wszystkich istniejących tam frakcji (głównie zresztą wśród „liberałów”) to nie miał — z czego doskonale zdawano sobie sprawę — poważnego konkurenta, zdolnego spełnić obydwa wymienione wyżej warunki. Wybory do Biura Politycznego i Sekretariatu<sup>9</sup> z najwyższą ilością wymaganych głosów dla Ochaba, a najmniejszą dla Zambrowskiego i „młodych sekretarzy” jeszcze prawdę tę — wyostrzyły. Jeśli idzie zaś o mandat społeczny, ostatecznym jego potwierdzeniem były nie tyle wiwaty na Placu Defilad, co

<sup>8</sup> Wszystkie cytaty za: »Nowe Drogi« nr 10/1956.

<sup>9</sup> Bardzo zresztą znamienne, że dokonano ich po spotkaniu z przybyłą z Związku Radzieckiego delegacją radziecką. Wniosek Jaworskiej i Tatarówny, aby do rozmów przystąpić z wybranym już Biurem poparły tylko wnioskodawczyni przy 3 głosach wstrzymujących się i 61 przeciw. AAN, zespół BPKC PZPR, p. 71, t. 28.

styczniowe wybory do Sejmu z blisko 90% frekwencją i głosowaniem w ogromnej większości „bez skreśleń”. Wydaje się, że to dopiero ten sukces dał Gomułce poczucie siły.

Wybory te musiały być dla niego zrazu ciężką i nie gwarantującą wygranej próbą. Jeszcze na VIII Plenum mówił wszak: „Wybory zostaną przeprowadzone w oparciu o nową ordynację wyborczą, która pozwala ludziom wybierać, a nie tylko głosować. Jest to zmiana bardzo ważna [...] Ten kandydat, który cieszyć się będzie najwyższym zaufaniem zostanie wybrany”. Nowa ordynacja wyborcza, opracowana jeszcze 11 IX, a więc pod rządami Ochaba przewidywała m. in. swobodę skreśleń (ilość kandydatów o 1/3 wyższa niż mandatów), dopuszczenie odrębnych list wyborczych stowarzyszeń politycznych, organizacji zawodowych i spółdzielczych, ZMP. Już 4 XI przeforsował Gomułka zasadę wspólnej listy Frontu Jedności Narodu. 10 I wycofano z tej listy nazwiska wielu kandydatów pod pretekstem „słabości charakteru”, „braku dyscypliny” etc. Zaś 19 I — a więc w przeddzień wyborów — Gomułka rzucił dramatyczny apel o głosowanie bez skreśleń; „wszystkie reakcyjne siły<sup>10</sup> agitują bądź za skreślaniami czołowych kandydatów, bądź za skreślaniami kandydatów z ramienia Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej [...] Skreślanie kandydatów naszej partii — to przekreślanie niepodległości kraju, to skreślanie Polski z mapy państw europejskich”.

Apel spotyka się z właściwym odzewem, i to dzięki poparciu prymasa Wyszyńskiego, Episkopatu oraz niektórych środowisk emigracyjnych. Wola wyborców po raz kolejny okazuje się więc tożsama z wolą I sekretarza. Partia zaś, mimo iż władza jest dla niej — „nieraz gorzka jak piołun” nie może oddać jej w cudze ręce, „każda inna władza byłaby dla Polski tragicznym nieszczęściem, a [...] dla wszystkich ludzi pracy w mieście i na wsi byłaby wielokrotnie gorsza niż najgorsza władza ludowa”<sup>11</sup>.

---

<sup>10</sup> „Raporty do użytku wewnętrznego” sporządzone przez lokalne komitety wyborcze owe reakcyjne siły obwiniają z całą bezwzględnością, donosząc np., iż „Chudy Jan kandydat ZSL w Nowym Targu w wystąpieniu swym powiedział, że »skończyło się rządzenie Partii«, »Członkowie ZSL zdecydują — w przeciwieństwie do tow. Gomułki — głosowaniem z ołówkiem w ręku”, zaś w Myślenicach »grupa demagogów« i warcholów przekształciła zebranie w wiec, na którym padło szereg wypowiedzi przeciwko kandydatowi partii tow. Cieślakowi”. Za: *Wokół Października*, ZEN, z. 3, Warszawa [1984]; stąd też cytata z Gomułki. Por. także Gomułka *Przemówienia*, t. I, październik 1956 — wrzesień 1957, Warszawa 1957.

Aby jednak władzę utrzymać trzeba było działać sprawnie, konsekwentnie i bezwzględnie. Tak też realizuje Gomułka swój program zawarty w wystąpieniu na VIII Plenum.

Fakt, iż w październiku dość powszechnie zlekceważono zawarte w nim groźby, wynikał w znacznej mierze z tego, że nie był to program nowy. Podobne postulaty podejmowano aż do znudzenia na wszystkich niemal wcześniejszych — postalinowskich już — naradach i plenach. Co więcej, w znacznej mierze je realizowano; przecież partia nigdy nie dawała pełnej swobody dyskusji, nigdy też nie dopuszczono do głosu rzeczywistych przeciwników systemu. „Rewolucja prawdy”, o której pisał Burek — nawet w czasach największej „odwilżowej” gorączki — była „surogatem wolności i prawdy [...] wolności na 45% [...] prawdy na 47%”, jak to określił w czerwcu 56 w swym *Dzienniku* Gombrowicz. Ale niewątpliwie i owe procenty — jak na zwyczaj ustroju — było to zbyt wiele. To, że w ogóle udało się je w okresie „odwilży” osiągnąć, zawdzięczano w ogromnej mierze temu, iż wewnątrz partii toczyła się walka.

W tym sensie rację miał krytykowany za swą „spiskową teorię dziejów” — Witold Jedlicki, kiedy pisał o szansach, jakie stwarzała ta „swoista namiastka systemu wielopartyjnego”<sup>12</sup>.

I choć z pozoru wyglądać to mogło po prostu na chęć wzajemnego pojednania w istocie oznaczało likwidację frakcji. Wystąpienie Gomułki przeciw jakimkolwiek już nie frakcjom, a nawet grupom, w partii na majowym (1957) IX Plenum nie pozostawia w tym względzie wątpliwości.

Walka z „frakcyjnością” nie będzie przebiegać bez oporów; świadczą o tym kolejne narady i plena ( m. in. z X 57, gdy podjęta zostanie decyzja o weryfikacji członków partii). W końcu jednak ma swój zadawalający finał w marcu 1959, gdy dopuścić można wreszcie do kilkakrotnie odsuwanego III Zjazdu. To na jego forum wyjaśni Gomułka — bez wątpienia przekonywająco — powód, dla którego od samego początku zwalcza przede wszystkim „rewizjonizm”. „W krajach budujących socjalizm dzia-

---

<sup>11</sup> W. Gomułka na spotkaniu z wyborcami w dniu 14 I 1957. Za: *Przemówienia*, t. 1, Warszawa 1957, s.193.

<sup>12</sup> W. Jedlicki, *Chamy i Żydy*, w: *Klub Krzywego Koła. Dokumenty*, Instytut Literacki, Paryż 1963.

lalność rewizjonizmu jest wspierana przez wszystkie reakcyjne siły, a przecież jest nie do pomyślenia, Towarzysze, by reakcja mogła wspierać dogmatyzm”<sup>13</sup>.

Pojęcie „sił reakcyjnych” rozumiane jest, co oczywiste, dowolnie. Tak naprawdę nie mają one wszak żadnych szans na ujawnienie. Ściśle tajny protokół z narady kierownictwa Komitetu d.s. Bezpieczeństwa z kierownikami urzędów wojewódzkich — jeszcze z kwietnia ’56 — informował wprawdzie, iż „widoczne jest duże ożywienie we wszystkich wrogich środowiskach” czyli pośród „byłych elementów”: AK-owskich, WRN-owskich, NZS-owskich, chadeckich, PSL-owskich, wreszcie „nacjonalistów ukraińskich” i „reakcyjnego kleru”, ale „szeroko rozwijane w dyskusjach plany stworzenia legalnej opozycji” sama bezpieka uważa za nierealne bądź „plotki”<sup>14</sup>. Co nie znaczy, aby nie tworzyły się wówczas nowe środowiska rzeczywistej opozycji i to nie tyle pod wpływem „nastrojów odwilżowych”, co zbrodni ujawnianych w wyniku amnestii oraz repatriacji<sup>15</sup>.

Za czasów Gomułka za przeciwnika względnie zorganizowanego uważać można jednak tylko „reakcyjny kler”. Wczesne „odwilżowe” gesty I sekretarza wobec środowisk katolickich idą od początku w parze z zachowaniami nielojalnymi, prowadzącymi konsekwentnie — z miesiąca na miesiąc — do pogarszania się stosunków. Kościoła nie represjonuje się wprawdzie jak przed czterema laty, ale oskarża wciąż o ideologiczny sabotaż. Mówiono już w maju 1957 na IX Plenum, formułując stanowisko ogólniej niż na wrześniowej naradzie Komisji Prasowej KC PZPR: „Wreszcie wskazać trzeba na najpoważniejsze oparcie ideologii reakcyjnej — klerykalizm”; „pewne koła katolickie zmierzają konsekwentnie do tego, by [...] skupić wokół siebie wszystkie siły prawicy”<sup>16</sup>.

---

<sup>13</sup> W. Gomułka *Przemówienia*, t. 3, 1959, Warszawa 1959, s. 213.

<sup>14</sup> Por. archiwum Biura Ewidencji i Archiwum UOP, sygn. 17/IX/77, t. 17.

<sup>15</sup> Już w grudniu 1955 *Notatka w sprawie repatriacji* alarmuje: „Część repatriantów przejawia antyradzieckie nastroje. Dotyczy to zwłaszcza transportu, który przybył 11 gr. b. r. [...] składającego się w przeważającej części z b. członków AK z wileńszczyzny”. AAN, zespół BP KC PZPR, p.14.

<sup>16</sup> Wystąpienie na naradzie Komisji Prasowej KC PZPR we wrześniu 1957. Za: *Wokół Października*, op. cit.

Jest zresztą niezwykle znamienne, że nawet w okresie dobrych jeszcze stosunków z prymasem, »Tygodnikiem«, KIK-ami — dużymi względami cieszy się Pax, a szczególnie grupa Piaseckiego. Z autorem *Instynktu państwowego*, który tuż przed Plenum tak wzburzył sojuszników Gomułki, prowadzi się teraz przyjacielskie rozmowy. A kiedy w listopadzie '56 »Świat« piórami Górnickiego i Tyrmanda przypomina jego Falangowską i tuż powojenną przeszłość, interweniuje cenzura, obejmująca zapisem całą „sprawę Piaseckiego”. Będzie to ochrona stała, w roku 1959 za referat o ONR-Falandze Jan Józef Lipski zostaje na skutek interwencji Piaseckiego wyrzucony z PIW-u.

Miało więc swe głębokie motywacje pytanie, jakie stawał jesienią 1957 w paryskiej »Kulturze« (z.11) Juliusz Mieroszewski: „W oparciu o jakie siły zamierza Gomułka budować polską drogę do socjalizmu? W oparciu o wielopolszczyznę Natolina, Paxu i pomniejszych ugrupowań? W oparciu o te siły można zbudować satelickie państwo, ale nie polską rewolucję i socjalizm”.

Tyle tylko, że Gomułka nigdy nie był rzecznikiem „rewolucji” w sensie jaki miał na myśli eseista emigracyjny, a jego wizja socjalizmu — o czym będzie jeszcze mowa — była bardzo specyficzna.

Łączyła się ściśle z ową tak eksponowaną już na VIII Plenum „kierowniczą rolą partii”. Postulat ten poczęto wcielić w życie z takim rozmachem, iż już wkrótce nie było wiadomo, jakim to jeszcze organizacjom poza własną PZPR miałby przewodzić. Bardzo szybko poskromiono wszelkie nadzieje „bratnich” stowarzyszeń na minimalną choćby samodzielność; efektywnym na to przykładem jest choćby reprimenda Gomułki pod adresem ZSL: „Coraz śmielej zaczynają podnosić głowę różni warcholi [sic!], demagodzy a także ludzie, którym się śni jeszcze zbankrutowany agent obcych wywiadów — Mikołajczyk”<sup>17</sup>. Niezwykle szybko odbiera się inicjatywę młodej lewicy”. Przystają prawie natychmiast po powstaniu istnieć Związek Młodych Demokratów, Związek Młodych Robotników, Rewolucyjny Związek Młodzieży. Monopol ZMP-owski zastąpiony zostanie monopolem ZMS-owskim. Likwiduje się większość Klubów Młodej Inteligencji, szczególnie tych o dużym rezonansie środowiskowym (a większość z nich utrzymywała kontakty także z robotnika-

---

<sup>17</sup> AAN, zespół BP KC PZPR, p. 71, t. 28.

mi), wobec wielu (m. in. krakowskiego Czerwonego Pomidora) stosuje się dotkliwie szykany; władzom na rękę jest stosowanie w miejsce metod administracyjnych pośrednich presji, w wyniku których część Klubu rozwiązuje się niby samorzutnie.

Ogranicza się — aż do likwidacji w 1958 — działalność związków branżowych. Samorządy robotnicze napotykać na coraz większe trudności aż po ich ostateczną w tym samym roku pacyfikację.

Najbardziej dostrzegalne represje dotyczą jednak prasę; i to nie tylko w działach społeczno — politycznych, lecz także kulturalnych. Idzie nie tylko o zapowiedziane już na VIII Plenum zahamowanie demokratycznej krytyki, coraz bardziej energiczną działalność cenzury, lecz także o zahamowanie niebezpiecznej tendencji przełamywania „monopolu druku” towarzyszącej powstawaniu licznych czasopism.

W 1957 roku nie wyraża się lub cofa zgodę m. in. na wydawanie »Treści« z Jerzym Kwiatkowskim i Tadeuszem Nowakiem, »Telimeny« (Samozwaniec, Waldorff, A. M. Swinarski), »Krytyki« Drewnowskiego, »Rzeczy« Sandauera i Przybosia oraz — co odbije się największym rezonansem — »Europy«, złożonej w większości z byłych „Kuźniczan”. W dwu ostatnich wypadkach pozytywna decyzja była już niemal pewna; oba pomysły zyskują akceptację Biura Prasowego i Wydziału Kultury, i to „po dokładnym zbadaniu sytuacji w czasopiśmiennictwie kulturalnym”. Akceptacje uzasadnia się w dodatku faktem, iż o miesięczniki te starają się „grupy skupiające najważniejszych pisarzy polskich” i to „postępowych racjonalistów”<sup>18</sup>. Jak się okazuje, nie ma to jednak istotniejszego znaczenia. W wypadku »Europy« tłumaczyć to można przynajmniej fatalną oceną wystawioną pierwszemu złożonemu (lecz nie rozprowadzonemu) numerowi; po jego lekturze nie mówi się już o pisarzach postępowych, a — o „ludziach o określonym, skryształizowanym światopoglądzie (Słonimski, Ważyk, Zawieyski i inni)”. W wypadku »Rzeczy« sprawa nie zostaje — jak się zdaje — w ogóle wyjaśniona.

Po dwu numerach zlikwidowany zostaje kwartalnik »Opinia« pod redakcją Seweryna Pollaka (Feddecki, Stawar, Treugutt).

Zapowiedź likwidacji wielu „odwilżowych” pism — szczególnie młodzieżowych zawiera już wypowiedź Gomułka z grudnia ’56, kiedy to na

---

<sup>18</sup> Por. »Kultura Niezależna« nr 65, grudzień 1990.

uwagę jednego z dziennikarzy, iż „zamykanie pism nie likwiduje problemów”, odpowiada: „administracyjne metody są najgorsze, ale powstaje pytanie, co lepsze jest. Na pewno już lepsze będą administracyjne metody aniżeli pozwolenie na szerzenie wręcz wrogiego stanowiska i wręcz wrogich poglądów”<sup>19</sup>. Skorzysta się z nich już wkrótce w stosunku do co najmniej kilku periodyków.

Decyzje dotyczące pism młodej inteligencji są tym drastyczniejsze, że są to wszystko periodyki powstałe w okresie „odwilży”, a czasem nawet tuż po Październiku. Powstały one mimo stałych (od początku 1955) narzekań KC na niezdiscyplinowanie prasy, jej zbyt krytycyzm (ten zarzut w stosunku do »Po prostu« pojawia się już w XI 55), demagogię. Oskarża się o te grzechy zresztą i prasę partyjną, na licznych naradach wzywając do „wzmózonych ofensyw ideologicznych”. W 1956 na lipcowym VII Plenum, gdzie emocje każą zapomnieć o języku propagandy mówi się wręcz, iż dziennikarze „nam wyrządzili szkodę i za to trzeba ich po tyłku porządnie łać”<sup>20</sup>.

Jednak mimo, iż ataki są zajadłe, ich polityczne konsekwencje są niewielkie, a dotyczy to nie tylko pism, ale i osób. Owszem, po opublikowaniu *Poematu dla dorosłych* zdjęto z funkcji redaktora naczelnego »Nowej Kultury« Hoffmana (do którego żywiono pretensje już od druku *Pamiętnika uczennicy* w grudniu 1953) oraz zorganizowano głośną naradę partyjnych pisarzy mających potępić Ważyka. Ale jeśli pamiętać o tym, że *Poemat* został oficjalnie uznany przez Biuro Polityczne za antypartyjny, szkodliwy i znieważający klasę robotniczą oraz — co istotniejsze — że w jego sprawie interweniował sam Chruszczow, to nic nie usprawiedliwia sądu, iż były to posunięcia świadczące o „sile stalinizmu mimo odwilży”<sup>21</sup>.

Kiedy pozostający jeszcze w najściślejszym kierownictwie partyjnym Jakub Berman gromił w trzy miesiące później na naradzie poświęconej literaturze „tendencje jawnie rewizjonistyczne” oraz „drobnomieszczań-

---

<sup>19</sup> Narada Aktywu partyjnego KC z dziennikarzami 10 II 56. AAN, zespół KC PZPR, sygn. 237/V-246.

<sup>20</sup> AAN, zespół BP KC PZPR, p. 70, t. 26.

<sup>21</sup> List Wasilewskiej do Chruszczowa opublikował Aleksander Kochański w nr. 27 »Polityki« z 1992. Ogłoszony tam protokół z narady redakcja opatrzyła nagłówkiem „Stalinizm był silny mimo odwilży”.

ski radykalizm”, to choć wymieniał nazwiska nie miało to praktycznych konsekwencji. Zakazy druku zdarzały się rzadko (przypadek K. T. Toeplitza w »Nowej Kulturze«) i to z reguły po dłuższym już okresie publikowania „niewłaściwych” tekstów. Poza Hoffmanem nie było głośnych przypadków odwoływania redaktorów naczelnych, jeśli nie liczyć istnej karuzeli zmian w »Trybunie Ludu«, choć i tu sprawę różnych „nieprawidłowości” załatwiono definitywnie dopiero po lutym 1957, przywracając na to stanowisko — mimo protestu zespołu — Leona Kasmana<sup>22</sup>.

Rzadko odmawiano też zgody na nowe periodyki. Jedyne głośny przypadek dotyczy »Niezależnych Klerków«, którego projekt złożył w lutym 1955 Stefan Kisielewski. Projekt odrzucono kategorycznie, komentując to m. in. faktem, że jego twórcami są „ludzie związani z takimi ośrodkami obcej ideologii, jak były »Tygodnik Powszechny«”. Jeśli jednak pamiętać, że jest to sam początek roku 1955 i w stosunku do kościoła trwa niezmiennie polityka zapoczątkowana w 1953, to taka akurat decyzja oraz towarzyszący jej komentarz nie mogą budzić zdziwienia. Kisielewskiego traktuje się zresztą w jakimś sensie poważnie. Gomułka nie bawi się już w żadne ceregiele. Sankcje, jakie podejmuje wobec prasy polegają zresztą nie tylko na likwidacji pism istniejących i wstrzymywaniu — projektowanych. To teraz dopiero wprowadza się — po raz pierwszy od początku „odwilży” zapisy na nazwiska. Sprawa »Po prostu« nie kończy się wszak na jego rozwiązaniu. Dziesięć osób (m. in. Lasota) zostaje wyrzuconych z partii, sześciu grozi to samo. Wszyscy objęci zostają zakazem druku oraz zatrudnienia „na jakichkolwiek funkcjach dziennikarskich”. W kwietniu 1958 powraca się do tej sprawy, by — stwierdziwszy z goryczą, iż zakazu przestrzegano ściśle ledwie przez parę miesięcy, a później niektórych autorów publikowano pod pseudonimami — zakaz zaostrzyć, czyniąc wyjątek dla tych, którzy w międzyczasie wyrazili „solidarność z polityką partii”. Ścisłym zakazem druku objęci są nadal m. in. Ambroziewicz, Urban, R. Turski i Zimand. W tym samym dokładnie czasie w związku z usunięciem ze stanowiska redaktora naczelnego »Sztandaru Młodych« Mariana Turskiego i odejściem na znak solidarno-

---

<sup>22</sup> Po odwołaniu w marcu '56 Matwina stanowisko to objął na 2 miesiące Werfel, następnie Morawski (miesiąc), Titkow (3 miesiące) i znów do czasów Kasmana — Matwin.



ści części zespołu, objęto zakazem druku m. in. Adamieckiego, Fikusa, Lewandowską.

Po wystąpieniu z partii (1957) „grupy Europy” (Andrzejewski, Hertz, Jastrun, Kott, Ważyk, Żuławski) nie poddaje się ich wprawdzie podobnym represjom, ale już w rok później po wrocławskim Zjeździe ZLP (XII 58), gdzie — zwyczajowo już — krytykowano cenzurę, politykę wydawniczą etc. — zaniedbanie to zostanie nadrobione. Sekretarz KC przyznaje, iż „nie doceniał należycie renegackiej postawy niektórych pisarzy, którzy demonstracyjnie wystąpili z partii”<sup>23</sup>, w wyniku czego Biuro Polityczne zaleca w styczniu 1959 m. in. „traktować grupę »Europy« jako grupę przeciwników politycznych” oraz „spowodować wycofanie” jej „z kolegiów wydawniczych czasopism (Kotta z »Przeglądu Kulturalnego«, Żuławskiego z »Twórczości« itp.), ograniczyć „współpracę w redakcjach szczególnie w PIW-ie, Czytelniku i »Twórczości«, stosować ostrzejsze kryteria selekcji przy załatwianiu do druku tekstów, wreszcie wstrzymać ich wyjazdy za granicę”<sup>24</sup>. Zakaz druku obejmuje też dziennikarzy innych pism oraz oraz radia, nie mówiąc już o coraz od roku 1957 powszechniejszych zwolnieniach ze stanowisk kierowniczych. Dotyczy to także wydawnictw. Niedługo potem (w połowie 1958) zapadnie pierwszy wyrok w procesie o kolportowanie paryskiej „Kultury” (3 lata dla Hanny Rawskiej).

Fakt, iż mechanizm represji uruchomiono na dobre dokładnie w rocznicę VIII Plenum nie jest wcale paradoksem. Jest — jak pisałam — raczej kontynuacją tego, co Gomułka tam właśnie zapowiadał.

Ulegając niewątpliwie różnym „obiektywnym” koniecznościom, bez których „polska droga do socjalizmu” stałaby się z pewnością bardziej własna, realizował przy tym konsekwentnie założenia ustrojowe, które zadekretował w Moskwie „rząd lubelski”. Kiedy bronił swych racji przed kilkunastoma czy kilkudziesięcioma dziennikarzami, twórcami, intelektualistami, a nawet „przed społeczeństwem” („przed reakcją społeczną będziemy bronić Października”) zdawał się Gomułka całkiem serio myśleć, iż zdobycze te chroni. Oznaczały one bowiem dla niego co innego niż dla tych, których rychło i — z przekonaniem — nazwał „antysocjali-

---

<sup>23</sup> AAN, zespół KC PZPR.

<sup>24</sup> Cyt. za: »Kultura Niezależna« nr 65, grudzień 1990.

stami”. Tę różnicę uchwycił dobrze (nie mający zresztą na myśli Gomułki) Roman Zimand, gdy pisał w grudniu 1956 w »Po prostu« (nr 43): „jeden z moich kolegów powiedział mi dość dawno: publicyści dzielą się na tych, którzy piszą o błędach i wypaczeniach i na tych, co piszą o tzw. błędach i wypaczeniach [...] Oto jeden z korzeni sporu. Czy trzeba usuwać tylko błędy i wypaczenia, czy też trzeba zmienić system społeczno-polityczny, zwany stalinizmem”.

Gomułka był, rzecz jasna, rzecznikiem poglądu pierwszego. „Błędy i wypaczenia” były dla niego tylko błędami i wypaczeniami; na VIII Plenum mówił wszak o konieczności wymienienia złych śrubek w dobrze poza tym funkcjonującym mechanizmie. Pogląd drugi uważał nie tylko za błędny, ale i szkodliwy. Większość swego exposé, na grudniowej naradzie dziennikarzy, poświęcił na demaskowanie poglądów Zimanda (nazywanego uporczywie Ziemandem) i Kołakowskiego, a także sprawie tego, czy ustroj ZSRR był ustrojem socjalistycznym — rzecz jasna z potępieniem wątpiających; od tej pory cenzura zacznie zresztą tępić słowo „stalinizm”, zastępując je enigmatycznym „okresem minionym”. Już wtedy bowiem uznano, że sama dyskusja na tematy tak niebezpieczne jest szkodliwa, przynajmniej na łamach prasy: „Czy można wybrać takie formy [publicystyczne — M. F.], że wyjdzie on [Zimand] ze swoim stanowiskiem publicznie, napisze artykuł [...] itd., itd. będzie przemawiać do miliona ludzi? Nie, tak my nie uważamy [...] jest określone miejsce gdzie ma się szukać prawdy [...] To określone miejsce to są organizacje partyjne”<sup>25</sup>. To przekonanie bardzo bliskie opinii Gorkiego sprzed lat dokładnie 30-tu (pisał on wówczas do Afinogenowa, że jego *Kłamstwo* można by „zagrać w jakimś zamkniętym teatrze, przed grupą dobrze podkutych leninowców, niezachwianie przekonanych o słuszności generalnej linii”<sup>26</sup>), to przekonanie więc miało wkrótce — o czym była już mowa — znaleźć wyraz polityczny.

Z okazji grudniowego ataku na Zimanda użył też Gomułka słowa „utopia”. Mówił wręcz „program Zimanda przecież jest programem Armii Zbawienia czy klasztoru”.

---

<sup>25</sup> AAN, zespół BP KC PZPR, p. 71 oraz zespół KC PZPR, sygn. 237/V-246.

<sup>26</sup> Za: M. Heller, *Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka*. Warszawa 1981, s. 131.

W gomułkowskiej wizji „socjalizmu” mieściła się bowiem złagodzona (bo już nie krwawa) rzeczywistość lat 1944-48. Nie mieściły się w niej natomiast absolutnie mrzonki „pozał się Boże, lewicy partyjnej” (tego sformułowania użył na IX Plenum), nie mówiąc już o ludziach z dawnego PPS.

Nie było więc w wizji tej miejsca na ideę samorządów robotniczych. (na IX Plenum uznał Gomułka, iż grożą one uspołdzielczeniem przez robotników fabryk, a więc kapitalizmem), ani na samorzady terytorialne (zdjęty wraz z całym wrześnieowym numerem »Po prostu« 1957 — artykuł Kurowskiego w tej m. in. sprawie nazwano „kontrewolucyjnym”), ani na decentralizację kultury, ani na organizacje młodzieżowe, mieniące się wprawdzie „socjalistycznymi”, lecz nie dość wylewne w stosunku do partii, ani na wielość klubów i pism uprawiających względnie swobodne dyskusje.

Kiedy czyta się obecnie archiwalne protokoły zebrań BP i sekretariatu KC, różne służbowe „notatki” — donosy, a szczególnie akta cenzury, wydawać się może, że „ideę Października” mordowano nie tylko bezwzględnie, ale i tępo, małostkowo, ponad miarę zagrożeń. Jest to jednak mniemanie mylne. Gomułka dobrze wiedział (i okazywał w tym mądrość o wiele większą niż wszyscy rzeczywiści reformatorzy, powtarzający z uporem, iż „stoją na gruncie ustroju”), że ruch, który rozpoczął się mniej więcej półtora roku przed objęciem przezeń władzy, w ustroju tym pomieścić się nie może. I to nie tylko z „geopolitycznych” względów.

Skromne z pozoru i naturalne żądanie, by w kraju, kierowanym przez „klasę robotniczą” wpływ na życie i to tylko na terenie swego zakładu mieli sami robotnicy w istocie zawierało w sobie groźbę tego, iż za chwilę wpływać oni zechcą także na to, co się dzieje poza macierzystym zakładem. Podtrzymywanie innych — tak licznych przed Październikiem — inicjatyw społecznych doprowadzić mogło do przeświadczenia, że „kierownicza rola partii” jest fikcją lub uzurpacją. Masy mogłyby stwierdzić, że wcale partia nie musi im „mówić, co i jak robić, aby kształtować budownictwo socjalizmu” (Gomułka na IX Plenum). Nie grożący, jak to wyglądało, żadną ustrojową rewolucją postulat swobodnego zrzeszania się młodzieży, choćby tylko tej lewicowej za rok — dwa skończyłby się zapewne żądaniem przekształcenia organizacji w partię; już w grudniu 1956 w ulotce Związku Młodych Demokratów można było przeczytać, iż „uwazamy, że nie ma takiej partii, która miałaby monopol na teoretyczne

i praktyczne tworzenie sprawiedliwości społecznej”. I tak krok po kroku pojęcie „socjalizmu” poczęłoby oznaczać nie socjalizm „prawdziwy”, „słuszny”, lecz socjalizm „w ogóle”. Bardzo blisko tego był już wszak Kołakowski, kiedy mówił w lutym 1957: „uprawiane często przeciwstawianie demokracji socjalistycznej — demokracji burżuazyjnej jest szkodliwym nonsensem, ponieważ chodzi nie o likwidację osiągnięć demokracji burżuazyjnej, ale ich rozszerzenie przez system, który usunąłby z niej elementy fikcyjności wynikłe z nierówności społecznej”<sup>27</sup>. To po tym wystąpieniu Gomułka szkodliwość Kołakowskiego przyrównał do szkodliwości Kazimierza Mijala. Co gorsze, mogło by się okazać, iż istotnie, jak pisał w zdjętym przez cenzurę felietonie Kijowski, „chodzi nie o wytłumaczenie historii, ale o jej zmianę”<sup>28</sup>. W tym kierunku zmierzali wszak Jan Strzelecki (jego niedopuszczone do druku w 1957 *Zapiski* opatruje cenzor komentarzem „wszystkie mają jedno na celu, dowieść, że to co się dzieje w krajach socjalistycznych, Polsce i Związku Radzieckim [...] nie ma nic wspólnego z socjalizmem”<sup>29</sup>. Edward Lipiński, Zimand, Kołakowski, „rewizjonistyczni” publicyści.

\* \* \*

W zdjętym przez cenzurę w listopadzie 1956 tekście Kołakowskiego *Czym jest socjalizm?*, pisany dla »Po prostu«, na pytanie tytułowe odpowiadał autor wyjaśniająco: „socjalizm to naprawdę bardzo dobra rzecz”. Dwie szpalty druku zajęła wyliczanka, czym socjalizm nie jest (a więc m. in. „państwem, którego żołnierze pierwsi wstępują na ziemię innego kraju”, „państwem, które sądzi, że tylko ono może zbawić ludzkość”, „państwem, którego obywatel nie może przeczytać największych dzieł współczesnej literatury”<sup>30</sup> itd, itd.). Gomułka wiedział, że socjalizm, któremu służył musi być tym wszystkim właśnie. Wolno sądzić, że naprawdę, a nie tylko z konieczności, nie uznawał tego za ograniczenie

<sup>27</sup> »Życie Warszawy« nr 29/1956.

<sup>28</sup> AAN, zespół GUKPPiW, t. 485.

<sup>29</sup> J.w., t. 426.

<sup>30</sup> Z tego samego (47) numeru »Po prostu« zdjęto jeszcze m. in. *Ciemność w południe* Koestlera.

ani „zradę”. Czy została w ten sposób zaprzepaszczona szansa, jaką w oczach wielu stwarzał Październik?

Nie wydaje się, by tak czy owak była ona wówczas zbyt duża. Choć rzecz jasna nie trzeba jej było dodatkowo pomniejszać i to nie próbując nawet półśrodków. Wszak z szeregu ograniczeń, które tłumaczono później „geopolityką”, zdawali sobie sprawę także ci, których oskarżano o brak politycznego rozumu. Andrzej Kijowski pisał w roku 1956 (»Nowa Kultura« nr 48): „Nie zagraża nam władza, która mówi »jestem władzą«. Nie zagraża nam racja stanu, która mówi »jestem racją stanu«. Zagraża nam racja stanu, która mówi »jestem wolą mas«, a nie jest wolą mas. Zagraża nam racja stanu, która mówi »jestem ideą braterstwa pokoju.«” Podobnie myślał i Kołakowski, i publicyści »Po prostu«.

Ale jednym z nieodłącznych i niebagatelnych elementów systemu było wszak podawanie konieczności za dobrodziejstwa. O tym też Gomułka wiedział, kiedy 19 X 56 stawał znów po latach za partyjną mównicą.

[1992]



# Autorytecie wróć? czyli intelektualiści u władzy

Lutowy numer »Res Publici Nowej«<sup>1</sup> poświęcony został problemowi zdrady. Pojętej tyleż dosłownie, co nieco metaforycznie. Jest to numer wart lektury, także dzięki temu, że nie wydaje się tu ocen apodyktycznych, odwrotnie — już samo hasło wywoławcze zawiera „dwuznaczność”: *Dwuznaczność zdrady*. Co więcej autorzy i dyskutanci reprezentują różne sposoby myślenia i do różnych przyznają się ideowych tradycji, a mimo to nie miotają pod swym adresem obelg, nie wszczynają kłótni, po prostu wymieniają poglądy (i wątpliwości). Być może właśnie fakt, że owa — z pozoru naturalna — metoda wydaje się dziś tak egzotyczną, sprawia, że chciałoby się poszerzyć poruszane przez redakcję kwestie o jeden jeszcze temat, w zasadzie tu pominięty a wart obecnie szczególnej chyba uwagi. Idzie o coś, co można niezbyt precyzyjnie określić „zdradą klerków”. Rozumianą znacznie szerzej niż u Juliena Bandy, bo dotyczącą już nie tylko tego, co rozumieć można za odstępstwo od powinności — moralnych i intelektualnych — jakich od klerka się niegdyś wymagało, ale i tych przyczyn, które sprawiły, że samo pojęcie „klerkizmu” stało się dziś zapoznane, archaiczne i śmieszne. Nawet jeśli klerka zastąpić — nie całkiem adekwatnie — bardziej oswojonym intelektualistą.

W formule „zdrada klerków”, którą do niedawna posługiwano się w pismach wychodzących poza cenzurą dla określenia tych, co przystąpili do komunistycznego dworu, dziś mieszczą się już inne treści. Dość zresztą różnorodne. Można je w dodatku poszerzyć o „zdradę”, jakiej w stosunku do klerków dopuścili się inni — co z Bandą ma już niewiele wspólnego, ale za to z naszą rzeczywistością aż nadto wiele. Kiedy bowiem próbuje się określić sytuację intelektualistów w nareszcie wolnej Polsce, trzeba

---

<sup>1</sup> »Res Publica Nowa« nr 2/1995.

przyznać, że tyleż „zdradzili się” oni sami, co zostali „zdradzeni”: ci z „dworu” przez niespodziewany rozwój wydarzeń, ci z opozycji — przez tych, z którymi czuli szczególnie silny „ponadklasowy” związek.

\* \* \*

„Dziś słowo »imponderabilia« wyszło z użycia. Suwerenność, wolność, sprawiedliwość — przestały za nagłą być czymś jednoznacznym, czymś, co tworzy płaszczyznę wspólną. [...] Lub zasługują jedynie na wzruszenie ramion, skoro oznaczają równocześnie bezrobocie, niepewność i biedę” — pisze Teresa Bogucka w świetnym eseju *Hipokryzja wolnych*<sup>2</sup>, zwracając uwagę na społeczną dewaluację wartości kiedyś kwestionowanych tylko przez totalitarną władzę, a dziś głównie przez „lud rozżalony”, co w sposób zasadniczy zmienia sytuację dawnych obrońców tychże imponderabiliów. „Poczucie wyrażania duszy narodu rosło w miarę krzepnięcia opozycji i wreszcie zyskało dziesięciomilionowe potwierdzenie, a po dziewięciu latach pieczęć wyborców. A zaraz później ta więź między ludem a jego, powiedzmy, rzecznikiem zniknęła. A może była tylko złudzeniem? Może jej w ogóle nie było?”.

Niezwykle trudno odpowiedzieć na te pytania. Nikt przecież nie badał sprawy dogłębnie, a w pogmatwanej historii Polski znaleźć można dowody zarówno na potwierdzenie, jak zaprzeczenie tej tezy. Wbrew pozorom odpowiedź taka nie jest jednak konieczna. Niezależnie od tego, czy intelektualiści (inteligenci) polscy różnych historycznych epok przemawiali tak naprawdę tylko w imieniu swoim czy też nieokreślonej większości „narodu”, dla ich własnej kondycji ważne było przede wszystkim przesvědzenie, że nie są wyobcowaną, ale — wręcz przeciwnie — wiodącą częścią społeczeństwa. To w jego imię wyrzekali się nieraz swych naukowych czy artystycznych karier, by stanąć na czele powstań, spisków, „opozycji”. Co więcej — to właśnie poczucie poparcia większości oraz wpływu na jej zachowania, różniło setki rzeczywistych inteligenckich bohaterów od „klerków” Bandy, którzy winni odznaczać się przede wszystkim odwagą (ba, heroizmem!) przeciwstawiania się, w miarę potrzeby,

---

<sup>2</sup> »Dialog« nr 12/1994.



i społeczeństwu, i stadnemu myśleniu w imię własnej intelektualnej oraz etycznej niezależności.

Oczywiście, i tych ostatnich w Polsce nie brakowało, nie wyłączając czasów Peerelu. Ale popularniejszy był — co w naszych narodowych losach zrozumiałe — model „romantyczny”, wedle którego samotnictwo, nie intelektualistów jeszcze, lecz poetów, nie stało w sprzeczności z „rządem dusz”. Paradoksalnie, przekonanie, iż „rząd” ów można rzeczywiście sprawować utrzymało się w mocy nawet wtedy, gdy pochodzić on miał nie z boskiego, lecz — jak w latach stalinowskich — partyjnego nadania.

Stalinizm w Polsce nie trwał wprawdzie nazbyt długo, ale winien był nauczyć intelektualistów szczególnego sceptycyzmu wobec przemawiania „w imię” i „do” ludu, tymczasem nie zrezygnowali oni z psychicznego komfortu, jaki takie „przemawianie” mogło zapewnić. Tyle że przemawiano już (jeśli nie liczyć cyników) nie u boku, lecz wbrew władzy. „Z przyzwoleniem społecznym”, jak sądzono po doświadczeniach Października, chociaż ową wiarę na „przyzwolenie społeczne” powinien osłabić choćby rok 1968. Od momentu powstania KOR-u i drugiego obiegu pielęgnowanie owych złudzeń stało się zresztą łatwiejsze; dopiero szok z Tymińskim stanowił pewne otrzeźwienie, choć nie wyciągnięto z niego żadnych racjonalnych wniosków. Szok ów przyszedł zresztą po dziesięcioletniej „solidarnościowej” euforii, która objęła i stan wojenny.

Oczywiście złudzenia co do jedności interesów, doświadczeń, mądrości intelektualistów i ludu można oceniać z dzisiejszego punktu widzenia po prostu jako skrajną naiwność. Ale nie jest to ocena ani wyczerpująca ani sprawiedliwa. Gdyby spora część emigracyjnych i krajowych intelektualistów, zwanych tzw. „opozycją polityczną” nie wierzyła w społeczne poparcie, rzeczywistość peerelowska lat 1955–89 wyglądałaby z pewnością o wiele bardziej ponuro i kto wie, czy doszłoby w ogóle do robotniczego Sierpnia.

Nie kwestionowali tego przecież na początku nawet przywódcy z gdańskiej Stoczni. Podczas spotkania z Czesławem Miłoszem w roku 1981 sam Lech Wałęsa przyznał wielkodusznie: „Uczyłem się trochę na pańskich wzorach. Więcej ja chyba panu zawdzięczam. I chyba my wszyscy”<sup>3</sup>. Wiedział też jeszcze, iż sporo zawdzięcza także swym inteligenc-

---

<sup>3</sup> Ten i następane cytaty z obu spotkań za: »Puls« nr 48, styczeń–luty 1991.

kim doradcom. To dopiero w osiem lat później, już po przegranej komunistów, gdy znów przyszło mu stanąć naprzeciw autora *Traktatu moralnego* i *Zniewolonego umysłu* — „surowym tonem powiedział Miłoszowi, że rzeczywistość społeczna i polityczna poszła dziś w Polsce daleko, a kultura pozostała w tyle i powinna ją doganiać” — jak notował „jeden z obserwatorów”, dodając od siebie: „spojrzałem na zasępionego Miłosza i zapytałem siebie, skąd my to znamy. Dlaczego powraca ten koszmarny — zdawałoby się — prześniony sen, w którym przywódcy pouczali pisarzy i tłumaczyli im rzeczywistość, której jakoby ludzie kultury nie rozumieją, gdyż nie pracują w sztolniach i stoczniach”.

A był to jeszcze czas, gdy Wałęsa nie był przeciwny nie tylko współpracy z intelektualistami, ale nawet przejmowaniu przez nich władzy. Mówił wprawdzie, że premierowi Mazowieckiemu zdrowe siły społeczne winny patrzeć na ręce („od początku musimy stwarzać mu takie warunki, aby się nie mógł pokrzywić, aby nie mógł popełnić błędów i wypaczeń”), ale dodawał — może szczerze — iż „nie chce pełnić jakichś funkcji. Nie chcę być nawet przewodniczącym związku. I nie będę”.

Co było później, kiedy owemu „nie chcę” zaczęło towarzyszyć „ale muszę”, przypominać raczej nie trzeba. Bardzo szybko okazało się w każdym razie, iż jedynym prawdziwym sukcesem inteligenckiej opozycji było, iż umiała wspiąć się do władzy po plecach robotników.

Przybierająca coraz bardziej monstrualną postać próżność Wałęsy (wkrótce zapomni nawet o swych klasowych kolegach, ważny pozostanie tylko jeden genialny Elektryk) była zresztą w ogromnej mierze wynikiem wcześniejszej postawy intelektualistów, towarzyszących mu na początku — a i w środku — drogi. Niewątpliwe sukcesy i równie niewątpliwą związkową charyzmę związkowego przy-



wódcy, który jedyny tak naprawdę porozumieć się umiał z „masami”, uczyniono przedmiotem swoistego kultu. Kult prawie nigdy (może poza kultem niektórych świętych) nie przynosi dobrych rezultatów, choćby poprzez to, że wyklucza jakiegokolwiek krytyczne i własne widzenie. Kto jak kto, ale intelektualisci powinni o tym wiedzieć doskonale. Ale „kult”, szczególnie w odniesieniu do Wielkiego Robotnika, pozwala intelektualistom na zaspokojenie ich dwu istotnych potrzeb: rozładowuje pewne kompleksy (choćby kompleks inteligenckiego nieudacznictwa i rzekomej „gorszości”) oraz stwarza doskonałą okazję do działań mitotwórczych. Nic dziwnego, że Wałęsa stał się w ówczesnym piśmiennictwie wybitnych historyków literatury już nie tylko tym, kim był rzeczywiście: a więc niezwykle zręcznym i odważnym przewodniczącym Związku, który w dziejach powojennej Polski odegrał wielką rolę. Tego było, rzecz jasna, za mało, trzeba było przywoływać bliskie sercu większości intelektualistów literackie paralele: stawał się więc Wałęsa i „polską Antygoną”, i Konradem Wallenrodem, i Panem Wołodyjowskim. Kiedy więc odwrócił się plecami do swych apologetów, musieli oni przeżyć wstrząs podwójny. „Zdradzał” ich nie tylko współtowarzysz określonych działań, lecz wykreowany przez nich „narodowy symbol” — z robotnikiem (jakimkolwiek) nie mający jak widać wiele wspólnego. Bez wątpienia trudno odnaleźć się w sytuacji, w której opuszczają nas — wraz z konkretnym, żyjącym człowiekiem — i Antygoną, i pogromcą Krzyżaków, i Mały Rycerz.

Tak więc wzajemne rozstanie, które nastąpiło wprawdzie zbyt szybko, ale tak czy owak było nieuniknione, stanowiło rozczarowanie ponad miarę bolesne. Co prawda już niedługo potem zaczęto pisać trzeźwo, że „solidarnościowy” „sojusz inteligencko-robotniczy” był tworem sztucznym, pewną lokalną specjalnością, ale uraz pozostał. Bezkrytyczny zachwyt „mądrością” „ludu” czy „narodu”, który „zawsze ma rację” zastępować zaczęły lekceważenie i pogarda, równie źle wróżące jak to pierwsze. A w dodatku utrudniające znalezienie sobie odpowiedniego miejsca w świecie, który coraz mniej odpowiadał dawnym o nim wyobrażeniom.

Nie było to chyba jednak najniebezpieczniejsze. Konflikt Wałęsa — intelektualisci był (i takim do dziś pozostał) przede wszystkim konfliktem politycznych ambicji. U jego podstaw stała walka o władzę. I to nie żadna walka o władzę „robotniczą” lub „inteligencką”. U samych początków „wojny na górze” stał z pewnością urażony w swej narastającej manii

wielkości Wałęsa (rząd Mazowieckiego nazbyt szybko i gorliwie starał się wyzwolić od dawnej od niego zależności). Ale rozpętali tę wojnę inteligencji, którzy pozostali (nie na długo, jak się okazało) u jego boku. „Obóz gdański” przeciw „obozowi warszawskiemu”. A wkrótce i odwrotnie.

Trzeba ogromnej kultury politycznej i nie byle jakiego doświadczenia demokratycznego, aby walka o władzę — a bodaj o wpływy — była walką na (choćby naciągane) argumenty i programy a nie na pięści. Kiedy nie wiadomo jeszcze, jakie argumenty i programy można w ogóle na swą korzyść przywołać, najbezpieczniej jest bezpardonowo ośmieszać i poniżać przeciwnika. Nie jest istotne, że przy okazji dewaluuje się samego siebie.

Trzeba to powiedzieć otwarcie. Żadne z pogardliwych słów, jakie wypowiedział Wałęsa między rokiem 1989 a 1995 pod adresem „jajogłowych”, żadna z jego decyzji, wyrosłych z lekceważenia innego niż własny rozum, nie uczyniła intelektualistom (a szerzej — inteligencji) tyle szkody, ile to, czego dokonali i dokonują w tym zakresie sami. I to mocą gorzkiego paradoksu — właśnie w chwili, gdy nic już niby nie stało na przeszkodzie, by zabrać się za odbudowę swego nadwątlonego — przez różne wcześniejsze konieczności — autorytetu.

Zamiast tego zaczęto go z zapalem niszczyć, nawet wtedy, kiedy główne karty w politycznej grze zostały rozdane w ten sposób, że żaden z zainteresowanych nią intelektualistów nie odniósł zwycięstwa. Tym razem klęska i zagrożenie nie obudziły potrzeby wzajemnego wsparcia i jedności. Wprost przeciwnie. „Bojowy” nawyk okazał się tak silny, że



zniszczył wszystko, co do chwili obecnej nazywa się nostalgicznie „dawnym etosem”.

Oczywiście „etos” ten, tak czy owak nie mógł królować wiecznie. Zbyt wiele od początku było w nim utopii, bardzo trudno sprawdzającej się w normalnym życiu. Nie tylko dlatego (choć dla tego także), że, jak pisze Bogucka, istnieje pewna nieuchronna sprzeczność między sytuacją „więźnia, który głosi ideały na procesie i jest im wierny w celi, ale po wyjściu na wolność nie ma już do tego głowy, bo musi utrzymać żonę, dzieci, spłacić długi, kupić dom i w ogóle”. A pod tym „w ogóle” kryje się z pewnością i presja „rozżalonego ludu”.

Niebagatelną sprawą było i to, że ów „etos” łączył się niepodzielnie z przymiotnikiem „solidarnościowy”. A „solidarność” w oczach wielu znaczyła w gruncie rzeczy „tożsamość”: poglądów, ambicji, charakterów wszystkich, co się na nią powoływali. Każda (nie tylko „młoda, polska”) demokracja musiała złudzeniom tego typu przynieść kres. To tylko w świecie, który zakładał ostry podział „my” i „oni” — można było „czytając książki Zbigniewa Herberta, Leszka Kołakowskiego czy Czesława Miłosza” nie być świadomym „wszystkich dzielących ich różnic. Szukać raczej tego, co im wspólne: wyboru prawdy przeciw sile, odwagi nazywania rzeczy po imieniu”<sup>4</sup>.

Nieuniknione w nowej sytuacji „dostrzeżenie różnic” nie mogło zresztą nikomu przynieść szkody. Odwrotnie, same korzyści. Pod jednym wszakże warunkiem: zachowania szacunku dla tego, co jednak było wspólne, niezależnie od odmiennych „rodowodów”, ideowych sympatii i poglądów, które dopiero w „wolnej Polsce” można było wyartykułować, niezależnie od przynależności do tego czy innego (lub nieprzynależności do żadnego) Kościoła etc., etc. Nie było to przecież niemożliwe. Piękny przykład wzbicia się „ponad podziały” dał w latach siedemdziesiątych Bohdan Cywiński swoją książką *Rodowody niepokornych*. Książka, mimo iż „wyraźnie światopoglądowo ukierunkowana” „zachowuje zarazem bezstronność [...], ożywiona pragnieniem, aby zanim przyjdzie oceniać, zrozumieć wszystkie racje i argumenty strony przeciwnej”<sup>5</sup>. Niestety,

---

<sup>4</sup> A. Michnik, *Takie czasy...Rzecz o kompromisie*, Nowa, Warszawa 1986, s. 4.

<sup>5</sup> M. Szpakowska, *Dziedzictwo nasze i nie nasze*, »Twórczość« nr 12/1971.

*Rodowody niepokornych*, nie tak znów dawno uznane za książkę wybitną, wyszły po upadku PRL-u z mody.

Nie przez przypadek zginęły w cieniu *Hańby domowej* Trz nadla, która weszła nawet do kanonu lektur szkolnych. Nie dlatego tylko, że ta druga dotyczyła czasów nie tak, jak u Cywińskiego, odległych (choć odległość lat kilkudziesięciu może wydawać się nazbyt odległa tylko tym, co przywykli do postrzegania każdego zjawiska z doraźnej, politycznej właśnie, perspektywy). Raczej dlatego, że „obiektywizm” przestał być zaletą. A ogromna ilość intelektualistów jest zainteresowana raczej zohydzeniem niż nobilitacją przeszłości; szczególnie tych, co myślą inaczej. Ale na zohydzeniu cudzej przeszłości cierpi nie tylko przeciwnik. W pamięci ludzi nie wprowadzonych w przeróżne wewnętrzne, inteligentne podziały, źli stają się wszyscy.

Gdyby zaś odtwarzać losy i postawy polskich intelektualistów (inteligentów) oraz rolę, jaką odegrali oni — szczególnie w powojennej Polsce — na podstawie tego, co wypisuje się na ich temat, przede wszystkim — co nie znaczy wyłącznie — w tzw. prasie pravicowej, okazałoby się, że nie ma w nich nic, co wzbudzić by mogło czyjąkolwiek przychylność, nie mówiąc już o jakichkolwiek „wartościach”. Nie na darmo nad publicystyką tą unosi się raczej duch *Traktatu o gnidach* Wierzbickiego niż *Z dziejów honoru* Michnika; o tych, co — na przekór wszystkim — zachowali wierność sobie, ocalając przed zniewoleniem ogromne obszary nauki i kultury, na ogół w ogóle się nie pamięta. Tych, co zaangażowali się czynnie w walkę z reżymem po prostu się zohydza, oczywiście, gdy nie znaleźli się dziś pośród „naszych”. Pluralizm i tolerancja, tak pięknie brzmiące, póki nie wyszły poza sferę postulatów, nie sprawdziły się w praktyce. Na placu boju pozostały albo „późne wnuki Lenina”, pozbawieni moralności i patriotycznych uczuć „liberałowie” oraz „salonowe kliki” albo „ksenofobiczny Ciemnogród”. Nie potrzeba już pezetperowskich aparatczyków, aby niszczyć „legendę” Miłosza — robi to Herbert. Kołakowskiego kompromituje nie Komisja Kontroli Partyjnej KC, lecz jego niedawni redakcyjni koledzy z krakowskiego pisma. Po drugiej stronie — Herbert przypominany jest już nie tyle jako autor *Pana Cogito* i *Potęgi smaku*, co zacierzawionych felietonów z »Tygodnika Solidarność«, a Piotr Wierzbicki nie jako dawny świetny felietonista »Tygodnika Powszechnego«, lecz fanatyk z »Gazety Polskiej«, która realizuje to wszystko, od czego jej redaktor naczelny odżegnywał się jeszcze i w

swych — też przecież bardzo tendencyjnych — *Myślach staroświeckiego Polaka*, i późniejszych felietonach, wymierzonych w „jajogłowych” z »Tygodnika Solidarność«, tuż po przejęciu tam władzy przez Jarosława Kaczyńskiego.

Co najdziwniejsze (bo nie da się już tłumaczyć żadną polityczną walką) ogromna pasja, jaką wkłada się w „obnażanie” rzekomych (ponoć) autorytetów z przeciwnego „obożu”, zawodzi całkowicie, gdy idzie o budowanie autorytetów własnych. Kiedy Andrzej Friszke wydaje niezwykle interesującą (co nie znaczy niekontrowersyjną) i pionierską książkę o opozycji politycznej w powojennej Polsce, wytacza się przeciw niemu najpoważniejsze działa, zarzucając — bez powodu — stronicze spisywanie dziejów jednego salonu, licząc skrupulatnie, ile stron poświęcono KOR-owi, a ile prawicy, stawiając (utajone) pytanie, czemu miast zajmować się losami jakichś niepoważnych „elit” nie spisał autor dziejów Kościoła w Peerelu (co zresztą uczynił niemal w tym samym czasie kto inny). A »Tygodnik Solidarność« ocenił książkę z odrazą jako dowód, że „zniesienie cenzury nie załatwia wszystkiego [...], nadal podlegamy indoktrynacji, uprawianej przez potężne, bo bogate i powiązane z władzą lobby, które dopiero co odzyskałą historię Polski, chce zawłaszczyć dla siebie”. Jeśli nawet przyjąć z powagą podejrzenie, iż urodzony w roku 1956 Andrzej Friszke, wieloletni współpracownik »Przeglądu Powszechnego«, »Więzi« (a niegdyś i »Tygodnika Solidarność«) powiązany jest z prokomunistyczną i antykościelną nomenklaturą, pozostaje pytanie, czemu to redaktorzy »Tygodnika...« miast oburzać się na „zawłaszczanie historii przez...”, sami nie pofatygują się do bibliotek i archiwów, by, po wieloletnich studiach, napisać historię Polski, ich zdaniem uczciwą i prawdziwą. Wolno wszak wątpić, by powędrowali za to do więzienia lub chociażby stracili swe posady. Ale tak naprawdę nie chodzi przecież ani o „uczciwość” ani „prawdę”. Aby podjąć wysiłek „odklamania” czegokolwiek i zaprezentowania jakichś własnych wartości i autorytetów trzeba wszak charakteru i umiejętności znacznie większych niż te, które przydają się w zręcznym produkowaniu inwektyw.

Jest rzeczą pewną, że skłócona — w sposób jak nigdy chyba małostkowy — inteligencja, przynajmniej ta — do niedawna — „humanistyczna” i „twórcza” nie umie, poza nielicznymi wyjątkami, odnaleźć w nowej rzeczywistości względnie prestiżowego miejsca. Nie tylko zgodziła się bez oporu (na który umiała zdobyć się wobec komunistów) na swą inte-

lektualną, moralną a i — materialną — degradację, ale — jak już pisałam — bardzo w niej dopomogła rysując „portret własny” równie przygnębiający jak obraz politycznych (inteligentkich, robotniczych i chłopskich) elit.

A w malowaniu owego portretu mają swój udział nie tylko ci, co intelektualną uczciwość zamienili na partyjne politykierstwo, ale i ci, co poddali się przez zaniechanie. Jakby uwierzyli, że w rzeczywistości, która odebrała im status „duchowego przywódcy”, stały się nieważne wszelkie obowiązki, jakie łączono niegdyś z inteligentką powinnością „budzenia sumień”, „rozdrapywania ran”, etc. To prawda, że sformułowane w niedzisiejszej już poetyce, mogą one pobrzmiwać li tylko patosem i megalomanią. Ale przecież miast dewaluacji, warto nazwać je po prostu prościej i określić bardziej konkretnie. Kto wie, czy nie okazałoby się wówczas, że czas intelektualistów wcale nie przeminął. Że istnieje szansa na to, aby wielu z nich kojarzyło się z pojęciem „autorytetu”, o którego potrzebie tyle się wciąż pisze, choć tak naprawdę nie cieszy się on dziś estymą nie tylko w III Rzeczypospolitej.

Tyle, że ten „autorytet” odzyskać mógłby dziś zapewne raczej dawny klerk, nawet mówiący rzeczy niepopularne, niż dawny „opozycjonista”, którego szlachetne apele przyjmuje się jak „mowę-trawę”. Zresztą między klerkiem a opozycjonistą nie musi być różnicy. W ogromnie wielu opozycjonistach — tkwi klerk, tyle że zepchnięty jakby na plan dalszy przez różne polityczne burze. Należy go po prostu rozbudzić. Jest na to ostatnia pora.

W czasie grudniowej sesji<sup>6</sup>, na spotkaniu zorganizowanym przez przyjaciół Jana Józefa Lipskiego ksiądz Leon Kantorski zadał niezwykle istotne pytanie o to, czemu tak mało dba się w obecnej Polsce o podtrzymywanie pamięci o ludziach szlachetnych i niezwykłych. Było to pytanie szczególnie dramatyczne, bowiem właśnie owa sesja, na której mówiono skądinąd niezmiernie ciepło o niezwykłym i szlachetnym człowieku, ujawniła, jak bardzo szybko postępuje proces swoistej „partyjnej” degradacji intelektualistów. Kiedy bowiem w roku 1991 żegnano Jana Józefa Lipskiego na Powązkowskim cmentarzu, nad jego grobem spotkali się

---

<sup>6</sup> Symposium poświęcone Janowi Józefowi Lipskiemu odbyło się 10 grudnia 1994 w Sali Lustrzanej Pałacu Staszica w Warszawie.



ludzie różnych orientacji, toczący niekiedy ze sobą bardzo już ostre polityczne walki. W obliczu owej śmierci straciły one jakby swoją ważność; wydały się tym — czym były w istocie — rzeczą małą i drugorzędną. W trzy lata później okazały się decydującymi; do IBL-u nie przybył nikt (lub prawie nikt) z ludzi, łączonych publicznie z prawicą. Nie jest ważne, czy nie zostali zaproszeni, czy po prostu zlekceważyli uroczystość. Ważny był symboliczny wymiar obu wydarzeń. Niemniej — a może o wiele bardziej — porażający i gorzki niż ten, który przypisać można było spotkaniu dwu, wspomnianych na początku Noblistów. Nie wydaje się rzeczą roztrofną lekceważenie tego faktu.

[1995]



# Umysł zniewalany

Minął już dawno czas „ukąszeń heglowskich”, „Ketmanów” i „Murti-Bingów”. Można wątpić, czy ktokolwiek dziś czyta *Zniewolony umysł* Miłosza — a jeśli, to z pewnością nie czerpie z niego żadnych nauk przydatnych w dniu dzisiejszym. A jednak samo zjawisko istnieje — cóż z tego, że w zupełnie odmiennej niż dawna formie.

Paradoksalnie, z całą ostrością uświadamiają tę prawdę dwa historyczno-krytyczne dzieła; paradoksalnie, bo — choć oba przywołują pojęcie „zniewolenia” — pojmują je wyłącznie w sensie historycznym. Udowadniając zarazem przez swój specyficzny styl i sposób myślenia, że historia ta ma, niestety, swe kontynuacje.

Idzie o noszące datę świeżą, ledwie ubiegłoroczną, teksty Wiesława Pawła Szymańskiego i Kazimierza Brauna<sup>1</sup>, o charakterze z pozoru odmiennym. W stosunku do pierwszego słowo „tekst” zresztą nie pasuje; idzie bowiem o książkę, zbierającą w całość szkice autora publikowane wcześniej w »Arce«, a wydane obecnie pod sugestywnym tytułem *Uroki dworu (rzecz o zniewalaniu)*. Drugi odwrotnie — wydrukowany został jako szkic samoistny, choć stanowi rozdział dużej syntezy, która ukaże się zapewne niebawem jako *Teatr Polski zniewolonej (1939–1989)*.

*Uroki dworu* dotyczą literatury, a charakter książki określony jest skromnie choć dobitnie: „tak naprawdę nie piszę o twórczości Dąbrowskiej, Nowaka czy Przybosa. Piszę jedynie o elementach ich osobowości (twórczo-psychologicznej), które były podatne na zniewalanie”. Są to więc rozważania z pogranicza socjo — i psychopatologii. Książka Brauna — jako swoisty podręcznik dziejów teatru pięćdziesięciolecia — siłą rzeczy koncentrować musi się na twórczości i to twórczości nie tylko

---

<sup>1</sup> W. P. Szymański *Uroki dworu (Rzecz o zniewalaniu)*, Wydawnictwo Arka, Kraków 1993; K. Braun *Apogeuum stalinizmu w teatrze (1949–55)*, »Zeszyty Historyczne« (Paryż) nr 104, 1993.

artystów na zniewalanie podatnych, ale i tych — nielicznych — co mu się oparli.

Autorów łączy jednak wiele. Przede wszystkim obydwaj są profesorami uniwersytetów; jeden krajowego, lecz o zasłużonej renomie, drugi skromniejszego, ale za to aż w Buffalo. Obydwaj, choć są pedagogami, a więc osobami, które przywiązywać winny szczególną wagę do maksymalnej bezstronności opinii — lubią sądy apodyktyczne, mimo iż oparte na dość wątpliwym materiale dowodowym. Obydwaj wreszcie — ufni w niepodważalność własnych zasad etycznych — za nic sobie mają wszelki kontekst historyczny, zapominając o tym, że nawet ci, co strzegą nie-naruszalności zasad dekalogu i to tak ważnych, jak przykazanie „nie zabijaj”, inne stosują w tym względzie miary wobec walczącego na froncie żołnierza niż bandyty z czasów pokoju.

Szymański wybiera za bohaterów swych prokuratorskich esejów pisarzy, którzy choć dawali się uwodzić urokom komunistycznego dworu, nie należeli do gatunku czysto dyspozycyjnych. Nawet w przypadku Gałczyńskiego, o którym mowa w szkicu ostatnim, poświęconemu »Przekrojowi«, ten przymiotnik nie jest wszak na miejscu. Zawyża poprzeczkę nie przez przypadek. Kompromitowanie byle kogo to zajęcie dla żurnalistów, nie historyków literatury. Zresztą szkice mają mówić o zniewalaniu, a nie — jak u Brauna — o zniewoleniu. „Rzecz zniewolona (umysł zniewolony) jest produktem gotowym. Zniewalanie [...] jest procesem płynnym”; może on w ogóle nie zostać zakończony lub się cofnąć, jak w przypadku Tadeusza Nowaka, gdy wystąpił po 13 grudnia z partii („Tadeuszowi pozostało teraz właściwie jedno, a tu miał kolejne szczęście. Przyglądać się, jak z miesiąca na miesiąc wyrasta tuż przed jego oknami wspinały kościół. Myślę, że wiele dawał na jego budowę. W każdym razie zaprzyjaźnił się z budującym ten kościół proboszczem”).

W istocie jednak owa różnica jednej samogłoski, różniąca „proces gotowy” od „płynnego”, tak z pozoru istotna, nie ma dla meritum sprawy wielkiego znaczenia. Szymańskiemu nie idzie bowiem o śledzenie czegoś, co się staje i to staje się pośród różnych komplikacji, lecz o udowodnienie przyjętych z góry tez. Najdrastyczniej demonstruje to szkic o Dąbrowskiej — może dlatego, że sytuację ułatwia tu dziennik, a może z tej przyczyny, że w przeciwieństwie do Nowaka jest ona dla autora osobą całkowicie obcą. Co nie znaczy, aby esej-wspomnienie o Nowaku wolny był od insynuacji, rzucanych jednak jakby mimochodem, z obłudną nieco

troską, by cesarzowi oddane zostało co cesarskie: „Ten sukces wydawniczy [...] był, oczywiście, sukcesem Tadziowego arcyzmu i talentu [...] nikomu z nas nie przyszło nawet do głowy, żeby Tadeuszowi zazdrościć. Tak samo jak nam nie przyszło do głowy chyba [podkr. MF] i Tadziowi także, że sukces ten jest mimo wszystko zdalnie i bardzo świadomie kierowany. [...] Ci, którzy sięgnęli po władzę tuż po wojnie, synowie chłopscy, kiedy po ćwierćwieczu znoonej pracy (w aparacie partyjnym, w aparacie bezpieczeństwa przede wszystkim) zaczynają powoli przechodzić na emeryturę, znaleźli swojego piewę, epika czy barda”.

Z Nowakiem rzecz jednak odbywa się w rękawiczkach oraz ze świadomością, iż ma się do czynienia z artystą, choćby artystą z dała sterywanym. Metoda jest tu dość subtelna a rzecz nadaje się jeszcze do jakichś polemik. Wspomniany szkic o Dąbrowskiej jest po prostu efektem manipulacji, czasem naiwnej, najczęściej po prostu cynicznej.

Za najcyniczniejsze uznać trzeba preparowanie cytatów. Kiedy tylko dziennik Dąbrowskiej potrzebny jest Szymańskiemu do udowodnienia jakiejś tezy, np. o jej rozwiązłości erotycznej („skończył się dla mnie okres, w którym małżeństwo było dla mnie najbardziej zasadniczą formą życia, było życia wykładnikiem, barwą nadającą koloryt innym rzeczom [...]. Myśl moja przerosła tę formę ludzkiego pożycia, odnajduje sens współżycia właściwego w tysiącu innych stosunków”) lub zaakceptowaniu „nowej wiary”, wkracza w jej teksty z bezwzględnością i wprawą, której nie powstydziliby się żaden z peerelowskich cenzorów, choć ten nie zawsze rzecz jasna skreślałby dokładnie to samo, co Szymański. Podobnie jak ogromna ilość marksistowskich (o zgrozo!) krytyków przyznałaby zapewne bez oporów, że ma w Szymańskim swego wprawnego — choć ideologicznie *à rebours* — kontynuatora, jeśli idzie o wyrywanie rzeczy, pisanych przez osoby im niemiłe, z należącego im kontekstu oraz interpretacje dosadne a stojące w sprzeczności z intencją oskarżonego.

Bardzo bliski dawnym, modelowym pod względem światopoglądowym, praktykom jest tu też swoisty system kojarzeń, dzięki któremu z pewnych faktów (niekiedy zresztą skłamanych) i poglądów (często przeznaczonych lub nazywanych w sposób całkowicie dowolny) można wyciągać wygodne dla siebie pewniki-wnioski. Tak więc jak niegdyś pochodzenie np. ziemiańskie określało automatycznie czyjąś „reakcyjność”, katolicyzm — skrajny konserwatyzm, a „europejskość” — agaturę imperialistyczną lub wrogi komunizmowi „kosmopolityzm” (to ostat-

nie pojęcie nie straciło i w III RP nic na pejoratywnym znaczeniu), tak i u Szymańskiego jedna konstatacja pociąga za sobą natychmiast drugą. „Nieuporządkowane życie erotyczne”, czyli trzech wyliczonych z nazwiska kochanków Dąbrowskiej i brak ślubu ze Stanisławem Stempowskim lub przekonanie: „Nie, nie mam zmysłu historycznego. Pochodzę z warstwy ahistorycznej, z bezimiennych chłopów” (Przyboś *Zapiski bez daty*, 1970) prowadzić muszą nieuchronnie do komunizmu. Komunizm (a i szerzej — wszelka „lewicowość”) oznacza z kolei zawsze nieuporządkowane życie erotyczne i „oderwanie się od korzeni”, jeśli komunista nagle sobie o owych korzeniach przypomni, to tylko wtedy, gdy potrzebne mu to, aby się „uszlachetnić”, uhistorycznić poprzez kreowaną przez kogoś (jak w wypadku Nowaka) legendę.

Każdy „liberalizm” (czy to dawny, czy to współczesny — tego ostatniego zdaje się Szymański nienawidzić ze specjalną mocą) łączy się z pogardą dla wartości „wyższych”, po cóż zawracać sobie nimi głowę, skoro można żyć niemoralnie. Jeśli ktoś jest masonem, to z pewnością zaciekle antyklerykałem etc., etc., aż wstyd ciągnąć tę listę. W dodatku nie przychodzi Szymańskiemu w ogóle do głowy, że ani fascynacja socjalizmem, ani krytyczne sądy np. o emigracji wcale nie muszą być dowodem na „zniewolenie umysłu”, na komunistyczną propagandę. Tak jak nie przychodzi mu do głowy, iż wykorzystywanie opinii z prywatnego dziennika (opublikowano go wszak po śmierci pisarki w całkiem innych — mimo wszystko — niż stalinizm warunkach) po to, by czynić z nich kontrargument przeciw czemuś, co zostało ogłoszone, jest prostą nieuczciwością; jednym z najdrastyczniejszych jej przejawów jest przeciwstawienie słynnemu artykułowi Dąbrowskiej o Conradzie jej krótkiego późniejszego zapisku po to, by zdewaluować wagę i szczerść tego pierwszego.

Wystawiając pisarzom swe cenzurki, stale podkreśla Szymański na jak wiele się naraża. W opinii „salonu warszawskiego” oczywiście, owych europejskich intelektualistów, w Polsce (legion ich), którzy z rozkoszą zamkną go „w opłotkach najbardziej okrutnego Ciemnogrodu”.

Myli się zresztą tylko częściowo. Bowiem naprawdę sytuuje się obok niego bardzo blisko. Nie dlatego, że — jak pisze — symbolem Ciemnogrodu są dziś wszystkie tradycyjne wartości: rodzina, honor, Kościół. Nikt poza fanatycznymi demagogami nie może uważać za symbol „Ciemnogrodu” kogoś tylko dlatego, że jest on praktykującym katolikiem, patriotą

i niewiarołomnym małżonkiem. Ale na pewno wyznacznikiem „Ciemnogrodu” (jeśli już w ogóle upierać się przy tym pojęciu) jest pogarda dla każdego innego niż własny światopoglądu, pogarda połączona z bezbrzeżną pychą, która pozwala autorowi na ironiczny dystans wobec lewicowych „duchowych ojców” Dąbrowskiej („Krzywickiego, Abramowskiego, Brzozowskiego”), na podważanie autorytetu Stanisława Stempowskiego (a i Jerzego także), na pełne tajonej nienawiści kpinki z Kołakowskiego. Jest symbolem „Ciemnogrodu” liczenie komuś kochanków (w długim życiu Dąbrowskiej było ich zresztą niewielu), utożsamianie liberalizmu z niemoralnością, nie mówiąc już o sympatii dla „ludowej mądrości”, głoszącej, iż „antyklerykałami są przede wszystkim Żydzi i masoni”.

A poglądy rodem z „Ciemnogrodu” pożenione z jawnie złą wolą, pomówieniami oraz diagnozami, formułowanymi w oparciu o zafalszowany materiał nie stanowią z pewnością najlepszej rekomendacji przy odkłamywaniu przeszłości.

Kazimierz Braun wprawdzie meandrami życia intymnego swych bohaterów się nie zajmuje, porzekadeł ludowych nie cytuje i nie zajmuje się dociekaniem, czy wpływ na łatwe uleganie „urokom komunistycznego dworu” ma narcyzm, rozwiązłość czy klasowe wyobcowanie, ale i tak z Szymańskim łączy go wiele.

Jest więc równie jak tamten kategoryczny w porządkowaniu ludzkich biografii i świata. A owa kategoryczność i w tym wypadku nasuwa pamięć o nie najlepszych peerelowskich doświadczeniach. Nie dokonuje wprawdzie przewodów myślowych typu: jeśli x to y, ale i on podtrzymuje tradycję znaną raczej z „marksistowskich” podręczników, które tak bardzo dbały, aby to, co „postępowe” oddzielić od tego, co „reakcyjne”, w których autor „schyłkowej epoki imperializmu” bądź też kontrewolucjonista Wyspiański nie mogli się zetknąć z Mickiewiczem — tym od *Ballad i romansów* oczywiście. Podtytuły rozprawy Brauna każdego wsadzają bezapelacyjnie do właściwej mu szuflady: z jednej strony *Książęta Niezłomni: Horzyca i Wierciński, Enklawy małżeństwa Byrskich*, Kotlarczyk, z drugiej — *Komunistyczna kariera antykomunisty* (to o Korzeniewskim) i *Wschodzące gwiazdy komunizmu* (od Zamkow po Dejmka). Tylko rozdział *Dramat Leona Schillera* w innej nazwany jest poetyce, co o tyle mylące, że o żadnym „dramacie” nie ma tu mowy: jest tylko szczegółowo od roku 1946 wyliczona kariera politruka.

Podobnie bowiem jak Szymański, operuje Braun faktami w sposób całkowicie selektywny. Należy Dąbrowskiej i Przybosiowi wyliczyć wszystkie ich komunistyczne przewiny, wygodniej jednak przemilczeć te elementy ich biografii, w których nie tylko dworowi uwieść się nie dawali, ale nawet stawiali mu opór. Podobnie z Schillerem. O ile u Horzycy liczą się tylko jego dzieła i intencje, o tyle u Schillera tylko to, co paskudne w politycznej karierze; a i w dziedzinie dokonań milczy się tu o *Burzy*, *Celestynie* czy *Drdzie*, przestrzegając w tym względzie bardzo rygorystycznie wyznaczonych dla stalinizmu ram czasowych, o czym w wypadku „książąt niezłomnych” się zapomina. A nawet więcej: o ile wyraźnie się podkreśla, iż Horzyca nie mógł po wojnie zrealizować wielu swych repertuarowych i inscenizatorskich marzeń, o tyle sugeruje się, iż Schiller (podobnie zresztą jak Korzeniewski w funkcji dyrektora Narodowego) wyrzekli się ich bez przykrości, a nawet z własnej woli. Jak u Szymańskiego fałsz zaczyna urastać poczyna do rangi prawdy. Nie może wszak Braun nie wiedzieć, iż Schiller (owszem, często w stosunku do partii zawstydzająco czolobitny) do ostatniej chwili ludził się, iż grać będzie mu wolno głównie wielkich polskich romantyków; że słał w tej sprawie niewyobrażalnie naiwne memoriały i przed, i po objęciu dyrekcji w Polskim, a więc w sezonie 1949/50 — w samym zenicie stalinizmu. A jeśli wie, bo wiedzieć musi, to jak może sugerować, iż artysta ten „kontentował się omawianiem swych projektów w gronie najbliższych współpracowników”, okazując równocześnie wielkie zaangażowanie w dzieło wprowadzenia na sceny polskie „realizmu socjalistycznego i repertuaru sowieckiego”.

Nie idzie zresztą tylko o Schillera oraz o wiele innych przeinaczeń, chodzi tu o osobliwe kryterium ważności, które każe mówić o znaczeniu w tych akurat latach „enklawy Byrskich”, o pomijaniu kompletnym np. Dąbrowskiego czy Axera; ten ostatni opuszczony został z tego pewnie powodu, iż nie mieścił się ani w kategoriach „książąt niezłomnych” ani „gwiazd komunizmu”.

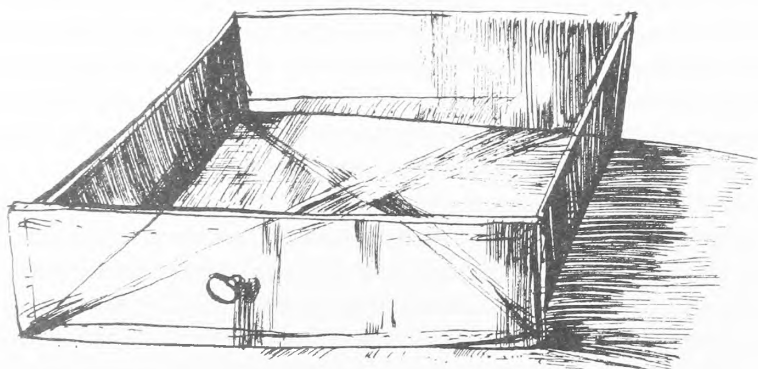
Podobnie jak u Szymańskiego roi się tu od stwierdzeń efektownych, lecz nieprawdziwych. Szymański oskarżał lekko »Wiadomości Literackie« o sympatie proradzieckie, a »Przekrój« rozszyfrował jako „bank Eilego i spółki”, ułatwiający (dzięki pieniądзом płynącym z góry) kupowanie literatów. Braun lekką ręką pisze o Schillerze — socrealiście z zamiłowania, odejście Korzeniewskiego (skądinąd pełnego grzechów) z Naro-



dowego określa jako „jedną z wczesnych oznak kruszenia się stalinizmu”, Zamkow oskarża o próby uczynienia z Teatru Wybrzeże przyczółka socrealizmu, co szczęśliwie się nie udało wyłącznie dzięki temu, iż „teatr pod jej kierownictwem popadł w tarapaty” i reżyserka ratować się musiała pośpieszną ucieczką. Itd., itd.

Prawie połowa sądów zawartych zarówno w *Uroках dworu* jak *Apo-geum stalinizmu* domaga się nie tylko polemik, ile po prostu zwyczajnych sprostowań.

A dochodzi do tego w obu książkach jeszcze niezwykle osobliwa perspektywa historyczna w ocenie zjawisk. Wszystko wartościowane jest tu wedle późniejszych doświadczeń (stąd np. stwierdzenie z roku 1945, iż „dużo jest w kraju do roboty”, wziąć można za ochoczy akces do komunizmu) i jeszcze późniejszych wzorców zachowań. A więc wedle ukształtowanego tak naprawdę dopiero po 13 grudnia kodeksu moralnego, który nie zezwalał na uczestnictwo w tym, co nazywano „czerwonym opłatkim” i kazał odrzucać z niesmakiem państwowe nagrody. Ów ahistoryzm wynikły z demonstrowanego efektownie antykomunizmu autorów pozwala im nie tylko na niezwracanie uwagi na liczne komplikacje społecznego i indywidualnego życia, ale i na podawanie swych dzisiejszych, subiektywnych interpretacji pewnych faktów jako opinii ogółu i to opinii obowiązujących rzekomo przed laty. Szymański nie wspomina nawet, jaką przyjemność wielu ówczesnym inteligentom sprawiało czytanie w



szufłada

»Przekroju« *Zielonej Gęsi* Gałczyńskiego, której nie odbierano wcale jako jeszcze jednego dowodu na przewrotność „mechanizmów zniewalania”. Braun przekonuje, iż fortele reżyserów i dyrektorów, dzięki którym udawało się w latach dogmatycznego socrealizmu wstawiać w plan repertuarowy raczej Czechowa czy Ostrowskiego niż radzieckie i polskie produkcyjniaki były bez znaczenia, a nawet więcej, były realizowaniem nikczemnego planu wynaradawiania. Bowiem „choć wśród sztuk rosyjskich znajdowały się arcydzieła, to w owym czasie służyły sowietyzacji Polski, nie inaczej niż sztuki powstałe pod władzą radziecką [...] i tak odbierała ich granie publiczność”.

Aż strasznie się robi, gdy pomyśleć, że wszystko to wyszło spod piór ludzi, nie tylko uczonych, ale i kształtujących (bezpośrednio!) poglądy tych, dla których Peerel jest już tylko legendą.

A przecież ani Szymański, ani Braun nie są w owym procesie edukacji osamotnieni. Odwrotnie: mają rzesze o wiele bardziej wpływowych sprzymierzeńców, chociażby w mass-mediach. Programy TV poświęcone choćby Boyowi i Iwaszkiewiczowi, różne — tak dziś modne — rozmowy o literaturze ostatniego półwiecza etc., etc. sprawiają, że historia kultury — nie tylko zresztą powojennej — zamienia się w historię ludzkich małości, kolaboracji, politycznych i seksualnych zbrodni. Twórczość jest dla nich jedynie trzeciorzędnym, a właściwie zbędnym dodatkiem.

Na efekty tak pojętego nauczania nie trzeba długo czekać. O ile kształtujący taki właśnie obraz dojrzały już historycy i publicyści starają się przynajmniej oddzielić twórców od ich dzieł, ich wychowankowie nie mają podobnych oporów. Nawet Jacek Trznadel, pogromca Boya, nie twierdzi wszak, że nie znał on właściwie francuskiego; Jan Prokop, oskarżający przedwojenne pismo Giedroycia o to, iż stało się wylęgarnią lewicowych liberalistów, nie pisze, iż w piśmie tym ogłaszały swe teksty same miernoty; podobnie Szymański nie nazywa swych bohaterów grafomanami, Braun nie odmawia Schillerowi reżyserskiego talentu.

Ale dla Rafała Ziemkiewicza, „młodego felietonisty” i to felietonisty nie podrzędnej radiostacji a „Wolnej Europy”, nie ma już żadnych świętości. Dzieląc się ze słuchaczami swą „irytacją” z powodu jubileuszowej fety ku czci Iwaszkiewicza, kwestionuje jej celowość nie tylko ze względu na to, iż autor *Zarudzia* był „konformistą”, ale i dlatego, że był „powiedzmy sobie szczerze” miernym poetą a jeszcze gorszym prozaikiem. A jest to przykład pierwszy z brzegu.

Jest przy tym oczywiste, że zabiegów ukazujących w pisarzu przede wszystkim „komucha” najłatwiej dokonywać na nieżyjących. Żyjący dbają bowiem o korekty swych życiorysów sami, co zręcznie i przekonywająco pokazuje choćby opublikowany niedawno w »Polityce«, felieton Ludwika Stommy, który zadał sobie niewdzięczny (bo któż się tym przejmie) trud porównania kilkunastu biogramów z dwóch wydań (1984 i 1993) popularnego — a więc kształtującego powszechną świadomość — *Kto jest kim w Polsce*.

Z drugiej zaś strony w roli sprawiedliwych świadków owej „zniewalanej” czy też tylko „zniewolonej” przeszłości obsadza się w TV z wielką ochotą np. Włodzimierza Sokorskiego czy Zygmunta Broniarka, których występy są po prostu wielką pochwałą cynizmu.

Choć być może jest to postępowanie logiczne. A w każdym razie dobrze służące osiągnięciu tego punktu, do którego doszła już dość dawno polityka. Skoro wszystko jest tyle samo warte czyli warte niewiele, po cóż poddawać to, co było naprawdę rzetelnym rewizjom?

[1994]



# Inkwizytor i jego ofiary

Aby obwieścić światu, że nie należy ufać intelektualistom — bo są niemoralni, brzydzy, chorowici (a ich choroby zazwyczaj odrażające), w dodatku zaś mniej mają w sferze umysłowej do zaoferowania światu od „tuzina osób, zatrzymanych przypadkowo na ulicy”, aby więc to obwieścić, nie trzeba pisać książki. W dodatku grubej.

O „intelektualistach” można mieć sąd rozmaity, także nad wyraz nieprzychylny; jest to rzecz nie tylko przekonań, ale i indywidualnych doświadczeń. Intelektualistów cechuje na ogół egocentryzm, graniczący niekiedy z pychą, upodobanie do pouczenia innych oraz skłonność do tworzenia teorii (lub np. poetyckich wizji), które często źle się sprawdzają w życiu albo nie sprawdzają się wcale. Intelektualiści (podobnie jak nieintelektualiści) — miewają romanse, z których wychodzą bez godności, dręczą żony, nie zawsze oddają długi i wbrew głoszonym poglądom bywają konformistami. Rzadko też przypominają Apolla czy „Dyskobola” Myrona.

Jeśli więc ktoś nie lubi intelektualistów i to nawet wszystkich bez wyjątku (choć bywają przecież wśród nich i ludzie przystojni, zdrowi i zacni) — trudno odmówić mu tego prawa. A nawet wyrażać z tego powodu zdziwienie. Nieporozumienie zaczyna się dopiero wtedy, kiedy ów „ktoś” stara się swą awersję uzasadniać „naukowo”.

Paul Johnson, angielski konserwatysta w wieku upoważniającym do ugruntowanych już opinii, autor znanych i u nas syntez (*Historia polityczna świata, Historia Żydów, Historia chrześcijaństwa*) podjął się tego właśnie zadania. Skrupulatnie (choć nad wyraz selektywnie i jednostronnie) prześledził biografie 13 „intelektualistów” (głównie zresztą pisarzy), a mniej szczegółowo jeszcze kilku innych<sup>1</sup>. Nie przeoczył niczego, co

---

<sup>1</sup> P. Johnson, *Intelektualiści*, Editions Spotkania, Warszawa 1994.

mogłoby wystawić im — jako ludziom prywatnym — jak najgorsze świadectwo. Powstała książka napisana, jak trafnie zauważył jeden z recenzentów, z pozycji heglowskiego „kamerdynera”.

Ale nie to jest jej największą wadą. Zapotrzebowanie na książki, koncentrujące się na skandalach z życia różnych znakomitości jest dziś duże. Milej wszakże czytać o cudzych podłościach niż wgłębiać się w wiersze Shelleya, opasłe powieści Lwa Tolstoja, nie mówiąc już o *Umowie społecznej* Rousseau czy — nie daj Boże — *Principles of Mathematics* lub *The Analysis of Mind* Russella, określonych przez Johnsona elegancko mianem „logicznych bzdur”.

Jeśli istnieje zapotrzebowanie na pewnego rodzaju „literaturę”, jest rzeczą naturalną, że znajdzie się zawsze ktoś, kto wyjdzie mu naprzeciw. Na ogół czynią to jednak żądni sensacji dziennikarze, rzadziej autorzy o poważnym dorobku, też chcąc nie chcąc jakoś przynależni do gatunku „intelektualistów”.

W przeciwieństwie do wielu skandalizujących biografii, ocierających się o pomówienie i plotkę, Johnson zaprezentował imponujące (409 stron druku) dzieło, zaopatrzone w liczne przypisy, odsyłające do źródłowych materiałów. Włożył w napisanie swej książki dziesięciokrotnie więcej trudu od drugorzędnych „szargaczy świętości”, aby dowieść tezy, którą sformułować mógłby bez żadnego wysiłku byle „przechodzień”. Z tą różnicą, że tamten dopuściłby się tylko grzechu łatwego uogólnienia. Johnson zaś — wsparty autorytetem swego nazwiska — oddaje się zabiegom, które określić należy z równą jego własną surowością. Jako nieuczciwe, rażąco stronicze i o dość — mimo dbałości końcowego wniosku — wątpliwym przesłaniu.

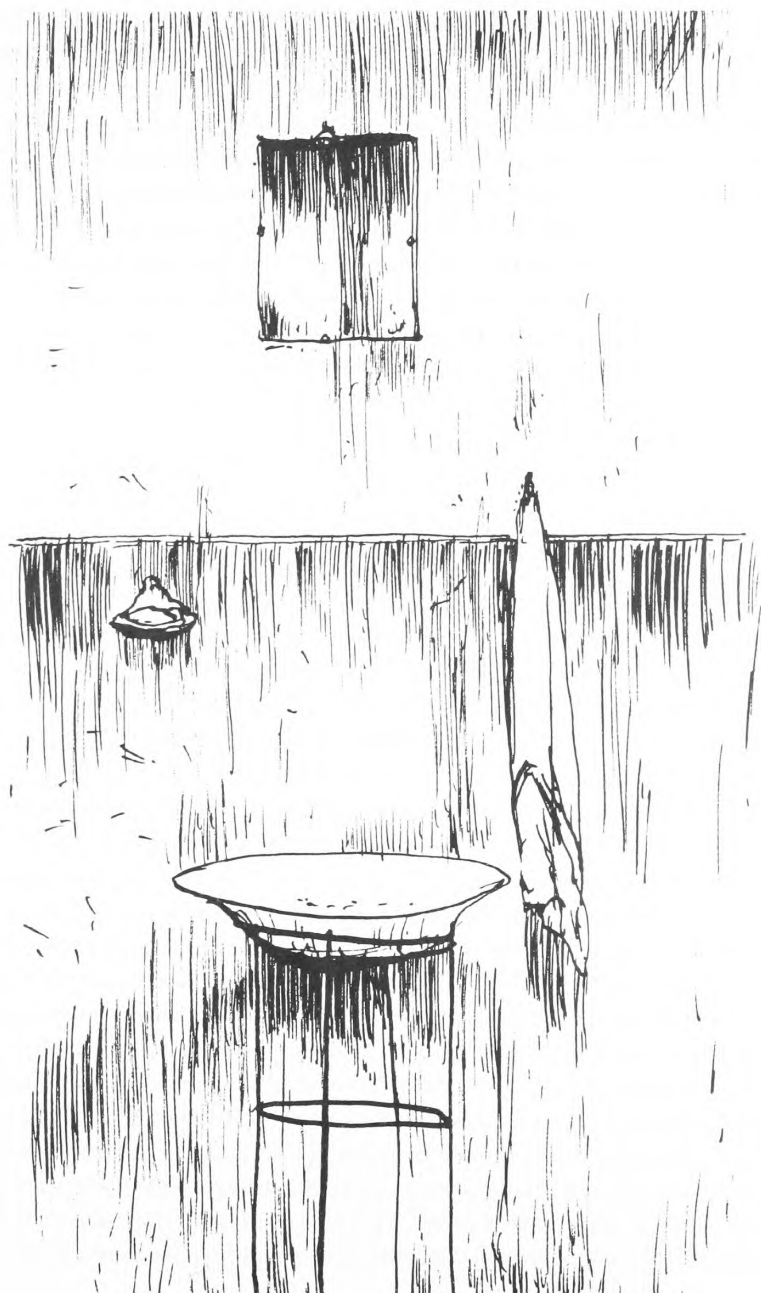
Właściwie nie ma się nawet ochoty polemizować z tą książką. Tyle tu nadużyć nad wyraz oczywistych — od tytułu począwszy na rozmaitych detalach kończąc. Johnsonowscy „intelektualiści” to bowiem ludzie niezwykle różnej rangi a nawet profesji (cóż bowiem łączy Ibsena lub Tolstoja z nieznaną szerzej amerykańską pisarką Lillian Hellman, Rousseau z Edmundem Wilsonem, czy choćby Russella z Shelleyem). Jedynym, co ich łączy jest „niezwykła łatwość pisania” oraz paskudne charaktery. Przede wszystkim to drugie, bo pierwsze (podobnie jak talent) wydaje się rzeczą bez znaczenia. Piramidalne nagromadzenie przeróżnych obrzydliwości pozwala sformułować „prawdy” odnoszące się nie tylko do nie-szczęśnych ofiar dociekliwości Johnsona, ale i „intelektualistów w ogó-

le". Wszyscy intelektualiści oddają się rozpuście, uwielbiają alkohol, porzucają oddane sobie kobiety lub wplątują je w upokarzające trójkąty i czworokąty („taki układ, jak zobaczymy, stał się wciąż powracalnym celem intelektualistów”), wszyscy — lub prawie wszyscy — zafascynowani są przemocą, nie wyłączając nawet intelektualistów potencjalnych; nawet Hitler „miał największe powodzenie w domach akademickich, a jego wyborcze apele do studentów ciągle odnosiły o wiele większy skutek niż jego dokonania wśród ludności Niemiec wziętej jako całość. Hitler zawsze wypadł dobrze wśród nauczycieli i profesorów uniwersytetu”. To intelektualiści „uczestniczyli w najbardziej makabrycznych okrucieństwach SS”, to Rousseau był protoplastą stalinowskich łagrów, a Shelleya należy obarczyć winą za zbrodnie rewolucji 1917 roku.

Pomijając całą absurdalność i kłamliwość tej metody dowodzenia swego — stwarza ona nieograniczone możliwości skompromitowania każdego w gruncie rzeczy zawodu czy nawet warstwy społecznej, Johnson żywi szczególną urazę do „świeckich intelektualistów”, szczególnie tych, u których można się dopatrzeć (zresztą w sposób dowolny) „lewicowości”. Ale na podobnej, jak zastosowana przez niego, zasadzie można zdemaskować nieobyčajność i „monotonną — jak u Sartre’a — głupotę” „Artystów”, „Filozofów”, ba, nawet księży, nie mówiąc już o owym tak przecież cenionym „tłumie przechodniów”, szczególnie gdy jego przedstawiciele dobierze się (jak intelektualistów) „nieprzypadkowo”.

Można by więc ułożyć całą serię dowodzącą, iż dla pogardzanej i krzywdzonej przez geniuszy ludzkości najlepszym rozwiązaniem byłoby właściwie, gdyby każdy, kto nie jest moralnie nienaganny, siedział po prostu cicho, a jeśli musi już spisywać swe wrażenia i myśli, malować obrazy czy wygłaszać „kazania”, to powinien oddawać się swym maniom potajemnie, nie wciągając w to Bogu ducha winnych i cnotliwych mas. Dotyczyć to winno nawet przedstawiciele nauk ścisłych, o ile swych badań nie potrafią spisać językiem zrozumiałym dla czwartoklasisty oraz gdy obojętne są im (jak np. Russellowi) „poglądy” i „uczucia tłumu”.

Cóż jednak zrobić z tym, co już zostało opublikowane? Książka Johnsona nie udziela na to niestety odpowiedzi. Jego maksymalizm etyczny, każący mu zohydzać, co tylko zohydzić się daje, nie jest tożsamy z surowością inkwizytora, palącego na stosie zatrute (lub napisane zatrutą ręką) dzieła. Idea „oczyszczenia” kultury, twórczości czy nauki z wszystkiego, co nie jest dziełem ludzi ustabilizowanych, wiernych zasadom





dekalogu i zawsze dających w życiu świadectwo prawdzie (i to zgodnej z tym, co za prawdę uznaje sam Johnson), idea taka byłaby wprawdzie ideą obłądną, ale przynajmniej konsekwentną. Łatwiej byłoby wówczas zrozumieć, czemu służy — w praktyce — owo „wejrzenie w szereg indywidualnych przypadków tych, którzy starali się doradzać ludzkości”, „zbadanie ich moralnych i wyrokujących kompetencji do wykonania tego zadania”.

Bez postawienia kropki nad „i” intencje Johnsona są wprawdzie oczywiste, ale wnioski praktycznie żadne. W końcu ani Rousseau, ani Shelley, ani Ibsen, ani Tolstoj czy nawet Brecht i Sartre nie „wstaną” już, „by wygłosić nam kazanie”, nie założą żadnego „komitetu” powołanego do „uszcześliwiania ludzkości” ani nie będą się starali ucześcić „dźwigni władzy”. Jak więc okazać im lekceważenie? Nie czytając ich dzieł? Ale sam Johnson przyznaje choćby, iż „czci Shelleya jako poetę”. Czytając je z obrzydzeniem? Przenosząc wstręt autorów na żyjących? Strzegąc się intelektualistów nie tylko jako przyjaciół, dłużników, ojców, mężów czy kochanków, ale i myślowych szarlatanów?

Johnson właśnie w „świeckich intelektualistach” (nawet tych XVIII- i XIX-wiecznych) upatruje źródła wszelkich niegodziwości „naszego tragicznego stulecia”. Nie dba przy tym o myślenie historyczne (część „grzechów” Rousseau czy Shelleya była wszak symptomatyczna dla epoki), pomija z premedytacją każdy szczegół, mogący rzucić korzystniejsze światło na swych bohaterów, delektuje się natomiast każdym „występkiem”. Wszystko po to, aby dowieść banalnej skądinąd prawdy, że między talentem a moralnością nie zawsze (a nawet bardzo rzadko) postawić można znak równości oraz — aby dokonać nad wyraz ryzykownego uogólnienia. Sprawia to po prostu wrażenie, że książka ma być rodzajem odwetu na tych wszystkich, którzy zdaniem autora „z wielką przyjemnością oddali się krytycznemu badaniu religii i jej wyznawców. Jaki przynosiły pożytek lub też jaką szkodę czyniły ludzkości te wielkie systemy wiary? Jak dalece papieże i księża żyli zgodnie z przykazaniami czystości i prawdy, dobroci i miłości bliźniego? Werdykt był surowy”.

Jeśli nawet uznać (zresztą bezpodstawnie), iż to właśnie było głównym celem wszystkich omawianych przez Johnsona „świeckich intelektualistów”, trzeba przyznać, że on sam prześcignął ich nie tylko bezwzględnością, ale i prymitywnością swego „werdyktu”.

Być może nie szło zresztą o prostą mściwość. Być może Johnson wierzy naprawdę, że najbardziej pilną potrzebą, która uchroni świat od deprawacji, jest uwolnienie go od „świeckich intelektualistów” i że należy w tym celu podsycać różne modne obecnie antyinteligencjne fobie. Wydaje się wszakże, że dzisiejsza rzeczywistość wygląda tak, jak wygląda nie z nadmiaru, lecz raczej z braku literatów i myślicieli na miarę Shelleya, Ibsena, Tołstoja i Russella, choćby recenzującemu książkę krytykowi »Sunday Telegraph« wydawali się oni tylko „intelektualnymi awanturnikami”.

A tę właśnie opinię wybija na okładce wydawca polskiego (fatalnego zresztą) przekładu. Widać dyrektorowi Editions Spotkania zda się, że również w Polsce właśnie intelektualistom należy się najbardziej bezpardonowa odprawa. Jak napisano na wstępie — nie jest on w swej opinii osamotniony. Mimo że intelektualiści polscy, jeszcze niedawno nazbyt może przejęci swą misją, starają się dziś raczej skrywać niż eksponować swe istnienie, czego ich liczni krytycy jak gdyby w ogóle nie dostrzegali. To prawda, że większość współczesnych polskich intelektualistów nie potrafi odnaleźć się w nowej roli, jednak jeszcze bardziej zdezorientowani wydają się dziś ich krytycy.

Czy zresztą w owej krytyce idzie tylko o „intelektualistów”? A jeśli, to jakich? Johnson nie precyzuje przecież jasno, co dlań oznacza samo pojęcie. Chodzi nie tylko o wątpliwy dobór osób, połączonych w jedno tytułem książki, ale także o terminologiczny galimatias w jej finale. Co najmniej dziesięć dwunastych zawartości *Intelektualistów* poświęcono ludziom, o których można — jak udowodnił Johnson — powiedzieć wiele złego, ale chyba nie to, że pozbawieni byli wyrazistej osobowości. Tymczasem końcowe zdania książki wymierzone są w „intelektualistów dalekich od stania się wielkimi indywidualnościami”, co więcej — „stosujących się do pewnych utartych wzorców postępowania”; czyżby byli to ci sami, którym zarzuca się przez cały czas gwałcenie norm, przyjętych w „normalnym świecie”? To przecież raczej ów tak idealizowany przez Johnsona „tuzin spotkanych przypadkowo na ulicy osób” odpowiadać się wydaje powyższemu opisowi.

Czy ów „tuzin osób” jest istotnie przenikliwszy od Russella bądź Ibsena czy też po prostu od „przeciętnych przedstawicieli inteligencji”? Píše wszak Johnson: „wydaje się rozszerzać przekonanie, że intelektualiści nie są mądrzejsi jako nauczyciele [...] niż szarlatani [...]. Podzielał

ten sceptycyzm. Tuzin osób, zatrzymanych przypadkowo na ulicy, może udzielić równie rozsądnych opinii o sprawach moralnych i politycznych, co przeciętni przedstawiciele inteligencji”. Kogo się więc dyskredytuje: poetę, pisarza i filozofa o światowej sławie, czy np. urzędnika ze średnim wykształceniem? Jeśli tego ostatniego, sprawa jest prosta. Na narodziny wybitnych a niemoralnych poetów, pisarzy i filozofów nie mamy niestety wpływu, chyba żeby wbrew dekalogowi skazywać ich wraz z wydaniem pierwszej książki na ścięcie. Ale przyrostowi inteligencji zapobiec można w sposób bezkrwawy. Wystarczy zamknąć szkoły średnie i wyższe oraz instytucje, w których znajduje ona niepotrzebne schronienie. Wydawnictwa rzecz jasna także.

Może istotnie przyniosłoby to pożytek. Chociaż dla entuzjastów omówionej książki (a jest ich wielu, jak świadczą różne czytelnicze rankingi) byłby to fakt bolesny; nigdy nie ukazałaby się ona drukiem.

[1994]



# Spór o Kościół

Polska jest dziś krajem w stanie podgorączkowym. Nie ma sprawy, która by nie wzniewała płomienia [...] Ludzie nie są w stanie »przebić się ku ludziom«.

ks. Józef Tischner, 1993

Powiada się o diable, nie bez racji, iż tkwi w szczegółach. Od dość dawna zdaje się wszakże, że diabeł swe ambicje lokować zaczął znacznie wyżej. Coraz częściej bowiem natknąć się można na niego także w sferze pojęć ogólnych towarzyszących życiu publicznemu. Pewnie dzięki jego aktywności tak ogromnie trudno nieraz dociec, co pojęcia te w ogóle znaczą, znaczyć miały i znaczyć powinny.

W Peerelu nie zwracało się na to tak wielkiej uwagi. Pojęcia ogólne zmieniały tam co prawda sens w sposób dowolny, nie dziwiło to jednak specjalnie nikogo. Pojęcia ogólne — w każdym razie te z publicystyki i mass mediów — miały swą z góry określoną użytkową funkcję. Służyły propagandzie albo też (od powstania drugiego obiegu) propagandę demaskowały. Jedne i drugie miały być przede wszystkim sugestywne a nie ścisłe; tych oficjalnych nie traktowano — już z założenia — serio, te opozycyjne mierzono raczej wedle odwagi niż przenikliwości i precyzji, odkładając to na lepsze czasy.

Kiedy jednak czasy takie nadeszły, ani przenikliwość, ani precyzja nie wzrosły specjalnie w cenie. Nie wydają się w każdym razie przydatne dla prowadzenia sporów. A nawet więcej, właśnie z ich braku spory owe czerpią poniekąd swą żywotność.

A dotyczy to, niestety, także coraz bardziej emocjonalnych i nabrzmiałych wzajemną irytacją dyskusji wokół roli Kościoła w Polsce wyzwolonej już spod różnorodnych narzucanych pretensji, lecz niezdolnej do zrzucenia z siebie wieloletnich uprzedzeń i przyzwyczajzeń.

Trzeba przy tym powiedzieć od razu, że oskarżenia i inwektywy nie przemyślane — wypowiedane już nie tylko w stanie podgorączkowym, ale wręcz silnej gorączki — padają z obu stron. Że mało kto dba o rzeczywiste znaczenie licznych rzeczowników, przymiotników i zbitek słownych, takich choćby jak „klerykalizm”, „antyklerykalizm”, „państwo wyznaniowe”, „walka z Kościołem”, „cenzura katolicka”, „wartości chrześcijańskie”, „libertynizm” i „obskurantyzm”, „tolerancja” i „nietolerancja”. Że określenia sprowadzające tych, co krytykują niektóre poczynania Kościoła, do rzędu szczekających psów różnej maści są wprawdzie mniej eleganckie, ale nie bardziej bolesne niż oskarżenia o „religijny fundamentalizm” tych, co w tej lub owej (czasem czysto religijnej sprawie) mają zdanie odmienne od „kundelków”<sup>1</sup>. Że choć nazwanie przez prymasa Polski „widowiskiem” (i to jeszcze przed ogłoszeniem wyroku, który okazał się wszak dość bliski intencjom Kościoła) prac Trybunału Konstytucyjnego nad wnioskiem rzecznika o trybie nauczania i wprowadzenia religii do szkół budzić musi protest, to nie wydaje się, aby najlepszą dla wyrażenia tego typu protestu formułą, były slogany o „wyprawach krzyżowych” czy „krucjacie ‘93”. itd., itd.

Nie mówiąc już o tym, że rozumny dystans wobec najbardziej nawet drażniących zachowań czy odezwań strony przeciwnej, który winien obowiązywać zarówno reprezentantów wysokich instytucji religijnych jak „neutralnych światopoglądowo” jest i tu, i tu sprawą coraz rzadszą.

Pamiętając o tym wszystkim (a także o wielu nie wyliczonych w tym miejscu obustronnych nietaktach, wyolbrzymieniach, mniej lub bardziej świadomych manipulacjach) nie sposób jednak oprzeć się wrażeniu, iż głównie ci, co najgłośniejsz przemawiają w imieniu Kościoła przyczyniają się do stałego wzrostu gorączki. Tym bardziej, że przemawiając z pychą, której z pewnością nie pochwaliliby Chrystus, rekrutują się raczej spośród tych wierzących, o których ks. Józef Tischner pisał, iż „gdy przychodzą na Mszę, to trochę spóźnieni, dopiero po słowach »Panie,

---

<sup>1</sup> W pobliżu takich „religijnych fundamentalistów” znalazło się nazwisko Ojca Jacka Salija, co dla wszystkich, którzy się z nim zetknęli bądź czytają (choćby krytycznie) jego teksty, musi być niesprawiedliwością nie mniejszą niż szereg zarzutów z drugiej strony, choćby pod adresem »Gazety Wyborczej«. Inna rzecz, że ukuty został także inny termin „fundamentalisci ateistyczni” i że posłużył się nim podczas pielgrzymki parlamentarzystów na Jasną Górę w marcu 1993 nie dziennikarz a duchowny — Ojciec Jan Pach.

zmiłuj się nad nami«<sup>2</sup>, niż spośród tych, którzy pamiętają, iż w liturgii kościelnej znajduje się fraza „moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina”.

Być może to, iż właśnie oni wzięli w swoje ręce obronę katolicyzmu, wiary, Pana Boga, nie bardzo odpowiada wielu dostojnikom Kościoła. Trudno to jednak stwierdzić wobec niezwyklej pobłażliwości, jaką Kościół okazuje akcji wyborczej prowadzonej (nieprawnie wówczas!) w kościołach i braku zdecydowanego dystansu do najbardziej nawet nieodpowiedzialnych sformułowań, o ile nie pochodzą one z obozu „wroga”. A także wobec szeregu wypowiedzi swych najwyższych przedstawicieli, określanych później łagodnym mianem „niefortunnych”, a które dolewają oliwy do ognia.

Jest rzeczą oczywistą, że obraz Kościoła, jaki z tego wszystkiego się wyłania, musi być jednostronny i skrzywiony. O woli, znaczeniu i posłannictwie Kościoła nie przesądzą jednak poszczególne zachowania i wypowiedzi jego mniej lub bardziej prawomocnych przedstawicieli. Ale nie można też uważać, że są to sprawy nieistotne czy drugorzędne. Na wizerunek Kościoła, zwłaszcza powszechnego, składają się jednak nie tylko piękne czyny i światłe myśli, ale także działania dwuznaczne i demagogiczne frazesy, których autorzy mają sobie za nic przykazanie o nie używaniu imienia Boskiego nadaremno. Ogromna większość ludzi urabia sobie pogląd na Kościół poprzez doświadczenie osobiste i w tym sensie decydujące dla nich znaczenie może mieć zetknięcie z pełnym obłudy proboszczem, fanatycznym katechetą, kaznodzieją wzywającym, by głosować tylko na katolików „z polskim nosem”. Być może informacje o antysemitkich wystąpieniach niektórych księży, o nauczycielach religii, nakazujących dzieciom donosić na matki, które „zabiły ich poczętego braciszka lub siostrzyczkę” i innych, nakazujących — profilaktycznie — nosić jedynakom czarne wstążki po „zamordowanym” rodzeństwie są przesadne, wystarczy wszakże jeden przykład, by skonstruować w oparciu oń regulę.

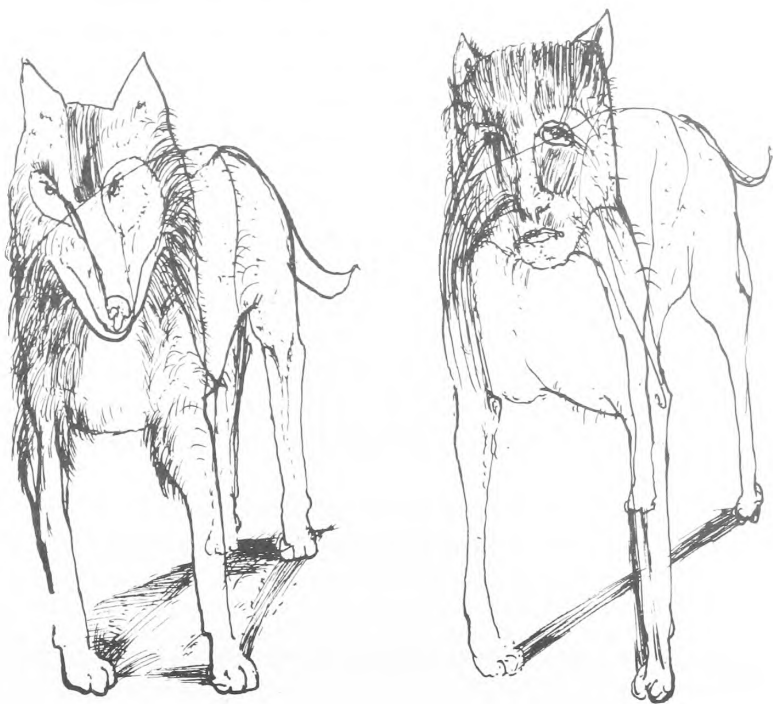
Oczywiście Kościół, zwłaszcza ten najbardziej otwarty, niezacietrzewiony, traktujący serio ustalenia II Soboru Watykańskiego, nie może

---

<sup>2</sup> J. Tischner, *Smugi cienia, czyli wiara religijna po komunizmie*, »Tygodnik Powszechny« nr 1/1993.

podobnym zjawiskom zapobiec. Byłoby jednak dobrze, aby od czasu do czasu wypowiedział się oficjalnie także w ich sprawie, miast koncentrować się jedynie na prawdziwym lub urojonym przeciwniku. O ile bowiem wróg zewnętrzny szkodę Kościołowi wyrządzić może, ale nie musi (gdzież są ci naprawdę groźni pogromcy Kościoła, starający się zepchnąć Go na niedostrzegalny margines życia społecznego i depreczujący brutalnie katolicką i narodową tradycję?!), o tyle wszelkiego rodzaju „swoi” obłudnicy i nadgorliwcy szkodę tę wyrządzają mu na pewno.

Aby dokonać rzetelnego rachunku sumienia z własnych a nie cudzych grzechów, trzeba, rzecz jasna, znacznego hartu ducha oraz mądrości wynikającej z przeświadczenia, że to nie ów rachunek, lecz przemilczanie błędów świadczy na naszą niekorzyść. Jednak jak pisał ks. Tischner — „nasza polska wiara nigdy nie przeszła przez naprawdę radykalną krytykę wewnętrzną. Dotychczasowe krytyki miały charakter zewnętrzny. Towa-





rzyszyło im prześladowanie. Dlatego nie miały większego znaczenia. Dziś sytuacja się zmieniła. I jeśli się dobrze przyjrzeć, to się zobaczy: to nie obcy, to dzieci polskiego chrześcijaństwa stawiają pytania”<sup>3</sup>.

Stawiają, lecz rzadko otrzymują odpowiedzi, częściej — rady moralne, bardzo mało liczące się z rzeczywistością, i z ułomnościami ludzkiej natury (a ułomności te są cechą nie tylko ateistów, żydów czy muzułmanów). Może stąd ów spadek popularności Kościoła we wszystkich sondażach, którym oczywiście w swym zadufaniu nie musi się ufać, stąd mało przychylnie opinie o „czarnych”, które coraz częściej można usłyszeć także w sklepie czy na ulicy, marne stuzłotówki składane na tacę, drzwi mieszkań coraz częściej zamknięte przed duchownym, chodzącym „po kołędzie”. Stąd wreszcie tak niewielka popularność katolickiej prasy skierowanej do „zwykajnych wiernych”, o czym pisał w »Więzi« (nr 11/1992) Tomasz Wiścicki pod wymownym tytułem *Dlaczego dobra prasa w Polsce jest niechrześcijańska?*.

Gdyby wszystkich tych oznak nie lekceważono tak lekkomyślnie i to wbrew ostrzeżeniu wielu księży, także spośród Episkopatu, być może udałoby się Kościołowi uniknąć błędów „Solidarności”, która przyczyniła się do rosnącej popularności SLD upatruje wciąż jedynie w jego knowaniach, a nie w samej sobie.

Tak czy owak obrachunku takiego wszakże uniknąć się nie da. „Nie ma co liczyć, że różne przykre sprawy z życia Kościoła uda się ukryć. Powinny być one omawiane w prasie katolickiej, a nie antyreligijnej, która tylko czeka na każdą okazję i odpowiednio każdą sprawę rozdmuchuje”<sup>4</sup>.

Miejsce dla przeprowadzenia owego obrachunku jest zresztą obojętne i o jego wyborze nie osobie spoza Kościoła decydować, nawet jeśli żywi ona rezerwę wobec wszelkiej „gettowości” wynikłej z obawy, by nie zaszkodzić własnej, słusznej skądinąd sprawie. Na razie głównym miejscem polemik godzących nie tyle w powszechne słabości innych, co Kościoła, jest »Tygodnik Powszechny«, oskarżany zresztą z tego powodu — również przez przyjazne mu osoby — o nadmierne zaangażowanie publicystyczne. Nawet poświęcony kwestiom prasy w III Rzeczypospolitej obiektywny i nienapastliwy numer »Więzi« (nr 11/1992) zajął się przesłedze-

<sup>3</sup> J. Tischner, *Czy Kościół nas okłamał?*, »Tygodnik Powszechny« nr 2/1993.

<sup>4</sup> L. Koj, *Od bezradności do programu*, »Znak« nr 10/1992.

niem „manipulacji” wyłącznie w prasie niekatolickiej, głównie zresztą w »Gazecie Wyborczej«. I choć ton poświęconego tej sprawie szkicu daleko odbiegał od zaciętych napaści różnych „prawdziwych katolików”, oddając dziennikowi co królewskie<sup>5</sup>, to nie przez przypadek chyba pominięto tu na przykład »Niedzielę« czy paxowskie, a więc nie od tak dawna naprawdę wiernie Kościołowi »Słowo Powszechne«, z którego narodziło się już wkrótce »Słowo — Dziennik Katolicki«. A to właśnie »Niedziela« i »Słowo« do tematu „informacja czy manipulacja” dostarczyć by mogły szczególnie obfitego materiału. To tu oskarżono między innymi rzecznika praw obywatelskich o sprzyjanie pornografii, brutalną walkę z większością (sprawa religii w szkołach) i z mniejszością (farmaceuci odmawiający sprzedaży środków antykoncepcyjnych w aptekach) katolicką. To tu używa się zwrotów dobrze znanych skądinąd: „Zieliński spełnił zadanie. Przyszła więc kolej na partie lewicy i działaczki feministyczne”. To tu rysuje się wizję państwa dyskryminującego „dużą część społeczeństwa” w imię „państwa dla niewierzących”; wizję apokaliptyczną, w której Kościół tępiony jest „z agresją i nienawiścią, przekraczającymi wszystko, czego dokonały wobec niego systemy totalitarne” (»Słowo« z 24/25 IV 1993), zaś katolicy doznają bezmiaru „szykan w miejscach pracy, na uczelniach, w szkołach ze strony rozjątrzonych wyznawców liberalizmu” (»Niedziela« z 3 I 1993). To tu padają sugestie o konieczności kontroli telewizyjnych programów. I tu wreszcie wypisuje się bzdury o „biednych niewierzących” narażonych już przez sam brak wiary na pokusę, „by rasizm uznawać za naukę przyszłości, eugenetykę ludzką za podstawę kultury, Stalina za boga, anarchizm za moralność” (cytat ze »Słowa« z 19 IV 1992) oraz o skłonności do demoralizacji młodzieży.

Ale poza »Tygodnikiem Powszechnym« nikt prawie z wierzących z poglądami tymi nie podejmuje regularnej dyskusji, bo też niewielu ma odwagę ks. Adama Bonieckiego, piszącego na łamach »Tygodnika«, iż

<sup>5</sup> J. Liberek, *Informacja czy manipulacja? Jak »Gazeta Wyborcza« pisze o Kościele*, »Więź« nr 11/1992. Autor stwierdza między innymi: „Histeryczne reakcje czytelników, które nierzadko wywołuje »Gazeta Wyborcza« swoimi publikacjami na temat Kościoła, nie mają — moim zdaniem — zbyt głębokiego uzasadnienia. Żadna inna gazeta — przypomnijmy opinię Ojca Macieja Zięby [por. »Gazeta Wielkopolska« z 15 IV 1992 — M. F.] — nie napisała tak wiele ciekawych tekstów o Kościele. Jako jedyne pismo niekatolickie drukuje ona w całości lub obszernie homilie papieskie, kazania prymasa, listy Episkopatu”.

„ogarnia go febra”, kiedy stwierdza, „że niektórzy bracia (i siostry) w wierze z całą powagą wysuwają postulat cenzury”<sup>6</sup>.

Mówi się czasem, iż Kościół (jeśli nie liczyć paru jego przedstawicieli, jak m.in. ks. ks. Tischner i Pasierb, bp bp Dembowski i Pieronek, arcbp Tokarczuk) nie dystansuje się zbyt stanowczo do różnych agresywnych wypowiedzi swych wyznawców, bo czuje się generalnie w „defensywie”. I to czuje tym boleśniej, im powszechniej oskarżany jest o ofensywność. Poczucie zagrożenia często rodzi agresję, agresja traktowana jest przez tych, przeciw którym się kieruje, jako „ofensywność”, której z kolei należy się przeciwstawić. Koło się zamyka, by toczyć się dalej.

Czy istotnie nie ma z tej sytuacji wyjścia? Rzecz z pewnością wymaga czasu. Historia powojennej Polski relacje między Kościołem a niechętną pojałtańskiemu reżimowi opozycją uczyniła niemal sielskimi, zwłaszcza po 13 grudnia. Tej sielance (jak też „Solidarności”) sprzyjały jednak raczej nienormalne warunki, niż naprawdę głębokie porozumienia. Stąd tak szybkie po roku 1989 wzajemne rozczarowanie. Oto Kościół okazał się nie tak otwarty, zdolny do dyskusji, jak sądzono, oto opozycja gwałtownie zapomniała, ile Kościołowi zawdzięcza (zawdzięczała mu w istocie wiele, co nie znaczy, że wszystko). Te wzajemne pretensje tłumaczyły się — zwłaszcza na początku — bardzo prosto. Ktoś, kto dopiero co wy dostał się spod systemu wielorakich kontroli, cenzur, nakazów i zakazów, zwykł dmuchać na zimne, a cóż dopiero na prawie gorące. Ktoś, kto przywykł do roli jedyne go przez lata moralnego autorytetu, z trudem znosi słowa krytyki, cóż dopiero impertyncje. Ale przecież bardzo wiele poglądów, które dziś wydają się albo wyrazem nadmiernej ekspansji Kościoła, albo wyrazem wojującego antyklerykalizmu, są po prostu immanentnymi elementami takiego bądź innego światopoglądu, który może artykułować się wyłącznie za pomocą pojęć bliskich jemu samemu a nie innym.

Kościół katolicki zawsze mówił wszak o potrzebie ewangelizacji — tyle tylko, że nie zawsze nadawał tej sprawie tak jednoznaczny, jak bywa to dziś, wymiar i nie zawsze (a nawet rzadko) główny ster oddawał w ręce Polaków. Ale przecież jak najdalej od nietolerancji religijnej II Sobór Watykański (dla którego hasło „każdy Polak to katolik, a każdy katolik to

---

<sup>6</sup> A. Boniecki, *O katolickiej cenzurze i wartościach chrześcijańskich*, »Tygodnik Powszechny« nr 4/1993.

Polak”<sup>7</sup> musiałoby wydać się szkodliwym nonsensem), nastawiony nie tylko na dialog, ale — o czym coraz bardziej się zapomina — na czerpanie „wartości” z różnych światopoglądów, nawet ów sobór, wspaniale dzieło Jana XXIII i Pawła VI, przeciwstawiał się ateizmowi jako „groźnemu złu negacji”. Z kolei nawet chrześcijanie (a cóż dopiero wyznawcy innych religii i niewierzący) różnią się między sobą, jak wiadomo, ogromnie i to także w łonie jednego Kościoła, by wymienić najbardziej w tej dziedzinie bogaty: protestancki. Faktu, iż dają temu wyraz, nie można traktować w kategoriach zamachu na autorytet rzymskokatolików, ich Kościoła czy papieża; zresztą i sam dogmat o nieomyślności papieża jest dość świeżej, biorąc pod uwagę historię Kościoła, daty (1870) i nie obowiązuje nawet tych, co jak prawosławni też do przymiotnika „katolicki” się przyznają. Traktowanie wypowiedzi krytycznych jako karygodnej „walki z papieżem” — nawet wtedy, gdy dotyczą poglądów Jana Pawła II na stosowanie środków antykoncepcyjnych, jest groźnym nieporozumieniem, tym bardziej uderzającym, iż sami obrońcy papieskiego honoru nie we wszystkim (choćby w sprawie AIDS, sporu o kościół w Przemyślu, apeli o tolerancję poświadczanych czynami) Papieża zbyt uważnie słuchają. To antypeerełowska solidarność, w tamtym okresie rozumiała, kazała w każdym krytycznym zdaniu wietrzyć atak lub zdradę. To wtedy, nie dziś, nie wypadało mówić o błędach Kościoła, czy jego prymasa, mimo, iż również do kardynała Stefana Wyszyńskiego żywiono usprawiedliwione żale, choćby za brak potępienia w 1968 roku antysemityzmu czy stanowisko, jakie zajął w sprawie strajku 1980. A i tamte, nie wyrażane zresztą publicznie, żale nie oznaczały braku szacunku.

Jeżeli przyjrzeć się z bliska głównym punktom zapalnym sporu o Kościół w III Rzeczypospolitej, okazuje się, iż ujawniają się one nie w kręgu spraw zasadniczych, lecz szczegółowych, a ich podłoże jest raczej politycznej, obyczajowej czy pryncypialnej niż światopoglądowej natury. I dotyczyło to nie tylko akcji wyborczych w kościołach, religii w szkołach, wszechobecności krzyża w miejscach publicznych, antykoncepcji, sprawy podatków etc., ale i kwestii aborcji, kiedy to przeciwników jej prawnego uregulowania nazywano już nie tylko komunistami, ale wręcz „mordercami” lub (pośrednio) dziećmi i wnukami oświęcimskich oprav-

---

<sup>7</sup> Z kazania podczas jednej z mszy żałobnych w warszawskim kościele na Wawrzyszewie.

ców, z drugiej zaś strony zwolennikom ustawy przeciwstawiano się hasłami o „prawie kobiety do własnego brzucha”, co oczywiście dla tych, którzy między aborcją a zabójstwem stawiają znak równości musi być argumentem niepoważnym.

Efekty tak prowadzonych dyskusji, toczonych w dodatku ponad głowami tych, o których prawa rzekomo się walczy i na których sądy i żądania samozwańczo się powoływano, nie mogły być imponujące. Nie dlatego nawet, że nikt tu nikogo nie przekonał. To od początku można było przecież przewidzieć. Przekonanie o czymś ludzi różniących się od siebie nie tylko poglądami dającymi się zracjonalizować, ale i kwestią wiary (o której sam Kościół mówi, iż jest aktem łaski) — jest najczęściej niemożliwe. Możliwy jest natomiast pewien kompromis, pozostawiający wszystkim stronom margines swobody i to nawet w sprawach tak zdawałoby się niewątpliwych, jak „ochrona życia poczętego”<sup>8</sup>.

Jest rzeczą zrozumiałą, iż w krajach o tradycjach chrześcijańskich pewne zasady (jak choćby „oko za oko, ząb za ząb”) muszą być odrzucone nawet przy największym pluralizmie i tolerancji, niekoniecznie jednak dlatego, iż na straży owych tradycji stoi jedynie Kościół rzymskokatolicki, też mający zresztą w swej historii mroczne momenty. Wydają się one bowiem zakorzenione wystarczająco silnie jako tradycje „ogólnoludzkie”, zgoda, że o rodowodzie chrześcijańskim. Kościół rzymskokatolicki w kraju, w którym ponad 80% mieszkańców deklaruje swą przynależność do niego właśnie, musi mieć, rzecz jasna, rozleglejsze pole działania, a nawet pewne religijne przywileje. Z tą zasadą, obowiązującą w każdym kraju o dominującej religii, mniejszość musi się pogodzić. Absolutnie jednak godzić się nie można na praktyki, w których większość stara się sobie ową mniejszość podporządkować, wszystko jedno, czy za pomocą fizycznego przymusu czy też prawnych i psychologicznych presji. Metoda pierwsza należy dziś w Polsce do przeszłości, ta druga niestety święci triumfy. Można wprawdzie zgodzić się z tymi przedstawicielami

---

<sup>8</sup> Bardzo istotną była tu na przykład sprawa referendum w sprawie ustawy antyaborcyjnej. Nie dlatego, aby wyniki referendum miały przesądzić o „prawie do zabijania”. Ale referendum (gdyby przeprowadzono je uczciwie, bez presji, co zresztą raczej wątpliwe) mogło pokazać, ile osób aborcję utożsamia z morderstwem (tak jak utożsamia się z nim na ogół eutanazję). Wynik ujemny winien wzbudzić obawy co do skuteczności ustawy i skłonić do innych — niż ustalenie prawa — rozwiązań.

Kościół, którzy teorie o powstaniu państwa wyznaniowego każą włożyć (przynajmniej na razie) między bajki — zwłaszcza gdy przez państwo wyznaniowe rozumieć państwo rządzone bezpośrednio przez kler. Trudno jednak nie zadawać sobie pytania, które odważnie postawił ks. Józef Tischner: czy Kościół pragnie władzy i czy twierdząc, iż nie pragnie „nas okłamał”. Pytania, które niekoniecznie zadawać muszą jedynie — i to w złej intencji — niewierzący. („Pytanie boli nie tylko tych, do których jest kierowane, ale i tych, którzy je zadają. Ten moment nie powinien ująć naszej uwagi”<sup>9</sup>). Powodów, by je stawiać, jest aż nadto wiele, dotyczą one i spraw generalnych, i szczegółowych. Ich ilość nie maleje, lecz rośnie; wystarczy przywołać kwestie najbardziej kontrowersyjne, obydwie z bieżącego roku. Zarówno zapis o „wartościach chrześcijańskich”, jak wrzawa wokół rzecznika praw obywatelskich dowodziły poza wszystkim innym, iż mniej może idzie o meritum sprawy, bardziej o zwyczajne postawienie na swoim. Zapis o „wartościach chrześcijańskich” nie przyniósł i nie przyniesie żadnego pożytku projektodawcom, o ile nie zechcą oni (w jakim zresztą charakterze — sądu, komisji, kolejnej rady złożonej wyłącznie z tych, co je forsowali?) naruszyć „wolności słowa” i to w sposób równie dowolny, jak naruszał ją w PRL-u przepis o „tajemnicy państwowej”. Nie mówiąc już o tym, iż jest to (podobnie jak nazwy niektórych politycznych partii) zapis obłudny, bo sprowadzający się w istocie do „wartości” rzymskokatolickich; trudno wszakże wyobrazić sobie, aby tolerowano w telewizji programy, w których kwestionowano by, jak czyni się to w niektórych religiach chrześcijańskich, na przykład kult Matki Boskiej, Jej wniebowstąpienie, sens pielgrzymek albo też by pozostawiano bez komentarza wypowiedzi pastorów protestanckich, mówiących, iż aborcję uważają wprawdzie za akt zabójstwa, o czym starają się przekonywać wiernych, sprawę odpowiedzialności pozostawiając jednak w rękach Boga.

Pomysł odwołania rzecznika praw obywatelskich (obywatelskich, nie zaś wyłącznie rzymskokatolickich, a nawet chrześcijańskich) oraz traktowanie jego zastrzeżeń do pewnych przepisów ustawy, która nie wzbudziła zachwyty pośród wielu wierzących i praktykujących katolików, a także bzdury, jakie w związku z tym nawypisywano chociażby w »Niedzieli«

---

<sup>9</sup> J. Tischner *Czy Kościół...* op. cit.

czy »Słowie«, wskazują po prostu na to, iż ci, co je produkują, albo nie mają pojęcia, na czym walka z religią i Kościołem naprawdę polega, albo też nie poczuwają się do żadnej odpowiedzialności za słowo. Dramatyczny apel między innymi samego kardynała Glempa o „obronę praw wiary, praw ludzi wierzących”, którzy „mają prawo do swojej obecności w życiu publicznym”<sup>10</sup> muszą dziwić w państwie, którego prezydent nosi wizerunek Matki Boskiej w klapie, premier jest — czemu daje publiczny wyraz — osobą praktykującą, koalicja rządowa a nawet parlamentarna opozycja składa się w większości z różnych odcieni katolików<sup>11</sup>. W państwie, w którym pokazuje się raz po raz rozmaite twarze oficjalów (tak jakby modlić się oni mogli tylko w świetle telewizyjnych reflektorów), w którym prezydent i sejm mają własne kaplice (bowiem, jak wiadomo, to Pan Bóg ma obowiązek przybywać do swych wyznawców, a nie odwrotnie). I w państwie, w którym kancelaria prezydenta nadaje komunikaty: „Gościem prezydenta na mszy św. i śniadaniu w Belwederze był...”<sup>12</sup>, nie odczuwając w nich żadnej niestosowności w nazywaniu Lecha Wałęsy gospodarzem owej mszy.

Te kaplice, msze, nie przemyślane do końca zapisy wskazują na pewien niebezpieczny — także dla Kościoła — objaw: satysfakcjonowanie się zewnętrżnością. A czymś „zewnętrżnym” może stać się nawet ważki religijny symbol, na przykład krzyż i modlitwa wprowadzone do szkoły na mocy ustawy. Moc sprawcza takich ustaw jest z reguły pozorna. Tak jak niegdyś zakaz wieszania krzyża, odmawiania modlitwy i uczęszczania na religię nie wpłynął na przyśpieszony proces laicyzacji, a nawet w ogromnej mierze ją udaremnił, tak i dziś obowiązujący w tej dziedzinie nakaz może przynieść odmienne od zamierzonych rezultaty. Już je, zdaje się, w wielu wypadkach przynosi.

Spory wokół obecności krzyża w szkole (sprawy, o którą nie warto nawet ateistom i innowiercom kruszyć kopii; jego obecność w klasie szkolnej ani nie oznacza religijnego przymusu, ani nie może sprowokować aktów nietolerancji) »Wprost« (18/93) określa sugestywnie jako „łamanie krzyżem”. Jest w tym przesada, podobnie jak w końcowej konkluzji po-

<sup>10</sup> »Słowo — Dziennik Katolicki« z 22 IV 1993.

<sup>11</sup> Tekst pisany był za czasu rządów Hanny Suchockiej — przyp. red.

<sup>12</sup> Informator kancelarii Prezydenta z 9 III 1993.

święconego tej kwestii artykułu: „Dla »ludzi złotego środka« kończy się czas siedzenia okraciem na barykadzie”<sup>13</sup>. Sytuacja wymaga raczej rozważa niż barykad. Rozważa nie musi zresztą oznaczać jakiegokolwiek z którejkolwiek strony konformizmu, odwrotnie, może być synonimem odwagi — wbrew temu, co się pisze — między wierzącymi a ateistami. Podział przebiega przede wszystkim wewnątrz Kościoła.

I choć jest to podział wynikły raczej z politycznych niż teologicznych przyczyn, można wyraźnie mówić o tych, co przesłanie II Soboru Watykańskiego traktują serio, i o tych, co uważają je praktycznie za nic. Podział przebiega też — co bardziej widoczne, bo rozgrywa się niemal na oczach wielomilionowej widowni — między katolickimi partiami w sejmie, a także wewnątrz katolickiej prasy. Jeśli idzie o tę ostatnią, gdyby sporządzić wzorem ks. Ludwika Civaroli (*Podręcznik Akcji Katolickiej*, 1935) wykaz periodyków dobrych, czyli „nie tylko nie sprzeciwiających się dogmatom i moralności chrześcijańskiej”, ale będących „narzędziem ich rozgłaszania i obrony”, oraz periodyków złych — ogromna ilość urzędowych obrońców „wartości chrześcijańskich” pośród pierwszych umieściłyby pewnie pełne nienawiści »Niedzielę«, »Słowo« i »Gazetę Polską«. »Tygodnikowi Powszechnemu« wyznaczono by zaś niewątpliwie miejsce nie tylko obok »Gazety Wyborczej«, ale i niegdysiejszej »Trybuny Ludu« (choć to właśnie zespół »Słowa« pozostawał przez lata w jej bardzo bliskim sąsiedztwie). Część katolików zwanych elegancko „katolewicą” (a należeć do niej mogą nie tylko wieloletni publicyści świeccy, lecz i duchowni) jest dziś w oczach innych katolików bardziej niebezpieczna od jawnych wrogów<sup>14</sup>.

<sup>13</sup> B. Mazur, *Polska Rzeczypospolita katolicka. Łamanie krzyżem*, »Wprost« nr 18/1993.

<sup>14</sup> M. in. Ojciec J. Pach w marcu 1993 na Jasnej Górze: „Niech Maryja, Matka i Królowa, osłania was swym płaszczem i płonąca gromnicą przed stadem wilków — zwłaszcza przed tymi w owczej skórze, deklarującymi się jako postępowi katolicy” (za: »Wprost« nr 18/1993); zarzuty »Słowa« pod adresem niemiłych redaktorom partii politycznych (w większości katolickich), iż „nie kryły swojej wrogości wobec Kościoła i negacji wartości chrześcijańskich (»Niedziela« z 22 IV 1993); rozlegające się tu i ówdzie żądania, by »Tygodnik Powszechny« pozbawić przymiotnika „katolicki”, niechęć do duchownych udzielających wywiadów na przykład »Gazecie Wyborczej«, nawet jeśli — jak b. sekretarz Episkopatu, abp Bronisław Dąbrowski — zajmować się mają kontaktami z tymi, co nie wierzą, a więc nie czytają z reguły ani »Słowa«, ani »Niedzieli«.



Jest też pewnym, iż z reprezentowania „katolewicy” (co rzecz jasna świadczyć będzie na jej niekorzyść) łatwiej się będzie porozumieć ogromnej ilości niewierzących czy protestantów niż posłom z ZCHN, SdRP czy PC. Można by na to machnąć ręką: w końcu ten typ pokrewieństw czy różnic nie obchodzi nikogo poza nieliczną środowiskową grupą tzw. intelektualistów (a jak twierdzi »Niedziela«: „myśliciele zaszkodzili niejednemu, i to jeszcze jak”) i tzw. „elitami”. Ale rzecz dotyczy w gruncie rzeczy wszystkich wierzących. Wydaje się, że przed Kościołem, jeśli chce być względną jednością i niewątpliwym autorytetem, stoi naprawdę o wiele więcej „wewnętrznych” niż „zewnętrznych” problemów. Być może to one właśnie uniemożliwiają, przynajmniej na dość długo, stworzenie „państwa wyznaniowego”, jeśli ktoś (a jest tak na pewno) o nim myśli.

[1993]



# Kłopoty z opozycją

Tytuł wydanego przez londyński »Aneks« ponad 600-stronicowego dzieła Andrzeja Friszkego brzmi z pozoru stanowczo i jednoznacznie: *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980*. Jak bardzo złudną jest owa jednoznaczność wskazuje choćby polemika, jaką książka wywołała. Tylko w niewielkim stopniu skoncentrowana na ocenie tego, co się u Friszkego znalazło, w o wiele większym na różnych rzeczywistych i rzekomych opuszczeniach i „naddatkach”. A więc na tym, co zdaniem poszczególnych dyskutantów w pojęciu „opozycji politycznej” się mieści, a zostało tu pominięte (jak np. instytucja Kościoła katolickiego jako całość, ruch oazowy, protesty robotnicze z czerwca 1956 i 1976 oraz grudnia 1970) oraz na tym, co zostało przypisane mu bezprawnie („rewizjonizm”, a nawet ruch opozycyjny lat 1950–75 w ogóle, „różne kolorowe papużki, koliberki, motyle i małpeczki”<sup>1</sup>, czyli niezadowolone z systemu inteligentkie grupki, etc., etc.).

Pojęcie „opozycja” okazuje się więc nad wyraz elastycznym i w znacznym stopniu zależnym od światopoglądowych preferencji polemistów. Nad całością sporów unosi się w dodatku bezradne pytanie, sformułowane wprost przez Andrzeja Urbańskiego w »Arce«: „Kto jest bohaterem głównym tej książki?”<sup>2</sup>.

---

<sup>1</sup> Sformułowanie Tomasza Strzembosza z recenzji książki zamieszczonej w »Tygodniku Solidarność« nr 50/1994. Jej autor zarzuca Friszkemu patrzenie na historię z „okien salonu politycznego”, z którego nie widzi się lub „niedowidzi” tego, co masowe i prawdziwie — jak Kościół katolicki — antykomunistyczne. Podobnie sądzi cytujący obficie Strzembosza, Janusz Zabłocki (»Ład«), a także niektórzy uczestnicy rozmowy redakcyjnej (z udziałem autora) w »Arce«, mniej zresztą od tamtych w swych opiniach apodyktyczni, tendencyjni i agresywni.

<sup>2</sup> »Arka« nr 4–5/1994.

Jednym słowem wszystko zda się problematyczne. Nic w tym zresztą dziwnego. Historię opozycji politycznej można spisywać i oceniać z pełną świadomością tylko wtedy, gdy istniała ona legalnie, a więc miała określone formy organizacyjne (najczęściej partyjne) i określony status, na przykład, przez udział w parlamencie, a bodaj możliwość publicznego wyrażania swych opinii. O wiele trudniej o konsekwencję i precyzję, gdy mówi się o „opozycji” wobec władzy, która przymykała wprawdzie niekiedy oczy na pewne działania opozycyjne, zawsze jednak traktując je jako pół (lub całkowicie) kryminalne, a w dodatku rościła sobie prawo do dowolnego określania, co w ogóle jest opozycją i w jakim wymiarze. Słowa „opozycja” używano zresztą w oficjalnych enuncjacjach niechętnie. Jest znamionym, że nie występuje ono jako hasło w *Marcowym gadaniu* Głowińskiego, choć wtedy właśnie pojawiała się od czasu do czasu w dezawuujących ją zbitkach (jak sławna „bananowa opozycja”), a w partyjnych dokumentach dzielono ją nawet wedle skali zagrożenia: „pierwszego, drugiego i trzeciego rzutu”. Ale partyjna nowomowa lubująca się w określeniach bardziej przemawiających do wyobraźni korzystała na ogół o wiele chętniej z określeń, które uważała za eufemizmy: „bandyci” bądź „bankruci polityczni”, „agenci”, „wrogowie własnego kraju” itd., itd. Zapas inwektyw był, jak wiadomo, pomysłowy i szeroki od czasu walki z opozycją jeszcze legalną, bo Mikołajczykowską, przez wszystkie późniejsze etapy, ze szczególnym nasileniem w latach stalinowskich i okresach tzw. „kryzysów” lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Jedyną chyba w miarę obiektywną definicję „opozycji” odnaleźć można w wydanym w 1966 roku tomie 8 *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej*. Odnosi się ona do „opozycji parlamentarnej” w... *Wielkiej Brytanii*.

Terminu „opozycja polityczna” używała jednak (jeśli nie liczyć lat 1945-47) dość niechętnie i sama opozycja, bywało nawet, że się od niego — czy to z przekonania czy ze względów taktycznych — odżegnywała. Przynajmniej do czasu, bowiem od lat siedemdziesiątych (i to jeszcze przed rokiem 1976) zaczął on funkcjonować, najpierw w niektórych tekstach drukowanych przez jej przedstawicieli w pismach emigracyjnych, później też w prasie drugiego obiegu. Ale nawet wówczas nikt nie analizował samego pojęcia. Nie wydawało się to konieczne także autorowi wydanego w drugim obiegu (1989) *Leksykonu opozycji politycznej lat 1976-89* przyjmującemu za podstawę opozycyjności po prostu nielegal-

ność (ugrupowań politycznych, wydawnictw, periodyków). Wszystkie poważniejsze prace historyków czy publicystów emigracyjnych i — po roku 1976 — krajowych brały zaś za przedmiot rozważań tylko wybrane zagadnienia, najchętniej (jeśli nie liczyć książek Lipskiego i samego Friszkego o KORze) dotyczące pierwszego powojennego trzylecia.

Tak więc Andrzej Friszke podjął się zadania pionierskiego nie tylko dlatego, że — co podkreślają nawet jego adwersarze — zgromadził, uporządkował i zinterpretował ogromny materiał (w tym archiwalny), dotąd prezentowany najwyżej fragmentarycznie, ale i dlatego, że zmierzył się z czymś niby wiadomym, lecz tak naprawdę niejasnym i nieokreślonym. Czymś co — jak chce Tomasz Strzembosz — winno być „usystematyzowane” i „przejrzyste”, ale takim z tysiąca powodów być nie może, przynajmniej w książce, mającej charakter (za co jej chwala) syntezy.

Trudność podstawowa wiąże się przecież nie tylko ze zdecydowanym ustaleniem, co w PRL opozycją było a co nie, ale także z wyraźnym określeniem czym był sam PRL, czy raczej „peerelowski” ustrój, realizowany znacznie wcześniej niż zaczęła funkcjonować usankcjonowana dopiero konstytucją z roku 1952 oficjalna nazwa.

Próby sprecyzowania istoty owego ustroju, podlegającego wprawdzie znacznym ewolucjom, lecz opierającego się na zasadniczo niezmiennych regułach — podjęto w III RP dość szybko i powszechnie. Jeśli jednak nie liczyć pryncypialnych lecz schematycznych diagnoz, stawianych przez tzw. anty-komunistycznych radykałów, nie osiągnięto w tej mierze zgody. Co poświadcza także ostatnia, wielomiesięczna ankieta »Tygodnika Powszechnego« *Spór o PRL*; mimo że wzięły w niej udział takie w tej mierze autorytety jak Jan Nowak-Jeziorański, Leszek Kołakowski, Krystyna Kerstenowa, Andrzej Paczkowski, Jakub Karpiński, Jerzy Holzer. Nie ma nawet jasności co do tego, czy był to system totalitarny; wątpliwości w tej mierze nie budzą tylko lata stalinowskie.

Grzązki i amorficzny jest więc cały teren, po którym przyszło się Friszkemu poruszać<sup>3</sup>: opozycja i punkt jej odbicia. Ponieważ jednak mię-

---

<sup>3</sup> Wątpliwości mogą tu budzić nawet daty graniczne; szczególnie początkowa, druga wynika bowiem zapewne z konieczności. I istotnie rozmowę w »Arce« rozpoczyna pytanie o to, czemu za punkt wyjścia nie przyjęto roku 1944. Friszke motywuje swą decyzję tym, że dopiero od roku 1945 można mówić o Polsce jako państwie w sensie prawa

dzy jednym i drugim musi istnieć ścisła specyficzna zależność, zasadne staje się cytowane przeze mnie pytanie z »Arki«: „kto jest głównym bohaterem książki?” I wydaje się, że odpowiedź może być tylko złożona. Jest nią tyleż opozycja, co PRL. To bynajmniej sprawy nie ułatwia.

\* \* \*

Andrzej Friszke, historyk nad wyraz sumienny, nie zadawała się oczywiście stwierdzeniem, że jeśli coś jest trudno definiowalne to nie należy tego definiować w ogóle. Odwrotnie, stara się możliwie dokładnie zaprezentować przedmiot swego opisu: „Opozycją polityczną [...] było świadome, zaplanowane, oparte na pewnym programie działanie organizacyjne lub intelektualne na rzecz obalenia systemu lub jego reformy w kierunku ograniczenia monopolu władzy partii i przywrócenia podmiotowości społeczeństwa. Aby pewne środowisko lub osobę uznać za przedstawicieli opozycji, ich działalność musiała być przez władze oceniona negatywnie i zagrożona represją lub — co najmniej — szykanowaniem i ograniczeniem wpływu na społeczeństwo”. Tak pojętą opozycję wyraźnie przeciwstawia się „oporowi”, a więc „spontanicznemu, nie zorganizowanemu i nie kierowanemu sprzeciwowi wobec narzuconego porządku politycznego, ideologicznego, często połączonemu z obroną tradycyjnych wartości”.

Wszystko jest tu więc wyłożone wprost, co nie znaczy, że do końca satysfakcjonująco, z czego zdaje sobie niewątpliwie sprawę sam autor, skazany niejako z góry na różne manewry i asekuracje. O ile bowiem jest dość oczywistym, co oznacza „działanie organizacyjne”, to formuła „działanie intelektualne” może budzić poważne wątpliwości. Podobnie jak określenie „pewien program”. „Pewien” czyli jaki? Gdzie przebiega granica między załączkiem choćby programu a zbiorem pobożnych życzeń? Są to wszakże niedopowiedzenia nieuniknione, bowiem bez nich nie sposób pomieścić (zresztą zasadnie) w ramach jednych rozważań zjawi-

---

międzynarodowego. Wydaje się to zasadne i z innych względów: do połowy roku 1945 można mówić raczej o pewnej „dwuwładzy”, tyle że z wyraźną (dzięki zapleczu radzieckiemu) przewagą rządu lubelskiego. Ta dwuwładza kończy się jednak definitywnie wraz z oficjalnym samorozwiązaniem podporządkowanych Londynowi sił zbrojnych oraz Delegatury Rządu i Rady Jedności Narodowej, poprzedzonym aresztowaniem i procesem „szesnastu”.

sko niejednorodne. Powstają jednak i inne pytania. Czy na przykład „opozycja polityczna” i „opór”, tak jak je przedstawia Friszke, wyczerpują całość problemu? W którym z owych pojęć pomieścić na przykład sytuację, towarzyszącą latom stalinowskim, kiedy „opozycja polityczna” praktycznie nie istniała<sup>4</sup>, bo istnieć nie mogła, ale opór społeczny wykraczał daleko poza ramy czegoś „spontanicznego”, a „obrona wartości tradycyjnych” (w wielu środowiskach — nawet gimnazjalnych, domach i Kościele) miała charakter działania zaplanowanego na długo, choć istotnie „nie zorganizowanego”. I odwrotnie — czy tak zwane „podziemie” lat 1945-47 niewątpliwie zorganizowane (oczywiście na miarę możliwości), kierowane i związane z różnymi opcjami ideologicznymi można nazwać „opozycją polityczną”, na co z pewnością nie przystaliby jego przywódcy<sup>5</sup>. Czy nie należało — jak to sugerował już Jerzy Jedlicki — w ogóle zacząć zasadniczą część książki od połowy lat pięćdziesiątych, resztę czyniąc zaledwie wstępem. Tym bardziej, że sam Friszke uznaje ten okres za przełomowy, między innymi za względu na zupełnie inne już relacje — władza i jej przeciwnicy. I to nie tylko z uwagi na ustanie powszechnego krwawego terroru, ale również zupełnie inne rodowody i cele stawiane sobie w latach następnych przez opozycję.

Po roku 1955 nie tylko nie będzie przecież mowy o zbrojnym oporze, ale nie odrodzi się też żadna (choćby szykanowana i ograniczana w swych działaniach) „opozycja parlamentarna”, której kres niektórzy<sup>6</sup> dostrzegają

---

<sup>4</sup> Friszke wskazuje wprawdzie na pewne jej ślady, bardzo jednak ulomne. Być może, że jest ich więcej, wiedza o nich jest jednak na razie żadna; wolno też wątpić, by ocalała ich dokumentacja. Tak czy owak mogły to być grupy nieliczne i głęboko zakonspirowane bez żadnego praktycznego wpływu na rozwój wydarzeń.

<sup>5</sup> Nie sposób w tej mierze nie przyznać racji Andrzejowi Urbańskiemu, gdy mówi „Tak na dobrą sprawę czy Niepokólczycki był opozycjonistą wobec PRL? Nie. On zwalczał nowy, tworzący się ustrój siłą zbrojną dopóki to było możliwe. Niepokólczycki jest tutaj tylko symbolem dziesiątek tysięcy ludzi, którzy to robili”.

<sup>6</sup> Marek Łatyński w książce *Nie paść na kolana. Szkice o opozycji lat czterdziestych* (Londyn, 1985) za datę graniczną uznaje jedno z pierwszych posiedzeń Sejmu — 8 lutego 1947, kiedy to usłyszano tam świetne i nad wyraz ostre przemówienie Zygmunta Żuławskiego, przerwane przez marszałka: „Było to ostatnie takie przemówienie” i poza nielicznymi posłami z PSL, nikt nie miał go odwagi nagrodzić oklaskami. Odtąd można już było mówić nie o opozycji, lecz o „pojedynczych, sporadycznych deklaracjach niezgody [...], o aktach sprzeciwu.”

jeszcze w okresie, gdy istnieje SP Karola Popiela i Mikołajczykowski PSL. Nie będzie nawet miejsca na spacyfikowaną lubelską wersję PPS czy PSL, a Władysław Gomułka wkrótce po dojściu do władzy będzie mówił o „sojuszniczym” przecież ZSL, iż trzeba bardzo uważnie mu się przyglądać. Wcześniej — kampanią o „głosowanie bez skreśleń” — pozabawiono zarówno ZSL, jak i SD szans w wyborach do Sejmu.

Wszystko to sprawę „opozycji” lat następnych niezwykle komplikuje, o czym trzeba pamiętać, jeśli chce się naprawdę sprawiedliwie ocenić nie tylko skuteczność takich a nie innych decyzji selekcyjnych, podjętych przez Friszkego, ale i samą bohaterkę tytułową jego książki.

Bardzo wielu jej czytelników (i recenzentów) zda się uważać, iż za opozycję polityczną w PRL uznawać można te tylko ugrupowania, które miały charakter zdecydowanie „antyustrojowy” (czytaj anty-komunistyczny). Mniejsza z tym, że jest to sprzeczne zarówno z definicją Friszkego, jak i zwyczajowym rozumieniem terminu (rzeczownik „opozycja” oznacza wszak nie bezpardonową walkę a sprzeciw, sprzeciw ten można zgłaszać zarówno pod adresem całej rzeczywistości politycznej, jak i pewnych jej elementów; na tej zasadzie działa większość partii politycznych w krajach demokratycznych). Gdyby rzecz traktować dogmatycznie okazałoby się, że poza radykalnymi partiami (typu ND) o rodowodzie nie-lewicowym, żadna „opozycja polityczna” w PRL nie istniała. Trzeba wówczas zakwestionować prawo do używania tej nazwy nawet przez Popielowski SP i Mikołajczykowski PSL, które specjalnych nadziei na obalenie ustroju nie żywiły, a chciały tylko mieć pewien wpływ na jego kształt. Pozostaną więc na placu boju stronnictwa i ugrupowania prawicowe, które jednak (poza krótkim okresem działalności w zbrojnym podziemiu oraz w zmienionej postaci po roku 1976) w ogóle nie mogły się w omawianym przez Friszkego okresie ujawnić, nawet w latach różnych „odwilży” z październikową włącznie. W kwietniu 1956 ściśle tajny protokół z narady Komitetu d/s Bezpieczeństwa z kierownikami urzędów wojewódzkich informował wprawdzie, iż obserwuje „duże ożywienie” „byłych elementów” AK-owskich, WRN-owskich NZS-owskich, chadeczek, „nacjonalistów ukraińskich” i „reakcyjnego kleru”, ale nie danym im było rozwinąć żadnej działalności. Podobnie jak zduszono od razu wszelkie antykomunistyczne i antyradzieckie nastroje, „przejawiające się wśród repatriantów” z ZSRR, głównie „b. członków AK z wileńszczyzny”. Ani oni, ani środowiska niechętnie od początku Gomułce nie mogły



w żaden publiczny sposób wyrażać swych opinii, stąd zapewne wrażenie nastroju ogólnej euforii, towarzyszącego pierwszym miesiącom po VIII Plenum.

Nieliczne pomniejsze i nie tak wyraźnie ideowo określone, legalne inicjatywy — nawet typu istniejącego 6 tygodni Związku Młodzieży Demokratycznej — bardzo szybko się likwiduje, co więcej, aż do powstania ROPCIO, nie mają one większego rezonansu, może z wyjątkiem grupy „Ruch”, której siła oddziaływania jest i tak znacznie mniejsza niż np. KORu i innych inicjatyw przypisywanych „lewicy” — z akcją oświatową i wydawniczą włącznie. Niezależnie bowiem od przyczyn, które złożyły się na ten stan rzeczy, faktem jest, że o organizacjach typu „prawicowego” (zarejestrowanych przez Friszkego z rzetelnością, na jaką pozwalają dostępne dokumenty) słyszało się zwykle szerzej tylko z okazji procesów politycznych, których im nie szczędzono.

Na placu boju pozostawała więc długo jedynie opozycyjna „lewica”, w dodatku wcale nie ta o rodowodach przedwojennych. A nawet więcej — głównie PZPR-owska, nierzadko odpowiedzialna za „miniony okres”. W dodatku przez 20 lat nie zorganizowana, a jeśli wykorzystująca jakieś formy instytucjonalne, to legalne i raczej o charakterze dyskusyjnym.

Jest to jeden z powodów, dla których mówienie o „opozycji” lat 1956-76 uważa się nieraz za nadużycie. Tomasz Strzembosz pisze wręcz, iż mówić można wówczas „o »opozycji« Jasia wobec Józia, kółka Kasi wobec grupy Mieczysława”. Andrzej Urbański (porównując rzecz do walk na szekspirowskim dworze): „Jeden karzeł zabija drugiego karla. Jeden Zambrowski kłóci się z drugim dżentelmenem. O co się kłóć? O opozycję, o rewizjonizm? Nie, oni się kłóć o władzę dla siebie. Przecież to jest realny spór do co najmniej 66-ego roku”.

Gdyby szło o sytuację w normalnym, demokratycznym kraju można by zastrzeżenia te uznać za zasadne. Ale Polska popaździernikowa nie była krajem demokratycznym a tylko „zdemokratyzowanym” — i to w stosunku do okresu tak jednoznacznego, jak stalinowski. W normalnym demokratycznym kraju różnice zdań, jakie cechują członków danej partii nazywa się co najwyżej wewnętrzną dyskusją. Gdy są one bardziej drastyczne mówi się o frakcjach. W PZPR jednak — wzorem KPZR, gdzie zlikwidował je jeszcze w roku 1921 Lenin — o żadnych frakcjach mówić nie było wolno, wyjąwszy krótki okres przed i po objęciu władzy przez Gomułkę. W okresie stalinowskim nawet „dyskusja” nie była możliwa; o

tym, że nie jest to partia monolityczna do śmierci Bieruta w ogóle nie wspominało się nawet w partyjnych dokumentach, a i potem nie podawano ich do publicznej wiadomości (wystarczy przypomnieć, że najbardziej burzliwe VII Plenum z lipca 1956, zreferowane zostało niezwykle powściągliwie, częściowo, w sposób daleki od prawdy, i to nawet w miesięczniku o tak małym kręgu rzeczywistych odbiorców jak »Nowe Drogi«).

Owszem, wiadano dość powszechnie — choć nieoficjalnie — o grupie „puławian” i „natolińczyków”, czyli mniej elegancko „Żydów” i „chamów”. Żadnej z nich nie można było nazwać „opozycją polityczną”, chyba, że w stosunku do zbrodniczego systemu, który samemu się współtworzyło i który został zamknięty, nie dzięki tym bardziej w partii oświeconym, lecz na skutek „okoliczności zewnętrznych”. Zresztą w okresie, kiedy grupy te toczyły między sobą zaciekle spory nie wiadomo było jeszcze, która z nich zostanie przy władzy i której — wobec tego — przyszłoby pełnić rolę opozycji.

Ale od momentu, gdy Władysław Gomułka zapowiedział walkę z „rewizjonizmem” (a zrobił to bardzo szybko, bo już w styczniu 1957, bardzo sprawnie ją następnie rozwijając) rzecz nie jest już tak jednoznaczna. Szczególnie, jeśli wierzyć (a są takie podstawy, potwierdzone późniejszym biegiem wydarzeń), że nie szło tu tylko — by użyć współczesnego języka politycznego — o „stołki”, ale i pewien styl sprawowania władzy oraz pewne (oczywiście niezwykle ułomne) swobody polityczne.

Na temat tego, czy „rewizjonizm” w partii lat 1957-68 był czy nie był „opozycją” można mieć różne zdanie i różne na rzecz swego poglądu argumenty. Z pewnością rzecz wyglądała inaczej w wypadku elit, inaczej gdy szło o członków szeregowych. Tak czy inaczej problem „rewizjonizmu” jest jednak dość charakterystyczny.

„Rewizjonizm” od początku uznany bowiem został za „opozycję” niejako z odgórnego „nadania”. I to za „opozycję” (nie używano zresztą jeszcze wtedy tej nazwy) niebezpieczną, bo stanowiącą — jak to określił w maju 1957 Gomułka — „punkt oparcia dla wszystkich sił reakcyjnych”, nie tylko w kraju (później łączono go wszak — jako „rewizjonizm zwyrodniały” — z trockizmem). Rzecz sprowadzała się zatem nie tylko do politycznych elit, także do większości działań tych wszystkich, których tenże sekretarz nazwał na IX Plenum „pozał się Boże, lewicą”.

Już wkrótce po dojściu do władzy Gomułki, można było dostrzec wyraźne znamiona konfliktu. Za jeden z najwcześniejszych jego symptomów wolno uznać artykuł Romana Zimanda w »Po prostu« (nr 43), wprowadzający jaskrawe rozgraniczenie (co prawda tylko w odniesieniu do publicystów) na tych, którzy piszą o „błędach i wypaczeniach systemu” i tych, którzy piszą o „tzw. błędach i wypaczeniach”. Nie był to spór werbalny. Szło o tych, którzy uważają, iż wystarczy „usunąć błędy i wypaczenia”, by system funkcjonował wspaniale i o tych, którzy sądzą, że „trzeba zmienić system społeczno-polityczny zwany stalinizmem”, bowiem system ten, choć narodził się w „przodującym kraju” nie ma nic wspólnego z socjalizmem. Pisali o tym i inni ówcześni członkowie partii (niektórzy, jak Zimand, pozostali w niej już niedługo, inni jak Kołakowski jeszcze przez dziesięciolecie lub dłużej). Tyle, że większość podobnych tekstów lądowała w archiwach Głównego Urzędu. Ich treść wyraża dobrze komentarz cenzora, dotyczący *Zapisków* Jana Strzeleckiego: „wszystkie mają jedno na celu, dowieść, że to, co się dzieje w krajach socjalistycznych — Polsce i Związku Radzieckim [...] nie ma nic wspólnego z socjalizmem”<sup>7</sup>. Nic dziwnego skoro w (również zatrzymanym) tekście Kołakowskiego<sup>8</sup> z okresu po „interwencji” na Węgrzech pośród cech, określających „czym socjalizm nie jest”, znalazły się m.in. punkty: „państwem, którego żołnierze pierwsi wstępują na ziemię obcego kraju”; „państwem, które sądzi, że tylko ono zbawi ludzkość” i że ma prawo do decydowania arbitralnego, co w myśleniu ludzi i narodów jest „słuszne” lub „niesłuszne”.

Jeśli dodać do tego upartą dążność do stworzenia samorządów robotniczych i terenowych, różnych inicjatyw oddolnych, przerzucenie obowiązku zatwierdzania planów gospodarczych z Biura Politycznego na Sejm, i wiele jeszcze innych pomysłów, rozsadzających nie tylko „stalinowski” system, trudno nie dostrzec w tym wszelkich cech „opozycji politycznej”, dążącej do „upodmiotowienia” ustroju przez jego dość radykalną reformę.

Paradoks polegał na tym, że dość długo ludzono się, że owa reforma jest również celem Gomułki. Cała publicystyka »Po prostu« i innych pism

---

<sup>7</sup> AAN, zespół GUKPPiW, t. 845.

<sup>8</sup> j.w.

„młodej inteligencji”, działalność licznych młodzieżowych organizacji, klubów dyskusyjnych etc., etc. miała wspierać, a nie kwestionować, linię „odrodzonej partii”. Nawet fakt bardzo rychłej likwidacji, owych — wątplych przecież „instytucji demokratycznych”, nie zmienił tego przekonania; utwierdzał, co najwyżej, w mniemaniu, iż dążeniom I sekretarza przeciwdziałały wpływy „beton”. Myślenie to zaczęło się zmieniać około połowy lat sześćdziesiątych. Jeszcze *List otwarty* Kuronia i Modzelewskiego z roku 1964, który uznać można za pierwszy tak obszerny dokument programowy, adresowany był do partii (co prawda do jej członków, a nie do Biura). Jeszcze po sesji na UW w 10-lecie Października, gdzie nie kryto rozczarowania rozwojem wypadków, wierzone, że dla ludzi o poglądach prezentowanych m.in. przez Pomiana i Kołakowskiego jest wciąż w partii miejsce itd, itd. Dopiero rok 1968 przyniósł w tej mierze otrzeźwienie, choć dalej (i tak było jeszcze w sierpniu 1980) stano na gruncie reformowalnego socjalizmu.

Wszystko to — a ten stan rzeczy nie skończył się wraz z połową lat siedemdziesiątych — sprawiało, że jak pisał w polemice z Tomaszem Strzemboszem Jerzy Jedlicki w »Gazecie Wyborczej«: „Polską specyfiką był właśnie brak ostrych rozgraniczeń między tym, co wewnątrz i co zewnątrzsystemowe, półlegalne i całkiem nielegalne, jawne i zakonspirowane”.

A dotyczyło to przecież nie tylko „lewicy”, ale i środowisk katolickich, liberalów, i neopozytywistów Znak, i wielu innych. Nie wyłączając wcale — inteligentnych i robotniczych — komunistów z Rewolucyjnego Związku Młodzieży, którzy nie nadawali się (wbrew opiniom Strzembosza i Zabłockiego) na sojuszników systemu, bo ich popaździernikowe hasło „powrotu do źródeł” oznaczało bardziej powrót do pewnej utopii niż do jakiegokolwiek — zrealizowanego w praktyce — systemu. Rzecz jasna możliwość (bo projekty te udaremniono) „opozycji komunistycznej” (a była nią i „frakcja chińska”) w kraju dążącym do komunizmu zda się aberracją<sup>9</sup>, nie dziwiącą jednak specjalnie w peerelowskiej „nierzeczywistości”.

---

<sup>9</sup> Jedną z takich „komunistycznych” inicjatyw Friszke pomija, nie wspominając wcale ani o nazwisku Mijała, ani byłego przodownika pracy Michała Krajewskiego, choć szykowali oni przecież prawdziwy „zamach stanu”. „Robotniku polski! Zbudź się, rewolucja Cię wzywa! [...] dopóki nie przepędzisz kliki pana Gomułki i innych macherów od polityki,

Jest przecież rzeczą niezwykle charakterystyczną, że główne ataki władzy wymierzone były w ów nurt „opozycyjny”, kojarzący się przede wszystkim z »Po prostu«, Klubem Poszukiwaczy Sprzeczności, „komandosami”, którzy — tak długo jak długo było to możliwe — „próbowali częściowo dostosować się do ram prawnych i instytucjonalnych, ustanowionych przez władze”<sup>10</sup> i których ideologia i program (czy to, co uchodzić mogło za ramy programu) nie powinny być sprzeczne z dążeniami rządzących, przynajmniej gdyby brać serio oficjalne oświadczenia tych ostatnich.

Ale to właśnie owym „stojącym na gruncie zasad ustroju” grupom poświęcano (zarówno na różnych tajnych naradach, jak w prasie) szczególnie wiele uwagi, choć w tych akurat przypadkach (inaczej niż w odniesieniu do „prawicy” czy grup o charakterze niemarksistowskim) trudno było otwarcie zakwestionować system reprezentowanych przez nie wartości<sup>11</sup>. Pewne niewątpliwe dysproporcje (na korzyść lewicy), jakie występują w książce Friszkego, stąd się między innymi biorą. Jako historyk zależny jest od dokumentów; większość tych, które znajdują się w archiwach dotyczy likwidacji, oskarżeń, rozpraw, procesów, aresztowań przedstawicieli tak zwanej „lewicy”. „Tak zwanej”, bo termin nie jest precyzyjny. Sama „lewica” nie była przecież jednorodna, a poza tym przypisywane jej ugrupowania i „salony polityczne” skupiały niejednokrotnie ludzi o różnych sympatiach ideowych i światopoglądowych, nie mówiąc już o współpracy między różnymi (np. KIK i „komandosi”) środowiskami. Oskarżanymi o działalność „polityczną” nawet wówczas, gdy o niej nie myśleli, bowiem jak wiadomo za „działalność polityczną”

---

dopóki nie wygonisz z kraju burżujów polskich i żydowskich, dopóki nie weźmiesz [...] krótko za pysk [...] fałszywej inteligencji, nikt Cię nie będzie poważał” pisano w roku 1964 w podpisanej przez Polską Partię Komunistyczną broszurze, którą zresztą „zaaresztowano” wraz z jej autorami, bez poważniejszych nota bene dla tychże konsekwencji.

<sup>10</sup> J. Karpiński, „Opozycja” w: *Polska, komunizm, opozycja: słownik*, Polonia, Londyn 1985.

<sup>11</sup> Podobny dylemat towarzyszył tłumieniu różnych „buntów” robotniczych (1956, 1970, 1976) i studenckich (1968), kiedy wysuwane przez rzekomych „antysocjalistów” i „agentów” żądania nie wykraczały nie tylko poza ramy ustrojowe, ale nawet poza to, co obłudnie głosiła partia (równość społeczna, prawo do „chleba i wolności”, rzetelna informacja itd. itd.).

mogło być uznane przez wymiar sprawiedliwości prawie wszystko: w okresie stalinowskim — strój „bikiniarski”, słuchanie jazzu, pomysł wystawienia *Kłątwy* czy *Kordiana*, później — interwencja w sprawie zwiększenia nakładu książek, inscenizacja *Dziadów*, czytanie emigracyjnych książek (niekoniecznie politycznych), wydawanie bądź przechowywanie drugoobiegowych tomików Miłosa czy Herberta oraz różne inne artystyczne czy „intelektualne działania”, raz tolerowane, kiedy indziej noszące w oczach władzy znamiona „dążenia do obalenia systemu”. Była to więc często „polityczność z mianowania”, co nie miało przy jej zwalczaniu większego znaczenia.

Ale „polityczność” — tym razem rzeczywista — zdominowała także myślenie opozycji — i to prawie każdej: z „prawa”, „centrum” i „lewa”. Sprawom ekonomicznym poświęcano niewiele miejsca, nie dostrzegając na ogół związku między obydwu sferami lub — dostrzegając go przelotnie. Tylko Stefan Kisielewski powtarzał przez lata uporczywie: „opozycja winna zacząć od nacisku społeczno-gospodarczego nie zaś śpieszyć się do zachodnich form demokracji politycznej [...] co w naszych warunkach (44 lata braku autentycznego życia politycznego) przybrać musi formę karykaturalną. Najpierw zdemokratyzować trzeba »bazę«, czyli uwłaszczyć społeczeństwo, a potem dopiero zając się »nadbudową«. Wolny jest ten, kto posiada środki — tak zresztą twierdził »sam« Karol Marks”<sup>12</sup>.

Lekceważenie dla „bazy” (wyraźne szczególnie od lat sześćdziesiątych) wynikało nie tylko z obrzydzenia do Karola Marksa. Jedną z cech całej opozycji było niewątpliwie i to, że wojowała o sprawy jej samej najbliższe. A że była to prawie wyłącznie (przynajmniej do końca lat siedemdziesiątych) opozycja inteligencka, to wartościami dla niej najistotniejszymi były „wolność”, „demokracja”, „niepodległość”, z rzadkim tylko żądaniem „chleba”.

Nie da się natomiast pod miano „opozycji politycznej” podciągnąć — jak chcą niektórzy — ani determinacji, która kazała wyjść robotnikom na ulice miast w roku 1956, 1970 i 1976, ani społecznego poparcia, jakie poprzez różne wiece udzielono jesienią 1956 Gomułce, choć to właśnie dzięki ówczesnym manifestacjom i wiecom udało się doprowadzić nie tylko do wyboru tegoż na I sekretarza, ale i uwolnienia Kardynała Wy-

---

<sup>12</sup> »Kultura«, Paryż, nr 1–2/1984.

szyńskiego czy odesłania Konstantego Rokossowskiego do Moskwy. Ale na żadnym etapie peerelowskich dziejów nie doszło do sytuacji, która miała miejsce w Czechosłowacji w czasie „praskiej wiosny”. A (nie trwający zresztą zbyt długo) opozycyjny sojusz „robotniczo-inteligencki” objawił się dopiero w latach wykraczających poza ramy omawianej książki.

Nie można też nazywać „opozycją polityczną” Kościoła, choć zdarzało się (zresztą nieczęsto i nie zawsze fortunnie), że zabierał on głos w sprawach polityki i zdarzało się (o wiele częściej), że doznawał politycznych represji. Kościół bronił po prostu pewnych wartości uniwersalnych, niezwykle odległych od tych doraźnych, którym chciano nadać oficjalnie moc obowiązującą. Nie akceptował komunizmu i starał się przeciwdziałać jego doktrynie. Ale ani zamiarem prymasa Hłonda ani Wyszyńskiego nie było uczynienie zeń instytucji „politycznej”, czy choćby instytucji popierającej takie czy inne opozycyjne partie czy grupy. W znacznym stopniu sytuację tę zmienił dopiero stan wojenny. Sprawy wzajemnych relacji Kościół i PRL to zresztą temat na oddzielną książkę, która została już zresztą napisana<sup>13</sup>.

Jedną z niebagatelnych zalet dzieła Friszkego jest i to, że uświadamia, ile tematów, zahaczających przecież o problem „opozycji w PRL” należy jeszcze podjąć. Zauważył to już w czasie rozmowy w »Arce« Łukasz Plesnar : „Nie wiem czy panowie zauważyli, że w czasie tej dyskusji powstały pomysły na cztery książki: o historii PRL-u, o mechanizmach wewnątrz PZPR-owskich, o historii ruchu oporu i intelektualistach polskich”. Należy je tylko napisać.

[1995]

---

<sup>13</sup> A. Dudek, *Państwo i Kościół w Polsce 1945-1970*, Kraków 1995.





# ANEKS



# *Myśli staroświeckiego Polaka po latach*

...czy zaś przyniesie ona więcej korzyści niż strat, nam wszystkim z prawa i lewa, zobaczymy.

Jan Józef Lipski  
w recenzji z książki, grudzień 1985

Kiedy w samym środku lat osiemdziesiątych Piotr Wierzbicki — głośny już nie tylko felietonami w prasie oficjalnej, ale i drugoobiegową powieścią-pamfletem *Cyrk* oraz drukowanym w »Zapisie« (nr 9/1979) *Traktatem o gnidach* — wydał w „Głosie” swoje *Myśli staroświeckiego Polaka* nie poświęcono im należytej uwagi. Mówiono o niej wprawdzie sporo, tak zwana „prawica” zapewne z satysfakcją, tak zwana „lewica” z oburzeniem. Jan Józef Lipski poświęcił im bardzo jak na siebie gniewną replikę w numerze 15 »Kultury Niezależnej«. W gruncie rzeczy jednak *Myśli* zlekceważono. Jak bardzo i jak niesłusznie pokazał dalszy bieg wypadków przez nikogo, nota bene, nieprzewidzianych.

Generalnym zamierzeniem *Myśli staroświeckiego Polaka* było — tak jak to sformułował autor — przeciwstawienie się tendencji, która „ślepe posłuszeństwo” polskiej inteligencji (opuszczonej w znacznej mierze w niesprawiedliwym, choć przenikliwym miejscami *Traktacie...*) przetworzyła w „ślepy protest”. Trzeba było nie lada odwagi, aby nie będąc autorem reżimowym, wręcz odwrotnie, niedawno internowanym, zdeklarowanym opozycjonistą, podjąć — w ogniu szlachetnej i upajającej walki z władzą — podobny zamiar, pisząc w dodatku bez ogródek i ze świadomością ryzyka: „polscy inteligenci z szatanów przemienili się w aniołów, a ja piszę tekst o tym, że jest to przemiana zła. Budująca [...], ale — w drugiej swej połowie — niebezpieczna, niepożyteczna, wręcz grzeszna. Narodowe i społeczne powołanie polskich inteligentów polega na tym, żeby w najtrudniejszej sytuacji zmobilizować taki potencjał idei, strategicznych planów, taktycznych rozwiązań [...], żeby naród miał pewność, iż jego przywództwo duchowe jest najbardziej kompetentne z możliwych

[...]. Tymczasem polska inteligencja, odrzuciwszy gnidzią skorupę zakłamania, wpadła prosto i gładko w ethos rocznicowo-ministrancki. [...] Oto stoją, pokazują jakieś znaki, powtarzają »chcemy żyć w prawdzie«, »zakorzenie«, »tożsamość«, deklamują zwrotki antytotalitarno — patriotycznej nowomowy [...]. Dlaczego? Bo uprawiając przez lat kilkadziesiąt małe gierki [...] tak chcą być moralnie nieposzkodowani i politycznie jednoznaczni [...]. Użyli rozumu w niegodnej sprawie, więc postanowili już więcej nie myśleć”.

Uderzając w symboliczne lub puste gesty, czynił to Wierzbicki z właściwą sobie przesadą, lecz tym razem trafiał w słabości konspiracyjnego życia bezbłędnie. Jeśli nawet nie był to głos „obiektywny”, był to z pewnością głos potrzebny. Gesty istotnie górowały nad myślą. Samozadowolenie moralne nad samokrytycyzmem. „Gestowość” i życzeniowość sądów nad potrzebą konfrontowania ich z poglądami innych, a co najważniejsze z rzeczywistością. Nie pamiętam, aby ktoś odważył się np. w tamtym czasie obnażyć tak brutalnie jak Wierzbicki mit o żadnym jedynie wolności i kapitalizmu całym narodzie. Wręcz przeciwnie — zdania dziś tragicznie banalne brzmiały wówczas jak herezja: „Polacy to jest bardzo dziwny naród. Gdy przyjąć na wiarę, co oni sami mówią i myślą o sobie [...] to można odnieść wrażenie, że ten naród przeżarty jest ideologią antysocjalistyczną, że żyje tu wyjątkowo dużo zwolenników systemu zachodniego [...] Otóż wrażenie to jest absolutnie mylne. [...] Chcieliby oni, to prawda, sprowadzić do Polski trochę, i to nawet sporo, zachodniej demokracji. Obradować, zgłaszać rezolucje, głosować, powtórnie głosować, nie zgadzać się, zgłaszać votum separatum, [...] udzielać poparcia, cofać poparcie, głosować po raz trzeci, czwarty, dziesiąty. [...] Parlamentarny demokratyzm z niekończącymi się debatami to jest żywioł, w którym czują się jak ryba w wodzie. Tego okres »Solidarności« dowiódł ponad wszelką wątpliwość. Ale okres »Solidarności« [...] dowiódł [...] czegoś jeszcze [...], że oni swą zachodnią demokrację chcieliby sprowadzić do Polski w sposób cudownie komfortowo — luksusowy: zdjąć ją jak wierzchnią piankę z zachodniego systemu gospodarki i włożyć delikatnie na wierzch systemu gospodarki socjalistycznej. Ma zatem być wolny rząd, niezależny parlament, mają być wolności osobiste i wolne związki — ale ma być również państwo, które zapewnia prawidłowe funkcjonowanie nadal uspołecznionej gospodarki, które daje wszystkim pracę, które gwarantuje wysokie dochody. [...] Nowojorskie pieniądze z pracy peerelowskiego pracownika. [...] Polacy są w gruncie rzeczy głę-

boko przywiązani do socjalistycznych idei państwowo-gospodarczych”. „Nam się te miliony ludzi popierających realny socjalizm mogą nie podobać, my możemy bardziej cenić robotnika z Ursusa [...]. Ale my nie możemy twierdzić, że owi ludzie mniej cenieni przez nas nie istnieją [...], by uniknąć [...] okopania się przy dogmacie, że stanowimy zjednoczony, umęczony naród, wyznający ideały »Solidarności«, wsłuchany w słowa TKK, rządony przez ZOMO” („ZOMO to są synowie prezesów GS, dyrektorów punktów skupu [...], pracowników niewykwalifikowanych”).

Gdyby punkt widzenia Wierzbickiego podzielała wtedy bodaj część opozycji być może udałoby się za parę lat uniknąć niespodzianki z Tymińskim, a wygraną w czerwcu 89 traktować nie tylko jako oszałamiające zwycięstwo, ale przede wszystkim początek trudnej niezwykle drogi, w którą wyrusza się nie z milionami sojuszników a milionami tych, których dopiero teraz trzeba do niej przekonać, pokonując ogrom złych nawyków, klisz myślowych i zwykłego nieprzystosowania do warunków innych (pod wieloma względami mniej korzystnych) niż poprzednie. I w którą wyrusza się nie z humanistyczną — też potrzebną — frazeologią, nie z dobrymi intencjami, lecz zapasem bodaj programów: gospodarczego, społecznego, edukacyjnego etc.

Gdyby więc *Myśli staroświeckiego Polaka* także w wielu innych (niezależnie od obowiązujących przekonań) realizowały naprawdę to, co autor sformułował jako zamierzenie generalne, a więc rozbiły pewne groźne stereotypy, przestrzegając przed niebezpieczeństwem pozostawania w ich niewoli, wolno by je uznać za jeden z najważniejszych, najprzenikliwszych i najbardziej uczciwych krajowych tekstów wydanych w podziemiu. I nie miałyby tu nic do rzeczy ani to, że — w swych najcenniejszych fragmentach — pozostały wówczas głosem wołającego na puszczy (był to wszak los większości podobnych książek), ani też to, że ich autor — o czym uprzedza już w tytule — zalicza się do „prawicy”, mającej za „największego polskiego myśliciela politycznego doby popowstaniowej — Romana Dmowskiego”.

Fakt, iż o *Myślach*, jako o rozprawie, pisać można jedynie w trybie warunkowym wynika bowiem nie z tego, iż Wierzbicki fascynuje się przywódcą Narodowej Demokracji i jest zwolennikiem większości (bo nie wszystkich) jej ideologicznych haseł. Rzecz w tym, iż *Myśli staroświeckiego Polaka* tak w ogromnych partiach gorzkie wprawdzie, lecz przecie sprawiedliwe — nie realizują jako całość — tego, co autor założył

i obiecał. Wymierzone w urojenia, manipulacje, myślenie powierzchowne i fobijne są w znacznej części książką urojeniową, manipulacyjną, powierzchowną i fobijną.

Generalnemu jej zamierzeniu, o którym była już mowa towarzyszy bowiem ( a nawet je dominuje) pewien generalny impuls, wyłożony przez „staroświeckiego Polaka” krótko i szczerze: „autor ma po dziurki od nosa wszelkiej postępowości, awangardowości, lewicowości w wydaniu zarówno wschodnim, jak i zachodnim”.

Wolno mu oczywiście. Wyznanie, pochodzące zresztą z minionej już jakby epoki, kiedy to „prawica” mogła istotnie czuć się — inaczej niż obecnie — usunięta w cień przez „lewicę” jest dość naturalne w ustach człowieka o sprecyzowanych jasno poglądach, którym będzie dawał wyraz i później w coraz bardziej zajadłym tonie. Więc nie warto by może poświęcać owemu wyznaniu uwagi, gdyby nie to, że legło ono u podstaw rozumowania, które miast w zmienionych warunkach racjonalnieć przybiera wciąż coraz bardziej surrealistyczne rozmiary. O ile bowiem nikt (ani z „lewa”, ani z „prawa”, ani z „centrum”) nie przemyślał w stosownym momencie tego, co w książce Wierzbickiego było do przemyślenia, o tyle upowszechniło się, coraz bardziej wulgarniejac (także w poglądach Wierzbickiego — redaktora »Nowego Świata«) to, co było w niej — mówiąc eufemistycznie — problematyczne. A więc atak na polską powojenną „lewicę”, po raz pierwszy chyba na łamach tej książki podjęty w sposób tak — przy wciąż przywoływanych pozorach obiektywizmu — jednostronnie tendencyjny i nieuczciwy.

Książka Wierzbickiego, atakując stan głów polskiej opozycji lat 80, miała być zarazem upomnieniem się o rehabilitację myśli prawicowej. Równocześnie zaś myśli tej próbą. Niezależnie od tego, jaki miało się samemu stosunek do przywoływanej przez autora tradycji politycznej, niezależnie od tego, jaki sens nadawano aktualnie pojęciom „lewica” i „prawica” nie można było nie zgodzić się z tezą autora, iż zachwianie równowagi między funkcjami ideowymi w powojennej Polsce nie wyszło na zdrowie ani prawicy, ani lewicy. „Zablokowanie możliwości rozwoju idei prawicowych [...] nie zdołało unicestwić jej przejawów. Formacji prawicowej zdołano jedynie odjąć piętra wyższe, piętra myślowej ekspresji [...]. Pozostały jej natomiast warstwy dalsze: instynktów, uczuć, fobii. Przejawiło się to jaskrawo w okresie »Solidarności«, gdy tzw. prawdziwi Polacy, bez jakiegokolwiek myślowego zaplecza, bez programu i kultury politycznej [...] nie potrafili wyjść poza jałowy, nie prowadzący do nicze-

go antysemityzm. [...] Lewica nie wie jeszcze tego, ale ona padła też ofiarą owej nienormalnej sytuacji w życiu publicznym [...], lewica (zachodnio-europejska, nietotalitarna) tworzyła zawsze ów biegun, na którym pluralizm polityczny, demokratyczna różnorodność [...] stanowiły wartości najwyższe”.

Wydawać by się zatem mogło, że ktoś, kto na ową niby oczywistą, lecz aprobowaną milcząco anomalię zwrócił uwagę, a zarazem umie snuć refleksje nie na poziomie „warstw dalszych”, lecz właśnie „pięter wyższych” i to bez towarzyskich, „partyjnych” czy środowiskowych uzależnień (pisze wszak Wierzbicki — wówczas w zgodzie z prawdą — „nie należę do żadnej grupy, nikogo nie reprezentuję”), że ten ktoś podejmie trud poważnego zaprezentowania własnych racji oraz poważnego (w imię ogólnego dobra) przeciwstawienia ich racjom cudzym.

Nic podobnego. *Myśli staroświeckiego Polaka* jako program są zbyt pełne sprzeczności, zbyt beztrosko, powierzchownie i selekcyjnie wybierają (choćby u Romana Dmowskiego) to, co wygodne, odrzucając to, co „niesłuszne”, bo już nieskuteczne. Bez świadomości, że z reaktywowania dawnych ideologii, choćby wspartego przez liczne korekty niewiele już może twórczego wynikać, nawet jeśli Dmowskiego ożenić z ...Piłsudskim, i że należałoby się może odnieść raczej do doświadczeń współczesnej zachodniej prawicy. Co najgorsze zaś w sposób całkowicie dowolny operuje się tutaj pojęciami. Już nie „prawicy i „lewicy” nawet — te stara się Wierzbicki na użytek swej książki jakoś określić: „mówiąc »formacja prawicowa« mamy na myśli ogół ludzi i poglądów dających pierwszeństwo raczej tradycji niż zmianom, związanych z dziedzictwem raczej polskim niż europejskim, przyznających walory raczej państwu rządzonemu silną ręką niż państwu rządzonemu przez lud, bliższych raczej nacjonalizmowi niż kosmopolityzmowi, związanych raczej z tradycją katolicką niż z tradycją ateistyczną, nastawionych do socjalizmu w wydaniach zarówno realnych, jak idealnych raczej krytycznie niż życzliwie, upatrujących ideał gospodarczy raczej we własności prywatnej niż we własności państwowej, społecznej, ogólnonarodowej, samorządowej itp.”. Z formacją lewicową jest, rzecz jasna, dokładnie odwrotnie.

Mniejsza o to, że owe charakterystyki są zarazem zbyt szerokie i zbyt wąskie, że — jak pokazuje dzisiejsze doświadczenie — poszczególne elementy definicji są wymienialne (jak sprawa własności prywatnej na przykład). Nie można się jednak tym nieścisłościom dziwić. Peerelowska

rzeczywistość nie tylko zlikwidowała poszczególne frakcje, ale i wprowadziła w tej dziedzinie terminologicznej galimatias; określać co to „prawica” nie było zresztą potrzeby, wystarczyło ją potępiać. Wierzbicki próbuje zdefiniować pojęcia na użytek własnej książki, nie twierdzi, że są to definicje doskonałe, a jego dystans wobec zastosowanych przez się wyróżników zaznacza najlepiej słówko „raczej”.

Dystansu tego i pokory próżno jednak szukać, gdy od określenia przedmiotu badań przechodzi autor do polemik. Pojęcia zasadnicze zostają utrzymane, lecz ze składającymi się na nie pojęciami szczegółowymi dzieją się rzeczy dziwne. Nie dlatego oczywiście, że Wierzbicki nie rozumie sensu słów, lecz dlatego po prostu, że tak jest mu wygodnie. I oto nagle okazuje się, że ogromna większość cech „lewicy” to są cechy wręcz stalinowskie. „Kosmopolityzm” zaczyna być tożsamy niemal z „proletariackim internacjonalizmem”, gdzie dobro tak zwanego robotnika unieważnić każe uczucie miłości do ojczyzny, zaś „europejskość” wyklucza przywiązanie do wartości rodzimych (zapomina przy tym Wierzbicki, że był czas, gdy „kosmopolityzm” zwalczano, jeśli nie tak samo to niewiele mniej energicznie niż „nacjonalizm”, a tak zwana „żelazna kurtyna” odgradzała przede wszystkim od Europy). „Postęp” kojarzyć się poczyna z tym tylko, co było miłym — bo zgodnym z jej wytycznymi — partii, wyraźnie wszak określającej, co za „postępowości” — wolno. Zaś „władza ludu” to po prostu władza tych, co zamieszkują Biuro Polityczne, KC i komitety wojewódzkie. „Lewica” staje się więc synonimem partyjnej lub wręcz bezpieczeniackiej góry, a „myśl lewicowa” — oficjalnej propagandy. Bowiem, choć Wierzbicki pisze, iż „Lipskiego, Kuronia, Lityńskiego, Bujaka (a dodałby to tego pewnie jeszcze kilka nazwisk) uważa za Polaków niemniej „wspaniałych” od Moczulskiego, Macierewicza, Niesiołowskiego, Czумы, to owa wielkoduszność nie daje o sobie znać tam, gdzie kreśli dzieje powojennej lewicy (jest zresztą znamienne, że lewica jest tu jedynie „powojenna”; „inteligencja przedwojenna” to wyłącznie prawica). Ma więc powód „wspaniały Polak” Lipski, by się oburzać: „Wierzbicki należy do tych publicystów, którzy lubią mylić mnie z Różańskim, bo obaj jesteśmy lewicowi”. Chociaż autor *Myśli staroświeckiego Polaka* uważa to zapewne za lewicową nadwrażliwość.

Przewrotność metody Wierzbickiego polega bowiem na tym, że co innego deklaruje, a co innego spełnia. Jego „krótki kurs powojennej lewicy” jest wzorcowym wręcz przykładem manipulacji, gdy trzeba inteligentnej, gdy trzeba topornej, w tym ostatnim przypadku zawsze można się



wszak powołać na swą profesję pamflecisty. Wynika z niej jednoznacznie, że lewicy i tej u szczytu władzy, i tej „gnidziej”, i tej „opozycyjnej” powodziło się w Peerelu doskonale. Już w roku 1945, gdy prawica gniła w lochach i dogorywała w łagrach, lewica „obejmowała swe intelektualne posady w ministerstwach, wydawnictwach, redakcjach”, by w dodatku, wsparta aparatem terroru „przez dziesięć pierwszych lat [...] walczyć z prawicą nie tylko słowem, lecz również ogniem i mieczem”. W latach stalinowskich z zapalem bezwzględnych ZMP-owców przeżywała na „polskich uniwersytetach” niedostępnych dla prawicy (gdzie wobec tego wykształcili się Moczulski, Niesiołowski, sam Wierzbicki?) „swe intelektualne uniesienia nad *Kapitałem* i *Krótkim kursem WKP(b)*”. W roku 1968 przeniosła się z uniwersytetów polskich na zagraniczne, zaś „Andrzej Czuma i Stefan Niesiołowski powędrowali nie na zagraniczne katedry, tylko do więzienia”. Ale na tym nie dosyć. Oto „los zgotował prawicy figla tak perfidnego, że aż nie mieści się w głowie [...] Otóż jakby mało było niesprawiedliwości w monopolu lewicy na uczestnictwo w sprawowaniu władzy, to jeszcze przez całe dziesięciolecia miała ona monopol na sprzeczenie się z tą władzą”<sup>1</sup>. Wykorzystała go też w swoim czasie znakomicie: do rozłożenia »Solidarności« i zniszczenia konkurencyjnego, bo wybitnego taktyka — Wałęsy. W dodatku cały czas wspierana była — znów w przeciwieństwie do osamotnionej prawicy — siłami z zewnątrz — „gdy bowiem pod koniec lat 70 skryształizował się wreszcie dwubiegunowy, acz niesymetryczny układ [...], to wyszedł na jaw fakt zadziwiający: polską lewicę popiera zachodnioeuropejska i amerykańska lewica, polską prawicę zachodnioeuropejska i amerykańska prawica ma w nosie”. Nad tym, czy przyczyną owego zadziwiającego przypadku jest nie tylko straszliwe fatum ciężące nad rodzimą prawicą, lecz także pewne jej niezachwycające właściwości, Wierzbicki oczywiście się nie zastanawia. Tak jak nie zastanawia się nad tym, czy fakt, iż na „zagranicznych katedrach” znaleźli się

---

<sup>1</sup> W istocie, jest to prawda w odniesieniu od „odwilży”, kiedy to pozwolono (nie na długo) dojść do głosu późniejszym „rewizjonistom” a nawet ludziom lewicy, nie tylko nigdy z partią nie związanych, ale walczących z jej „monopolem”. „Prawica” nadal musiała milczeć. Jest też prawdą, że „myśli prawicowej” nie udało się oficjalnie objawić nawet w tak szczątkowej, zdefiniowanej (choćby przez cenzurę) postaci, jak dane to było „myśli lewicowej”. Kompleks „prawicy” jest więc w tym sensie usprawiedliwiony, co nie znaczy, by miał się objawiać „ślepą niechęcią”.

(zresztą z powodów, które Wierzbicki przemilcza<sup>2</sup>) Kołakowski, Baczek czy Hirszowicz, a nie przedstawiciele grupy „Ruch”, wynikał naprawdę z tego, że pierwsi byli „lewicowi” a drudzy „przeciwnie”. I jak nie bierze pod uwagę, iż większy rezonans „lewicowych” akcji KOR, latających uniwersytetów i inicjatyw wydawniczych niż planu wysadzenia pomnika Lenina a nawet programu ROPCiO (którego historia przedstawiona jest zresztą kłamliwie) brać się może nie tylko z nietolerancji lewicy i jej wcześniejszego uprzywilejowania (a czemuż to „prawica” miast wydać choćby *Myśli nowoczesnego Polaka* przygotowywała aż dwie edycje jego antysemitckiego i antymasońskiego powieścidla, napisanego w dodatku pod pseudonimem?). Nikt wszak nie kazał czytać »Zapisu« miast »Opinii« i brać udziału w „zorkiestrowanej kampanii” »Biuletynu Informacyjnego« i »Krytyki« przeciw Moczulskiemu.

Dlaczego Wierzbicki nad sprawami tymi przechodzi tak gładko? Wszak pisarzowi, dbałem o przywrócenie właściwego układu sił politycznych, pisarzowi pouczającemu (i słusznie) o potrzebie ich stałej myślowej konfrontacji zależeć powinno przede wszystkim na rzeczowym pokazaniu, w czym nie ma racji przeciwnik, a także na obnażeniu słabości własnego stronnictwa, choćby po to, aby słabościom tym zaradzić. Czy autor tak jak Wierzbicki — gdy chce — wnikliwy i — gdy chce — niedemagogiczny, umiejący wydobyć na wierzch to, czego nie chcą dostrzec inni, musi uciekać się do fałszywych uogólnień, przemilczeń i insynuacji? Oczywiście może, a nawet powinien, jeśli uważa, że wyższości danej ideologii nad drugą dowodzić należy metodą kompromitacji tejże, oczywiście zachowując pozory obiektywizmu. Bo Wierzbicki jest „obiektywny”. Przyznaje, że prawica jest mniej wykształcona (nikt wszakże nie chciał jej kształcić). Píše także: „Pozostaje jeszcze pytanie: czy młody polski inteligent formacji lewicowej, uczeń Leszka Kołakowskiego, Edwarda Lipińskiego, Adama Michnika odpowiada za to, że czterdzieści lat temu wsadzano do więzień przedwojennych inteligentów i za to, że prawicowy dziennik »Le Figaro« popiera wicepremiera Rakowskiego a nie Leszka Moczulskiego? Oczywiście nie odpowiada”. Zapomina jednak całkowicie, że w lochach i łagrach, a także na Syberii, ginęli nie tylko

---

<sup>2</sup> Być może dlatego, że Wierzbicki uznaje legendę Marca za wykreowaną przez lewicę i to w myśl prostej maksymy, iż dla Polski „czasy niezłe = czasy, w których Żydom wiedzie się nienajgorzej, czasy złe = czasy, w których Żydom wiedzie się źle”.

przedstawiciele „formacji prawicowej” (czyni jeden od tej zasady wyjątek, odnotowując w przypisie: „Represje dotknęły również niektórych działaczy PPS”, lecz natychmiast dorzuca apodyktycznie: „lewica w swym nurcie głównym specjalnie się nie przejęła kaźnią swych dawnych towarzyszy”), zapomina, że „zapluty karzeł reakcji” to niekoniecznie był prawicowiec, podobnie jak niekoniecznie był nim student i profesor usuwany z „polskiego uniwersytetu” w latach stalinowskich, choć sytuacja „prawicy” była istotnie o wiele pod tym względem gorsza. Pisząc z przekąsem o „obsadzaniu katedr zagranicznych” przez lewicę po Marcu i przeciwstawiając owemu niecnemu procederowi więzionych — Niesiołowskiego i Czumę, a później i Moczulskiego, nie pamięta (?), że w więzieniach wiele lat spędzili także Kuroń, Modzelewski, Michnik, że podczas zajęć na uniwersytecie bito i wsadzano do aresztu także „lewicowych” (i obojętnych politycznie) studentów i o tym, że ciężko chory Jan Józef Lipski z własnej woli porzucił Zachód po to, by powrócić na swój proces. Wyliczając grzechy opozycji po stanie wojennym ma na myśli w zasadzie tylko opozycję lewicową, tak jakby ośmieszona przezeń skłonność do symbolicznych gestów, „rozbuchania rocznicowo-obchodowego” była tejże — a nie np. KPN — domeną, jakby to lewica umiłowala sobie słowo „Targowica” i jakby tylko ona nie zdołała wypracować racjonalnego programu działań (pisze za to Wierzbicki o jakimś — nigdy niestety nie objaśnionym — wypracowanym w latach 60. dalekosiężnym programie niepodległościowym grupy „Ruch”).

Co zaś może najważniejsze, poza „lewicą” i „prawicą” niczego innego Wierzbicki w Polsce nie dostrzega. Jest to zabieg wprawdzie nieuczciwy, lecz skuteczny. W ten sposób w worku z nalepką „lewica” pomieścić można nie tylko „Lipskiego i Różańskiego”, by posłużyć się tym jednym przykładem, ale po prostu wszystko, co prawicy się nie podoba. Np. Radio Wolna Europa, donoszące raczej o KOR-owcach niż „Ruchu”, paryską »Kulturę«, „katolewicę” z KIKami i Jerzym Turowiczem na czele i masonerię. Tak przecież czyni się obecnie niemal codziennie.

Emocje towarzyszące dziś lekturze *Myśli staroświeckiego Polaka* nie są już tak gwałtowne, jak niegdyś. Jakość politycznych (a często i literackich) polemik wywołać musiała — u każdego, kto zachować pragnie jaką taką normalność — odruchy samoobrony: obojętność wobec nieodpowiedzialnych sądów, dowolnych klasyfikacji, przedziwnych interpretacji cudzych biografii i przekonań, a nawet całych obszarów polskiej historii.

Odczuwa się jedynie żal, że ta książka, która miała (o czym świadczą niektóre jej stronic) szansę zachęcić choćby do refleksji nad słowem „pluralizm”, które oznaczać winno nie tylko wolność słowa dla opozycji, ale i równouprawnienie różnych opcji w łonie jej samej (bo faktem jest, że „lewica” nie umiała reagować na słowo „prawica” inaczej niż alergicznie), że książka szansę ową zaprzepaściła z kretesem. Przykro również, że mit solidarnościowej jedności już wtedy obnażył swą pozorną w sposób (Lipski pisał o nim „jak z magła”) tak niestety podobny do metod późniejszej „wojny na górze”. Bo nie szło o to, by podzielać wątpliwość, jakiej dał wyraz sam autor w ostatnich zdaniach *Mysli...*: „Wartoż ich dzielić, przeciwstawiać linie podziałów [...] wartoż rzucać zaczyn fermentu pod orszak, który z okrzykiem »kochajmy się« wyrusza w epopeję długiego marszu?”. Oczywiście, że byłoby warto — gdyby istotnie szło o „rzucanie” fermentu a nie mogących wywołać trwałe uszkodzenia — petard. Hasło „kochajmy się” niewiele jest warte, gdy maskuje wzajemne animozje, sprzeczne ambicje, kompleksy. Ale nawet, gdy ich nie skrywa i tak jest mniej pobudzające — choć łatwiejsze — od hasła „spróbujmy się zrozumieć”, nie czyni jednak najmniejszego kroku w tym drugim kierunku; a gdy go nawet czasem uczynić pragnie, zaraz to niweczy.

Gdyby autor traktował serio własną apostrofe: „W tej książce wezwanie myśli prawicowej do zdwojonego wysiłku oznacza nie apel, żeby ona raźniej wywijała maczugą, lecz zachętę, żeby podjąwszy problemy, których nie potrafiła rozwiązać lewica, znalazła dla nich rozwiązania lepsze”; dziś winien się wstydzić rzeczywistych efektów swego dzieła. Zawarty w niej atak na lewicę, podjęty został nie przez tych, których chciał Wierzbicki widzieć „bohaterami pozytywnymi swego działania”; przez specjalistów od machania maczugą właśnie.

Najważniejsze dla autora posłannictwo „formacji prawicowej”, restauracja kapitalizmu w Polsce („Przyszła Polska, jeśli nie ma natychmiast zbankrutować, powinna być nie krajem idealnego socjalizmu, tylko nieidealnego kapitalizmu”) nie przez nią zostało podjęte. Odwrotnie, to prawica broni hałaśliwie i bez programu modelu gospodarki, uznanego za „socjalistyczny”. Ze sporządzonego przez Wierzbickiego zestawu „wciąż żywego” dziedzictwa Dmowskiego („że polityka, która przedsiębiorac działanie, nie oblicza jego skutku, to nie jest żadna polityka”, „że warunkiem powodzenia polityki polskiej jest taka praca nad programem i nad jego upowszechnieniem, żeby w krytycznym momencie społeczeństwo rozumiało swoich przywódców”, „że polityka jest domeną zawodowstwa

i że nie mogą jej prowadzić amatorzy i dyletanci”) przyjęto najbardziej klaustrofobiczne lub wątpliwe. Przede wszystkim jedno, doprowadzenie do perfekcji „że w polityce trzeba być nieufnym”. Co oznacza po prostu tyle: oceniać cudze działania wyłącznie poprzez własne kompleksy (cóż stąd, że nie bezpodstawne) i własne ambicje (cóż stąd, że nie obce żadnym politykom). Faktem jest, że „prawica” w czwartym roku III Rzeczypospolitej nie wyszła poza ów, krytykowany przez Wierzbickiego, model „prawdziwego Polaka”.

[1993]



# Od Wydawcy

Wydana przez nas książka została przygotowana do druku przez Martę Fik. Niektóre z zawartych tu — wcześniej publikowanych — szkiców Autorka opracowała na nowo. Śmierć przerwała Jej pracę nad tą książką. Szkic „*Myśli staroświeckiego Polaka*” *po latach* drukujemy więc w wersji roboczej i zamieszczamy na końcu książki w Aneksie, ponieważ nie znamy miejsca wyznaczonego mu w układzie książki przez Martę Fik.

## Nota bibliograficzna

Szkice zamieszczone w książce były wcześniej publikowane w następujących czasopiśmieach:

- Marzec '68. Za kogo się wstydzimy?* »Puls« nr 50, maj–czerwiec 1991.  
*Testy dla buntowników*, »Puls« nr 54, styczeń–luty 1992.  
*Członek rzeczywisty związku ukąszonych* »Dialog« 1992 nr 4.  
*Remanent owoców zakazanych*, »Puls« nr 56, maj–czerwiec 1992.  
*Przepraszam, że jestem inteligentem*, »Puls« nr 57, lipiec–sierpień 1992.  
*Czy warto pisać o socrealizmie* »Puls« nr 59, listopad–grudzień 1992.  
*Wirus socrealizmu*, »Puls« nr 60, styczeń–luty 1993.  
*Spór o Kościół* »Puls« nr 62, maj–czerwiec 1993.  
*Skiwski zdrajca heroiczny?* »Puls« nr 63, lipiec–sierpień 1993.  
*Nowomowa na wolności*, »Dialog« 1993 nr 8.  
*Kazimierza Brauna spowiedź bez powodu*, »Dialog« 1993 nr 11.  
*Portret inteligenta (O Andrzejku Doboszu)*, »Dekada Literacka« 1994 nr 5.  
*Umysł zniewalany*, »Tygodnik Powszechny« 1994 nr 17.  
*Inkwizytor i jego ofiary*, »Tygodnik Powszechny« 1994 nr 43.  
*Autorytecie wróć?*, »Tygodnik Powszechny« 1995 nr 18.  
*Kłopoty z opozycją*, »Więź« 1995 nr 6.

Szkice wcześniej nie publikowane:

- Czy Władysław Gomułka zdradził Październik?*  
*Myśli staroświeckiego Polaka po latach*



## Indeks nazwisk

### A

Abramowski, Edward 179  
Achmatowa, Anna 89  
Adamiccki, Wojciech 157  
Afinogenow, Aleksandr 158  
Ajdukiewicz, Kazimierz 15  
Ambroziewicz, Jerzy 156  
Anderman, Janusz 95  
Andrzejewski, Jerzy 14, 41, 42, 56, 72,  
76, 77, 88, 90, 157  
Arżak, Nikolaj patrz Daniel, Julij 97  
Axer, Erwin 180

### B

Baczko, Bronisław 230  
Balbus, Stanisław 105  
Balicki, Stanisław Witold 117  
Baliński, Stanisław 91  
Barańczak, Stanisław 86, 87, 90, 97  
Bardini, Aleksander 140  
Bartyzel, Jacek 35  
Bauman, Zygmunt 72, 73  
Bądkowski, Lech 78  
Benda, Julien 26–27, 163, 164  
Bereś, Stanisław (pseud. Stanisław  
Nowicki) 47, 99, 115, 117–121  
Bereza, Henryk 38  
Berman, Jakub 155  
Beylin, Paweł 55, 58, 59, 60, 84  
Będkowski, Stanisław 58  
Białoszewski, Miron 14, 45, 89  
Bieńkowska, Flora 56  
Bieńkowski, Władysław 88  
Bierdiajew, Nikolaj 26  
Bierezin, Jacek 88  
Biernacki, Andrzej 11, 17  
Bicrut, Bolesław 41, 214  
Blumsztajn, Seweryn 69  
Błoński, Jan 14  
Bocheński, Jacek 54, 55, 57, 58, 59, 60, 72,  
74, 77

Bogucka, Teresa 164  
Boniecki, Adam 198, 199  
Borowski, Tadeusz 41, 89  
Boy-Żeleński, Tadeusz 22, 24, 35, 182  
Bralczyk, Jerzy 105, 108  
Brandys, Kazimierz 41, 42, 56, 60, 76,  
77, 88, 90  
Brandys, Marian 56, 59, 78, 89  
Bratny, Roman 42, 78  
Braun, Andrzej 76, 77, 80  
Braun, Jerzy 117  
Braun, Kazimierz 115–122, 175–176,  
179–180, 182  
Brecht, Bertolt 44, 88, 189  
Brodski, Josif 88, 98  
Broniarek, Zygmunt 183  
Brook, Peter 138  
Broszkiewicz, Jerzy 79  
Brycht, Andrzej 76  
Bryll, Ernest 76, 78, 80, 96  
Brzękowski, Jan 92  
Brzozowski, Stanisław 179  
Buczowski, Leopold 45  
Buhler, Josef 21, 28  
Bujak, Zbigniew 228  
Bukowiński, Władysław 88  
Bukowski, Władimir 97  
Bunin, Iwan 97  
Burek, Tomasz 77, 98, 143, 151  
Byrska, Irena 179, 180  
Byrski, Tadeusz 179, 180

### C

Céline, Louis-Ferdinand 23  
Chojnacy, Władysław i Wojciech  
(pseud. Józefa Kamińska) 93  
Chruszczow, Nikita 155  
Chrzanowski, Tadeusz 11  
Chudy, Jan 150  
Chwedeńczuk, Bohdan 101  
Ciołkosz, Adam 93

Civaroli, Ludwik 204  
 Conrad, Joseph 89, 178  
 Cyrankiewicz, Józef 57, 134  
 Cywiński, Bohdan 98, 169–170  
 Cząstka, Szymon 49  
 Czachowska, Jadwiga 85, 93, 99  
 Czapski, Józef 88, 91, 99  
 Czechow, Anton 182  
 Czernik, Stanisław 24  
 Czuma, Andrzej 228, 229, 231

**D**

Dalcz, Aleksy 96  
 Daniel, Julij (pseud. Nikoła Arzak) 72  
 Danilewicz Zielińska, Maria 98  
 Dąbrowska, Maria 14, 22, 34, 35, 175, 176,  
 177–178, 179, 180  
 Dąbrowski, Bronisław 180, 204  
 Dąbrowski, Witold 59, 76  
 Dejmek, Kazimierz 68, 71, 179  
 Dembowski, Bronisław 199  
 Dębski, Henryk 126  
 Diderot, Denis 44  
 Dmowski, Roman 93–94, 225, 227, 232  
 Dobosz, Andrzej 123–129  
 Doboszyński, Adam 93  
 Dobraczyński, Jan 98  
 Dobrowolski, Stanisław Ryszard 74  
 Domańska, Jadwiga 117  
 Dorosz, Beata 85, 93, 99  
 Dostojewski, Fiodor 26  
 Drabikowski, Marek 98  
 Drawicz, Andrzej 89, 97, 98  
 Drda, Jan 180  
 Drewnowski, Tadeusz 53, 57, 154  
 Drozdowski, Bohdan 126  
 Dudek, Antoni 219  
 Dürrenmatt, Friedrich 137, 139  
 Dygat, Stanisław 56  
 Džilas, Milovan 90

**E**

Eile, Marian 180  
 Eisler, Jerzy 67–70, 72, 76, 81, 84  
 Elektorowicz, Leszek 10  
 Elzenberg, Henryk 15

**F**

Fedecki, Ziemowit 154  
 Feldman, Wilhelm 96  
 Ficowski, Jerzy 14, 42, 76, 88, 89, 90  
 Fielding, Henry 44  
 Fik, Marta 5–7, 235  
 Fikus, Dariusz 157  
 Flaszen, Ludwik 14  
 Friszke, Andrzej 171, 207, 209–213,  
 216, 217, 219  
 Fryde, Ludwik 24

**G**

Galczyński, Konstanty Ildefons 38,  
 176, 182  
 Gaworski, Henryk 42, 74, 75, 77  
 Geremek, Bronisław 86  
 Giedroyc, Jerzy 182  
 Gierek, Edward 64, 65, 70, 81, 82  
 Giertych, Jędrzej 112  
 Giertych, Maciej 64  
 Glomp, Józef 203  
 Głowiński, Michał 41, 42, 43, 46–50,  
 83, 98, 105–107, 114, 208  
 Gołomsztok, Igor 98  
 Gołubiew, Antoni 14  
 Goetel, Ferdynand 21–22, 27, 104  
 Gombrowicz, Witold 19, 45, 84, 88,  
 89, 90, 91, 100, 102, 123, 151  
 Gomułka, Władysław 55, 64, 65, 70,  
 74, 76, 106, 109, 134, 144–154,  
 156–161, 212, 213, 214–215,  
 216, 218  
 Gondowicz, Jan 128  
 Gontarz, Ryszard 75, 77  
 Gorki, Maksim 158  
 Górnicki, Wiesław 153  
 Górski, Konrad 15  
 Grabowska, Marcelina 56, 60  
 Grass, Günter 88  
 Grochowiak, Stanisław 78  
 Grodzieńska, Stefania 120  
 Grynberg, Henryk 90  
 Grzędziński, January 63, 73, 74, 75,  
 76, 79  
 Grzeźczak, Marian 58, 74  
 Grzymkowski, Jerzy 95

**H**

- Hamera, Bogdan 47  
 Hamsun, Knut 23  
 Harasymowicz, Jerzy 45  
 Hartwig, Julia 89  
 Hass, Ludwik 11  
 Haupt, Zygmunt 102  
 Havel, Vaclav 97, 98  
 Heartman, Paweł (właśc. Godlewski, Piotr) 97  
 Hegel, Georg Wilhelm 65, 138  
 Heller, Michaił 97, 158  
 Hellman, Lillian 186  
 Hen, Józef 76  
 Herbert, Zbigniew 14, 19, 36, 42, 96, 126, 169, 170, 218  
 Herling-Grudziński, Gustaw 11, 61, 88, 89, 98, 102, 134  
 Hertz, Paweł 56, 76, 157  
 Hessen, Sergiusz 15  
 Himilbsbach, Jan 124  
 Hirszowicz, Maria 230  
 Hitler, Adolf 187  
 Hlond, August 219  
 Hlasko, Marek 45, 91  
 Hoffman, Paweł 155, 156  
 Holland, Henryk 59, 84  
 Holzer, Jerzy 209  
 Hołuj, Tadeusz 79  
 Horzyca, Wilam 131, 179, 180  
 Hrabal, Bohumil 88, 98

**I**

- Ibsen, Henryk 186, 189, 190  
 Illg, Jerzy 97  
 Ilakowiczówna, Kazimiera 14, 97  
 Ingarden, Roman 11, 15  
 Iredeński, Ireneusz 76  
 Irzykowski, Karol 24  
 Iwaskiewicz, Jarosław 42, 89, 182

**J**

- Jagodziński, Andrzej Sławomir 97  
 Jan Paweł II 200  
 Jan XXIII 200  
 Janta-Polczyński, Aleksander 45

- Jarosiński, Witold 54  
 Jaruzelski, Wojciech 33, 38, 92  
 Jasienica, Paweł 72, 73, 74, 76, 78, 79, 88  
 Jasiński, Bruno 45  
 Jaspers, Karl 98  
 Jastrun, Mieczysław 56, 72, 78, 89, 133, 157  
 Jastrun, Tomasz 89, 96  
 Jastrzębski, Marek (pseud. Józef Galewski) 93  
 Jaworska, Helena 149  
 Jedlicki, Jerzy 211, 216  
 Jedlicki, Witold 151  
 Jefimow, Aleksiej 48  
 Jeleński, Konstanty 89, 90  
 Jerofiejew, Wenedikt 88  
 Jeske-Choiński, Teodor 96  
 Johnson, Paul 185–187, 189–190  
 Jordan, Zbigniew 146  
 Jurandot, Jerzy 120

**K**

- Kaczyński, Jarosław 171  
 Kamińska, Anna 42, 89  
 Kantor, Tadeusz 138  
 Kantorski, Leon 172  
 Kapuściński, Ryszard 89  
 Karpiński, Jakub 88, 98, 105, 209, 217  
 Karpowicz, Tymoteusz 78  
 Karst, Roman 56, 60, 78  
 Kasman, Leon 156  
 Katarzyna II 48  
 Kąkol, Kazimierz 77  
 Kersten, Krystyna 11, 64, 209  
 Kijowski, Andrzej 13, 14, 62, 74, 76, 77, 88, 101, 160, 161  
 Kisielewski, Stefan 21, 23, 58, 73, 74, 76, 77, 79, 101, 136, 156, 218  
 Kleiner, Juliusz 15, 51  
 Kliszko, Zenon 54, 55, 56, 58, 60, 74  
 Koc, Adam 26  
 Kočański, Aleksander 155  
 Koestler, Arthur 89, 160  
 Kohout, Pavel 97  
 Koj, Leon 197

- Kołąkowski, Leszek 11, 15, 33, 36, 53–63,  
65, 73–76, 89, 98, 158, 160–161,  
169, 170, 179, 209, 215, 216, 230
- Komolka, Jan 89
- Koneczny, Feliks 93
- Konwicki, Tadeusz 47, 55, 56, 59, 60, 72,  
85, 88, 99
- Koprowski, Jan 42
- Kornhauser, Julian 89, 90
- Korzeniewski, Bohdan 79, 99, 179, 180
- Kosiński, Jerzy 102
- Kossak-Szczucka, Zofia 97
- Kotarbiński, Tadeusz 63
- Kotlarczyk, Mieczysław 179
- Kott, Jan 56, 82, 89, 123, 127, 131–141,  
157
- Koźniewski, Kazimierz 95
- Krajewski, Michał 216
- Krall, Hanna 89, 99
- Kraśniński, Edward 69
- Krasowski, Jerzy 117
- Kraško, Wincenty 55, 57, 57, 79
- Krawczuk, Aleksander 96
- Kreutz, Mieczysław 15
- Krupa, Barbara 57
- Krynicky, Ryszard 88
- Krzemiński, Adam 86–88, 91
- Krzysztoń, Jerzy 89
- Krzywicki, Ludwik 179
- KTT patrz Tocplitz, Krzysztof Teodor 126
- Kubacki, Waław 139
- Kubiak, Tadeusz 42
- Kubikowski, Zbigniew 42, 78, 141
- Kundera, Milan 88, 98
- Kuroń, Jacek 54, 63, 216, 228, 231
- Kurowski, Stefan 159
- Kurund, Konrad 96
- Kuryluk, Karol 24
- Kuśmierk, Józef 99
- Kuśniewicz, Andrzej 89
- Kwiatkowski, Jerzy 22, 154
- L**
- Lasota, Eligiusz 147, 156
- Lechoń, Jan 90
- Legutko, Ryszard 35, 36
- Lenart, Józef 71, 77
- Lenin, Włodzimierz 120, 213, 230
- Lewandowska, Irena 97, 157
- Liberek, Jarosław 198
- Lipiński, Edward 15, 160, 230
- Lipska, Ewa 89, 96
- Lipski, Jan Józef 14, 76, 89, 93, 102,  
153, 172, 209, 223, 228, 231,  
232
- Lipski, Leo 102
- Lisiecka, Alicja 68
- Lisowski, Jerzy 95
- Lityński, Jan 228
- Łagowski, Bronisław 11
- Łapiński, Zdzisław 14, 88, 98, 110
- Łatyński, Marek 211
- Łobodowski, Józef 97
- Łopieńska, Barbara 53, 58
- Łubieński, Tomasz 89
- M**
- Machejek, Władysław 71, 77, 95, 129
- Macierewicz, Antoni 38, 228
- Mackiewicz, Józef 12, 13, 27, 102
- Mackiewicz, Stanisław Cat 63
- Madej, Bogdan 90
- Maj, Bronisław 96
- Majakowski, Włodzimierz 44
- Majcherek, Janusz 141
- Majchrowski, Krzysztof 86, 95
- Makowiecki, Tadeusz 22
- Maksimow, Władimir 97
- Malewska, Hanna 14, 89
- Mandalian, Andrzej 76
- Mandelsztam, Osip 88
- Maritain, Jacques 137
- Markiewicz, Henryk 139
- Marks, Karol 138, 218
- Maśliński, Józef 24
- Matuszewski, Ryszard 76, 78, 132
- Matwin, Władysław 156
- Mazowiecki, Tadeusz 166, 168
- Mazur, Bogusław 204
- Mentzel, Zbigniew 86, 87, 89
- Mętrak, Krzysztof 78
- Michnik, Adam 19, 33, 38, 88, 90, 93,  
99, 169, 170, 230, 231
- Mickiewicz, Adam 179

Mieroszewski, Juliusz 153  
Międzyrzecki, Artur 42, 76, 77, 89  
Mijał, Kazimierz 160, 216  
Mikołajczyk, Stanisław 153  
Miller, Jan Nepomucen 63  
Miłosz, Czesław 14, 31, 38, 88–90, 98,  
100, 102, 165–166, 169–170,  
175, 218  
Minkowski, Aleksander 50  
Moczar, Mieczysław 70  
Moczarski, Kazimierz 89  
Moczulski, Leszek 228, 229, 230, 231  
Modzelewski, Karol 54, 63, 216, 231  
Molek, Kazimierz 94, 95  
Monteskiusz, właśc. Montesquieu, Charles  
Louis 19  
Morawiec, Elżbieta 33, 35, 36  
Morawski, Jerzy 156  
Morawski, Stefan 72  
Mrożek, Sławomir 45, 72, 80, 96, 106  
Mycielski, Zygmunt 72

**N**

Nałkowska, Zofia 14  
Najder, Zdzisław 94  
Namiotkiewicz, Walery 76  
Nawrocki, Witold 90–91, 95  
Newerly, Igor 55, 58, 60, 78  
Niepokólczycki, Franciszek 211  
Niesiołowski, Stefan 228, 229, 231  
Nowak, Andrzej 33, 35  
Nowak, Roman 55, 56, 57  
Nowak, Tadeusz 154, 175, 176–177, 178  
Nowak-Jeziorański, Jan 209  
Nowakowski, Marek 76–77, 95  
Nowakowski, Zygmunt 22  
Nowicki, Stanisław patrz Bereś, Stanisław  
47  
Nyczek, Tadeusz 98, 131, 133, 134–135,  
136, 141

**O**

Obertyńska, Beata 91  
Ochab, Edward 150  
Odojewski, Włodzimierz 77  
Olszewski, Jan 19, 33, 35, 36  
Orłoś, Kazimierz 76, 90

Or-Ot właśc. Oppmann, Artur 92  
Orwell, George 86, 87, 88, 89, 110  
Osęka, Andrzej 5  
Ossowska, Maria 15  
Ossowski, Stanisław 15, 63  
Ostrowski, Aleksandr 182

**P**

Pach, Jan 194, 204  
Paczkowski, Andrzej 64, 209  
Palach, Jan 81  
Panufnik, Andrzej 41, 42  
Pascal, Blaise 128  
Pasierb, Janusz 199  
Pasternak, Boris 97  
Patrzałek, Tadeusz 103  
Paweł VI 200  
Peiper, Tadeusz 14  
Piasecki, Bolesław 153  
Piasecki, Sergiusz 102  
Pieronek, Tadeusz 199  
Pietrzak, Włodzimierz 132  
Pigoń, Stanisław 15  
Piłsudski, Józef 92, 227  
Piotr I 48  
Piscator, Erwin 46  
Piwowarczyk, Andrzej 56  
Plesnar, Łukasz 219  
Platonow, Andriej 97  
Pohorille, Maksymilian 55, 57  
Połkowski, Jan 88, 96  
Pollak, Seweryn 56, 76, 154  
Pomian, Krzysztof 54, 60, 216  
Popiełuszko, Jerzy 93  
Popiel, Karol 212  
Popper, Karl 99  
Pound, Ezra 23  
Prokop, Jan 35, 182  
Przyboś, Julian 41, 154, 175, 178, 180  
Przymanowski, Janusz 77, 126  
Putrament, Jerzy 74, 75, 77, 78  
Puzyna, Konstanty 14

**R**

Radlińska, Helena 15  
Rakowski, Mieczysław 230

Raszewski, Zbigniew 69, 127  
 Rawska, Hanna 157  
 Rokossowski, Konstanty 145, 219  
 Rousseau, Jean Jacques 186, 187, 189  
 Roux de, Dominique 88  
 Róžański, Jacek 228, 231  
 Rózewicz, Tadeusz 14, 45, 116  
 Rudnicki, Adolf 78, 98  
 Rusinek, Kazimierz 76  
 Russell, Bertrand 89, 186, 187, 190  
 Rybakow, Władimir 97  
 Rymkiewicz, Jarosław Marek 95–96

## S

Safjan, Zbigniew 50  
 Salij, Jacek 194  
 Samozwaniec, Magdalena 154  
 Sandauer, Artur 42, 133, 154  
 Sartre, Jean Paul 98, 187, 189  
 Schaff, Adam 73  
 Schiller, Leon 132, 179–180, 182  
 Sford, Dawid 78  
 Shakespeare, William 137, 138–141  
 Shelley, Percy Bysshe 186, 187, 189, 190  
 Siniawski, Andriej 72  
 Siwiec, Ryszard 81  
 Skiwski, Jan Emil 21–23, 25–29  
 Skuszanka, Krystyna 117  
 Sławiński, Janusz 38  
 Słomczyński, Maciej 45  
 Słonimski, Antoni 22, 56, 72, 74, 76, 78, 147, 154  
 Słoński, Edward 92  
 Słucki, Arnold 56  
 Sołżenicyn, Aleksandr 88, 97  
 Sokorski, Włodzimierz 71, 183  
 Sommer, Piotr 89, 96  
 Stachura, Edward 76, 89  
 Staff, Leopold 14  
 Stalin, Józef 34, 147, 198  
 Starewicz, Artur 55  
 Stawar, Andrzej 14, 154  
 Steinhau, Hugo 127  
 Stempowski, Jerzy 89, 91, 128, 136, 179  
 Stempowski, Stanisław 14, 34, 178, 179  
 Stern, Anatol 14, 45  
 Stępień, Marian 91, 95

Stomma, Ludwik 183  
 Strykowski, Julian 56, 57, 59, 89  
 Strzelecki, Jan 88, 160, 215  
 Strzembosz, Tomasz 11, 207, 209, 213, 216  
 Suchocka, Hanna 203  
 Swinarski, Artur Maria 154  
 Szalamow, Warlam 97  
 Szajna, Józef 117  
 Szaniawski, Jerzy 14  
 Szaruga, Leszek 85, 88, 102  
 Szatrow, Michaił 120  
 Szczepański, Jan 18  
 Szczepański, Jan Józef 11, 14, 90, 95, 98  
 Szczepkowska, Joanna 107  
 Szczypiorski, Andrzej 76, 78  
 Szejnert, Małgorzata 98  
 Szokalski, Wiktor 127  
 Szostakowicz, Dmitrij 41, 42  
 Szpakowska, Małgorzata 169  
 Szpotański, Janusz 72, 88  
 Szweykowski, Zygmunt 15  
 Szymański, Wiesław Paweł 34–35, 175–182  
 Szyborska, Wisława 60  
 Szyr, Eugeniusz 57  
 Śmieja, Florian 91  
 Świda-Ziemba, Hanna 15, 107

## T

Tarn, Adam 71  
 Tatarkiewicz, Władysław 15  
 Tatarkówna, Michalina 149  
 Tchórzewski, Andrzej 74  
 Terlecki, Władysław 76  
 Tischner, Józef 193, 194–195, 196–197, 199, 202  
 Titkow, Walenty 156  
 Toeplitz, Krzysztof Teodor 126, 156,  
 Tokarczuk, Antoni 199  
 Tołstoj, Lew 186, 189190  
 Tomasiak, Wojciech 42  
 Torańska, Teresa 83, 98  
 Treugutt, Stefan 154  
 Trznadel, Jacek 12, 13, 14, 19, 33, 42, 98, 140, 141, 170, 182

- Turowicz, Jerzy 231  
Turski, Marian 156  
Turski, Ryszard 147, 156  
Tymiński, Stanisław 165, 225  
Tyrmand, Leopold 89, 132, 134, 136,  
141, 153
- U**  
Urban, Jerzy 111, 156  
Urbanowski, Maciej 21–28  
Urbański, Andrzej 207, 213
- V**  
Vincenz, Stanisław 98
- W**  
Wajda, Andrzej 96  
Waldorff, Jerzy 154  
Walicki, Andrzej 98  
Wałęsa, Lech 92, 96, 111–112, 165–168,  
203, 229  
Wandurski, Witold 45  
Wańkiewicz, Melchior 72, 89  
Wasilewska, Wanda 155  
Wasilewski, Andrzej 95  
Wat, Aleksander 14, 38, 88, 99, 132  
Wążyk, Adam 41, 56, 90, 133, 154, 155,  
157  
Weil, Simone 98  
Werfel, Roman 156  
Werner, Andrzej 98  
Wicha, Władysław 55  
Wierciński, Edmund 131, 179  
Wierzbicka, Anna 108  
Wierzbicki, Piotr 10, 11, 93, 109, 119, 170,  
223–233  
Wierzyński, Kazimierz 88, 90  
Wilczek, Jan 47  
Wilhelmi, Janusz 71  
Wilson, Edmund 186  
Winawer, Bruno 22  
Wiścicki, Tomasz 197  
Wirpsza, Witold 59, 144
- Witkacy, właśc. Witkiewicz, Stanisław  
Ignacy 83, 139  
Wittlin, Józef 90  
Wojdowski, Bogdan 76  
Wojnowicz, Władimir 97  
Wolter, Voltaire, właśc. Arouct,  
François Marie 31  
Woroszyński, Wiktor 42, 56, 59, 88, 97  
Wyka, Kazimierz 14, 25, 139  
Wyspiański, Stanisław 48, 139, 179  
Wyszyński, Stefan 57, 145, 150, 200,  
219
- Z**  
Zabłocki, Janusz 207, 216  
Zagajewski, Adam 88  
Zagórski, Jerzy 14, 78  
Zakrzewski, Jan 126  
Załuski, Roman 78  
Zambrowski, Roman 149, 213  
Zamiatin, Jewgienij 98  
Zamkow, Lidia 179, 181  
Zawadzka, Wincentyna 127  
Zawadzki, Waclaw 56, 60  
Zawieyski, Jerzy 14, 72, 78, 146, 148,  
154  
Zbyszewski, Karol 102  
Zieliński, Tadeusz 198  
Ziemkiewicz, Rafał 182  
Zięba, Maciej 198  
Zimand, Roman 102, 156, 158, 160,  
215  
Zinowiew, Aleksandr 98  
Żdanow, Andriej 48, 134  
Żeromski, Stefan 22, 89, 96  
Żółkiewska, Wanda 76, 78  
Żółkiewski, Stefan 72, 76  
Żukrowski, Wojciech 41, 50, 95  
Żuławski, Juliusz 56, 72, 157  
Żuławski, Zygmunt 211

## Spis treści

<i>Jerzy Turowicz</i> Przedmowa . . . . .	5
Przepraszam, że jestem inteligentem . . . . .	9
Skiwski zdrajca heroiczny? . . . . .	21
Wirus socrealizmu . . . . .	31
Czy warto pisać o socrealizmie? . . . . .	41
Testy dla buntowników . . . . .	51
Marzec '68. Za kogo się wstydzimy? . . . . .	
Remanent owoców zakazanych . . . . .	
Nowomowa na wolności . . . . .	1
Kazimierza Brauna spowiedź bez powodu . . . . .	115
Portret inteligenta . . . . .	123
Członek rzeczywisty związku ukąszonych . . . . .	131
Czy Władysław Gomułka zdradził „Październik”? . . . . .	143
Autorytecie wróć? czyli intelektualiści u władzy . . . . .	163
Umysł zniewalany . . . . .	175
Inkwizytor i jego ofiary . . . . .	185
Spór o Kościół . . . . .	193
Kłopoty z opozycją . . . . .	207
ANEKS . . . . .	221
<i>Myśli staroświeckiego Polaka</i> po latach . . . . .	223
Od Wydawcy . . . . .	235
Nota bibliograficzna . . . . .	236
Indeks nazwisk . . . . .	237





Obecnie ukazująca się książka to zbiór szkiców, esejów i recenzji Marty Fik, publikowanych w szeregu czasopism, tekstów wprawdzie dość różnorodnych, ale złączonych nicią przewodnią refleksji na temat roli, miejsca i odpowiedzialności inteligencji twórczej, ludzi, których określa się mianem intelektualistów, ich roli i postaw w latach PRL-u oraz w obecnym trudnym czasie budowy demokracji, po latach totalitarnego zniewolenia.

[...]

Autorytety nie rodzą się na kamieniu. Autorytetami mogą stać się ludzie mądrzy i do gruntu uczciwi, odważni i odpowiedzialni. Ludzie łączący idealizm z realizmem. Rozumiejący świat w jakim żyjemy i całą jego złożoność, mający wyraźną wizję świata w jakim chcielibyśmy żyć, których głos kierowałby ludzi na drogi prowadzące do tego świata.

Takim człowiekiem była Marta Fik, osoba rozumiejąca, sprawiedliwa i obiektywna, odrzucająca czarno-białe schematy, tolerancyjna nie dla zła, ale dla ludzi, świadoma kondycji ludzkiej. Była jednym z autorytetów moralnych, których nam dziś tak bardzo brakuje.

*Z przedmowy Jerzego Turowicza*



Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001010808427

ISBN 83-907833-0-4